

Niewątpliwie arcydzieło... Powieść doskonała. „The Sunday Times”

JOHN LE CARRÉ

SZPIEG DOSKONAŁY



Świat Książki

JOHN LE CARRE

SZPIEG DOSKONAŁY

Dla R.,

który wędrował ze mną, pożyczył mi psa i dorzucił parę okrucich własnych przeżyć

Autor chciałby wyrazić wdzięczność wszystkim, którzy pomogli mu przy pisaniu tej książki. Są to: Al Alvarez, który dwukrotnie przeczytał rękopis i podzielił się swymi uwagami; Susan Davidson, Philip Durban i Moritz Macazek, którzy brali udział w gromadzeniu materiałów; Peter Baestrup i jego pracownicy w waszyngtońskiej redakcji „Wilson Quarterly”; oraz David i J.B. Greenway za esker.

„Kto ma dwie kobiety, traci duszę.

Kto ma dwa domy, traci głowę.”

przysłowie

Rozdział 1

Wczesnym rankiem pewnego wietrznego październikowego dnia, w małym miasteczku w południowej części hrabstwa Devon, które o tej porze sprawiało wrażenie całkowicie opuszczonego przez mieszkańców, ze starej wiejskiej taksówki wysiadł Magnus Pym. Zapłacił kierowcy, odczekał, by ten odjechał, po czym ruszył stanowczym krokiem przez przykościelny placyk ku rzędowi słabo oświetlonych pensjonatów pamiętających jeszcze czasy królowej Wiktorii, a noszących tak zachęcające nazwy jak Bel - a - Vista, Commodore czy Eureka. Pan Pym był człowiekiem silnej budowy, lecz pełnym godności. Kroczył pewnie, pochylając się nieco do przodu, zgodnie z najlepszymi tradycjami anglosaskiej klasy urzędniczej. Z taką samą dumną postawą, maszerując lub stojąc, Anglicy wciągali na maszt swe sztandary, by łopotąły nad zamorskimi koloniami, odkrywali źródła wielkich rzek, trwali do końca na pokładach tonących statków. Sam Magnus Pym również podróżował już od szesnastu godzin, choć nie miał na sobie ni płaszcza, ni kapelusza. W jednej dłoni dzierżył pękata

czarną, oficjalnie wyglądającą aktówkę, w drugiej zieloną torbę od Harrodsa. Silny wiatr od morza smagał jego wyjściowy garnitur, sól wciskała się do oczu, drogę przecinały mu kłęby niesionej wiatrem morskiej piany. Pym nie zwracał na to uwagi. Doszedł do ganeczku domu z napisem: „Wolnych miejsc brak”, przycisnął guzik dzwonka i czekał. Wreszcie nad gankiem zapaliło się światło; po chwili zachrzęścił łańcuch u drzwi. Tymczasem zegar kościoła zaczął wybijać piątą. Jakby w odpowiedzi na ten sygnał Pym obrócił się na pięcie i jeszcze raz popatrzył na placyk. Na niezgrabną bryłę wieży kościoła baptyistów rysującą się na tle pędzących po niebie chmur. Na skręcające się na wietrze araukarie, dumę ozdobnych ogródków. Na puste podium dla orkiestry. Na przystanek autobusowy. Na ciemne plamy bocznych uliczek. I po kolei na każdą z bram.

- Ależ to pan, panie Canterbury - usłyszał za plecami zrzędlivy głos starszej pani, gdy w końcu otworzyły się drzwi. - Łobuz z pana. No tak, znowu uparł się pan, żeby jechać slipingiem. I czemu pan nie zatelefonował, na miłość boską?

- Dzień dobry - powiedział Pym. - Jak się pani miewa?

- Mniejsza z tym, jak się miewam, proszę pana. Proszę natychmiast wejść do środka, zaziębi się pan na śmierć.

Ale Pym najwyraźniej nie mógł oderwać oczu od brzydkiego, smaganego wiatrem placyku.

- Wydawało mi się, że Sea View jest na sprzedaż - zauważył, podczas gdy ona usiłowała wciągnąć go do środka. - Mówiła mi pani, że pan Cook wyprowadził się po śmierci żony, że nie chciał tam wejść za próg.

- No pewnie że nie. Był na coś uczulony. Proszę pana, niech pan natychmiast wchodzi do środka. Tylko buty proszę dobrze wytrzeć, a ja tymczasem zaparzę panu herbaty.

- To czemu w sypialni na górze się świeci? - pytał Pym, pozwalając wreszcie starszej pani zaciągnąć się na schody.

Jak wiele osób o skłonnościach do tyranii, panna Dubber była niewielkiego wzrostu. Była też stara, krucha i pokrzywiona; szlafrok opinał się i załamywał na jej garbatych plecach.

- Pan Cook wynajął komuś górne piętro. Wiem, bo Celia Venn mu je odmalowała. No proszę, cały pan Canterbury. -

Zamknęła drzwi na zasuwę. - Znika na trzy miesiące, wraca w środzku nocy, a potem martwi się światłem w czyimś domu. - Jeszcze jedna zasuwka. - Nigdy się pan nie zmieni. Sama nie wiem, skąd u mnie do pana tyle cierpliwości.

- A któż to jest Celia Venn?

- No przecież to córka doktora Venna. Zwykle maluje morze, ale widocznie... - Głos panny Dubber zmienił się gwałtownie. - Jak pan śmie? Proszę to natychmiast zdjąć.

Zamknawszy ostatnią zasuwkę, panna Dubber wyprostowała się, o ile mogła, i już miała z rezerwą uściskać przybysza, gdy jej spiczasta twarzyczka, zamiast, jak zwykle, przybrać marsowy wyraz - na który nikt nigdy nie dawał się nabrać - wykrzywiła się w grymasie przestachu.

- Co za okropny czarny krawat! Proszę mi śmierci do domu nie wnosić! Kto umarł?

Pym był człowiekiem przystojnym, wyglądał młodo, choć dystyngowanie. Wciąż jeszcze w sile wieku, ale nieco już po pięćdziesiątce, różnił się od mieszkańców miasteczka mniej flegmatycznym temperamentem. Panna Dubber lubiła go głównie za cudowny uśmiech, pełen ciepła i szczerości, dzięki któremu robiło się jej przy nim tak dobrze.

- Nikt taki, droga pani. Stary kolega z ministerstwa, z Whitehall. Nikt z bliskich.

- W moim wieku każda śmierć to zły znak, proszę pana. Jak się nazywał?

- Prawie go nie znałem - dodał Pym, chcąc zakończyć sprawę. Zdjął jednak krawat i wsunął go do kieszeni. - I na pewno nie powiem pani, jak się nazywał, bo zaraz zacznie pani grzebać w nekrologach.

Gdy to mówił, wzrok jego padł na otwartą książkę meldunkową leżącą na stoliku w holu, pod pomarańczowym kinkietem, który sam tam zamontował podczas ostatniej bytności.

- I co, ma pani teraz jakichś przyjezdnych? - zapytał, rzucając okiem na listę. - Może jakaś uciekająca parka, jakieś tajemnicze księżniczki? A co się stało z tymi dwoma kochasiami, którzy tu byli na Wielkanoc?

- To nie byli żadni kochasie - poprawiła go surowo panna

Dubber, kuśtykając w stronę kuchni. - Każdy z nich miał osobny pokój, a wieczorem zawsze oglądali piłkę w telewizji. Co to pan mówił?

Ale Pym milczał. Czasem to, co mówił, urywało się nagle, jak rozmowa kontrolowana przez jakiegoś wewnętrznego cenzora. Przewrócił jeszcze kilka kartek.

- Zresztą ja już chyba nie będę wynajmować. - Panna Dubber zapalała gaz i ciągnęła rozmowę przez otwarte drzwi kuchni. - Czasami, jak slysze dzwonek, siedzę sobie tu z Tobym i mówię: „Toby, ty otwórz”. No a on nie idzie, bo kot, nawet taki jak on, nie umie otwierać drzwi. I siedzimy sobie tak, siedzimy, póki nie usłyszymy, że ten ktoś sobie poszedł.

Spojrzała na niego szelmowsko, spod oka.

- Słuchaj no, Toby - zagadnęła figlarnie kota. - Czy ten nasz pan Canterbury nie jest zakochany, co, jak myślisz? Coś zanadto dziś żywy, i oczy mu się świecą. I tak jakby z dziesięć lat mu ubyło.

Ponieważ kot nie miał na ten temat nic do powiedzenia, zwróciła się do kanarka:

- Tylko że i tak nic by nam nie powiedział, no nie, ptasiu? Zawsze o wszystkim dowiadujemy się ostatni, co? Ćwir, ćwir?

- John i Sylvia. Podpis Nieczytelny, z Wimbledonu - odczytał Pym. Nadal wertował księgę meldunkową.

- Pan John robi komputery, pani Sylvia je programuje, zresztą jutro wyjeżdżają - powiedziała, niby to lekko urażona. Albowiem panna Dubber nie cierpiała, gdy jej przypominano, że poza ukochanym panem Canterburym jest na świecie ktokolwiek inny.

- A to co znowu?! - wykrzyknęła z gniewem. - Co pan... Proszę to zabrać!

Ale gniew był tylko udawany i wcale nie chciała, żeby „to” zabrał: gruby, biały - złoty szal z kaszmiru, jeszcze w pudełku z Harrodsa, owinięty harrodsowskim papierem, który chyba ucieszył ją bardziej od zawartości, bo najpierw zajęła się właśnie zielonkawą bibułą, wygładzając ją i chowając do pudełka. Potem odłożyła pudełko na półkę kredensu, tam gdzie trzymała swe największe skarby, i dopiero wtedy pozwoliła mu narzucić sobie szal na ramiona i uściśnąć ją - choć ani na chwilę nie

przestawała strofować go za taką rozrzutność.

Pym wypił z nią herbatę i w końcu ułagodził starszą panią. Zjadł kawałek ciasta, wychwalając je pod niebiosa, wbrew zapewnieniom, że jest przypalone; obiecał też naprawić zatyczkę zlewozmywaka, przetkać kolanko i przy okazji zerknąć na hydrofor na pierwszym piętrze. Gesty miał szybkie, nadskakujące; dobry humor, który od razu w nim dostrzegła, wciąż go nie opuszczał. Podniósł nawet Toby'ego i pogłaskał, czego nigdy przedtem nie robił, i co zresztą nie uczyniło na kocie najmniejszego wrażenia. I nawet wysłuchał najnowszych wieści o stareńkiej ciotce panny Dubber, choć zwykle na pierwszą wzmiankę natychmiast uciekał do łóżka. Wypytał ją też, jak zwykle, co wydarzyło się ostatnio w miasteczku, i z aprobatą wysłuchał całej listy skarg. Słuchając zaś odpowiedzi, co chwila to uśmiechał się do siebie bez powodu, to znów robił się senny i dyskretnie krył ziewnięcie za dłonią. Wreszcie odstawił filiżankę tak nagle, jakby zaraz miał biec na następny pociąg.

- Tym razem zostaną na dłużej, oczywiście jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu. Mam strasznie dużo pisania.

- Zawsze pan tak mówi. Ostatnim razem miał pan w ogóle zostać tu na stałe. A potem co? Już pana nie ma, zaraz do Whitehall, i to bez śniadania.

- Może nawet na dwa tygodnie. Wziąłem urlop, żeby popracować w spokoju.

Panna Dubber udała przerażenie.

- No a co będzie z naszym krajem? Co się stanie ze mną i z Tobym, kiedy u steru zabraknie naszego pana Canterbury'ego?

- A pani jakie ma plany? - zapytał przymilnie, sięgając po aktówkę. Podnosił ją z takim wysiłkiem, jakby była wypełniona ołowiem.

- Plany? - powtórzyła panna Dubber, uśmiechając się z takim zdumieniem, że aż rozkosznie. - W moim wieku nie robi się planów, proszę pana. Planowanie zostawiam Bogu. W końcu Jemu lepiej to idzie, prawda, Toby? I bardziej można na Niego liczyć.

- A ten rejs, na który ciągle się pani wybiera? Dawno się pani należy.

- Niech pan nie będzie śmieszny. To było dawniej. Teraz nawet mi się nie chce.

- Jak mówiłem, zapłacę.

- Wiem, wiem, porządny z pana człowiek.

- Wszystko pani załatwię. Najpierw przez telefon, potem zaprowadzę panią do biura podróży. Szczerze mówiąc, to już coś dla pani mam. Za tydzień wypływa z Southampton „Orient Explorer”. Zwolniło im się jedno miejsce. Wiem, bo pytałem.

- Czy pan aby nie próbuje mnie się pozbyć? Pym śmiał się przez chwilę.

- Proszę pani, to nie udałoby się ani mnie, ani nawet Panu Bogu - powiedział wreszcie.

Panna Dubber patrzyła, jak wspina się po wąskich schodach, podziwiając jego młodzieńczy krok, choć przecież dźwigał ciężką teczkę. Na pewno wybiera się na ważną konferencję. Teraz ten lekki krok dobiegał ją z pięterka, gdy kroczył korytarzem do ósemki, pokoiku z widokiem na plac - jeszcze się jej nie zdarzyło, żeby ktoś tak długo wynajmował jeden i ten sam pokój. Usłyszała, że otwiera drzwi i cicho zamyka je za sobą. Czyli to nikt bliski, pomyślała z ulgą, jakiś tam kolega z ministerstwa. Całe szczęście. Nie chciałyby, żeby się czymkolwiek martwił. Chciała, by wiecznie był taki, jakiego poznała, gdy wiele lat temu pojawił się na progu jej domu: prawdziwy dżentelmen szukający, jak to wtedy określił, schronienia przed telefonami (telefon akurat miała, stoi przecież w kuchni). Od tego czasu płacił regularnie co pół roku, z góry, i to gotówką, nawet nie brał rachunków. I jeszcze ten murek wzdłuż ścieżki w ogrodzie, który kazał postawić w jedno popołudnie, po to tylko, żeby jej zrobić niespodziankę - a ile musiał się pewnie naużerać z murarzem i tynkarzem! I sam, własnoręcznie, wprawił nowe dachówki po tej burzy w marcu. A te kwiaty, owoce i czekoladki, które przysyłał jej z najdziwniejszych stron świata, nigdy zresztą nie tłumaczył się, co tam robi! I pomagał jej przy śniadaniu, kiedy nabrała za dużo gości. I tak cierpliwie wysłuchiwał o utrapionym siostrzeńcu, który ciągle ma nowe pomysły i nigdy nic mu nie wychodzi; teraz jest na tapecie salon bingo w Exeter, tylko że najpierw trzeba spłacić wszystkie długi w banku... Z panem Canterburym (jak

się przedstawiał, powiedział, że nazywa się jak to miasto) za to nie ma najmniejszych kłopotów, ani poczty nie trzeba odbierać, ani nikt go nie odwiedza, nie gra na żadnym instrumencie, tyle co w radiu posłucha czasem jakichś obcojęzycznych stacji, i z telefonu też nie korzysta, chyba że dzwoni do któregoś sklepu, ale to przecież tylko miejscowe... Zresztą w ogóle mało o sobie mówi, nic właściwie, poza tym, że mieszka w Londynie, pracuje w Whitehall i dużo podróżuje. Ani dzieci, ani żony, ani rodziców, ani kochanek - byłby sam jak palec na świecie, gdyby nie jego kochana panna Dubber.

- Wystarczy, że palcem kiwnie, a już będzie miał tytuł szlachecki - powiedziała głośno do Toby'ego, unosząc szal do nosa i napawając się jego wełnianym zapachem. - Albo zostanie premierem i będziemy go widywać tylko w programach telewizyjnych.

Mimo hałasującego na dworze wiatru usłyszała stłumiony śpiew. Najpierw pomyślała, że ktoś śpiewa starą balladę w ogródku, potem, że to na placu ni stąd, ni zowąd ktoś postanowił odśpiewać psalm. Już była w połowie drogi do okna, żeby się wydrzeć, gdy uświadomiła sobie, że to przecież pan Canterbury. Tak ją to zdziwiło, że gdy otworzyła drzwi, by go upomnieć, przystanąła na chwilę, nasłuchując. Śpiew urwał się, panna Dubber uśmiechnęła się pod nosem. Teraz on słucha, co zrobię, pomyślała. Cały pan Canterbury.

Trzy godziny wcześniej, w Wiedniu, w oknie swej sypialni stała Mary Pym, żona Magnusa. Świat, na który spoglądała, w odróżnieniu od tego, który wybrał właśnie jej mąż, był oazą spokoju. Nie zasunęła kotar, nie włączyła światła. Ubrana była „do gości”, jak powiedziała by jej matka, i już od godziny stała tak w oknie w niebieskim bliźniaku, i czekała na samochód, na dzwonek u drzwi, na cichy odgłos męzowskiego klucza obracającego się w zamku. Teraz zaś wiedziała już, kto pojawi się pierwszy: nie Magnus, tylko Jack Brotherhood. Szczyt wzgórza wciąż pokrywał jeszcze wczesny jesienny śnieg; unoszący się księżyc wypełniał pokój czarnobiałymi smugami. W eleganckich willach wzdłuż alei gasły jeden po drugim światła dyplomatycznych kolacji. U pani ministrowej Meierhofowej skończył się już bal z okazji rozmów rozbrojeniowych (do tańca

grała czteroosobowa orkiestra), na którym miała też być Mary. U van Leymanów był szwedzki stół dla starej paczki z Pragi, z damami i bez zobowiązań. Tam też miała być, mieli tam pójść oboje, potem zgarnęliby niedobitków do siebie na szkocką z lodem - dla Magnusa wódka. Włączyliby gramofon, potańczyli mniej więcej do teraz albo i dłużej. Państwo Pym czują się w tych sferach jak ryby w wodzie, dokładnie tak jak w Waszyngtonie, gdy Magnus był zastępcą szefa placówki i gdy wszystko było w porządku. Mary smażyłaby jaja na bekonie, Magnus żartowałby, podkradał ludziom ich pomysły, nawiązywał nowe znajomości, w czym był zawsze tak dobry i tak niestrudzony. Przecież teraz, w Wiedniu, sezon w pełni: ludzie, którzy cały rok zamykają się w sobie, nagle zaczynają ekscytować się Bożym Narodzeniem oraz operą, i wyrzucają z siebie najróżniejsze niedyskretności.

To wszystko działo się jednak jakby tysiąc lat temu. A konkretnie do ostatniej środy. Teraz liczyło się tylko jedno: by Magnus zajechał przed dom swym pozostawionym na lotnisku geo metro i zdążył jednak przed Jackiem.

Dzwonił telefon, ten przy łóżku, po jego stronie. Nie leć, idiotko, wywalisz się. Magnus, kochanie, o Boże, żebyś to był ty, powiedz, że cię zaćmiło, ale że już ci lepiej. Nie będę pytać, co się stało, nigdy już nie będę w ciebie wątpiła. Podniosła słuchawkę i, nie wiedząc czemu, opadła na kołdrę, porywając notatnik i ołówek, na wypadek gdyby trzeba było zapisać numery telefonów, adresy, terminy, wskazówki. Nie zapytała: „Magnus?“, bo wtedy zdradziłaby się, jak bardzo się o niego boi. Nie powiedziała: „Halo?“, bo nie była pewna, czy jej głos nie zdradzi jej podekscytowania. Wyrecytowała cały numer po niemiecku, by wiedział, że to ona, że wszystko jest w porządku, że nie jest na niego zła i że wszystko jest świetnie, że może wracać. Nie usłyszy jednego złego słowa: jestem, czekam, jak zawsze.

- To ja - usłyszała męski głos.

Ale to wcale nie był „ja”, tylko Jack Brotherhood.

- O przesyłce dalej nic nie wiadomo? - zapytał donośnym, opanowanym głosem wojskowego.

- Nic. Gdzie jesteś?

- Będę za pół godziny, może nawet szybciej, jak się uda. Poczekaj na mnie, dobrze?

Kominek, pomyślała nagle. Kominek, o Boże. Zbiegła na dół, nie umiejąc już odróżnić małej katastrofy od wielkiej. Pokojówka ma dziś wychodne, zapomniałam dołożyć do ognia. Na pewno zgaśł. Ale nie - palił się wesoło, wystarczyło dorzucić jedno polano, by wczesny poranek zrobił się odrobinę mniej ponury. Dołożyła więc drewna; potem pokręciła się po pokoju, poprawiając kwiaty, popielniczki, tackę z whisky dla Jacka - by wszystko przynajmniej wyglądało idealnie, skoro było tak źle. Zapaliła papierosa, ale nie zaciągała się, tylko gniewnymi cmoknięciami warg wyrzucała z siebie dym. Potem naląła sobie bardzo dużo whisky, po to tu w końcu przyszła. Bo przecież gdyby tańczyli jeszcze z gośćmi, zdążyłaby wypić nie raz i nie dwa.

Mary była równie angielska jak jej mąż: włosy blond, silnie zarysowana szczęka, pewność siebie. Po matce odziedziczyła jedną jedyną, nieco komiczną manierę - zwracając się do innych, szczególnie obcokrajowców, pochylała się, symbolicznie zniżając do ich poziomu. W życiu była świadkiem bohaterских śmierci: dziadek padł pod Ypres, a jej jedyny brat, Sam, zginął, oczywiście, znacznie później, w Belfaście. Przez następny miesiąc wydawało się jej, że bomba, która rozniosła na kawałki jeepa Sama, zabiła też w niej duszę, choć to nie Mary umarła ze zgrzyoty, ale jej ojciec. Wszyscy mężczyźni z jej rodziny byli żołnierzami; w spadku po nich otrzymała spory kapitalik, zażarty patriotyzm i mały dworek w hrabstwie Dorset. Była nie tylko inteligentna, ale i ambitna. Umiała marzyć, pragnąć, pożądać. Ale życie jej toczyło się według reguł nakreślonych jeszcze przed jej urodzeniem, reguł potwierdzanych przez kolejną ofiarę, złożoną przez rodzinę na ołtarzu ojczyzny: mężczyźni idą na wojnę, kobiety leczą rany, noszą żałobę, żyją dalej. I według tych samych reguł toczyło się jej życie z Pymem, jej wiara, jej bankiety.

Aż do lipca poprzedniego roku, aż do wakacji na Lesbos. Magnus, wróć. Przepraszam za tę awanturę, którą urządziłam na lotnisku, kiedy się nie zjawiałeś. Przepraszam, że darłam się na dziewczynę z British Airways moim, jak to nazywasz,

ogólnowojskowym głosem. Przepraszam, że machałam na lewo i prawo paszportem dyplomatycznym. I przepraszam, tak bardzo przepraszam, że teraz zatelefonowałam do Jacka z pytaniem, gdzie, do diabła, jest mój mąż. Tak cię proszę, wróć i powiedz mi, co mam robić. Nic innego się nie liczy, tylko to. Wróć. Wróć jak najszybciej.

Ocknęła się z zamyślenia przed podwójnymi drzwiami do jadalni, więc pchnęła je, weszła do środka, włączyła żyrandole i trzymając w dłoni szklankę whisky, spojrzała na długi, pusty, lśniący jak tafla wody stół. Mahoń, osiemnasty wiek, ale kopia. Solidny mebel w domu kogoś na wysokim stanowisku, w sam raz na czternaście osób, nawet na szesnaście, jeśli na każdym z zaokrąglonych końców posadzić po dwie. Ten cholerny ślad po niedopałku, wszystkiego już próbowałam. Pamiętaj, powiedziała do siebie w duchu, skup się, przypomnij sobie. Ułóż całą historię w tym twoim tęym łebku, zanim Jack Brotherhood zadzwoni do drzwi. Wyjdź poza siebie i popatrz z zewnątrz. Ale już. Noc była zupełnie taka jak ta dziś, chłodna, ekscytująca. Jest środa, ich jour fixe. Księżyc też wygląda prawie tak samo, tylko że trochę go mniej. W sypialni przed lustrem stoi ta idiotka Mary Pym, która nie poszła na studia, bo oblała maturę. Nakłada rodzinne perły, zbyt szeroko rozstawiając nogi, a jej błyskotliwy mąż, Magnus, oksfordzki prymus, jest już we fraku i całuje ją w kark, robiąc przy tym ten numer à la bałkański żigolo, żeby wprawić ją w odpowiedni nastrój. Sam Magnus jest, oczywiście, w odpowiednim nastroju.

- Na miłość boską! - Mary mówi to ostrzej, niżby chciała. - Przestań się wygłupiać i zapnij mi tę cholerną sprzączkę.

Czasem wychodzi ze mnie rodzinny zawód żołnierza.

Magnus robi to, o co go poprosiła. Jak zawsze. Magnus umie naprawić i przynieść wszystko lepiej niż lokaj.

A kiedy już to robi, ujmuje w dłonie moje piersi i dyszy gorąco w mój nagi kark:

- Laleczko, może zdążymy jeszcze zgłębić tajemnicę bytu, co? Co?

Ale Mary jest teraz - jak zwykle - zbyt spięta, by nawet się uśmiechnąć, więc każe mu iść na dół sprawdzić, czy Herr Wenzel, wynajęty służący, przyniósł lód od Webera. Magnus

idzie. Jak zawsze. Magnus idzie nawet wtedy, gdy znacznie rozsądniej byłoby przyłożyć Mary w tyłek.

Wieczorny bankiet, raj dla dyplomaty. Jest tak świetnie, jak w Stanach, w Georgetown, kiedy Magnus dopiero zaczynał piąć się w górę jako zastępca szefa placówki - i nie zamierzał na tym poprzestać. Między nim a Mary wszystko się ułożyło; i tylko ta czarna chmura wisi dzień i noc nad Mary, nawet gdy o tym nie myśli, a ta czarna chmura to Lesbos, grecka wyspa na Morzu Egejskim, spowita mgłą przerażających wspomnień. Mary Pym, żona Magnusa, attaché do pewnych supertajnych spraw w angielskiej ambasadzie w Wiedniu, a nieoficjalnie szefa tutejszej placówki - o czym wiedzą wszyscy supertajni - siedzi z godnością naprzeciw niego przy stole oświetlonym srebrnymi świeczkami (część jej posagu), podczas gdy służba roznosi sarninę, duszoną dokładnie według przepisu jej mamy, dwunastu supertajnym członkom miejscowego środowiska wywiadowczego.

- O ile pamiętam, ma pan też córkę. - Mary z całą stanowczością przypomina ten fakt swą świetnie wytrenowaną niemczyzną jakiemuś nadradcy Dinkelowi z austriackiego Ministerstwa Obrony. - Ma na imię Ursula, prawda? Ostatnim razem, kiedy coś o niej słyszałam, studiowała pianistykę w konserwatorium. Proszę mi o niej opowiedzieć. - A ciszej, do przechodzącej właśnie służącej: - Frau Wenzel, pan Lederer, drugi po lewej, nie ma czerwonego sosu. Ale już!

Słuchając opowieści o rodzinnych sprawach pana nadradcy, Mary uznała, że wieczór jest przemiły. To właśnie starała się osiągnąć, nad tym pracowała od początku małżeństwa, w Pradze i w Waszyngtonie, gdy byli na dorobku, i teraz, gdy czekali na ten najważniejszy awans. Była szczęśliwa, trwała na posterunku, czarna chmura Lesbos prawie już się rozwiła. Tomowi nawet dobrze idzie w szkole, wkrótce przyjedzie z internatu na Boże Narodzenie. Magnus już wynajął domek w Lech, pojedą na narty, Ledererowie mówili, że też się tam wybierają. Ostatnio Magnus tak się stara, by się nie nudziła, i to mimo choroby ojca. Jeszcze zanim pojedą do Lech, zabierze ją do Salzburga na Parsifala, a jak go przycisnąć, to może nawet na bal w operze; w rodzinie Mary mówiono, że „dziewczyna lubi

sobie poskakać". A jak się uda, to Ledererowie na bal też się z nimi wybiorą, dzieci mogą spać razem, wezmą wspólną opiekunkę. Ostatnio z Magnusem jest jakoś tak, że lepiej w większym towarzystwie. Zobaczywszy jego twarz przez płomienie świec, rzuciła mu uśmiech, gdy pochylał się do tej idiotki po swej lewej ręce. Mówiła mu w ten sposób: „Przepraszam, że byłam wcześniej taka drażliwa”, on odpowiadał: „Już się nie gniewam”. Jak sobie pójdą, mówiła mu dalej, będziemy się kochać, nie upijemy się, będziemy się kochać, wszystko będzie w porządku.

I wtedy właśnie usłyszała dzwonek telefonu. Dokładnie wtedy, gdy słała ku niemu te pełne miłości myśli, gdy tak rozpaczliwie cieszyła się nimi. Dzwonek zabrzączał raz, drugi, trzeci, już zaczynała się złościć, gdy usłyszała z ulgą, że odebrał Herr Wenzel. W duchu przepowiadała sobie jego słowa: Herr Pym oddzwoni, chyba że to coś bardzo ważnego. Herr Pym podejdzie do telefonu, tylko jeżeli to coś niecierpiącego zwłoki. Herr Pym jest teraz o wiele zbyt zajęty opowiadaniem kawału. Świetnie mówi po niemiecku, co bardzo irytuje wszystkich w ambasadzie i przyjemnie zaskakuje Austriaków. Herr Pym umie też naśladować akcent austriacki albo, i to jest jeszcze śmieszniejsze, szwajcarski - to jeszcze z czasów gdy chodził tam do szkoły. Herr Pym umie też ustawić rząd butelek i stukając w nie nożem, dzwonić nimi tak, jak dzwoni stara szwajcarska ciuchcia; on wtedy wywołuje po kolei nazwy stacji kolejowych między Interlaken a Jungfrauoch, tak doskonale parodiując głos zawiadowcy, że słuchacze zalewają się łzami nostalgicznej radości.

Mary uniosła na chwilę wzrok ku drugiemu końcowi stołu. A Magnus - jak mu idzie to co robi, oprócz flirtowania z własną żoną?

A szło mu świetnie. Po jego prawej ręce posadzono okropną panią nadradczynię, babę tak brzydką i źle wychowaną - nawet w porównaniu z innymi dygnitarskimi żonami - że milkli przy niej najtwardsi faceci z ambasady. Ale Magnus działał na nią jak słońce na kwiatek; po prostu nie mogła się na niego dość napatrzeć. Czasem, gdy Mary patrzyła, jak Magnus gra, robiło się jej go żal, że tak do końca się poświęca. Pragnęła dla niego

odrobiny spokoju, choćby na chwilę. Chciała, by czuł, że już sobie na ten spokój zasłużył, że nie musi ciągle dawać, dawać z siebie wszystkiego. Pomyślała, że gdyby naprawdę był dyplomata, już dawno zostałby ambasadorem. Grant Lederer powiedział jej kiedyś w zaufaniu, że w Waszyngtonie na wszystko największy wpływ miał właśnie Magnus, a nie szef placówki czy nawet ten okropny ambasador. Wiedeń - oczywiście wszyscy go tu bardzo szanują, i też ma tu wiele do powiedzenia - był jednak krokiem wstecz, co do tego nie ma dwóch zdań. I zresztą tak miało być, ale niech tylko wszystko się wyjaśni, Magnus jeszcze pokaże, co potrafi, trochę cierpliwości. Mary czasem martwiła się, że jest dla niego za młoda, że go hamuje w rozwoju. Po lewej ręce Magnusa siedziała równie jak pani nadradczyni zauroczona pani pułkownikowa, której mąż, Oberst Mohr, pracował w Dziale Szyfrów w Wiener Neustadt. Jednak największą zdobyczą Magnusa był jak zwykle Grant Lederer III, „czarna bródka, czarne myśli”, jak mówił o nim Magnus, który sześć miesięcy temu przejął dział prawny ambasady amerykańskiej. Tak naprawdę to nie on przejął dział, tylko dział jego, bo Grant, choć ich dawny znajomy z Waszyngtonu, był w CIA człowiekiem nowym.

- Grant to męczykicha - narzekał na niego Magnus, jak narzekał na wszystkich znajomych. - Raz na tydzień sadza nas za stołem i wymyśla nowe określenia na coś, co robimy bez problemu od dwudziestu lat.

- Ale jest taki zabawny - przypominała mu wtedy Mary. - A Bee to taka laska.

- Grant to alpinista - powiedział przy innej okazji Magnus. - Ustawia nas gęsiego, żeby potem po naszych plecach wleźć na szczyt. Zobaczysz.

- Ale przynajmniej jest inteligentny, kochanie. Przynajmniej potrafi dotrzymać ci kroku, no nie?

No bo, oczywiście, w światku dyplomatycznym tak trudno o prawdziwych przyjaciół, że Pymowie i Ledererowie natychmiast stali się zgranym kwartetem. Narzekania Magnusa wynikały z tego, że tak właśnie okazywał sympatię: wtykając komuś szpilki i zarzekając się, że już nigdy się do tego kogoś nie odezwie. Córka Ledererów, Becky, była rówieśniczką Toma, i była to

wielka miłość od pierwszego wejrzenia; Bee i Mary też natychmiast przypadły sobie do gustu. Jeśli zaś chodzi o Bee i Magnusa, to, szczerze mówiąc, Mary zastanawiała się czasem, czy nie są dla siebie odrobinę zbyt przyjacielscy. Z drugiej strony, wiedziała już, że w tego typu „kwadratach” istnieje zawsze silna więź „po przekątnej” i że wcale nie musi zaraz do czegoś dojść. A nawet gdyby, to, mówiąc jeszcze szczerzej, Mary nie miałyby nic przeciwko zemście z Grantem, którego lekko zawoalowana uczuciowość coraz bardziej ją podniecała.

- Mary, na zdrowie! Wspaniałe przyjęcie. Jest cudownie! To Bee; znowu wznosi toast na cześć swojej kochanej Mary.

Ma diamentowe kolczyki i suknię z dekoltem, na który Mary gapiała się przez cały wieczór. Troje dzieci i taki biust - to wręcz niesprawiedliwe. W odpowiedzi Mary podnosi kieliszek. Zauważa, że Bee ma palce stenotypistki - lekko zakrzywione na końcach.

- No nie, Grant, stary, daj spokój - mówił teraz Magnus na wpół poważnym, na wpół kpiarskim tonem. - Jeżeli wszystko, co ten wasz dzielny pan prezydent mówi o krajach komunistycznych, to prawda, to jak, u diabła, można się z nimi w ogóle dogadać w jakiegokolwiek sprawie?

Kątem oka Mary dostrzegła, że błazeński uśmiech Granta rozciąga się tak, jakby miał zaraz pęknąć w podziwie dla dowcipu Pyma.

- Magnus, gdyby to tylko ode mnie zależało, posadziłbym cię na tym wielkim dywanie w ambasadzie z shakerem martini w jednej ręce i amerykańskim paszportem w drugiej, i przeniósłbym cię w magiczny sposób do Waszyngtonu, żebyś kandydował na prezydenta z ramienia demokratów.

- Magnus na prezydenta? - zamruczała Bee, prostując się i wypychając biust do przodu, jak gdyby ktoś częstował ją czekoladką. - Pomysł wyrotowy, ale cudowny.

Wtedy właśnie pojawił się ostentacyjnie niezgrabny Herr Wenzel. Składając nad Magnusem wyszukany ukłon, szepnął mu do ucha, że - stokrotnie przepraszam, Ekscelencjo - ważny telefon z Londynu - proszę o wybaczenie, panie radco.

Magnus wybaczył. Magnus zawsze wszystkim wybacza. Magnus zręcznie wyminął nieistniejące przeszkody na drodze

do drzwi, uśmiechając się i przepraszając na lewo i prawo, podczas gdy Mary podniosła na jeszcze wyższy poziom rozmowę, by go osłonić. Ale gdy zamknęły się za nim drzwi, nastąpiło coś nieprzewidzianego: Grant Lederer spojrział na Bee, a Bee spojrziała na Granta. Mary dostrzegła to i aż zamarła.

O co chodzi? Co znaczyło to jedno, nieostrożne spojrzenie? Czy Magnus naprawdę sypia z Bee? Czy Bee przyznała się Grantowi? Czy też po prostu w tej jednej chwili połączył ich niepohamowany podziw dla gospodarza? Mimo wszystko, co się potem wydarzyło, Mary miała własną odpowiedź na te pytania: nie chodziło o seks, miłość, zazdrość czy przyjaźń. To był spisek. Mary wiedziała, że jej się nie przywidziało. Tamci dwoje byli jak para morderców umawiająca się, że swego czynu dokonają „wkrótce” i że to „wkrótce” dotyczy Magnusa. Wkrótce go dopadniemy, wkrótce skończy się jego tupet, wkrótce odzyskamy twarz. Mary pomyślała: Widzę, jak go nienawidzą. Tak pomyślała wtedy, ale myślała tak nadal.

- Grant to Kasjusz, który tylko szuka swego Cezara - powiedział kiedyś Magnus. - Jeśli szybko nie znajdzie kogoś, kogo mógłby zasztyletować, Agencja da sztylet komu innemu.

Ale w dyplomacji nic nie trwa wiecznie, wszystko jest względne, więc morderczy spisek też nie jest powodem, by zaburzać tok rozmowy. Zawzięcie konwersując o dzieciach i zakupach, nie przestając doszukiwać się wytłumaczenia „złego oka” Ledererów - i przede wszystkim wyczekując na powrót Magnusa, by znów czarował swój koniec stołu w dwóch językach naraz - Mary znalazła również czas, by zastanawiać się, czy ten ważny telefon z Londynu to ten, na który jej mąż czekał od kilku tygodni. Wiedziała od jakiegoś czasu, że ma na tapecie coś ważnego, i miała nadzieję, że chodzi o obiecany powrót do łask.

I dokładnie w chwili, gdy prowadziła rozmowę i równocześnie modliła się bezgłośnie o powodzenie męża, poczuła na swych nagich plecach pewny dotyk jego palców, którymi musnął ją, powracając na miejsce. Nawet nie usłyszała, że wchodzi, choć cały czas tego właśnie nasłuchiwała.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zawołała za nim,

całkiem otwarcie, bo przecież Pymowie to tak przerażająco szczęśliwe małżeństwo.

- Jejmość dobrze się czuje? - usłyszała pełen podtekstów głos Granta. - Nie kicha, nie kaszle?

Uśmiech Pyma był promienny i spokojny, ale, o czym Mary wiedziała doskonale, to akurat nic jeszcze nie oznaczało.

- Jak zwykle, drobne nieporozumienie w Whitehall - odparł z cudowną niedbałością. - Oni chyba mają tu wtyczkę, która donosi na mnie za każdym razem, kiedy mamy gości. Kochanie, czy naprawdę nie mamy już więcej bordeaux? Ale z nas sknery, doprawdy...

Och, Magnus, pomyślała z rosnącym podnieceniem, szatan z ciebie.

Nadszedł czas, by panie poszły na górę zrobić siusiu, nim podadzą kawę. Pani nadradczyni, pragnąca uchodzić za nowoczesną, miała ochotę stawić opór, ale jedna groźna mina Magnusa wystarczyła, by natychmiast ruszyła z miejsca. Za to Bee Lederer, która zwykle o tej porze stawiała się najgroźniejszą z amerykańskich feministek, poszła posłusznie jak baranek, wyprowadzona stanowczo przed swego drobnego, seksownego mężusia.

- No, poncz, nareszcie - mówi z satysfakcją Jack Brotherhood. Tak przynajmniej wyobraża sobie Mary.

- Wcale nie robię ponczu.

- To czemu tak się trzęsiesz, kochanie?

- Nie trzęsę się, tylko nalewam sobie drinka i czekam, aż się zjawisz. Wiesz, że zawsze się trzęsę.

- To mi też nalej, też bez niczego. I mów, jak było, bez kwiatków, bez upiększeń.

Masz, udław się.

Wieczór kończy się równie wspaniale, jak się zaczął. W holu Mary i Magnus pomagają gościom włożyć płaszcze. Mary nie może nie zauważyć, że Magnus, którego całe życie jest służbą, napina mięśnie ramion i zgina palce przy każdym skutecznie naciągniętym rękawie. Magnus namawiał co prawda Ledererów, żeby zostali, ale Mary już wcześniej zapobiegła temu, wyznając Bee - z lekko lubieżnym chichotem - że Magnus musi iść do łóżka. Hol pustoszeje. Dyplomatyczni Pymowie, nie bacząc na

chłód - w końcu są Anglikami - dzielnie trwają na progu i machają gościom na pożegnanie. Mary obejmuje talię męża i ukradkiem wtyka kciuk za pasek spodni, kierując go wzdłuż przedziałka między pośladkami. Magnus nie opiera się. Magnus nigdy się nie opiera. Mary przytula głowę do jego ramienia. Szepcze mu czułe słówka w to samo ucho, w które Herr Wenzel przekazał wiadomość o telefonie. Ma nadzieję, że Bee widzi, jak się migdałą. W świetle lampki nad drzwiami - Mary aż tryskająca młodością w tej długiej błękitnej sukni, Magnus tak dystyngowany w czarnym fraku - muszą wyglądać jak uosobienie harmonijnego pożycia. Ostatni wychodzą Ledererowie.

- Niech mnie szlag, Magnus, już nie pamiętam, kiedy tak się dobrze bawiłem - mówi Grant ze staroświeckim, lekko pedalskim oburzeniem. W ślad za ich samochodem rusza drugi, z obstawą. Stojąc obok siebie, nasi bardzo angielscy Pymowie łączą się w pogardzie dla amerykańskich obyczajów.

- Bee i Grant są tacy fajni - mówi Mary. - Tylko czy ty zgodziłbyś się wszędzie jeździć z obstawą, nawet gdyby Jack ci to zaproponował?

W pytaniu tym jest coś więcej niż tylko zwykła ciekawość. Ostatnio już kilkakrotnie zastanawiała się, czego szukają jacyś nieznajomi, którzy szwendają się przed ich domem bez wyraźnego powodu.

- Za cholerę - odpowiada Pym, wzdragając się. - Chyba że mieliby mnie chronić przed Grantem.

Mary cofa kciuk i trzymając się pod rękę, wracają do środka.

- Wszystko w porządku? - pyta, myśląc o telefonie w trakcie przyjęcia.

On odpowiada, że w porządku, jak najbardziej.

- Mam na ciebie chrapkę - szepcze śmiało Mary, muskając dłonią jego udo. Pym uśmiecha się, kiwa głową i rozluźnia krawat, jakby już chciał się zabrać do dzieła. W kuchni Wenzlowie najchętniej już by poszli. Mary wyczuwa dym papierosowy, ale postanawia nie reagować, bo się napracowali. Jeszcze na łożu śmierci będzie pamiętała, że podjęła świadomą decyzję nierobienia awantury o palenie papierosów - kiedyś w życiu była aż tak zrelaksowana, Lesbos było od niej tak daleko,

miała takie poczucie spełnionego obowiązku, że nie chciała zajmować się czymś tak trywialnym. Pym już dla Wenzlów przygotował pieniądze w kopercie, i to z sutym napiwkami. Mary myśli pobłażliwie, że Magnus dałby napiwek, nawet gdyby miał tylko pięć funtów przy duszy. Tę jego hojność też pokochała, choć jej bardziej oszczędne, arystokratyczne wychowanie przekonuje ją, że Magnus przesadza. Ale Magnus prawie nie bywa prostacki. Mary nawet zastanawia się czasem, czy on przypadkiem nie wydaje więcej, niż zarabia, i czy nie powinna go wspomóc własnymi odsetkami. Wenzlowie wychodzą. Jutro mają inne przyjęcie u kogo innego. W pełnej harmonii państwo Pymowie ruszają do salonu, to trzymając się za ręce, to puszczając, rozpoczynając rytualną grę wstępną od drinka na dobranoc i opłotkowania gości po przyjęciu. Pym nalewa whisky dla Mary, sobie wódkę, ale wbrew zwyczajowi nie zdejmuje fraka. Tymczasem Mary pieści go coraz bardziej niedwuznacznie. Zdarza się czasem, że nie udaje im się nawet dotrzeć do sypialni na piętrze.

- Sarnina była genialna - mówi Pym. Zawsze od tego zaczyna: od gratulacji, wiecznie komuś czegoś gratuluje.

- I tak wszyscy myśleli, że robiła ją Frau Wenzel - mówi Mary, szukając palcami jego rozporoka.

- To niech ich szlag - mówi uprzejmie Pym, jednym machnięciem ręki wysyłając cały ten dyplomatyczny blichtr do diabła. Przez chwilę Mary obawia się, czy Magnus nie wypił o jednego za dużo. Ma nadzieję, że nie, bo ona wcale nie udaje. Wręcz przeciwnie, bardzo go pragnie po tych wszystkich lękach, które przeżywała w trakcie przyjęcia. Magnus podaje Mary szklankę, unosi swoją i przepija do niej w milczeniu: dobra robota, mała. Uśmiecha się do niej, jego nieruchome kolana prawie dotykają jej kolan. Mary wyczuwa w nim napięcie i dlatego pragnie go jeszcze mocniej, tu i teraz, czego daje mu widoczne dowody ruchami dłoni.

- Grant Lederer ma numer trzeci - mówi, wracając na chwilę myślą do morderczego spojrzenia tamtych - to ciekawe, jacy byli dwaj pierwsi.

- Jestem wolny - mówi Pym.

Mary nie wie, o co mu chodzi. Myśli, że może to ma być

jakiś dodatek do jej żartu.

- Nie rozumiem - mówi nieco wstydliwie. Za głupia jestem dla niego, biedaka. Nagłe, straszne podejrzenie. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że cię wylali? - mówi.

Magnus kręci głową.

- Rick nie żyje - wyjaśnia.

- Kto? - Jaki Rick? Rick z Berlina? Z Langley? Jaki Rick nie żyje, że Magnus jest wolny, może Magnus wreszcie dostanie awans?

Magnus zaczyna jeszcze raz. Tłumaczy spokojnie, bo biedaczka najwyraźniej nie rozumiała, pewnie był to dla niej męczący wieczór.

- Rick, mój ojciec. Umarł na atak serca dziś, o szóstej wieczór, czyli wtedy, kiedy się przebieraliśmy na party. Myśleli, że doszedł do siebie po poprzednim, no ale najwyraźniej się mylili. Dzwonił Jack Brotherhood z Londynu. Dlaczego w kadrach akurat jemu kazali mi to przekazać, zamiast powiadomić mnie bezpośrednio, tego pewnie nie dowiemy się nigdy. No ale jest, jak jest.

Mary dalej nie rozumie.

- Jak to: jesteś wolny?! - woła impulsywnie, bo puściły w niej wszelkie hamulce. - Wolny od czego? - Potem, bardzo rozsądnie, zaczyna płakać, na tyle głośno, że starczy za dwoje. Na tyle głośno, by zagłuszyć własne, przerażające pytania z Lesbos.

I teraz też nie jest pewna, czy wolałaby się rozplakać przy Jacku Brotherhoodzie, dzwoniącym właśnie do drzwi trzema krótkimi przyciśnięciami dzwonka, które pobrzmiwają w całym domu jak wojskowa pobudka.

Pym zamasyżył zasunął zasłony i włączył światło. Przestał śpiewać chwilę wcześniej. Było mu bardzo raźnie. Z lekkim sapnięciem postawił teczkę na ziemi, po czym z zadowoleniem rozejrzał się po pokoju, bez pośpiechu witając się ze wszystkim po kolei. Z mosiężną ramą łóżka. Dzień dobry. Z haftem na ścianie, namawiającym go, by wierzył w Jezusa - próbowałem, ale Rick ciągle mi przeszkadzał. Z sekretarzykiem. Z bakelitowym radiem, przy którym słuchano jeszcze staruszką Winstona Churchilla. Pym niczego pokojowi nie narzucił, był

jego gościem, nie kolonizatorem. Sam nie wiedział, co tak go tu ciągnęło w różnych wcieleniach i od zamierzchłych czasów. Nawet teraz, gdy wszystko było już jasne, gdy zaczynał znowu o tym myśleć, robił się senny. Co mnie tu ciągnęło? Chyba tylko to: każda samotna podróż, każda wędrówka bez celu po obcych miastach i ten trawiony bezproduktywnie czas. Pociągi; poszukiwanie czegoś; ucieczka przed jeszcze czymś innym. Kiedy Mary została w Berlinie - a może w Pradze? - przeniesiono ich tam przecież parę miesięcy wcześniej, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że jeżeli nie da plamy, następny będzie Waszyngton. Tom - Boże, Tom dopiero co przestał siusiać w pieluszki. Pym pojechał do Londynu na jakąś konferencję - nie, nie na konferencję, na trzydniowy kurs najnowszych metod łączności w tym parszywym ośrodku niedaleko Smith Square. Po skończeniu kursu pojechał taksówką na dworzec Paddington. Nie myślał; kierował się wyłącznie instynktem. Głowę miał nabitą bezużytecznymi wiadomościami o anodach i transmisjach. Wskoczył do pierwszego lepszego pociągu; wysiadł w Exeter, gdzie zrobił to samo. Czy można być bardziej wolnym niż wtedy, gdy nie wie się ani po co, ani dokąd się jedzie? Lekko oprzytomniał w jakiejś zabitej deskami dziurze, zobaczył autobus z nazwą miejscowości, która coś mu mówiła, więc wsiadł.

Znalazł się w krainie emerytów. Była niedziela, stare babcie jechały do kościoła z drobnymi na tacę w palcach rękawiczek. Jadąc na górnym piętrze autobusu jak w statku kosmicznym, patrzył z przyjemnością na kominy, kościoły, wydmy i dachy kryte kamienną dachówką. Wszystko wyglądało tak, jakby zaraz miało zostać wzięte żywcem do nieba. Autobus zatrzymał się, konduktor powiedział: „Dalej nie jedziemy, proszę pana”. Pym wysiadł z dziwnym poczuciem dobrze wykonanego zadania. Jestem na miejscu, pomyślał. Świeciło słońce, na świecie oprócz niego nie było żywej duszy. Jedno tylko było pewne: że schody do domku panny Dubber są wyszorowane do czysta tak, że aż żal po nich chodzić. Z wnętrza domu dochodził psalm, zapach pieczonego kurczaka, lawendy, szarego mydła i pobożności.

- Proszę sobie iść! - zawołał wtedy do niego cienki głos. -

Stoję na drabinie, nie mogę dosięgnąć bezpiecznika i jeżeli jeszcze bardziej się wyciągnę, to chyba się przerwę!

Pięć minut później miał już ten pokój - na zawsze. Znalazł schronienie, w którym mógł się schronić przed wszystkimi swymi schronieniami. „Canterbury. Nazywam się Canterbury, tak jak to miasto” - powiedział, gdy już naprawił stopkę i zmuszał pannę Dubber do przyjęcia zaliczki. W ten sposób miasto Canterbury znalazło swój prawdziwy dom.

Teraz, podszedłszy do sekretarzyka, Pym odsunął wieko i zaczął opróżniać kieszenie na skajowy blacik - taki remanent przed kolejną zmianą osobowości i miejsca pobytu, takie spojrzenie wstecz na to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby. A więc: paszport na nazwisko Pym, Magnus Richard. Oczy: zielone, włosy: szatyn, zawód: pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jej Królewskiej Mości, data urodzenia: zbyt dawno temu. Przeżywszy tyle lat w świecie szyfrów i pseudonimów, zawsze odczuwał pewien wstrząs, widząc własne nazwisko na dokumencie podróży, tak nagie, tak wprost ujawnione. Teraz portfel z cielęcej skóry, prezent na Gwiazdkę od Mary. Po lewej stronie karty kredytowe, po prawej dwa tysiące szylingów austriackich i trzysta funtów brytyjskich w starych banknotach o różnych nominałach - starannie dobrane pieniądze na wypadek konieczności ucieczki, teraz łatwiej po nie sięgnąć na biurku. Kluczyki od geo, drugi komplet ma Mary. Zdjęcie z Lesbos, na nim szczęśliwa rodzinka. Zapisany na kartce adres spotkanej gdzieś i zapomnianej dziewczyny. Odłożył portfel i kontynuując remanent, wyciągnął z tej samej kieszeni zieloną kartę pokładową z poprzedniego wieczoru na lot British Airways do Wiednia. Zaintrygowała go. To właśnie wtedy pan Pym wybrał wolność, pomyślał. Był to zapewne jego pierwszy całkowicie samolubny uczynek w całym życiu, może poza chlubnym wyjątkiem wynajęcia pokoju, w którym się teraz znajdował - gdy pierwszy raz powiedział „chcę”, zamiast „powinienem”.

Podczas kremacji, która odbyła się na spokojnym przedmieściu, zaczął podejrzewać, że garstka żałobników i tak powiększyła się o czyichś szpicli. Dowodów nie miał żadnych; nie mógł też, jako najbliższy krewny zmarłego, przepytywać

każdego z dziewięciorga obecnych. Zresztą Rick, na pokrętnych ścieżkach swego życia, na pewno spotykał ludzi, których Pym ani nie widział na oczy, ani nie miał na to ochoty. Podejrzenia jednak nie chciały się rozwiać, narastały w drodze na Heathrow i przemieniły się w niemal całkowitą pewność w wypożyczalni, gdzie zwracał auto, a dwaj smutni panowie coś za długo wypełniali formularze. Nie przejął się; nadał bagaż do Wiednia i, trzymając w dłoni tę oto kartę pokładową, przeszedł przez kontrolę paszportową i zasiadłszy w brudnej poczekalni, zasłonił się „Timesem”. Gdy z głośników poinformowano oczekujących, że lot będzie opóźniony, ukrył irytację, ale tak nie do końca. Gdy wreszcie zaczął się boarding, posłusznie pospieszył ustawić się w niezdyscyplinowanej kolejce do wyjścia, istny wzór odpowiedzialności i kultury. Choć nie mógł się odwrócić, wyczuł, że tamci dwaj, jego „plaster”, odklejają się na herbatę i ping-ponga w bazie: teraz niech się nim zajmą te sukinsyny w Wiedniu, szerokiej drogi. Skręcił za róg korytarza i zbliżył się do ruchomego chodnika, ale nie wszedł nań, tylko zatrzymał się, niby to rozglądając się za zapóźnionym towarzyszem podróży, i niepostrzeżenie zaczął przesuwać się pod prąd napierającego tłumu pasażerów. Po chwili już pokazywał paszport na stanowisku na przylotach, gdzie powitano go dyskretnym „Witamy w kraju, sir”, należnym niektórym tylko numerom seryjnym. Ostatnim, i to wymyślonym naprędce środkiem ostrożności było udanie się do stanowiska odprawy lotów krajowych i zdręczanie dość zajętej urzędniczki ogólnymi pytaniami o loty do Szkocji. Nie, nie do Glasgow, tylko do Edynburga. Albo wie pani co, niech mi pani też poda loty do Glasgow. O, ma to pani na kartce, fantastycznie. Serdecznie dziękuję. A bilet to też u pani? Aha, tam. Doskonale.

Pym podarł kartę pokładową w drobne kawałki i wrzucił je do popielniczki. Ile z tego zaplanowałem, ile zaimprovizowałem? Nieważne. Zresztą teraz muszę działać, a nie medytować. Bilet autobusowy z Heathrow do Reading. Całą drogę padało. Bilet kolejowy w jedną stronę z Reading do Londynu, nie użyty, kupiony dla zatarcia śladów. Bilet na ślipping Reading - Exeter, wypisany w pociągu; kupując go u pijanego konduktora, miał na głowie beret i trzymał twarz w cieniu. Bilety też podarł na

kawałeczki i dołożył na kupkę w popielniczce, którą z przyzwyczajenia chyba, a nie z jakiegoś bardziej symbolicznego powodu, podpalił zapalką i potem usilnie wpatrywał się w ogień. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie spalić też paszportu, ale coś go przed tym powstrzymywało; wydał się sobie wtedy staroświecki, ale sympatyczny. Zaplanowałem wszystko - i to ja, który przez całe życie nie podjąłem świadomie ani jednej decyzji. Wszystko to zaplanowałem w dniu, w którym znalazłem się w Firmie, tylko że planowałem to częścią umysłu, której istnienia nawet nie podejrzewałem do śmierci Ricka. Zaplanowałem wszystko, poza wysłaniem panny Dubber w rejs.

Płomienie opadły, rozgrzebał popiół. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Wyciągnął z szuflady i włożył stary, zapinany na guziki sweter, zrobiony na drutach przez pannę Dubber.

Jutro znowu z nią pogadam, pomyślał. Może wymyślę coś, co jej się bardziej spodoba. Albo wybiorę dogodniejszą chwilę. Panna Dubber musi koniecznie wynieść się na chwilę gdzieś, gdzie nie będzie się zamartwiać.

Poczuł, że musi się czymś zająć, więc pogasił światła i szybko podszedł do okna. Rozchylił zasłony i zaczął metodycznie, okno za oknem, obserwować budzący się wraz z porankiem placyk, sprawdzając, czy nikt się za nim nie przywłókł. Żona pastora baptystów, jeszcze w kraciastym szlafroku, zdejmuje w kuchni ze sznura suszący się na dzisiejszy mecz strój piłkarski syna. Pym szybko odsuwa się w głąb pokoju, ale błysk metalu, który dostrzegł kątem oka przy wejściu do kościoła, to tylko rower, przypięty łańcuchem do araukarii przez pastora, chroniącego w ten sposób bliźnich przed złamaniem dziesiątego przykazania. Przez matową szybę w oknie Sea View widać mydlącą sobie włosy kobietę w szarej halce - a więc Celia Venn, córka doktora, spodziewa się dziś gości. W sąsiednim domu, pod ósemką, pan majster Barlow ogląda już z żoną Kawę czy herbatę. Wzrok Pyma systematycznie przenosi się z okna na okno i w końcu pada na zaparkowaną przy chodniku furgonetkę. Po chwili otwierają się w niej drzwi od strony pasażera, z samochodu wymyka się dziewczęca postać i błyskawicznie skrywa się w bramie

oznaczonej numerem 28. Ella, córka przedsiębiorcy pogrzebowego, szybko poznaje życie.

Pym zasunął kotary i znów zapalił światło. Będę tu żył we własnej strefie czasowej. Walizeczka, dziwnie sztywna przez swą stalową ramę, stała tam, gdzie ją postawił. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że każdy prawie, kogo znał, nosił inną walizkę. Wszystkie walizki Ricka były ze świńskiej skóry, walizka Lippsie - tekturowa, a Stokrotki - paskudna, szara, zadrukowana czarnymi kropkami, żeby wyglądała jak skórzana. No a Jack, kochany Jack - ten to miał piękną, zabytkową teczkę, wierną mu jak pies, którego musiał zastrzelić.

Bo widzisz, Tom, niektórzy ludzie zapisują swoje zwłoki klinikom anatomii. Ręce dostaje jedna grupa studentów pierwszego roku medycyny, serce druga, oczy trzecia - dla każdego coś miłego. Za to twój ojciec ma tylko swoje tajemnice, one go zrodziły, one stały się jego przekleństwem.

Ciężko usiadł na krześle przed sekretarzykiem.

Muszę opowiedzieć wszystko jak najprościej, powtórzył sobie. Całą prawdę, słowo w słowo. Żadnych uników, żadnych zmyśleń, żadnych upiększeń. Nic poza opisem mojej własnej, uwolnionej, przecenionej duszy.

Opowiedzieć wszystko wszystkim - i nikomu. Wszystkim wam, do których należę, którym oddałem się tak nierozważnie i tak bez reszty. Moim opiekunom i mocodawcom. Mojej Mary i wszystkim innym. Każdemu, kto kiedykolwiek otrzymał jakąś część mnie, kto spodziewał się więcej - i się rozczarował. I temu, co ze mnie jeszcze zostanie, gdy już rozdram się całkiem na lewo i prawo.

Wszystkim moim wierzycielom i moim spółkom z całkowicie ograniczoną odpowiedzialnością spłacam długi i narosłe przez lata odsetki, które tak często śniły się Rickowi. Kimkolwiek był dla was Magnus Pym, kimkolwiek byliście czy jesteście wy, przedstawiam niniejszym ostatnią z licznych jego wersji, jakie znaliście, myśląc, że go znacie.

Pym odetchnął głęboko.

Takie coś robi się raz w życiu. Raz a dobrze. Żadnych poprawek, wygładzeń, przemilczeń. I żadnych gdybań. Jak truteń - raz, a potem śmierć.

Ujął w palce pióro, położył przed sobą pojedynczą kartkę papieru. Szybko napisał kilka linijek - byle co, cokolwiek mu przyszło do głowy. Jaki Jack, taki szpieg. Stokrotka rosła polna, a nad nią szumiał gaj. Wybiera się panna Dubber na morze. Umarł Rick, już umarł, i już się nie rucha. Riki - tiki - tawi - czik.

Jego dłoń płynnie przesuwiała się po papierze, pisał bez skreśleń, bez wahania. Widzisz, Tom, czasem trzeba coś zrobić, by zrozumieć, czemu się to robi. Czasem nasze czyny to pytania, nie odpowiedzi.

Rozdział 2

Jest więc dziś, Tom, mroczno i wietrznie, jak to zwykle bywa w tych stronach w dzień święty. Z dzieciństwa nie pamiętam ani jednej słonecznej niedzieli. Zresztą z dzieciństwa prawie ogóle nie pamiętam przebywania na dworze poza drogą do kościoła, którą przepędzano mnie jak nieletniego przestępcę. Teraz też wybiegam za daleko w przód, bo w dniu, w którym rozpoczynam moją opowieść, Pyma nie ma jeszcze na świecie. Dzieli nas od tego dnia całe życie twojego ojca plus jakieś pół roku. Miejscem akcji jest nadmorskie miasteczko całkiem niedaleko tego, w którym teraz piszę te słowa, tylko że brzeg jest bardziej stromy, a kościół ma bardziej masywną dzwonnice - zresztą i to, w którym teraz jestem, jak ułał pasowałoby do tej historii. Jest ponure przedpołudnie, wiatr hula, zwiastując wieczne potępienie za grzechy - kiedy już się urodziłem, nasłuchałem się o tym za wszystkie czasy, możesz mi wierzyć - a ja, jak już mówiłem, to nienarodzony duch, nieproszony gość, niesłyszający podsłuch, założony już, ale uaktywniony na razie wyłącznie w biologicznym znaczeniu tego słowa. Do mokrych schodów kościoła lepią się stare liście, stare igły sosnowe i stare konfetti, po których skromna grupka wiernych stąpa po cotygodniową dawkę zbawienia i anatemy - dla mnie zresztą szybko zatarła się różnica między jednym a drugim. A w tym wszystkim ja, głuchy płód - szpieg, nieświadomie wypełniający swą pierwszą misję gdzieś, gdzie zwykle nie ma celów ataku.

Tylko że dziś coś się dzieje. Dziś nad głowami rozmodlonych wiernych unosi się lekki szmerek, któremu na

imię Rick. Rozmodleni wierni modlą się dziś jakby złośliwie, nie potrafią tego ukryć, emanuje to od nich z samego środka ich małych, ciemnych duszek, bo chodzi o Ricka, bo wyszło to od Ricka, bo stoi za tym Rick. Wyczytać to można wszędzie: w wiele mówiącym, płynnym kroku diakona w brązowym garniturze, w gestach i przydechach kobiet w kapeluszech, które najpierw wpadają do kościoła bez tchu, by się nie spóźnić, a potem siedzą i robią się czerwone pod białym pudrem, bo są za wcześnie. Wszystkich aż rozpiera, nikt nie może usiedzieć na miejscu, no i pierwszorzędna frekwencja, jak by z dumą powiedział Rick - zresztą pewnie tak właśnie powiedział, bo bardzo lubił, kiedy kościół był nabyty, nawet jeżeli, jak tym razem, odbywało się to jego kosztem. Parę osób przyjechało autami, jakimiś lanchesterami czy singerami, cudami ówczesnej motoryzacji, inni trolejbusem, reszta przyszła pieszo, marznąc do szpiku kości na bożym deszczu od morza pod tanimi etolami z lisa, trzęsąc się z zimna na bożym wietrze od morza w wytartych odświętnych serżach. Nie było jednak nikogo, kto nie chciałby pomarznąć jeszcze chwili dłużej, by zatrzymać się i pogapić na tablicę ogłoszeń, potwierdzającą czarno na białym to, co stugębna plotka powtarzała już od paru dni. Widnieją na tablicy dwa ogłoszenia, oba dla niewtajemniczonych rozmyte już nieco przez deszcz, oba równie nieprzydatne jak zimna herbata, ale tym, którzy znają szyfr, przynoszące zapierające w piersiach wieści. Pierwsze, pisane na pomarańczowo, to wystosowany przez Ligę Kobiet Kościoła Baptistów apel o zbiórkę pięciu tysięcy funtów na wybudowanie czytelnicy - choć, oczywiście, wszyscy wiedzą, że nikt nigdy nie przeczyta tam ani jednej książki, że będzie to salka, w której rozstawiać się będzie domowego wypieku ciasta i zdjęcia trędowatych dzieci z Konga. Przymocowany obok tablicy termometr z dykty, dzieło najlepszych rzemieślników Ricka, już pokazuje pierwszy zebrany tysiąc. Drugie ogłoszenie, na zielono, oznajmia, że pastor serdecznie wszystkich zaprasza na niedzielne nabożeństwo. Ale do tego ogłoszenia z kolei dopięto poprawkę, w całości napisaną na maszynie, więc wyglądającą jak groźne pismo z sądu, z komicznym nad miarę słów pisanych wielką literą, co w tych stronach uchodzi za złą wróżbę:

Ze względu na nieprzewidziane Okoliczności, dzisiejsze Kazanie wygłosi Sir Makepeace Watermaster, Sędzia Pokoju i tutaj. Członek Parlamentu z Ramienia Partii Liberalnej. Radę Parafialną uprasza się o pozostanie po Nabożeństwie na Nadzwyczajne zebranie.

Sam Makepeace Watermaster! No i nic dziwnego, taka sprawa!

Tymczasem w innych częściach świata Hitler już czeka, by podpalić cały świat, w Ameryce i Europie bieda Wielkiego Kryzysu szerzy się jak zaraza, a przodkowie Jacka Brotherhooda walczą z tym lub nie, w zależności od naprędce skleconej doktryny, panującej akurat w tajnych korytarzach Whitehall. Ale tutejsza trzódka nie czuje się godna zajmować tak nieodgadzionymi planami boskimi. Oni są wiernymi kościoła protestującego, ich przywódcą na tym padole łez jest sir Makepeace Watermaster, największy kaznodzieja i największy liberał w historii kraju, jeden z wielkich tego świata, ich dobroczyńca, bo postawił im tę świątynię za własne pieniądze. Tak naprawdę, oczywiście, nie on, tylko jego ojciec, Goodman Watermaster; Makepeace jednak, zostawszy dziedzicem ojca, jakby wymazał go z ich pamięci. Stary Watermaster pochodził z Walii, był nie tylko kaznodzieją, ale i biednym, rozśpiewanym ceglarem, wdowcem, ojcem dwojga dzieci, między którymi było dwadzieścia pięć lat różnicy; Makepeace był właśnie starszym z rodzeństwa. Goodman pojawił się tu, sprawdził tutejszą glinę, wciągnął w nozdrza morskie powietrze i zbudował cegielnię. Parę lat później dobudował jeszcze dwie i sprowadził tanią siłę roboczą, najpierw takich jak on sam proletariuszy z Walii, potem jeszcze tańszych oraz jeszcze bardziej proletariackich i wyzyskiwanych Irlandczyków. Zwabiwszy ich tu służbowymi domkami, Goodman brał ich na głodowe pensje i straszył piekłem co niedziela z ambony. W końcu przeniósł się do rajy, o czym miał świadczyć gigantyczny pomnik wzniesiony ku jego czci na placu przed cegielnią, a zburzony wraz z fabryczką dopiero parę lat temu, gdy cały teren przerobiono na działki rekreacyjne, i bardzo dobrze.

A dziś, „ze względu na nieprzewidziane Okoliczności”, ten sam Makepeace, jedyny syn Goodmana, miał zstąpić pośród

nich - choć o tym, jak bardzo nieprzewidziane były owe Okoliczności, miał się dopiero przekonać. Dla innych były one tak oczywiste jak ławki, w których teraz na niego czekali, tak niezmiennie jak wyprodukowane przez jego własną firmę ceglane płytki podłogi kościoła, do których ławki te były przytwierdzone, tak nieubłagane jak kościelny zegar, który rżęzi między jednym a drugim uderzeniem, jakby zaraz miał wyzionąć ducha. Wyobraź sobie, Tom, jakie to było ponure - jak ogłupiało i upupiało młodych, którym zabraniano wszystkiego, na czym mogło im zależeć: od niedzielnego wydania gazet po papizm, od psychologii po sztukę, od skąpych strojów po wesołość (i smutek), od miłości po śmiech (i z powrotem). Nie było chyba żadnej cząstki ludzkiego losu, którą by nie pogardzali. Ty nie zrozumiesz, jak bardzo było to ponure, i nie zrozumiesz świata, od którego uciekał Rick, ani tego, do którego chciał uciec, ani tej gryzącej rozkoszy, brzęczącej, świerzbącej jak pchła w duszy każdego z pokornych wiernych, gdy w kolejny ponury dzień święty ostatnie uderzenia dzwonu mieszają się z bębnieniem w dach deszczu i gdy rozpoczyna się pierwsza wielka próba w życiu młodego Ricka. „Rick Pym wreszcie dostanie za swoje”, głosi wieść, a jakież sędzia mógłby być groźniejszy niż sam Makepeace Watermaster, Jeden z Wielkich Ludzi Naszego Kraju, Sędzia Pokoju i Członek Parlamentu z Ramienia Partii Liberalnej; jaki kat lepiej poprawiłby mu pętlę na szyi?

Wraz z ostatnim uderzeniem kościelnego dzwonu milkną też organy, wierni wstrzymują dech i zaczynają liczyć do stu, równocześnie szukając wzrokiem głównych aktorów widowiska. Obie panie Watermaster już dawno zajęły swe miejsca. Siedzą ramię w ramię w kolatorskiej ławce pod samą amboną. W każdą inną niedzielę siedziałyby między nimi wysoki Makepeace o długiej, przechylonej na bok głowie, wsłuchany w solo organów tymi małymi, różnymi uszkami. Ale dziś nie, bo dziś jest coś ekstra, dziś Makepeace konferuje z naszym pastorem i paroma zaaferowanymi członkami Rady Parafialnej.

Jego żona, znana w okolicy jako lady Nell, nie ma jeszcze pięćdziesiątki, a jest już zgarbiona i pomarszczona jak czarownica. Często niespodziewanie podrzuca siwiejącą głowę, jakby oganiała się od much. Obok niej, istne uosobienie

bezpośredniości przy głupocie i kąśliwości Nell, na samiutkim brzeżku ławki przycupnęła Dorothy, maleńka, zadbana dama, tak młoda, że mogłaby być córką Nell, a nie siostrą Makepeace'a. Dorothy modli się, modli się do Stwórcy, wpycha w oczy swe maleńkie piąstki i poleca Mu się na śmierć i życie, byle tylko wysłuchał jej i sprawił, że wszystko będzie dobrze. Baptyści nie klękają przed Panem Bogiem, Tom, tylko przed nim kucają, ale moja Dorothy najchętniej padłaby krzyżem na watermasterskie płytki i ucałowała wielki palec u nogi papieża, byle tylko Bóg sprawił, że się jej upieczce.

Mam jej jedno zdjęcie. Kiedyś - ale już nie, bo Dorothy dawno dla mnie umarła, przysięgam - oddałbym duszę za jeszcze jedno. Znalazłem je w starej, zaczytanej Biblii, kiedy byłem w wieku Toma, w podmiejskiej posiadłości, którą musieliśmy szybko opuścić. Przez wewnętrzną stronę okładki biegła dedykacja: „Z wyrazami najgłębszej miłości, Makepeace”. Jedno zdjęcie, nic więcej; jedno zbrązowiałe, wypłowiałe zdjęcie, zrobione, gdy wysiada z taksówki, tablica rejestracyjna nie zmieściła się w kadrze. Dorothy trzyma w dłoni naprędce zrobiony bukietek kwiatków, chyba polnych, a z oczu wyziera jej coś, nad czym nie da się przejść do porządku dziennego. Czy spieszy na jakiś ślub? Może na swój? Czy nawiedza chorych, na przykład Nell? Gdzie jest? Gdzie teraz stara się uciec? Unosi kwiaty do podbródka, łokcie trzyma złączone tak, że przedramiona stanowią pionową linię łączącą talię z szyją. Długie rękawy, zwężające się ku przegubom rąk. Muślinowe rękawiczki, więc nie widać, czy już ma obrączkę, choć domyślam się lekkiego wybrzuszenia materiału na serdecznym palcu lewej dłoni. Włosy okrywa jej toczek, rzucający cień, który zdaje się maskować te niepokojące oczy. Ramiona przekrzywione, jakby właśnie traciła równowagę, więc może dlatego wysuwa przed siebie drobną nóżkę. Pastelowe pończochy mieniają się zygzakowatym poblaskiem jedwabiu, na stopach lakierki, spiczaste, z guziczkami. Nie wiem, dlaczego jestem przekonany, że ją cisną, że kupiła je w ostatniej chwili, podobnie jak resztę tego, co ma na sobie, w sklepie, w którym nikt jej nie zna. Dolna część jej twarzy jest blada jak kwiat hodowany w ciemności - wystarczy pomyśleć o Glades, domu,

w którym się wychowała! Podobnie jak ja jest jedynaczką, co widać na pierwszy rzut oka - przecież brat starszy o dwadzieścia pięć lat się nie liczy.

Powiedzieć ci, co znalazłem kiedyś w altance w wielkim, ciemnym sadzie Watermasterów, po którym, podobnie jak ona, snułem się kiedyś jako dziecko? Książeczkę do kolorowania: Życie Zbawiciela w obrazkach, którą wygrała na religii. A wiesz, co zrobiła z nią moja kochana Dorothy? Zamazała kredkami każdą ze świętych twarzy. Najpierw byłem wstrząśnięty, później zrozumiałem. Twarze te przerażały ją, bo należały do rzeczywistości, do której ona nie miała dostępu, rzeczywistości, w której ludzie uśmiechają się do siebie. Dlatego je zamazała: nie z wściekłości, nie z nienawiści, nawet nie z zazdrości - dlatego, że taki prosty świat wydawał się jej nie do pojęcia. Popatrz jeszcze raz na zdjęcie, na jej twarz pozbawioną uśmiechu i wszelkiego wyrazu, na te drobne usteczka, zaciśnięte, wygięte w podkówkę, by nikt nie domyślił się skrywanej tajemnicy. Ta twarz nie potrafi zapomnieć jednej choćby złej rzeczy, bo nie ma się nią z kim podzielić. Jest skazana na wieczne ich wspomnianie, aż do dnia, gdy załamie się pod tym ciężarem.

Starczy. Znowu uprzedzam wypadki. Dorothy, z domu Watermaster. Zbieżność nazwisk całkowicie przypadkowa. Dla mnie - czysta abstrakcja, nierealna, wiecznie przed czymś uciekająca kobieta bez znaczenia. Gdyby zamiast twarzą zwracała się ku obiektywowi plecami, nie wiedziałbym o niej mniej i nie kochałbym jej bardziej.

A daleko za plecami pań Watermaster, najchętniej na drugim końcu długiej nawy kościoła, całkiem z tyłu, w ostatniej ławce przed zamkniętymi drzwiami, siedzi kwiat młodzieży, młodzieńcy o podciągniętych krawatach, odstających do przodu spod sztywnych kołnierzyków, i o zabójczych przedziałkach na ulizanych włosach. To Chłopcy z Wieczorówki, jak ich czule się nazywało, nasi apostołowie jutra, przyszłość narodu, nasi przyszli pastorzy, lekarze, misjonarze i filantropi, nasi przyszli Wybrańcy, którzy kiedyś pójdą w świat - a zbawią go tak, jak nikt dotąd go nie zbawił. To oni gorliwie garnęli się do obowiązków wypełnianych zwykle przez starszych mężczyzn: rozdawania

książeczek do nabożeństwa i kartek z informacjami, zbierania na tacę i wieszania płaszczy. Oni to raz w tygodniu, rowerami, motocyklami czy wreszcie samochodami użyczonymi przez dobrych rodziców, rozwożą nasze parafialne pisemko do wszystkich bogobojnych domów - również do domu sir Makepeace'a Watermastera, którego kucharka ma przykazane częstować takiego zucha kawałkiem ciasta i szklanką lemoniady. Oni to pobierają te kilka szylingów czynszu od biednych, rozlokowanych po kościelnych mieszkaniach, oni sterują łódkami po Brinkley Mere na wycieczkach dla dzieci, organizują turnieje na Boże Narodzenie i są siłą napędową najróżniejszych parafialnych akcji. Oni to wreszcie podjęli się bożej misji, odpowiadając na apel Ligi Kobiet o zebranie pięciu tysięcy - nie zapominajmy, że działo się to w czasach, kiedy za dwieście funtów rocznie mogła utrzymać się cała rodzina. Nie było takich drzwi, do których by nie zadzwonili, okna, którego nie podjęliby się umyć, grządki, której nie chcieliby plewić i skopać - a wszystko to dla Pana Jezusa. Młody hufiec ruszał w bój co dzień. Wracał do domu w oparach woni mięty pieprzowej, gdy ich rodzice dawno już spali. Sir Makepeace wychwalał ich pod niebiosa, pastor też. Co niedzielę wspomniano też Naszemu Panu o ich poświęceniu. Czerwona linia na termometrze z dykty u wejścia do kościoła wspinała się dzielnie przez kolejne setki, aż sięgnęła pierwszego tysiąca. Tu też, mimo najszczerzych wysiłków, zatrzymała się na chwilę i jakby nie mogła dalej ruszyć w górę. Wcale nie dlatego, że stracili impet. Porażka w ogóle nie wchodziła w grę. Makepeace Watermaster wcale nie musiał przypominać im historii króla Szkocji Roberta Bruce'a, którego w chwili słabości podtrzymał na duchu mały pajaczek, z uporem naprawiający zerwaną nić. Chłopcy z Wieczorówki są kapitalni, Chłopcy z Wieczorówki to chrystusowa awangarda, to oni będą kiedyś Wielkimi Ludźmi Naszego Kraju.

Jest ich pięciu. W samym środku grupki siedzi Rick, jej założyciel, szef, duchowy przywódca i skarbnik, który ani na chwilę nie przestaje marzyć o swym pierwszym bentleyu. Rick, czyli Richard, ma na drugie Thomas po swym kochanym ojcu, ukochanym przez wszystkich Thomasie Pymie, który,

powróciwszy z okopów Wielkiej Wojny, został naszym burmistrzem, a zmarł siedem lat temu - choć mogłoby się wydawać, że dopiero wczoraj. A jaki to był kaznodzieja, nim odszedł od nas na łono Abrahama! Rick to twój dziadek bez teki, Tom. Bez teki, bo nigdy nie zgodziłbym się, żebyś go poznał.

Mam dwie wersje kazania Makepeace'a, obie niepełne i pochodzące z niewiadomego miejsca i czasu: pożółkłe wycinki prasowe, wyrżnięte chyba nożyczkami do paznokci z religijnych dodatków do lokalnych gazet, które w tamtych czasach zajmowały się wyczynami naszych duchownych równie wiernie, jak wyczynami naszych piłkarzy. Znalazłem je w tej samej Biblii Dorothy, co jej zdjęcie. Makepeace nikogo nie oskarżał wprost, nikomu nie czynił żadnych zarzutów. Żyliśmy w kraju niedomówień, mówienie wprost jest dobre dla grzeszników. „Parlamentarzysta piętnuje chciwość i chęć zysku wśród młodzieży” - pisał pierwszy artykuł. „Doskonała analiza niebezpieczeństw związanych z nadmiernymi ambicjami u ludzi młodych”. Wielka postać Makepeace'a była dla anonimowego autora „połączeniem poetyckiego wdzięku Celtów, wymowy polityka i żelaznego poczucia sprawiedliwości prawodawcy”. Wierni, „nawet ci najskromniejsi, poczuli się umocnieni”, a najbardziej z nich wszystkich sam Rick, słuchający kazania jak w transie, kiwający głową do wtóru słów Watermastera, choć walijski akcent mówcy - przynajmniej w odczuciu otaczających go słuchaczy - wypunktowywał właśnie Ricka osobiście, pieczętując każde słowo pchnięciem kasandrycznego palca wskazującego.

Druga wersja jest utrzymana w tonie znacznie mniej apokaliptycznym. Wielki Człowiek Naszego Kraju wcale nie rzucał gromów na grzeszną młodzież. Wręcz przeciwnie: wyrażał chęć przyścia z pomocą zagubionym owieczkom. Wychwalał młodzieńcze ideały, porównując je do gwiazd na niebie. Gdyby wierzyć tej drugiej wersji, można by pomyśleć, że i Makepeace, i autor artykułu dostali nagle kręćka na punkcie gwiazd. Gwiazdy jako nasza przyszłość, gwiazdy prowadzące Mędrców do samego żłóbka prawdy, gwiazdy rozświetlające mrok naszej rozpacz, choćby w najczarniejszym upadku w

grzech, gwiazdy wszelkich kształtów i na każdą okazję, świecące nad nami jak światło samego Pana. Autor musiał chyba należeć duszą i ciałem do Makepeace'a Watermastera, jeśli wręcz nie był nim samym, bo nikt inny nie potrafiłby w tak pięknych barwach odmalować tej budzącej respekt i grozę postaci na ambonie.

I choć owego dnia nie widziałem jeszcze świata, widzę teraz Makepeace'a Watermastera tak wyraźnie, jak widywałem go później na własne oczy i jak będę widział go zawsze, wysokiego jak kominy jego cegielni i tak jak one zwężającego się ku górze. Giętki niczym z gumy, o słabych, spadzistych ramionach i szerokiej talii, wyciąga ku nam rękę, która sprawia wrażenie pozbawionej stawów, sztywnej jak semafor kolejowy. Na jej końcu powiewa jak chorągiewka miękka dłoń. Mokre, elastyczne usta, bardziej kobiece niż męskie, za małe nawet, by się mógł nimi porządnie odżywiać, rozciągają się i kurczą na pełnych świętego oburzenia samogłoskach. I kiedy wreszcie wyrzucił z siebie dość straszliwych ostrzeżeń, kiedy już odmalował w najdrobniejszych szczegółach kary, jakie winowajców czekają za ich grzechy, widzę, że zbiera się w sobie, odchyła się do tyłu i zwilża wargi, by na zakończenie powiedzieć coś przyjemniejszego. My, dzieci, czekamy już na to od czterdziestu minut, kręcąc się i zwijając, żeby nie zmoczył majtek, choć przecież odsiusiano nas profilaktycznie w domu przed wyjściem do kościoła. Jeden z wycinków przytacza ten nieprawdopodobny fragment w całości, więc i ja go powtórzę, cudzymi, nie własnymi słowami, choć żadne z późniejszych kazań Watermastera nie mogło się już bez tego obyć, choć słowa te stały się częścią natury Ricka i pozostały z nim przez całe jego życie - więc również i przez moje. Bardzo bym się zdziwił, gdyby się okazało, że te kazania nie dźwięczały mu w uszach, gdy umierał i gdy kroczył już ku swemu Stwórcy - dwóch kolegów spotkanie po latach:

- Ideały, moi młodzi bracia! - Widzę, jak Makepeace urywa w tym miejscu, po raz kolejny obrzuca Ricka spojrzeniem i zaczyna znowu: - Ideały, moi umiłowani bracia, są jak owe wspaniałe gwiazdy na niebie. - Widzę, jak unosi ku sosnowemu sklepieniu smutne, pozbawione wszelkiego blasku oczy. - Nie

nam do nich sięgać. Dziela nas od nich miliony mil. - Wyciąga przed siebie opadające ręce, jakby chciał pochwycić w nie grzesznika staczającego się na dno otchłani. - A jednak jak wiele zyskujemy na ich obecności!

Pamiętaj o nich, Tom. Jack, pomyślisz pewnie, że zwariowałem, ale te gwiazdy to bardzo ważna informacja operacyjna, bo to one są pierwszym odzwierciedleniem niezachwianej wiary Ricka w swe przeznaczenie, zresztą nie tylko Ricka. Jak może być inaczej, skoro syn proroka sam staje się jakimś prorocstwem, nawet jeżeli nikt nigdy nie zorientuje się na tym padole łez, że obaj prorokują? Jak wszyscy wielcy kaznodzieje, Makepeace musi obejść się bez opadającej kurtyny, bez owacji na stojąco. A mimo to w ciszy, która zapadła po jego ostatnich słowach, słyhać całkiem wyraźnie - i mam na to świadków - że Rick szeptem powtarza słowo „wspaniale”. Makepeace Watermaster też to słyszy - zatrzymuje się na chwilę na schodkach ambony i kilkakrotnie mruga oczami, jak gdyby ktoś właśnie go zwyzywał od najgorszych. Siada wreszcie, organy rozpoczynają hymn Niech wszędzie płonie znicz wiary. Makepeace znów wstaje, niepewny, gdzie ma złożyć swe komicznie drobne cztery litery. Kiedy wierni przemęczyli już wszystkie zwrotki hymnu, Chłopcy z Wieczorówki, z uniesionym do samych gwiazd Rickiem w środku, ruszają środkiem nawy i jak na musztrze rozchodzą się na swe wyznaczone miejsca u stóp ołtarza. Rick, odstrzelony dziś tak jak zawsze, wyciąga tacę ku paniom Watermaster, a z jego oczu tryska duch boży. Ile dadzą? Jak szybko? Wagę tych pytań potęguje jeszcze panująca w kościele cisza. Najpierw lady Nell. Rick musi się naczekać, bo Nell grzebie w torebce i przeklina pod nosem. Ale Rick ma świętą cierpliwość, przepętnia go chrześcijańska miłość, wznosi się do gwiazd i każda pani, niezależnie od wieku i urody, zostanie obdarzona tym rozgorączkowanym, niebiańskim uśmiechem. Tylko że o ile głupia Nell przymila się do niego i usiłuje zwichrzyć jego ulizane włosy i opuścić je na to szerokie, chrześcijańskie czoło, moja mała Dorothy wciąż tylko wbija wzrok w posadzkę i modli się, wciąż się modli, nawet stojąc, i Rick musi dopiero dotknąć palcem jej przedramienia, by uświadomić jej swą boską

bliskość. Jego dotyk czuję teraz na własnej ręce, uzdrawia mnie, słabego, pełnego odrazy. Chłopcy powracają pod sam ołtarz, pastor przyjmuje ofiarę, rzuca zdawkowe błogosławieństwo, po czym nakazuje wszystkim wyjść, w milczeniu i natychmiast, zostaje tylko Rada Parafialna. Zaraz zaczynają się nieprzewidziane Okoliczności, a wraz z nimi pierwsza wielka próba Richarda Thomasa Pyma - pierwsza z wielu, to prawda, lecz to właśnie ta pierwsza naprawdę obudziła w nim apetyt na Sąd Ostateczny.

Sto razy widywałem go takiego, jak owego przedpołudnia: sam, zamyślony, stoi w drzwiach wypełnionej sali. Rick, nieodrodny syn swego ojca, zmarszczka na czole to chlubna oznaka wielkiego dziedzictwa. Czeka, jak Napoleon przed bitwą, na surmy bojowe, w które za chwilę zadmie przeznaczenie. Nigdy nie pojawiał się od niechcenia, w nieodpowiedniej chwili, niepewny wrażenia, jakie wywrze. Inni zapominali wtedy o wszystkim, bo dopiero wraz z wejściem Ricka zaczynały się rzeczy ważne. Nie inaczej było w prezbiterium owej deszczowej niedzieli; gdzieś wysoko boży wiatr uderzał w sosnowy strop, pod którym kuliła się ludzka marność, nie wiedząc, co myśleć, i czekając na Ricka. Gwiazdy jednak, jak już wiemy, są jak ideały - nieuchwytny. Szyje wyciągają się, krzesła skrzypią. Chłopcy z Wieczorówki już zasiedli na ławie oskarżonych, oblizują wargi, nerwowo poprawiają krawaty. Rickie zwiął. Rickie stchórzył. Diakon w brązowym garniturze kuśtyka niezgrabnie w stronę przedsionka, gdzie mógł się schować główny winowajca. Nagle słychać huk. Na ten dźwięk obraca się każda głowa, wszyscy wpatrują się w drugi koniec nawy, w stronę głównego, zachodniego wejścia, otwartego z zewnątrz przez jakąś tajemniczą dłoń. Na tle szarych, morskich chmur, które gromadzą się nad jego głową, staje w drzwiach Rick Thomas Pym, do tej pory nieodrodny duchowy spadkobierca wielkich misjonarzy. Z powagą kłania się swym sędziom i swemu Stwórcy, zamyka drzwi za sobą i niemal niknie na tle czarnej plamy wejścia.

- Mam dla pana wiadomość od pani Harmann, panie Philpott. Philpott to nasz pastor. Przemawiający głos należy do Ricka.

Jak zawsze, tak i teraz wszyscy zauważają piękno tego głosu, garną się do niego, uwielbiają go, zastraszeni, ale i zafascynowani jego niewzruszoną pewnością siebie.

- Tak, a o co chodzi? - Philpott jest zaniepokojony, że ktoś mówi do niego z takim spokojem z tak daleka. Philpott też pochodzi z Walii.

- Byłaby bardzo wdzięczna, gdyby ktoś ją jutro podwiózł do szpitala w Exeter, zanim zabiorą jej męża na operację - mówi Rick z leciuteńkim tonem wymówki. - Chyba nie wierzy, że go potem zobaczy. Jeżeli to kłopot, na pewno któryś z nas się tym zajmie, co, Syd?

Syd Lemon to londyński cockney, którego ojciec przeniósł się w te strony z powodu artretyzmu i według Syda wkrótce umrze tu z nudów. Syd jest ukochanym przybocznym Ricka, drobny, zadzierzysty bokser, miejski cwaniak. Syd zawsze będzie dla mnie Sydem, nawet teraz. Jeśli kiedykolwiek miałem spowiednika, był nim właśnie Syd - Syd i oczywiście Stokrotka.

- Możemy nawet zostać na noc, jak będzie trzeba - potwierdza Syd z nieco wymuszoną pokorą. - I cały następny dzień też, prawda, Rickie?

- Cisza - warczy Makepeace Watermaster. Ale nie na Ricka, bo Rick właśnie zamyka od wewnątrz kościelne wrota. Ledwo go widać wśród światłocieni przedsionka. Stukot pierwszej zasuw, tej, do której trzeba sięgnąć wysoko. Potem druga, nisko, musi się do niej pochylić. Wreszcie, ku wielkiej uldze tych, którzy łatwiej poddają się nastrojom, Rick łaskawie godzi się ruszyć na szafot. Ale teraz co słabsi jedzą mu już z ręki, w duchu żębrzą u niego, syna starego Thomasa, o choćby jeden uśmiech i, również w duchu, zapewniają go, że w tym wszystkim nie ma nic osobistego, i wypytują o zdrowie jego szanownej matki - bo, jak wiadomo, dziś nieco niedomaga i nie wychodzi. Pani Pymowa siedzi więc w pełni swej wdowiej chwały za zasuniętymi kotarami w domu na Airdale Road, pod wielkim retuszowanym zdjęciem nieboszczyka męża w stroju burmistrza. To modli się i płacze, by go jej wrócono, to woli, żeby został tam, gdzie jest, i by oszczędził jej wstydu, to znów dopinguje Ricka, bo to w gruncie rzeczy wojownicza starsza pani: „Pokaż im, synu. Przyduś ich, zanim oni cię przyduszą, jak

tatuś, albo jeszcze lepiej". Bo w tej chwili co mniej światowi członkowie naszego zaimprovizowanego trybunału są całkowicie przekonani - by nie rzecz skorumpowani - co do niewinności Ricka. A do tego Walijczyk Philpott, zupełnie jakby celowo chciał jeszcze bardziej podważyć ich autorytet, w swej naiwności umieścił Ricka tuż pod amboną, dokładnie w tym miejscu, z którego sam z takim zapalem i przekonaniem czytał nam dziś lekcję. Jeszcze gorzej: pastor osobiście prowadzi tam Ricka i podsuwa mu krzesło. Ale Rick jest jeszcze bardziej panem sytuacji. Nie siada od razu, lecz stoi z dłonią na oparciu krzesła, jakby właśnie zdecydował się je adoptować, i wciąga pastora w przyjacielską pogawędkę.

- Czyli Arsenal znowu poległ w sobotę? - zagaduje. W lepszych czasach Arsenal był drugą pasją i pastora, i świętej pamięci Thomasa Pyma.

- Mniejsza z tym, Rick - mówi nieco zbity z tropu pastor. - Wiesz dobrze, że mamy teraz ważniejsze sprawy.

Skonfundowany pastor zasiada u boku Makepeace'a Watermastera, ale Rick osiągnął swój cel. Oto wytworzył między sobą a Philpottem związek, na który tamten bynajmniej nie miał ochoty, pokazał nam się bowiem nie jako zbrodniarz, lecz swój chłop. Teraz uśmiecha się, kwitując tym samym swój sukces. Uśmiecha się do nas wszystkich równocześnie: jak to świetnie, że przyszłście. Jego uśmiech przesuwają się po nas. Nie jest impertynencki, lecz tchnie z niego litość dla ludzkiej skłonności do błędu, która nas tu zgromadziła. Niewzruszoną dezaprobatę zachowuje już tylko sir Makepeace oraz siedzący obok niego nad papierami Perce Loft, sławny adwokat z Dawlish, znany jako Perce Pozew. Ale Ricka to nie peszy. Nie peszy go ani Makepeace, ani tym bardziej Perce, z którym w ciągu kilku ostatnich miesięcy sporo go łączy - między innymi podobno wzajemny szacunek i zrozumienie. Perce chce, żeby Rick poszedł na prawo. Rick też tego chce, ale na razie interesują go przede wszystkim porady Perce'a dotyczące pewnych planowanych transakcji. Perce, wieczny altruista, udziela mu tych porad za darmo.

- Wspaniałe kazanie, sir - mówi Rick. - W życiu nie słyszałem lepszego. Zapamiętam sobie te słowa do końca

życia. Witam, panie Loft.

Perce Loft jest dziś zbyt oficjalny, by odpowiedzieć na takie powitanie. Z kolei sir Makepeace jest przyzwyczajony do pochlebstw, więc traktuje je tak, jak na to zasługują.

- Proszę usiąść - mówi nasz Członek Parlamentu z Ramienia Partii Liberalnej i Sędzia Pokoju w jednej osobie.

Rick natychmiast siada, nie jest przecież wrogiem władzy. Wręcz przeciwnie: sam też ma władzę nad innymi, dobrze o tym wiemy my, słabi. On też łączy w sobie siłę i sprawiedliwość.

- Gdzie się podziały pieniądze na czytelnikę? - pyta bez ogródek Makepeace Watermaster. - Tylko w zeszłym miesiącu zebrano prawie czterysta funtów. W poprzednim trzysta, w sierpniu trzysta. Twoje rachunki wykazują za cały ten czas sto dwanaście funtów. Nic nie odłożono, gotówki brak. Co zrobiłeś z tymi pieniędzmi, chłopcze?

- Kupiłem autobus - odpowiada Rick, a Syd, siedzący na ławie oskarżonych z resztą grupy, „o mało nie wykorkował”, że użyję jego własnego wyrażenia.

Według zegarka taty Syda Rick przemawiał przez dwanaście minut. Kiedy skończył, ostatnią przeszkodą w odniesieniu całkowitego zwycięstwa był Makepeace Watermaster. Syd jest o tym przeświadczony:

- Twój tata przekonał pastora, jeszcze zanim cokolwiek powiedział. I nic w tym dziwnego, pastor znał jeszcze jego ojca. Stary Perce Loft? No cóż, Perce też widział w tym własny interes. Rick już miał go po swojej stronie. A cała reszta aż się zwijała, żeby zgadnąć, co powie nasz Jaśnie Pan Waterklozet.

Po pierwsze, Rick wspaniałomyślnie bierze na siebie odpowiedzialność za wszystko. Wina, powiada, jeśli można tu mówić o czyjejkolwiek winie, spada wyłącznie na niego. Gwiazdy i ideały błędą przy metaforach, którymi nas bombarduje:

- Jeśli trzeba na kogoś wskazać palcem, wskażcie nim tu. - I kluje się własnym palcem w pierś. - Jeśli ktoś ma za to zapłacić, znacie mój adres. Oto jestem. Wystawcie mi rachunek. Inni niech spokojnie uczą się na moich błędach, bo ja ich w to wciągnąłem. - To już prawie wyzwanie, wzmocnione jeszcze uderzeniami jednej dłoni w drugą. Kobiety podziwiałały te dłonie do końca jego dni, wyciągając wnioski z grubości palców,

których nigdy, czyniąc jakikolwiek gest, nie rozłączał.

- Gdzie on nauczył się tak przemawiać? - zapytałem kiedyś Syda z najwyższą czcią, siedząc przy kominku u niego i Meg w Surbiton. - Kto jeszcze, poza Makepeace'em, był jego wzorem?

- Lloyd George, Hartley Shawcross, Avory, Marshall Hall, Norman Birkett oraz inni wielcy politycy i prawnicy jego czasów - odpowiedział natychmiast Syd, wymieniając ich jednym tchem jak konie biorące udział w gonitwie w Newmarket. - Nie znam nikogo, kto by szanował prawo bardziej niż twój tata. Studiował ich mowy, wiedział, w jakiej są formie, którego obstawić. Gdyby tylko stary Pym mu to załatwił, byłby z niego niezgorszy sędzia, no nie, Meg?

- Albo premier - gorliwie przytakuje Meg. - Albo on, albo Winston.

Teraz Rick przechodzi do wyłożenia swej Teorii Własności. Wielokrotnie słyszałem ten wykład w różnych wersjach, ale wtedy chyba wygłosił go po raz pierwszy. Chodzi o to, że wszelkie środki przechodzące przez ręce Ricka podlegają jego własnej definicji prawa własności, ponieważ wszystko, co z nimi Rick uczyni, zostanie zrobione dla dobra ludzkości, której głównym przedstawicielem jest właśnie on. Krótko mówiąc, Rick nie bierze, lecz daje; ktokolwiek twierdzi inaczej, jest niedowiarkiem. Punktem kulminacyjnym tej argumentacji jest narastająca kanonada pełnych pasji, gramatycznie dezorientujących, pseudobiblijnych frazesów:

- A jeśli którykolwiek z was tu obecnych... może mi dowieść, że na tym skorzystałem... choćby tylko jeden, jedyny raz... w przeszłości albo z myślą o przyszłym zysku... pośrednio lub bezpośrednio związanym z tym przedsięwzięciem... dla mojej własnej korzyści... bo choć ambitne, i tak musi być ocenione... niech wystąpi teraz, z czystym sercem... i wskaże palcem tak, jak mu dyktuje sumienie.

Stąd już tylko chwila dzieli nas od wspaniałej wizji Firmy Przewozów Pasażerskich Pym & Zbawienie sp. z o. o., która przyniesie zysk duchowy i materialny naszej ukochanej świątyni.

Otworzyło się czarodziejskie pudełko. Rick odrzuca wieko i ukazuje olśniewającą tęczę obietnic i wyliczeń. Bilet autobusowy z Farleigh Abbot do naszego kościoła kosztuje teraz dwa pensy.

Trolejbus z Tambercombe kosztuje trzy pensy, taksówka i stąd, i stąd, zakładając, że jadą cztery osoby, sześć pensów od łebka. Autobus marki Granville Hastings kosztuje dziewięćset osiem funtów, tak tanio, bo za gotówkę, ma trzydzieści dwa miejsca siedzące i osiem stojących. W samą tylko niedzielę - moi współpracownicy przeprowadzili szczegółowe badania, proszę panów - do naszego pięknego kościoła podróżuje ponad sześćset osób, pokonując łącznie sześć tysięcy kilometrów. Bo tak kochają naszą świątynię, i Rick też ją kocha. I kochamy ją wszyscy tu zebrani, mężczyźni i kobiety, co tu kryć. Bo ciągnie ich tu duch wiary jak słońce planety. To porównanie to cytat wprost z Makepeace'a Watermastera i było to według Syda trochę zbyt ryzykowne pociągnięcie, tak mu rzucić w twarz jego słowa. Panowie, oprócz tego w ciągu trzech dni powszednich na tydzień mamy zebrania Orkiestry Nadziei, Akcji Chrześcijańskiej i kółka biblijnego Ligi Kobiet, a to kolejny tysiąc kilometrów. Zostają trzy dni na kursowanie czysto komercyjne, a kto nie wierzy, niech patrzy, jak moje ramię odrzuca stojących mi na drodze niedowiarków serią gwałtownych machnięć łokciem i ani na chwilę nierozłączających się palców. Liczby te mówią same za siebie.

- Panowie, jeżeli nasze bilety będą kosztować o połowę mniej, a osoby starsze, ułomne i dzieci do lat ośmiu wozić będziemy za darmo, i to z pełnym ubezpieczeniem, stosując się do przepisów słusznie określających działanie transportu publicznego w naszych coraz bardziej nerwowych czasach, zatrudniając zawodowych kierowców w pełni świadomych odpowiedzialności, jaka spoczywa na ich zawodzie, a przy tym bogobojnych ludzi z naszej wspólnoty, wliczając w to koszty amortyzacji, garażowania, utrzymania, paliwa, biletów oraz różnych innych wydatków, i zakładając pięćdziesięcioprocentowe obłożenie przez trzy dni kursów komercyjnych - otrzymujemy czterdzieści procent zysku na potrzeby czytelnicy, i to z dużą rezerwą.

Pytania zadaje już tylko Makepeace Watermaster, bo inni mają w głowach albo pustkę, albo kompletny mętlik, by cokolwiek powiedzieć.

- I już kupiliście ten autobus?

- Tak, proszę pana.
- Przecież niektórzy z was są nieletni.
- Posłużyliśmy się pośrednikiem, proszę pana. Zaczynając miejscowy adwokat, tak skromny, że pragnie pozostać anonimowy.

Odpowiedź Ricka wywołuje rzadki uśmiech na te nieprawdopodobnie małe usta sir Makepeace'a Watermastera.

- Prawnik, który chce pozostać anonimowy? Jeszcze o czymś takim nie słyszałem.

Perce Loft robi niezadowoloną minę do ściany.

- Więc gdzie teraz jest? - ciągnie sir Makepeace.

- Co, proszę pana?

- No, ten autobus, chłopcze.

- U lakiernika - odpowiada Rick. - Będzie zielony, ze złotymi literami.

- Czy na którąkolwiek z tych operacji uzyskaliście czyjeś pozwolenie? - pyta Watermaster.

- Prosimy pannę Dorothy, by zgodziła się przeciąć wstęgę, proszę pana. I mamy już projekt zaproszenia.

- A kto wam pozwolił? Nasz obecny tu pastor? Któryś z diakonów? Rada? Ja? Żeby wydać dziewięćset osiem funtów ze zbiórki na czytelną, ten wdowi grosz?

- Zależało nam na zaskoczeniu, proszę pana. Chcieliśmy zrobić niespodziankę. Bo gdyby się to najpierw rozeszło po mieście, to już by to nie było to. A tak, to świat się zadziwi.

Makepeace kieruje teraz rozmowę, jak to określił Syd, na bardzo śliski grunt.

- Czy to wszystko zostało odnotowane w księgach?

- Jakich księgach, proszę pana? Dla mnie istnieje tylko jedna Księga...

- Chodzi mi o rachunki, chłopcze, bo podobno tylko ty się tym zajmowałaś.

- Proszę mi dać tydzień, a rozliczę się z każdego pensa.

- W ten sposób rachunków się nie prowadzi, to jest fikcja. Czy niczego nie nauczyłeś się od ojca, chłopie?

- Prawości, proszę pana, i pokory przed Panem Jezusem.

- Ile wydałeś łącznie?

- Nie wydałem, proszę pana, zainwestowałem. - Ile?
 - Z tysiąc pięćset.
 - I gdzie jest teraz ten autobus?
 - Już panu mówiłem, u lakiernika.
 - Gdzie?
 - W Brinkley, u Balhama. To porządni ludzie, liberałowie i chrześcijanie.
 - Wiem, znam firmę. Twój ojciec dziesięć lat sprzedawał im drewno.
 - A autobus lakierują po kosztach.
 - Więc chcesz prowadzić też działalność dochodową?
 - Przez trzy dni w tygodniu, proszę pana.
 - I korzystać z przystanków?
 - Oczywiście.
 - A wiesz, jak na to zareaguje firma transportowa Dawlish & Tambercrombie, która prowadzi u nas komunikację autobusową?
 - Przy takim zapotrzebowaniu nie będą mieli nic do gadania. Z nami jeździ Bóg. Jak tylko zobaczą, co się dzieje, nie będą nam bruździć. Nie uda im się powstrzymać postępu. Nie uda im się powstrzymać marszu ludu chrześcijańskiego.
 - Nie? - mówi sir Makepeace i szybko oblicza coś na skrawku papieru. - Poza tym brakuje jeszcze ośmiuset pięćdziesięciu funtów z czynszów - zauważa, wciąż pisząc.
 - Czynsze też zainwestowaliśmy, proszę pana.
 - Czyli w sumie więcej niż tysiąc pięćset.
 - Powiedzmy, że jest tego ze dwa tysiące. Myślałem, że chodzi tylko o to, co zebraliśmy na czytelnicy.
 - A z ofiary niedzielnej?
 - Trochę też.
 - Czyli w sumie ile? Z każdego źródła?
 - Razem z tym, co dołożyli prywatni inwestorzy... Watermaster aż prostuje się na krześle.
 - To mamy i prywatnych inwestorów? Masz tupet, chłopcze. Kim oni są?
 - Prywatni klienci.
 - Czyi klienci?
- Perce Loft sprawia wrażenie, jakby zaraz miał usnąć z

nudów. Powieki mu się zamykają, kozia główka niemal opadła na pierś.

- Wybacz pan, ale tego ujawnić nie mogę. Gdy nasza firma obiecuje dyskrecję, to słowa dotrzymuje. Naszą dewizą jest uczciwość.

- Czy firma została już wpisana do rejestru?

- Nie, proszę pana.

- Dlaczego?

- Ze względów bezpieczeństwa, proszę pana. Jak już mówiłem: żeby od razu się nie rozniosło.

Makepeace znowu zaczyna pisać. Wszyscy czekają na kolejne pytania, ale te nie padają. Makepeace niestety sprawia wrażenie, jakby już wyrobił sobie pogląd na całą sprawę, a Rick wyczuwa to szybciej od pozostałych.

- Było zupełnie jak u lekarza - opowiadał mi Syd. - Już wie, na co umierasz, i zanim podzieli się z tobą tą świetną wiadomością, wypisuje ci receptę.

Rick znów zaczyna mówić, tym razem nieproszony. Mówi tonem, którego używał, gdy znalazł się w potrzasku. Syd usłyszał go wtedy pierwszy raz, ja trochę później, i tylko dwa razy w życiu. Nie było to zbyt przyjemne.

- Wszystkie rachunki mogę dostarczyć panu jeszcze dziś wieczór. Po prostu, widzi pan, trzymam je w bezpiecznym miejscu. Muszę tylko po nie pójść.

- Pokażesz je na policji - mówi Makepeace, wciąż nie przestając pisać. - My nie jesteśmy detektywami, tylko ludźmi kościoła.

- A jeżeli panna Dorothy ma na ten temat inne zdanie?

- Panna Dorothy nie ma z tym nic wspólnego.

- Proszę ją zapytać.

Teraz Makepeace przestaje pisać, unosi głowę tak jakoś ostro w górę, mówi Syd, i patrzą na siebie. Dwidziusiowate oczy Makepeace'a robią się jakby niepewne, za to wzrok Ricka nabiera nagle połysku noża sprężynowego. Syd zresztą nigdy nie użyłby tych słów, bo woli nie tykać ciemnej strony charakteru swego bohatera. Ale ja mogę. Wzrok Ricka jest teraz jak błysk oczu spod maski. Przeczy wszystkiemu, o czym tak pięknie opowiadał jeszcze przed chwilą, jest pogański, amoralny.

Żałuje, że z twojej winy musi ci to zrobić, ale nie ma wyboru.

- Czy chcesz mi wmówić, że panna Dorothy też zainwestowała w to przedsięwzięcie? - odzywa się Makepeace.

- Można zainwestować więcej niż tylko pieniądze, proszę pana - Rick na to z daleka, lecz jednak z bliska.

Bo widzisz, chodzi o to, pośpiesznie dodaje Syd, że Makepeace nie powinien był zmuszać Ricka do sięgnięcia po taki argument. Makepeace był człowiekiem słabym, który postępował twardo, a tacy są najgorsi. Gdyby miał odrobinę rozsądku, gdyby okazał się, jak inni, człowiekiem wiary, gdyby potrafił zaufać synowi starego Pyma, a nie wątpić i w dodatku podkopywać wiarę innych, można by sprawę załatwić polubownie i po przyjacielsku, i wszyscy rozeszliby się do domów zadowoleni, pełni wiary w Ricka i w jego autobus. A tak Makepeace był ostatnią przeszkodą i Rick nie miał innego wyjścia, jak ją zwalić. I zwał, no nie? No bo co miał zrobić?

Robię, co mogę, Tom. Sięgam wyobraźnią tak głęboko, jak tylko mogę, tak głęboko, jak śmiem, w ciężki mrok mojej własnej prehistorii. Odkładam pióro i wpatruję się w obrzydliwą dzwonicę kościoła po drugiej stronie placu, i słyszę, równie wyraźnie jak telewizor panny Dubber, dysonans głosów Ricka i sir Makepeace'a Watermastera. Widzę ciemny salon Glades, do którego wpuszczano mnie tak rzadko, i wyobrażam sobie ich, zamkniętych tam we dwóch wieczorem tamtego dnia, i moją biedną Dorothy, która drży w naszym ponurym pokoiku na piętrze, czytając te same haftowane komunały, które teraz ozdabiają ściany domku panny Dubber, Dorothy usiłującej czerpać pocieszenie z bożych kwiatków, bożej miłości i woli bożej. I chyba potrafiłbym powiedzieć ci z dokładnością do paru zdań, w jaki sposób dokończyli rozpoczętą w kościele pogawędkę.

Rick jest z powrotem w dobrym humorze, po pierwsze dlatego, że ten jego nóż sprężynowy nigdy nie ukazuje się na długo, a po drugie, osiągnął już to, co zawsze było dla niego najważniejsze w kontaktach z ludźmi, nawet jeżeli nie był tego wówczas w pełni świadomy. Otóż udało mu się stworzyć w umyśle Makepeace'a co najmniej dwie sprzeczne opinie na swój temat, ukazać mu dwie wersje, oficjalną i nieoficjalną, swojej

osoby, nauczyć szanować Ricka w całej jego złożoności oraz szanować jego oba światy, ten widoczny dla wszystkich i ten ukryty. Jest tak, jakby w salonie posiadłości Watermasterów obaj gracze wyłożyli na stół swoje karty, bez znaczenia, czy prawdziwe, czy fałszywe, i to Makepeace'owi zabrakło sztonów. Tylko że teraz obaj już nie żyją, zabrali do grobu wspólną tajemnicę, sir Makepeace zrobił to zresztą trzydzieści lat przed Rickiem. A jedyna osoba, która mogłaby powiedzieć coś na ten temat, nie powie nic, bo nawet jeżeli jeszcze istnieje, jest tylko zjawą nachodzącą własne życie i moje, ofiarą konsekwencji tej właśnie wieczornej rozmowy dwóch mężczyzn.

Historia odnotowuje dwa spotkania Ricka i mojej Dorothy przed ową brzemienną w skutkach niedzielą. Pierwsze miało miejsce podczas oficjalnej wizyty panny Watermaster w Klubie Młodych Liberałów, w którego władzach był wtedy Rick - nie wiem nawet, czy ci naiwniacy nie wybrali go skarbnikiem. Drugie - gdy Rick był kapitanem reprezentacji piłkarskiej naszej parafii, a inny Chłopiec z Wieczorówki i jeden z zaufanych Ricka, niejaki Morrie Washington, bramkarzem. Dorothy, jako siostrę członka rady parafialnej, poproszono o wręczenie pucharu. Morrie doskonale pamięta tę chwilę, gdy Dorothy przemaszerowała przed szeregami zwycięskiej drużyny, po kolei przypinając każdemu medal, zaczynając, oczywiście, od kapitana. Albo sama źle zapięła agrafkę, albo Rick udał, że źle zapięła; w każdym razie wydał z siebie udawany okrzyk bólu i opadł na jedno kolano, ściskając się za pierś i upierając się, że przebiła mu serce. Był to dość śmiały i w sumie niezbyt grzeczny numer, i sam się dziwię, że zrobił coś takiego. Zwykle nawet w wygłupach Rick starał się chronić swą godność - na bale kostiumowe, ulubioną formę rozrywki aż do wybuchu wojny, wołał przyjść przebrany za Lloyd George'a, niż przeholować z przebraniem. W każdym razie padł na ziemię - Morrie pamięta to tak dobrze, jakby zdarzyło się wczoraj - a Dorothy roześmiała się; chyba po raz pierwszy widziano, żeby się roześmiała. Co było dalej, tego nie dowiemy się nigdy, choć, znów według Morriego, Rick raz przechwalał się, że kiedy on przywozi pisemko parafialne do Glades, czeka na niego coś więcej niż tylko kawałek ciasta i szklanka wody z cytryną.

Wydaje mi się, że więcej od Morriego wie na ten temat Syd. Syd był spostrzegawczy, a poza tym ludzie lubią mu się zwierzać, bo mało potem o tym opowiada. Jestem przekonany, że Syd zna większość tajemnic skrywanych w czeluściach otoczonego drzewami rodzinnego domu Makepeace'a Watermastera, mimo że na starość robił co mógł, żeby zakopać tę wiedzę jak najgłębiej. Wie więc, dlaczego lady Nell piła i dlaczego Makepeace czuł się tak źle we własnej skórze, i dlaczego te małe, wilgotne oczka były zawsze tak udręczone, a usta o tyle za małe, jak na jego apetyt - i dlaczego z takim znanstwem rzeczy umiał piętnować grzech. I dlaczego w dedykacji w Biblii dla Dorothy pisał o „miłości”, i dlaczego Dorothy przeniosła swą sypialnię w najodleglejszy kąt domu, jak najdalej od sypialni lady Nell, a przede wszystkim od sypialni Makepeace'a. I dlaczego Dorothy łatwo uległa młodemu parwieniuszowi z drużyny piłkarskiej, który przemawiał do niej tak, jakby umiał zbudować dla niej drogę i tą drogą pojechać z nią w świat, choćby tym jego autobusem. Ale Syd to porządny chłop, a do tego mason. Kochał Ricka i poświęcił mu najlepsze lata swojego życia, i na hulanki, i na wieszanie się u jego poły. Syd lubił się pośmiać, poplotkować, pod warunkiem że nikogo by to za bardzo nie zraniło. Od ciemnej strony trzymał się z daleka.

Historia odnotowuje też, że na spotkanie z Makepeace'em Rick nie wziął ze sobą żadnych rachunków, choć wielki księgowy, pan Muspole, kolejny z Chłopców z Wieczorówki, zaoferował przygotować mu to i owo, i pewnie nawet przygotował, bo Muspole umiał tworzyć fikcyjne rachunki z taką łatwością, z jaką inni piszą pocztówki czy opowiadają anegdotki do mikrofonu. I że Rick przygotowywał się do rozmowy, spacerując samotnie po wysokim brzegu morza w Brinkley, co było pierwszą znaną tego typu przechadzką, choć Rick - i to po nim odziedziczyłem - zawsze chętnie spacerował, gdy miał podjąć jakąś decyzję lub gdy szukał natchnienia. I że wrócił z Glades z godnością, jakiej nie powstydziliby się sam Makepeace, tylko że u Ricka łączyła się ona bardziej z wewnętrznym światłem, płynącym, jak się uważa, z czystego serca. Rick poinformował swych dworaków, że sprawa czytelni

została załatwiona. I że rozwiązano problem wypłacalności. I że wszystko jest w najlepszym porządku. Błagali, by im wyjaśnić, ale Rickie wolał zachować opinię czarodzieja i nie pozwolił nikomu zaglądać sobie do rękawa. Bo ja jestem wybrany. Bo ja kieruję wydarzeniami. Bo moim przeznaczeniem jest zostać kimś wielkim.

Inną dobrą nowiną już się z nimi nie podzielił. Nie powiedział im o czeku na sumę pięciuset funtów z osobistego konta Watermastera, pięciuset funtów, za które miał urządzić się w życiu - jak twierdził Syd, najprawdopodobniej gdzieś w samym sercu Australii. Rick czek potwierdził, ale na gotówkę zamienił go Syd, bo konto Ricka, jak później często bywało, miało się akurat nie najlepiej. Kilka dni później Rick, wzmocniony tak okazałą kwotą, wydał wystawny, choć niewesoły bankiet w hotelu Brinkley Towers, na który zaprosił oprócz swego stałego dworu kilka miejscowych ślicznotek, stale kręcących się wokół tego dobranego towarzystwa. Syd dobrze pamięta wspólne dla wszystkich gości poczucie historycznych zmian zachodzących w ich życiu, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, co się kończy, a co zaczyna. Wygłoszono kilka toastów, których motywem przewodnim było trzymanie się kupy i chęć osiągnięcia czegoś w życiu; lecz gdy przyszło do wypicia zdrowia Ricka, ten odpowiedział bardzo nietypowo, bo krótko. Szeptano wokół, że bardzo to przeżywa, widziano nawet łzy, co zresztą przytrafiało mu się wtedy dość często, wystarczyło pomachać mu przed nosem chusteczką, a już zaczynał szlochać jak bóbr. Niektórzy goście nieco dziwili się, że na przyjęciu obecny był wielki prawnik, mecenas Perce Loft, a jeszcze bardziej zdziwili się, gdy się okazało, że jego osobą towarzyszącą jest przepiękna, więc kompletnie do niego niepasująca studentka muzyki o nazwisku Lippschitz i o imieniu Annie, która, choć ubrana nader skromnie, przyćmiła urodą inne ślicznotki. Wszyscy natychmiast zaczęli nazywać ją Lippsie. Była uciekinierką z Niemiec, a zjawiała się u Perce'a w jakiejś sprawie imigracyjnej, ten zaś, w swojej dobroci, wyciągnął ku niej - tak jak ku Rickowi - pomocną dłoń. Na zakończenie uroczystości Morrie Washington, nadworny błazen, odśpiewał pieśń, której refren wykonywały wszystkie panie, choć Lippsie śpiewała aż za dobrze, a w dodatku, będąc

cudzoziemką, nie potrafiła docenić piękna co pikantniejszych zwrotek. Tymczasem nastał świt. Elegancka taksówka uniosła Ricka w dal i przez wiele lat nikt go w tych stronach nie widział.

Historia odnotowała poza tym, że następnego dnia Richard Thomas Pym, kawaler, i Dorothy Godchild Watermaster, panna, oboje zamieszkali bardzo tymczasowo na terenie naszej parafii, pobrali się podczas podniosłej, acz dyskretnej ceremonii w obecności dwóch przygodnych świadków w nowo otwartym urzędzie stanu cywilnego obok zachodniej obwodnicy miasteczka, niedaleko skrzyżowania na lotnisko Northolt. I że w niecałe sześć miesięcy później urodził się im ważący bardzo mało chłopczyk, któremu nadano imiona Magnus Richard, niech mu Bóg pomaga. Narodziny te zostały odnotowane w zupełnie inny sposób - co sprawdziłem - w Rejestrze Handlowym. Bo w niespełna czterdzieści osiem godzin od tego szczęśliwego wydarzenia Rick powołał do życia Towarzystwo Ubezpieczeniowe Magnus Star, sp. z o.o. o kapitale akcyjnym w wysokości dwóch tysięcy funtów. Celem działania nowo powstałej firmy były Ubezpieczenia na Życie dla Osób Potrzebujących, Niepełnosprawnych i w Podeszłym Wieku. Księgowym został pan Muspole, radcą prawnym Perce Loft, sekretarzem Morrie Washington, patronem zaś śp. burmistrz Thomas Pym.

- To tak naprawdę był autobus, czy to tylko popelina? - zapytałem Syda.

Syd zawsze odpowiada bardzo ostrożnie.

- Niewykluczone, że jakiś autobus mógł być. Nie mówię, że nie. Skłamałbym, gdybym tak powiedział. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że o żadnym autobusie nie słyszałem, dopóki twój tata nie wspomniał wtedy o tym w kościele.

- To co zrobił z tymi pieniędzmi, jeżeli żadnego autobusu nie było?

Syd naprawdę nie ma pojęcia, od tego czasu puścili razem tyle tysięcy funtów, tyle marzeń rozwiało się jak dym... Może Rick je porozdawał, mówi wreszcie z pewnym zażenowaniem.

- Wiesz, twój tata nikomu nie umiał odmówić, a już szczególnie ślicznokom. Nigdy nie czuł się tak dobrze, jak wtedy gdy dawał innym. A może pojawił się jakiś hochsztapler i

je od niego wycygał, bo twój tata uwielbiał hochsztaplerów. - W tym momencie, ku mojemu zdumieniu, Syd zaczerwienił się, a ja dosłyszałem cicho, lecz wyraźnie, rytmiczne klaskanie jego języka, jakim zawsze raczył mnie w dzieciństwie, gdy chciałem, by udawał konika.

- Chcesz mi powiedzieć, że tata grał na wyścigach pieniędzmi ze zbiórki na czytelnię? - zapytałem.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że ten jego autobus mógł być nie mechaniczny, tylko konny. Tylko to miałem na myśli, no nie, Meg?

No ale ten autobus przecież był! I to wcale nie konny. Był to najwspanialszy, najszybszy autobus, jaki kiedykolwiek jeździł po naszych drogach. Na jego lśniącej karoserii pyszniła się złotymi literami nazwa Firmy Przewozów Pasażerskich Pym & Zbawienie, jak iluminowane inicjały wszystkich Biblii z czasów młodości Ricka. Jego zielony kolor był kolorem nadziei. Miał go poprowadzić sam sir Malcolm Campbell, sławny motorowodniak. Mieli nim jechać Wielcy Ludzie Naszego Kraju. Na widok autobusu ludzie z miasteczka mieli uklęknąć, złożyć dłonie i dziękować zań po równo Bogu i Rickowi. Pod balkonem domu Ricka miały gromadzić się wdzięczne tłumy i wywoływać go. Wyobrażałem sobie, jak w oczekiwaniu na ten dzień ćwiczysz iście monarszy ruch dłoni: unosi je złączone w górę, jakby to mnie nimi kołysał. Uśmiecha się ze łzami wzruszenia w oczach i mówi: „Wszystko to zawdzięczam mojemu ojcu”. A jeżeli, i tak bez wątpienia było, firma Balham z Brinkley, najlepsi liberałowie w kraju, nigdy tak naprawdę nie słyszeli o autobusie Ricka, i nigdy nie obiecywali odmalować go po kosztach z dobroci serca, to tylko dlatego, że istnieli w tej samej warunkowej rzeczywistości, co sam autobus. Czekali tylko, aż czarodziejska różdżka Ricka powoła ich do życia. Dopiero gdy wścibscy niedowiarkowie pokroju Makepeace'a Watermastera nie potrafili docenić jego starań, Rick musiał wziąć udział w wojnie religijnej i jak wielu innych wielkich ludzi w tym położeniu bronić wiary niezbyt pięknymi metodami. Bo on żądał od innych tylko bezgranicznej miłości. Niewdzięczny ten, kto ślepo mu nie wierzy. A potem wystarczy czekać, by ten boski bankier w sześć miesięcy pomnożył złożony u niego kapitał miłości.

Rozdział 3

Mary była przygotowana na wszystko, ale nie na to: na szybkość i bezwzględność działania intruzów, na to że będzie ich tyłu, na ogrom i złożoność gniewu Jacka Brotherhooda oraz na jego zdezorientowanie, większe nawet od tego, które sama czuła. I na straszliwą ulgę, jaką poczuła, gdy się pojawił.

Wpuszczony do holu ledwo na nią spojrzął.

- Podejrzewałaś w ogóle, że coś takiego może się zdarzyć?

- Przecież bym ci powiedziała. - Już kłótnia, jeszcze zanim zaczęli się kłócić.

- Telefonował? - Nie.

- Nikt inny też nie?

- Nie.

- Nikt się nie kontaktował? Nic się nie zmieniło?

- Nie.

- Przywiozłem ci gości. - Wskazał kciukiem dwa stojące za nim cienie. - Twoi krewni z Londynu, przyjechali pocieszyć cię w tych ciężkich chwilach. Niedługo będzie ich więcej. - Po czym minął ją energicznie, jak wielki jastrząb rzucający się na inną zdobycz, zostawiając jej jeden, jedyny obraz swej pomarszczonej twarzy i obwisłego siwego kosmyka.

- Jestem Georgie z Centrali - powiedziała stojąca na progu dziewczyna. - A to Fergus. Tak nam przykro, Mary.

Oboje mieli bagaż. Mary podprowadziła ich do schodów. Najwyraźniej doskonale znali rozkład domu. Georgie była wysoka, kanciasta, o prostych i prosto uczesanych włosach. Fergus nie miał już tej klasy, zresztą taki był ostatnio styl pracy w Centrali.

- Tak nam przykro, Mary - powtórzył Fergus, ruszając za dziewczyną po schodach. - Nie masz nic przeciwko temu, że się trochę rozejrzemy, prawda?

Tymczasem w salonie Brotherhood wyłączył już wszystkie światła i gwałtownie porozsuwał kotary przeszkłonych drzwi prowadzących do ogrodu.

- Potrzebuję klucza do systemu alarmowego, nie wiem, co tu macie.

Mary pośpiesznie podeszła do kominka i dłonią szukała

srebrnego wazonika, w którym zwykle trzymała żądany klucz.

- Gdzie on jest?

- Diabli wiedzą gdzie. Dobrze się zakonspirował, tak jak go wyszkoliliśmy. Kogo on zna w Edynburgu?

- Nikogo. - Wazonik był pełny potpourri, które zrobiła razem z Tomem, ale klucza nie było.

- Myślą, że go tam namierzyli - powiedział Brotherhood. - Wydaje im się, że poleciał tam o piątej z Heathrow. Wysoki mężczyzna z ciężką aktówką. Z drugiej strony, znając lepiej naszego Magnusa, równie dobrze może być w Timbuktu.

Z szukaniem teraz tego klucza było jak z szukaniem Magnusa - nie wiedziała, od czego zacząć. Wzięła do ręki puszkę na herbatę, potrząsnęła nią. Zaczynała ogarniać ją panika, z paniką przyszły nudności. Chwyciła srebrny puchar, nagrodę Toma za wyniki w nauce. Usłyszała, że po dnie przesuwają się coś metalowego. Niosąc Jackowi klucz, uderzyła się w goleń tak mocno, że aż świeczki stanęły jej w oczach. Ten cholerny stółek od fortepianu.

- Ledererowie dzwonili?

- Nie. Mówiłam ci. Nikt nie dzwonił. Z lotniska wróciłam dopiero o jedenastej.

- Gdzie są dziurki od klucza?

Znalazła górną dziurkę i poprowadziła tam jego dłoń. Powinno być sama to zrobić, wtedy nie musiałabym go dotykać. Uklękła i zaczęła palcami szukać dolnej. Teraz wygląda, jakbym całowała jego stopy.

- Już tak kiedyś zniknął i nic ci nie powiedział? - wypytywał dalej Brotherhood, podczas gdy ona wciąż usiłowała namacać drugą dziurkę. - Nie.

- Mary, mów prawdę. Londyn trzyma mnie za gardło. Brammel dostał spazmów, Nigel właśnie teraz konwersuje w cztery oczy z ambasadorem. RAF nie dowozi nas tu w środku nocy tylko dlatego, że nam się tak podoba.

Nigel to kat Bo Brammela, powiedział kiedyś Magnus. Brammel mówi, kogo ma nie być, Nigel podkrada się z tyłu i ścina głowę.

- Nigdy. Naprawdę nigdy. Daję słowo - powiedziała.

- Ma jakieś ulubione miejsce? Nie mówił, że chce się gdzieś

zaszyć?

- Kiedyś wspomniał coś o Irlandii. Że kupi farmę nad morzem i będzie tam pisał.

- W której Irlandii? Północnej? Południowej?

- Nie wiem, pewnie w południowej. Byle nad morzem. A potem nagle zaczął mówić o Bahamach. Tak, potem były Bahamy.

- Kogo tam ma?

- Nikogo. Przynajmniej o ile wiem.

- A nie mówił kiedyś o przejściu na drugą stronę? O małej dączy nad Morzem Czarnym?

- Nie wygłupiaj się.

- Czyli najpierw Irlandia, potem Bahamy? Kiedy mówił o Bahamach?

- W ogóle nie mówił. Zaznaczał mi tylko ogłoszenia w „Timesie”.

- Taki znak?

- Znak, wymówka, namawianie, sygnał, że chciałby być gdzie indziej. Magnus umie mówić na wiele sposobów.

- A czy mówił kiedyś, że chce ze sobą skończyć? Oni cię o to zapytają, więc lepiej, że ja to zrobię pierwszy.

- Nie. Nie, nie mówił.

- Ale nie jesteś całkiem pewna, co?

- Bo nie jestem, musiałabym pomyśleć.

- Czy kiedykolwiek bał się o siebie, no, tak fizycznie?

- Jack, ja nie mogę tak od razu na wszystko ci odpowiedzieć! On jest taki skomplikowany... Muszę się zastanowić. - Uspokoila się. - W zasadzie nie. Nie na wszystkie te pytania. To kompletne zaskoczenie.

- Ale coś bardzo szybko zadzwoniłaś do mnie z lotniska. Ledwo się okazało, że nie było go w samolocie, ty już: „Jack, Jack, co się stało z Magnusem?”. No i miałaś rację, zniknął.

- Przecież widziałam, do cholery, że jego walizka jeździ w kółko po pasie! Czyli odprawił się! To czemu nie wsiadł do samolotu?

- Dużo pije?

- Ostatnio mniej.

- Mniej niż na Lesbos?

- O wiele mniej.
- A te jego bóle głowy?
- Skończyły się.
- Ma kogoś na boku?
- Nie wiem. Nawet gdyby miał, też bym o tym nie wiedziała, bo skąd? Może rzeczywiście chodzi o kobietę, a może tylko o kontakt? Może Bee Lederer, bo zawsze miała na niego ochotę. Ją zapytaj.

- Zawsze myślałem, że żona pierwsza wyczuje - powiedział Brotherhood.

Ale nie z Magnusem, pomyślała, powoli zaczynając dotrzymywać mu kroku.

- Dalej przynosi papiery z pracy, żeby siedzieć nad nimi po nocy? - zapytał Brotherhood, wyglądając równocześnie na ogród pokryty śniegiem.

- Od czasu do czasu.

- Teraz coś zostawił?

- Nic o tym nie wiem.

- Może amerykańskie?

- Jack, przecież ja tego nie czytam. Skąd mam wiedzieć?

- Gdzie je trzyma?

- Przynosi je wieczorem, rano odnosi do pracy, jak wszyscy.

- I gdzie je trzyma, Mary?

- Przy łóżku, w biurku, wszędzie tam, gdzie akurat pracuje.

- A Lederer nie dzwonił?

- Mówiłam ci już. Nie!

Brotherhood odsunął się od drzwi. Niemal wpadli przez nie do środka dwaj zakutani w płaszcze i szaliki mężczyźni. Poznała Lumsdena, osobistego sekretarza ambasadora. Ostatnio pożarła się z jego żoną, Caroline, o pojemnik na puste butelki, który Mary proponowała ustawić przed ambasadą jako wzór do naśladowania dla wiedeńców. Mary uważała, że to absolutnie nieodzwonne, Caroline Lumsden, że bez sensu, i w dodatku bez ogródek powiedziała, dlaczego tak uważa, na zebraniu wewnętrznego kręgu Towarzystwa Żon Dyplomatów: bo Mary nie jest nawet prawdziwą żoną. Mary należy do Tych, o których Się Nie Mówi, i że tylko dlatego w ogóle przyjęto ją do żon, żeby nie spalić jej męża.

Obaj musieli przedzierać się ścieżką przez ogród od tyłu, pomyślała. Śniegu tam po kolana. Wszystko dla dyskrecji.

- Zdrowaś Mario - powiedział wesoło Lumsden głosem drużynowego, który miał tak świetnie dopracowany. Był katolikiem, ale zawsze tak właśnie ją witał. Więc dzisiaj też. Dzień jak co dzień.

- Czy wtedy, kiedy było u was to przyjęcie, przyniósł coś ze sobą? - pytał znowu Brotherhood i równocześnie z powrotem zasuwiał story.

- Nie. - Włączyła światło.

- Wiesz, co jest w tej czarnej aktówce, którą ma ze sobą?

- Stąd jej nie wziął, więc musiał zabrać z ambasady. Stąd wziął tylko walizkę, która jest na Schwechat.

- Była na Schwechat - poprawił ją Brotherhood.

Drugi mężczyzna był wysoki, o chorowitym wyglądzie. W każdej chronionej rękawiczką dłoni trzymał wypchaną torbę. Jakby miał robić skrobankę. Pomyślała głupio: ich tu się zwałił cały samolot. Centrala musi chyba mieć grupę operacyjną do likwidacji zdrajców w całodobowym pogotowiu.

- A to jest Harry - powiedział Brotherhood. - Powsadza ci do telefonów takie sprytne pudełka. Ale z telefonów korzystaj normalnie. W ogóle nie zwracaj na nas uwagi. Masz coś przeciwko?

- A mogę mieć?

- Racja, nie możesz. Ja jestem grzeczny, więc może ty też będziesz trochę grzeczniejsza? Macie dwa samochody. Gdzie są?

- Rover jest przed domem, metro na parkingu na lotnisku, czeka na Magnusa.

- Dlaczego pojechałaś po niego na lotnisko, skoro miał samochód?

- Pomyślałam, że może się ucieszy, więc wzięłam taksówkę i pojechałam.

- A czemu nie roverem?

- Chciałam być z nim, a nie bawić się w konwój.

- Gdzie kluczyki do metro?

- Pewnie u niego w kieszeni.

- Masz drugi komplet?

Przez chwilę musiała pogrzebać w torebce, nim znalazła. Wrzucił je sobie do kieszeni.

- Pozbędę się go - powiedziała. - Jak ktoś zapyta, jest w naprawie. Nie chcę, żeby mi się pałętał na lotnisku.

Usłyszała z góry głucho uderzenie. Coś spadło. Patrzyła, jak Harry zdejmuje kalosze i ustawia je równo na wycieraczkę przed drzwiami.

- Jego ojciec umarł w środę. Po co jeszcze, poza pogrzebem, pojechał do Londynu? - ciągnął Brotherhood.

- Myślałam, że wpadnie na chwilę do Centrali.

- Nie wpadł. Ani nie przyszedł, też nie zatelefonował.

- Więc może był zajęty.

- Czy miał jeszcze inne plany w Londynie? Mówił ci coś o tym?

- Powiedział, że odwiedzi Toma w szkole.

- I odwiedził. Pojechał tam. Coś jeszcze? Z kimś się umawiał? Ze znajomymi? Z kobietą?

Nagle miała go serdecznie dość.

- Pojechał pochować ojca i pozalać wszystkie formalności. Nie miał czasu na nic poza tym. Gdybyś miał ojca, i gdyby ci umarł, wiedziałbyś, jak to jest.

- Telefonował do ciebie z Londynu.

- Nie.

- Spokojnie, Mary, pomyśl. To już pięć dni.

- Nie. Nie telefonował. Mówię przecież.

- A zwykle telefonował?

- Jeżeli mógł skorzystał z telefonu w Centrali, to tak.

- A jak nie?

Naprawdę starała się myśleć. Myślała już tak długo.

- Tak - przyznała. - Zwykle telefonował. Lubi wiedzieć, czy u nas wszystko w porządku. Ciągłe się o nas boi. Pewnie dlatego tak zareagowałam, kiedy się nie pojawił. Pewnie się bałam.

Lumsden snuł się po pokoju w skarpetkach, udając, że podziwia akwarelki Mary z pobytu w Grecji.

- Ależ ty masz talent - zachwycał się, przysuwając twarz do widoczku z Plomari. - Studiowałaś malarstwo, czy samo ci to przychodzi?

Zignorowała go. Brotherhood też. Porozumieli się bez słów.

Jack zawsze mawiał, że ideałem dyplomaty byłby głuchy zakonnik. Teraz Mary zaczynała przyznawać mu rację.

- Gdzie służąca? - zapytał Brotherhood.

- Kazałeś mi się jej pozbyć. Przez telefon, kiedy do ciebie zadzwoniłam.

- Domyśla się czegoś?

- Nie sędzę.

- Mary, to nie może się roznieść. Musimy się z tym kryć, jak długo się da. Wiesz o tym, prawda?

- Już się tego domyśliłam.

- Trzeba wziąć pod uwagę jego kontakty, wszystko, więcej, niż sobie wyobrażasz. Londyn aż się trzęsie od hipotez i błaga o pośpiech. Jesteś całkiem pewna, że Lederer nie dzwonił?

- Jezu! - powiedziała.

Jej wzrok padł na Harry'ego, który rozpakowywał swoje „sprytne pudełeczka”, zielone, bez widocznych przycisków czy pokręteł.

- Służącej powiesz, że to transformatory - powiedział.

- Umformer - usłużnie dorzucił Lumsden. - Transformator to Umformer. Die kleinen Buchsen sind Umformer.

Znowu go zignorowali. Jack mówił po niemiecku prawie tak dobrze jak Magnus i mniej więcej trzysta razy lepiej niż Lumsden.

- Kiedy ma wrócić? - zapytał Brotherhood.

- Kto?

- No, twoja służąca, na miłość boską.

- Jutro w południe.

- To bądź taka dobra i załatw, żeby nie wracała jeszcze przez parę dni.

- O tej porze?

- Cholera, o tej porze. Już.

Poszła do kuchni i zatelefonowała do matki Frau Bauer do Salzburga. Bardzo przepraszam, że o tej porze, ale mamy śmierć w rodzinie, wie pani, jak to jest. Herr Pym zostanie w Londynie przez parę dni. A skoro tak, to może, korzystając z tego, niech córka odpocznie trochę?

Kiedy Mary wróciła, zaczął mówić Lumsden.

- Teraz, tak na wszelki wypadek, żeby wszystko było jasne,

Mary... Dla pewności, że się rozumiemy, Mary... Dopóki Nigel siedzi z ambasadorem... Gdyby, co nie daj Boże, nieodpowiedzialni dziennikarze zwąchali coś, zanim wszystko wyjaśnimy, Mary... - Lumsden miał przygotowany banał na każdą okazję, czemu zawdzięczał swą opinię bystrzaka. - W każdym razie nasz pan ambas tak to wszystko widzi - zakończył. Oczywiście, nie omieszkał popisać się najnowszym żargonem. - Chyba że dostaniemy polecenie. Ale tylko w tym wypadku. Aha, Mary, i gorąco cię pozdrawia. Cały czas o was myśli, to znaczy o tobie i o Magnusie. Wyraży współczucia i tak dalej.

- I ani słowa ludziom od Lederera - uprzedził Brotherhood. - Ani słowa nikomu, ale, na miłość boską, ani słowa Ledererowi. Nikt nie zniknął, wszystko w porządku. Pojechał do Londynu na pogrzeb ojca, zostaje parę dni na rozmowy w Centrali. Koniec, kropka.

- Na razie wszystkim dokładnie tak mówiłam - powiedziała Mary do Brotherhooda, jakby Lumsden w ogóle nie istniał. - Tylko że Magnus wcale nie prosił o urlop okolicznościowy.

- No i właśnie pan ambas nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział, jeśli łaska - rzekł Lumsden, pokazując pazury. - Więc nikomu nie powiemy, dobrze?

Brotherhood odwrócił się do niego. Mary należy do rodziny, nikt nie będzie przy nim nią pomiatał, a już na pewno nie jakiś przeuczony mydłek ze Spraw Zagranicznych.

- Zrobiłeś swoje? - zapytał. - To spadaj. Ale już. Lumsden wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł, ale szybciej.

Brotherhood popatrzył na Mary. Zostali sami. Był rozłożysty jak stary dąb i, kiedy chciał, równie szorstki. Siwy kosmyk opadł mu na czoło. Położył jej ręce na biodrach, jak dawniej miał w zwyczaju, i przyciągnął ją do siebie.

- Niech to diabli, Mary - powiedział, wciąż ją trzymając. - Magnus to mój najlepszy człowiek. Coś ty z nim zrobiła?

Z góry usłyszała skrzypienie rolek i głośny huk. Nasza rzeźbiona komoda. Nie, nasze łóżko. Georgie i Fergus „rozglądają się” na górze.

Biurko stało w dawnej służbówce przy kuchni, w wielkiej, pełnej pajęczyn suterenie, na którą już od ponad czterdziestu lat

nie skazywano nikogo ze służby. Pod oknem, wśród doniczek Mary, stała jej sztaluga i akwarele. Pod ścianą stary czarno - biały telewizor i rozwalająca się kanapa, z której go oglądano. „Nic tak nie pomaga zdecydować się, czy warto oglądać dany program, jak odrobina niewygody”, mawiał mentorskim tonem Magnus. We wnęce, pod płataniną rur, stał stół pingpongowy, przy którym Mary bawiła się w introligatorstwo, założony kawałkami skór, płótna, stoikami z klejem, zaciskami, nićmi, wyklejkami, nożykami, ubranymi w stare skarpetki Magnusa cegłami, których używała zamiast ołowianych przycisków, i sfatygowanymi woluminami kupionymi za parę szylingów na wiedeńskim pchlim targu. I właśnie tuż obok, przy nieczynnym bojlerze, stało biurko Magnusa, wielkie, absurdalne, habsburskie biurko, kupione za bezcen na licytacji w Grazu, przepiłowane na pół, żeby zmieściło się przez drzwi, i sklezione z powrotem przez Magnusa, złotą rączkę. Brotherhood próbował otworzyć szuflady.

- Klucz?

- Musiał wziąć ze sobą. Brotherhood uniósł głowę.

- Harry!

Harry nosił wytrychy na łańcuszku, jak inni noszą klucze. Manipulując nimi w zamku, wstrzymywał oddech, by lepiej słyszeć.

- Pracuje tylko tutaj czy jeszcze gdzieś?

- Mój tata zostawił mu swój stary stół na mapy. Magnus czasem i przy nim pracuje.

- Gdzie jest ten stół?

- Na górze.

- Gdzie na górze?

- W pokoju Toma.

- Co, i tam też trzyma dokumenty? Papiery z Firmy?

- Nie sądzę. Ale nie wiem gdzie.

Harry wyszedł z opuszczoną głową, uśmiechając się do siebie. Brotherhood otworzył jedną z szuflad.

- To materiały do książki, którą pisze - powiedziała, gdy wyciągnął ze środka cienki segregator. Magnus zawsze trzyma wszystko w czymś; żeby coś dla niego istniało, musi być przebrane za coś innego.

- A, do książki? - Już nakładał okulary, najpierw na jedno, potem na drugie poczerwieniałe ucho. O książce też wie, pomyślała, patrząc na niego. Nawet nie próbuje udawać zdziwienia.

- Do książki. - Mógłbyś przynajmniej odłożyć potem wszystko na miejsce, pomyślała. Zaniepokoił ją jego nagły chłód, nagła bezwzględność.

- Czyli skończył z rysowaniem? Myślałem, że oboje się w to bawicie.

- Jakoś nie dawało mu to satysfakcji. Uznał, że woli słowo pisane.

- No, za wiele to on tu nie napisał. Kiedy się przerwucił?

- Na Lesbos. Na wakacjach. Jeszcze nie pisze, tylko się przygotowuje.

- Aha. - Zabrał się do następnej strony.

- Mówi, że kładzie fundament.

- A, fundament? - Nie przestawał czytać. - Muszę to pokazać Bo. On zna się na literaturze.

- A kiedy pójdziemy na emeryturę... to znaczy, kiedy on pójdzie na emeryturę... jeżeli on przejdzie na wcześniejszą emeryturę, będzie pisał, ja będę malować i oprawiać książki. Taki mamy plan.

Brotherhood odwrócił kolejną stronę.

- Pewnie w Dorset?

- Tak. W Plush.

- No i rzeczywiście poszedł na wcześniejszą emeryturę - zauważył niezbyt miło, wracając do lektury. - Czy przez jakiś czas nie bawił się rzeźbą?

- To było okropnie niepraktyczne.

- Też tak uważam.

- Przecież sami do tego zachęacie w Firmie, Jack. Sami mówicie, że powinniśmy mieć jakieś hobby.

- To o czym ma być ta książka? O czymś konkretnym?

- Chyba jeszcze się nie zdecydował. Nie chce o tym mówić.

- Posłuchaj tego: „Kiedy cały dom ogarnął smutek; kiedy sam Edward cierpiał i starał się zachowywać jak najdelikatniej”. Przecież to nawet nie jest pełne zdanie.

- On tego nie napisał.

- To jego pismo, Mary.

- Ale on to gdzieś wyczytał. Kiedy czyta książkę, podkreśla różne rzeczy ołówkiem. Potem, jak skończy, wypisuje to, co mu się najbardziej podobało.

Z góry usłyszała ostry trzask, trochę jak odgłos padającego drzewa albo wystrzał z pistoletu, z czasów kiedy ją tego uczono.

- To z pokoju Toma - powiedziała. - Tam naprawdę nie mają po co wchodzić.

- Przynies mi torbę, kochanie - powiedział Brotherhood. - Wystarczy zwykła, plastikowa, na śmieci.

Poszła do kuchni. Czemu pozwalałam, żeby mi to robił? Czemu pozwalałam mu wpakowywać się z butami do mojego domu, małżeństwa, umysłu, i zabierać wszystko, co tylko wyda mu się podejrzanym?

Mary zwykle nie była taka potulna. Hydraulicy, sprzedawcy i elektrycy mieli z nią ciężkie życie. W angielskiej szkole, w angielskim kościele, w Towarzystwie Żon Dyplomatów uważano ją za niezłą jędzę. A teraz jedno twarde spojrzenie szarych oczu Jacka Brotherhooda, jedno warknięcie jego donośnego, spokojnego głosu wystarczyło, by była gotowa na każde skinienie.

To dlatego, że tak bardzo przypomina mi tatusia, pomyślała. Kocha naszą Anglię taką, jaka jest, a reszta może się wypchać.

To dlatego, że pracowałam u niego w Berlinie, kiedy byłam głupią pensjonarką, która umiała tylko jedno. Jack był wtedy moim znacznie starszym kochankiem, bo myślałam, że potrzebuję kogoś takiego.

Dlatego że to dla mnie pomógł Magnusowi, którego to tyle kosztowało, przeprowadzić rozwód, i że dał mu mnie „na potem”.

Dlatego, że on też kocha Magnusa. Brotherhood przerzucał strony jej terminarzyka.

- Kto to jest S.? - zapytał, stukając palcem w jedną ze stron.
- Dwudziesty piąty stycznia, osiemnasta trzydzieści S. Szesnastego też jest S. Kto to jest ten S., z którym się spotyka?

Poczuła, jak budzi się w niej krzyk, a nie miała już więcej whisky, by go zagłuszyć. Że z tylu wpisów, przecież jest ich tam kilkadziesiąt, musiał wybrać akurat ten.

- Nie wiem. Może jakiś kontakt. Nie wiem.

- Przecież to ty zapisywałaś, prawda?

- Bo Magnus mnie prosił. „Zapisz, że mam się spotkać z S.”
Sam nie prowadził kalendarzyka. Mówił, że to wbrew zasadom bezpieczeństwa.

- I kazał ci wpisywać swoje terminy do twojego kalendarzyka?

- Mówił, że jeżeli ktoś tam zaglądnie, nie będzie wiedział, które są jego, a które moje. To był mój udział.

Poczuła na sobie wzrok Brotherhooda. Wyciąga ze mnie wszystko, pomyślała. Stara się wyczuć drżenie mojego głosu.

- Jaki udział?

- W jego pracy.

- Wytłumacz mi to.

- Nie mógł mi mówić, co robi, ale chciał, żebym wiedziała, że w ogóle coś robi i kiedy.

- Tak powiedział?

- Czulałam to.

- Co czułaś?

- Że jest dumny z tego, co robi! I że chce, żebym wiedziała.

- O czym?

Brotherhood umiał doprowadzać ją do szału nawet wtedy, gdy zdawała sobie sprawę, że właśnie o to mu chodzi.

- O tym, że prowadzi drugie życie! Że to coś ważnego. Że jest narzędziem.

- Naszym?

- Twoim, Jack. Firmy! A myślałaś, że czym? Amerykanów?

- Dlaczego akurat Amerykanów?

- Przecież służył w Waszyngtonie.

- To akurat nie jest żaden argument, wręcz przeciwnie. Ledererów znacie jeszcze z Waszyngtonu?

- Oczywiście.

- Ale tu poznaliście się lepiej, co? Słyszałem, że ona jest całkiem niezła.

Teraz przeglądał dni, które dopiero trzeba będzie przeżyć, jutro, pojutrze. Potem weekend, który już rozwierał się przed nią jak wielka czarna dziura w jej zdruzgotanym świecie.

- Nie masz nic przeciwko temu, że to też wezmę?

Mary jak najbardziej miała coś przeciwko temu. Nie miała zapasowego terminarzyka - zapasowego życia zresztą też. Wyrwała mu go z dłoni i bez pośpiechu przepisała swą przyszłość na kartkę papieru: „Na drinka do Ledererów... obiad u Dinkelów... koniec semestru Toma...” Doszła do: „Osiemnasta trzydzieści S.” i skończyła.

- Czemu ta szuflada jest pusta? - zapytał.
- Nie wiedziałam, że jest pusta.
- A co tam zwykle jest?
- Stare zdjęcia, pamiątki. Nic ważnego.
- Od dawna jest pusta?
- Nie wiem, Jack. Nie wiem! Dasz mi wreszcie spokój czy nie?
- Czy to właśnie wsadził do walizki?
- Nie patrzyłam, jak się pakował.
- A słyszałaś, jak się pakował?
- Tak.

Zadzwoił telefon. Ręka Mary skoczyła, by odebrać, ale Brotherhood już chwycił ją za nadgarstek. Nie puszczając jej, przechylił się w stronę drzwi i wrzasnął na Harry'ego. A telefon dzwonił. Była już prawie czwarta rano. Kto, u licha, może dzwonić o tej porze, jeśli nie Magnus? Mary modliła się w duchu tak głośno, że prawie nie słyszała krzyków Brotherhooda. Telefon wołał ją, a dla niej w tej chwili liczył się już tylko Magnus i jej rodzina.

- To może być Tom! - krzyknęła, usiłując się wyrwać. - Puść mnie, do diabła!
- Albo Lederer.

Harry chyba sfrunął na dół, a nie schodził po schodach, bo zdążyła naliczyć tylko dwa dzwonki, a już stanął w drzwiach.

- Sprawdź skąd i nagraj - rozkazał Jack głośno i dobitnie. Harry zniknął. Brotherhood puścił Mary. - Rozmawiaj długo, jak najdłużej, Mary. Przeciągnij, ile się da. Zresztą dobra jesteś w te klocki. No, do roboty.

Podniosła słuchawkę i odezwała się:

- Mieszkanie państwa Pymów.

Nikt jej nie odpowiedział. Brotherhood prowadził ją swymi potężnymi dłońmi, zmuszał ją, by mówiła. Usłyszała metaliczny

dźwięk. Nakryła dłonią mikrofon.

- To może być sygnał - powiedziała bezgłośnie. Uniosła palec na znak, że raz. Potem drugi. Potem trzeci. To był sygnał. Stosowali je w Berlinie: dwa oznaczają to, trzy tamto. Zawsze uzgadniane osobiście między kontaktem a bazą. Otworzyła oczy, pytając wzrokiem, co ma zrobić. Pokręcił głową, że też nie wie.

- Rozmawiaj - powiedział samym tylko ruchem warg. Mary wzięła głęboki oddech.

- Halo? Proszę głośniej. - Uciekła w niemiecki. - Tu mieszkanie radcy Magnusa Pyma z ambasady Wielkiej Brytanii. Kto mówi? Proszę mówić. Pana Pyma nie ma w tej chwili w domu. Jeżeli chce pan zostawić wiadomość, proszę bardzo. Jeżeli nie, proszę zatelefonować później. Halo?

Jeszcze, ponaglał ją Jack. Wysił się trochę. Wyrecytowała numer telefonu, najpierw po niemiecku, potem po angielsku. Linia nadal była otwarta, wydawało się jej, że słyszy odgłosy ruchu ulicznego i strzępy muzyki, jakby odtwarzanej na połowie prędkości, ale metaliczny dźwięk już się nie powtórzył. Jeszcze raz podała numer po angielsku.

- Proszę mówić. Fatalne połączenie. Halo. Czy pan mnie słyszy? Kto mówi? Pro - szę mó - wić głoś - niej.

Nagle nie wytrzymała. Zamknęła oczy i krzyknęła:

- Magnus, na miłość boską, powiedz, gdzie jesteś!

Ale Brotherhood doskonale to przewidział. Znając ją jeszcze jako kochanek, wyczuł, że wybuch nadchodzi, i na czas nacisnął widełki.

- Za krótko, proszę pana - narzekał Harry od drzwi. - Co najmniej o minutę.

- Z zagranicy? - zapytał Brotherhood.

- Mogło być i z zagranicy, i z domu obok.

- Mary, zachowałeś się bardzo brzydko, żeby mi to było ostatni raz. Jesteśmy po tej samej stronie, ale ja tu rządzę.

- Ktoś go porwał - powiedziała. - Na pewno ktoś go porwał. Wszystko nagle znieruchomiało: ona sama, jego blade oczy, nawet stojący w drzwiach Harry.

- Czyli wolisz, żeby go ktoś porwał, tak? Ciekawe, że tak myślisz. Ciekawe, co według ciebie byłoby gorsze od porwania.

Usiłując wytrzymać jego wzrok, Mary wpadła w istną pętlę czasu. Ja nic nie wiem. Ja chcę do Plush. Oddajcie mi to, za co polegli Sam i tatuś. Nagle stała się maturzystką, która siedzi przed szkolną doradczynią zawodową w połowie ostatniego semestru. Obok doradczynie siedzi jeszcze jedna kobieta, z Londynu, na oko widać, że jakaś twarda baba.

- Kochanie, ta pani jest z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - mówi doradczyni.

- Pewnego bardzo szczególnego działu ministerstwa - mówi twardzielka.

- Twoje zdolności plastyczne zrobiły na niej wielkie wrażenie, kochanie - mówi doradczyni. - Tak jak my, podziwia twoje rysunki. Ma nadzieję, że może chciałabyś zawieźć swoją teczkę na dzień lub dwa do Londynu, żeby ją pokazać jeszcze paru osobom.

- To dla ojczyzny, kochanie - mówi twardzielka znacząco; wie, że mówi do dziecka angielskich patriotów.

Mary widzi teraz ośrodek szkoleniowy we wschodniej Anglii, dziewczyny takie jak ona, całą swoją klasę. Przypomina sobie beztroskie lekcje kopiowania, rytownictwa, barwienia, znajomości gatunków papieru, materiałoznawstwa, sporządzania i podrabiania znaków wodnych, wycinania pieczętek, postarzania i odmładzania papieru, i usiłuje też przypomnieć sobie moment, w którym wreszcie zorientowała się, że uczą się fałszować dokumenty dla szpiegów. I widzi siebie, jak stoi przed Jackiem Brotherhoodem w jego zabałaganionym gabinecie na górnym piętrze bazy w Berlinie, o rzut kamieniem od Muru: nazywano go tam Jack the Stripper, czyli Kuba Rozbieracz, Jack Łasica, Jack the Black - Czarny Jack. Przede wszystkim jednak Jack był szefem placówki berlińskiej i lubił osobiście witać nowych pracowników, szczególnie ładne dwudziestolatki. Doskonale pamiętała jego wyblakły wzrok, jak powoli przesuwiał się po jej ciele, próbując odgadnąć jego kształt i seksualną atrakcyjność, i jak znienawidziła go od pierwszego wejrzenia. I tak samo usiłowała znienawidzić go teraz, patrząc, jak przegląda teczkę z wyciągniętą z biurka rodzinną korespondencją.

- Widzisz chyba, że połowa tego to listy Toma z internatu -

powiedziała.

- Czemu nie pisze do was obojga?

- Pisze do nas obojga, Jack. Ja koresponduję z Tomem osobno, a Magnus z nim też osobno.

- Brakuje wam współświadomości - powiedział Brotherhood, używając jednego z terminów fachowych, których nauczył jej w Berlinie. Zapalił grubego żółtego papierosa i z afekcją przypatrywał się jej przez płomień. Każdy z nich ma coś z pozera, pomyślała. Magnus i Grant też.

- Jesteś bez sensu - powiedziała z nerwową złością.

- Bo sytuacja jest bez sensu. Lada moment pojawi się Nigel, dopiero będzie bez sensu. Dlaczego to wszystko się stało? - Otworzył kolejną szufladę.

- Ojciec mu umarł. Jeżeli w ogóle coś się stało.

- Czyj to aparat?

- Toma, ale używamy go wszyscy.

- Macie jeszcze inne aparaty?

- Nie. Jeżeli Magnus potrzebuje do pracy, to przynosi z ambasady.

- A teraz macie tu jakiś? - Nie.

- Może to przez śmierć ojca, może przez wiele różnych rzeczy. A może przez małżeńską sprzeczkę, ó której nic nie wiem?

Sprawdzał ustawienia aparatu i oglądał ze wszystkich stron, jakby zastanawiał się nad kupnem.

- My się nie sprzecamy.

Podniósł na nią swoje wszechwiedzące oczy.

- A jak wam się to udaje?

- Bo on od razu ustępuje. Właśnie tak.

- Ale przecież ty nie, Mary. Ty przecież umiesz się kłócić jak sam diabeł.

- Już nie - odpowiedziała, mając się na baczności przed jego urokiem.

- Ty nie znałaś jego ojca, prawda? - powiedział Brotherhood, przewijając film w aparacie. - Zdaje się, że była związana z nim jakaś historia.

- Nie kontaktowali się ze sobą.

- Aha.

- Nic dramatycznego. Po prostu, ich drogi się rozeszły. Taka rodzina.

- Jaka?

- Porozrzucana to tu, to tam. Jak to w biznesie. Powiedział, że przyznał się rodzinie do pierwszego ślubu, i to powinno im wystarczyć. Właściwie w ogóle o tym nie rozmawialiśmy.

- Tom się z tym zgadza?

- Tom to dziecko.

- Tom to ostatnia osoba, z którą Magnus widział się, zanim zniknął, Mary. Poza portierem w swoim klubie.

- To go zamknij - zaproponowała opryskliwie. Brotherhood wrzucił film do torby i wziął tranzystorowe radio Magnusa.

- To ten nowy model ze wszystkimi zakresami krótkich fal?

- Chyba tak.

- Brał je ze sobą na wakacje, co?

- Tak, brał.

- Słuchał regularnie?

- No chyba byłoby trochę dziwne, gdyby nie słuchał, skoro, jak mi raz powiedziałaś, prowadzi stąd sam całą Czechosłowację.

Przekręcił gałkę. Męski głos czytał wiadomości po czesku. Brotherhood gapił się na ścianę, nie wyłączał radia, wydawało się, że może tak godzinami. Wreszcie wyłączył je i odłożył do torby. Przeniósł wzrok na niezastłonięte okno, ale przemówił dopiero po dłuższej chwili.

- Nie świecimy za dużo światła jak na tę godzinę, co, Mary?

- zapytał z roztargnieniem. - Chyba nie chcemy, żeby sąsiedzi zaczęli plotkować?

- Wiedzą, że Rick nie żyje. Wiedzą, że nie jest tak jak zwykle.

- Święta racja.

Nienawidzę go. Od zawsze. Nawet kiedy się w nim zakochałam - kiedy uczył mnie wszystkiego, a ja płakałam i dziękowałam mu - wtedy też go nienawidziłam. Usłyszała, że chce, by mu opowiedziała, jak to było. No, kiedy dowiedzieli się o śmierci Ricka. Opowiedziała mu wszystko tak, jak sobie przećwiczyła.

Znalazł garderobę. Stał teraz przed znoszonym wełnianym płaszczem, który wisiał między swetrem Toma a kożuchem Mary. Przeglądał kieszenie. Hałas na górze stał się już dość jednostajny. Jack znalazł zabrudzoną chustkę do nosa i pół paczki miętówek.

- Żartujesz sobie ze mnie - powiedział.

- Aha. Żartuję.

- Dwie godziny na mrozie i śniegu w portkach od smokingu? W środku nocy? Brat Nigel pomyśli, że zmyślam. I co w nich robił?

- Łaził.

- Gdzie łąził, kochanie?

- Nie powiedział mi.

- A pytałaś? - Nie.

- To skąd wiesz, że nie wziął taksówki?

- Nie miał przy sobie ani grosza. Portfel i drobne zostawił na górze, w ubieralni, razem z kluczami.

Brotherhood odłożył chustkę i miętówki do kieszeni płaszcza.

- A nie mógł znaleźć drobnych w kieszeniach, tu gdzieś?

- Nie.

- Skąd wiesz?

- On jest bardzo metodyczny w tych sprawach.

- To może zapłacił, jak dojechał na miejsce? - Nie.

- Może ktoś po niego podjechał?

- Nie.

- Czemu nie?

- Bo on lubi chodzić. A poza tym był w szoku. To wszystko.

Umarł mu ojciec! Nawet jeżeli za sobą nie przepadali... No i narosło w nim to wszystko. Napięcie, czy jak... Więc poszedł sobie. - A kiedy wrócił, objęłam go, pomyślała. Czułam chłód jego policzka, drżenie, gorący, słodki pot. I znowu go obejmę, jak tylko znowu przyjdzie. - Mówiłam mu: „Nie idź, dziś nie. Upij się. Oboje się upijmy”. Ale poszedł. Miał taki wyraz twarzy... - Zaraz pożałowała, że to powiedziała, ale w tej chwili była na Magnusa tak zła, jak na Jacka.

- Jaki wyraz twarzy, Mary? „Miał taki wyraz twarzy”. Nie bardzo rozumiem.

- Taki jakiś... pusty. Jak aktor bez roli.

- Bez roli? Jego ojciec umarł i Magnus zaraz jest bez roli? Co to ma znaczyć, do cholery?

Zaczyna mnie osaczać, pomyślała, rozmyślnie nie odpowiadając. Za chwilę poczuję na sobie jego dłonie, a wtedy położę się i nie będę się opierać, bo nie stać mnie już na więcej wymówek.

- Zapytaj Granta - powiedziała, usiłując sprawić mu przykrość. - To w końcu nasz nadworny psycholog. On będzie wiedział.

Przenieśli się do salonu. Brotherhood wyraźnie na coś czekał. Ona też. Na Nigela, na Pyma, na telefon. Na Georgie i Fergusa, by zeszli na dół.

- Nie za dużo tego w siebie wlewasz? - zapytał, nalewając jej kolejną szklankę whisky.

- Oczywiście że nie. Jak jestem sama, prawie w ogóle.

- I bardzo dobrze. To za łatwe. A jak pojawi się brat Nigel, ani kropli, żeby się nie domyślił.

- Rozkaz, Jack. Jesteś jak lubieżny ksiądz, który usiłuje wysępić choćby ostatek łaski boskiej, mówiła mu, patrząc, jak powoli i z namaszczeniem napełnia swoją szklankę. Najpierw wino, potem woda. Teraz oczka w dół, kielich w górę i obłudna pogawędka z Tym, który cię posłał.

- I jest wolny - zauważył. - „Jestem wolny”. Rick nie żyje, Magnus jest wolny. Kolejny freudysta, któremu nie chce przejść przez gardło słowo „ojciec”.

- W jego wieku to przecież normalne, że nazywa ojca po imieniu. A jeszcze bardziej, jeżeli nie widział się z nim od piętnastu lat.

- Podoba mi się, że tak go bronisz - powiedział Brotherhood.

- Podziwiam twoją lojalność. Im też się to spodoba. Mnie też nigdy nie zawiodłaś, wiem o tym.

Ładna lojalność, pomyślała. Trzymanie gęby na kłódkę w bazie, żeby twoja żona o niczym się nie dowiedziała.

- I płakałaś. Lubisz sobie popłakać, co, Mary? Mary płacze, Magnus ją pociesza. Zaraz, zaraz. Przecież Rick to jego tata, nie twój. Ale u was najwyraźniej nastąpiła zamiana ról: ty opłakujesz za niego. A tak naprawdę, kogo? Masz jakiś pomysł?

- Jack, dopiero co umarł mu ojciec. Nie usiadłam sobie i nie powiedziałam: „Płaczę nad Rickiem, płaczę nad Magnusem”. Po prostu płakałam, i tyle.

- A ja myślałam, że może płakałaś nad sobą.

- O co ci chodzi?

- Bo o jednej osobie nie wspomniałaś: o sobie. Sprawiasz wrażenie, jakbyś miała coś na sumieniu.

- Nic nie mam na sumieniu!

Za głośno, zorientowała się natychmiast. Jack od razu się zainteresował.

- A kiedy Magnus już skończył pocieszać Mary... - ciągnął, podnosząc książkę ze stołu i szybko przerzucając kartki - narzucił wełniany płaszczyk i poszedł się przejść w portkach od smokingu. Próbujesz go powstrzymać, błagasz go, by został, trochę trudno mi to sobie wyobrazić, ale niech będzie, nie, upart

się, idzie. Może ktoś zatelefonował, zanim wyszedł?

- Nie.

- A może któreś z was gdzieś dzwoniło?

- Mówiłam już, że nie.

- Teraz, kiedy wszędzie można dodzwonić się automatycznie, byłoby chyba naturalne, że chciałoby się podzielić smutną wieścią z resztą rodziny.

- U nich było inaczej. Już ci mówiłam.

- Na początek choćby do Toma. Co ty na to?

- Było już za późno, żeby telefonować do Toma, zresztą Magnus uznał, że lepiej będzie, jeżeli mu to powie osobiście.

Dalej zaglądał do książki.

- O, kolejna perełka. Wiesz, co podkreślił? „Jeśli ja nie istnieję, kto istnieje dla mnie? Kim jestem, istniejąc dla siebie? Jeśli nie teraz, to kiedy?”. No, no. To mam jasność. A ty?

- Ja nie.

- No właśnie. Ja też nie. Jest wolny. - Zamknął książkę i odłożył ją na stół. - A na spacer nic ze sobą nie wziął? Na przykład teczkę?

- Gazetę.

Głuchniesz, przyznaj się. I boisz się, że aparacik słuchowy zepsuje ci image. No, powiedzże coś!

Bo ona coś powiedziała. Wiedziała, że tak. Czekwała na to przez całą noc, przygotowywała się na to z każdej strony, ćwiczyła, przepowiadała sobie, zaprzeczała, zapominała, przypominała. A teraz to, co powiedziała, tłuło się jej w głowie echem jak huk wybuchu. Przerazająco niedbale pociągnęła łyk whisky ze szklanki, ale jego wbity w nią wzrok ciągle czekał.

- Gazetę - powtórzyła. - Zwyczajną gazetę. To ma jakieś znaczenie?

- Jaką?

- „Die Presse”.

- To dziennik.

- Owszem, dziennik.

- Lokalny dziennik. I Magnus wziął go, żeby sobie poczytać po ciemku. Ciągle w portkach od smokingu. No, opowiadaj.

- Już ci opowiedziałam.

- Wcale nie. Opowiadaj, bo jak zwali się tu cała góra, musisz

mieć kogoś po swojej stronie.

Pamiętała wszystko, w najdrobniejszych szczegółach. Magnus stał przy drzwiach, o krok od miejsca, w którym tkwił teraz Brotherhood. Był blady i nieprzystępny, płaszcz przekrzywił mu się na ramionach, rozglądał się po pokoju, kierując głowę to na kominiek, to na żonę, to na zegar, to na regał z książkami. Usłyszała własny głos, mówiący mu to wszystko, co już powiedziała Jackowi, tylko jeszcze więcej. Na miłość boską, Magnus, zostań. Nie popadaj w depresję, zostań. Nie zamykaj się w sobie. Zostań. Pokochaj się ze mną. Upij się. Chcesz, ściągnę z powrotem Granta i Bee albo my do nich pojedziemy. Zobaczyła jego sztywny, zbyt radosny uśmiech. I usłyszała jego głos - przesadnie swobodny. Jego głos z Lesbos. A teraz usłyszała, że sama powtarza wszystko, słowo w słowo, Brotherhoodowi.

- Powiedział: „Mary, kochanie, gdzie ta cholerna gazeta?”.

Myślałam, że chodzi mu o „Timesa”, że chce poczytać ogłoszenia o domach w Szkocji, więc powiedziałam: „Tam, gdzie go położyłeś, jak wróciłeś z ambasady”.

- Ale jemu nie chodziło o „Timesa” - stwierdził Brotherhood.

- Podeszedł do stojaka na gazety, o, tu. - Popatrzyła w tym kierunku, ale nie pokazała dłonią, bo strasznie się bała, by nie nadać temu gestowi zbyt wielkiego znaczenia. - I wziął „Die Presse”. Z tego miejsca, gdzie trzymamy „Die Presse” z całego tygodnia. Lubi, żeby mu nie wyrzucać starych numerów. I potem wyszedł - zakończyła, starając się, żeby zabrzmiało to naturalnie, bo przecież tak właśnie było.

- A w ogóle popatrzył na to, co bierze?

- Tylko na datę, żeby sprawdzić.

- Pomyślałaś sobie, po co mu ta gazeta?

- Może chciał pójść do kina. - Magnus w życiu nie był w kinie na nocnym seansie. - Może chciał mieć coś do czytania, gdyby poszedł do kawiarni. - Bez pieniędzy, pomyślała, usiłując wypełnić czymś pustkę, bo Brotherhood milczał. Czekał. - Może chciał w jakikolwiek sposób oderwać się... Każdemu się to przytrafia, jeżeli umrze mu ktoś bliski.

- Albo jeżeli stanie się wolny - podsunął Brotherhood. Ale poza tym jej nie pomógł.

- Zresztą był tak wstrząśnięty, że wziął nie ten numer - powiedziała żywo, jakby chciała uciąć dyskusję.

- Aha, czyli sprawdziłaś, tak, moja droga?

- Dopiero przy wyrzucaniu.

- A kiedy wyrzucałaś?

- Wczoraj.

- To którą zabrał?

- Poniedziałkową. Wtedy była już sprzed trzech dni, czyli musiał być bardzo wstrząśnięty.

- Na pewno.

- No dobrze. Nawet jeżeli jego ojciec nie był dla niego najważniejszą osobą w życiu... Śmierć to śmierć. W takiej chwili nikt nie zachowuje się całkiem racjonalnie. Nawet Magnus.

- I co zrobił potem? Kiedy już popatrzył na datę i wziął stary numer?

- Wszedł. Już ci mówiłam. Wszedł się przejść. Nie słuchałeś mnie. Jak zwykle.

- Złożył ją?

- No nie, Jack! Czy to ma jakieś znaczenie, jak kto trzyma gazetę?

- Na chwilę musisz poskromić swój temperament, kochanie. Odpowiadaj. Co z nią zrobił?

- Zwinął.

- A potem?

- No, nic. Niósł ją. W ręce.

- A przyniósł ją z powrotem?

- Tu, do domu? Nie.

- Skąd wiesz, że nie?

- Czekałam na niego w holu.

- I zauważyłaś: aha, nie ma gazety. Powiedziałaś sobie: o, nie ma zwiniętej gazety.

- Wyobraź sobie, że przypadkiem tak.

- Nic przypadkiem, Mary. Wiedziałaś, że musisz to sprawdzić. Wiedziałaś, że wszedł z gazetą, i natychmiast zauważyłaś, że wrócił bez. To nie przypadek. Ty go szpiegowałaś.

- Możesz tak sobie myśleć, jeżeli ma ci to sprawić przyjemność. Rozgniewał się.

- To ty musisz teraz być przyjemniejsza, Mary - powiedział głośno i powoli. - Za jakieś pięć minut będziesz musiała to wszystko powtórzyć bardzo przyjemnie przed bratem Nigelem. Bo oni dostali hysterii. Bo im ziemia rozstępuje się pod nogami i nie wiedzą, co robić. Dosłownie. - Gniew przeszedł. Jack był w tym mistrzem. - A potem, przy pierwszej okazji, przeszukałaś mu kieszenie, ale gazety nie było.

- Wcale jej nie szukałam. Po prostu zauważyłam, że nie ma. I rzeczywiście nie było.

- Często wychodzi z domu ze starą gazetą?

- Kiedy musi być na bieżąco... kiedy potrzebuje w pracy... Magnus jest sumienny... wtedy bierze ze sobą gazetę.

- Zwiniętą?

- Czasem zwiniętą.

- Czasem przynosi ją z powrotem?

- Nie przypominam sobie.

- Zwróciłaś mu kiedyś na to uwagę?

- Nie.

- A on tobie?

- Jack, on ma taki zwyczaj. Słuchaj, czemu ci zależy, żebyśmy się darli na siebie jak stare małżeństwo?

- Nie jesteśmy małżeństwem.

- Zwija gazetę i wychodzi. Tak jak dziecko bierze patyk, czy coś takiego. Dla otuchy, nie wiem. Jak miętówki. O, właśnie. W kieszeni miał miętówki. To to samo.

- Zawsze stary numer?

- Nie zawsze. Czemuś ty się tak tego uczeplił?

- I zawsze ją gubi?

- Przestań, Jack. Przestań. Dobrze?

- Czy robi tak z jakiejś okazji? Przy pełni? W ostatnią środę miesiąca? Czy tylko kiedy umrze mu ojciec? Zauważyłaś w tym jakąś prawidłowość? No, Mary, musiałaś zauważyć!

Bij mnie, pomyślała, szarp. Wszystko, byle nie to lodowate spojrzenie.

- Czasem, kiedy ma się spotkać z S. - powiedziała, mając nadzieję, że zabrzmii to tak, jakby uspokajała rozpuszczone dziecko. - Jack, na miłość boską, przecież on prowadzi kontakty, żyje tym życiem, przecież sam go szkoliliś! Nie pytam

go, jakich sztuczek używa, co robi z kim. Ja też byłam szkolona!

- A kiedy wrócił, jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Bardzo dobre. Był spokojny, całkiem spokojny. Czułam, że spacer dobrze mu zrobił, że wszystko jest w porządku.

- Ktoś dzwonił, kiedy go nie było?

- Nie!

- A potem też nie?

- Raz. Ale nie odebraliśmy.

Nieczęsto widziała u Jacka zdumioną minę, a teraz, proszę, prawie się zdziwił.

- Nie odebraliście?

- Nie, a co?

- A dlaczego nie? Sama mówiłaś, że taką ma pracę. Dopiero co umarł mu ojciec. Czemu nie odebraliście telefonu?

- Magnus powiedział, żeby nie.

- A powiedział dlaczego nie?

- Kochaliśmy się wtedy. - Poczula się jak najgorsza zdzira.

Na progu znowu pojawił się Harry. Miał teraz na sobie niebieski kombinezon, w ręce długi śrubokręt, poczerwieniałą z wysiłku twarz, a na tej twarzy - strasznie radosną minę.

- Może pan wpaść na chwilę na górę? - zapytał.

Pomyślała, że sypialnia wygląda dokładnie tak jak przed zbiórką na biednych zorganizowaną przez żony dyplomatów, kiedy całe łóżko zasłane było naszymi starymi ubraniami. „Magnus, kochanie, czy ty naprawdę musisz mieć aż trzy dziurawe swetry?”. Ubrania leżały na krzesłach, na toaletce, na wieszaku na ręczniki: mój letni blezerek, którego nie miałam na sobie od Berlina, z lustra nad toaletką zwieszał się smoking Magnusa, jakby to była jego już wyprawiona skóra. Na podłodze nic nie leżało, bo nie było podłogi. Fergus i Georgie wynieśli dywan, zerwali większość klepek, zostawiając ich tylko tyle, by było po czym chodzić, i ułożyli je w równe sterty pod oknem. Rozebrali na części lampki znad łóżka, szafki nocne, telefon i radio z budzikiem. W łazience też zerwali podłogę, obmurowanie wanny, apteczkę i drzwiczki na strych, na którym w ostatnie święta Tom ukrywał się podczas gry w morderstwo i o mało nie umarł ze strachu, że jest taki dzielny. Przy umywalce Georgie właśnie przeglądała rzeczy Mary.

- Dla nich to, co twoje, jest jego, i na odwrót - powiedział Brotherhood, gdy zaglądali do środka przez pozbawione drzwi drzwi. - Dla nich nie ma „jego”, „jej”.

- Dla ciebie też.

Sypialnia Toma była po drugiej stronie korytarza. Na łóżku leżał świecący superman, obok trzydzieści smurfów i trzy tygryski.

Pod ścianą stał złożony stół na mapy jej ojca. Skrzynię na zabawki przeciągnięto na środek pokoju, by odsłonić marmurowy kominek. Bardzo ładny kominek; ci z działu mieszkaniowego chcieli go zamurować, żeby nie było przeciągów, ale Magnus nie pozwolił. Kupił za to tę skrzynię, którą zastawił otwór, ale nie obramowanie, żeby Tom też miał w pokoju kawałek starego Wiednia. Teraz kominek znów stał otworem. Georgie klęczała przed nim po dziewczęcemu w swym modnym kombinezonie partyzanckim za pięćdziesiąt gwinei. A przed Georgie leżało białe pudełko po butach z otwartym wieczkiem. W pudełku leżało kilka zawiniątek, jedno większe, inne mniejsze.

- Znaleźliśmy to na półce nad paleniskiem, proszę pana - zameldował Fergus. - Tam gdzie przewód z tego kominka łączy się z głównym kominem.

- Ani odrobiny kurzu - dodała Georgie.

- Wystarczy sięgnąć i już - powiedział Fergus. - Bardzo wygodnie.

- Jak już się ma trochę wprawy, nawet nie trzeba za bardzo odsuwać tej skrzyni - powiedziała Georgie.

- Widziałas to kiedyś? - zapytał Brotherhood.

- To na pewno Toma - odparła Mary. - Dzieci zawsze lubią mieć tajne skrytki.

- Widziałas to kiedyś? - powtórzył Brotherhood. - Nie.

- Wiesz, co jest w środku?

- A skąd, skoro nigdy tego nie widziałam?

- Nic prostszego.

Brotherhood nie pochylił się; wyciągnął tylko ręce. Georgie podała mu pudełko, on zaś postawił je na stole, przy którym Tom bawił się spirografem, klockami lego, i przy którym rysował w kółko niemieckie samoloty, zestrzeliwane na angielskim niebie

na tle zachodu słońca i wesoło machającej rodziny. Brotherhood wyciągnął najpierw największe zawiniątko. Patrzyli, jak próbuje je rozwiązać, ale potem zmienił zdanie.

- Lepiej ty - powiedział do Georgie. - Zawsze kobiece paluszki...

Jest jedną z jego kochanek, zorientowała się nagle Mary. Dziwiła się sama sobie, że wcześniej na to nie wpadła.

Georgie podniosła się elegancko, najpierw jedna nóżka, potem druga, i odgarnąwszy włosy za uszy, ujęła w swe kobiece paluszki kawałki prześcieradła, zabranego kiedyś przez Magnusa, jak twierdził, do auta. Po chwili spod materiału ukazał się profesjonalnie wyglądający aparat fotograficzny z profesjonalnie wyglądającym uchwytem. I jeszcze coś, co wyglądało jak luneta, a do czego po rozciągnięciu przykręcało się aparat obiektywem w dół, żeby z tej samej wysokości robić zdjęcia dokumentów rozłożonych na stole do map po teściu. I jeszcze wiele filmów, obiektywów, filtrów, pierścieni i innego sprzętu, którego nie potrafiła od razu zidentyfikować. Pod nimi bloczek miękkiego papieru z ponumerowanymi kolumnami na pierwszym arkuszu i szczelnie oprawionymi w gumę bokami, tak by widać było tylko pierwszą stronę. Mary знаła ten papier, używała go w Berlinie: po podsunięciu zapalniczki natychmiast rozpadał się na proch. Bloczek był zużyty do połowy. Z kolei pod bloczkiem leżał stary wojskowy notatnik z tekturową okładką, oznaczoną „W.D. Property” jako własność Ministerstwa Obrony, składający się z niezapisanych kartek w linię z podłego papieru czasów wojny. Kiedy Brotherhood przerzucał kartki, znalazł między nimi dwa bardzo stare zasuszone kwiatki, może rumianki, ale raczej stokrotki. Mary nie była do końca pewna, zresztą w tym momencie krzyczała już:

- No przecież to firmowe! Przecież to dla ciebie!

- Oczywiście, oczywiście. Powiem Nigelowi. Nie ma sprawy.

- Przecież to, że mi o tym nie powiedział, wcale jeszcze nie znaczy, że jest nie w porządku! To po to, gdyby miał w domu dokumenty! Na weekend! - A potem, zorientowawszy się, co powiedziała: - To znaczy, gdyby jakiś kontakt przyniósł mu dokumenty, ty idioto! Albo Grant, i gdyby Magnus musiał je szybko opracować! Co w tym takiego dziwnego?

Fergus próbował palcami papier w bloczku, obracał na wszystkie strony, podstawił pod snop światła lampy Toma przywiezionej z Anglii.

- Szczerze mówiąc, proszę pana, to chyba czeski papier - rzekł, wciąż trzymając bloczek pod światłem. - Może rosyjski, ale raczej czeski. No tak - powiedział z satysfakcją, gdy jego oko zauważyło jakiś niewidoczny szczegół na gumowych bokach bloczka. - Tak jest, czeski. To znaczy, tylko tam go robią, kto go rozprowadza, to już inna sprawa. Szczególnie teraz.

Brotherhooda bardziej zaciekały zasuszone kwiatki. Ułożył je sobie na dłoni i wpatrywał się w nie, jakby chciał z nich przepowiadać przyszłość.

- Coś mi się zdaje, Mary, że jesteś niegrzeczna - stwierdził dobitnie. - Coś mi się zdaje, że wiesz znacznie więcej, niż mi powiedziałaś. I myślę, że on wcale nie jest ani w Irlandii, ani na Bahamach, że to tylko zasłona dymna. Wydaje mi się, że on też jest niegrzeczny, i tylko się zastanawiam, czy oboje jesteście niegrzeczni, czy tylko on.

Nie wytrzymała. Wrzasnęła: „Ty świnió!” i zamachnęła się na niego otwartą dłonią, ale się zasłonił. Otoczył ją ramieniem i uniósł ją nad ziemię. Zataszczył ją na drugi koniec korytarza do pokoju pani Bauer, jedyne, którego na razie nie rozbebeszyli. Rzucił ją na łóżko i szybko ściągnął jej buty, dokładnie tak jak to robił w tej obrzydliwej melinie, gdzie chodził się pieprzyć. Zawinął ją w kołdrę jak w kaftan bezpieczeństwa i położył się na niej, aż przestała się wrywać. Georgie i Fergus stali w drzwiach i patrzyli. Lecz, co najdziwniejsze, podczas tego mocowania się Jack Brotherhood ani na chwilę nie puścił z lewej dłoni dwóch zasuszonych kwiatków. Trzymał je dalej, nawet gdy po raz kolejny rozległ się dzwonek, zwiastujący swym jednym, przeciągłym dźwiękiem nadejście kogoś naprawdę ważnego.

Rozdział 4

By nie zatracić się w pisaniu, Pym napisał sobie na osobnej kartce papieru, pisarz musi podchodzić do swego tematu z miłością, nawet jeżeli pisze o sobie.

Życie zaczęło się wraz z Lippsie, Tom, a Lippsie pojawiła się

na wiele lat przed tobą czy kimkolwiek innym i na długo przed osiągnięciem przez Pyma tego, co w Firmie nazywają „gotowością do małżeństwa”. Z czasów sprzed Lippsie Pym pamiętał tylko bezcelową tułaczkę po różnych domach i dużo krzyku. A kiedy pojawiła się, wszystko zaczęło nagle i nieubłaganie płynąć w jednym kierunku, jemu zaś pozostawało tylko tkwić w łodzi i dać się nieść prądowi. Ten wesoły strumień płynął od Lippsie do Stokrotki, od Ricka do Jacka, choć po drodze wił się i dzielił. Od niej zaczęło się zresztą nie tylko życie, ale i śmierć, bo tym, co tak naprawdę pchnęło go w ów nurt, była śmierć Lippsie, choć nawet nie widział jej zwłok. Wystarczyło, że wtedy, na szkolnym podwórku, zobaczyli je inni, i Pym odbył całą swą podróż, mając przed oczami ten wyimaginowany widok. Nasz chłopczyzna przechodził wówczas przez okres niepewności i egocentryzmu; stąd jego podejrzenie, że skoro nie widział jej śmierci, może wcale nie umarła, tylko udaje. Albo że jej śmierć jest karą dla niego za wzięcie udziału w zabiciu wiewiórki w pustym basenie. Myśliwych poprowadził zezowaty nauczyciel matematyki przezywany Kruk Corbo. Gdy wiewiórka została już zapędzona do basenu, Corbo posiał tam trzech chłopców uzbrojonych w kije hokejowe. Pym był jednym z nich. „No, Pymciu, przyłóż jej!”, zachęcał Corbo. Pym zobaczył, że skatowane zwierzątko niezdarnie podskakuje w jego stronę, przestraszył się widoku cierpienia i uderzył z całej siły, silniej, niż chciał. Zobaczył, że wiewiórka zatacza łuk, ląduje pod nogami innego hokeisty i przestaje się ruszać. „Zuch Pymcio! Piękny strzał! Następnym razem zrób tak ze szkopem!”.

Według innej wersji cała sprawa mogła być złośliwą mistyfikacją bandy Sefton Boyda - to zawsze było możliwe. Z braku naocznego widoku Pym zadowolił się więc namiastką, nim w szkole ucichł gwar wywołany tym wydarzeniem, z chaotycznych opisów innych wytworzył sobie własne wyobrażenie. Lippsie leżała bokiem na płytach podwórka, tak jakby biegła, z prawą ręką wyciągniętą do mety i jedną nogą wykrzywioną w przeciwną stronę. Sefton Boyd, bo to on dokonał makabrycznego odkrycia i powiadomił dyrektora podczas szkolnego śniadania, twierdził, że od chwili, gdy zobaczył bezwładną stopę, myślał wręcz, że Lippsie naprawdę biegnie.

Pomyślał, że robi jakieś specjalne ćwiczenie, rowerek nogami czy coś takiego. Z kolei krew wokół jej głowy wziął za pelerynę albo za ręcznik, na którym się położyła, dopóki nie zauważył, że opadłe liście kasztanowca lepią się i nie odlatują z wiatrem. Blżej nie podchodził, bo ta część podwórka była zakazana nawet dla szóstoklasistów z powodu oberwanego dachu u góry. I nie zwymiotował, chwalił się, bo my, Sefton Boydowie, mamy mnóstwo ziemi i dużo polowałem z tatą i jestem przyzwyczajony do widoku krwi i bebeczków. Pobiegł za to schodami dla szóstaków do okna wieży, skąd, jak potem powiedziała policja, „wypadła denatka” - musiała się po coś wychylić. A musiało to być coś ważnego, bo miała na sobie tylko koszulę nocną, w której w dodatku przypedałowała na rowerze w środku nocy z odległego o ponad kilometr Zapasowego Domku. Jej rower, z pokrowcem w szkocką kratę na siodełku, wciąż stał oparty o śmietnik za kuchnią.

Według Sefton Boyda, który teorię swą opierał na stylu życia swego ojca, Lippsie była pijana. Nie nazywał jej Lippsie, tylko Shitlips, Gówniane Wargi, dowcipny kalambur wymyślony przez jego bandę od nazwiska Lippschitz. Z drugiej strony, od dawna już przebąkiwał, że Shitlips jest pewnie niemieckim szpiegiem, a na wieżę chodzi dawać znaki po zaciemnieniu, psze pana. Bo z okna wieży widać całą dolinę, czyli genialne miejsce, żeby kierować niemieckie bombowce, psze pana. Sęk w tym, że nie znaleziono przy niej żadnego źródła światła poza lampką od roweru, ta zaś tkwiła na swoim miejscu na kierownicy. Może schowała ją w pochwie, którą to pochwę Sefton Boyd widział dokładnie, jak twierdził, ponieważ przy upadku podarła się koszula nocna.

Takie to opowieści krążyły po szkole owego ranka. Przez ten czas Pym stał na pięknej drewnianej desce klozetowej w toalecie dla nauczycieli, gdzie urządził sobie tymczasowe schronienie, powstrzymywał oddech, czerwienił się i bladł przed lustrem, usiłując w swym kompletnym zdezorientowaniu dostosować wyraz twarzy do smutku, jaki rzeczywiście odczuwał. Wydobył z kieszeni szwajcarskim scyzorykiem odciął sobie kawałek grzywki - taki bezsensowny hołd złożony zmarłej - a potem nudził się, odkręcał i zakręcał kurki i miał

nadzieję, że wszyscy go szukają. Gdzie Pym? Pym uciekł! Pym też nie żyje! Ale Pym ani nie uciekł, ani nie umarł, a w zamęcie wywołanym przez leżące na podwórku ciało Lippsie, przyjazd pogotowia i policji nikt nikogo nie szukał, a już na pewno nie w toalecie dla nauczycieli, miejscu do tego stopnia zakazanym, że nienawiedzanym nawet przez Sefton Boyda. Lekcje odwołano i kiedy już opanowano krzyki i gwar, każdy miał spokojnie przejść do swojej sali i powtarzać lekcje - chyba że, tak jak Pym, było się w drugiej klasie, której sala miała okna na podwórko: tej klasie zajęcia przeniesiono do sali do zajęć plastycznych. Mieściła się ona w starym baraku po żołnierzach kanadyjskich; Lippsie uczyła tam muzyki i rysunku, prowadziła kółko teatralne i ćwiczenia gimnastyczne dla chłopców z płaskostopiem. Tam też pisała na maszynie i zajmowała się papierkową robotą: zbieraniem czesnego, rachunkami szkoły, zamawianiem taksówek dla chłopców, którzy jeździli do wiejskiego kościółka na nauki przed bierzmowaniem, i w ogóle, jak często w przypadku takich osób, samodzielnym i przez nikogo niedocenianym prowadzeniem szkoły. Ale i tam Pym nie miał wcale ochoty się zjawić, choć czekał na niego niedokończony model dorniera z drzewa balsa, który wycinał scyzorykiem, oraz niedopracowany plan przepisania nikomu nieznanymi wierszy z jakiejś starej książki i odczytania ich jako własnych. On miał teraz inne zadanie: gdy tylko znajdzie w sobie dość odwagi, i gdy tylko nadarzy się odpowiednia chwila, musi dostać się do Zapasowego Domku, w którym mieszkał z Lippsie i jedenastoma chłopcami. Wiedział, że zanim tam dotrze i zanim zrobi coś z listami, nie wolno mu nigdzie iść, bo inaczej Rick znowu pójdzie do więzienia.

Jego obecna sytuacja, to, jak się w niej znalazł, skąd wiedział, jak postąpić i jak wypełnić swą pierwszą tajną misję - to wszystko składało się właściwie na całe jego dotychczasowe życie, trwające już od dziesięciu lat (w tym trzy semestry w szkole z internatem).

Nawet dziś próbować prześledzić wpływ Lippsie na życie Pyma to jak ścigać błędny ogień w klującym gąszczu. Perce Loft, również już na tamtym świecie, twierdził wręcz, że nie istniała, że była, jak twierdził, „mrzonką”, wymysłem,

zmyśleniem, niczym. Ale pan mecenas Perce potrafiłby przywalić nosem w wieżę Eiffła, a mimo to nazywać ją „mrzonką” - taki zawód. Przeczył więc jej istnieniu pomimo świadectwa Syda i innych, że to przecież on, Perce, pierwszy miał z nią do czynienia, że to on, Perce, wprowadził ją na Rickowy dwór w mrocznych wiekach przed narodzeniem Pyma. Nic dziwnego, że pan Muspole, specjalista od ksiąg rachunkowych - i on przeniósł się był na tamten świat - potwierdzał herezje Perce'a; sam tkwił w tym wszystkim po uszy. Nawet Syd, ostatni żyjący świadek, nie był tu zbyt pomocny. Powiedział tyle, że była „Niemką pół na pół”, jak żartobliwie nazywano Żydówki w języku londyńskich cockneyów, z Monachium, a może z Wiednia. Była samotna, uwielbiała dzieci, ciebie też uwielbiała, mały. Nie powiedział, że uwielbiała Ricka, bo to było na dworze przyjmowane jako coś oczywistego. Była ślicznotką, a według panującej na dworze etyki, po to właśnie były ślicznotki, żeby Rick robił im dobrze i by kąpały się w jego glorii. Rick w swojej dobroci kazał jej się uczyć na sekretarkę, opowiadał dalej Syd. Twoja Dorothy też za Lippsie przepadała i uczyła ją angielskiego - tu Syd zwykle zamykał się w sobie i dodawał już tylko, że szkoda, że tak to się skończyło, że to nauczka na przyszłość, że może tata za ostro z nią postępował, bo przecież nie była taka jak ty. Tak, przyznawał, ładna była. I miała klasę, której innym, powiedzmy sobie szczerze, często brakowało. I lubiła się pośmiać - dopóki nie przypominała sobie o rodzinie i o tym, co z nią zrobiły szkopy.

Moje własne, prowadzone ukradkiem śledztwo też niewiele dało. Kiedy już byłem w Firmie - zresztą nie tak dawno - szukałem w różnych spisach osoby o nazwisku Lippschitz i imieniu Annie, ale nic nie znalazłem, nawet w różnych wersjach pisowni. Potem, już w Wiedniu, opowiedziałem jakąś bajeczkę staremu Dinkelowi, też szukał i też nic nie znalazł. Ani on, ani jego niemiecki odpowiednik w Kolonii. Ani śladu.

Ale ślad jej mam - niezatarty ślad w mojej pamięci. To wysoka, żywa dziewczyna o miękkich włosach i wielkich przestraszonych oczach, chodząca jakimś takim szybkim, podskakującym krokiem, zawsze szybko, nigdy powoli. Pamiętam też - musiało być to latem, na wakacjach, w jednym z

tych domów, w których się ukrywaliśmy - pamiętam, jak bardziej niż czegokolwiek innego Pym pragnął ujrzeć ją naga i jak poświęcał cały wolny czas urzeczywistnieniu tego marzenia. Co Lippsie musiała prędzej czy później odgadnąć, bo któregoś dnia po południu zaproponowała, by wykąпали się razem, żeby oszczędzać gorącą wodę. Nawet zmierzyła poziom wody własną dłońią, bo patrioci nigdy nie pozwalali sobie na więcej niż dwanaście centymetrów, a Lippsie była wielką patriotką. Pochyliła się więc, naga, i nie miała nic przeciwko temu, że na nią patrzę, gdy zanurza dłoń w wodzie, a potem ją wyjmuję: „No widzisz, Magnus”, mówi, pokazując mi mokrą, rozczapierzoną dłoń, „teraz mamy pewność, że nie pomagamy Niemcom”.

Albo przynajmniej bardzo chcę wierzyć, że tak właśnie było, bo choć staram się, do dziś nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądała. Wiem za to, że w tym samym domu, a może tylko w podobnym, jej pokój był naprzeciw mojego, i że była w nim jej tekturowa walizka i oprawione w srebrne ramki zdjęcia jej brodatego brata i poważnych sióstr w czarnych kapeluszach. Siała na toaletce jak małe lśniące nagrobki. To w tym pokoju wrzeszczała na Ricka i groziła mu, że woli się zabić niż zostać złodziejką, a Rick wybuchał zdrowym, donośnym śmiechem, który trwał dłużej niż trzeba i po którym wszystko znowu było w porządku - aż do następnego razu. I choć nie pamiętam ani jednej lekcji, musiała uczyć Pyma niemieckiego, bo wiele lat później, kiedy zajął się tym językiem, zorientował się, że posiada cały zasób wiadomości o niej: Aaron war mein Bruder - mein Vater war Architekt, wszystko w tym samym czasie przeszłym, do którego sama już wtedy należała. W jeszcze późniejszym okresie życia zrozumiał też, że gdy nazywała go swym Mönchlein, chodziło jej o „mniszka”, o to, co pewien rycerz powiedział Marcinowi Lutrowi: „Krocz swą drogą, mniszku”. Wtedy myślał, że Mönchlein oznaczało małpkę, jak sobie dopowiedział, małpkę Ricka kataryniarza. Odkrycie to ogromnie go podbudowało, ale tylko do momentu, gdy sobie uświadomił, że chodziło o to, że będzie musiał radzić sobie sam.

Wiem też, że była z nami w rajach, bo bez Lippsie nie byłoby rajów. Rajem nazywaliśmy ziemię obiecaną, czyli Londyn, gdzie Dorothy nosiła sweter z angielskiej wełny do prasowania, a

niebieski płaszcz na zakupy. To do tego rajy uciekli po pospiesznym ślubie Rick i Dorothy - do tej wielkiej metropolii, gdzie każdy może zacząć od nowa i gdzie każdy ma cudowną przyszłość. Tylko że z tamtych czasów nie pamiętam ani jednego dnia bez Lippsie, która pojawiała się gdzieś z boku, która mówiła mi, co dobre, a co złe, takim tonem, że nie miałem nic przeciwko temu. Mieszkaliśmy w Gerrards Cross, na zachodnich obrzeżach Londynu, bentleyem jechało się do miasta godzinę, a w mieście był West End, gdzie Rick miał biuro, a w biurze wisiało na ścianie wielkie retuszowane zdjęcie dziadka Thomasa z łańcuchem burmistrzowskim na szyi. Rick przesiadywał w biurze do późna, co było bardzo w smak małemu Pymowi, bo wtedy mógł włączyć do łóżka Dorothy i ogrzewać ją - taka wydawała się zawsze mała i zmarznięta, nawet dziecku. Lippsie czasem zostawała z nami, czasem jeździła z Rickiem do Londynu, aby się kształcić i, jak się teraz domyślam, uzasadnić swe istnienie w czasach, gdy ginęło tyle jej podobnych.

Do rajy należała też seria lśniących koni wyścigowych, zwanych przez Syda niezwykłymi, i seria jeszcze bardziej lśniących bentleyów, które, podobnie jak domy, wyczerpywały się tak szybko jak kredyt, za który zostały kupione, i musiały być zamieniane w ekscytującym pośpiechu na jeszcze nowsze i jeszcze droższe modele. Bentleye były czasem tak cenne, że zajeżdżano nimi za dom i ukrywano w ogródku za domem, by nie zbrukał ich wzrok niewiernych. Kiedy indziej Pym, siedząc na kolanach u Ricka, jeździł nimi z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę, po piaszczystych drogach w trakcie budowy, wzdłuż których ciągnęły się rzędy betoniarek, i trąbił głośnym, basowym klaksonem na robotników, do których Rick wołał: „Jak się macie, chłopcy?“, i których zapraszał potem do domu na szampana. Lippsie siedziała przy nas, wyprostowana i nieprzystępna jak szofer, dopóki Rick nie przemówił do niej lub nie zażartował. Wtedy uśmiech jej był jak słońce w wakacje i kochała nas obu.

Rajem było też St. Moritz, skąd pochodziły szwajcarskie szczyryki, choć z jakiegoś powodu i bentleye, i te dwie zimy spędzone w Szwajcarii zlewają mi się w pamięci w jedno. Do

dziś, gdy tylko poczuje zapach skórzanych siedzeń luksusowego samochodu, natychmiast przenoszę się z rozkoszą do wielkich salonów hotelowych w St. Moritz, do których wiodło nas wtedy zamiłowanie Ricka do świętowania. Kulm, Suvretta House, Grand - dla małego Pyma były jednym gigantycznym pałacem, zmieniającym tylko służbę, ale nie stały zestaw dworu Ricka: błaznów, akrobatów, doradców i dżokejów - bez nich prawie nigdzie się nie ruszał. W dzień portierzy Włosi długimi miotłami zmiatali śnieg z butów każdemu wchodzącemu przez wahadłowe drzwi. Wieczorami, gdy Rick wraz z dworem ucztował z miejscowymi ślicznotkami, a Dorothy była zbyt zmęczona, Pym wędrował, trzymając się ręki Lippsie, przez zaśnieżone uliczki, ściskając w kieszeni scyzoryk i udając przed samym sobą, że jest jakimś rosyjskim księciem, który będzie jej bronił przed każdym, kto zechciałby śmiać się z jej powagi. A rano, po wczesnej pobudce, podkradał się na palcach ku schodom i patrzył przez balustradę na swych poddanych, uwijających się na dole w holu, upajając się zapachem wypalonych cygar, perfum i wosku, lśniącego jak rosa na parkiecie, omiatanym długimi pociągnięciami mioteł. I tak już zawsze pachniały bentleye Ricka: ślicznotkami, woskiem pszczelim, dymem cygar milionerów. I trochę jeszcze chłodem i końskim łajnem, zapamiętanymi z przejażdżek saniami przez mroźny las z Lippsie, gawędzącą po niemiecku z woźnicą.

Po powrocie do Anglii rajem były piramidy wypolerowanych mandarynek w bibułce, różowe żyrandole w jadalni, hałaśliwe wyprawy na wyścigi, gdzie pokazywało się nasze przepustki do łóż dla właścicieli i patrzyło, jak przegrywali nasi „niezwycięzcy”, i maleńki czarno - biały telewizor w wielkiej mahoniowej obudowie, który przedstawiał regaty na Tamizie przez chmury białych kropek, a kiedy oglądaliśmy Wielką Narodową, konie były tak daleko, że Pym się zastanawiał, jak też one trafią do mety. Konie Ricka, niestety, chyba zwykle nie trafiały, i dlatego właśnie Syd nazywał je niezwycięzcami. I krykiet w ogrodzie z Sydem, który stawiał sześć pensów, że wystarczy mu na Pyma sześć rzutów. I boks z Morriem Washingtonem, nadwornym ekspertem od walki wręcz, bo rozmawiał kiedyś z Budem Flanaganem i uściśnił dłoń Joe Louisa. I wyciąganie

półkoronówek z uszu przez pana Muspole'a, wielkiego księgowego, choć za nim akurat nie przepadałem, bo ciągle zmuszał mnie do liczenia w pamięci. I patrzeć, jak kostki cukru znikają pod filcowym kapeluszem Perce'a Lofta; jak w mgnieniu oka zmieniają się w te jego „mrzonki”. I gonitwy po ogrodzie na wykamizelkowanych barkach dżokejów, którzy zawsze nazywali się Billie, Jimmy, Gordon lub Charlie. Dżokeje robili magiczne sztuczki jak nikt w świecie, czytali moje komiksy i zostawiali mi swoje, gdy je już przeczytali.

Lecz zawsze gdzieś wśród tego korowodu dostrzegam Lippsie, czasem jako matkę, czasem jako sekretarkę, muzyczkę, krykicistkę, zawsze natomiast jako Pyma prywatną nauczycielkę moralności, rzucającą się na skraju boiska za wysoko wybitą piłką krykietową wśród żartobliwych okrzyków Achtung! i „uwaga na klomby!”. W raj u zdarzyło się też, że Rick strzelił nową futbolówką wprost w młodą twarz Pyma, i było to tak, jakby dostać tapicerką wszystkich bentleyów naraz, tą pędzącą na złamanie karku skórą. Kiedy się ocknął, Dorothy klęczała nad nim, zaciskając w zębach chusteczkę, jęcząc: „Och nie, Boże, nie”, ponieważ wszędzie było pełno krwi. Piłka tylko rozcięła mu skórę na czole, ale Dorothy upierała się, że nie, że na pewno cała gałka oczna wpadła mu do głowy i że już nigdy nie uda się jej stamtąd wyciągnąć. Biedactwo było zbyt przerażone, by otrzeć mu krew z twarzy, więc zastąpiła ją Lippsie - Lippsie umiała zająć się mną tak, jak zajmowała się rannymi zwierzętami i ptakami. Nie spotkałem już potem kobiety, która miałaby równie czuły dotyk. I teraz wydaje mi się, że tym właśnie byłem dla niej: stworzeniem, którego można było dotykać, chronić i pieścić, gdy zabrano jej wszystko inne. Byłem jej namiastką wiary, nadziei i miłości w pozłacanej klatce, w której trzymał ją Rick.

W raj u, gdy tylko był Rick, nigdy nie zapadała noc; chodziła spać tylko Dorothy, samozwańcza Śpiąca Królowna tego dworu. Pym mógł o dowolnej porze dołączać do towarzystwa, a byli tam wszyscy: Rick, Syd, Morrie Washington, Perce Loft, pan Muspole, Lippsie i dżokeje. Wszyscy leżeli na podłodze wśród stert banknotów, przypatrując się, jak kulka podskakuje po blaszanych ściankach kółka ruletki. Ze ściany spozierał na to

wszystko stary Thomas Pym w stroju urzędowym - z tego wnioskuje, że jego portret musiał wisieć w każdym z kolejnych domów. Widzę, jak tańczymy przy gramofonie albo śmiejemy się do rozpuku z dowcipów znacznie wykraczających poza intelektualny horyzont Pyma. Pym jednak śmiał się głośniej od innych, bo już wtedy uczył się sprawiać innym przyjemność - przypodobać się im śmiesznym głosem, postępkami, anegdotkami. W raj u panowała ogólna i wzajemna miłość, bo kiedyś Pym zastał Lippsie na kolanach Ricka; kiedy indziej Rick tańczył z nią policzek przy policzku, trzymając w zębach cygaro i nucąc z zamkniętymi oczyma Tango milonga. Szkoda tylko, że Dorothy znowu była zbyt zmęczona, by włożyć szlafrok z falbankami, który kupił jej Rick - dla Dorothy różowy, biały dla Lippsie - i zejść na dół, aby trochę się zabawić. A im głośniej Rick krzyczał na nią, by zeszła, tym mocniej Dorothy spała, co zauważył Pym, wysłany przez Ricka z poleceniem namówienia jej na dołączenie do towarzystwa. Zapukał do drzwi i nic. Na palcach podszedł do łóżka i wytarł jej twarz z czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak pajęczyna. Najpierw szeptał, potem spróbował wołać, ale nic to nie dało. Wrócił na dół i zameldował, że Dorothy płacze przez sen. Ale rano wszystko znowu było w porządku, bo cała trójka, z Rickiem w środku, znalazła się w jednym łóżku. Pymowi pozwolono wcisnąć się obok Lippsie, podczas gdy Dorothy poszła do kuchni zrobić grzanki. Lippsie z powagą przytulała do siebie Pyma. Miała zakłopotaną, poważną minę, którą, jak się teraz domyślam, chciała mi dać do zrozumienia, że wstydzi się słabości, zaślepienia, i że chce się z tego oczyścić swoją troską o mnie.

Zdarzało się w raj, że Rick wrzeszczał, ale nie na Pyma. Na mnie nigdy nie podniósł głosu; i bez tego trzymał wszystko żelazną siłą swej woli i inną, jeszcze potężniejszą siłą - miłością. Wrzeszczał na Dorothy, groził jej, wymuszał na niej różne niezrozumiałe dla Pyma rzeczy. Nie raz i nie dwa zaciągnął ją do telefonu i kazał jej rozmawiać z różnymi ludźmi: z wujem Makepeace'em, ze sklepikarzami i z różnymi innymi ludźmi, którzy w ten czy inny sposób nam zagrażali. Tylko Dorothy mogła ich uspokoić, bo Lippsie zawsze odmawiała, zresztą miała nie najlepší akcent. Wydaje mi się teraz, że to właśnie

wtedy Pym usłyszał po raz pierwszy nazwisko Wentworth, bo pamiętam, jak Dorothy ścisnęła dla otuchy moją dłoń, tłumacząc jakiejś pani Wentworth, że wszystko będzie splacone, jeżeli tylko przestanie nas tak okropnie naciskać. Dlatego też nazwisko to bardzo wcześnie zaczęło kojarzyć się Pymowi z czymś niemiłym, by wreszcie stać się synonimem strachu i Sądu Ostatecznego.

- Kto to jest Wentworth? - Pym zapytał kiedyś Lippsie i ten jeden, jedyny raz kazała mu być cicho.

I pamiętam jeszcze, że Dorothy znała imiona wszystkich telefonistek, i czym się zajmował mąż czy narzeczony każdej z nich, i gdzie ich dzieci chodzą do szkoły, bo gdy siedząc sama z Pymem, trzęsła się z zimna pod swym swetrem z angorskiej wełny, podnosiła słuchawkę białego telefonu i ucinała sobie pogawędkę z telefonistką, najwyraźniej znajdując pocieszenie w świetle bezcielesnych głosów. Rick wrzeszczał też na Lippsie, gdy ta mu się sprzeciwiała; chyba sprzeciwiała mu się coraz częściej, gdy robiłem się coraz starszy. A czasem wrzeszczał na Dorothy i na Lippsie naraz, doprowadzając je obie równocześnie do płaczu, po czym godzili się wszyscy w wielkim małżeńskim łóżu, w którym Rick jadł grzanki i kapał masłem na różową pościel. Ale Pyma nie krzywdził nikt, i jego nikt nie doprowadzał do płaczu. Wydaje mi się, że już wtedy Pym zdawał sobie sprawę, że Rick porównuje swoje związki z kobietami do swego związku z Pymem, i że kobiety źle wychodziły w tym porównaniu. Czasem Rick brał Dorothy i Lippsie na łyżwy. Sam wkładał czarny frak i biały krawat, ale Dorothy i Lippsie przebierały się za chłopców z pantomimy; każda, trzymając się innej ręki Ricka, unikała równocześnie wzroku drugiej.

Upadek nastąpił w ciemności. Od pewnego czasu coś często się przeprowadzaliśmy, i to zdaje się do coraz wspanialszych domostw. Tego akurat dnia miejscem akcji był dworek na wzgórzu, a czasem akcji - czarne zimowe popołudnie na parę dni przed Bożym Narodzeniem. Pym robił z Lippsie papierowe ozdoby na choinkę; odczuwam dziwną pewność, że gdyby kiedykolwiek udało mi się odnaleźć to miejsce - jeżeli akurat nie postawiono tam blokowiska albo nie przeprowadzono

autostrady - nasze dekoracje wisiałyby tam nadal, tak jak je zostawiliśmy, nasze gwiazdy Dawida i gwiazdy betlejemskie - Lippsie nauczyła mnie świetnie je rozróżniać - lśniące w wielkich pustych pokojach. Najpierw zgasty światła w pokoju Pyma, potem zaczął dogasać elektryczny kominek, potem przestała działać nowo kupiona kolejka elektryczna Hornby, potem wreszcie Lippsie jakoś tak krzyknęła i zniknęła. Pym zszedł na dół i otworzył orzechowe drzwiczki najnowszego nabytku Ricka, luksusowego barku. Lustrzane ścianki wewnątrz nie chciały się zaświecić, a pozytywka odegrać Tango milonga.

I nagle jedyną rzeczą, która jeszcze działała w całym domu, były miedziane obciążniki zegara z barometrem. Pym pobiegł do kuchni. Nie zastał tam jednak ani kucharki, ani ogrodnika, pana Roleya, którego dzieci podkradały Pymowe zabawki, ale nie można im było mieć tego za złe, bo nie poszczęściło im się w życiu tak jak jemu. Pobiegł z powrotem na górę, a ponieważ zrobiło mu się bardzo zimno, dokonał szybkiego rozpoznania długich korytarzy, wołając Lippsie - ale bez skutku. Wyjrzał do ogrodu przez okrągły witraż na klatce schodowej i zobaczył tam dwa czarne samochody, policyjne wolseseye. Za kierownicą każdego z nich siedział policyjny kierowca w spiczastej czapce. Wokół samochodów stali mężczyźni w brązowych płaszczach nieprzemakalnych, rozmawiając z panem Roleym. Była tam też kucharcia: skręcała chusteczkę i załamywała ręce, dokładnie jak dama z rewii Crazy Gang, na którą Rick zabrał cały dwór niespełna tydzień wcześniej. Teraz wiem, że znalazłszy się w oblężeniu, należy przenosić się na coraz wyższe piętra, i pewnie dlatego reakcją Pyma była ucieczka wąskimi schodami na strych. Tam zastał Ricka, który uwijał się gorączkowo wśród porzucanych po podłodze papierów i akt, ładując je byle jak do starej, podniszczonej, zielonej szafki na dokumenty, której do tej pory Pymowi nie udało się odkryć, mimo licznych wypraw badawczych po nowym domu.

- Nie ma prądu, Lippsie się boi, przyjechała policja i arestuje w ogrodzie pana Roleya - zameldował jednym tchem Pym.

Powtórzył to kilka razy, coraz głośniej, ale Rick nie słyszał, tylko ganiał między stertą papierów a szafką, napelniając

szuflady. Pym podszedł więc i uderzył go pięścią w ramię, tak mocno, jak tylko mógł, w tę miękką część tuż nad stalową sprężynką, którą nosił, by prostowała mu rękaw jedwabnej koszuli. Rick okręcił się na pięcie i już cofnął dłoń do ciosu, a twarz miał taką jak pan Roley, gdy po raz ostatni zamierzał się siekierą w pniak: czerwoną, napiętą, moką. Przykucnął i grubymi dłońmi o złączonych palcach chwycił Pyma za ramiona. Pym bardziej niż zamachu przestraszył się właśnie tej twarzy - bo oczy Ricka były przestraszone i zapłakane, choć reszta twarzy o tym nie wiedziała, a głos miał jak zwykle miły i święty.

- Żebyś już nigdy mnie nie uderzył, synu. Kiedy pójdę na sąd, tak jak my wszyscy, Bóg będzie mnie sądził z tego, jak cię traktowałem, już ty się nie bój.

- Czemu przyjechała policja? - zapytał Pym.

- Twój stary ma chwilowy problem z płynnością finansową. A teraz puść mnie do schowka i otwórz mi drzwi, jak cię proszę. Szybko.

Schowek był w kącie za stertą starych ubrań i innych rupieci. Pymowi udało się jakoś dotrzeć do niego i otworzyć drzwi. Rick zatrząskiwiał tymczasem szuflady szafki. Przekręcił klucz w zamku, chwycił Pyma za rękę i wsadził klucz głęboko do kieszeni chłopca, tak małej, że mieścił się tam tylko klucz i mała torebka cukierków.

- Dasz to panu Muspole'owi, słyszysz, synu? Tylko jemu, nikomu więcej. I pokażesz mu, gdzie jest szafka. Kochasz swojego starego?

- Tak.

- No.

Pym, napuszony jak wartownik, przytrzymał drzwi, gdy Rick przesuwiał szafkę do schowka. Potem Rick wrzucił tam jeszcze mnóstwo rupieci. Szafka zniknęła.

- Widziałeś, gdzie ją schowałem?

- Tak.

- Zamykaj drzwi.

Pym usłuchał, po czym z wypiętą pierśią pomaszerował na dół, bo chciał jeszcze raz popatrzeć na samochody policyjne. W kuchni stała Dorothy w nowym futrze i nowych puszystych bamboszach, podgrzewała puszkę zupy pomidorowej. Na

ustach utworzyła się jej bańka ze śliny, jak u ludzi, którym tak zaparło dech, że nie mogą wykrztusić ani słowa. Pym nienawidził zupy pomidorowej, podobnie jak Rick.

- Rick naprawia wodę - oznajmił z godnością, by dochować tajemnicy, bo tylko w ten sposób mógł zrozumieć wzmiankę Ricka o płynności. Jeszcze głośniejszymi głosami Lippsie, popędził korytarzem, gdzie zderzył się z dwoma policjantami, uginającymi się pod ciężarem wielkiego biurka, z którego korzystał Rick, kiedy pracował w domu.

- To taty - powiedział groźnie, kładąc dłoń do kieszeni, w której miał klucz.

Pamiętam tylko pierwszego z policjantów. Był dobrotliwy, miał siwe wąsy jak dziadek Pym i był wyższy niż Pan Bóg.

- No cóż, chłopcze, teraz niestety to już nasze. Możesz nam przytrzymać te drzwi? Uważaj na palce.

Pym, nadworny odźwierny, uczynił, o co go proszono.

- Tata ma jeszcze jakieś inne biurka, co? - zapytał wysoki policjant.

- Nie.

- A szafki? Coś, w czym trzyma papiery?

- Wszystkie papiery są tu - powiedział Pym, stanowczo wskazując biurko i wciąż ściskając ukryty w kieszeni klucz.

- Macie tu jakiś sznur?

- Nie wiem.

- Wiesz.

- W stajni. Na takim dużym haku na siodło, obok nowej kosiarki. Pan Roley mówi na to „postronek”.

- Jak się nazywasz?

- Magnus. Gdzie jest Lippsie?

- Kto to jest Lippsie?

- Taka pani.

- Pracuje u twojego taty?

- Nie.

- No, Magnus, skoczże po ten sznur, dobrze? Zabieramy twoją tatę na płatny urlop i musimy mieć te papiery.

Pym popędził do szopy po drugiej stronie posiadłości, między wybiegiem dla koni a domkiem pana Roleya. Była tam półka, na niej zielona puszka po herbacie, w której pan Roley

trzymał gwoździe. Pym schował w niej klucz, powtarzając w duchu: zielona puszka, zielona szafka. Gdy wrócił z postronkiem, Rick stał już między panami w brązowych płaszczach. Doskonale pamiętam ten widok - Rick, tak blady, że nie pomógłby mu żaden urlop, przypomina mi wzrokiem, że mam być mu wierny; wysoki policjant pozwala mi pobawić się swą płaską czapką i przycisnął guzik, po którym spod maski wolseleya rozlega się dzwonek; Dorothy wygląda tak, jakby urlop miał się przydać jej jeszcze bardziej niż Rickowi. Złapała już oddech, ale stoi bez ruchu jak posąg, białe dłonie trzyma złożone na futrze.

Pamięć to wielka kusicielka, Tom. Wyobraź sobie taką scenę: mała grupka osób, zimowy dzień, świąteczna atmosfera, sznurek wolseleyów odjeżdża wyboistą drogą, którą Pym tak często patrolował z nowym sześciostrzałowcem od Harrodsa w dłoni. Na ostatnim samochodzie kołysze się lekko biurko Ricka, przytroczone postronkiem ze stajni. Wszyscy w bezruchu spoglądają za konwojem, dopóki nie zniknie w tunelu drzew, unosząc Bóg wie gdzie naszego Jedynego Żywiela. Pani Roley szlocha, kucharcia ryczy po irlandzku, matka przyciska do piersi główkę Pyma, tysiąc skrzypiec gra Czy powrócisz do nas znów, rzewną szkocką balladę - z tej cytryny mógłbym wycisnąć dowolną ilość patosu. Jednak tak naprawdę jest zupełnie inaczej: wraz z odjazdem Ricka Pym odczuł przede wszystkim wielki spokój. Poczul się rześki i uwolniony od przygniatającego go ciężaru. Patrzył z niepokojem za odjeżdżającymi samochodami, za biurkiem na ostatnim z nich, ale niepokoił się tylko o to, że Rick może jeszcze namówić ich, by zawrócili. I gdy tak patrzył, z lasu przylegającego do posiadłości wynurzyła się Lippsie w chustce na głowie, uginająca się pod ciężarem tekturowej walizki zawierającej wszystko, co na tym świecie posiadała. Jej widok rozwścieczył Pyma jeszcze bardziej niż widok Dorothy przyrządzającej zupełną pomidorową. Schowała się, zarzucał jej w sekretnym dialogu, który bezustannie z nią prowadził, tak się bałaś, że schowałaś się w lesie i ominęła cię taka świetna zabawa. Oczywiście wtedy nie mogłem wiedzieć tego, co wiem teraz: że Lippsie zdążyła się już w swym życiu napatrzeć, jak zabierają ludzi, na przykład jej brata, Aarona, i jej

ojca architekta. Ale Pym, podobnie jak reszta świata, mało przejmował się w tamtych czasach pogromami i potrafił jedynie żywić głęboką urazę do miłości swego życia, że w tej historycznej chwili nie stanęła na wysokości zadania.

Wieczorem przybył Muspole. Podjechał do bocznych drzwi, przywiózł nam gotowaną kurę, placek z rabarbarem i gęstym kremem oraz termos gorącej herbaty. Powiedział nam, że już wszystko pozałatwiał, że jutro już będzie dobrze. Pym chciał porozmawiać z nim na osobności, więc powiedział: „Chodź, pokażę ci kolejkę”, a Dorothy zaraz zaczęła płakać, bo komornicy zdążyli już stoczyć walną bitwę z miejscowymi sklepikarzami o zajęcie mienia i kolejka poszła na pierwszy ogień. Ale pan Muspole i tak poszedł z Pymem. Pym zabrał go do szopy i wręczył mu klucz, potem na strych, gdzie ujawnił mu swą tajemnicę.

I znowu wszyscy patrzyli, jak pan Roley i pan Muspole męczą się i pocą, ładując szafkę z dokumentami na auto Muspole'a. I znów machali na pożegnanie, tym razem panu Muspole'owi, gdy ten odjeżdżał w swym kapeluszu w siną dal.

Skoro już zdarzył się upadek, musiał nastąpić pobyt w czyścicu, a w czyścicu nie było Lippsie - chyba usiłowała odzwyczaić się ode mnie, używając jako pretekstu nieobecności Ricka. W czyścicu odbywałem więc pokutę z Dorothy, Tom, a czyściec znajdował się tu niedaleko, za górą - autobusem Ricka byłoby to zapewne tylko kilka przystanków - choć teraz nie jest tam już tak źle, odkąd zbudowano osiedle domków letniskowych. Czyścicem była więc ta sama lesista dolinka, pełna rozpadlin, skarp i wawrzynu, w której poczęto Pyma, czerwone, smagane wiatrem plaże bez sezonu, skrzypiące huśtawki i podmokłe piaskownice, zamknięte w dzień święty, a dla Pyma i w dni powszednie. Czyścicem był wielki, smutny dom Makepeace'a Watermastera, Glades, gdzie w suche dni Pymowi nie wolno było wychodzić poza otoczony murem sad, a w deszczowe wchodzić na pokoje. Czyścicem była świątynia, z której kart historii dawno wymazano już Chłopców z Wieczorówki i przerażające kazania Makepeace'a Watermastera, i kazania pastora Philpotta, i kazania wszystkich cioc, wujków i miejscowych filozofów, poruszonych nie do łez,

lecz do słów upadkiem Ricka i znajdujących łatwą ofiarę w osobie młodego kryminalisty.

W czyścicu nie było barków, telewizorów, dżokejów, bentleyów czy niezwykłych; serwowano tam nie grzanki z masłem, tylko chleb z margaryną. Kiedy śpiewaliśmy, zawodziliśmy Wisi na krzyżu, a nie Tango milonga czy niemieckie pieśni romantyczne z repertuaru Lippsie. Zdjęcia z tych czasów ukazują uśmiechnięte, zębate, całkiem wyrosnięte i nieźle prezentujące się dziecko, nieco jednak przygarbione, jakby od mieszkania pod zbyt niskim sufitem. Wszystkie są nieostre, sprawiają wrażenie, jakby były zrobione ukradkiem, i usiłuję kochać je tylko dlatego, że musiała robić je Dorothy - choć przecież Pym tęsknił za Lippsie. Na niektórych z nich dziecko ciągnie za rękę tę akurat z cioc, która się nim zajmuje, zapewne próbując ją przekonać, by sobie gdzieś poszli. Na jednym ma na rękach za duże białe rękawiczki, więc albo miało chorobę skóry, albo Makepeace bał się, że mu zabrudzi meble. A może zamierzało zostać kelnerem.

Ciocie, wszystkie ogromne, wszystkie odziane w ten sam skromny mundurek, wszystkie tak bardzo mają w sobie coś ze strażniczek więziennych, że zastanawiam się, czy Makepeace nie brał ich z agencji specjalizującej się w opiece nad młodocianymi przestępcami. Jedna ma nawet na biuście medal przypominający hitlerowski Żelazny Krzyż. Wcale nie chcę przy tym powiedzieć, że brak w nich ciepła, wręcz przeciwnie - ich uśmiechy rozświetla pobożny optymizm. Mimo to jest coś takiego w ich wzroku, co każe mi domyślać się pełnej czujności na wypadek ujawnienia się u ich podopiecznego wrodzonej skłonności do zbrodni. Lippsie nie było, a moja biedna Dorothy, jedyna towarzyszka niewoli w mrocznym tylnym skrzydle, w którym zamknięto ją wraz z Pymem, była jeszcze bardziej bezużyteczna niż przedtem. Gdy go bito, Dorothy opatrywała sińce, ale nigdy nie kwestionowała słuszności kary. Gdy zakładano mu hańbiące pieluchy za moczenie łóżka, Dorothy starała się, by nie pił po południu. A gdy całkowicie pozbawiano go podwieczorku, Dorothy ukrywała dla niego parę ciasteczek, które potem podawała mu po jednym przez niewidzialne kraty, gdy zostali sami w swym pokoiku na piętrze. W raj, gdy trafił

się dobry dzień, Pym i Dorothy czasem nawet pośmiali się razem - teraz przytłaczająca atmosfera domu ogarnęła ją bez reszty. Z każdym dniem coraz bardziej zamykała się w sobie i choć opowiadał jej najśmieszniejsze kawały, jakie znał, choć urządzał jej najlepsze przedstawienia i rysował dla niej, jak tylko umiał najpiękniej, nic nie mogło na dłużej wywołać jej uśmiechu. Nocą jęczała, zgrzytała zębami, a gdy zapalała światło, Pym też budził się, leżał obok niej, myślał o Lippsie i przyglądał się, jak Dorothy, nie mrużąc oczu, wpatruje się w papierową gwiazdkę betlejemską, która służyła im za abażur lampki nocnej.

Gdyby Dorothy umierała, Pym bez wątpienia zajmowałby się nią tak długo, jak by było trzeba. Ale ponieważ nie umierała, żywił do niej tylko żal. Wkrótce miał jej już serdecznie dość; zastanawiał się, czy przypadkiem to nie ona powinna była pojechać na urlop, czy to nie Lippsie jest jego prawdziwą mamą, i że w ogóle popełnił jakiś straszliwy błąd, i że dlatego to wszystko. Kiedy wojna wybuchła, Dorothy nie pocieszyła się nawet tą doskonałą wieścią. Makepeace włączył radio, w którym Pym usłyszał, jak ktoś bardzo uroczystym głosem tłumaczy, że zrobił wszystko, by do tego nie doszło. Makepeace wyłączył radio, a pastor Philpott, który akurat przyszedł na podwieczorek, zapytał żałośnie, gdzie, ach gdzie będzie pole bitwy? Makepeace odparł bez zmrużenia oka, że to zależy od Boga. Pym, nie mogąc zapanować nad podnieceniem, tym razem ośmielił się podać w wątpliwość jego słowa.

- Ależ wujku, jeśli to od Boga zależy, gdzie będzie pole bitwy, to czemu w ogóle dopuszcza do bitwy? Bo jej chce. Przecież by mógł nie dopuścić. Ale On nie chce! - I do dziś dnia nie wiem, co Makepeace uznał za większy grzech: kwestionowanie jego własnych słów czy wyroków boskich. Zresztą rozwiązanie było i tak takie samo: zostawić smarkacza o chlebie i wodzie jak jego ojca.

Jednak najstraszliwszym potworem w Glades był nie gumowaty wuj Makepeace z różowymi uszkami, lecz zwariowana ciotka Nell w czerwonych okularach, która gonila za Pymem bez powodu, wymachując laską i nazywając go „swym kanareczkiem” z powodu żółtego swetra, jaki Dorothy udało się, popłakując, wydziergać mu na drutach. Ciotka Nell miała dwie

laski, białą, żeby lepiej widzieć, i brązową, żeby lepiej chodzić. Widziała zresztą świetnie, chyba że miała przy sobie białą laskę.

- Już wiem, czemu ciocia Nell tak się chwieje - powiedział kiedyś Pym do Dorothy w nadziei, że ją to rozbawi. - Podejrzałem, że w szklarni ma ukrytą butelkę.

Dorothy nie tylko się nie uśmiechnęła, ale wręcz przeraziła się i kazała mu obiecać, że już nigdy nie powie nic takiego. Tłumaczyła, że ciocia Nell jest chora, że jej choroba to tajemnica i że w tajemnicy bierze na to lekarstwo, i że nikt nie może się dowiedzieć, bo jak ktoś się dowie, to ciocia umrze i Bóg będzie bardzo się gniewał. Wiele tygodni Pym nosił w sobie tę cudowną informację, trochę tak, jak wcześniej i znacznie krócej sekret Ricka - tylko że tym razem czuł się z tym lepiej, a i sekret był bardziej wstydlivy; zupełnie tak, jak gdyby były to jego pierwsze zarobione pieniądze, pierwsze w życiu poczucie siły. Kogo tym obdarować, zastanawiał się, z kim się podzielić? Czy mam pozwolić żyć cioci Nell, czy mam ją zabić za to, że nazywa mnie kanareczkiem? W końcu wybrał kucharkę, panią Bannister. „Już wiem, czemu ciocia Nell tak się chwieje. Podejrzałem, że w szklarni ma ukrytą butelkę”, starał się powiedzieć to dokładnie tymi samymi słowami, które tak przeraziły Dorothy. Ciocia Nell jednak nie umarła, a pani Bannister wiedziała już o butelce, więc tylko oberwał za bezczelność. Co gorsza musiał zaraz pobiec z tym do wuja Makepeace'a, który jeszcze tego samego wieczoru pofatygował się, co czynił z rzadka, do skrzydła więziennego. Kiwał się, gromił, pocił się i wskazywał palcem Pyma, przemawiając o diable, który wcielił się w Ricka. Kiedy poszedł, Pym zastawił własnym łóżkiem drzwi, na wypadek gdyby wuj miał wrócić i dalej gromić - ale nie wrócił. Mimo to nasz początkujący szpieg wyniósł z tego zdarzenia bardzo przydatną lekcję: każdy może wydać.

Następna lekcja była równie pouczająca, a dotyczyła zasad łączności na terytorium nieprzyjaciela. W tym okresie Pym pisał już do Lippsie codziennie, wrzucając listy do zielonej skrzynki przy tylnym wejściu do domu. Zawierały one - jak się później okazało, na jego nieszczęście - bezcenne informacje, i to w dodatku prawie niezasyfrowane. Jak włamać się nocą do

Glades. Kiedy wychodzi na spacer. Plany. Charakterystykę prześladowców. Stan własnych oszczędności. Dokładną lokalizację niemieckich wartowników. Opis przejścia przez ogród za domem i miejsce przechowywania klucza od wejścia kuchennego. „Porwali mnie i trzymają w niebezpiecznym miejscu, proszę szybko mnie uwolnić”, pisał, dołączając rysunek ciotki Nell, której z ust wylatują kanarki - co miało stanowić opis grożących mu niebezpieczeństw. Niestety: nie posiadając adresu Lippsie, Pym mógł tylko mieć nadzieję, że ktoś na poczcie będzie wiedział, gdzie ją znaleźć. Przeliczył się. Pewnego dnia listonosz doręczył całą tajną korespondencję Makepeace'owi do rąk własnych. Ten wezwał do siebie tę z ciotką, która akurat była na służbie, ciocia zaś przyprowadziła małego skazańca, choć ten przymilał się i łasił, bo Pym czuł wielką odrazę do chłosty i rzadko przyjmował ją dzielnie. Potem zadowolili się wypatrywaniem Lippsie w autobusach i gdy tylko mogło mu to ujść na sucho, wypytywaniem ludzi przechodzących obok tylnego wejścia do posesji, czy przypadkiem Lippsie nie widzieli. Szczególnie gorliwie wypytywał policjantów, do których teraz uśmiechał się zawsze tak szeroko, jak tylko mógł.

- Mój tata ma wielkie zielone pudło i trzyma tam różne tajne rzeczy - powiedział kiedyś posterunkowemu, idąc na spacer z jedną z ciotek.

- Tak, synku? Dzięki, świetnie, że mi powiedziałeś - odpowiedział posterunkowy i udał, że zapisuje to w notesie.

Tymczasem dobiegały Pyma wieści nie o Lippsie, lecz o Ricku, jak niedokończone szeptem odległej transmisji radiowej. Tata ma się dobrze. Urlop dobrze mu robi. Zrzucił trochę tłuszczu, dostaje dużo dobrego żarcia, nie martwie się, ćwiczy, uczy się prawa, wrócił do szkoły. Źródłem tych bezcennych, choć wrywkowych wieści był Drugi Dom, położony w biedniejszej części czyścica obok składu węgla i niewspominany nigdy w obecności wuja jako dom, z którego wyszedł Rick, skąd przyszła hańba na wielki ród Watermasterów, nie mówiąc o ujmie dla pamięci burmistrza Thomasa Pyma. Dorothy i Pym jechali tam, trzymając się za ręce w ciemności, za zasłoniętymi czarną, lepką siatką maskującą oknami trolejbusu, oświetlonego

na niebiesko, by zmylić niemieckich pilotów. W Drugim Domu twarda Irlandka o potężnej szczęce wyjmowała dla Pyma półkoronówkę z pudełka z pierniczkami, z aprobatą macała jego bicepsy i mówiła do niego „synu”, zupełnie jak Rick, a na ścianie wisiało to samo retuszowane zdjęcie burmistrza Pyma, oprawne nie w złotą ramkę, ale w trumienne drewno. Zupełnie inne ciocie, bo o wesołych twarzach, robiły Pymowi słodczyce z kartkowego cukru, przytulały, opłakiwały i szanowały Dorothy. Pękały ze śmiechu, gdy Pym popisывał się swymi parodiami, i biły brawo, gdy śpiewał Tango milonga. „No, Magnus, zrób teraz sir Makepeace'a!”. Ale Pym wolał nie kusić gniewu bożego, który, jak wiedział od czasu afery z ciocią Nell, działał szybko i skutecznie. Najbardziej pokochał ciocię Bess.

- No, powiedz, Magnus - szepnęła do niego, gdy zostali raz sami w kuchni i przyciągnęła jego głowę do swojej. - Czy to prawda, że twój tata miał konia wyścigowego, którego nazwał na twoją cześć Księciem Magnusem?

- Nie - odpowiedział bez namysłu Pym, doskonale pamiętając podniecenie, kiedy siedział na łóżku obok Lippsie i słuchał transmisji ze sromotnej porażki Księcia Magnusa. - To kłamstwo wymyślone przez wuja Makepeace'a, by zaszkodzić tacie.

Ciocia Bess ucałowała go wtedy, śmiała się i płakała z ulgą, i przytuliła go jeszcze mocniej.

- Nikomu nie mów, że cię pytałam. Słowo?

- Słowo - odpowiedział Pym.

Pewnego cudownego wieczoru ta sama ciocia Bess wykradła Pyma z Glades i zabrała go do Pier Theatre, gdzie występował Max Miller i rząddek dziewczyn z długimi gołymi nogami - wszystkie wyglądały zupełnie jak Lippsie. W trolejbusie, w drodze powrotnej, rozplývający się z wdzięczności opowiedział jej wszystko, co wiedział, a czego nie wiedział, zmyślił. Że napisał książkę Szekspira i schował ją w zielonym pudle w bezpiecznym miejscu. Że kiedyś znajdzie ją, wydrukuje i zarobi mnóstwo pieniędzy. Że zostanie policjantem, aktorem i dżokejem, że będzie jeździł bentleyem jak Rick, że ożeni się z Lippsie i będzie miał sześcioro dzieci, z których każde nazwie Thomas po dziadku. Wszystko - poza planem zostania

dżokejem - ogromnie się cioci podobało, nazwała Magnusa „gościem”, co z kolei zachwyciło jego. Zadowolenie Pyma było bardzo krótkie. Bóg musiał tym razem naprawdę się rozgniewać i jak zwykle zadziałał natychmiast, bo już następnego dnia rano, jeszcze przed śniadaniem, przyjechała policja i zabrała Dorothy na zawsze, choć dyżurna ciocia twierdziła, że to tylko pogotowie.

I znowu - choć Pym z poczucia obowiązku płakał za Dorothy, nie przyjmował jedzenia i rzucał się z piętami na cierpliwe ciocie - nie mógł zaprzeczyć, że zabrano ją słusznie. Ciocie powiedziały, że zabrano ją gdzieś, gdzie będzie szczęśliwa (Pym bardzo jej tego zazdrościł). Nie, nie tam, gdzie Ricka; gdzieś, gdzie jest jeszcze milej i spokojniej, gdzie zajmą się nią dobrzy ludzie. Pym natychmiast zaczął planować ucieczkę w to samo miejsce; ucieczka, pozostająca do tej pory w sferze marzeń, stała się świadomym celem. Pewien epileptyk ze szkółki niedzielnej zaznajomił go z podstawowymi objawami. Pym odczekał dzień, wbiegł do kuchni i, przewracając oczyma, dramatycznie padł tuż przed panią Bannister, wpychając palce do ust i wijąc się po podłodze. Wezwany lekarz, bez wątpienia idiota, zalecił podanie środków przeczyszczających. Następnego dnia, nadal usiłując zwrócić na siebie uwagę, Pym obciął sobie grzywkę nożyczkami do papieru - nikt nic nie zauważył. Improvizując, uwolnił z klatki papugę pani Bannister, nasypał płatków mydlanych do szybkaru i zatkał umywalkę - użył do tego boa z piórek cioci Nell.

Dalej nic. Jak grochem o ścianę. Zbrodnia musiała więc być naprawdę wielka i spektakularna. Przeczekał noc, a nad ranem zebrał się na odwagę: w szlafroku i pantoflach przeszedł przez cały dom aż do gabinetu Makepeace'a Watermastera, gdzie oddał mocz na sam środek białego dywanu. Przerażony czynem rzucił się w kałużę, w nadziei że wysuszy ją swym ciałem. Pojawiła się pokojówka, podniosła alarm. Wezwano dyżurną ciocię, Pym zaś, wciąż zwinięty w kłębek na podłodze, otrzymał pogładową lekcję, jak w chwilach przełomowych historia pisze się od nowa. Ciocia dotknęła jego ramienia - jęknął. Spytała, gdzie boli, więc wskazał na krocze, bezpośrednią przyczynę swej męki. W końcu pojawił się

Makepeace Watermaster. A co ty w ogóle robiłeś w moim gabinecie? Tak mnie bolało, wuju, tak mnie bolało, że chciałem ci powiedzieć. Z piskiem opon wrócił lekarz i gdy pochylał się nad Pymem i gniótł jego brzuch głupimi paluchami, wypadki ułożyły się w logiczną całość: upadek przed panią Bannister, nocne jęki, dzienna bladość, choroba umysłowa Dorothy - to wszystko powtarzano przyciszonymi głosami. Nawet moczenie łóżka zostało zapisane i użyte na jego korzyść.

- Biedaczek, jego też dopadło - powiedziała ciocia, gdy ostrożnie przenoszono pacjenta na kanapę, a pokojówka biegła już po środek dezynfekcyjny i szmatę do podłogi. Zmierzono Pymowi temperaturę, normalny wynik przyjęto za złą wróżbę.

- To nic nie znaczy - rzekł lekarz, który teraz robił co mógł, by zatrzeć pamięć o swym wcześniejszym niedbalstwie, i kazał ciocie spakować rzeczy nieboraka. Wypełniając to polecenie, musiała niewątpliwie natrafić na pewną liczbę drobnych przedmiotów, które Pym odebrał innym, by uprzyjemnić sobie własne życie: czarne kolczyki Nell, listy z Kanady syna kucharki i Podróże z osłem Makepeace'a Watermastera, wybrane przez Pyma wyłącznie ze względu na tytuł, bo tylko to przeczytał. W tej przełomowej chwili nawet tak niezaprzeczone dowody zbrodniczych skłonności zostały zignorowane.

Metoda okazała się skuteczniejsza, niż można było przypuszczać. Niecały tydzień później Magnus Pym, lat osiem i pół, znalazł wreszcie bezpieczne schronienie w świeżo odnowionym na przyjęcie ofiar wojny szpitalu za cenę własnego wyrostka robaczkowego. Kiedy się ocknął, pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był większy niż sam Pym niebiesko - czarny miś koala, siedzący w nogach łóżka. Drugą był koszt owoców większy nawet od misia, sprawiający wrażenie, że jakaś częśćka St. Moritz wylądowała przez pomyłkę w pograżonej w wojnie Anglii. A trzecią był Rick, szczupły i elegancki jak marynarz, stojący na baczność i salutujący synowi prawą ręką. Obok Ricka, niczym przestraszone widmo wyciągnięte na siłę z mroków zachloroformowanej świadomości Pyma, kuliła się pod ogromnym nowym futrem Lippsie, podtrzymywana przez Syda Lemona, który z kolei wyglądał jak swój młodszy brat.

Lippsie przyklęknęła przy mnie. Obaj mężczyźni przyglądali

się, jak się ściskamy.

- Tak jest - powtarzał z aprobatą Rick. - Niedźwiadek. Po angielsku. Tak jest.

Delikatnie, jak kotka, która odzyskała młode, Lippsie dotykała mnie to tu, to tam, unosząc resztki mojej grzywki i patrząc mi poważnie w oczy, jakby obawiając się, że wlaźło mi w nie coś złego.

Jak oni świętowali wyjście na wolność! Odarty z wszystkiego poza ubraniem, które miał na grzbiecie, i poza kredytem, jaki zdążył pozbierać tu i tam, Rick zabrał swój zrekonstruowany dwór w trasę - istną krucjatę po targanej wojną Wielkiej Brytanii. Benzyna była na kartki, bentleye chwilowo gdzieś zniknęły, plakaty pytały wszędzie: „Czy twoja podróż naprawdę jest konieczna?” - za każdym razem, gdy je mijali, zwalniali i wrzeszczeli chórem: „Tak!” przez otwarte okna taksówki. Kierowcy albo przyłączali się, albo szybko uciekali. Za którymś razem niejaki Humphries wyrzucił ich ze swego auta na środku ulicy w Aberdeen, zwyzywał od przestępców i odjechał w siną dal bez zapłaty. Ale z kolei pan Cudlove, którego Rick poznał na urlopie - i który zamelinował dwór na cały tydzień w Imperialu w Torquay, korzystając z uprzejmości pracującej w hotelowej księgowości ciotki - przyłączył się do nich na zawsze, na dobre i na złe, a w dodatku nauczył Pyma sztuczek ze sznurkiem. Czasem brali jedną taksówkę, czasem Ollie, najbliższy przyjaciel pana Cudlove'a, przyjeżdżał swoim humberem, i cały dzień ścigali się po to tylko, by zrobić przyjemność Pymowi; Syd wychylał się przez okno i udawał, że pogania auto batem. Znow pojawiło się mnóstwo cioc, ale innych, znacznie ciekawszych. Czasem pojawiały się tak nagle, że musiały siedzieć jedna na drugiej na tylnym siedzeniu, a między nimi Pym, też posadzony na obcych, ale fascynujących kolanach. Była więc Topsy, która pachniała różami i zmuszała Pyma, by tańczył z nią z głową wtuloną w jej biust; i była Millie, która pozwalała mu spać z nią w jednym łóżku, bo bał się czarnego kredensu w pokoju hotelowym, i która poddawała go dość bezpośrednim karesom podczas kąpieli. I były jeszcze różne Eileen, Mabel czy Joan, i była jedna Violet, która raz zwymiotowała w samochodzie, bo wypiła za dużo jabłecznika - trochę do pojemnika z maską

gazową, resztę na Pyma. A kiedy one zniknęły, na spowitym kłębam pary peronie jakiegoś dworca zmaterializowała się Lippsie z tekturową walizką, którą trzymała w szczupłej dłoni. Pym kochał ją jeszcze bardziej niż przedtem, ale nie wytrzymał jej pogłębiającej się melancholii; gniewało go wręcz, że stał się jej obiektem podczas tej wspaniałej, wielkiej krucjaty.

- Nasza Lippsie coś jest ostatnio nie w sosie - mówił dobrotliwie Syd, gdy widział rozczarowanie Pyma, bo obaj oddychali z ulgą, kiedy gdzieś szła.

- Nasza Lippsie znowu przejmuje się tymi swoimi Żydami - powiedział kiedy indziej ze smutkiem Syd. - Znowu się za nich zabrali.

A raz: - Nasza Lippsie ma wyrzuty sumienia, że ona żyje, a oni nie.

Sporadyczne pytania Pyma o Dorothy nic nie dały. Mama nie czuje się jeszcze dobrze, odpowiadał zawsze Syd. Niedługo wróci, a najlepiej byłoby dla niej, gdyby Magnus przestał się o nią martwić, bo jak będzie się martwił, to mama się dowie i jeszcze jej się pogorszy.

Rick wolał się obrażać.

- Przez jakiś czas musisz znosić swojego starego. A ja myślałem, że dobrze się razem bawimy...

- Pewnie, że dobrze - odpowiadał wtedy Pym.

Na temat swej niedawnej nieobecności Rick miał bardzo niewiele do powiedzenia, a że i reszta dworu nabrała wody w usta, wkrótce Pym zaczął zastanawiać się, czy oni rzeczywiście byli na urlopie. Z rzadka rzucane aluzje kazały mu się domyślać, że spędzili ze sobą mnóstwo czasu. W Winchester było gorzej niż w Reading, przez tych cholernych Cyganów spod Salisbury - tak kiedyś opowiadał Loftowi Morrie Washington. Syd był tego samego zdania: „Twarde sztuki z tych Cyganów, nie masz pojęcia”, mówił z przekonaniem. „A i klawisze byli niewiele lepsi”. Pym zauważył też, że wszyscy mieli po urlopie znacznie lepsze apetyty. „Zjedz fasolkę, Magnus”, mówił mu Syd, „są gorsze hotele niż ten, możesz mi wierzyć”. A wszyscy wybuchali śmiechem.

Dopiero po roku, a może jeszcze później, gdy zasoby

słownictwa Pyma zaczęły dorównywać jego zdolnościom wywiadowczym, zorientował się, że chodziło o więzienie.

Ale ich przywódca nigdy nie dowcipkował na ten temat; przy nim śmiechy cichły, bo z Ricka gravitas nie było żartów. Jego wyższość we wszystkim nie podlegała dyskusji: w tym, jak się ubierał - nawet gdy już całkiem nie mieli pieniędzy, zawsze nosił czystą bieliznę i czyste buty. W wykwinności potraw i otoczeniu, w którym je spożywał. W standardzie pokoiów hotelowych. W tym, że do snookera zawsze pił koniak, i że gdy był w złym humorze, wszyscy milczeli. I w gorliwości, z jaką oddawał się dobrym uczynom, odwiedzając ludzi w szpitalach i pomagając starym ludziom, których synów zabrano na front.

- A Lippsie też pomożesz, jak wojna się skończy? - zapytał kiedyś Pym.

- Lippsie jest morowa - odpowiedział Rick.

I handlowaliśmy. Czym, tego Pym nie wiedział, i teraz też nie wiem. Czasem trudno dostępnym towarem, takim jak szynka czy whisky, czasem zaufaniem, nazywanym na dworze znacznie piękniej: Wiarą. A czasem tylko rozświetlonym horyzontem, który rozciągał się przed nami na pustych drogach czasów wojny. Kiedyś przed Bożym Narodzeniem ktoś przywiózł stosy kolorowego papieru. Potem wiele dni i nocy Pym wraz z całym dworem, wzmocnionym jeszcze w tej ważnej wojennej robocie o dodatkowe cicie, klęczeli w pustym wagonie kolejowym w Didcot, skręcając papier w stożki, do których wkładano malutką petardę i parę drewnianych żołnierzyków. Dokładniej mówiąc, zabawki i petardy były tylko w kilku pierwszych stożkach - niespodziankach, które nazywano „próbkami” i trzymano osobno. Reszta, jak twierdził Syd, była do dekoracji jak sztuczne kwiaty. Pym uwierzył. Żadne dziecko nigdy nie dawało się wykorzystywać do pracy tak chętnie jak on, gdy tylko czekała go za to pochwała.

Kiedy indziej ciągnęli za samochodem przyczepę pełną skrzyniek z pomarańczami, których Pym nie chciał jeść, bo podsłuchał Syda, jak mówił, że „parzą go w łapy”. Sprzedali je potem w jakimś pubie przy drodze do Birmingham. Wieźli też kiedyś mnóstwo zdechłych kurczaków i Syd tłumaczył, że można z nimi jechać tylko nocą, kiedy jest wystarczająco zimno

- więc może z pomarańczami było podobnie. To, co na zawsze wryło mi się w pamięć, wygląda jak urywek filmu: poszarpany pagórek w świetle księżyca, nasze dwie taksówki ze zgaszonymi światłami nerwowo wspinają się pod górę krętą drogą, ciemne postacie czekają na nas z tyłu ciężarówki, ślepa latarka, przy której pan Muspole, wielki księgowy, liczy otrzymane banknoty, podczas gdy Syd rozładowuje przyczepę. I choć Pym przypatrywał się temu z daleka, bo nie cierpiał widoku piór, żadne z przejść przez zieloną granicę nie było bardziej ekscytujące.

- To teraz możemy już posłać Lippsie pieniądze? - zapytał Pym. - Bo jej już nic nie zostało.

- A skąd ty wiesz takie rzeczy, stary?

Z jej listów do ciebie, odparł w duchu Pym. Jeden zostawiłeś kiedyś w kieszeni, a ja go przeczytałem. Ale oczy Ricka błysnęły na chwilę jak nóż sprężynowy, więc powiedział:

- Nie wiem, zmyśliłem. - I uśmiechnął się.

Rick nie brał udziału w naszych przygodach - oszczędzał się. Na co, o to nikt nigdy przy Pymie nie pytał, on sam też nie. Rick poświęcał się bez reszty działalności charytatywnej, starszkom i odwiedzinom w szpitalach.

- Czy to twoje ubranie jest odprasowane, synu? - pytał, gdy jako szczególne wyróżnienie zabierał go na którąś ze swych dobroczynnych misji. - Na miłość boską, Muspole, popatrz na jego ubranie, przecież to wstyd! A jego włosy...

Natychmiast któraś z cioc musiały prasować ubranie, inna czyściła mi buty i paznokcie, jeszcze inna czesała włosy w ładnie ulizaną, grzeczną fryzurkę. Pan Cudlove niecierpliwiał się i stukał kluczykami w dach samochodu, gdy Pyma sprawdzano po raz kolejny, czy nie przyniesie ojcu wstydu. Wreszcie ruszali do domu lub węzłowiec starszej a zaciej osoby, gdzie Pym obserwował z fascynacją, jak Rick błyskawicznie dopasowuje do niej swe zachowanie, jak naturalnie przemawia takim tonem i akcentem, by jego rozmówcy czuli się najpewniej. I jak na jego twarzy maluje się miłość do Boga, gdy mówi o liberalizmie i dobroczynności, gdy opowiada o swym świętej pamięci ojcu, o wspaniałych zyskach, dziesięć procent na pewno, a może więcej, oby Pan Bóg dał jak najdłuższe życie. Czasem

obdarowywał rozmówcę szynką - prawdziwy anioł w wyzutym z szynek świecie. A czasem parą jedwabnych pończoch, bo Rick lubił dawać, nawet kiedy brał. Kiedy mu pozwalano, Pym rzucał na szalę również własny urok, odmawiając modlitwę własnego autorstwa, śpiewając Tango milonga albo opowiadając wesołą historyjkę którymś z regionalnych akcentów, podsłuchanym podczas krucjaty. Kiedyś zrobił wielkie wrażenie, mówiąc: „Niemcy zabijają wszystkich Żydów. Mam przyjaciółkę, nazywa się Lippsie, zabili jej całą rodzinę”. Jeżeli zdarzały mu się niedociągnięcia, Rick mówił mu o tym całkiem spokojnie.

- Kiedy ktoś taki jak pani Ardmore pyta cię, czy ją pamiętasz, synu, nie drap się w łepetynę i nie rób głupiej miny, tylko patrz jej w oczy, uśmiechaj się i mów: „Tak!”. Tak się rozmawia ze starymi ludźmi. Wtedy przynosisz ojcu chlubę. Kochasz swojego starego?

- Pewnie.

- No. Smakował ci wczoraj stek?

- Był super.

- A wiesz, że w całej Anglii nawet dwudziestu chłopców nie jadło wczoraj steku?

- Wiem.

- No to dawaj całusa. Syd był mniej taktowny.

- Jeżeli chcesz nauczyć się golić innych, Magnus - mówił, co chwila mrugając szelmowsko - musisz najpierw wiedzieć, jak ich namydlić!

A potem, gdzieś w okolicy Aberdeen, dwór zaczął nagle interesować się tylko aptekami. Wtedy był już dość nieliczny, co akurat Pyma cieszyło niemal tak, jakby został policjantem. Rick znalazł nowego bankiera, czekał podpisywał Ollie, ten kolega pana Cudlove, który z nim mieszkał. Aptekom sprzedawaliśmy miksturę z suszonych owoców, które rozgniataliśmy ręcznie w kuchni wiejskiej posiadłości bardzo eleganckiej, nowej ciotki o imieniu Cherry. Był to wielki dom z białymi kolumnami przy wejściu i białymi posągami w ogrodzie, z których każdy bardzo przypominał Lippsie. Nawet w raju dwór nie mieszkał w tak wysmienitych warunkach. Najpierw gotowało się susz, potem rozgniatano się go w prasie, i to było najlepsze; na końcu dodawało się żelatyny, żeby można było formować tabletki,

które Pym obtaczał w cukrze gołymi palcami - przerwy w pracy poświęcał oblizywaniu palców z cukru. Cherry trzymała w posiadłości konie i ewakuowanych mieszczuchów, i wydawała przyjęcia na cześć żołnierzy amerykańskich, którzy odwdzięczali się kanistrami z benzyną. Miała też pola uprawne i wspaniały park z sarenkami, i nieobecnego męża - służył w marynarce wojennej, więc Syd nazywał go admirałem. Co wieczór przed kolacją stary łowczy, z batem w ręku, wpędzał do salonu sforę spanieli. Wskakiwały na kanapy i szczekały na cały dom, po czym znów je wyganiano. To właśnie u Cherry, po raz pierwszy od czasów St. Moritz, Pym miał znowu okazję widzieć przy stole nagie ramiona w świetle świec.

- Jest taka pani, nazywa się Lippsie, ona kocha mego tatę, pobiorą się i będą mieli dzieci - poinformował kiedyś Cherry z czystej sympatii, gdy przechadzali się aleją prowadzącą do domu.

Wrażenie, jakie ta wiadomość zrobiła na Cherry, przeszło jego najśmielsze oczekiwanie: wypytała go dokładnie o wszystkie zalety Lippsie.

- Widziałem, jak się kąpie. Jest piękna - powiedział Pym. Gdy kilka dni później wyjeżdżali, Rick zabrał ze sobą trochę arystokratycznego genius loci i chyba kilka rzeczy właściciela, bo pamiętam go, jak idzie po wspaniałych kamiennych schodach posiadłości, trzymając w każdej ręce po walizce z białej skóry - Rick zawsze lubił ładny bagaż - i elegancki sportowy garnitur, którego admirał w życiu nie włożyłby na morzu. Syd i pan Muspole szli za nim jak cyrkowe karły, dźwigając do spółki sfatygowaną zieloną szafkę na dokumenty, wołając: „Z krzyża ją, Deirdre!” i „Wolniej na schodach, Sybil!”.

- Synu, żebyś więcej nie gadał Cherry o Lippsie - ostrzegł Pyma Rick swym najbardziej moralizującym tonem. - Musisz się nauczyć, że niegrzecznie jest mówić o jednej pani do drugiej. Bo jak się nie nauczysz, to stracisz wszystko, co zapewnia ci lepszy start w życiu. Właśnie tak.

Podaję, że to chyba właśnie pod wpływem Cherry Rick postanowił wychować Pyma na dżentelmena. Do tej pory uznawano, że Pym już i tak należy do arystokracji. Cherry jednak, kobieta o silnych przekonaniach i jeszcze silniejszym

poczuciu własnej wartości, przekonała go, że prawdziwie uprzywilejowanym Anglikiem zostaje się przez cierpienie, a najlepszych cierpień dostarcza dobra angielska szkoła z internatem. Cherry miała siostrzeńca w zakładzie pana Grimble'a. Siostrzeniec nazywał się oficjalnie Sefton Boyd, choć mówiła o nim zawsze „mój kochany Kenny”. Na decyzję Ricka zaczął też nagle wpływać jeszcze inny, choć znacznie mniej przyjemny czynnik - wojsko. Jego pierwszą ofiarą stał się Muspole, drugą Syd. Obaj kolejno ze smutnym wyrazem twarzy pakowali walizki i znikali. Potem odwiedzali nas na krótko i zawsze na krótko ostrzyżeni. Wreszcie pewnego dnia, ku swemu wielkiemu zdumieniu i poczuciu krzywdy, Rick również został powołany pod broń. W późniejszym życiu traktował małościowość społeczeństwa z większym pobłażaniem; teraz jednak widok karty mobilizacyjnej, doręczonej mu przy śniadaniu, wywołał wybuch słusznego gniewu.

- Do diabła, Loft, myślałem, że to było załatwione - grzmiał na Perce'a, który, oczywiście, zwolniony był od wszystkiego.

- I było - odparł Perce i wyciągnął palec w moim kierunku. - Chorowite dziecko, matka w wariatkowie, murowane zwolnienie.

- No a co teraz możesz sobie zrobić z tym zwolnieniem? - pytał dalej Rick, podtykając dokument pod nos Perce'a. - Wstyd, Loft, wstyd. Zrób z tym coś.

- Po coś nagadał Cherry o Lippsie - złościł się potem na mnie Perce Loft. - To ona na pewno zakablowała twojego tatę.

Wojsko niestety nie poddało się, więc znów znacznie uszczuplony dwór, składający się z Perce'a Lofta, kilku cioć, Olliego i pana Cudlove'a, przeniósł się do obskurnego hoteliku w Bradford, gdzie Rick musiał godzić hańbę placu apelowego z powinnościami człowieka biznesu. Wspomagając się kasą hotelową i kredytem hotelu, zamieniając jego sypialnie w biuro i składując tajemnicze towary w hotelowym garażu, dwór toczył w odwrocie bohaterską walkę o przetrwanie - na próżno. Pewnej niedzieli wieczorem Rick, w świeżo odprasowanym mundurze szeregowca, zbierał się do powrotu do koszar. Pod pachą trzymał już nową tarczę do rzutek, którą chciał przekazać do kasyna sierżantów - zamierzał dostać się do kwatermistrzostwa, co rozwiązałyby nasze problemy z zaopatrzeniem.

- Synu! Czas, byś wyruszył w drogę, która zaprowadzi cię na stołek sędziego Sądu Najwyższego, żeby twój stary mógł być z ciebie dumny. Dość leniuchowania. Cudlove, widzisz tę jego koszulę? Prawdziwy mężczyzna nie załatwia niczego w brudnej koszuli. Widzisz te jego włosy, Cudlove? Przecież, jak nie dopilnujemy, zaraz zrobi się z niego łajza. Synu, idziesz do szkoły z internatem, niech cię Bóg błogosławi i mnie też.

Jeszcze jeden niedźwiadek, ostatnie otarcie łez, jeden męski uścisk dłoni dla nieobecnych kamer i wielki człowiek odszedł na wojnę z tarczą - do rzutek - pod pachą. Pym poczekał, aż odejdzie, po czym zaczął skradać się po schodach prowadzących do tymczasowych apartamentów królewskich. Drzwi nie były zamknięte, wewnątrz pachniało kobietą i talkiem. Wyciągnął aktówkę ze świńskiej skóry spod niepościelonego małżeńskiego łóża, opróżnił ją na łóżko i jak zwykle zaczął przeglądać niezrozumiałą dla niego korespondencję i dokumenty. Sportowy garnitur admirała, noszony tego dnia parę godzin i wciąż ciepły, wisiał w szafie. Pym przeszukał kieszenie; z ciemnego kąta kusila go zielona szafka na dokumenty, jeszcze bardziej pokiereszowana niż dawniej. Dlaczego on zawsze trzyma w niej wszystko? Pym na próżno szarpał za uchwyty zamkniętych szuflad.

Dlaczego ta szafka zawsze jeździ osobno, jakby była czymś zaniżona?

- Co, mały, szukasz pieniędzy? - zapytał go z łazienki kobiecy głos. Doris, maszynistka, porządna dziewczyna. - Nie męcz się, tata wszystko zabrał. Wiem, bo sama szukałam.

- Powiedział, że zostawił mi w pokoju batonik czekoladowy - odpowiedział przytomnie Pym i szukał dalej, choć już na niego patrzyła.

- W garażu jest chyba tona wojskowego mleka orzechowego, możesz się poczęstować - poradziła Doris. - I kartki na benzynę, jeśli chce ci się pić.

- To taki specjalny batonik - powiedział Pym.

Nigdy nie wykryłem, w jaki sposób Pym znalazł się w tej samej szkole, co Lippsie. Czy infiltracji dokonano łącznie, a na naukę jednego miało pracować drugie? Tak właśnie podejrzewam, ale jedynym dowodem na to jest ogólna

znajomość metod Ricka. Otóż Rick przez całe swe życie utrzymywał rzeszę oddanych mu kobiet, które regularnie odtrącał i przywracał do łask. Gdy ich obecność nie była wymagana na dworze, wysyłał je do pracy w szeroki świat, by łożyły na jego krucjatę datki przekraczające na ogół ich skromne możliwości finansowe, by sprzedawały dla niego swą biżuterię, by oddawały mu oszczędności, by figurowały jako właścicielki kont w bankach, w których sam Rick był wyklęty. Lippsie nie miała ani biżuterii, ani kredytu; miała tylko piękne ciało, muzykę, dręczące poczucie winy i małego Anglika, który trzymał ją przy życiu. Teraz podejrzewam, że Rick zdążył już odczytać narastające w niej sygnały ostrzegawcze i postanowił posłać mnie, bym się nią zaopiekował. Oczywiście, nie działał całkiem bezinteresownie - był urodzonym oportunistą.

Jeżeli Pym posiadał jakąkolwiek wiedzę szkolną w chwili, gdy pojawił się w progach położonego na wsi zakładu pana Grim - ble'a dla dzieci dżentelmenów, zawdzięczał to Lippsie, a nie kilkunastu żłobkom, przedszkolom i szkołkom niedzielnym, leżącym wzdłuż pogmatwanego szlaku wędrówek Ricka. To właśnie Lippsie nauczyła go pisać; do tej pory piszę niemieckie „t” i przekreślam małe „z”. Uczyła go też ortografii i oboje ogromnie bawiło to, że nigdy nie wiedzieli, ile jest „d” w angielskim słowie address, i że zawsze musieli najpierw napisać sobie „adres”. I wszystko, co jeszcze wiedział Pym - poza pozbawionymi znaczenia fragmentami Pisma Świętego - mieściło się w jej tekturowej walizce, bo gdziekolwiek go odwiedzała, zawsze zaciągała go do swego pokoju i tam szpikowała wiadomościami z geografii czy historii albo zmuszała do grania gam na flecie.

- Widzisz, Magnus, bez wiedzy jesteśmy niczym. A dzięki wiedzy możemy zająć wszędzie. Jesteśmy jak żółwie, bo wszystko nosimy ze sobą na grzbiecie. Nauczysz się malować, możesz malować wszędzie. Żeby być rzeźbiarzem, muzykiem, malarzem, nie potrzebujesz żadnego pozwolenia, tylko głowy. W głowie musimy mieć cały świat. Tego ci nikt nie zabierze. No, a teraz zagraj Lippsie coś ładnego.

Układ w szkole pana Grimble'a odpowiadał im doskonale. Ich świat mieścił się, co prawda, w ich głowach, ale też w

ceglano - kamiennym domku ogrodnika znajdującym się na samym końcu długiej alei, zwanym Zapasowym Domkiem, gdzie lokowano niemieszczących się w głównym budynku chłopców i gdzie najnowszym lokatorem był Pym. I Lippsie, jego prześliczna i zawsze przy nim obecna Lippsie, najlepsza i najtroskliwsza z cioć. Mieszkańcy Zapasowego Domku wiedzieli doskonale, że są wyrzutkami - a gdyby nie wiedzieli, pozostałych osiemdziesięciu uczniów zaraz by im to uświadomiło. W Zapasowym Domku mieszkali więc: błądy syn sklepikarza zdradzający swym akcentem niskie urodzenie; trzej Żydzi, wtrącający do angielszczyzny słowa polskie; nieuleczalny jąkała M - M - Marlin; i Hindus o nóżkach w iks, którego ojciec zginął, gdy Japończycy zdobyli Singapur; no i Pym, piegowaty i sikający do łóżka. A mimo to, przy Lippsie, ta plebejska menażeria potrafiła cieszyć się ze swoich słabości. Jeżeli chłopcy na drugim końcu alei byli jednostką elitarną, chłopcy z Zapasowego Domku byli żołnierzami oddziałów liniowych, którzy na swoje medale muszą zasłużyć znacznie cięższą służbą. Grono pedagogiczne miał pan Grimble takie, jakie mógł mieć w takich czasach, a mógł mieć tylko to, czego nie wzięło wojsko. Pan O'Mally palnął jednego chłopca tak mocno, że ten stracił przytomność. Pan Farbourne uderzał kiedyś głową o głowę dwóch uczniów, aż jednemu z nich pękła czaszka. Panu od przyrody wydawało się raz, że chłopcy ze wsi, którzy włóczyli się po szkolnym parku, to bolszewicy, więc wypalił ze strzelby w uciekające zadki. U pana Grimble'a bito za spóźnienia, za nieporządek, za apatię, za bezczelność i za to, że bicie nic nie dawało. Wojenna nerwowość wywoływała brutalność, tę wzmagaly jeszcze wyrzuty sumienia zwolnionych ze służby wojskowej nauczycieli, a właściwy brytyjskiemu szkolnictwu system hierarchii prowadził prostą drogą do sadyzmu. Ich Bóg był obrońcą angielskiego ziemiaństwa, ich sprawiedliwość oznaczała karanie nisko urodzonych i nieuprzywilejowanych, wymierzano ją zaś przy współudziale najsilniejszych, spośród których najsilniejszym i najprzystojniejszym był Sefton Boyd. Na bardzo smutną ironię zakrawa fakt, że Lippsie zmarła w służbie państwa faszystowskiego.

Każdego wolnego dnia - takie było stałe życzenie Ricka -

Pym stawiał się przy wjeździe na teren szkoły, oczekując przyjazdu pana Cudlove'a. Jeżeli nikt się nie pojawiał, z ulgą pędził do lasu, szukając odosobnienia i poziomek. Gdy nadchodził wieczór, wracał do szkoły i chwalił się, że spędził kapitalny dzień. Od czasu do czasu najgorsze się jednak zdarzało i pojawiał się pełny samochód: Rick, pan Cudlove, Syd w mundurze szeregowca, kilku dżokejów wciśniętych na tylne siedzenie - całe towarzystwo już naponczowane w pobliskiej gospodzie. Jeżeli akurat trafili na szkolny mecz, hałaśliwie dopingowali miejscowych i rozdawali pomarańcze, nie do zdobycia w tamtych czasach, ze skrzynki w bagażniku. Jeżeli meczu nie było, Syd i Morrie łapali kilku pierwszych lepszych chłopców, którzy akurat przejeżdżali na rowerach, i urządzali im zawody na dochodzenie wokół szkolnego boiska; Syd darł się przez złożone w trąbkę dłonie, komentując przebieg rywalizacji. Sam Rick, w garniturze admirała, z burmistrzowską godnością machając chusteczką, dawał sygnał startu i on też wręczał zwycięzcy od dawna niewidywane pudełka czekoladek, podczas gdy wśród jego dworu banknoty funtowe zmieniały właścicieli. Gdy nadchodził wieczór, Rick zawsze stawał na nocleg w Zapasowym Domku i zawsze przynosił butelkę szampana, żeby pocieszyć Lippsie, bo była taka przygnębiona - co się z nią dzieje, synu? I Rick rzeczywiście ją pocieszał. Nasłuchującego pod drzwiami, otulonego szlafrokiem Pyma dochodziło skrzypienie i okrzyki - zastanawiał się, czy się tam biją, czy tylko udają. Potem wracał do łóżka i słyszał, jak Rick schodzi na palcach na dół, choć umiał skradać się jak kot.

Nadszedł jednak dzień, kiedy odjazd Ricka nie odbył się w zwykłej dyskrecji. Pyma i pozostałych chłopców, ku ich wielkiemu podekscytowaniu, obudził pewnego ranka hałas. Lippsie krzyczała, Rick usiłował ją uciszyć, ale im był dla niej miłszy, tym bardziej nie mogła się powstrzymać.

- Złodziejkę ze mnie zrobiłeś! - krzyczała, co chwila głośno nabierając oddechu. - Złodziejkę, żeby się na mnie odegrać. Zły z ciebie ksiądz, Rickie. Kazałeś mi kraść. A ja byłam uczciwa. Samotna, ale uczciwa. - Czemu mówiła o tym tak, jakby wydarzyło się to rok wcześniej? - Mój ojciec był uczciwy. Mój brat też. Byli dobrzy, nie tak jak ja. Kazałeś mi kraść, żebym

stała się taka jak ty. Może Bóg cię kiedyś pokarze. Oby. Mam nadzieję, że tak!

- Nasza Lippsie znowu nie w sosie, synu - tłumaczył potem Rick Pymowi, na którego natknął się przy schodach, gdy wychodził. - Idź do niej, może uda ci się ją rozbawić jakąś historyjką. Grimble dobrze cię żywi?

- Fantastycznie - odpowiedział Pym.

- Bo twój stary już z nim to załatwił, rozumiesz? To najzdrowsza szkoła w całej Anglii, zapytaj w ministerstwie. Chcesz półkoronówkę? Masz.

By dotrzeć do roweru Lippsie, Pym ruszył specjalnym chodem, który podpatrzył u Sefton Boyda. Dłonie lekko złączone za plecami, głowa wysunięta do przodu, wzrok utkwiony w jakiś przyjemny, dość odległy przedmiot. Krok szeroki, wysoki, na twarzy lekki uśmiech, jak gdyby słuchało się innych głosów - tak właśnie najlepsi z nas okazują swój autorytet. Był za mały, by wspiąć się na siodelko w szkocką kratę, ale damka ma dziurę, a nie drążek, jak zawsze z zadowoloną miną tłumaczył Sefton Boyd, i Pym kiwał się rytmicznie, pompując to jedną, to drugą nogą, kręcąc kierownicą, by ominąć wypełnione wodą kraterę w asfalcie. Po prawej mijał ogródek warzywny, gdzie wraz z Lippsie uczestniczyli w akcji „Kopiemy dla zwycięstwa”, po prawej - zagajnik, na który kiedyś spadła niemiecka bomba, obrzucając kawałkami szerniałych gałęzi okno w sypialni między Hindusem a synem sklepikarza. Ale w swej przerażonej wyobraźni widział za sobą tylko Sefton Boyda i jego popleczników, przedrzeźniających Lippsie, bo wiedzieli, że ją kocha: „A gdzie ty jedziesz, mein Spekulant? Co teraz zrobisz mit dein ukochaną, kiedy nie żyje?”. Przed sobą miał bramę, przy której tyle razy czekał na auto pana Cudlove'a, po lewej Domek Zapasowy z powyrywanymi kratami, by wspomóc przemysł zbrojeniowy. Obok Domku stał policjant.

- Mam zabrać zielnik - oświadczył Pym, patrząc policjantowi prosto w oczy, i oparł rower Lippsie o ceglany murek. Nie pierwszy raz kłamał policjantom, więc wiedział już, że trzeba sprawiać uczciwe wrażenie.

- A, zielnik? - przytaknął policjant. - A jak się nazywasz?

- Pym, proszę pana. Ja tu mieszkam.

- Pym i jak dalej?

- Magnus.

- No to raz - dwa, Pymie Magnusie - powiedział policjant, ale Pym szedł powoli, by nie okazać niecierpliwości. Na nocnej szafce Lippsie stał rząddek jej oprawnej w srebro rodziny, ale dominowała nad nią ciężka głowa Ricka w ramce ze świńskiej skóry, wrażliwa i polityczna; oczy Ricka wodziły za nim po pokoju. Otworzył szafę i przez chwilę wdychał jej zapach. Potem odsunął biały szlafrok z falbankami, futrzaną narzutkę i płaszcz z wielbłądziej wełny, który Rick kupił jej w St. Moritz, i z głębi szafy wyciągnął tekturową walizkę. Postawił ją na podłodze i otworzył kluczykiem przechowywanym w miseczce stojącej obok pluszowej małpki na kafelkowym kominku. Wyciągnął z walizki książkę, która wyglądała jak Biblia, tylko że była zapisana takimi czarnymi robaczkami, książki o muzyce i jeszcze jakieś do czytania, których nie rozumiał, i paszport ze zdjęciem, na którym była młoda, i przewiązane wstążką listy od jej siostry Rachel, o której mówiła Ra - ha - el i która już do niej nie pisała, i wreszcie, z samego dna, listy od Ricka, też przewiązane, ale zwykłym konopnym sznurkiem. Niektóre z nich znał już na pamięć, choć nie potrafił przebić się przez ich styl, by domyślić się tego, co zapowiadały:

Jest już sprawą tygodni czy wręcz dni, moja ukochana, by chmury, które teraz zgromadziły się nad nami, rozpierzchny się, i to na zawsze. Loft załatwił mi Zwolnienie i już wkrótce oboje cieszyć się będziemy z naszej tak zasłużonej Nagrody... Opiekuj się mym synem, który traktuje Cię jak Matkę, żeby nie wyrósł na łajzę...

Wątpliwości Twoje co do mojej Wierności są całkowicie nieuzasadnione... Nie zaprzataj sobie tym Głowy, bo to tylko przysparza mi więcej zmartwień, oczekującemu tu na hasto do Boju, z którego Może już nie Powrócę... gra idzie o poważne korzyści, również dla Wentwortha... Nie zamęczaj mnie o W ani o jego żonę, ta kobieta to urodzona intrygantka najgorszego sortu...

Serdeczne pozdrowienia dla Teda Grimble'a, którego uważam za wielkiego Człowieka Oświaty i świetnego Kierownika Szkoły. Powiedz mu, że wysłałem kolejne sto funtów suszonych

śliwek... Niech też przygotuje kuchnię na cały gros świeżutkich pomarańczy. Loft załatwił mi trzy tygodnie Urlopu okolicznościowego, dzięki czemu, jeżeli mnie znów powołają, muszą mnie Szkolić od początku. Co do Innej Sprawy, Muspole mówi, żebyś dalej przysyłała. Przyślij szybko, bo mamy tu z naszej strony czysto Chwilowy problem z wypłacalnością, przez co porządni ludzie, tacy jak Wentworth, nie mogą odzyskać swoich należności...

Jeżeli natychmiast nie przyślesz mi pensji, to tak jakbyś mnie z powrotem wpakowała do Więzienia, i nie tylko mnie, ale i Chłopaków, oczywiście poza Perce'em. Taka jest Prawda... I po co gadasz, że się Zabijesz, to Głupota, wystarczy, że ludzie Zabijają się nawzajem na całym świecie w tej Głupiej i Tragicznej wojnie... Muspole mówi, że jeżeli wyślesz jutro ekspres na poste restante, pójdzie na pocztę w sobotę, jak tylko otworzą, i zaraz prześle do Wentwortha...

Za to list Lippsie, który zostawił sobie na koniec, był wzorem więźności:

Mój ukochany, kochany Magnusie,
bądź zawsze dobry, kochanie, nie zapominaj o muzyce i wyrośnij na silnego mężczyznę.

Bardzo Cię Kocham Lippsie

Pym zrobił ze wszystkich listów, również tego od Lippsie, jeden pakunczek, wepchnął go do zielnika, zielnik schował za pazuchę. Powoli przejechał obok policjanta, choć czuł okropne ciarki na plecach. Szkolny bojler ogrzewano ceglanym piecem w piwnicy, do którego wrzucano węgiel wprost przez zsyp na podwórku kuchni. Za podchodzenie do zsyphu groziła chłosta, palenie papieru było aktem zdrady, przez który zginą nasi marynarze. Od wzgórz wiał porywisty wiatr, kredowe pagórki przybrały oliwkową barwę na tle burzowych chmur. Pym stanął przed otwartym zsyphem, wtulił głowę w ramiona, wrzucił do otworu listy i patrzył, jak znikają. Na pewno zobaczyło go z dziesięć osób i z grona, i z uczniów, i niektórzy z nich należeli na pewno do sojuszników Sefton Boyda, ale jawność, z jaką postępował, musiała ich przekonać, że robi to z czyjegoes upoważnienia - bo przekonała na pewno Pyma. Wrzucił ostatni list, ten, w którym pisała, że ma być silny, i odszedł, nie

ogłądając się za siebie ani razu, czy ktoś go zauważył.

Poczuł, że znowu musi schować się w toalecie dla nauczycieli. Że znowu musi zamknąć się w swym sekretnym St. Moritz, widzieć zakazany majestat mosiężnych kurków i lustra w mahoniowej ramie, Pym bowiem kochał się w luksusach tak, jak tylko potrafią ci, którym odebrano ukochaną osobę. Dotarł do zakazanych schodów prowadzących do pokoju nauczycielskiego, wspiał się na półpiętro. Drzwi do toalety były uchylone. Pchnął je, wślizgnął się do środka, zamknął drzwi za sobą. Był sam. Popatrzył na swoją twarz w lustrze, zrobił groźną minę, potem miłą, potem znów groźną. Nagłe odizolowanie od innych w połączeniu z dumą z wykonanego zadania sprawiły, że urósł we własnych oczach. W głowie aż wirowało mu od poczucia własnej wielkości. Był Bogiem. Hitlerem. Wentworthem. Był królem zielonej szafki na dokumenty, szlachetnym potomkiem burmistrza. Od tej pory nic na świecie nie stanie się bez jego woli i wiedzy. Wyjął scyzoryk, otworzył go i uniósł ostrzem do góry przed swym odbiciem w lustrze. Złożył przysięgę, jak król Artur. Przysięgam na Ekskalibura. Zadzwonił dzwonek na obiad, ale nie był głodny, a przy obiedzie nie sprawdzano obecności; już nigdy nie będzie głodny, stał się nieśmiertelnym rycerzem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podciąć sobie gardła, ale uznał, że ma do spełnienia zbyt ważną misję. Kto ma najlepszą rodzinę w szkole? Ja. Pymowie są morowi, a Księżę Magnus to najszybszy koń na świecie. Przycisnął policzek do boazerii pachnącej kijem do krykieta i szwajcarskim lasem. W dłoni wciąż ścisnął scyzoryk. Oczy piekły go, widział nieostro, dzwoniło mu w uszach. Usłyszał w duszy boski głos, który kazał mu spojrzeć w dół. Gdy to uczynił, zobaczył wyryte na samym środku najpiękniejszej deski w boazerii inicjały KS - B. Schylił się, zebrał leżące u jego stóp wiórki i wrzucił je do umywalki. Unosiły się na powierzchni wody, więc wyciągnął korek, ale nadal nie chciały spłynąć. Zostawił je więc tam, poszedł do sali plastycznej i dokończył model dorniera.

Czekał całe popołudnie, pewny, że przecież nic się nie stało. Ja tego nie zrobiłem. Jeżeli tam wrócę, niczego tam nie będzie. To Maggs z trzeciej. To Jameson, on ma zakrzywiony nóż z

Indii, widziałem, jak wchodził. To głupek ze wsi, widziałem, jak skradał się przez park ze sztyletem za pasem, nazywa się Wentworth. Na wieczornym nabożeństwie modlił się, żeby na toaletę dla nauczycieli spadła niemiecka bomba. Nie spadła. Następnego dnia obdarował Sefton Boyda swym największym skarbem, misiem koala, którego dostał od Lippsie po operacji ślepej kieszki. Na przerwie zakopał scyzoryk - dzisiaj powiedziałbym, że ukrył do wykorzystania w czasie akcji - w miękkiej ziemi za pawilonem do krykieta. Złowrogi głos sadysty O'Mally'ego dopiero na wieczornym apelu wyczytał pełne imię i nazwisko jaśnie wielmożnego pana Kennetha Sefton Boyda. Nieposiadającego się ze zdumienia młodego arystokratę natychmiast zaprowadzono do gabinetu pana Grimble'a. Pym przyglądał się temu, również nie posiadając się ze zdumienia. Czegóż mogą od niego chcieć, od mojego najlepszego kolegi, właściciela mojego misia? Zamknęły się mahoniowe drzwi, osiemdziesiąt par oczu, w tym Pyma, utkwiono wzrok w tej pięknej, stolarskiej robocie. Pym usłyszał głos pana Grimble'a, potem podniesiony i przeczący głos Sefton Boyda. Zapadła straszliwa cisza, podczas której, uderzenie po uderzeniu, wymierzano karę boską. Pym liczył i czuł się oczyszczony i pomszczony. A więc to ani Maggs, ani Jameson, ani ja. To Sefton Boyd - przecież inaczej nie dostałby lania. Zaczynał rozumieć, że sprawiedliwość jest taka, jakie jej służy.

- I to z kreską - zwierzył mu się następnego dnia Sefton Boyd. - Ten ktoś wsadził kreskę między Sefton a Boyd, a my nie mamy kreski. Niech ja go złapię, zabiję drania.

- Ja też - obiecał mu lojalnie Pym. Mówił szczerze, bo podobnie jak Rick zaczynał uczyć się życia w kilku różnych płaszczyznach naraz. Cała sztuka polegała na tym, by zapomnieć o wszystkim poza tym, gdzie się jest i do kogo się mówi.

Wpływ śmierci Lippsie na młodego Pyma był wieloraki i wcale nie wyłącznie negatywny. Jej odejście umocniło jego umiejętność liczenia tylko na siebie; potwierdziło też to, co już wiedział - że kobiety są zmiennie i łatwo znikają. Za przykładem Ricka zrozumiał wreszcie, jak ważny jest godny wygląd. I że bezpieczeństwo można zapewnić sobie tylko przekonaniem, że

nie robi się nic niedozwolonego. Uczył się z daleka pociągać za sznurki. To Pym, na przykład, spuścił powietrze z kół samochodu pana Grimble'a i to on wsypał do basenu trzy worki soli kuchennej. Ale Pym prowadził również polowanie na winnego w każdej z tych afer, znajdując mnóstwo fascynujących poszlak i podając w wątpliwość wiele nieposzlakowanych dotąd opinii. Po odejściu Lippsie jego miłość do Ricka mogła znów trwać bez przeszkód, a co najlepsze, mógł Ricka kochać na odległość, bo ten znów zniknął.

Czy wrócił do więzienia, jak groził Lippsie w liście? Czy policja odnalazła zieloną szafkę na dokumenty? Pym tego wtedy nie wiedział, Syd zaś, jak mi się zdaje, woli i teraz nie wiedzieć. Dokumentacja wojskowa odnotowuje nagłe i przedterminowe zwolnienie ze służby, odsyłając czytelnika do Archiwum Spraw Karnych. W Archiwum jednak brak jakichkolwiek śladów, pewnie dlatego, że Perce i tam miał swoich ludzi - może jeszcze jedną uwielbiającą go damę? Tak czy inaczej Pym poczuł się wolny jak ptak i ogólnie rzecz biorąc, całkiem nieźle się bawił. Gdy miał wolny weekend, podejmowali go w swej suterenie Ollie i pan Cudlove, rozpuszczając chłopaka jak dziadowski bicz. Zawsze wygimnastykowany pan Cudlove uczył go zapasów, a gdy szli popływać po rzece, Ollie zakładał kobiece ciuszki i tak świetnie przemawiał piskliwym głosem, że tylko Pym i pan Cudlove wiedzieli, że to mężczyzna. Na dłuższe ferie i wakacje Pym musiał wędrować aż do rozległych posiadłości Cherry w towarzystwie Sefton Boyda i wysłuchiwać coraz okropniejszych opowieści o kolejnej ekskluzywnej szkole, w której obaj mieli wkrótce się znaleźć - jak to nowych związuje się, wsadza do koszy na brudną bieliznę i zrzuca w dół po kamiennych schodach, jak to zaprzęga się ich haczykami wędkarskimi za uszy do uprzęży końskich i muszą na nich ciągnąć starszych uczniów po szkolnym podwórku.

- A mój tata poszedł do więzienia, ale uciekł - odwodził się Pym. - Ma oswojoną kawkę, która nim się opiekuje. - Wyobrażał sobie, że Rick ukrywa się w jaskini na wrzosowiskach Dartmoor i że Syd z Meg noszą mu zawinięte w chustki zapiekanki, i że psy gończe już są na tropie.

Pym odłożył pióro i patrzył na to, co napisał, najpierw z

obawą, potem z rosnącą ulgą. Wreszcie roześmiał się.

- Udało się - szepnął. - Nie zatraciłem się w pisaniu.

I nalał sobie całą szklanekę wódki, jak Stokrotka, na pamiątkę dawnych czasów.

- Mój tata jest w Secret Service - powiedział kiedy indziej Pym. - Gestapo torturowało go, aż umarł, ale nie wolno mi o tym mówić. Naprawdę nazywa się Wentworth.

Trochę sam się zaskoczył tym oświadczeniem, ale potem zaczął na serio nad tym się zastanawiać. Inne nazwisko i bohaterska śmierć - to byłoby coś w sam raz dla Ricka. Dzięki nim Rick miałby prawdziwą klasę, której, jak zaczynał podejrzewać Pym, trochę mu brakowało, i przy okazji załatwiłby sprawę Lippsie. Nic dziwnego, że gdy któregoś pięknego dnia Rick pojawił się znowu w jak najlepszej formie, w dodatku z dwoma dżokejami, skrzynką brzoskwiń i nową cicią w kapeluszu z piórkiem, Pym zaczął poważnie rozważać wstąpienie do gestapo; już nawet zastanawiał się, gdzie można się zapisać. I pewnie by się zapisał, gdyby nie to, że akurat złośliwie nastał pokój i pozbawił go tej szansy.

Na koniec warto wspomnieć o poglądach politycznych Pyma w tym ważnym okresie. Otóż Churchill miał wiecznie obrażoną minę i był zbyt popularny. De Gaulle zbyt przypominał wuja Makepeace'a tą swoją przekrzywioną głową jak ananas, a Roosevelt, z laską, w okularach, na wózku inwalidzkim - no przecież to nikt inny, tylko ciocia Nell w przebraniu! Hitler był tak powszechnie znieawidzony, że Pym miał dla niego sporo szacunku, ale na swego duchowego ojca wybrał Józefa Stalina. Stalin ani nie miał obrażonej miny, ani nie prawił kazań. W kronikach filmowych tylko śmiał się, bawił z psami i zbierał róże, a w tym czasie jego wierne wojska wygrywały wojnę w śniegach St. Moritz.

Rozdział 5

Łóżko Frau Bauer było wąskie i niewygodne, czyli właśnie takie, jakie powinno być w bajkach łóżko służącej. Mary wciąż leżała na nim tak, jak ją rzucił Brotherhood, zawinięta w kołdrę, z podwinętymi pod siebie w obronnym geście nogami, z dłońmi

na ramionach. Już się z niej zsunął, nie czuła już zapachu jego potu i oddechu. Ciągle jednak czuła jego ciężar na krawędzi łóżka i co chwila musiała sobie przypominać, że wcale się przed chwilą nie kochali, bo dawniej tak właśnie za każdym razem zaprowadzał porządek w swym samczym życiu: siadał tak, jak siedział teraz, telefonując czy podliczając wydatki. Gdzieś znalazł magnetofon, Georgie na wszelki wypadek przyniosła drugi.

Jak na kata, Nigel był malutki, a przy tym niezwykle elegancki: szyty na miarę garnitur w drobne prążki, w rękawie jedwabna chusteczka.

- Poproś Mary o dobrowolne zeznanie, dobrze, Jack? - powiedział, jakby takie rzeczy robił co tydzień. - Dobrowolne, ale oficjalne. I, niestety, może być użyte i tak dalej. To już nie zależy tylko od Bo.

- A niby dlaczego dobrowolne? - odezwał się Brotherhood. - Przecież podpisała lojalkę, jak ją zwerbowałem, potem drugi raz, jak przestała dla nas pracować, i trzeci raz, jak wychodziła za Pyma. Mary, wszystko, co wiesz, jest naszą własnością. Nieważne, czy coś usłyszałaś w autobusie, czy widziałaś na własne oczy.

- A ta twoja sympatyczna Georgie będzie świadkiem - dodał Nigel.

Mary słyszała swój głos, ale nie rozumiała zbyt wiele z tego, co mówiła, bo jedno ucho miała wciśnięte w poduszkę, a drugim nasłuchiwała porannych odgłosów Lesbos przez otwarte okno ich brązowego domku z tarasem w połowie wzgórza, gdzie wznosiło się Plomari - jazgotu motorowerów, łódek, muzyki bouzouki i ciężarówek pnących się pod górę stromymi, krętymi uliczkami. Skowytu zarzynanych u rzeźnika owiec i wrzasków straganiarzy na portowym targu. Gdy zacisnęła oczy wystarczająco mocno, widziała też pomarańczowe dachy po drugiej stronie ulicy, kominy, sznury z suszącym się praniem i ogródki na dachu pełne geranium, i dalej - nabrzeże, długie molo z migającym na końcu czerwonym światłem i diabolicznymi rudymi kotami nurzającymi się w słońcu, obserwowującymi wypływający z mgły stateczek.

Tak odbierała to, co teraz mówiła Jackowi Brotherhoodowi -

jak horror, który mogła oglądać tylko po kawałku, ale w którym powierzono właśnie jej rolę głównego szwarccharakteru. Stateczek podpływa do kei, koty przeciągają się, opuszczono trap, angielska rodzina, państwo Pymowie - Mary i Magnus z synem Thomasem - schodzą gęsiego na ląd w poszukiwaniu kolejnego idealnego schronienia od zgiełku świata. Na razie nigdzie nie jest dość daleko. Pymowie stali się Latającymi Holendrami Morza Egejskiego - ledwo wylądują, już pakują się z powrotem, jak potępione dusze rzuca ich ze statku na statek i z wyspy na wyspę. Tylko Magnus wie, za co to potępienie, a skrywa za uśmiechem tę tajemnicę, nie tylko tę zresztą. Mary widzi, jak wesoło kroczy kilka kroków przed nią, przytrzymując słomkowy kapelusz, by nie zwiął mu go lekki wietrzyk, drugą ręką wymachując aktówką. Tuż za nim maszeruje Tom w długich, szarych sportowych spodniach i szkolnym blezerze z godłem szkoły na kieszeni, który nosi uparcie, choć jest chyba ze trzydzieści stopni. I widzi też siebie, otępiałą jeszcze po wczorajszym picu i oparach ropy, a już planującą zdradę ich obu. Z tyłu słyszy tupot miejscowych tragarzy uginających się pod ciężarem ogromnego bagażu Pymów, pod ich rącznikami, pościelą, płatkami śniadaniowymi Toma i innymi gratami, które spakowała w Wiedniu na wspaniałe wczasy, jak Magnus nazywa te pierwsze rodzinne wakacje, o których podobno marzyli - choć Mary nie przypomina sobie, by o tym mówili wcześniej niż te parę dni temu, i szczerze mówiąc, wolałaby na chwilę wrócić do Anglii, odebrać psy od ogrodnika, a długowłosego syjamczyka od cioci Tab, i pobyć chwilę w Plush.

Tragarze składają bagaż na ziemi. Magnus, hojny jak zawsze, wręcza każdemu napiwek, sięgając do torebki Mary, którą ta trzyma przed nim otworem. Tom pochyła się nad komitetem powitalnym złożonym z miejscowych kotów i oświadcza, że mają uszy jak seler naciowy. Rozlega się gwizd, tragarze wskakują na trap, stateczek odpływa we mgłę. Magnus, Tom i zdrajczyni Mary spoglądają za nim jak w każdej smutnej historii o morzu, otoczeni bagażem życia, a czerwone światło kapie na ich głowy wolnym ogniem.

- A potem możemy wrócić do Wiednia? - pyta Tom. -
Chciałbym zobaczyć się z Becky Lederer.

Magnus nie odpowiada, jest zbyt pochłonięty własnym entuzjazmem. Entuzjazm zachowa nawet na własnym pogrzebie i za to Mary go kocha, podobnie jak kocha go, wciąż go kocha, za wiele innych rzeczy. Czasem najdobitniej oskarża mnie jego dobroć.

- To jest to, Mary! - wola teraz Magnus, z dumą wskazując ręką bezdrzewne, stożkowate, pokryte brązowymi domami wzgórze, gdzie na pewno znajdują własny kąpiel. - Nareszcie. Jak w Plush, tylko że nad morzem. - I odwraca się ku niej z uśmiechem, którego przed tymi wakacjami nie widziała u niego nigdy: dzielnym, rozpaczliwie zmęczonym i jasnym. - Tu jesteśmy bezpieczni, Mary. Będzie świetnie.

Otocza ją ramieniem, ona się nie broni. Przyciąga ją do siebie, obejmują się. Tom wciska się między nich.

- Ej, ja też chcę - mówi.

Spleceni uściskiem jak trójka najwierniejszych sprzymierzeńców, ruszają mołem ku nabrzeżu, zostawiając bagaż, póki nie znajdą jakiegoś lokum. To zresztą udaje im się w ciągu godziny, bo mądry Magnus wie dokładnie, jaką tawernę wybrać i kogo oczarować swą zdumiewająco skuteczną grecką tożsamością, którą sklecił sobie jakoś na tę podróż. Ale wieczór dopiero nadejdzie, wieczory zaś są coraz gorsze, ciężą Mary już rano i potem prześladowują ją cały dzień. Z okazji znalezienia nowego domu Magnus zdążył nawet kupić butelkę stolicznej, choć już kilka razy w ciągu ostatnich dni umawiali się, by skończyć z mocnymi trunkami i ograniczyć się do miejscowego wina. A potem nagle butelka jest już prawie pusta. Tom, dzięki Bogu, śpi w swej nowej sypialni. Tak przynajmniej ma nadzieję Mary, bo Tom ostatnio usiłuje wytrwać jak najdłużej, taki jest ciekawy wszystkiego, co dotyczy rodziców.

- No, Mary, co to za mina? - pyta Magnus, by ją rozbawić. - Nie podoba ci się nasz nowy Schloss?

- Wygłupiasz się, to się uśmiecham.

- Wcale mi to na uśmiech nie wyglądało - mówi Magnus i uśmiecha się sam, by dać jej dobry przykład. - Raczej na grymas, moja mała.

Ale w Mary już gotuje się krew i jak zwykle nie potrafi się powstrzymać. Czuje się winna na samą myśl o swej

niepopelnionej jeszcze zbrodni.

- To może o tym piszesz w tej twojej książce? - rzuca. - Że marnujesz się dla niewłaściwej baby?

Przeżrana własną opryskliwością wybucha płaczem i wbija pięści w oparcia fotela. Ale Magnus wcale się nie przeraził, odstawia szklankę i podchodzi do niej, palcami stuka lekko w jej ramię, czeka, aż się przed nim otworzy. Zabiera jej szklankę i stawia daleko, poza jej zasięgiem. Już po chwili sprężyny ich nowego łóża jęczą, jak strojąca instrumenty orkiestra dęta, bo ostatnio Magnus szuka ucieczki w rozpaczliwym ferworze erotycznym. Kocha się z nią tak, jakby miał już nigdy jej nie zobaczyć. Skrywa się w nią, jakby była jego jedynym schronieniem, ona podąża za nim na oślep. Mary unosi się, on pociąga ją za sobą, ona krzyczy do niego: „Jezu, już, już!”. Magnus trafia w dziesiątkę i przez chwilę Mary nie może myśleć o niczym.

- Aha, zapomniałem powiedzieć, że jesteście Pembroke - mówi potem, choć mimo wszystko zbyt szybko, Magnus. - Na pewno niepotrzebnie, ale wolę dmuchać na zimne.

Pembroke to jeden z pseudonimów Magnusa. Ma w aktówce paszport na to nazwisko, to już zdążyła wykrzyć. Zdjęcie jest zrobione tak sprytnie, że ten na nim to może Magnus, a może nie W dziale dokumentów w Berlinie nazywali takie zdjęcia maseczkami.

- Co mam powiedzieć Tomowi? - pyta Mary.

- A po co masz mu mówić?

- Bo ma na nazwisko Pym. Może się trochę zdziwić, jeżeli nagle okaże się, że nazywa się Pembroke.

Mary czeka i sama siebie nienawidzi za nieustępliwość. Rzadko się zdarza, by Magnus zapomniał języka w gębie, nawet jeżeli chodzi o okłamywanie własnego dziecka. Ale teraz nie wie, co odpowiedzieć; Mary czuje to mimo ciemności, w której leżą obok siebie.

- No to mu powiedz, o, że Pembroke to nazwisko ludzi, którzy wynajęli nam ten dom, i że podajemy ich nazwisko, żeby za każdym razem nie tłumaczyć się przy zamawianiu zakupów ze sklepu. Ale naturalnie tylko jeżeli cię zapyta.

- Naturalnie.

- Ci dwaj znowu tu są - mówi od drzwi Tom i okazuje się nagle, że od jakiegoś czasu bierze udział w tej rozmowie.

- Jacy dwaj? - pyta Mary.

Ale jej po skórze na karku już przebiegają ciarki, a ciało zlewa zimny pot. Ile zdążył usłyszeć? Ile zobaczyć?

- Ci, co naprawiają motor nad rzeką. Mają wojskowe śpiwory, latarkę i specjalny namiot.

- Tu wszędzie ktoś biwakuje — mówi Mary. - Wracaj do łóżka.

- Na statku też byli - mówi Tom. - Siedzieli za łodzią ratunkową i grali w karty. Przyglądali się nam. Mówili po niemiecku.

- Na statku było mnóstwo ludzi — mówi Mary. Czemu nic nie mówisz, sukinsynu?! - wrzeszczy w duchu na Magnusa. Czemu leżysz jak kłoda, zamiast mi pomóc? Jeszcze nawet po tobie nie obeschłam.

Potem Tom śpi przy niej z jednej strony, Magnus z drugiej. Mary wsluchuje się w wybijające kolejne godziny dzwony Plomari. Jeszcze cztery dni, powtarza sobie. W niedzielę Tom odlatuje do Londynu, bo zaczyna nowy semestr. A w poniedziałek zrobię to i niech mnie potem diabli wezmą.

Brotherhood potrząsa nią. Nigel powiedział do niego przed chwilą coś takiego: przyciśnij ją, żeby zaczęła od początku.

- Mary, musisz cofnąć się o oczko. Rozumiesz? Bo uprzedzasz fakty.

Usłyszała szept, potem odgłos zmieniania przez Georgie taśmy w magnetofonie. Szept był jej, Mary.

- Opowiedz nam przede wszystkim, jak to się stało, że w ogóle wyjechaliście na urlop, dobrze, kochanie? Kto to zaproponował? Aha, Magnus, tak? Rozumiem. Gdzie to zaproponował? Tu, w domu? W domu. A jaka była wtedy pora dnia? Usiądź, dobrze?

Więc Mary usiadła i zaczęła od początku: od tego przyjemnego, letniego wieczoru w Wiedniu, gdy wszystko było jeszcze w porządku, kiedy Magnus nie widział jeszcze ani Lesbos, ani innych wysepek. Mary, ubrana w dres, siedziała w suterenie i oprawiała pierwsze wydanie Die letzten Tage der Menschheit Karla Krausa, które Magnus znalazł jej w Leoben,

gdy pojechał spotkać się z którymś ze swych kontaktów, a Mary...

- Do Leoben jeździł regularnie?

- Tak, Jack, regularnie.

- Często?

- Dwa razy na miesiąc, może trzy. Jakiś stary Węgier, nic ważnego.

- A, powiedział ci? Myślałem, że nie opowiadał ci o kontaktach.

- Bo to był jakiś stary handlarz winem, jeszcze z dawnych czasów, miał kiedyś filie w Londynie i w Budapeszcie. Magnus najczęściej mi się nie zwierzał, ale czasem tak. Mogę dalej?

Tom był w szkole, Frau Bauer poszła do kościoła. Jakieś katolickie święto, Wniebowzięcie, Wniebowstąpienie, czy Boże Ciało, Mary pogubiła się w tym wszystkim. Magnus miał być w ambasadzie amerykańskiej. Ten nowy komitet dopiero zaczynał działalność, więc spodziewała się męża znacznie później. Akurat coś podklejała, nic nie słyszała, aż tu nagle zobaczyła, że stoi w drzwiach, Bóg wie jak długo. Miał bardzo zadowoloną minę i patrzył na nią tak, jak lubił na nią patrzeć.

- Czyli jak, kochanie? Jak na ciebie patrzył? - wtrącił Brotherhood.

Mary zacukała się.

- Jakoś tak... z wyższością. Z bolesną wyższością. Jack, nie zmuszaj mnie, żebym go nienawidziła.

- No dobra, patrzył na ciebie, i co? - powiedział Brotherhood.

No więc patrzył na nią. Gdy go zauważyła, wybuchnął śmiechem i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem. Zrobił swój numer a la Fred Astaire, potem na górę na, jak to nazywał, pełną i szczerą wymianę poglądów. Kochają się, zaciąga ją do łazienki, myje ją, wyciąga z wanny, wyciera ręcznikiem, i już dwadzieścia minut później Mary i Magnus biegną sobie przez mały park nad Doblینگ jak szczęśliwa para małżeńska, którą prawie są. Mijają piaskownice i drabinki, z których Tom już wyrósł, wielką antenę radiolokacyjną, przy której Tom kopie piłkę, i wreszcie zbiegają w dół do restauracji Teheran, do której chodzą często, ale tylko dlatego, że Magnus kocha czarno -

białe arabskie melodramaty, które puszcza ją tam bez fonii do kuskusu i kalterera. Przy stole ściska ją z całej siły za rękę, ona czuje, jak jego podniecenie przesywa ją prądem, zupełnie jakby to, że ją posiadł, sprawiało, że pragnie jej jeszcze mocniej.

- Wyjedźmy gdzieś, Mary. Tak naprawdę. Pożyjmy przez chwilę, zamiast tylko udawać. Wezmę urlop, zabierzemy Toma i spieprzymy stąd na całe lato. Ty będziesz malować, ja napiszę wreszcie tę książkę i będziemy się kochać do upadłego.

Mary pyta dokąd, Magnus na to, że byle gdzie, „jutro pójdę do biura podróży na Ringu”. Mary pyta, co będzie z tym nowym komitetem. On trzyma jej dłoń w swojej i dotyka jej opuszkami palców, ona znowu zaczyna pragnąć go jak szalona, czyli tak jak on lubi. - Ten nowy komitet, Mary - oświadcza Magnus - to największa głupota, z jaką miałem do czynienia, możesz mi wierzyć, miałem do czynienia z wieloma głupotami. To kółko dyskusyjne, żeby Firma miała lepsze samopoczucie, żeby mogli powiedzieć komu się da, że tak się kochamy z Amerykanami. Lederer chyba sobie nie wyobrażał, że ujawnimy mu naszą siatkę. Zresztą Lederer sam nie dałby mi nazwisk nie tylko swoich agentów, ale nawet swojego krawca, zakładając, że w ogóle ma agentów i krawca, w co wątpię. Znowu Brotherhood:

- Czy powiedział ci, dlaczego Lederer mógłby nie chcieć mu nic powiedzieć?

- Nie - mówi Mary.

A teraz, dla odmiany, Nigel:

- A może podał jeszcze jakieś argumenty na to, że komitet to głupota?

- Mówił, że to głupota, mydlenie oczu, bicie piany. Tyle. Zapytałam o jego kontakty. Odpowiedział mi, że jego kontakty świetnie dadzą sobie radę i że jeżeli Jack się o nie martwi, to niech przyśle kogoś na zastępstwo. Zapytałam, co Jack sobie pomyśli...

- No właśnie, co Jack sobie pomyśli? - zapytał Nigel z wielką ciekawością.

- Jack też się nie liczy. „Nie Jack jest moją żoną, tylko ty. Firma powinna już dziesięć lat temu przenieść go na emeryturę. Mam go w dupie”. Przepraszam, Jack, ale tak powiedział.

Brotherhood przeszedł się po pokoju z rękoma w

kieszeniach. Dotykał zdjęć nieślubnej córki Frau Bauer, przeglądał jej półkę z romansidłami w miękkich okładkach.

- Mówił coś jeszcze o mnie? - zapytał.

- Że Jack ma już za dużo na liczniku, że czas harcerzy się skończył, że teraz jest inaczej, że Jack sobie nie radzi.

- Jeszcze coś? - zapytał Brotherhood.

Nigel oparł podbródek na dłoni i z uwagą oglądał czubek jednego ze swych malutkich, ale świetnie zrobionych butów.

- Nie - powiedziała Mary.

- A wieczorem wyszedł na spacer? Spotkał się z S.?

- Poprzedniego dnia.

- Ja cię pytam, czy tego dnia. Odpowiadaj, do cholery!

- No to ci mówię: poprzedniego dnia!

- Z gazetą i tak dalej?

- Tak.

Wciąż z rękoma w kieszeniach i z uniesioną wysoko głową, Brotherhood odwrócił się sztywno do Nigela.

- Teraz jej powiem - powiedział. - Dostaniesz histerii?

- Prosisz mnie o oficjalne pozwolenie? - zapytał Nigel.

- Niezbyt oficjalne.

- Bo jeżeli oficjalne, musiałbym spytać Bo - powiedział Nigel i spojrzał z takim szacunkiem na swój złoty zegarek, jakby przyjmował rozkazy również od niego.

- Lederer wie, my też. Jeżeli Pym wie, to czy jest jeszcze ktoś? - nalegał Brotherhood.

Nigel zastanawiał się przez chwilę.

- Sam zdecydуй. Szczerze mówiąc, to twój człowiek, twoja decyzja, twoja sprawa.

Brotherhood pochylił się nad Mary i przytknął głowę do jej ucha. Pamiętała ten ojcowski zapach tweedu.

- Słuchasz mnie?

Pokręciła głową. Nie słucham, nigdy nie będę cię słuchać, żałuję, że kiedyś cię słuchałam.

- Nowy komitet, z którego tak naśmiewał się Magnus, zapowiadał się na coś bardzo poważnego. Może nawet na najlepszą od lat współpracę w terenie z Amerykanami. Opierał się na obopólnym zaufaniu. Nie tak o to łatwo jak dawniej, ale udało się. Zasympiasz?

Skinęła głową.

- Twój Magnus nie tylko o tym wiedział, ale był też jednym z głównych organizatorów całej zabawy. Może najgłówniejszym. Nawet skarżył się mi w trakcie negocjacji, że Londyn podchodzi do całej sprawy zbyt ostrożnie, że powinniśmy dać Amerykanom więcej w zamian za więcej. I to po pierwsze.

- Nie mam już absolutnie nic do powiedzenia. Mogę wam podać adres, dane członków rodziny i tyle. Sam mnie tego uczyłeś, Jack, na wypadek gdyby mnie dopadli.

- A po drugie, z powodów, które uważałem wtedy za pokrętne i obraźliwe, Amerykanie zaczęli sprzeciwiać się obecności twojego męża w Komitecie w niecałe trzy tygodnie po pierwszym zebraniu i domagać się ode mnie zastąpienia go kimś bardziej w ich guście. Oczywiście, było to całkowicie nierealne żądanie, bo Magnus kierował główną siatką w Czechach i paroma mniejszymi przedsięwzięciami w innych krajach Europy Wschodniej. Podobne obiekcje zgłaszali już rok wcześniej, w Waszyngtonie, i wtedy Bo się zgodził, moim zdaniem niesłusznie. Tym razem nie zamierzałem się ugiąć. Tak się składa, że bardzo nie lubię, kiedy panowie z Ameryki czy ktokolwiek inny mówi nam, jak mamy pracować. Odmówiłem. Kazałem Magnusowi wybrać cały urlop i nie pokazywać się w Wiedniu, dopóki go nie wezwę z powrotem. Taka jest prawda. Najwyższy czas, żebyś się dowiedziała.

- To wszystko jest również ściśle tajne - dodał Nigel.

Czekała na własne zdumienie - na próżno. Nie zaczęła protestować, nie poniósł jej sławny rodzinny temperament. Brotherhood podszedł do okna, wyjrzał. Robiło się już jasno, wcześniej niż zwykle przez ten śnieg. W świetle poranka Jack jakby postarzał się i oklapł. Przez nastroszone siwe włosy przezieriała różowa skóra na czaszce.

- Bronił go - powiedziała. - Byłeś lojalny.

- I wygląda na to, że głupi.

Dom wyrzucił się do góry nogami. Hałas przesuwanych mebli dochodził teraz z dołu, z salonu. Najbezpieczniej było tu, na górze, z Jackiem.

- No, Jack, nie bądź dla siebie taki surowy - powiedział Nigel.

Brotherhood posadził Mary na krzesło i wcisnął jej do ręki szklankę z whisky. Dostaniesz tylko jedną, powiedział, więc musi ci wystarczyć na długo. Łóżko zajął teraz Nigel. Leżał z jedną nogą wyciągniętą przed siebie, jakby zwicznął ją na schodach klubu. Brotherhood odwrócił się do nich plecami. Wolał widok za oknem.

- No więc najpierw pojechaliście na Korfu, bo twoja ciocia ma tam dom. Wynajęliście go. Opowiadaj, tylko szczegółowo.

- Ciocia Tab - powiedziała Mary.

- Bardzo proszę, pełne imię i nazwisko - wtrącił się Nigel.

- Lady Tabitha Grey. Siostra taty.

- Też kiedyś pracowała w Firmie - mruknął Brotherhood. - Jak się dobrze zastanowić, nie ma chyba nikogo w jej rodzinie, kto nie miałby z nami do czynienia.

Zatelefonowała do ciotki, gdy tylko wrócili z restauracji. Jakimś cudem ktoś zrezygnował w ostatniej chwili i dom był do wzięcia. Wynajęli go więc, zatelefonowali do szkoły Toma i załatwili, że zaraz po końcu roku przyleci na wyspę bezpośrednio z Londynu. Oczywiście, Ledererowie, gdy tylko się dowiedzieli, też chcieli jechać. Grant powiedział, że nic go nie trzyma, ale Magnus nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że właśnie od takich ludzi chce odpocząć i że nie zamierza brać ze sobą pracy na wakacje. Pięć dni później rozgościli się już w domu ciotki i było wspaniale. Tom chodził na lekcje tenisa w pobliskim hotelu, pływał, karmił kozy gospodyni i majstrował przy łodzi z Costasem, który zajmował się też podlewaniem ogrodu. Ale największą przyjemnością dla Toma były zwiariowane mecze krykietowe na skraju miasteczka, na które Magnus zabierał go co wieczór. Magnus powiedział, że krykiet przywieźli na wyspę Brytyjczycy, kiedy bronili jej przed Napoleonem. Magnus wiedział takie rzeczy. Albo udawał, że wie.

Dzięki krykietowi na Korfu Magnus i Tom stali się sobie bliscy jak nigdy dotąd. Kładli się na trawie, obżerali się lodami, dopingowali ulubionych graczy i rozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną, co było Tomowi koniecznie do szczęścia potrzebne. Bo Tom uwielbiał Magnusa do szaleństwa - zawsze to był bardziej syn taty niż mamy. Mary przerzuciła się na pastele, bo

latem na Korfu jest za gorąco na akwarele - farba wysycha, zanim zdąży się z nią cokolwiek zrobić. Ale rysowanie też szło jej dobrze, była zadowolona z tego, co robiła. Poza tym prowadziła dom dla połowy psów z wyspy, bo Grecy przecież ani ich nie karmią, ani nimi się nie opiekują, ani nic. I wszyscy byli szczęśliwi, Magnus miał chłodny pokój do pisania i mógł spacerować w głąb wyspy, jeżeli zaczynało go nosić, a nosiło go wcześniej rano i potem późnym wieczorem, bo w dzień się hamował. Lunche jadali późno, zwykle w jakiejś tawernie i, szczerze mówiąc, były to zwykle lunche mocno zakrapiane, no ale w końcu byli przecież na wakacjach. Potem następowały długie erotyczne sjesty, w trakcie których Mary i Magnus kochali się na balkonie, a Tom leżał na plaży i lustrował przez lornetkę golasów po drugiej stronie zatoczki. Czyli, jak stwierdził Magnus, każdy miał też coś dla ciała. Aż nagle któregoś dnia zegar się zatrzymał. Magnus wrócił z wieczornego spaceru i wyznał, że pisanie coś mu nie idzie. Po prostu wszedł do pokoju, nalał sobie mnóstwo ouzo i powiedział:

- Przepraszam, Mary, przepraszam, Tom, stary koniu, ale tu jest za bardzo sielankowo. Ja potrzebuję czegoś bardziej prawdziwego, czegoś bardziej dla ludzi, do diabła. Dymu, brudu i smrodu. A tutaj jest jak na Księżycu, Mary. Gorzej niż w Wiedniu. Serio.

Był przy tym bardzo miły, ale i stanowczy. Widać było, oczywiście, że pił, ale to dlatego, że był zdeprimowany.

- Odwała mi, Mary. Serio. Mówiłem już Tomowi, prawda, Tom? Że mam już dość Korfu i tylko głupio mi, bo wam tu jest tak dobrze.

- No, tata mówił - powiedział Tom.

- Parę razy. A dziś to już całkiem, Mary. Musicie mi pomóc. Oboje.

Więc, oczywiście, oboje powiedzieli, że tak, że pomogą. Mary zaraz zatelefonowała do ciotki, żeby zdążyła jeszcze komuś wynająć, wszyscy się uściskali i poszli do łóżka z poczuciem podjęcia słusznej decyzji. Następnego dnia Mary zajęła się pakowaniem, a Magnus poszedł do miasteczka po bilety na następny etap ich odysei. Ale przy zmywaniu naczyń Tom - zawsze wtedy dużo rozmawiał z mamą - przedstawił

zupełnie inny powód, dlaczego tak nagle wyjeżdżają z Korfu. Tata spotkał na meczu takiego tajemniczego faceta. Mamo, mecz był super, bo grały dwie najsilniejsze drużyny na wyspie, istna święta wojna. Oglądali w najlepsze, gdy pojawił się taki chudy, mądry, kulejący facet z oklapniętymi wusami jak u magika i tata nagle zrobił się cały spięty. Tamten podszedł do taty, uśmiechnął się, chwilę pogadali, przespacerowali się dookoła boiska, facet szedł jak inwalida, ale był dla taty bardzo miły, chociaż tata tak się wnerwił.

- Zdenerwował - automatycznie poprawiła go Mary. - I nie mów tak głośno, tata chyba pracuje.

- Szczególnie jeden pałkarz był niesamowity - opowiadał Tom. - Nazywa się Phillippi. - W życiu nie widział lepszego. - Zdobył naraz osiemnaście punktów i ludzie kompletnie powariowali, ale tata nawet nie zauważył, tak się zagadał z tym sympatycznym panem.

- A skąd wiesz, że był sympatyczny? - zapytała Mary z dziwną irytacją. - Nie tak głośno. - W pokoju, gdzie pisał Magnus, nie świeciło się światło, ale czasem przesiadywał tam po ciemku.

- Bo naprawdę był dla taty jak ojciec. Był starszy od taty. Ciągłe tacie proponował, że go gdzieś zawiezie swoim autem, ale tata ciągle odmawiał. A ten pan ani się nie obraził, ani nic. Bo był na to za mądry. Po prostu grzecznie się uśmiechał.

- A jakie to było auto? Ty coś zmyślasz, Tom.

- Volvo. Takie jak pana Kaloumenosa. W środku siedział kierowca, a z tyłu jeszcze ktoś. Jak tata rozmawiał z tym panem i obchodził z nim boisko, tamci jechali za nimi po drugiej stronie płotu. Naprawdę, mamo. Ten chudy pan był cały czas spokojny i od razu było widać, że bardzo lubi tatę. I że są nie tylko znajomymi, ale prawdziwymi przyjaciółmi. Bardziej niż z wujkiem Grantem, trochę tak jak z wujkiem Jackiem.

Mary zapytała Magnusa jeszcze tego wieczoru. Już się spakowali. Była podekscytowana perspektywą wyjazdu do Aten, szczególnie cieszyła się na muzea.

- Tom opowiadał mi, że na meczu przyczepił się do ciebie jakiś nudziarz - powiedziała przy dość mocnym drinku na dobranoc po ciężkim dniu.

- Tak?

- Że jakiś facecik przegonił cię dookoła boiska. Pomyślałam sobie, że może to zazdrosny mąż. Miał wąsy, chyba że Tom wszystko zmyślił.

Magnus wreszcie zaczął sobie przypominać.

- A, rzeczywiście. Owszem, nudziarz, stary Anglik. Koniecznie chciał mi sprzedać swoją willę. Ledwo się odczepiłem, cholera.

- Mówił po niemiecku - zeznał przy śniadaniu Tom, gdy Magnus poszedł się przejść.

- Kto?

- Ten chudy znajomy taty. Ten z krykieta. Tata też mówił do niego po niemiecku. Czemu tata mówi, że to stary Anglik?

Mary zrobiła mu awanturę. Chyba nigdy nie była na niego tak wściekła.

- Jak już koniecznie musisz słuchać naszych rozmów, to wejdź do pokoju i słuchaj, a nie podsłuchuj pod drzwiami jak jakiś szpieg!

Potem zrobiło się jej wstyd, więc grała z nim w tenisa aż do czasu wypłynięcia. Na łódce Tom okropnie się pochorował, a nim dopłynęli do Pireusu, miał już wysoką gorączkę, więc wyrzuty sumienia Mary nie miały granic. W szpitalu w Atenach grecki doktor orzekł, że to alergia na krewetki, co było kompletną bzdurą, bo Tom nie cierpiał krewetek i nie zjadł ani jednej. Wtedy twarz miał już opuchniętą tak, że wyglądał jak chomik, więc wynajęli drogi apartament i położyli go do łóżka z okładem z lodu. Mary czytała mu fantasy, Magnus słuchał albo siedział przy stole w pokoju Toma i pisał. Ale więcej słuchał, bo, jak zawsze twierdził, niczego tak w życiu nie lubił, jak tego, gdy Mary zajmowała się Tomem. Wierzyła mu.

- I w ogóle nie wychodził? - zapytał Brotherhood.

- Na początku nie. Nie chciał.

- Telefonował gdzieś? - spytał Nigel.

- Do ambasady, żeby się zgłosić. Żebyście wiedzieli, gdzie jest.

- Tak ci powiedział? - pytał dalej Brotherhood.

- Tak.

- Ale nie byłeś przy rozmowie? - zapytał Nigel. - Nie.

- Może słyszałaś przez ścianę? - kontynuował Nigel. - Nie.

- Wiesz, z kim rozmawiał? - I jeszcze raz Nigel. - Nie.

Ze swego miejsca na łóżku Nigel podniósł wzrok na Brotherhooda.

- Ale do ciebie przecież telefonował, Jack - powiedział zachęcająco. - Każdy lubi tak od czasu do czasu zadzwonić do szefa z jakiejś egzotycznej miejscowości, nie? Przecież to chyba niemal obowiązek. Dowiedzieć się, jak tam kontakty: „A jak się ma nasz stary znajomy, no, wiesz skąd?”.

Mary przypomniała sobie, że Magnus określił kiedyś Nigela jako jednego z nowych ludzi nie z branży. Że to jeden z tych idiotów, którzy mają nas nauczyć realizmu, jakim kierują się w Whitehall. Realizm i Whitehall? Wolne żarty.

- Ani razu - odpowiadał tymczasem Brotherhood. - Tylko co chwila przysyłał mi głupie pocztówki z napisem „Dzięki Bogu, Ciebie tu nie ma” i podawał aktualny adres.

- Kiedy znowu zaczął wychodzić? - zapytał Nigel.

- Kiedy Tom przestał gorączkować - odparła Mary.

- Po tygodniu? - podsunął Nigel. - Dwóch?

- Wcześniej.

- Opowiadaj - powiedział Brotherhood.

Był wieczór, chyba czwartego dnia w Atenach. Gdy Tomowi twarz wreszcie skłęsa, Magnus zaproponował, że z nim zostanie, a ona niech idzie na zakupy, trochę się rozerwie. Ale Mary nie miała ochoty sama zapuszczać się w miasto o tej porze, więc na zakupy poszedł Magnus, a Mary miała pójść następnego dnia przed południem do któregoś z muzeów. Wrócił koło północy, okropnie zadowolony z siebie. Opowiadał, że poznał cudownego agenta podróży z biura w suterenie naprzeciw Hiltona, starego Greka, nieprawdopodobnie kulturalnego, i że pili razem ouzo i rozwiązali wszystkie problemy świata. Starszy pan prowadzi wynajem willi na greckich wyspach i ma nadzieję, że znajdzie coś wolnego za jakiś tydzień, kiedy już znudzą im się Ateny.

- Myślałam, że masz dość greckich wysp - powiedziała Mary. Przez chwilę wydawało się, że Magnus zdążył już zapomnieć, dlaczego wyjechali z Korfu. Uśmiechnął się niepewnie i powiedział, że wyspa wyspie nierówna, czy coś

takiego. Przenieśli się do mniejszego hotelu; Magnus pisał i pisał, wychodził wieczorami, a gdy Tom całkiem wyzdrowiał, zabierał go na basen. Mary szkicowała Akropol i oprowadzała Toma po muzeach, ale on wolał pływać. I czekali, czy stary Grek coś im znajdzie. Brotherhood znowu przerwał.

- A ta jego pisanina... Co ci o tym mówić?

- Trzymał to w tajemnicy. Czasem rzucał jakieś urywki, ale rzadko.

- Czyli tak samo jak z kontaktami - podsunął Brotherhood.

- Chciał, żebym przeczytała całość, kiedy skończy, żebym się nie rozczarowała. I żeby samemu sobie nie przegadać tematu.

Było spokojnie, Magnus żył tak jakoś ukradkiem aż do chwili, gdy zniknął. Któregoś dnia wyszedł na kolację, mówiąc, że idzie trochę popędzić starego. Nie wrócił do rana; po południu Mary zaczęła się bać. Wiedziała, że powinna zawiadomić ambasadę. Z drugiej strony nie chciała niepotrzebnie wszczynać paniki ani w ogóle zrobić czegoś, co mogłoby Magnusowi zaszkodzić.

Znowu wtrącił się Brotherhood:

- Jak to zaszkodzić?

- No, jeżeli tylko zabalował, czy coś takiego, żeby mu tego nie wpisali do akt. Przecież właśnie liczył na awans.

- A zdarzało mu się przedtem tak zabalować?

- Ależ skąd. Czasem upijał się z Grantem, ale nic więcej. Nigel szybko uniósł głowę.

- A dlaczego liczył na awans? Czy ktoś mu coś mówił o jakimś awansie?

- Ja mu mówiłem - odparł Brotherhood bez wahania. - Uważałem, że po tym ciągłym rzucaniu go z miejsca na miejsce awans mu się należy.

Nigel zrobił drobną notatkę w małym notatniku, uśmiechając się przy tym bez cienia wesołości. Mary opowiadała dalej.

Tak czy inaczej doczekała do wieczora, po czym przeszła się z Tomem do Hiltona i razem tak długo przeszukiwali domy po przeciwnej stronie ulicy, aż znaleźli kulturalnego, starego Greka w suterenie, dokładnie takiego, jakiego opisał im Magnus. Tylko że Grek nie widział Magnusa od tygodnia. Mary wymówiła się od pozostania na kawę, a kiedy wrócili do swojej

tawerny, zastali tam Magnusa. Miał dwudniowy zarost, był ciągle w tym samym ubraniu, w którym zniknął. Siedział przy stoliku na podwórku i jadł jaja na bekonie. Pijany. Nie do nieprzytomności, bo tego nie potrafił, nie na smutno, nie na agresywnie ani tym bardziej na niedyskretnie, bo alkohol tylko pomagał mu trzymać język za zębami. Magnus upił się, jak zwykle, na uprzejmie. Wyjaśnienie, które podał, było prawie stuprocentowo wiarygodne - poza jednym jedynym szczegółem.

- Przepraszam. Uwaliłem się z Dimitrim. A to drań, spił mnie jak świnię. Cześć, Tom.

- Cześć - powiedział Tom.

- Kto to jest Dimitri? - zapytała Mary.

- No wiesz, to ten stary Grek z biura podróży naprzeciw Hiltona.

- Ten kulturalny.

- No widzisz, że wiesz.

- Wczoraj się z nim upiłeś?

- Wczoraj, wczoraj, mała, chyba że mi się już całkiem...

- Dimitri nie widział cię od poniedziałku. Sam nam to powiedział jakąś godzinę temu.

Magnus zastanowił się. Tom znalazł egzemplarz „Athens News” i stanął przy sąsiednim stoliku, uważnie studiując dział filmowy.

- Sprawdzająś mnie, Mary. Nie wolno ci tego robić.

- Wcale cię nie sprawdzałam. Szukałam cię!

- Tylko mi tu nie rób sceny, mała. Bardzo cię proszę. Widzisz, nie jesteśmy sami.

- Wcale nie robię ci sceny. To ty robisz scenę. To ty znikasz na dwa dni, a kiedy wracasz, łzesz w żywe oczy. Tom, idź do pokoju, kochanie. Zaraz przyjdę.

Tom poszedł, uśmiechając się promiennie na znak, że niczego nie słyszał. Magnus łyknął kawy, a potem chwycił dłoń Mary, ucałował i delikatnie pociągnął ją na sąsiednie krzesło.

- Co wolisz, żebym ci powiedział, Mary? Że bawiłem się z dziwką, czy że mam problemy z jednym kontaktem?

- A może po prostu powiesz mi prawdę?

Ta propozycja bardzo go rozbawiła. W jego rozbawieniu nie było ani cynizmu, ani okrucieństwa, tylko taka trochę smutna

pobłażliwość, z jaką traktował Toma, gdy ten przychodził do nich z genialnym rozwiązaniem problemu nędzy na świecie czy wyścigu zbrojeń.

- Wiesz co? - Znów ucałował jej dłoń i przytknął ją sobie do policzka. - W przyrodzie nic nie ginie. - Ku swemu zdumieniu poczuła w jego szczecinie wilgoć i zorientowała się, że Magnus płacze. - No więc jestem na placu Konstytucji, rozumiesz? Wychodzę z baru hotelowego w Grande Bretagne, grzecznie, nikomu się nie narzucam. I wiesz, co się dzieje? Wpadam prosto w ramiona jednego czeskiego kontaktu, którego kiedyś prowadziłem. Trudny był, zmyślał, narobił nam kupę kłopotów. A on mnie łapie za rękę, o tak. „Pan pułkownik! Pan pułkownik Manchester!”. Grozi, że zawoła policję, że zdemaskuje mnie jako brytyjskiego szpiega, jeżeli mu nie dam w łapę. I mówi, że jednego ma już tylko na świecie przyjaciela, czyli mnie. „Chodź pan, panie pułkowniku, napijemy się jak za dawnych czasów”. No to poszedłem. Spałem go do nieprzytomności, potem zwałem. Niestety sam też trochę się uwalilem. Służba nie družba. Chodźmy do łóżka.

I idą do łóżka, kochają się rozpaczliwie jak dwoje obcych sobie ludzi. W pokoju obok Tom czyta fantasy. W dwa dni później wyjeżdżają na Hydrę, ale Hydra jest za mała, jakaś taka złowroga, i nagle zostaje już tylko Spetsai, o tej porze roku nie będzie problemu. Tom pyta, czy nie mogłaby do nich dojechać Becky, na to Magnus, że nie, w żadnym wypadku, bo wtedy jej rodzice też by tu się zwałili, a on nie chce ich mieć na głowie, on chce pisać. Gdyby nie picie, można by powiedzieć, że Magnus nigdy nie był miłszy i troskliwszy.

Urwała. Trochę tak jakby odsuwała się na chwilę od niedokończonego obrazu, by sprawdzić, czy dobrze jej idzie. Upiła łyk whisky, zapaliła papierosa.

- Chryste Panie - powiedział cicho Brotherhood. Potem nic.

To przez Nigela, który znalazł fragment martwego naskórka na jednym ze swych malutkich paluszków i starannie go obrywał.

Znowu Lesbos. Inny ranek, ale to samo greckie łóżko. Plomari znowu się budzi, choć Mary modli się, by znowu poszło spać, by znowu zrobiło się cicho, by słońce wskoczyło z

powrotem za dachy, skąd przyszło, bo jest poniedziałek i Tom wczoraj odleciał do szkoły. Mary ma na to dowód pod poduszką, bo tam, zgodnie z obietnicą, trzyma skórkę króliczą od syna, która ma ją chronić i przypominać - jakby w ogóle trzeba jej było przypominać - o jego strasznych słowach do niej tuż przed odlotem. Mary i Magnus zawieźli go na lotnisko, na kolejne rozstanie. Tom i Mary stoją obok siebie i nie mogą się dotknąć, czekając na wezwanie do samolotu, Magnus kupuje jeszcze Tomowi paczkę orzeszków pistacjowych na podróż, a przy okazji, skoro już tu jest, jedno ouzo dla siebie. Mary sprawdziła już sześć razy, że Tom ma paszport, pieniądze, list do higienistki o uczuleniu na krewetki i list do babci, który ma oddać, gdy tylko ją zobaczy na Heathrow, pamiętaj, kochanie, nie zapomnij. Ale Tom jest w tej chwili bardziej rozkojarzony niż zwykle. Patrzy na główne wejście, przygląda się przechodzącym przez nie ludziom i ma jakiś taki rozpaczliwy wyraz twarzy, że Mary zaczyna na serio zastanawiać się, czy nie chce uciec.

- Mamusiu? - Czasem, gdy się zapomina, tak do niej się zwraca.

- Tak, kochanie.

- Mamusiu, oni znowu tu są. - Kto?

- Ci dwaj z Plomari. Siedzą na motorze na parkingu przed lotniskiem i patrzą na tatę.

- Kochanie, bardzo cię proszę, przestań - odpowiada stanowczo Mary, chcąc za wszelką cenę odgonić te cienie raz na zawsze. - Po prostu przestań, rozumiesz?

- Bo ja ich poznałem. Dziś rano wszystko mi się przypomniało. To oni jeździli tym samochodem wokół boiska na Korfu, kiedy kolega taty namawiał go, żeby się z nimi przejechał.

Przez chwilę, choć przechodziła przez to samo już kilkanaście razy, Mary ma ochotę krzyknąć: „Zostań, nie jedź, mam gdzie twoją szkołę, zostań ze mną!”. Ale zamiast tego, głupia, macha mu ręką, gdy przechodzi za barierę, i powstrzymuje łyżę aż do drogi powrotnej, podczas której Magnus jest, jak zwykle, do rany przyłoż. Noc minęła, nastał kolejny ranek. Tom pewnie właśnie dojeżdża do szkoły, a Mary wygląda przez więzienne kraty butwiejących żaluzji Kyrii Katiny na niebo, które bezlitośnie bieleje przez szpary. Mary stara się nie słyszeć

stukotu rur wodociągowych i plusku wody - to Magnus celebrytuje swój poranny prysznic.

- Hu - hu! Chryste Panie! Obudziłaś się, mała? Ale zimna woda, możesz mi wierzyć!

Wierzyć? Tobie? Mary mocniej wtula się w pościel. Przez piętnaście lat nigdy jej tak nie nazywał, a teraz nagle nic, tylko „mała” i „mała”. Dzieli ją od niego tylko jeden rząd desek w podłodze; jeżeli ośmieli się popatrzeć w bok, przez szpary w przepierzeniu, zobaczy kawałek jego obcego nagiego ciała. Nie uzyskawszy odpowiedzi, Pym zaczyna podśpiewywać jedyny kawałek Gilberta i Sullivana, jaki zna, i dalej pluszcze się.

- „Wstajemy rano, palimy w piecu...”. Jak mi idzie? - woła, gdy już wyśpiewał wszystko, co pamięta.

W swym poprzednim życiu Mary całkiem poważnie zajmowała się muzyką. W Plush prowadziła nawet niezły zespół madrygalistów. Jeszcze w trakcie pracy w Centrali śpiewała w chórze Firmy. Tylko że tobie, Magnus, nikt nigdy nie puszczał płyt z porządną muzyką - to zawołana krytyka jego pierwszej żony, Belindy. Niedługo będziesz śpiewał tak dobrze, jak gadasz, kochanie.

Bierze głęboki wdech.

- Lepiej niż Caruso! - woła.

Rytuał został wypełniony, Magnus może dalej się kąpać.

- Dobrze mi poszło, Mary, naprawdę dobrze. Siedem stron nieśmiertelnej prozy. To na razie wprawki, ale niezłe.

- Wspaniale.

Zaczął się golić. Mary słyszy, jak wylewa całą wodę z czajnika do plastikowej miski do mycia naczyń. Myśli: żyletki, o Boże, zapomniałam kupić mu tych cholernych żyletek. Przez całą drogę na lotnisko i z powrotem dręczyło ją, że o czymś miała pamiętać, bo drobne sprawy są teraz równie straszne jak te wielkie. Teraz kupię sera na lunch. A teraz kupię chleba do sera. Zamyka oczy i robi kolejny głęboki wdech.

- Dobrze spałeś?

- Jak zabity. Nie zauważyłaś?

No, zauważyłam. Zauważyłam, jak o drugiej w nocy wyslizgnąłeś się z łóżka i zakradłeś na dół, do pokoju, gdzie masz swoje papiery. Najpierw chodziłeś tam i z powrotem, a

potem przestałeś. Słyszałam skrzywienie krzesła i skrzyknięcie pióra, kiedy zacząłeś pisać. Do kogo? Jakim głosem? Którym?

Odgłos golenia niknie w huku muzyki. Włączył to swoje sprytne radio na serwis światowy BBC. Magnus zawsze wie co do minuty, która jest godzina, tak w dzień, jak i w nocy. Jeżeli kiedykolwiek spogląda na zegarek, to tylko po to, by sprawdzić terminy, które ma zakodowane w głowie. Mary słucha wyliczanki wydarzeń, nad którymi nikt nie potrafi zapanować. W Bejrucie wybuchła bomba. W Salvadorze wymordowano całe miasteczko. Spadek funta. A może zwyżka. Rosjanie nie pojadą na najbliższą olimpiadę albo może właśnie pojadą. Magnus śledzi wiadomości polityczne jak hazardzista, który jest za mądry, żeby grać. Szumy stają się stopniowo coraz głośniejsze, w miarę jak wnosi radio po schodach. Nie ma na sobie nic poza sandałami, które rytmicznie plaskają o podłogę. Pochyla się nad nią, Mary czuje zapach jego mydła do golenia i pozbawionych smaku greckich papierosów, które zaczął palić przy pisaniu.

- Ciągłe jesteś śpiąca?

- Trochę.

- A jak tam szczurek?

Szczurek to znaleziony przez Mary w ogrodzie zmaltretowany szczur. Leży w wiklinowym koszyku w pokoju Toma.

- Jeszcze nie zaglądałam.

Całuje ją tuż przy uchu, co brzmi jak wybuch, i zaczyna pieścić jej pierś, jako znak, że może ją osiąść, ale ona mruczy nieporadnie „później” i odwraca się na drugi bok. Plaskanie kieruje się teraz w stronę szafy, Mary słyszy, że stare drzwi opierają się i wreszcie ulegają z trzaskiem. Jeżeli wybierze szorty, to znaczy, że pójdzie na spacer. Jeżeli dżinsy, wybiera się do miasta pić z miejscowymi bywalcami. Z pułkownikiem „Mówi mi Parkie Parker, to mój grecki chłoptaş, a to mój sealyham - terrier, którego zawsze trzymam na smyczy”. Z Elsie i Ethel, lesbijkami z Liverpoolu, emerytowanymi nauczycielkami. Z jakimś Jockiem, „co to ma w Dundee mały interes”. Magnus wkłada koszulę. Mary słyszy, że zapina szorty.

- Dokąd idziesz? - pyta go.

- Na spacer.

- Poczekaj na mnie, pójdę z tobą. Wtedy mi wszystko opowiesz.

Czym głosem zaczęła nagle przemawiać? Jego dojrzałej, konkretnej kobiety?

Magnus jest równie zdziwiony jak ona.

- O czym, u licha, mam ci opowiedzieć?

- No o tym, co cię martwi, kochanie. Nie mam do ciebie żalu, tylko powiedz mi, o co chodzi, żebym nie musiała...

- Żebyś nie musiała co?

- Żebym nie musiała nic ukrywać, udawać, że nie zauważam.

- Nie wygłupiaj się. Wszystko jest w porządku. Po prostu trochę nam smutno, że Tom musiał wyjechać.

Podchodzi do niej, podnosi ją i kładzie na poduszce, jakby była inwalidką.

- Ty pośpij, ja się przejdę, i będzie dobrze. Zobaczmy się w tawernie koło trzeciej.

Tylko Magnus potrafi tak bezszelestnie zamknąć drzwi Kyrii Katiny.

Nagle Mary czuje, że jest silna. I wolna, bo wyszedł. Odetchnąć. Podchodzi do okna, wszystko zgodnie z planem, to dla niej nie pierwszyna, teraz przypomina sobie, że jest w tym dobra, lepsza niż mężczyźni. W końcu w Berlinie to ona właśnie pomagała Jackowi, kiedy było trzeba, wydębiała klucze od portierów, odnosiła na miejsce dokumenty do różnych niepewnych biur, wozila przestraszone kontakty w bezpieczne miejsce. Jestem w tym lepsza, niż myślę. Przecież Jack zawsze chwalił mnie za opanowanie i bystry wzrok. Z okna widziała nową asfaltową drogę wijącą się ku wzgórzom - Magnus idzie czasem właśnie tamtędy, ale nie dziś. Mary otwiera okno i wychyla się, jakby chciała nacieszyć się tym miejscem i tym porankiem. Ta stara wiedźma Katina wcześniej wydoiła dziś kozy, czyli teraz pewnie polazła na targ. Mary pozwala sobie tylko na szybki rzut oka w stronę wyschniętego koryta rzecznego, w którym ci sami dwaj chłopcy majstrują przy motocyklu na niemieckich numerach. Gdyby to było w Wiedniu, Mary natychmiast suszyłaby głowę Magnusowi, nawet zatelefonowałaby do niego do ambasady. Powiedziałaby

pewnie: „Anioły dziś nisko latają” czy coś takiego. A Magnus zaraz posłałby tam patrol dyplomatyczny albo wręcz swoich ludzi. Ale teraz, gdy każde z nich wiodło całkowicie odrębne życie, jakby umówili się, że o aniołach, choćby najbardziej podejrzanych, po prostu się nie mówi.

Pokój, w którym Magnus pracuje, jest na parterze. Drzwi przed nią nie zamyka, ale mają swoje zasady, więc Mary wchodzi tam tylko, gdy on ją o to poprosi. Naciska klamkę i wchodzi do środka. Żaluzje są opuszczone, ale w ich górnej części są szpary, zatem światła jest dość. Nie na palcach, mówi do siebie, przypominając sobie szkolenie sprzed lat. Jak masz narobić hałasu, rób go śmiało. Pokój jest niemal pusty - Magnus tak lubi. Biurko, krzesło, pojedyncze łóżko, żeby miał gdzie się zwalić między jednym a drugim przypiływem natchnienia w konstruowaniu zarysu książki. Mary odsuwa krzesło od biurka i pod jej nogi toczy się butelka wódki. Biurko zasiane jest papierami i książkami, ale ona niczego nie dotyka. Jak zwykle honorowe miejsce zajmuje stary, oprawny w płótno egzemplarz Przygód Simplicissimusa. To jego maskotka, jego coś. I nieustający kamień obrazy dla Mary, bo nie pozwala jej go oprawić. Upiera się, że woli go takim, jaki jest, bo w takim stanie go dostał. Na pewno od jakiejś baby. Dedykacja po niemiecku brzmi: „Sir Magnusowi, który nigdy nie będzie mi wrogiem”. Mam ją w dupie. Ją i jej pretensjonalną dedykację.

Brotherhood znowu przerwał.

- A gdzie jest teraz ta książka?

Z trudnością i z lekką urazą Mary powróciła do teraźniejszości. Ale Brotherhood nalegał:

- Nie ma jej w biurku na dole, w salonie też jej nie widziałem. Nie ma jej ani w sypialni, ani w pokoju Toma. To gdzie jest?

- Mówiłam ci - powiedziała. - Zawsze ją ze sobą wozi.

- Nie mówiłaś, ale dziękuję - odciął się Brotherhood. Mary ma na sobie bawełniane rękawiczki, żeby się nie spocić i nie pobrudzić. Magnus na pewno się zabezpieczył, robi to instynktownie. Na podłodze leży jego stara aktówka, szeroko otwarta, ale jej Mary również nie dotyka. Inne książki, niby przypadkowo rozrzucone, służą jako przyciski do przytrzymywania rękopisu. Odczytuje tytuły. Jeden z nich jest po

niemiecku, Wolność i sumienie kogoś, o kim w życiu nie słyszała. Obok Dobry żołnierz Madoksa Forda, którą to książkę Magnus czyta teraz w kółko; stała się jego Biblią. Dalej stary album ze zdjęciami. Mary delikatnie unosi nieznaną okładkę i przerzuca kilka stron, nie ruszając go z miejsca. Magnus w wieku ośmiu lat w stroju piłkarskim, zdjęcie drużyny. Magnus w wieku pięciu lat z sankami w Alpach. Magnus w wieku Toma, już ma ten obezwładniający uśmiech, zapraszający, lecz nieoczekujący zaproszenia. Magnus w podróży poślubnej z Belindą, oboje wyglądają, jakby mieli najwyżej po dwanaście lat. Mary nigdy przedtem nie widziała tych zdjęć. Zamyka album, cofa się o krok i jeszcze raz przygląda się książkom i papierom na blacie biurka. Nagle zauważa w ich układzie prawidłowość: każda z trzech książek, niby to przypadkowo rozrzuconych na kartkach, znajduje się na przedłużeniu linii wytyczanych przez rozłożone na środku nożyczki do papieru. Mary zabiera obrus ze stołu kuchennego i rozkłada go na podłodze przy biurku. Potem, dalej w rękawiczkach, odmierza dłonią odległości między każdym z przedmiotów. Bardzo delikatnie, jakby zdejmowała bandaż z rany, rozkłada je tak samo na obrusie. Teraz może bez przeszkód przejrzeć papiery. Nie spodziewała się, że tyle będzie kurzu - wystarczyło, że przeszła się dwa razy po podłodze, a już wzbiła tumany. Jestem jak hiena cementarna, myśli sobie, kurz drapie ją w gardło. Wzrok zatrzymuje na pliku kartek; na pierwszej stronie aż roi się od poprawek. Podnosi plik, resztę zostawia tak, jak jest. Podchodzi z nim do łóżka, siada. W dzieciństwie, w Plush, mieli podobną zabawę, tradycyjny punkt programu wieczorów sylwestrowych. Potem to samo robili na szkoleniu; wtedy nazywało się to grą w „obserwację”, a grano w nią w sennych wioskach Dedham, Manningtree i Bergholt: u kogo w tym tygodniu malowano drzwi, u kogo przycięto róże, kto kupił nowy samochód, ile butelek mleka dostają co rano pod osiemnastką? Ale i w domu rodzinnym, i na szkoleniu w Firmie zawsze wygrywała Mary. Ma iście fotograficzną pamięć, z której nic nigdy nie ginie - i to jest jej przekleństwem.

Fragmenty powieści, powiedziała Brotherhoodowi, same początki.

Kilkanaście rozdziałów pierwszych, niektóre na maszynie, niektóre ręcznie, wszystko aż sztywne od skreśleń. W większości o samotnym dzieciństwie chłopca o imieniu Ben.

I rysunki: ręka wyciągnięta w złodziejskim geście, kobiece kroczce.

Uwagi pod własnym adresem, bez wyjątku obelżywe: „sentymtalne bzdury”, „zmienić albo zniszczyć”, „chyba jeszcze nie wydorostałeś”, „kiedyś i tak dopadnie nas jakiś Wentworth”.

Różowa teczka z nagłówkiem „Różne urywki”. Ben sam zgłasza się na policję. Ben orientuje się, że istnieje inna, prawdziwa Secret Service, i w ostatniej chwili do niej się zapisuje. Teczka niebieska z napisem „Sceny końcowe”, kilka z nich pisanych do Stokrotki, tej kochanej, choliernej Stokrotki. Blok kartonu ukradzionego z jej szkicownika, który posłużył Magnusowi do rozrysowania na schemacie jego pomysłów, dokładnie tak jak Toma nauczono w szkole przy pisaniu wypracowań: połączone kreskami komiksowe dymki. W jednym z dymków: „Jeżeli natura nie znosi próżni, czy próżnia lubi naturę?”. W innym: „Dwulicowość to robienie przyjemności jednej osobie kosztem drugiej”. W jeszcze innym: „Jesteśmy patriotami, bo boimy się zostać kosmopolitami. Jesteśmy kosmopolitami, bo boimy się zostać patriotami”.

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi, ale Brotherhood pokręcił głową w kierunku Georgie na znak, by nie zwracała na to uwagi.

- Zupełnie jakby to nie on pisał - powiedziała Mary. - Takie jakieś chropawe. Pisał, pisał i nagle przestawał. Jakby było zbyt bolesne, by mógł pisać dalej.

Brotherhood miał gdzieś, czy coś kogoś bolało.

- Dalej - powiedział. - Mów dalej. Szybko.

- To ja, proszę pana! - zawołał Fergus przez drzwi. - Ważna wiadomość. Bardzo ważna.

- Mówiłem już, poczekaj - rozkazał Brotherhood.

- „Całe życie Bena rozpada się na kawałki” - ciągnęła Mary.

- „Przez całe życie wymyślał nieprawdziwe wersje samego siebie. Teraz, zaraz, dopadnie go prawda, więc przed nią ucieka. Jego Wentworth już stoi pod drzwiami”.

- Dalej - powiedział Brotherhood, stając nad nią.

- „Wymyślił mnie Rick, a Rick umiera. Co się stanie, kiedy puści swój koniec sznurka?”.

- Nie przerywaj.

- Cytat ze świętego Łukasza. Nie widziałam, żeby choć raz otworzył Biblię. „Kto w drobnej rzeczy jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny”.

- No i?

- „A kto w drobnej rzeczy jest nieuczciwy, ten i w wielkiej nieuczciwy będzie”. Całymi godzinami kolorował marginesy. Na różne kolory.

- I co dalej?

- „Wentworth był Nemezis Ricka. Moją - Stokrotka. Potem przez całe życie obaj usiłowaliśmy wynagrodzić im to, co im zrobiliśmy”.

- No i?

- „Teraz wszyscy mnie szczują. Firma mnie szczuje, Amerykanie, ty. Nawet biedna Mary mnie szczuje. A ona nawet nie wie, że istniejesz”.

- Ty, czyli kto? Kto to jest „ty” w tym ślicznym wierszyku?

- „Stokrotko, ty moje przeznaczenie. Stokrotko kochana, zabierz swoje psy sprzed mojego domu”.

- Stokrotka... Jak te kwiatki w kominku - myślał głośno Brotherhood, klękając przy Georgie i odpychając trzymany

przez nią mikrofon. - Tylko że tu w liczbie pojedynczej i z wielkiej litery. Nie stokrotki, ale Stokrotka.

- No właśnie.

- I Wentworth. Tak jak słoneczne miasteczko Wentworth w malowniczym hrabstwie Surrey.

- No właśnie.

- Znasz kogoś, kto się tak nazywa? - Nie.

- A Stokrotka?

- Też nie.

- To dalej.

- Był jeszcze rozdział ósmy - powiedziała. - Ni stąd, ni zowąd. Od drugiego do siódmego nic, dopiero ósmy. Cały napisany ręcznie, jego pismem, bez jednego skreślenia. Miał tytuł. „Niespłacone rachunki”, chociaż rozdziały pierwsze tytułów nie miały. O tym, jak Ben postanawia nie spełniać swoich obietnic. Przechodzi z trzeciej osoby do pierwszej, bo w rozdziałach pierwszych było albo „on”, albo „Ben”. „Wierzyście, z Wentworthem na czele, dobijają się do drzwi, ale Bena to już nie obchodzi. Pochylam głowę do przodu, unoszę ramiona, rzucam się na nich, biję na oślep pięściami, uderzam z byka, oni demoluja mi twarz. Ale nawet bez twarzy robię to, co powinienem był zrobić trzydzieści pięć lat temu Jackowi, Rickowi i wszystkim ciociom i wujkom, za to, że na moich oczach porozkradali mi życie. Stokrotka, Jack i reszta skazali mnie do końca życia na... na... na...”.

Urwała. Poczula, że traci oddech, jakby stalowe kleszcze chwyciły ją za gardło. Drzwi otworzyły się i wpadł Fergus - wbrew rozkazowi, za co pewnie zostanie przykładowie ukarany. Nigel popatrzył na niego bez słowa, Georgie wywróciła oczyma, wskazała drzwi, mówiąc bezgłośnie: „Wynoś się, wynoś się”, ale Fergus nie usłuchał.

- Na co do końca życia, na miłość boską? - Brotherhood krzychał jej teraz wprost do ucha.

Szeptala. Wrzeszczała. Zmagała się z tym słowem, popychała je, uderzała, ale nie umiała wyrzucić go z siebie. Brotherhood potrząsnął nią, najpierw lekko, potem znacznie mocniej, potem już bardzo, bardzo mocno.

- Na zdradę - powiedziała. - „Zdradzamy z wierności.

Zdrada to ucieczka w marzenia, gdy nie odpowiada nam rzeczywistość". Tak napisał, że zdrada to nadzieja i zadośćuczynienie. To budowanie nowego, lepszego świata. To miłość. To hołd złożony temu, czego nie było nam dane przeżyć. Zdrada to ucieczka. Akt tworzenia. Określenie własnych ideałów. Wiara. Przygoda duszy. Zdrada jako podróż: czy można odkryć nowe ziemie, nie ruszając się z domu? „Ty, Stokrotko, jesteś moją ziemią obiecaną. To ty nadajesz sens moim kłamstwom”.

I właśnie doczytała do tego miejsca, tłumaczyła, do tego o Stokrotce i ziemi obiecanej, gdy odwróciła się i zobaczyła, że w otwartych drzwiach do swego pokoju stoi w szortach Magnus. W jednej dłoni trzyma dużą niebieską kopertę, w drugiej telegram, i uśmiecha się jak prymas jednej ze swych szkół.

- Ale to nie był on, tylko ktoś inny, kto w niego wlaź - mówi Mary i przeraża się własnych słów. - To nie był on.

- Co to ma znaczyć, do diabła? Przecież sama powiedziałaś, że Magnus stanął w drzwiach. Co ty wygadujesz?

Sama nie wiedziała.

- Coś takiego przytrafiło mu się w młodości. Ktoś stanął w drzwiach i patrzył się na niego. On tak jakby sam to teraz odgrywał. Wiem, bo widziałam po jego twarzy, że mu się to przypomniało.

- A co powiedział? - uprzejmie zapytał Nigel. Zapamiętała głos Magnusa, a może tylko wyraz jego twarzy, pusty, lecz nieprzenikniony. I nieskończenie grzeczny: „No cześć, kochanie. Co to, chcesz być na bieżąco z lekturą? Jane Austen to nie jest, ale jak się wygłodzi, może coś z tego będzie”.

Obrus z książkami i połową papierów nadal leżał na podłodze, ale na twarzy Magnusa malowały się triumf i ulga. Podał jej telegram. Wzięła i podeszła do okna. Albo by odwrócić jego uwagę od biurka.

- Telegram był od ciebie, Jack - powiedziała. - Podpisany twoim pseudonimem Victor, zaadresowany „W.P. Pym, na adres W.P. Pembroke”. Pisałeś, żeby wracał natychmiast, wszystko przebaczone, komitet zbiera się w Wiedniu w poniedziałek o dziesiątej rano, Victor.

Brotherhood powoli odwrócił się wreszcie ku Fergusowi.

- Czego chcesz, do cholery?

Fergus odpowiedział tak jak Tom, gdy nie może wytrzymać, że dorośli nie pozwalają mu długo dojść do głosu.

- Alarm w placówce przy ambasadzie - wypalił Fergus. - Dostałem wiadomość od dyżurnego. Szyfrem przez telefon. Zginęła nasza czarna skrzynka.

Nigel uczynił śmieszny gest, który miał rozładować atmosferę: uniósł ubóstwiane przez siebie własne dłonie i wyciągając ku niebu śliczne paluszki, potrząsał nimi tak, jakby suszył na nich lakier. Za to Brotherhood, który wciąż klęczał przy Mary, wyglądał, jakby miał zaraz zapaść w letarg. Powoli wstał, a potem równie powoli przesunął dłonią po ustach, jakby chciał wytrzeć sobie język z czegoś niesmacznego.

- Dawno?

- Nie wiadomo, proszę pana. Nie ma pokwitowania. Szukają jej od godziny, ale nie mogą znaleźć. Nic więcej nie wiedzą. Było też przy niej oświadczenie, że to poczta dyplomatyczna, i tego też nie ma.

Mary jeszcze nie zorientowała się w sytuacji. Pomyślała, że to nie tak. Kto w końcu stanął w drzwiach, Fergus czy Magnus? A Jack jakby ogłuchł. Jackowi, który zadaje pytania salwami, nagle zabrakło amunicji.

- Strażnik kancelarii twierdzi, że pan Pym wpadł do ambasady we wtorek wczesnym przedpołudniem, w drodze na lotnisko. Strażnik nikogo nie zawiadamiał, bo nawet nie wpisywał go do książki. Pan Pym poszedł na górę, ale zaraz wrócił, strażnik złożył mu kondolencje, i już. Jak schodził, miał ze sobą tę swoją ciężką, czarną aktówkę.

- I strażnik o nic go nie pytał?

- Nie bardzo, bo wiedział, że panu Pymowi umarł ojciec i że się spieszy.

- Nic więcej nie zniknęło?

- Nie, proszę pana, tylko czarna skrzynka. No i to oświadczenie, jak już mówiłem.

- Dokąd idziecie? - zapytała Mary.

Nigel już stał i obciążał kamizelkę. Brotherhood ładował do kieszeni marynarki swoje rzeczy: żółte papierosy, pióro i notes, oraz starą niemiecką zapalniczkę.

- Co to jest czarna skrzynka? - zapytała Mary, czując, że ogarnia ją panika. - Dokąd idziecie? Mówię do was! Siadajcie!

Brotherhood wreszcie przypomniał sobie o niej. Obrzucił ją spojrzeniem.

- Aha, prawda, bo ty nie wiesz - powiedział. - Rzeczywiście, ty przecież nie dotarłaś tak wysoko. - Było mu trudno jej to wyjaśniać, ale przemógł się przez wzgląd na dawne czasy. - Czarna skrzynka to czarna skrzynka. Mała metalowa skrzynka, wygląda jak zwykła teczka. Na przykład taka, jak do poczty dyplomatycznej, tylko że wyłożona blachą. I ma to do siebie, że jak trzeba, spala się wszystko, co jest w środku. W niej trzyma swoje najcenniejsze rzeczy szef placówki.

- To co w niej jest?

Nigel i Brotherhood wymienili spojrzenia. Fergus nadal stał z szeroko otwartymi oczami.

- Co w niej jest? - powtórzyła, bo zaczął ogarniać ją nowy i bardziej nieokreślony strach.

- O, nic takiego - powiedział Brotherhood. - Nazwiska agentów. Naszych Czechów. Ale i kilku Polaków, i paru Węgrów też się znajdzie. Właściwie wszystko, co prowadzimy czy też prowadziliśmy z Wiednia. Kto to jest Wentworth?

- Już pytałeś. Nie wiem. Może chodzi o tę miejscowość? Co jeszcze było w tej czarnej skrzynce?

- Może rzeczywiście chodzi o miejscowość.

Ale już jej nie słuchał. Jack już był nieobecny. Straciła go, najpierw jako kochanka, potem jako przyjaciela, jako autorytet.

Miał twarz taką jak jej ojciec, gdy przyniosła mu wiadomość o śmierci Sama. Miłość uleciała z niego, a wraz z miłością - resztki wiary.

- Wiedziałaś - rzucił od niechcienia. Był już w połowie drogi do drzwi, nawet na nią nie patrzył. - Wiedziałaś, do cholery, od dobrych paru lat.

Wszyscy wiedzieliśmy, pomyślała. Ale nie miała ani serca, ani chęci powiedzieć mu to w twarz.

Nigel też się zbierał, zupełnie jakby zadzwonił dzwonek na znak, że wizyta skończona.

- Mary - rzekł Nigel - zostawiam ci do towarzystwa Georgie i Fergusa. Uzgodnią z tobą powód swojej obecności i powiedzą

ci, jak masz się zachowywać. Przez cały czas podlegają moim rozkazom. Od tej chwili zresztą ty też. Moim, tylko moim. Zrozumiano? Jeżeli chcesz mi coś przekazać, nazywam się Nigel, jestem szefem sekretariatu, moja asystentka ma na imię Marcia, Z nikim innym z Firmy nie rozmawiaj. Niestety, to rozkaz. Nawet z Jackiem - dodał, ale znaczyło to „przede wszystkim nie z Jackiem”.

- Co jeszcze było w tej skrzynce? - powtórzyła.

- Nic. Naprawdę nic. To co zwykle. Nie przejmuj się. - Podszedł do niej i ośmielony jej zażyłością z Brotherhoodem, z lekkim zażenowaniem położył dłoń na jej ramieniu. - Słuchaj, może wcale nie jest tak źle, jak się wydaje. Przecież to naturalne, że staramy się zabezpieczyć na wszelki wypadek. Zawsze musimy zakładać najgorsze. Ale Jack czasem przesadza, bo często rzecz da się wyjaśnić w znacznie mniej dramatyczny sposób. Jack nie jest tu jedyną osobą z wieloletnim doświadczeniem.

Rozdział 6

Anglię Pyma spowijał ciemny deszcz od morza. Pym szedł ostrożnie. Zapadał wieczór. Pisał dziś dłużej niż kiedykolwiek w życiu; teraz był pusty, bezbronny i wystraszony. Rozległ się ryk syreny, jeden krótki, dwa długie, pewnie z latarni morskiej albo statku. Przystanął pod latarnią i w jej świetle popatrzył na zegarek. Zostało sto dziesięć minut, minęły pięćdziesiąt trzy lata. Podium dla orkiestry jest puste, na boisku do gry w kule stoi woda. A wystawy sklepików wciąż zalepione są upstrzonym przez muchy celofanem, który miał chronić je przed słońcem lata.

Podążał drogą poza miasteczko. W pasmanterii Blandy'ego kupił plastikową pelerynę. „Dobry wieczór, panie Canterbury, czym mogę służyć?”. Deszcz stukał teraz w kaptur jak w blaszany dach. Pod peleryną niósł zakupy dla panny Dubber: bekon od Aitkena, tylko niech kroi najwyżej na piątce, jak człowiek nie uważa, zaraz tnie grubiej. A Crosse'owi proszę powiedzieć, że w zeszłym tygodniu trzy pomidory sprzedał mi zgniłe, nie nadpsute, tylko kompletnie zgniłe. Niech mi je teraz

wymieni, bo jak nie, to już nigdy nic u niego nie kupię. Pym wypełnił jej polecenia co do joty, choć nie tak napastliwie, jak by sobie tego życzyła, ponieważ i Crosse, i Aitken otrzymywali od niego ściśle utajnione dotacje, by obciążać pannę Dubber tylko połową należności. Ponadto w biurze podróży Farwaya zdobył szczegółły wycieczki po Włoszech klubu seniora, która za sześć dni odlatywała z Gatwick. Wpadł na pomysł, by zatelefonować do jej kuzynki Melanie z Bognor. Jeżeli powiem, że zapłacę też za Melanie, panna Dubber już na pewno nie odmówi.

Jeszcze aż sto sześć minut. Minęły dopiero cztery. Już nie pamięta o panie Dubber i jej kuzynce Melanie. Z niezliczonych wspomnień, które cisną się mu do głowy, Pym wybiera to o Waszyngtonie i balonie. Mieliliśmy różne, najbardziej zwariowane sposoby komunikowania się, ale z tym balonem to już była przesada. Chciałeś sobie pogadać, ja nie chciałem się z tobą spotkać, bo akurat dostałem pietra i postanowiłem udawać przed sobą, że nie istniejesz. Ale ty się z tym nie pogodziłeś, co zresztą było do przewidzenia. Żeby mnie przekabacić, wypuściłeś nad dachy Waszyngtonu mały, srebrny balon na wodór, Tom czasem dostaje takie za darmo w supermarkecie. I kiedy obaj prowadziliśmy nasze samochody na dwóch różnych końcach miasta, powiedziałaś mi, że jestem głupi, że tak cię traktuję. A cała rozmowa odbywała się na krótkofalówkach z kompletem, które jak pchełki przeskakiwały z częstotliwości na częstotliwość. Jeżeli ktoś usiłował nas wtedy podsłuchać, chyba dostał szału.

Pym wspinał się teraz ścieżką prowadzącą na klif. Mijał domki letniskowe postawione na działkach wykrojonych z większej posiadłości. Zatelefonuję do tego jej doktora i każę mu ją przekonać, że przyda się jej wyjazd. Albo do proboszcza, jego prędzej posłucha. W dole lśniły we mgle, jak pękate jagody, światła Pałacu Zabaw, przy nich - błękitne neony Lodowej Jaskini. To przypomniało mu o Penny. Już mnie nigdy nie zobaczysz, pomyślał, chyba że na zdjęciu w gazecie. Penny należała do jego armii ściśle tajnych kochanek, tak tajnych, że sama nie wiedziała, że nią jest. Pięć lat temu sprzedawała rybę i frytki z wózka na promenadzie i kochała się w Billu, kulturyście, który ją bijał. Pym wpuścił numer rejestracyjny motoroweru Billa

do komputera w Firmie i ustalił, że facet ma w Taunton żonę i dwoje dzieci. Potem krótki anonim do miejscowego proboszcza i już w rok później Penny wydała się za wesołego lodziarza, Włocha, o imieniu Eugenio. Ale dziś pewnie nie myśli o mężu Włochu, bo gdy przed południem Pym kupował u niej, jak zwykle, dwie gałki śmietankowych, czuliła się do mięśniaka w filcowym kapeluszu. Mięśniak od razu Pymowi się nie spodobał. Jakiś komiwojażer albo komornik, myślał teraz, gdy wiatr wydymał na nim plastikową pelerynę. Ciekawe, czy w naszych czasach ktoś jeszcze poluje samotnie, jak Jack? No a Jack to przecież nie jest, bo ten mięśniak był od niego młodszy o jakieś trzydzieści lat. I ten jego samochód, ta fikuśna antenka, i to pochylenie głowy, gdy słuchał Penny...

- Był ktoś, proszę pani? - zapytał, wykładając zakupy na kredens.

Panna Dubber siedziała w kuchni z Tobym na kolanach, oglądała jakąś amerykańską operę mydlaną i popijała swój jedyny, codzienny drink.

- Co za ludzie w tym serialu, proszę pana - powiedziała. - W życiu nie wynajęłabym żadnemu z nich ani na jeden dzień, prawda, Toby? A cóż to za herbatę pan przyniósł? Proszę ją odnieść, miał być assam.

- To jest assam - powiedział spokojnie Pym, pochylając się, by podsunąć jej paczkę pod oczy. - Teraz jest nowe opakowanie, kosztuje trzy pensy taniej. Ktoś przyszedł, kiedy mnie nie było?

- Tylko z gazowni odczytać licznik.

- Ten sam co zwykle, czy jakiś nowy?

- Nowy. Teraz zawsze są nowi. - Poprawiając jej nowy szal na ramionach, lekko ucałował ją w policzek. - No, proszę sobie nalać wódki - zaproponowała.

Ale Pym odmówił. Powiedział, że ma robotę.

Wrócił do pokoju i sprawdził papiery na biurku. Zszywacz ma być w jednej linii z uchem filizanki, książka z ołówkiem. Czarna skrzynka przy nodze biurka. Panna Dubber to nie Mary. Przy goleniu przyłapał się, że myśli o Ricku. Widziałem twojego ducha, pomyślał. Nie tu. W Wiedniu. Dokładnie tak samo, jak wydawało mi się, że cię widzę w Denver, w Seattle, w San

Francisco, w Waszyngtonie. Widywałem cię w każdej wystawie sklepowej, w każdych drzwiach, kiedy zaczynały śwędzić mnie plecy i usiłowałem zgubić ogon. Tym razem miałeś na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny, a w ustach cygaro, które paliłeś, jak zwykle marszcząc przy tym brwi. To ty za mną chodziłeś, to twoje niebieskie oczy prześladowały mnie jak oczy topielca, same białka, żeby mnie przestraszyć. „A ty dokąd, synu? Dokąd cię niosą te twoje piękne nogi? Tak późno? Pewnie masz gdzieś jakąś niezłą panią, co? Taką, co myśli, że jesteś Bóg wie co? No, synu, powiedz staremu”. Gdy już leżałeś na łożu śmierci, nie chciałem do ciebie jechać. Ani o tobie mówić, ani się o ciebie dowiadywać. „Nie chcę. Nie chcę”, powtarzałem sobie przy każdym kroku. I dlatego ty nawiedzałeś mnie w Wiedniu. Jak Wentworth czałałeś się za każdym rogiem, cały czas czułem na plecach twoje gorące, kochające spojrzenie. Odczep się, niech cię diabli, szeptałem. Jakiej ci śmierci życzyłem? Każdej po kolei. Umrzyj, mówiłem ci. Na chodniku, żeby ludzie widzieli. Przestań mnie tak kochać. Przestań we mnie wierzyć. Chcesz forsę? Już nie, ty chciałeś czegoś cenniejszego, ty chciałeś Magnusa. Chciałeś, żeby mój żywy duch wszedł w twe umierające ciało i zwrócił ci życie, które dostałem od ciebie. „Bycza zabawa, co, synu? Od razu widzę, że świetnie się bawisz z naszą Stokrotką. Stokrotka jest w porządku. Co wy tam razem knujecie? No, ojcu chyba możesz powiedzieć! Robisz interesy, co? Umiesz zarobić na życie, tak jak cię nauczył twój stary?”.

Trzy minuty. Pym lubi golić się porządnie. Wytarł twarz. Z kieszeni marynarki wyciągnął swój wierny egzemplarz *Simplicissimusa* Grimmelshausena, oprawiony w splewiałe płótno i nieźle już sfatygowany. Odłożył go na biurko, przeszedł przez pokój i klęknął przed staroświeckim, pocziwym radiem. Przez chwilę szukał częstotliwości bakelitowym pokręteł, wreszcie znalazł.

Przyciszyć, włączyć, czekać. Dwoje ludzi dyskutuje po czesku o spółdzielczym przetwórstwie owocowym. Dyskusja urywa się w pół zdania. Sygnał czasu obwieszcza początek wiadomości. Pym jest gotowy. Gotowy do działania.

Ale jest też nieco wzruszony. Ogarnia go prawie nieziemski

spokój. W jego kochającym uśmiechu jest szczypta mistycznego porozumienia, jakby witał się z kimś nie całkiem z tego świata. Ze wszystkich osób, które go znały, poza owym niezemijskim nieznanym, chyba tylko panna Dubber widziała u niego ten wyraz twarzy.

Pierwsza wiadomość to tyrada o amerykańskich imperialistach z okazji załamania się rozmów rozbrojeniowych. Odgłos odwracanej strony, sygnał, by być w gotowości. W porządku, zaraz do mnie przemówisz. Dziękuję, doceniam twój gest. Teraz druga wiadomość. Spiker przedstawia profesora uniwersytetu w Brnie. Dobry wieczór, panie profesorze, co dziś słysząc w czeskich tajnych służbach? Profesor zaczyna mówić, to trzeba będzie przetłumaczyć. Nerwy napięte do ostatnich granic. Pierwsze zdanie: „Rozmowy zakończyły się fiaskiem”. Tego nie. „Kolejna próba”. Zapisać. Powoli, nie spiesz się. Cierpliwości, czekaj na pierwszy liczebnik. Jest. „Pięćdziesięciopięcioletni spawacz z Pilzna”. Pym wyłączył radio i z notatnikiem w dłoni powrócił do biurka, patrząc wprost przed siebie. Otworzył Grimmelshausena na stronie pięćdziesiątej piątej, znalazł bez odliczania piąty wiersz od góry. Na czystej kartce papieru wypisał pierwsze dziesięć liter; każdą przekonwertował na liczbę zależnie od kolejności w alfabecie. Poodejmować je od siebie, ale bez przenoszenia. Nie myśl, po prostu licz. Teraz pododawać, znowu bez przenoszenia. I z powrotem liczby na litery. Nie myśl. NIE...EMA...ART...TWS... Nie, to chyba nie to, przecież to bez sensu. Trzeba będzie posłuchać na nowo o dziesiątej. Pym uśmiecha się. Uśmiecha się jak święty, którego męka już się skończyła. Oczy zachodzą mu łzami. A niech tam. Stoi, trzyma kartkę oburącz nad głową. Płacze. Śmieje się. Z trudem odczytuje to, co zapisał. NIE MARTW SIĘ, E. WEBER ZAWSZE TWOJA. STOKROTKA.

- Kompletnie ci odbiło - szepnął głośno, wsadzając sobie pięść do oka, by powstrzymać dalsze łzy. - Stokrotka. O Boże.

- Czy coś nie tak, proszę pana? - zapytała surowo panna Dubber.

- Przyszedłem jednak podebrać pani trochę wódki - wyjaśnił.

- Wódki z czymś.

Już sobie mieszał.

- Tylko godzinę wytrzymał pan na górze. I to ma być praca, co, Toby? Nic dziwnego, że tak się w kraju źle dzieje.

Uśmiech Pyma stał się jeszcze szerszy.

- A co się dzieje?

- No ci nasi kibice. Jaki to zły przykład dla cudzoziemców! Pan by na to nigdy nie pozwolił, prawda?

- Pewnie.

Ciepły sok pomarańczowy z butelki, pycha! Przewapniona woda z kranu, bo skąd? Posiedział z panną Dubber prawie godzinę, rozplývając się nad pięknym Neapolu. Potem wrócił na górę, do siebie, ratować kraj.

Nigdy się nie dowiem, Tom, jak Rickowi udało się wygrać pokój, ale w każdym razie udało mu się, i to jak zwykle w ciągu jednej nocy. Synu, teraz nie mamy już o co się martwić, mamy wszystkiego dość, twój stary znów jest na fali. Gorliwie adaptując się do nowo zdobytej zamożności, ojciec z synem wybrali dla siebie zawód ziemianina. Gdy obwieszczono zwycięski koniec wojny w Europie, dorastający Pym mógł na cześć tego wielkiego wydarzenia dostać czarny garnitur od Harrodsa z upragnionymi długimi spodniami, czarnym krawatem i sztywnym kołnierzykiem, i przygotowywać się na obiecane przez Sefton Boyda przekłuwanie uszu haczykami. Tymczasem Rick, człowiek całkowicie już dojrzały, nabył ośmiohektarową posiadłość w Ascot, ogrodzoną od frontu białym murem, całą garderobę garniturów jeszcze bardziej krzykliwych niż te po admirałach, parkę zidiociałych rudych seterów, dwukolorowe solidne buty, by mieć w czym za nimi łązić, dwie strzelby myśliwskie, żeby się z nimi fotografować, długi chyba na kilometr barek, by miło spędzać wieczory przy szampanie i ruletce, i brązowe popiersie burmistrza Pyma na postumencie w holu, by dotrzymywało towarzystwa nieco większemu popiersiu Ricka. Służba składała się z pułku polskich dipisów. Po trawniku przed domem przechadzała się nowa, bardzo szykowna ciocia, która darła się na służbę i pouczała Pyma w sprawach higieny oraz wymowy właściwej warstwom wyższym. Zaraz też pojawił się Bentley, którego nie zmieniano ani nie ukrywano za domem - choć pewien złośliwy Polak napełnił go kiedyś wodą z ogrodowego szlauchu przez szparę w oknie, przez co udało mu

się przemoczyć godność Ricka, gdy ten usiłował wsiąść do samochodu następnego ranka. Pan Cudlove dostał wiśniową liberię i domek w dalszej części posiadłości; Ollie miał teraz gdzie hodować geranium, śpiewać arie z „Mikada” i przemalowywać kuchnię na uspokajające kolory. Charakter gospodarstwa wiejskiego zapewniało posiadłości bydło i jego opiekun, mrukliwy pastuch - bo Rick zaczął płacić podatki, co, jak teraz wiem, było ukoronowaniem jego bohaterских zmagania o płynność finansową.

- To szczyt draństwa, Maxie - przemawiał dumnie do niejakiego majora Maxwella Cavendisha, sprowadzonego w charakterze konsultanta do spraw wyścigów konnych. - Na miłość boską, czy po to przez sześć lat prowadziliśmy wojnę, by teraz człowiek nie mógł w spokoju cieszyć się owocami swej pracy?

Major, z nieodłącznym barwionym monoklem w oku, odpowiadał niezmiennie: „No właśnie” i wydymał usta. A Pym zgadzał się z nimi w zupełności i dolewał majorowi do pełna. Tuż przed wyjazdem do szkoły młody Pym nie miał własnego zdania i ochoczo zgadzał się z każdym.

Dwór posiadał też skromne pied - a - terre w Londynie: gmach wielkości Kancelarii Rzeszy, wyposażony w ślicznotki - te jednak szybko się zużywały, więc ciągle wymieniano je na nowe. Ów wspaniały obraz uzupełniali dżokeje w barwie stajni Pyma, zdjęcia „niezwycięzców” Ricka oraz honorowa lista nieupadłych firm należących do imperium Rick T. Pym & Syn. Ich nazwy pamiętam chyba do dziś. Wielokrotnie usiłowałem wyrzucić je z pamięci, ale nadal potrafiłbym wyrecytować ich listę obudzony w środku nocy. Najlepsze z nich wiążą się pośrednio lub bezpośrednio ze zwycięstwem w wojnie, które Rick zaczynał z czasem przypisywać wyłącznie sobie: „Alamein, Ubezpieczenia na Śmierć i Życie”; „Fundusz Rent i Emerytur Wojskowych”; „Dunkierka, Ubezpieczenia Wzajemne”; „Przedsiębiorstwo Ubezpieczeniowe Weteranów Wojennych im. Thomasa Pyma” - wszystkie niby to niezależne, a tak naprawdę należące do wielkiego holdingu Pym & Syn, którego niedociągnięcia prawne w operowaniu wdowim groszem wyszły stopniowo na jaw i znacznie później. Dowiadywałem się, Tom, pytałem prawników,

którzy się na tym znają. Okazuje się, że żeby założyć wszystkie te firmy, wystarczyło wylegitymować się kapitałem zaledwie stu funtów. Wyobraź sobie, nawet mieliśmy literaturę fachową: książki Winfielda o szkodach, MacGillivraya o ubezpieczeniach, Snella o kapitale zakładowym, jeszcze czyjaś o prawie rzymskim. I siwych prawników, starych wyjadaczy, którzy zawsze pierwsi znikali, kiedy robiło się nieprzyjemnie, i zawsze pierwsi wracali z uśmiechem na twarzy, gdy było po wszystkim. I te nocne kluby w okolicach Chester Street, porozmieszczane, jak szpiegowskie punkty kontaktowe, po spokojniejszych zakątkach Mayfair. Albany, Burlington, Regency, Royalty - ich wspaniałe nazwy jeszcze nie oddawały w pełni oczekujących nas tam rozkoszy. Czy dalej funkcjonują? No, na pewno nie na koszt Firmy, co, Jack? Zresztą nawet jeżeli istnieją, to w świecie, gdzie królują przyjemności, a nie obowiązki. Nie przyjmują nielegalnych zakładów, nie ma w nich nielegalnych cioc w sukniach z dekoltem, które mówią, że na pewno złamiesz w przyszłości niejedno serduszko. Ani członków naszej ulubionej trupy komediowej, Crazy Gang, najpierw sterczących smętnie przy barze, a godzinę później rozbawiających nas do łez na scenie. Ani dżokejów uwijających się wokół za wysokiego dla nich stołu bilardowego, grających o setki funtów. Magnus, czemu jeszcze nie w szkole, gdzie te kije, do diabła? Ani pana Cudlove'a w wiśniowej liberii, który siedzi w bentleyu i czyta Kapitał, opierając książkę na kierownicy. Czeka, by zabrać nas na kolejną ważną konferencję z biedakami i biedaczkami oczekującymi naszych światłych rad.

Oprócz klubów były też puby: Beadles w Maidenhead, Sugar Island w Bray, Pod jakimś tam Zegarem, jakąś tam Kozą czy innym Dzwonem, wszystkie ze srebrnymi grillami, srebrnymi pianistami i srebrnymi paniami. W jednym z nich jakiś mały kelner nazwał pana Muspole'a pieprzonym spekulantem - pan Muspole przedtem go obraził - i Pymowi udało się zapobiec bóje umiejętnie opowiedzianym żarcikiem. Nie pamiętam dokładnie, o co poszło, ale pan Muspole pokazał mi kiedyś miedziany kastet, który zabierał ze sobą na wyścigi i który miał również wtedy w pubie. Pamiętam za to, że kelner nazywał się Billy Craft i że zabrał mnie do domu, by przedstawić swej

niedożywionej żonie i dzieciom, gnieźdzącym się wraz z nim w małym mieszkanku na samym końcu Slough, zupełnie jak ta biedna rodzina w Opowieści wigilijnej Dickensa. Pym spędził z nimi niezapomniany wieczór, noc zaś na całkiem wygodnej kanapie, przykryty wełnianymi kocami całej rodziny. A nazwisko kelnera pamiętam dlatego, że na kogo natknąłem się piętnaście lat później na konferencji w Centrali? Na tegoż Billy'ego Crafta, tym razem w charakterze szefa wydziału krajowego.

- Jaki ja wtedy byłem cięty na spekulantów! - powiedział mi, uśmiechając się z zawstydzaniem, gdy już potrząsnął moją dłońią z pięćdziesiąt razy. - Oczywiście, dla pana ojca miałem zawsze wiele szacunku, to był wielki człowiek. - Jak się okazało, nie tylko Pym robił co mógł, by zatrzeć niemiłe wrażenie po zachowaniu pana Muspole'a, Rick wysłał panu Craftowi skrzynkę szampana, a pani Craft tuzin par nylonów.

A z pubów, jeżeli wszystko szło dobrze, rzucaliśmy się o świcie do Covent Garden na smakowite jaja na bekonie, by nie jechać o pustym żołądku sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę do naszych stajni. Tam dżokeje wkładali brązowe czapki i bryczesy, stawali się templariuszami, za których Pym i tak zawsze ich miał, i galopowali na „niezwycięzcach” oszronionymi torami wyścigowymi. I w jego lojalnej wyobraźni unosili się w przestworza, by na nowo wygrać bitwę o Anglię, w której tak wielu zawdzięczało tak wiele tak nielicznym.

Czy w ogóle wtedy sypialiśmy? Pamiętam tylko jeden, jedyny raz: jechaliśmy do Torquay na zasłużony wypoczynek weekendowy w Imperialu, gdzie Rick prowadził nielegalny salon bakarata w apartamencie z widokiem na morze. Musiało to być podczas jednego z kilku okresów nieobecności wśród nas pana Cudlove, bo znaleźliśmy się nagle w samym środku oblanego światłem księżyca pola kukurydzy, które Rick, mocno woniejący po pracy, wziął za pustą drogę. Ojciec i syn wyciągnęli się obok siebie na dachu bentleya i opalali się w świetle księżyca.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Pym. Chodziło mu o to, czy nie mamy znowu kłopotów z płynnością, czy nie czeka nas więzienie.

Rick mocno uściśnął dłoń Pyma.

- Synu, kiedy jesteś przy mnie, kiedy siedzi nad nami wśród

tych gwiazd Pan Bóg i gdy czuję pod sobą bentleya, wszystko jest tak w porządku, że nie może być bardziej.

I mówi poważnie, jak zawsze, że najpiękniejszym dniem jego życia będzie ten, w którym Pym zasiądzie w Old Bailey w pełnym stroju sędziego Sądu Najwyższego i ferować będzie wyroki, tak jak ferowano je na Ricku w czasach, o których nie rozmawialiśmy ze sobą.

- Tato - powiedział Pym. I urwał.

- No co, synu? Nie bój się, staremu możesz powiedzieć wszystko.

- Bo widzisz... No wiesz, jeżeli nie stać cię na opłacenie z góry internatu, to nic takiego. Mogę przecież pójść do zwykłej szkoły. Bylebym gdzieś chodził.

- I tylko o to się martwisz?

- Tak, i naprawdę to nic takiego.

- Czyś ty czasem nie dobierał się do mojej korespondencji?

- Nie, oczywiście że nie.

- A czy czegoś ci brakuje? Czy kiedykolwiek czegoś ci brakowało?

- Nie.

- No widzisz - powiedział Rick i omal nie złamał mu karku w ojcowskim uścisku.

- To skąd on brał pieniądze? - pytam Syda, sam nie wiem już, który raz. - I dlaczego się skończyły?

Jeszcze teraz moja nieuleczalna dociekliwość usiłuje znaleźć jakiś stabilny punkt odniesienia w chaosie tamtych lat, nawet jeżeli miałyby być nim jakaś wielka zbrodnia, która, przynajmniej według Balzaka, leży u podstaw każdej wielkiej fortuny. Ale Syd nigdy nie był bezstronnym kronikarzem; jego zazwyczaj tak bystry wzrok pokrywa się mgłą, ptasią twarzyczkę rozświetla tęskny uśmiech. Pociąga łyk ulubionego trunku. Rick nadal jest dla Syda wielką, meandrującą rzeką, którą każdy z nas zna tylko w tym odcinku, w którym pozwolił nam na to los.

- Największy numer wykręciliśmy z Dobbsiem - wspomina. - Nie mówię, że nie było innych, bo były wspaniałe numery, nieprawdopodobne, fantastyczne. Ale największy był numer z Dobbsiem.

Syd ma duszę hazardzisty albo aktora, który żyje dla

jednego, wielkiego numeru. Syd żył nim zawsze i żyje nim nadal. Ale numer z Dobbsiem, o którym opowiedział mi któregoś wieczoru nad nie wiadomo iloma kieliszkami, rzeczywiście był wielki - nawet jeżeli Syd przemilczał co ciemniejsze wątki tej historii.

Przez jakiś czas, zaczyna swą opowieść Syd, a Meg dokłada nam zapiekanki i poprawia polana w kominku, kiedy szala wojny, oczywiście z bożą pomocą, przechylała się powoli na stronę aliantów, twój tata poszukiwał nowego ujścia dla swoich ogromnych zdolności, których wszyscy jesteśmy świadomi. W roku 1945 stało się jasne, że braki w zaopatrzeniu nie będą trwały wiecznie i zaczyna to być bardzo ryzykowna branża. Gdy nastał pokój, rynek mógł w każdej chwili zostać zalany czekoladą, nylonami, suszonymi owocami i benzyną. Nadchodziła odbudowa - Syd zaczyna mówić zupełnie jak Rick. No a twój tata, człowiek mądry, chciał, jak każdy patriota, mieć w niej swój udział, i słusznie. Sęk w tym, że trzeba było jakoś się podpiąć, bo przecież nawet Rick nie zdziałałby niczego w angielskim handlu nieruchomościami bez pensa kapitału przy duszy. I to podpięcie, opowiada dalej Syd, udało się dzięki komu? Nie domyśliłbyś się - dzięki Florze, siostrze pana Muspole'a. Co ty, Flory nie pamiętasz? Oczywiście że pamiętam. Flora to dobra dziewczyna o posągowym biuście, hojnie nim szafująca, ulubienica wszystkich dżokejów. Syd poprawia mnie: Flora zawsze pozostawała wierna dżentelmenowi nazwiskiem Dobbs, który był urzędnikiem państwowym. No i któregoś wieczoru w Ascot - twój tata wtedy nie było, pojechał na jakąś konferencję - Flora wygadała się, że jej Dobbsie pracuje w Wydziale Architektury Miasta Londyn i że dostał jakąś ważną fuchę. A cóż to za fucha, kochanie - zapytał grzecznie cały dwór. Flora nie bardzo umie powiedzieć, bo ma kłopoty z długimi słowami. W końcu mówi, nie bardzo rozumiejąc: „Wycena szkód”. Jakich szkód, kochanie? - pyta znowu dwór, ale już strzygąc uszami, bo wycenianie szkód nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło. „Szkód wojennych”, odpowiada Flora, ale już pewnie, dumna z siebie, że taka mądra.

- Sprawa była prosta - mówi Syd. - Dobbsie wskakiwał na

rowerek, podjeżdżał pod zbombardowany dom, a potem do telefonu i dzwonił do Whitehall. „Tu Dobbs. Proszę na czwartek dwadzieścia tysięcy funciaków, i bez gadania”. I państwo płaciło bez gadania. A dlaczego? - Syd kłuje mnie palcem wskazującym w kolano. - Bo Dobbs to bezstronny urzędnik państwowy, komuś takiemu się ufa, zapamiętaj to sobie.

Ja sam jak przez mgłę przypominam sobie Dobbsiego, małego, mętnego krętacza, który potrafił upić się dwoma kieliszkami szampana. Pamiętam, że miałem być dla niego miły - ale czy Pym był dla kogoś niemiły? „Synu, jeżeli pan Dobbs poprosi cię o coś, choćby o ten obrazek ze ściany, to masz mu go dać, rozumiesz?”.

Od tego czasu Pym inaczej spoglądał na widoczek statków na czerwonym morzu, ale pan Dobbs jakoś nigdy o niego nie poprosił.

Natychmiast po wyjawieniu przez Florę tej zadziwiającej tajemnicy, ciągnie swą opowieść Syd, sprawy nabierają tempa. Ściągnięto Ricka z konferencji, umówiono spotkanie z Dobbsiem, dokonano zbliżenia stanowisk. Zresztą obaj panowie są liberałami, masonami i synami wielkich ludzi, obaj kibicują Arsenalowi, podziwiają Joe Louisa, uważają, że Noel Coward to ciota, i wierzą w tę piękną wizję, że ludzie obojga płci i wszystkich kolorów skóry dążą ramię w ramię do wspólnego nieba, które, bądźmy szczerzy, jest przecież wystarczająco duże, by pomieścić wszystkich niezależnie od rasy czy wyznania - jedna z ulubionych mów Ricka, zawsze się przy niej rozczulał do łez. Dobbs został honorowym członkiem dworu, przed którym po paru dniach zaprezentował swego ukochanego kolegę, pana Foxa, równie jak on sam pracującego dla dobra ludzkości. Praca ta polegała na wyszukiwaniu terenów pod budowę naszego wspólnego, powojennego szczęścia. Tak to mnożą się, spotykają i łączą fale konspiracji.

Kolejną cegielkę dokłada Perce Loft. Podczas służbowego pobytu w Midlands Perce usłyszał głosy o jakimś małym aktywnym towarzystwie dobroczynności, które ma kurę znoszącą złote jajka, więc bada sprawę. Okazuje się, że prezes towarzystwa, niejaki Higgs - dziwnym zrządzeniem opatrności nazwiska głównych spiskowców są jednosylabowe - to gorliwy

baptysta. Czyli tak jak Rick, który nigdy nie byłby tym, kim był, gdyby nie przynależność do tego Kościoła. Kura znosząca złote jajka to rodzinny fundusz powierniczy, którym zawiaduje wiejski adwokat nazwiskiem Crabbe, ale wzięto go do wojska, zostawiając fundusz na łasce losu. Higgs, jako baptysta, nie może tknąć pieniędzy bez pośrednictwa Crabbe'a. Rick załatwia więc zwolnienie pana mecenasa z wojska, przewozi go bentleyem na Chester Street, by zaznajomił się z jego, Ricka, osiągnięciami, z jego książkami prawniczymi i jego ślicznotkami. Potem obaj dżentelmeni wędrują do Albany pogawędzić trochę i rozerwać się trochę.

Crabbe okazuje się kłótliwym idiotą, który pijąc, wysuwa do przodu łokieć, prosi pana, kręci węża, by okazać, jaki z niego żołnierz, i już po pierwszym kieliszku pyta się wszystkich śmierdzących cywili naokoło, co też robili, kiedy on nadstawiał karku wśród kul i granatów. Ale wystarczy jeszcze parę kieliszków Pod Kozą, by oświadczył, że Rick to taki facet, pod którym chciałby służyć, a jakby było trzeba, to i życie oddać za niego, co zresztą parę razy się zdarzyło, ale o tym ani mru mru. I nawet zaczyna mówić do Ricka per panie pułkowniku. Tym ostatnim przyczynia się zresztą do nowego epizodu w biografii wielkiego człowieka, bo Rickowi tak spodobała się ta szarża, że postanowił ją sobie nadać, podobnie jak nieco później doszedł do przekonania, że został potajemnie uszlachcony przez księcia Edynburga - dla tych, których dopuścił do sekretu, miał specjalne wizytówki.

Ale żaden z nowych obowiązków nie przystopował ani na chwilę oszałałego tempa Ricka. Co noc i co weekend przez dom w Ascot przewijają się tłumy ludzi wielkich, pięknych i łatwowiernych, ponieważ Rick oprócz głupców i koni zaczął też kolekcjonować sławy. Czołowi krykieści, dżokeje, piłkarze, modni adwokaci, skorumpowani parlamentarzyści, utalentowani podsekretarze stanu z zaprzyjaźnionych ministerstw, greccy armatorzy, fryzjerzy, maharadźowie incognito, pijani sędziowie, sprzedajni burmistrzowie, udzielni książęta krajów, które przestały istnieć, biskupi w zamiszowych butach i z pectoralami, komicy radiowi, piosenkarki, arystokratyczni wałkonie, powojenni milionerzy, gwiazdy filmowe - wszyscy pojawiają się

na naszej scenie, by korzystać, choć najczęściej bezwiednie, z wielkiej wizji Ricka. Lubieżni dyrektorzy banków i prezesi spółdzielni mieszkaniowych, którzy w życiu nie tańczyli, u nas zrzucają marynarki, płaczą nad jałowością swego dotychczasowego życia i czczą Ricka, swego pana i władcę. Ich żony otrzymują nieosiągalne w oficjalnym handlu nylony, perfumy, kartki na benzynę, dyskretne przerwania ciąży, futra, a te, do których szczęście szczególnie się uśmiechnęło - samego Ricka, który przecież nikomu nie odmówi, każdego pocieszy, każdego oczaruje. Jeżeli mają jakieś oszczędności, Rick im je podwoi. Jeżeli lubią pograć, Rick da im lepsze kursy niż bukmacherzy - ty mi gotówkę, ja nie dam cię skrzywdzić. Ich dzieci bawią się z Pymem, są zwalniane z wojska za wstawiennictwem tego czy innego starego kumpla, dostają złote zegarki, bilety na finał pucharu, szczenięta po seterach Ricka, a gdy chorują, posyła się do nich najlepszych lekarzy. Był czas, gdy taka hojność przerażała Pyma i wywoływała u niego niejaką zazdrość, ale dziś wiem, że był to zwyczajny system przywilejów pracowniczych.

A wśród tego tłumu przesuwają się niczym koty spokojni dworzanie Ricka, panowie od pana Muspole'a, w marynarkach z szerokimi ramionami i w brązowych kapelusikach z okrągłym denkiem i podwiniętym rondem. Przedstawiają się jako konsultanci i wiecznie gdzieś telefonują, choć nigdy nie mówią do słuchawki ani słowa. Kim byli, skąd się brali, gdzie znikali - po dziś dzień wie to tylko sam diabeł i duch Ricka. Syd nabiera wody w usta, zresztą ja chyba i tak domyślam się, jaka była ich rola; byli halabardnikami z tragikomedii Ricka, to trzęsący portkami i cali w sztucznych uśmiechach, to znów rozstawieni po scenie jak szekspirowscy wartownicy, błyskający w mroku białkami oczu, czekający tylko, by wypruć z niego flaki.

Wśród tej menażerii znów dostrzegam Pyma przemykającego między nogami gości - choć jest już wyższy od połowy obecnych. Pym, usłużny pikolak, paż, kandydat na sędziego Sądu Najwyższego, przycina cygara, dolewa do kieliszków. Pym, chluba swego ojca, dyplomata w zarodku, gotowy na każde wezwanie: „Ej, Magnus, chodź no! To co ci zrobili w tej twojej nowej szkole? Wykapali cię w gnojówce?”. „Ej,

Magnus, chodź no! Gadaj, u kogo się strzyżesz?". „Ej, Magnus, chodź no! Opowiedz nam ten kawał o taksówkarzu z żoną w ciąży!". Więc Pym - najlepszy causeur swej wagi i kategorii wiekowej w Ascot - robi, co mu każą, uśmiecha się, ustępuje z drogi, a dla wytchnienia uczęszcza na wieczorowe zajęcia z radykalizmu społecznego u Olliego i pana Cudlove'a w ich domku. Dwaj przyjaciele gorąco zgadzają się przy kradzionych tartinkach i kakao, że wszyscy ludzie są braćmi, ale osobiście nie mamy nic przeciwko twojemu tacie. I choć polityka w swej istocie jest dla mnie teraz czymś równie pozbawionym znaczenia, jak wtedy wydawała się Pymowi, miło wspominać nasze proste, ludzkie rozmowy, w czasie których obiecywaliśmy sobie nawzajem wykorzenie zła panoszące się na świecie, i nasze szczerze życzenia pokoju w duchu Soso Stalina, który, co tu owijać w bawełnę, sam wygrał całą wojnę z tymi kapitalistycznymi świniami.

Powróciły wyjazdy dworu do wód, bo przecież ludziom ciężko pracującym należy się odpoczynek. St. Moritz niestety zniknęło z mapy z powodu nieudanej próby przejścia przez Ricka całego kurortu, co miało zastąpić płacenie tam rachunków, ale w ramach odszkodowania - słowo to bardzo szybko zrobiło na dworze zawrotną karierę - Rick i jego doradcy ukochali południe Francji. Do legendy przeszły ich rajdy na Monte na pokładzie Train Bleu, kiedy to spędzano całą podróż na biesiadach w mosiężno - aksamitnym wagonie restauracyjnym, z przerwami na wręczanie napiwków temu żabojadowi za kółkiem, czyli maszyniście, prawdziwemu liberałowi. Na miejscu pędziło się do kasyna z nielegalnie przemyconą walutą w kieszeni. Tam, stojąc u boku Ricka w grande salle, Pym może przyglądać się, jak roczne chesne za jego szkołę znika bezpowrotnie w ciągu kilku sekund. Jeżeli woli bar, może wymieniać poglądy z majorem de Wildmanem z Bóg wie czyjej armii, który przedstawia się jako giermek króla Faruka i utrzymuje, jak twierdzi, stałą łączność telefoniczną z Kairem, by móc dyktować monarsze wygrywające numery i przyjmować za niego zakłady, czynione po konsultacjach z jasnowidzami pomagającymi królowi trwonić bogactwa Egiptu. Śródziemnomorskie poranki też nie są nudne, bo idzie się wtedy

do całodobowego lombardu na nabrzeżu, gdzie platynowy zegarek Ricka, jego złota papierośnica, złota łyżeczka koktajlowa oraz złote spinki z emblematem stajni poświęcane są na ołtarzu płynności finansowej. Popołudnie z kolei to czas na tir aux pigeons: dobrze naponczowany przy lunchu dwór leży na brzuskach, czekając na nieszczęsne gołębie, które za chwilę wyfruną ze swych dziur i wzbiją się w lazurowe niebo, nim opadną w morze pierzastym korkociągiem. A potem powrót do domu, do Londynu, rachunki z głowy (czyli podpisane, niepopłacone), konsjerże i kelnerzy obdarowani - hojnie - resztkami gotowizny; powrót do pracy, do wielkich spraw imperium Pym & Syn.

Bo w pracy nie można ustawać, bo za dużo to wciąż nie dość, jak przyznaje sam Syd. Żadne dochody nie są na tyle święte, by nie mogły ich przeważać wydatki, i żadne wydatki nie są tak święte, by nie można było zaciągać nowych pożyczek na przetrwanie. Jeżeli nawet boom w budownictwie mieszkaniowym powstrzymała na chwilę nieprzyjemna ustawa, major Maxwell Cavendish już przychodzi z planem, który doskonale przemawia do sportowej duszy Ricka: wykupić wszystkie konie startujące w Wielkiej Irlandzkiej, bo w ten sposób automatycznie zgarnie się nagrody za pierwsze, drugie i trzecie miejsce. Pan Muspole z kolei zna wydawcę marnie sprzedającego się pisemka, który na dodatek wpadł w złe towarzystwo i musi szybko gazetę sprzedać - Rick zawsze widział się w roli ośrodka opiniotwórczego. Wielki prawnik Perce Loft chce kupić tysiąc domów w Fulham - Rick zna spółkę budowlaną, której prezes ma Wiarę. Pan Cudlove i Ollie przyjaźnią się z młodym projektantem mody, który zdobył koncesję na przejażdżki na osiołku podczas nadchodzącego festiwalu brytyjskiego - Rick uwielbia robić przyjemność angielskim dzieciakom, bo jak mi Bóg miły, synu, nikt sobie na to bardziej nie zasłużył. Siostrzeniec Morriego Washingtona zaprojektował ambitny samochód; jako dodatek do zimowych zakładów piłkarskich rozważa się wprowadzenie nowych zakładów krykieta; Perce wymyślił, że można by wynająć wioskę w Irlandii do hodowli ludzkich włosów na peruki, bo branża perukarska rozwija się dynamicznie dzięki nowo wprowadzonej

w Anglii państwowej służbie zdrowia. Automatyczne obieraczkę do pomarańczy, pióra wieczne, które piszą też pod wodą, puste łuski po pociskach z chwilowo przerwanych wojen - każdy z tych pomysłów jest dokładnie rozważany przez wielkiego myśliciela, przyciąga ekspertów i alchemików, i wkrótce na honorowej tablicy imperium Pym & Syn w domu przy Chester Street pojawia się nowa nazwa.

No ale co się w końcu stało? - pytam znów Syda, wybiegając myślą do nieuchronnego końca. Jaki wybryk losu, Syd, stanął na drodze wielkiego człowieka? Moje pytanie wywołuje rzadki u Syda wybuch gniewu. Syd odstawia szklankę.

- Bo wiesz co? Wszystko przez tego Dobbsiego. Nagle Flora przestała mu wystarczać, musiał mieć wszystkie. No i porobiło mu się w głowie od tych wszystkich bab, no nie, Meg?

- Dobbsie przeholował z przyjemnościami - mówi Meg, surowy sędzia ludzkich przywar.

Okazało się, że biednemu Dobbsiemu rzeczywiście „tak porobiło się w głowie”, że przyznał sto tysięcy funtów odszkodowania na osiedle, które wybudowano rok po ostatnim bombardowaniu.

- I przez niego wszystko diabli wzięli - mówi pełen moralnego oburzenia Syd. - Dobbsie był samolubem. Paskudnym monocentrykiem.

Opowieść o krótkim, acz chwalebny szczyt kariery Ricka byłaby niepełna bez drobnego dodatku. Otóż w październiku roku 1947 sprzedał on swą głowę. Dowiedziałem się o tym dopiero, stojąc na schodach krematorium, kiedy usiłowałem umiejscowić jakoś nieznanymi mi żałobników. Jeden z nich, zadyszany młodzieniec podający się za przedstawiciela jakiejś kliniki anatomicznej, pomachał mi przed nosem zabazgraną kartką i zażądał wstrzymania uroczystości. Napis na kartce brzmiał: „Ja, Richard T. Pym, zam. przy Chester Street, w zamian za kwotę 50 (pięćdziesięciu) funtów w gotówce, wyrażam zgodę na wykorzystanie po mojej śmierci mojej głowy dla rozwoju nauk medycznych”. Padał drobny deszczyk. Ukrywszy się przed nim w bramie przybytku, wypisałem chłopakowi czek na sto funtów i kazałem mu kupić głowę od kogoś innego. Myślę, że Rickowi spodobałaby się ta lewa

transakcja.

A wśród całego tego zgiełku gdzieś w uchu Pyma ciągle brzęczy cicho nazwisko Wentworth, powtarzające się jak pseudonim znany tylko nielicznym: Wentworth. Outsider Pym nie należy do tych uprzywilejowanych, a okropnie chce wiedzieć. Trochę jak w barze dla wyższych oficerów w centrali Pym, nowy pracownik, nie wie, czy udawać, że wie, czy że nie słyszy: „Znowu Wentworth”, „Pamiętasz Wentwortha?” „Co z Wentworthem?”. Z czasem nazwisko to staje się dla Pyma drażniącym symbolem własnej niewiedzy, wyzwaniem. „Będzie jak z Wentworthem”, mruczy któregoś wieczoru Perce Loft. „Ta Wentworthowa to istna tygryś”, mówi kiedy indziej Syd, „jeszcze gorsza niż ten jej dureń mąż”. Po każdej takiej wzmiance Pym nasilał śledztwo, ale nie znajdował odpowiedzi ani w kieszeniach Ricka, ani w szufladach jego biurka, ani w szafce nocnej, ani w oprawionym w świńską skórę notesie, ani w plastikowym kalendarzyku, ani nawet w jego aktówce, którą przeszukiwał co tydzień, otwierając ją kluczykiem podebrany z Rickowego breloczka na klucze od Aspreya. Odpowiedzi nie udzieliła też zielona szafka na dokumenty, która jak arka przymierza stanowiła punkt odniesienia wędrowniej Wiary Ricka. Nie pasował do niej żaden klucz, żaden wytrych, nie dawała się też otworzyć żadnym innym, bardziej brutalnym narzędziem.

I wreszcie zaczęła się szkoła. Czek został wysłany, a nawet potwierdzony. Pociąg ruszył. W oknie pan Cudlove oraz mamy innych chłopaków zanurzyli twarze w chustki do nosa, po czym zniknęli. W przedziale Pyma więksi od niego szlochali i żuli mankiety nowych szarych marynarek, ale sam Pym obrzucił jednym spojrzeniem swoje dawne życie, popatrzył w przyszłość, na wijącą się przed nim w jesiennej mgle żelazną drogę pracy i obowiązku, i pomyślał: to ja, stawiam się na zew, nikomu nie dam się prześcignąć w wierności, weźcie mnie. Pociąg przyjechał na miejsce, szkoła okazała się średniowieczną twierdzą tonącą w wiecznym mroku, ale święty Pym, patron uczynnych i odpowiedzialnych, już uwijał się wśród kolegów, pomagając im dźwigać kufry i walizy po krętych schodach, zapinać skomplikowane zapinki przy kołnierzach, znaleźć przypisane im łóżka, szafki i wieszaki, sobie zostawiając

najgorsze. A gdy przyszła na niego kolej, by udać się na zapoznawczą pogawędkę do dyrektora szkoły, nie krył swojej satysfakcji. Pan Willow był brzydkim drągałem w tweedach i krawacie krykiecisty, a chrześcijańska asceza jego gabinetu napełniła Pyma przyzwyczajonego do przepychu Ascot wiarą w uczciwość pana dyrektora.

- No proszę, a cóż to takiego? - zapytał jowialnie pan Willow, unosząc wręczoną mu paczuszkę i potrząsając nią na próbę.

- To Chanel, proszę pana. Pan Willow nie rozumiał.

- Szyneł? W takim małym pudełku? Co ty mówisz, chłopcze? - pytał wciąż jeszcze uśmiechnięty pan Willow.

- To perfumy dla pańskiej małżonki, sir. Najlepsze, jakie robią żabojady - dodał, cytując majora Maxwella Cavendisha, prawdziwego dżentelmena.

Pan Willow miał bardzo szerokie bary i przez chwilę Pym widział tylko to. Dyrektor pochylił się, rozległ się odgłos odsuwanej, a potem zasuwanej szuflady, paczuszka zniknęła w czeluściach biurka. Trudno sobie wyobrazić, by mógł potraktować dar Pyma z większym obrzydzeniem.

- Lepiej uważaj na Willowa - ostrzegł go zaraz Sefton Boyd.

- Bije w piątki, żeby się człowiek zdążył wykurować przez weekend.

Ale Pyma to nie zrażało; starał się, obrywał, zgłaszał na ochotnika do wszystkiego i przybiegał na każdy wzywający go dzwonek. I tak semestr za semestrem. I przez całe życie. Biegał przed śniadaniem, modlił się przed biegiem, brał prysznic przed modlitwą, wypróżniał się przed prysznicem. Padał na polu bitewnym boiska do rugby, pędził po kamiennych posadzkach w poszukiwaniu tego, co nazywano tu wiedzą, tak zapamiętałe ćwiczył musztrę, by zostać dobrym żołnierzem, że uszkodził sobie obojczyk o wielki karabin Lee Enfield, i dawał się zbić na kwaśne jabłko na ringu. I mimo wszystko dzielnie uśmiechał się i ścisnął dłoń zwycięzcy, i kuśtykał do szatni. Podobałby ci się, Jack; powiedziałbyś, że dzieci i zwierzęta trzeba tresować, że to szkoła prywatna wyprowadziła mnie na ludzi.

Ja wiem, że na nic mnie nie wyprowadziła, że o mało mnie nie zabiła. Ale Pym był innego zdania - Pym uważał, że jest wspaniale, i jeszcze było mu mało. A gdy wymagały tego

sztynne reguły doraźnej sprawiedliwości - teraz mi się wydaje, że co wieczór - wciskał swą obwisłą grzywkę do brudnej umywalki, jedną i drugą dłonią kurczowo trzymając się kurków, i odbierał karę za grzechy, o których popełnienie nie podejrzewał się aż do chwili, gdy zostały mu dosadnie wyjaśnione po każdym uderzeniu wymierzonym przez pana Willowa lub któregoś z jego przedstawicieli. Ale gdy wreszcie leżał w drżącej ciemności wspólnej sypialni, nasłuchując skrzypnięć i stęknięć dojrzewających ciał, wciąż potrafił wytłumaczyć sobie, że tak właśnie zostaje się następcą tronu, i że tak właśnie, jak Jezus, cierpi się za bóstwo swego ojca. I wciąż rozwijał szczerość i swą miłość do bliźniego.

Potrafił, na przykład, tak spędzić całe popołudnie: najpierw przesiadywał z Noakesem, opiekunem szkolnego boiska, w jego domku obok wytwórni jabłeczniaka, posilając się ciastem i doprowadzając starego sportowca do tego wzruszenia zmyślnymi opowieściami o zabawach wielkich zawodników na przyjęciach w rodzinnym domu w Ascot. W żadnej z nich nie było, oczywiście, ani krztyny prawdy, ale Pym sam święcie w nie wierzył, gdy odmalowywał te barwne obrazy przed zachwyconymi oczyma Noakesa.

- Jak to? Don? - wołał ten z niedowierzaniem. - Sam Don Bradman tańczył na stole kuchennym? U ciebie w domu, Pymciu? Opowiadaj, opowiadaj!

- Tańczył i śpiewał „Kiedy miałem pięć lat” - mówił Pym. I zostawiając rozpromienionego tymi plotkami Noakesa, szedł prosto do pana Giovera, wymoczkowatego nauczyciela rysunków, chodzącego przez okrągły rok w sandałach, pomagać mu myć palety i czyścić genitalia marmurowych aniołków w auli z codziennie pojawiających się na nich maźnięć farbą. Pan Glover był całkowitym przeciwieństwem Noakesa; można powiedzieć, że obaj panowie byliby nie do pogodzenia, gdyby nie Pym. Pan Glover uważał, że wychowanie fizyczne w szkole to przejaw gorszej niż hitlerowska tyranii.

- Naprawdę bym chciał, żeby utopili w rzece te swoje cholerne buty piłkarskie, żeby zaorali boiska i zaczęli choć trochę poważniej traktować sztukę i piękno.

Pym wyrażał podobną nadzieję i przysięgał, że jego ojciec

przyśle taką dotację, że starczy na dwa razy taki budynek na zajęcia plastyczne - pewnie parę milionów, ale to tajemnica.

- Na twoim miejscu nie gadałbym tyle o twoim ojcu - powiedział raz Sefton Boyd. - Tutaj nie lubią spekulantów.

- Za rozwiedzionymi mamami też nie przepadają - odciął się wtedy Pym, ale najczęściej stosował strategię pojednawczo - uspokajającą. Wtedy łatwiej mu było nad wszystkim panować.

Kolejną zdobyczą Pyma był Bellog, pan od niemieckiego, który sprawiał wrażenie, jakby grzechy jego przybranej ojczyzny odcisnęły na nim fizyczne piętno. Pym zdręczał go prośbami o dodatkowe zadania, kupił mu drogi niemiecki kufel do piwa na kredyt Ricka u Goode'a, wyprowadzał mu psa na spacer i zaprosił do Monte Carlo na darmowe wakacje - to ostatnie na szczęście nieskutecznie. Jeszcze dziś czerwienię się na wspomnienie tak jawnego lizusostwa i zdręzczam się myślą, czy Bellog obraził się, czy rozzłościł. Ale po Pymie takie rzeczy spływały. Pym kochał wszystkich razem i każdego z osobna. Od śmierci Lippsie brakowało mu niemieckiej duszy, poszukiwał jej uparcie. Pragnął się jej oddać całym sercem, więc oddał się całym sercem w zdumione ręce pana Belloga, chociaż Niemcy tak naprawdę nic dla niego nie znaczyły - może tylko to, że były okazją ucieczki w krainę, w której ktoś doceni jego zdolności. Odczuwał potrzebę odizolowania się na chwilę od swej angielskości, też przecież ukochanej, i zaistnienia jakby na nowo. Czasem posuwał się do tego, że zaczynał mówić z lekkim niemieckim akcentem, co doprowadzało Sefton Boyda do szewskiej pasji.

A kobiety? Jack, wiesz dobrze, że nikt tak jak Pym nie potrafił docenić zalet dobrze prowadzonej agentki, tylko że w szkole było ich jak na lekarstwo, a wszelkie kontakty cielesne, w tym również z samym sobą, były karane chłostą. Pani Willow, pierwszy obiekt westchnień Pyma, żyła jakby w niekończącym się błogosławionym stanie i Pym na próżno posyłał jej powłóczyście spojrzenia. Pani higienistka była nawet niczego sobie, ale gdy kiedyś złożył jej nocną wizytę pod pretekstem bólu głowy, w nadziei że uda mu się jej oświadczyć, skrzyczała go i kazała wracać do łóżka. Trochę lepiej zapowiadała się z początku panna Hodges, nauczycielka gry na skrzypcach: Pym

ofiarował jej teczkę na nuty ze świńskiej skóry od Harrodsa i powiedział, że chce zostać zawodowym muzykiem, ale ona rozpląkała się i poradziła, by wybrał sobie inny instrument.

- Moja siostra chciałaby to z tobą zrobić - oznajmił któregoś nocy Sefton Boyd, gdy leżeli razem w łóżku Pyma, obejmując się bez szczególnego entuzjazmu. - Przeczytała twój wiersz w szkolnym szmatławcu i teraz jej się wydaje, że jesteś Keats.

Pym to nawet szczególnie nie zdziwiło. Wiedział doskonale, że jego wiersz to arcydzieło. Poza tym Jemima Sefton Boyd kilkakrotnie pokazała mu język przez przednią szybę landrovera Sefton Boydów, gdy przyjeżdżali zabrać jej brata na weekendy.

- Ależ się do tego rwie - tłumaczył Sefton Boyd. - Z każdym to robi. Nimfomanka.

Pym natychmiast napisał do niej list godny poety.

W Twoich puszystych włosach musi czaić się upojna baśń. Czy zdaje Ci się czasem, że piękno może być grzechem? W fosie opactwa osiedliły się dwa łabędzie. Często im się przyglądam i marzę o Twoich włosach. Kocham Cię.

Odpisała, choć Pym zdążył przeżyć katusze z powodu wyrzutów sumienia, że był taki śmiały.

Dziękuję Ci za list. Dwudziestego piątego jade na weekend do domu i ty też. To chyba znak. Mama zaprosi Cię do nas na niedzielę i załatwi, żebyś mugł u nas nocować. Myślałeś, żeby mnie porwać?

Drugi list był bardziej rzeczowy:

Shody dla służby są całkiem bezpieczne. Rozniece ogień i przyszykuje wino, bo może będziesz chciał pić. Przywieź wszystko, nad czym teraz pracujesz ale najpierw mnie popieść. Na dźwiach powieszę rozetkę, którą wygrałam w wakacje za skoki na Smokey.

Pym był przerażony. Jakże mu mierzyć się z tak doświadczoną kobietą? Wiedział o piersiach i miał dla nich pełne uwielbienie, tylko że Jemima piersi akurat chyba nie miała. Jej cała reszta jawiła mu się jako nieprzebyte gąszcz niebezpieczeństw i chorób, a w dodatku wspomnienie kąpiącej się Lippsie zdążyło już zatrzeć się w jego pamięci.

Wreszcie nadszedł liścik:

Byłoby nam bardzo miło gościć Cię u nas w Hatwell w

weekend dwudziestego piątego. Osobno piszę do pana Willowa. Nie przejmuj się ubraniem, w lecie obywamy się bez strojów.

Elizabeth Sefton Boyd

Na wzgórzu za domem pana Willowa stała szkoła żeńska, zamieszkała przez brązowo odziane westalki. Chłopców, których przyłapano podczas prób przedostania się na zakazany teren, bito i wyrzucano ze szkoły. Elphick z Nelson House twierdził jednak, że jeżeli stanie się pod kładką, po której dziewczyny chodzą na boisko do hokeja, można się wiele nauczyć. Niestety! Gdy Pym poszedł za jego radą, zobaczył tylko parę zmarzniętych kolan bardzo podobnych do własnych, a co gorsza musiał znieść grubiańskie żarty ich pani od gimnastyki, która przechyliła się przez poręcz i namawiała, by z nimi zagrał. Pym z niesmakiem wrócił do swych niemieckich poetów.

Bibliotekę w miasteczku prowadził stary utopijny socjalista, jeden z agentów Pyma. Pym któregoś dnia opuścił lunch i bez przeszkód buszował po dziale „Tylko dla dorosłych”. Poradnik dla małżeństw okazał się książką o pożyczkach hipotecznych. Lepiej zapowiadała się Chińska sztuka kochania, ale to dzieło z kolei rozwodziło się głównie nad grą w rzutki i skaczącymi białymi tygrysami. Za to bogato ilustrowany Amor i kobieta w sztuce rokoko to było coś, i Pym przyjechał do Hatwell, spodziewając się widoku nagich gracji baraszkujących w parku ze swymi kawalerami. Przy kolacji, którą ku jego uldze jedzono jednak w strojach, Jemima całkowicie ignorowała Pyma, skrywając twarz w gęstwinie włosów i czytając przy jedzeniu Jane Austen. Solidaryzowała się z nią jej ukochana przyjaciółka, nieatrakcyjna Belinda, bo też nie odezwała się ani słowem.

- Jemima zawsze taka jest, jak ma chcieć - powiedział Sefton Boyd tak, by usłyszała to sama zainteresowana. Usiłowała mu przyłożyć w ucho, potem odeszła w złości.

Wysłany do łóżka Pym wspinał się po wielkich schodach. Dwanaście zegarów biło mu podzwonne. Czy Rick mało razy ostrzegał go przed kobietami, które pragną tylko jego pieniędzy? Jak bardzo tęsknił za swym bezpiecznym łóżkiem w szkole! Przemknął przez podest i zobaczył na drzwiach czerwoną rozetkę błyszczącą krwawo w półmroku. Wspiął się na

jeszcze jedno piętro i zobaczył groźną minę Belindy, która wychylała się zza drzwi pokoju.

- Chcesz, możesz wejść tu - rzuciła opryskliwie.

- Nie, nie, dziękuję - powiedział Pym i uciekł do siebie.

Na poduszce znalazł osiem napisanych przez siebie listów miłosnych i cztery wiersze do Jemimy, przewiązane wstążką i woniejące płynem do czyszczenia siodeł.

Odsyłam Ci listy, które uwarzam za obraźliwe, bo już nie pasujemy do siebie. Nie mam pojęcia, co Cie skłoniło, żeby nosić taką przyznaną grzywkę jak chłopak na posyłki, ale od tej chwili proszę mnie traktować jak osobę obco.

Przytłoczony upokorzeniem i rozpaczą Pym pospiesznie wrócił do szkoły i jeszcze tego samego wieczoru napisał do wszystkich cioc, i tych aktywnych, i tych w stanie spoczynku, do których miał adresy.

Najdroższa Topsy, Cherry, kochana pani Ogilie, Mabel, kochana Violet, biją mnie tu bez litości za to, że piszę wiersze. Jestem bardzo nieszczęśliwy. Błagam, zabierzcie mnie stąd, bo tu jest okropnie.

Gdy jednak prawie wszystkie odpowiedziały na jego wołanie o pomoc, przeraził się ich miłości do siebie i pozbył się listów od nich niemal bez czytania. A gdy najlepsza z nich rzuciła wszystko i wydała Bóg wie ile na podróż, by zabrać go do gospody Pod Piórem na zestaw mięs z grilla, Pym powitał ją chłodno grzecznym tonem: „Tak, dziękuję, szkoła jest fajna, wszystko w porządku. A co u pani?”. Potem odprowadził ją na stację o godzinę za wcześnie, żeby nie sprawiać zawodu kolegom, z którymi miał kopać piłkę.

Droga Belindo - pisał ten list pochyłym pismem jak prawdziwy poeta - dziękuję za list, w którym tłumaczysz mi, że Jemima jest niezrównoważona psychicznie. Wiem dobrze, że dziewczęta w tym wieku bywają bardzo wrażliwe i że zmagają się z wieloma zmianami, więc naprawdę nie mam do niej żalu. Nasza drużyna zdobyła ostatnio mistrzostwo szkoły, co było tu sporą sensacją. Często myślę o Twych pięknych oczach.

Magnus

Drogi Ojciec - pisał szorstko, po męsku, stylem, który podpatrzył u Sefton Boyda - uczestniczę tu w licznych

rozrywkach, bo jest tu to dobrze widziane przez kolegów. Wszyscy są mi bardzo wdzięczni, tylko że okropna drożyzna, więc mam nadzieję, że prześlesz mi jeszcze pięć funtów.

Ku jego zdumieniu Rick nie dość, że nic mu nie przysłał, ale jeszcze pojawił się osobiście, przywożąc nie pieniądze, ale miłość, czyli dokładnie to, czego pragnął Pym.

Były to pierwsze odwiedziny Ricka. Do tej pory Pym nie pozwalał mu przyjeżdżać, tłumacząc, że chwalenie się rodzicami, którzy coś osiągnęli, nie należy w szkole do dobrego smaku. Rick z niezwykłą u niego potulnością szanował wolę syna, a teraz równie potulnie pojawił się, schludny, pełen miłości i tajemniczo skromny. Nie pojawił się zresztą w szkole, tylko wysłał odręczny list, proponujący spotkanie w nadmorskim Farleigh Abbot. Gdy Pym pojawił się na miejscu zgodnie z instrukcją, spodziewając się zobaczyć Bentleya i pół dworu, zza rogu wyjechał sam Rick, również na rowerze, z cudownym, widocznym z daleka uśmiechem i z fałszywie śpiewanym Tango milonga. W bagażniku rowerowym wioził dary: butelkę oranżady dla Pyma, szampana dla siebie oraz futbolówkę pozostałą jeszcze z czasów rajy. Jeździli rowerami po plaży, puszczały kaczkę, wylegiwali się na wydmach, przeżuując chrupkie pieczywo z pasztetem z gęsiich wątróbek. Wałęsali się po miasteczku i dyskutowali, czy warto byłoby je kupić. Obejrzeliby kościół i obiecali sobie nawzajem nie zapominać o wiecznym pacierzu. Z połamanej bramy zrobili bramkę i kopali do siebie piłkę przez cały świat. Ucałowali się, popłakali, uściskali i zaprzysięgli dożgonną przyjaźń, i że zawsze będą odbywać wspólne rowerowe przejażdżki - nawet gdy Pym będzie już sędzią Sądu Najwyższego i będzie miał wnuki.

- To pan Cudlove odszedł z pracy? - zapytał Pym.

Rickowi jeszcze udało się dosłyszeć, choć jego twarz przybierała już ten senny wyraz, jak zawsze, gdy ktoś zadawał mu pytanie wprost.

- No cóż, synu - wyznał. - Staremu Cuddiemu różnie szło przez te parę lat i teraz uznał, że musi chwilę odpocząć.

- A basen gotowy?

- Prawie. Prawie. Cierpliwości.

- Fajnie.

- Powiedz no, synu - rzekł Rick z najbardziej godną ze wszystkich swoich min. - Nie masz przypadkiem jakiegoś kolesia, który znalazłby dla ciebie wolny kąt na już prawie nadchodzące wakacje?

- O, niejednego. - Pym silił się na beztroski ton.

- Może lepiej przyjmij zaproszenie, bo wiesz, w Ascot robimy teraz remont i boję się, że nie wypocząłbyś tak, jak sobie na to zasłużyłeś.

Pym natychmiast odpowiedział, że oczywiście, i był dla Ricka jeszcze bardziej uprzedzająco grzeczny, by ten nie domyślił się, że Pym domyśla się, że coś jest nie w porządku.

- Poza tym zakochałem się naprawdę w fajnej dziewczynie - powiedział Pym tuż przed rozstaniem, by jeszcze raz przekonać Ricka, że jego syn ma szczęśliwe życie. - Jest całkiem zabawnie. Pisujemy do siebie co parę dni.

- Synu, nie ma na świecie nic cenniejszego niż miłość dobrej kobiety. A jeżeli ktokolwiek sobie na to zasłużył, to właśnie ty.

- Powiedz mi, chłopcze - zagadnął któregoś wieczoru pan Willow podczas indywidualnej rozmowy na naukach do bierzmowania. - Czym tak dokładnie zajmuje się twój ojciec?

Pym wyczuwał instynktownie, jak najlepiej trafić do serca Willowa, i odpowiedział, że jest, no, jak to powiedzieć, no chyba niezależnym biznesmenem, proszę pana, dokładnie to nie wiem.

Willow zmienił temat, ale przy kolejnym spotkaniu poprosił Pyma, by ten opowiedział mu coś o matce. Pym już miał powiedzieć, że zmarła na syfilis, które to schorzenie figurowało wśród podstawowych tematów wykładów pana Willowa o „Przekazywaniu życia”, ale ugryzł się w język.

- Tak jakoś zniknęła, kiedy byłem mały, proszę pana - wyznał, bardziej zbliżając się do prawdy, niż zamierzał.

- Z kim? - zapytał Willow.

Pym sam nie wiedział, dlaczego odparł:

- Z jakimś sierżantem, proszę pana. Tylko że on już był żonaty, więc uciekli razem aż do Afryki.

- I co, chłopcze, pisuje czasem do ciebie?

- Nie, proszę pana.

- Dlaczego nie?

- Chyba się wstydzi, proszę pana.
- Przysłała ci pieniądze?
- Nie, proszę pana, bo nie ma ani pensa. Bo on wszystko jej zabrał.

- Kto? Ten sierżant, tak? - Tak.

Pan Willow zastanawiał się przez chwilę.

- A czy wiadomo ci coś o działalności Funduszu Stypendialnego im. Muspole'a?

- Nie, proszę pana.

- Bo zdaje się, że jesteś jego prezesem.

- Nic o tym nie wiem, proszę pana.

- Więc pewnie też nie wiesz, dlaczego akurat ta instytucja płaci za ciebie chesne? Czy raczej, nie płaci?

- Nie wiem, proszę pana.

Pan Willow wysunął do przodu dolną szczękę i przymrużył oczy, co było zawsze oznaką zaostrenia przesłuchania.

- A czy twoim zdaniem twój ojciec żyje w luksusie, przynajmniej w porównaniu z rodzicami twoich kolegów?

- Chyba tak, proszę pana.

- Chyba?

- Tak, proszę pana, żyje w luksusie.

- Czy tobie się to podoba?

- No, nie bardzo.

- A czy wiesz, że któregoś dnia być może przyjdzie ci wybrać między Bogiem a mamoną?

- Wiem.

- Rozmawiałeś już o tym z ojcem Murgo?

- Nie, proszę pana.

- To porozmawiaj.

- Dobrze, proszę pana.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, że może masz powołanie?

- Często, proszę pana - odpowiedział Pym, przybierając uduchowioną minę.

- Widzisz, Pym, mamy tu w szkole stypendium dla chłopców z ubogich rodzin, którzy pragną zostać duchownymi. Nasz kwesor wspomniał mi ostatnio, że chyba mógłbyś się o nie starać.

- Tak, proszę pana.

Ojciec Murgo był bożym szaleńcem o przerośniętych zębach, który pełnił rolę, jakoś zresztą nieliczącą z jego proletariackim pochodzeniem, wędrownego łowcy talentów do służby bożej wśród uczniów szkół prywatnych. O ile Willow był gniewny i nieprzystępny, trochę jak Makepeace Watermaster, tylko bez wstydlivej tajemnicy, o tyle Murgo wiercił się wewnątrz własnego habitu jak kot zamknięty w worku. O ile nieustraszonego wzroku Willowa nie mąciła choćby odrobina wiedzy, o tyle w oczach ojca Murgo czaiła się samotna udręka celi.

- To wariat - orzekł Sefton Boyd. - Widziałeś, jakie ma strupy na kostkach? Ta świnia ciągle je rozdrapuje, jak się modli.

- On się tak umartwia - powiedział Pym.

- Magnus? - Ojciec Murgo powtórzył imię Pyma ze swym ostrym, północnym akcentem. - A któż to tak cię nazwał? Pan Bóg jest Magnus, ty jesteś Parvus. - Jego szybki, czerwony uśmiech wyglądał jak niegojąca się rana. - Przyjdź dziś wieczorem - polecił. - Wejście Allenby, pokój gościnny dla nauczycieli. Tylko zapakuj.

- Ty baranie, przecież on będzie cię macał! - krzyczał Sefton Boyd, sam chory z zazdrości.

Ale ojciec Murgo, zgodnie zresztą z oczekiwaniami Pyma, w ogóle nikogo nie dotykał, wręcz przeciwnie - jego dłonie wyglądały, jakby krępowały je niewidzialne pęta w szerokich rękawach habitu, skąd wynurzały się tylko na posiłki i modlitwy. Reszta semestru letniego upłynęła Pymowi w poczuciu niczym nieskrępowanej i niespodziewanej swobody. Jeszcze tydzień wcześniej Willow zarzekał się, że każe wychłostać każdego, kto powie, że krykiet to tylko zabawa; teraz Pymowi wystarczyło napomknąć, że umówił się na przechadzkę z ojcem Murgo, by natychmiast zwalniano go z każdego treningu. Dziwnym trafem jakoś zapominano o jego nieoddanych wypracowaniach, zawieszano wykonanie obiecanych już kar chłosty. Podczas spacerów do utraty tchu, przejazdów rowerowych, w wiejskich herbaciarniach i w żalnym pokoiku ojca Murgo, gdzie zaszywał się wieczorami, Pym ochoczo przedstawiał coraz to nowe wersje swej biografii równie jak on sam zafascynowanemu i wstrząśniętemu duchownemu. Mówił o zatwardziałym

materializmie domu rodzinnego, o własnych poszukiwaniach wiary i miłości, o walce z demonami samogwałtu i kusicielami pokroju Kennetha Sefton Boyda, o swym braterskim przywiązaniu do Belindy.

- A co w wakacje? - zapytał któregoś wieczoru ojciec Murgo, gdy zbiegali ścieżką, mijając tulące się do siebie zakochane parki. - Pewnie wesoło jest, co? Życie na wysokiej stopie?

- Wakacje są zawsze takie jałowe - odpowiedział lojalnie Pym. - Wakacje Belindy też. Jej ojciec jest maklerem giełdowym. Na to tylko czekał Murgo.

- Jałowe? Jak pustynia? No dobrze. Niech będzie. Parvus, Pan Jezus też przebywał na pustyni, i to cholernie długo, wiesz? Tak samo święty Antoni. Dwadzieścia lat służył w małym, paskudnym forcie nad Nilem. Może zapomniałeś?

- Wcale nie.

- No widzisz. Ale Pan Jezus mimo to rozmawiał z Bogiem, a Bóg z nim. Antoni nie miał tego co ty: pieniędzy, bogactw, pięknych aut, nie kolegował się z córkami maklerów. Antoni się modlił.

- Wiem - odpowiedział Pym.

- Jedź ze mną do klasztoru w Lyme. Bądź jak Antoni.

- Kurde, coś ty zrobił z grzywką?! - wrzasnął na niego tego samego wieczoru Sefton Boyd.

- Ściąłem ją.

Sefton Boyd przestał się śmiać.

- Będzie z ciebie drugi Murgo - powiedział cicho. - Zakochałeś się w nim, ty kopnięta cioto!

Ale dni Sefton Boyda były policzone. Działając na podstawie otrzymanych informacji - do dziś czerwienię się na myśl o ich pochodzeniu - pan Willow doszedł do wniosku, że Kenneth jest za stary, by uczyć się w tym zakładzie.

Mam więc teraz dla ciebie jeszcze jednego Pyma, Jack, i myślę, że powinienesz wciągnąć go do swojej kartoteki, choć ani ci się nie spodoba, ani pewnie go nie zrozumiesz - za to Stokrotka zna go na wylot od pierwszego dnia. Ten Pym nie spocznie, póki nie dogrzebie się w każdym miłości, a potem nie spocznie, póki nie wyrwie się z niej na zewnątrz, choćby z flakami. Niczego nie robi cynicznie, bez przekonania.

Uruchamia ciągi wydarzeń, by stać się ich ofiarą, i nazywa to zdecydowaniem, wstępuje w bezcelowe związki i nazywa to wiernością. A potem czeka, by kolejne wydarzenie wyciągnęło go ze skutków poprzedniego, i to nazywa przeznaczeniem. Ten Pym odrzuca zaproszenie na dwutygodniowy wyjazd do Szkocji z Sefton Boydami, w tym też z Jemimą, ponieważ już wcześniej obiecał gonić po wzgórzach Dorset w ślad za udręczonym gorliwcem z Manchesteru, przygotowując się do życia, którego nie miał najmniejszego zamiaru prowadzić, w towarzystwie ludzi, którzy są mu całkowicie obojętni. Pisze codziennie do Belindy, bo Jemima ośmieliła się wątpić w heroiczność jego cnót. Ten Pym jest jak sztukmistrz z sobotniej rewii, który obraca na patyku coraz to nowym talerzem - bo nie chce nikomu sprawić zawodu. W efekcie o mało nie dusi się kadzidłem, śpi w celi, w której śmierdzi mokrym psem, i o mało nie umiera po zupie z pokrzyw, byle tylko stać się prawdziwie świętobliwym, opłacić czesne i zdobyć uwielbienie ojca Murgo. W tym samym czasie do starych obietnic dorzuca nowe, i przeświadczony, że odnalazł właściwą drogę, jeszcze głębiej zapada się we własne gówno. Po tygodniu umówiony jest już równocześnie na obóz dla chłopców w Hereford, ekumeniczne rekolekcje w Shropshire, pielgrzymkę ludzi pracy w Wakefield i tydzień skupienia w Derby. Po dwóch tygodniach nie ma już chyba w Anglii hrabstwa, gdzie Jego Świątobliwość nie obiecałby się pojawić - choć nie przeczę, że od czasu do czasu miewał wizję siebie jako wymizerowanego apostoła wstrzemięźliwości, nawracającego piękne kobiety i milionerów na chrześcijańskie ubóstwo.

Dobry Bóg odczekał cały miesiąc, nim znalazł dla niego oczekiwaną drogę ucieczki.

PROSZĘ NATYCHMIAST STAWIĆ SIĘ NA CHESTER STREET W SPRAWIE WAGI PAŃSTWOWEJ I MIĘDZYPANSTWOWEJ RICHARD T. PYM DYREKTOR GENERALNY PYMCORP

- Musisz jechać - rzekł ojciec Murgo, choć łzy żalu płynęły mu po wychudłych policzkach, gdy wręczał mu po tercji ten nieszczęsny telegram.

- Chyba nie mam dość siły - odparł równie wzruszony Pym. -

Wiecznie tylko te pieniądze i pieniądze.

Minęli szkolną drukarnię, warsztat wikliniarski i przez warzywnik dotarli do małej furtki, która do tej pory chroniła ich przed światem Ricka.

- Nie wysłałeś tego sam do siebie, co, Parvus? - zapytał Murgo.

Pym przysiągł na wszystkie świętości - zgodnie z prawdą - że nie.

- Sam nie wiesz, jaka w tobie drzemie siła - powiedział Murgo. - Ja już chyba nigdy nie będę taki sam.

Aż do tej chwili Pymowi nawet przez myśl by nie przeszło, że Murgo w ogóle mógłby się zmienić.

- No cóż - westchnął Murgo i po raz ostatni skurczył się smutno.

- Do widzenia - powiedział Pym. - I Bóg zapłać.

Ale obaj pocieszają się myślą, że Pym obiecał wrócić na Boże Narodzenie, by razem z ojcem Murgo pomagać bezdomnym.

Istne szaleństwo, Tom. Szalone czyny, szalone miłości. I jeszcze jedno szaleństwo: mniej więcej w tym okresie napisałem też do Dorothy. Na adres sir Makepeace'a Watermastera w Izbie Gmin, choć dobrze wiedziałem, że umarł. Czekałem tydzień, potem zapomniałem, aż pewnego dnia, niczym grom z jasnego nieba, przyszedł mały postrzępiony list, skropiony łzami lub alkoholem, napisany na wyrwanej z notesu kartce w linię, bez adresu, tylko ze stemplem pocztowym ze wschodnich przedmieść Londynu, gdzie nigdy nie byłem. List ten leży teraz przede mną.

Twój głos, kochanie, dotarł do mnie z dawnych lat, schowałam go sobie w kredensie z serwisem, żeby móc go czytać do woli. W czwartek o piętnastej będę na dworcu Euston, peron w kierunku od centrum. Przyjdę bez Herbiego, będę miała bukiet z kwiatków lawendy, które tak lubieś.

Od razu żałując swej decyzji, Pym przybył na dworzec spóźniony i ukrył się za żelazną kolumną i stertą worków pocztowych. Wokół kręcił się tłum cioc, jedne niezłe, inne nie, ale nie miał ochoty na żadną, zresztą niektóre były pijane. Jedna z nich trzymała nawet jakby bukietik zawinięty w gazetę,

ale wtedy Pym uznał, że musiał pomylić perony. Bo przecież umówił się ze swą kochaną Dorothy, a nie z jakąś starą flądą w komicznym kapeluszu.

Wieczór w powszedni dzień, Tom. Ruch uliczny na Chester Street burczy i trzeszczy na deszczu, ale wewnątrz Kancelarii Rzeszy jest cicho jak w kościele podczas podniesienia. Pym, który jeszcze nie otrząsnął się z klasztornej pobożności, przyciska taster dzwonka, ale nie słyszy gongu, który zwykle się rozlegał. Korzysta więc z mosiężnej kołatki. Teraz rozchyła się na chwilę koronkowa firanka w okienku. Drzwi otwierają się, ale wcale nie szeroko.

- Cunningham jestem, paniczu - mówi silnym cudzoziemskim akcentem, choć mającym udawać cockney, zwalisty mężczyzna i szybko zamyka za Pymem drzwi, jakby się bał, że wpuści do środka zarazki. - A że cunning to sprytny, a ham szynka, jestem Sprytna Szynka. Czyli to jest nasz panicz? Witam panicza. Salaam.

- Jak się pan miewa? - wita się grzecznie Pym.

- Miewam dużo optymizmu, paniczu, dziękuję bardzo - odpowiada pan Cunningham ze środkowoeuropejską dosłownością. - Wydaje mi się, że jesteśmy na dobrej drodze do osiągnięcia porozumienia. Z początku można spodziewać się pewnych oporów, ale już chyba widzę światło w tunelu.

Pym na razie niczego nie widzi, bo korytarz, którym z taką pewnością siebie prowadzi go pan Cunningham, tonie w egipskich ciemnościach. Jedynym źródłem światła są białe plamy na ścianach po książkach prawniczych, których już nie ma.

- Słyszałem, że panicz uczył się niemieckiego - mówi nieco niewyraźnie pan Cunningham, jakby dokuczały mu polipy w gardle. - Piękny język. Czy ludzie, nie wiem. Ale język piękny, może mi pan wierzyć.

- Czemu idziemy po schodach? - pyta Pym, który zdążył już dostrzec kilka znanych śladów dokonanego pogromu.

- Coś nie tak z windą, paniczu - odpowiada pan Cunningham. - Zdaje się, że monter już jedzie.

- Ale gabinet Ricka jest na parterze.

- Za to na górze jest spokojniej, paniczu - wyjaśnia pan

Cunningham i otwiera podwójne drzwi. Wchodzą do splądrowanych apartamentów królewskich, oświetlonych blaskiem ulicznych latarni. - Pański syn, prosto z modłów, proszę pana - zapowiada pan Cunningham i kłania się Pymowi, przepuszczając go do środka.

Z początku Pym widzi tylko lśniące od płomienia świecy czoło Ricka. Wokół czoła formuje się powoli reszta potężnej głowy, a potem całe masywne ciało, które teraz zbliża się szybko, by objąć go wilgotno - gorącym uściskiem.

- Jak się masz, stary? - pyta szybko. - Jak ci się jechało pociągiem?

- Bardzo dobrze - odpowiada Pym, który podróżował autostopem z powodu przejściowych kłopotów z płynnością finansową.

- Dali ci coś zjeść? Co ci dali?

- Kanapkę i szklankę piwa - mówi Pym, który musiał zadowolić się twardym jak kamień chlebem z refektarza ojca Murgo.

- Zupełnie jak mój mały, żebyś skonał! - woła z przekonaniem pan Cunningham. - Póki nie zje, ani przystąpi!

- Synu, uważaj z piciem - mówi Rick niemal odruchowo, po czym chwytając go pod ramię i prowadzi po gołym parkiecie ku wielkiemu łóżu. - Dostaniesz pięć tysięcy funtów gotówką, jeżeli nie będziesz palił i pił, zanim skończysz dwadzieścia jeden lat. No dobrze, kochanie, więc co sądzisz o moim chłopaku?

Z łóżka unosi się jak zjawa ciemno ubrana postać.

To Dorothy, myśli Pym. To Lippsie. To mama Jemimy, pewnie przyszła się poskarżyć. Ale gdy robi się jaśniej, kandydat na mnicha zauważa, że stojąca przed nim postać nie ma na sobie ani chustki Lippsie, ani kapelusza Dorothy, ani nie emanuje z niej monarszy autorytet lady Sefton Boyd. Jak Lippsie, nosi starożytny strój z przedwojennej Europy, ale na tym kończy się wszelkie podobieństwo. Szeroka spódnica ma marszczoną talię, bluzka - kołnierz z falbankami, a mały kapelusik sprawia, że całość robi bardzo zawadiackie wrażenie. Z kolei biust jej jest niczym żywcem wyjęty z Amora i kobiety w sztuce rokoka i szczególnie korzystnie prezentuje się w półmroku.

- Synu, chcę ci przedstawić szlachetną i bohaterską damę, która zaznała w życiu wielkich sukcesów i nieszczęść, która walczyła dzielnie i wiele wycierpiała od okrutnego losu. I która uczyniła mi najwyższy zaszczyt, jaki kobieta może uczynić mężczyźnie, zwracając się do mnie o pomoc w trudnej chwili.

- Rotschild jestem, kochany - mówi cicho dama i podnosi miękką dłoń na taką wysokość, by Pym albo ją ucałował, albo uściśnął.

- Czy w tej twojej świetnej szkole słyszałeś o tym nazwisku? O baronie Rotschildzie? Lordzie Rotschildzie? Hrabim Rotschildzie? O banku Rotschildów? A może mi powiesz, że nigdy nie słyszałeś nazwiska pewnej rodziny żydowskiej, która ma w zasięgu ręki wszystkie skarby króla Salomona? No, co o nim myślisz, Eleno?

- Przepiękny, kochany - mówi baronowa.

On mnie jej sprzedaje, myśli sobie Pym i wcale nie jest od tego. Ricka musiało nieźle przycisnąć, tylko ja mu zostałem.

Tak jest, Tom. Skończyło się. Zostało tylko szaleństwo. Twój ojciec i dziadek siedzą dupa w dupę z żydowską baronową w częściowo ogołoconym z mebli i wyglądającym jak dekoracja filmowa pałacu na West Endzie, bez prądu, a pan Cunningham, co powoli zaczyna do mnie docierać, stoi na straży przy wejściu. Panuje atmosfera dziecinnej konspiracji, porównywalna jedynie z późniejszą dziecinną konspiracją, z którą miałem do czynienia w Firmie. Aksamitny głos baronowej cierpliwie wygłasza monolog emigranta, którego i ja, i wujek Jack nasłuchaliśmy się potem tyle razy - tylko że tego wieczoru Pym jest w tych sprawach prawiczkim, a udo baronowej przyjemnie przyciska się do uda kandydata na mnicha.

- Ja jestem uboga wdowa z prostej, ale pobożnej rodziny, szczęśliwie, choć, ach, na krótko, żona świętej pamięci barona Luigiego Svoboda - Rotschilda, ostatniego z czeskiej linii. Ja miała siedemnaście, on dwadzieścia jeden lat, co za rozkosz. Najbardziej mnie martwi, że ja mu dziecka nie dała. Mieszkaliśmy w Pałacu Nimf w Brnie, co ci Niemcy, a potem Rosjanie z nim zrobili! Moja kuzynka, Anna, to ona teraz jest żona dyrektora kopalni diamentów De Beers w Kapsztadzie, domów ma więcej, niż wy możecie wyobrazić, za dużo luksusu,

ja nie lubię. - Pym też „nie lubi”, co daje do zrozumienia mniszkowatym uśmiechem współczucia. - Z wujem Wolframem ja nie rozmawiała, chwala Bogu, bo kolaborował. Nasi potem powiesili go za nogi. - Pym porusza szczęką na znak ponurej aprobaty. - A wuj Dawid dał arrasy do Prado, teraz on biedny jak kułak, to czemu muzeum mu nie dać, żeby miał za co jeść? - Pym kręci głową nad hiszpańską nikczemnością. - A ciocia Waldorf... - urywa. Pym zastanawia się, czy to, co się dzieje z jego ciałem, jest dla niej widoczne w ciemności.

- Co za draństwo! - woła Rick, podczas gdy baronowa usiłuje się uspokoić. - Na Boga, synu, czy wiesz, że ci bolszewicy mogliby już jutro wprowadzić się do Ascot bez pytania i wszystko zabrać? No, opowiadaj dalej, moja droga. Synu, poproś, żeby opowiadała. Możesz jej mówić po imieniu, ona to lubi. Wcale nie jest snobką, jest jedną z nas.

- Weiter, bitte - mówi więc Pym.

- Weiter - powtarza z aprobatą baronowa i dotyka oczu chusteczką Ricka. - Jawohl, kochany. Sehr gut!

- No, co za akcent! - woła od drzwi pan Cunningham. - Jak nie Anglik, słowo daję, jak mój mały!

- Co ona mówi, synu?

- Że może mówić dalej - odpowiada Pym. - Że da radę.

- Bo to najlepsza kobieta pod słońcem. Zobacysz, postawię ją na nogi.

Pym też ją postawi. A przynajmniej z nią się ożeni. Na razie jednak, ku swej wielkiej irytacji, musi wysłuchiwać peanów na cześć świętej pamięci męża, barona. Mój Luigi był nie tylko właścicielem pięknego pałacu, ale też geniuszem finansowym i aż do wybuchu wojny prezesem Domu Handlowego Rotschildów w Pradze.

- Bo ci byli najbogatsi ze wszystkich - mówi Rick. - Prawda, synu? Uczyłeś się historii, to wiesz.

- Sami nie wiedzieli, ile mają - dopowiada od drzwi pan Cunningham z dumą impresaria. - No nie, Elena? Zapytaj ją, nie wstydź się.

- Takie koncerty my urządzali, kochany - zwierza się Pymowi baronowa. - Księżciowie ze wszystkich krajów. Dom z marmuru, lustra, kultura. Jak tu - dodaje uprzejmie, wskazując

bezcenny portret olejny, przedstawiający księcia Magnusa na padoku, wykonany na podstawie zdjęcia. - Ale wszystko przepadło.

- No, nie wszystko - mówi pod nosem Rick.

- Jak Niemcy przyszli, Luigi nie uciekał. On wyszedł do tych hitlerów z pistoletem i ja już go nigdy nie widziałam.

Następuje kolejna nieunikniona pauza, w trakcie której baronowa pozwala sobie na maleńki łyżeczek koniaku z jednej z rzędu karafek stojących na podłodze. Opowieść, ku wściekłości Pyma, przejmują Rick, po pierwsze dlatego, że Rickowi już znudziło się słuchać, ale przede wszystkim dlatego, że zaraz zostanie ujawniona pewna tajemnica. Według etykiety dworskiej ujawnianie tajemnic to wyłączny przywilej Ricka.

- Synu, baron był dobrym człowiekiem i dobrym mężem, i zrobił to, co zrobiłby każdy dobry mąż. Możesz mi wierzyć, gdyby twoja matka mogła to docenić, ja sam zrobiłbym dla niej to samo choćby dziś...

- Wiem, tato - mówi Pym.

- Baron zabrał z pałacu największe skarby, włożył je do skrzyni, a skrzynię przekazał swoim i żony dobrym znajomym z poleceniem, że gdy Anglia wygra wojnę, skrzynia wraz z całą zawartością ma wrócić do jego tu obecnej pięknej młodej żony, niezależnie od tego, jak bardzo ta zawartość zyskała na cenie.

Baronowa zna zawartość na pamięć i znów wybiera na słuchacza Pyma, uznając za konieczne chwycić go delikatną dłonią za przegub.

- Jedna Biblia Gutenberga, dobry stan, kochany, jeden Renoir, wczesny, dwa da Vinci, takie bardziej medyczne. Jedno pierwsze wydanie kaprysów Goi, podpis artysty, trzysta najlepsze amerykańskie złote dolary, parę rysunków Rubensa.

- Cunningham mówi, że to bomba - dodaje Rick, skoro baronowa najwyraźniej skończyła.

- Taka jak w Hiroszynie - uzupełnia od drzwi pan Cunningham.

Pym zdobywa się na leciutki uśmiech, którym chce dać do zrozumienia, że prawdziwa sztuka nie ma ceny. Baronowa dostrzeżęła to i rozumie.

Minęła godzina. Baronowa i jej anioł stróż już sobie poszli, w wielkim nieoświetlonym pokoju zostali już tylko ojciec i syn. kuch za oknem zmniejszył się. Siedzą ramię w ramię na łożu i jedzą rybę i frytki, po które poszedł Pym, otrzymawszy na nie cenny banknot jednofuntowy z tylnej kieszeni Ricka. Posiłek popijają butelką Chateau d'Yquem ze skrzynki od Harrodsa.

- Ciągłe tam są, synu? - pyta Rick. - Widzieli cię? Te typy w rileyu? Tacy duzi?

- Niestety są - odpowiada Pym.

- Wierzysz jej, prawda, synu? Nie bój się, że się obrażę. Wierzysz, że to porządna kobieta, czy uważasz, że to oszustka i do tego awanturnica?

- Jest fantastyczna - mówi Pym.

- Bo mam wrażenie, że nie jesteś do końca przekonany. No, mów wprost, synu. Bo co tu kryć, ona jest naszą ostatnią szansą.

- Tylko że nie wiem, czemu nie poszła z tym do swoich.

- Widzisz, ty nie znasz się na Żydach tak jak ja. Niektórzy z nich to najlepsi ludzie na świecie, a niektórzy zaraz obdarliby ją ze skóry. Sam ją o to pytałem, nie myśl, że owijałem w bawełnę.

- A ten Cunningham? - pyta Pym, z trudem skrywając obrzydzenie.

- E, Cunnie jest pierwsza klasa. Jak z tym załatwimy, wciągnę go w moje interesy. Szczególnie te eksportowe, za granicą. To dopiero będzie! Samo jego poczucie humoru jest dla nas warte pięć tysięcy rocznie. Dziś nie jest w formie, bo był trochę spięty.

- To co robimy? - pyta Pym.

- Przede wszystkim wierzymy w twojego starego. „Rickie”, powiedziała mi, bo tak mnie nazywa, bezpośrednio z niej kobieta, „Rickie, odbierzesz za mnie skrzynię, sprzedasz to, co jest w środku, pieniądze zainwestujesz w jedno ze swych przedsięwzięć i będziesz mi płacił do końca życia dziesięć procent, bo nie chcę mieć tego na głowie, oczywiście ze wszystkimi klauzulami na wypadek, gdybyś ty umarł pierwszy. Ale chcę, żebyś to ty obracał tymi pieniędzmi, bo ty już będziesz wiedział, jak najlepiej ich użyć dla dobra ludzkości”. To wielka odpowiedzialność, synu. Sam bym pojechał, gdybym miał

paszport. Albo posłałbym Syda, gdyby tu był. Syd by pojechał. Krowy, świnie - jak to się skończy, tym się będę zajmował. Kupię sobie kawałek ziemi, mam dość.

- A co się stało z twoim paszportem? - zapytał Pym.

- Synu, będę z tobą szczerzy, bo taki mam zwyczaj. Ta twoja szkoła to twardzi ludzie. Chcą, żeby im płacić gotówką, co do dnia, nie ma zmiłuj. Najważniejsze, że mówisz po niemiecku, czyli jej językiem. I że ona cię lubi. I ufa ci. No i jesteś moim synem. Posłałbym Muspole'a, ale nie wiem, czyby wrócił. Perce Loft to zbyt legalista, tylko by ją wystraszył. A teraz skocz no do okna, zobacz, czy ten Riley jeszcze tam stoi. Tylko nie wystawiaj twarzy do światła. Do środka nie wejdą, bo nie mają nakazu. Jestem uczciwym obywatelem.

Częściowo zasłonięty zieloną szafką na dokumenty, Pym zezuje w dół, na ulicę - jedno z pierwszych zadań kontrwywiadowczych. Riley ciągle stoi przy krawężniku.

Na łóżku nie ma ani koca, ani kołdry, więc przykrywają się zasłonami i pokrowcami na meble. Pym wciąż się budzi, marznie, w kółko śni mu się baronowa. Raz spada na niego gwałtownie wyciągnięta ręka Ricka, raz budzi go zduszony głos Ricka, rzucający inwektywy pod adresem dziwki o imieniu Peggy. Gdzieś nad ranem czuje, że miękkie, kobiece ciało Ricka w jedwabnej koszuli i slipach napiera na niego całym ciężarem, uznaje więc, że lepiej już spać na podłodze. Rano Rick nadal nie chce pokazywać się na zewnątrz, więc Pym idzie sam na dworzec Victoria, trzymając w ręku wspaniałą walizę z białej cielęcej skóry z inicjałami Ricka wygrawerowanymi od spodu rączki. W środku ma swój niewielki majątek ruchomy, na sobie zaś za duży Rickowy płaszcz z wielbłądziej wełny, jeden z wielu. Na peronie czeka na niego baronowa, w dziennym świetle wygląda jeszcze apetyczniej. Pan Cunningham też przyszedł, by pomachać im na pożegnanie. W toalecie pociągu Pym otwiera kopertę, którą wręczył mu Rick. Znajduje w niej plik białych banknotów dziesięciofuntowych i pierwsze w życiu instrukcje na tajne spotkania.

Udasz się do Berna i wynajmiesz Pokój w Hotelu Grand Palace. Zastępca kierownika, pan Berti, jest pierwsza klasa, Rachunkiem się nie przejmuj. Z Baronową skontaktuje się

Signor Lapadi. On zawiezie was nad Granicę Austriacką. Kiedy Lapadi przekaże Ci Skrzynię a Ty Potwierdzisz mi pisemnie w naszym Języku, że wszystko jest na miejscu, wynagrodź mu trudy Załączoną Sumą, ale nie wcześniej. W tym nasza Nadzieja, synu. Pieniądze, które wiesz, zostały bardzo ciężko zarobione, ale gdy się uda, skończą się wszystkie Troski.

Nie będę się rozwodził nad operacyjnymi szczegółami akcji Rothschild, Jack - nad chwilami nadziei i chwilami zwątpienia, i nagłych przeskoków od jednego do drugiego. Szczerze mówiąc, nie pamiętam już, które ciemne uliczki i które pseudonimy sprawiły, że cała sprawa skończyła się jakoś tak nijako - dokładnie tak jak wiele późniejszych misji. I nie pamiętam, o ile w ogóle kiedykolwiek wiedziałem, ile było w Pymie sceptycyzmu, a ile ślepej wiary, gdy wypełniał swą misję aż do nieuchronnego i z góry określonego końca. No i oczywiście mogę wymienić wiele misji, które miały podobne szanse powodzenia, a kosztowały znacznie, znacznie więcej. Signor Lapadi rozmawiał wyłącznie z baronową, ta zaś z pogardą przekazywała jego słowa.

- Lapadi mówił ze swoim Vertrauensmann, kochany. - Uśmiecha się wyrozumiale, gdy Pym pyta, co to jest Vertrauensmann. - Vertrauensmann to ktoś, komu ufamy. Wczoraj nie, jutro nie, ale teraz tak, do końca.

- Lapadi potrzebuje sto funtów, kochany. - To już w parę dni później. - Vertrauensmann zna kogoś, a tego kogoś siostra zna szefa celników. Ty lepiej zapłać, to on będzie dla nas dobry.

Pym, pamiętając instrukcje Ricka, lekko się opiera, ale baronowa wyciągnęła już ku niemu dłoń i tak prześlicznie pociera palcem wskazującym o kciuk.

- Nie posmarujesz, nie pojedziesz, kochany - tłumaczy i ku zaskoczeniu Pyma zakasuje suknię i wpycha banknoty za podwiązkę. - A jutro kupimy ci piękne ubranie.

- Dałeś jej pieniądze, synu?! - ryczy tegoż wieczoru Rick przez kanał La Manche. - Na miłość boską, co ci do głowy strzeliło? Dawaj tu zaraz Elenę!

- Ty na mnie nie krzycz, kochany - mówi spokojnie do słuchawki baronowa. - Twój syn śliczny chłopak, Rickie. I bardzo surowy dla mnie. On kiedyś będzie świetny aktor.

- Baronowa bardzo cię chwali, synu. Mówisz z nią tylko po naszymu?

- Cały czas - odpowiada Pym.

- A porządny, angielski zestaw mięs z grilla już jadłeś?

- Jeszcze nie.

- To dziś sobie zjedz. Ja stawiam.

- Dziękuję, tato. Zjem.

- Szczęść Boże, synu.

- Szczęść Boże - mówi grzecznie Pym i gdy odkłada słuchawkę, staje na baczność, jak dobrze wyszkolony lokaj.

Znacznie ważniejsze od całej tej afery są moje wspomnienia z pierwszego - choćby i platonicznego - miodowego miesiąca Pyma z doświadczoną kobietą. Pym wędrował z Eleną u boku przez berneńską starówkę, pił le petit vin blanc du Valais, przyglądał się thés dansants w wielkich hotelach i odsyłał własną przeszłość w mroki historii. W wyperfumowanych i wyfalbankowanych butikach, które Elena odnajdowała niemal instynktownie, stopniowo wymieniali jej sfatygowaną garderobę na pelisy i buty do konnej jazdy à la Anna Karenina, w których potem ślizgała się na oblodzonym bruku, a ponury szkolny mundur Pyma - na skórzane kurtki i spodnie bez guzików, za to na szelki. Baronowa domagała się rad Pyma nawet w negliżu, pozwalając mu, niby to niechcący, cieszyć oko smakowitymi elementami jej rokokowych kształtów, gdy tak przymierzała jedną za drugą sukienki i spódnice: a to pierś, a to nieostrożnie odsłonięty zarys pośladka, a to wreszcie zadziwiający cień pomiędzy jej krągłymi udami. To Lippsie, myślał podekscytowany, taka byłaby Lippsie, gdyby tyle nie myślała o śmierci.

- Gefall' ich dir, kochany?

- Du gefällst mir sehr.

- Ty któregoś dnia będziesz miał ładną dziewczynę, tak ty jej to powiedz, to ona oszaleje. A w tej nie będzie na mnie za bardzo jak dla dziwki?

- Wcale nie. Bardzo ci w tym do twarzy.

- No to my kupimy dwie. Drugą dla siostry mojej, Zsa - zsy, ona taka sama duża jak ja.

Ruch białych ramion, poprawiony od niechcenia rąbek

bielizny, rachunek gotowy, Pym podpisuje go i każe wysłać opatrnościowemu panu Bertlowi; ale Pym musi odwrócić się tyłem do baronowej, by nie dostrzegła aż nazbyt widocznej oznaki jego podniecenia. U jubilera na Herrengasse nabyli jeszcze naszyjnik z pereł dla innej siostry, tym razem z Budapesztu, i już prawie przy wyjściu pierścionek z topazem dla zamieszkałej w Paryżu matki Eleny, którą zamierzała zabrać ze sobą w drodze powrotnej. I dziś nadal widzę ów pierścień, jak połyskuje na jej świeżo wymanikiowanym palcu, którym wodzi za pstrągiem w akwarium naszej hotelowej restauracji - główny kelner już czai się z siatką.

- Nein, nein, kochany, nicht ten, tamten! Ja, ja, prima.

Przy jednej z takich kolacji, zresztą, jak się później okazało, ostatniej, Pym był już tak zakochany i tak poruszony, że uznał, iż musi zwierzyć się baronowej ze swego zamiaru obrania życia zakonnego. Baronowa aż rzuciła sztucami o talerz.

- Ty mnie więcej o zakonie nie mów! - zawołała z gniewem. - Już ja widziałam zakonników, i w Chorwacji, i w Serbii, i w Rosji. Ten Pan Bóg to chyba nie wiedział, co robi, jak wymyślił mnichów.

- No, jeszcze nie jestem do końca zdecydowany.

Potem musiał wiele nudać głosów, wiele nazmyślać pikantnych szczegółów, nim w jej brązowych oczach na nowo i ostrożnie zapalił się dawny ogień.

- I ona miała na imię Lippsie?

- No, tak ją nazywaliśmy. Nie mogę ci powiedzieć, jak się nazywała naprawdę.

- I ona spała z takim małym chłopcem jak ty? Ona się z tobą kochała, jak ty byłeś taki młody? To ja myślę, że ona była dziwka.

- A może była tylko bardzo samotna - powiedział mądrze Pym.

Ale nadal wydawała się zamyślona. Kiedy Pym jak zwykle odprowadził ją do pokoju, najpierw obrzuciła go badawczym spojrzeniem, a potem ujęła jego głowę w dłonie i pocałowała w usta. Nagle jej wargi rozwarły się, więc Pyma też. Pocałunek stał się namiętny; Pym poczuł, że o jego udo ociera się jakiś nieznanzy dotąd, pagórkowaty kształt. Poczul bijące od niego

ciepło, Elena napierała teraz bardziej rytmicznie, posłyszał szelest miękkich włosów o jedwab. Szepnęła: Schatz, potem pisnęła, zaczął się zastanawiać, czy jej coś nie zabolalo. Przekręciła głowę, jej szyja przycisnęła się do jego ust. Pełnymi oddania palcami wsunęła mu do ręki klucz do swego pokoju i odwróciła wzrok, gdy otwierał drzwi. Znalazł dziurkę od klucza, przekręcił klucz i nacisnął klamkę. Wręczył jej klucz z powrotem i w tej samej chwili zobaczył, że ogień w jej oczach znów gaśnie.

- No, kochany - powiedziała. Ucałowała go w policzki, jeszcze raz popatrzyła na niego, jakby szukając czegoś. Dopiero następnego ranka zorientował się, że było to pożegnanie.

Kochany - napisała mu. - Ty jesteś dobry mężczyzna i masz ciało jak Michał Anioł, ale twój Papa ma dużo kłopotów. Ty lepiej zostań w Bernie. Nie martw się. E. Weber zawsze Twoja.

W kopercie były też złote spinki, które kupiliśmy dla jej kuzyna Wiktora z Oksfordu, i dwieście z pięciuset funtów, które Pym dał jej dla niewidzialnego pana Lapadi. Spinki te mam teraz na sobie. Są złote, na środku każdej tkwi maleńki diament. Baronowa miała królewskie upodobania.

U panny Dubber też było już rano. Przez zasunięte story Pym słyszał furgonetkę objeżdżającego miasteczko mleczarza. Z piórem w dłoni przyciągnął do siebie różową teczkę z napisem „RTP”, polizał kciuk i palec wskazujący, i zaczął metodycznie przeglądać zawartość. W końcu wyciągnął kilka kartek.

Kopia listu Richarda T. Pyma do klasztoru w Lyme z 1 października 1948, grożącego postępowaniem sądowym za porwanie jego syna Magnusa (z dokumentów po RTP).

Pismo z Wydziału Przestępstw Gospodarczych do Wydziału Paszportowego z 15 września 1948, zalecające cofnięcie paszportu RTP z powodu toczącego się przeciwko niemu postępowania karnego (pozyskane w sposób nieoficjalny za pośrednictwem oficera łącznikowego Centrali).

List od kwestora szkoły do RTP, odmawiający przyjęcia suszu owocowego, brzoskwiń w puszcze i innych towarów zamiast części lub całości chesnego i wyrażający żal, że rada szkoły nie widzi możliwości dalszego kształcenia Pyma za darmo. „Z ubolewaniem stwierdzam, że odmawia Pan ubiegania

się dla syna o stypendium dla dzieci ubogich rodziców pragnących zostać duchownymi" (z dokumentów po RTP).

Groźący najpoważniejszymi konsekwencjami list adwokata reprezentującego pana Eberhardta Bertla, byłego zastępcę kierownika hotelu Grand Palace w Bernie, adresowany do płk. sir Richarda T. Pyma, najwyraźniej nie pierwszy, żądający natychmiastowej zapłaty kwoty jedenastu tysięcy osiemnastu franków szwajcarskich i czterdziestu centymów, powiększonych o należne odsetki w wysokości czterech procent miesięcznie (z dokumentów po RTP).

Wycinek z londyńskiej „Chronice” z 8 listopada 1949, ogłaszający osobistą niewypłacalność RTP oraz przymusowe rozwiązanie osiemdziesięciu trzech spółek należących do imperium Pym & Syn; w ich skład wchodził na pewno Fundusz Stypendialny im. Muspole'a.

Wycinek z „Daily Telegraph” z 9 października 1948: klepsydra niejakiego Johna Reginalda Wentwortha. Zmarł po długiej chorobie wywołanej licznymi obrażeniami, o czym zawiadomia pogrążona w żalu żona Peggy.

I całkiem malutki wycinek, zdobyty nie wiadomo skąd, donoszący, że na statku wycieczkowym SS „Grande Bretagne” doszło do zatrzymania znanej pary oszustów, niejakiej Weber i niejakiego Wolfe'a alias Cunninghama, podających się za księżnę i księcia Sewilli.

Pym wziął do ręki czerwony długopis i ponumerował każdy z tych dokumentów po kolei w prawym górnym rogu, po czym wpisał te same numery do tekstu jako odnośniki. Jak wytrawny urzędnik połączył je zszywaczem i odłożył do innej teczki, zatytułowanej „Aneks”. Zamknął teczkę, wstał, westchnął z ulgą i wyciągnął ręce do tyłu, jakby uwalniał się od ciężkiego jarzma. A więc miał już za sobą widmową bezkształtność dorastania, teraz czekały go lata męskie i dojrzałe - nawet jeżeli w końcu się go nie doczekały. Wreszcie znalazł się w ukochanej Szwajcarii, tej duchowej ojczyźnie prawdziwych szpiegów. Podeszedł do okna i po raz ostatni wyrżał na placyk. Gdy patrzył, zmęczone światła Anglii już gasły. Z namaszczeniem rozebrał się, dopił wódkę, z uwagą popatrzył na siebie w lustrze i ruszył do łóżka. Ale bardzo, bardzo ostrożnie, niemal na palcach, zupełnie jakby

się bał, że się obudzi. Po drodze przystanął przy biurku i ponownie odczytał odszyfrowaną wiadomość, której już nie musiał od razu zniszczyć.

Stokrotko, pomyślał, siedź na miejscu, nie ruszaj się.

Rozdział 7

Pięć lat temu Jack Brotherhood zastrzelił swojego labradora. Pies leżał w swym koszyku, obolały i drżący; Jack najpierw dał mu tabletki, ale pies je zwrócił i w efekcie nie dość, że cierpiał, to jeszcze się wstydził, bo zabrudził dywan. Wtedy Jack założył wiatrówkę i wziął strzelbę, którą trzymał w kącie przy drzwiach. Pies patrzył na niego jak na zbrodniarza, bo już wiedział, że jest zbyt chory, by iść z panem na polowanie. Jack kazał mu wstać, ale pies był za słaby. Jack krzyknął: „Szukaj!”, pies dźwignął się na przednie łapy i zaraz opadł, z łbem głupio sterczącym znad koszyka. Mężczyzna odłożył strzelbę, wziął z garażu łopatę i wykopał dół w polu za domem, trochę wyżej, z niezłym widokiem na ujście rzeki. Potem zawinął psa w swą ulubioną tweedową marynarkę, zaniósł go tam i strzelił mu w tył głowy, roztrzaskując rdzeń kręgowy na samym karku. Gdy było po wszystkim, usiadł przy psie z połową butelki whisky. Siedział tak, póki cały nie przemókł od rosy. Doszedł do wniosku, że to była najlepsza śmierć, jaką można sobie wyobrazić na tym świecie, na którym tak trudno o dobrą śmierć. Nie położył tam kamienia ani nie postawił skromnego drewnianego krzyża, ale za to zorientował miejsce względem wieży kościelnej, starej wierzby i wiatraka, i za każdym razem, gdy tamtędy przechodził, zdawkowo pozdrawiał psa w myśli - i chyba nigdy w życiu nie posunął się dalej w myśleniu o życiu pozagrobowym. Aż do tego niedzielnego poranka, gdy prowadził samochód przez puste boczne drogi w Berkshire i patrzył, jak słońce zaczyna unosić się zza wzgórz. „Jack ma już za dużo na liczniku”, tak to określił Pym. „Firma powinna już dziesięć lat temu przenieść go na emeryturę”.

A ciebie ile lat temu, chłopaczku? - pomyślał. Może dwadzieścia? Trzydzieści? Ile ty masz na liczniku? Ile to kilometrów filmu zdążyłeś zawinąć w gazetę? Ile ton gazet

wrzucić do skrzynek na listy albo przez mur cmentarza? Ile nasłuchiwałeś się Radia Praga, pochylony nad książkami szyfrów?

Opuścił okno. Rozpędzone powietrze pachniało kiszonką i dymem palonego drewna. Brotherhood pochodził ze wsi, jego przodkowie byli Cyganami i duchownymi, gajowymi, kłusownikami, piratami. Gdy poranny wiatr owiewał mu twarz, znów stawał się małym obdartusem, który kiedyś galopował na oklep na koniu panny Sumner przez park jej posiadłości i dostawał za to potem niezłe lanie. Znów marzył do szpiku kości na moczarach Suffolk, bo duma nie pozwalała mu wrócić do domu z pustymi rękoma. I znów odbywał swój pierwszy skok spadochronowy z balonu zaporowego nad lotniskiem w Abingdon i przekonywał się, jak to jest, gdy pęd powietrza nie pozwala zamknąć otwartych w krzyku ust. Pójdę, pójdę na emeryturę, ale dopiero jak mnie sami wyrzucą. Pójdę na emeryturę, ale najpierw pogadam z tobą, smarkaczu.

Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin spał tylko sześć, z tego większość na niewygodnym łóżku polowym w pokoiku dla niedysponowanych maszynistek, ale nie był zmęczony.

- Możesz wpaść na chwilę, Jack? - zapytała Kate, westalka z Piątego Piętra, obrzucając go spojrzeniem, które zatrzymało się na nim o ułamek sekundy za długo. - Nigel i Bo chcieliby jeszcze z tobą porozmawiać.

A gdy nie spał, nie telefonował i nie myślał, jak zwykle z lekkim zdziwieniem, o Kate, przypominał sobie własne życie trochę tak, jakby opadał na spadochronie na teren wroga i usiłował zorientować się, co jest co: aha, czyli to tak, czyli tak to wygląda, a moje nogi kręcą się nad tym wszystkim w powietrzu jak opadający owoc klonu. Nad Pymem też zastanawiał się od samego początku, we wszystkich etapach jego życia, gdy z nim pracował i z nim pił, jak, na przykład, tej nocy w Berlinie - kompletnie wyleciało mu to z głowy i dopiero teraz sobie przypomniał - kiedy poderwali dwie pielęgniarki wojskowe i każdy bzykał swoją w sąsiadujących pokojach. To samo niedowierzanie czuł pewnego zimowego dnia w 1943 roku, gdy patrzył na własną poharataną rękę, zwisającą bezwładnie przy boku z tkwiącymi w niej trzema pięknymi kulami z niemieckiego kaemu.

- Gdybyśmy tylko dowiedzieli się odrobinę wcześniej, Jack... Szkoda, że tego nie przewidziałeś.

Tak mi przykro, Bo. Ale ze mnie gapa.

- Jack, przecież on był dla ciebie jak syn. Zawsze tak się mówiło.

Tak, tak, Bo, oczywiście. Głupia sprawa, zgadzam się. I jak zwykle pełne wyrzutu oczy Kate: Jack, Jack, jak to się stało?

Pewnie, nie takie rzeczy się zdarzały. Od samego końca wojny zawodowe życie Brotherhooda było narażone na regularne wstrząsy kolejnych wielkich skandali w Firmie. Gdy prowadził placówkę w Berlinie, były trzy wielkie wpadki: w nocy przychodził telegram, buch, ściśle tajne. Dzwonił telefon - gdzie jesteś? - Jack, ruszaj się, zgłoś się natychmiast. Leć na złamanie karku przez mokre ulice, i masz być trzeźwy jak świnia. Telegram pierwszy: osoba wymieniona w następnym telegramie jest członkiem naszej służby i właśnie została zdemaskowana jako agent wywiadu sowieckiego. Poufnie powiadomić wszystkich oficjalnych współpracowników, nim o tym przeczytają w porannej gazecie. Potem długie oczekiwanie nad książkami szyfrów i zastanawianie się: on, ona, ja? Telegram drugi: sześć liter. Pierwsza M - rany boskie, to Miller! - druga A - Chryste Panie, Mackay! W końcu okazuje się, że chodzi o kogoś, o kim w życiu nie słyszałeś, z sekcji, o której nie wiedziałeś nawet, że istnieje, i gdy wreszcie odpowiednio oceniony opis całej sprawy pojawia się u ciebie na biurku, wyobrażasz sobie jakiegoś niedożywionego pedałka w pokoju szyfrowym w Warszawie, któremu wydawało się, że wpływa na losy świata, a tak naprawdę chciał tylko zrobić na złość szefowi.

Tylko że skandale te były dla niego odgłosami wystrzałów na wojnie, która nigdy nie miała zbliżyć się do niego. Traktował je zawsze nie jako ostrzeżenie, lecz potwierdzenie wszystkiego, co tak bardzo irytowało go w Firmie: narastającej biurokracji, ucieczki w niby - dyplomację, bezkrytycznego przejmowania amerykańskich metod i wzorów. W porównaniu z tym jego ludzie, których sam sobie dobierał, tylko zyskiwali; więc gdy teraz zjawili się u niego specjaliści od polowania na czarownice z Grantem Ledererem i jego parszywymi oszołomami na czele, domagając się głowy Pyma i konstruując najwymyślniejsze

teorii spiskowej na podstawie paru wydruków komputerowych, to właśnie Jack Brotherhood uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły stojące na nim szklanki z wodą.

- Dość tego, ale już! Nie ma wśród nas nikogo, kogo nie można by oskarżyć o zdradę, gdyby mu wyciągnąć wszystkie sprawy z życiorysu. Ktoś nie pamięta, gdzie spędził noc z dziesiątego na jedenastego? Czyli kłamie. Aha, pamięta? To ma zbyt dobre alibi. Jeszcze chwila i każdy, kto mówi prawdę, będzie według was ostatnim łgarzem. Jeszcze chwila i zaraz okaże się, że każdy, kto dobrze pracuje, owszem, pracuje, ale dla drugiej strony. Jak tak dalej pójdzie, urządźcie nas lepiej niż Rosjanie. A może na tym właśnie wam zależy?

No i, oczywiście, skutecznie ich uciszył - rzucając na szalę całą swoją reputację, swój gniew, swoje kontakty i zasługi swej sekcji, wysoko wydajnej i niskonakładowej, jak to określano z nienawidzonym przez niego nowomodnym żargonem. Nawet się nie domyślał, jak szybko tego pożałuje.

Zamknął okno i zatrzymał samochód w wiosce, w której nikt go nie znał. Był za wcześnie, ale musiał uciec na chwilę z Londynu od wszystkich i od wszystkiego, skryć się gdzieś przed brązowymi oczyma Kate. Bo jeszcze jedna taka narada, jeszcze jedna sesja o tym, jak to ukryć przed Amerykanami, jeszcze jedno współczujące lub oskarżycielskie spojrzenie Kate, jeszcze jedna głupia mina któregoś z mandarynów Brammela i może się zdarzyć, że Jack Brotherhood powie coś, czego wszyscy, ale przede wszystkim on sam będzie potem gorzko żałował. Więc sam zgłosił się do tego zadania, na co Bo skwapliwie przystał: no pewnie, nikt inny tego lepiej nie zrobi. Tuż za progiem gabinetu Bo wiedział, że wszyscy ucieszyli się tak samo jak on, że wychodzi. Wszyscy poza Kate.

- Tylko telefonuj regularnie, jeśli możesz! - zawołał za nim Bo. - Co najmniej co trzy godziny. Kate wszystko wie. Prawda, Kate?

Nigel wyszedł za nim na korytarz.

- Kiedy będziesz dzwonił, łącz się przez sekretariat, nie przez jego osobną linię. I najpierw masz rozmawiać ze mną.

- Rozumiem, że to rozkaz - dodał Brotherhood.

- Chwilowo tak. W każdej chwili może być cofnięty.

Kościół miał drewniany portyk, ścieżka prowadziła wzdłuż boiska. Minał gospodarstwo z ceglana stodołą, w jesiennym powietrzu unosił się zapach ciepłego mleka.

- Ewakuujemy ich etapami, Jack - mówi Frankel swą nienaganną euroangielszczyzną. - Oczywiście, jeżeli w ogóle dojdzie do ewakuacji.

- I to ja powiem kiedy - dodaje zza kulis Nigel.

Sala jest niska, bez okien, za to z nadmiarem sztucznego światła. Przy judaszu stoi umundurowany strażnik. W równych odstępach pod ścianą, za prostymi, pozbawionymi szuflad biurkami, siedzą szpakowate asystentki Frankla. Przyniosły sobie termosy, częstują się nawzajem papierosami - dla nich to nie pierwszozna. Frankel, kelner z Łotwy, jest gruby i brzydki. Zwerbował go i awansował Brotherhood, a teraz Frankel zaczyna przejmować jego sprawy. Bywa. Jest trzecia rano, czyli dziś sześć godzin temu.

- Jack, pierwszego dnia tylko główni agenci - mówi Frankel z fałszywą pewnością siebie, jak lekarz. - Conger i Watchman z Pragi, Wolter z Budapesztu, Merryman z Gdańska.

- Kiedy zaczynamy? - pyta Brotherhood.

- Dopiero na znak Bo, nie wcześniej - mówi Nigel. - Nadal oceniamy sytuację i nadal uważamy, że wierność Pyma może z pewną dozą prawdopodobieństwa nie podlegać wątpliwości. - Nigel wypowiada to tak, jakby mówił „stół z powyłamywanymi nogami”.

- I po cichutku, Jack - mówi Frankel. - Żadnych pożegnań, żadnych kwiatków dla sąsiadów, żadnego oddawania kota w dobre ręce. Drugiego dnia radiooperatorzy, trzeciego zagłuszacze i inni agenci. Czwartego dnia reszta.

- Jak do nich dotrzemy? - pyta Brotherhood.

- Nie wy, tylko my - mówi Nigel. - Ale tylko wtedy, gdy Pięte Piętro stwierdzi, że trzeba. Na razie, powtarzam, to tylko hipoteza.

Kate weszła za nimi do sali. To typowa angielska panna - wdowa - blada, piękna, posągowa, w wieku czterdziestu lat oplakująca kochanków, których nigdy nie miała. Zresztą Kate to Kate. Jack potrafi czytać w jej oczach.

- Może na ulicy, jak będą szli do pracy - ciągnie Frankel. -

Może będziemy im walić do drzwi, powiemy znajomym, zostawimy liścik. Wszystko jedno, byle było to coś nowego.

- I tu się nam przydasz, jeśli do tego dojdzie - tłumaczy Nigel. - Powiesz nam, co już było.

Frankel zatrzymał się przed mapą Europy Wschodniej. Brotherhood czeka o krok za nim. Główni agenci na czerwono, inni na niebiesko. Łatwiej pozbyć się szpilki z kolorowym łąbką niż człowieka. Wciąż wpatrującemu się w mapę Brotherhoodowi przypomina się pewien wieczór w Wiedniu. Honory domu pełni Pym, Brotherhood nazywa się pułkownik Peter, przywozi podziękowania Londynu za dziesięć lat wiernej służby. Przypomina sobie piękną mowę Pyma po czesku, szampan i medale, uściski dłoni, wzajemne zapewnienia, puszczone cicho walce z gramofonu. I przysadkowatą parę w brązach, on fizyk, ona szychka z czeskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kochanków połączonych zdradą ojczyzny, o twarzach błyszczących z podniecenia, gdy tak krążą po pokoju do dźwięków straussowskiego walca.

- To kiedy zaczynamy? - pyta jeszcze raz Brotherhood.

- Jack, to zależy wyłącznie od Bo - odpowiada Nigel z niebezpieczną cierpliwością.

- Jack, Pięte Piętro uznało za najważniejsze zachowywać się normalnie, pracować normalnie. W ogóle ma być normalnie - mówi Frankel, biorąc plik telegramów z biurka. - Używają skrzynek na listy? To niech je opróżniają jak zwykle. Radia? To wysyłać wiadomości jak zwykle, o normalnych porach. I mieć nadzieję, że wróg czuwa.

- To teraz najważniejsza rzecz - mówi Nigel, tak jakby nic, co mówi Frankel, nie liczyło się, póki on, Nigel, tego nie powtórzy. - Pełna normalność. Jak się raz pospieszymy, może być bardzo źle.

- Jak się spóźnimy, to też - dodaje Brotherhood i jego niebieskie oczy zaczynają się rozpalać.

- Czekają na ciebie, Jack - mówi Kate. Tak naprawdę mówi mu: „Chodź, nic nie wskórasz”.

Brotherhood nie rusza się z miejsca.

- Zróbcie to teraz, zaraz - mówi do Frankla. - Niech się schowają w ambasadach. Ostrzeżcie ich, niech to zrobią

natychmiast.

Nigel nie odpowiada. Frankel patrzy na niego, prosząc o pomoc, ale Nigel założył ręce i zagląda przez ramię jednej z kobiet Frankla, zajętej nadawaniem sygnału.

- Jack, żadnych kontaktów do ambasad nie wpuścimy - mówi Frankel i wciąż robi miny do Nigela. - Wykluczone. Jeżeli dostaniemy takie polecenie z Piątego Piętra, możemy załatwić im nowe papiery, pieniądze, transport, no i możemy się za nich pomodlić. Mam rację, Nigel?

- Jeżeli dostaniecie takie polecenie - powtarza Nigel.

- Conger będzie uciekał na wschód - mówi Brotherhood. - Jego córka studiuje w Bukareszcie. Na pewno po nią pojedzie.

- No dobra. A stamtąd? - mówi Frankel. Brotherhood prawie krzyczy. Kate nie udało się go na czas pohamować.

- Na południe, kurwa, do Bułgarii! Jak mu podamy czas i miejsce, możemy wysłać mu samolot i przerzucić go do Jugosławii!

Teraz i Frankel podnosi głos.

- Jack, słuchaj. Nigel, powiedz, że mam rację, żeby nie było, że to ja ciągle mówię „nie, nie”. Nie będzie żadnych samolocików, żadnych ucieczek do ambasad ani przez zieloną granicę. Nie żyjemy w latach sześćdziesiątych, ani w pięćdziesiątych, ani w czterdziestych. Teraz nie wysyła się już Bóg wie ile samolotów, Bóg wie ilu pilotów po całej Europie Wschodniej. Nie bardzo nam się uśmiecha perspektywa komitetów powitalnych dla nas i dla naszych kontaktów na miejscu.

- Doskonale powiedziane - potwierdza Nigel z lekkim, ale wystarczająco czytelnym zdziwieniem.

- I muszę ci jeszcze powiedzieć, Jack, że twoje siatki są teraz tak niepewne, że w tej chwili ministerstwo nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Dobrze mówię, Nigel? Zostałeś sam, Jack. Whitehall musi najpierw owinąć się plastikiem, nim poda ci rękę. Dobrze mówię, Nigel?

Frankel uzmysławia sobie, co powiedział, i urywa. Znowu zerka na Nigela, ale nie słyszy ani słowa otuchy. Jego oczy napotykają wzrok Brotherhooda i wpatrują się w niego długo i nieoczekiwanie bojaźliwie, dokładnie tak, jak patrzymy na

pomniki, gdy zaczynamy dostrzegać w nich własną śmiertelność.

- Ja tylko wykonuję rozkazy, Jack. Nie patrz tak na mnie. Dzięki.

Brotherhood powoli wychodzi po schodach. Idąca przed nim Kate zwalnia i celowo trzyma z tyłu dłoń, by jej dotknął. On udaje, że tego nie widzi.

- Kiedy się zobaczymy? - pyta. Brotherhood jest nie tylko ślepy, ale i głuchy.

Tego dnia Tom Pym miał na głowie mnóstwo spraw, chyba najwięcej, od kiedy miesiąc temu został przewodniczącym szkoły i kapitanem drużyny Pand. Dla jego Pand właśnie zaczął się tydzień dyżuru. Dziś i przez następne sześć ciężkich dni Tom musi dzwonić na pobudkę, towarzyszyć pani higienistce przy przeglądzie natrysków i prowadzić apel przed śniadaniem. Ponieważ jest niedziela, musi też pilnować pisania listów w czytelni, odczytać lekcję w kaplicy i dokonać inspekcji szatni. A kiedy wreszcie nastanie wieczór, Tom musi poprowadzić zebranie samorządu, na którym zrobi przegląd najnowszych wniosków dotyczących życia szkoły, odpowiednio je sformułuje i przedstawi do rozpatrzenia dyrektorowi, panu Cairdowi. Pan Caird będzie okropnie się z tym męczył, bo nigdy nie podejmuje pochopnych decyzji i każdą rzecz chce rozważyć szczegółowo. Tom zaś, gdy jakoś upora się z tym wszystkim i zadzwoni na gaszenie świateł, będzie musiał zrobić poniedziałkową pobudkę. W zeszłym tygodniu dyżur miały Lwy i nieźle się z tego wywiązały. Lwy, jak to określił pan Caird z rzadkim u niego przekonaniem, wykazały się demokratycznym podejściem do władzy, zarządzając głosowania i tworząc komisje w każdej spornej sprawie. W kaplicy, czekając, aż zamilkną ostatnie dźwięki hymnu, Tom modlił się żarliwie za duszę zmarłego dziadka, za pana Cairda i za zwycięstwo w środowym meczu przeciwko St. Saviour's z Newbury, choć obawiał się najgorszego po ostatniej sromotnej porażce - pan Caird nie miał własnego zdania na temat współzawodnictwa sportowego. Ale najżarliwiej modlił się o to, by w następną sobotę, o ile dzień ten w ogóle nadejdzie, Pandy również zasłużyły na pochwałę pana Cairda, bo Tom chybaby nie przeżył, gdyby sprawił zawód panu

Cairdowi.

Tom był wysoki jak na swój wiek i zaczynał już naśladować wysoki krok angielskiego administratora, tak charakterystyczny dla jego ojca. Wysokie czoło nadawało mu pewnej powagi i to zapewne jemu zawdzięczał swą pozycję w szkole. Kiedy patrzyło się, jak z rękoma założonymi z tyłu wychodzi z ławki prefektów, idzie naważ, skłania głowę przed ołtarzem i wstępuje po dwóch schodkach na podwyższenie z pulpitem, można by pomyśleć, że to nie uczeń, lecz ktoś z imponująco młodego grona pedagogicznego dobranego przez pana Cairda. Przepoczwarczającego się młodzieńca w tej senatorskiej postaci zdradzał dopiero łamiący się głos, którym wyszczeniwał czytanie. Lekcję czytał pierwszy raz w życiu, więc ćwiczył przedtem tak, że znał ją niemal na pamięć. Teraz jednak, gdy czytał ją publicznie, czarne i czerwone literki nie kojarzyły mu się z żadnym dźwiękiem, z żadnym znaczeniem. Teraz widział obgryzione paznokcie kciuków po obu stronach lekcjonarza i siwą głowę unoszącą się nad tylnymi rzędami siedzących, i tylko te dwie rzeczy trzymały go jeszcze w jako takim związku z rzeczywistością. Był przeświadczony, że gdyby nie one, uleciałby w górę, przez dach kaplicy, ku niebu, i unosiłby się w powietrzu jak jego balon na wodór, który, opatrzony jego nazwiskiem i adresem, poleciał aż do Maidenhead i wylądował w ogródku jakiejś staruszki, za co zarobił pięć funtów w kuponach książkowych i list od starszej pani, że też ma syna o imieniu Tom, który pracuje u Lloyd'a.

- Sam jeden wytłaczałem je w kadzi - huknął, aż sam się zdziwił, że tak głośno - z narodów ani jednego nie było ze Mną. Tłoczyłem je w Moim gniewie i deptałem je w Mej porywczosci. - Zaniepokoił się wypowiedzianą przez siebie groźbą i zaczął się zastanawiać, pod czyim adresem ją wygłosił. - Posoka ich obryzgała Mi szaty i poplamiliem sobie całe odzienie.

Wciąż czytając i czując, że jego kolana dotykają wnętrza nogawek, Tom myślami uciekł ku różnym innym sprawom, które teraz okazały się ważne, choć przedtem nie zdawał sobie z tego sprawy. Był już przyzwyczajony, że jego umysł nie zajmuje się tylko tym, co wokół się dzieje, nawet przy nauce. W piątek na gimnastyce przyłapał się na roztrząsaniu pewnego problemu z

gramatyki łacińskiej; wczoraj, na łacinie, martwił się, że mama tyle pije. A przy tłumaczeniu z francuskiego zorientował się, że choć nadal prowadzi czułą korespondencję z Becky Lederer, już jej nie kocha, bo woli jedną z córek kwestora. Nowe obowiązki sprawiły, że jego umysł zaczął przypominać telefoniczny kabel transatlantycki, którego przekrój widział w laboratorium technicznym. Najpierw wiązka drutów, z których każdy niósł swoją wiadomość i wypełniał swoją funkcję; ale dookoła tego unosiło się jak ławica niewidzialnych rybek mnóstwo innych wiadomości, które z jakiegoś powodu w ogóle nie potrzebowały drutu. Tak właśnie wyobrażał sobie to, co miał w głowie, gdy najniższym, na jaki tylko było go stać, basem wykrzykiwał czytanie, które i tak rozchodziło się potem w powietrzu jak dzwoneczki.

- Albowiem dzień pomsty był w Moim sercu i nadszedł rok Mejej odłaty - powiedział.

Znowu powrócił myślą do balonów i do Toma, który pracuje u Lloyda, do katastrofy, jaka go czeka, gdyby oblał egzamin wstępny, i do córki kwestora, jak jedzie na rowerze i jak wiatr opina jej bluzkę na piersiach. I zamartwiał się, czy Carter Major, wicekapitan Pand, ma w sobie dość demokratycznych kwalifikacji przywódczych, by poprowadzić popołudniowy trening. Jednej tylko myśli nie dopuszczał do siebie, bo tak naprawdę wszystkie inne pojawiały się zamiast niej. Jednej tylko myśli nie potrafił ubrać ani w słowa, ani nawet w obrazy, bo była tak okropna, że od samego myślenia o niej mogłaby się urzeczywistnić.

- No, jak tam pieczeń, synu? - zapytał Jack Brotherhood. Tom miał wrażenie, że od czytania minęło zaledwie jakieś dwadzieścia sekund. Siedzieli teraz w hotelu Digby, dokąd zawsze chodzili jeść, gdy wujek Jack przyjeżdżał odwiedzić go w szkole.

- Super, wujku, dziękuję - powiedział Tom.

Poza tym jednak jedli w milczeniu, które zachowali aż do końca posiłku. Brotherhood miał „Sunday Telegraph”, Tom powieść fantasy, którą czytał w kółko, bo w niej wszystko kończyło się dobrze, a w innych mogłoby się zdarzyć inaczej. Jedząc, czytając i myśląc o mamie, Tom uznał, że nikt z taką

klasą nie umie wyciągać ludzi ze szkoły, jak wujek Jack. Nawet tata nie posiadał lak wspaniałego wyczucia, że wszystko musi się odbyć za każdym razem tak samo, a jednak zupełnie inaczej w szczegółach, i że to właśnie jest takie ekscytujące. Że trzeba zachowywać kamienny spokój i angielską flegmę, a równocześnie jak najbardziej rozciągać dzień, robiąc mnóstwo różnych rzeczy aż do ostatniej chwili. I że szkoła musi w taki dzień prawie nie istnieć, więc żeby ani razu nie wspominać o tym, że trzeba będzie do niej wrócić. Szkoła może pojawić się dopiero w ostatnich minutach, na tyle, by powrót do niej stał się możliwy.

- Jeszcze coś zjesz?

- Nie, dziękuję.

- Puddingu?

- Ale troszeczkę.

Brotherhood uniósł brwi pod adresem kelnera, który pojawił się natychmiast. Kelnerzy zawsze pojawiają się natychmiast, gdy jest się na obiedzie z wujkiem Jackiem.

- Miałeś jakieś wieści od taty?

Tom nie odpowiedział od razu, bo nagle okropnie zaboląły go oczy i stracił dech.

- No, no - powiedział Brotherhood, odkładając gazetę. - A cóż to się dzieje?

- To przez to czytanie - powiedział Tom, powstrzymując łzy.

- Zaraz mi przejdzie.

- Świetnie czytałeś. Jak ktoś ci powie, że nie, daj mu w pysk.

- Bo pomyliłem dzień - tłumaczył Tom, wciąż usiłując się opanować. - Pomyliłem się. Wziąłem o jedną zakładkę za wcześnie.

- Chrzań zakładki - zachnął się Brotherhood tak głośno, że starsi państwo przy sąsiednim stoliku zwrócili ku nim głowy. - Jeżeli wczorajsze czytanie było coś warte, nikomu nie zaszkodziło wysłuchać go jeszcze raz. Czekaaj, wezmę dla ciebie jeszcze jedną lemoniadę.

Tom skinął głową, Brotherhood zamówił i znowu wziął do ręki „Sunday Telegraph”.

- Za pierwszym razem pewnie i tak nie zrozumieli - dodał z pogardą.

Sęk w tym jednak, że Tom wcale nie przeczytał nie tego czytania - owszem, przeczytał właściwe. Wiedział o tym doskonale i podejrzewał, że wujek Jack też wie. Po prostu potrzebował mieć powód, przez który byłoby łatwiej płakać niż przez te rybki, kłębiące się wokół kabla, i przez tę myśl, której nie chciał dopuścić do siebie.

Postanowili nie jeść deseru, żeby nie tracić pięknego dnia.

Sugarloaf Hill to wapienny garb w paśmie wzgórz Berkshire Downs, otoczony drutem kolczastym z tabliczkami zakazu wstępu wydane przez Ministerstwo Obrony. Nie było chyba w życiu Toma wspanialszego miejsca - lepiej było może tylko w Plush w czasie kocenia się owiec. Sugarloaf Hill biło nawet Lech i narty z tatą, Wiedeń i przejażdżki konne z mamą. Żadne miejsce, ani prawdziwe, ani z marzeń, nie dawało mu poczucia takiego odosobnienia, takiego niezwykłego uprzywilejowania, jak ten tajny obiekt na wzgórzu z drutem kolczastym chroniącym przed wtargnięciem wroga, gdzie Jack Brotherhood i Tom Pym, ojciec chrzestny z synem chrzestnym, najbliżsi przyjaciele, mogli puszczać na zmianę gliniane rzutki i strzelać do nich, mniej lub bardziej celnie, ze strzelby Toma. Tom nie wierzył własnym oczom, gdy zjawili się tam pierwszy raz.

- Przecież tu jest zakaz wjazdu, wujku - zaprotestował, kiedy Brotherhood zatrzymał auto. Do tej pory szło świetnie, a teraz - taka plama. Ujechali według mapy z piętnaście kilometrów i ku rozpaczy Toma stanęli przed podwójną białą bramą, zamkniętą i z różnymi urzędowymi napisami. Czar prysł; chłopiec zaczął nagle żałować, że nie jest w szkole i że nie odrabia karnych zadań, które mu się uzbierały.

- To podejdź i krzyknij: „Sesamie, otwórz się!” - poradził wtedy wujek Jack, podając mu klucz. Nim Tom się opamiętał, białe urzędowe bramy zamknęły się za nimi, a oni sami stali się okropnie ważnymi ludźmi. Na szczycie wzgórza otworzyli bagażnik, wyciągnęli zardzewiałą wyrzutnię, o której wujek nie powiedział mu ani słowa przez cały lunch. I jeszcze Tomowi udało się trafić dziewięć na dwadzieścia, a wujkowi osiemnaście, bo nikt lak nie strzela jak wujek Jack, choć jest taki stary, i nigdy nie dałby nikomu wygrać przez grzeczność, nawet Tomowi. Jeżeli Tomowi kiedykolwiek uda się z wujkiem wygrać,

to tylko w równej walce, bo taką mieli niepisaną umowę. Tego też Tom pragnął dziś najbardziej: normalnej walki i normalnej rozmowy, bo i jedno, i drugie świetnie się z wujkiem prowadziło. Pragnął ukryć straszne myśli w najgłębszym zakamarku głowy i nie musieć zdradzać ich nikomu, dopóki nie zginie za ojczyznę.

Tom zawsze odżywał na dworze i wujek Jack nie miał z tym nic wspólnego. Tom nie lubił za dużo mówić, szczególnie o intymnych sprawach. Zmartwychwstawał w dziennym świetle, w odgłosach wystrzałów, w powiewach październikowego wiatru smagających go po policzkach i wślizgujących się pod szkolny sweter. Teraz też; pod wpływem tego wszystkiego zaczął wreszcie mówić jak mężczyzna, a nie jak łajza. Tam, w dolinie, wiatru w ogóle nie było - tam było tylko zmęczone jesienne słońce i brązowe liście na ścieżce holowniczej wzdłuż rzeki. Ale tu, na nagim wapiennym wzgórzu wiało jak w tunelu; wiatr hałasował i wył na nowym słupie, który tu postawiono od czasu ich ostatniej bytności.

- Gdybyśmy trafili słup, zaraz by weszli Ruscy! - zawołał do niego wujek Jack przez zwinięte w trąbkę dłonie. - Czyli musimy uważać, no nie?

- Tak!

- Dobra. To co robimy?

- Ustawimy wyrzutnię przy samym słupie i stamtąd będziemy strzelać! - zawołał radośnie w odpowiedzi Tom. Gdy wołał, poczuł, że spada mu z piersi wielki ciężar, że znowu może wyprostować ramiona i że na takim wietrze, trzęsącym niemal całym wzgórzem, może powiedzieć wszystko każdemu. Wujek Jack puścił mu po kolei dziesięć rzutków, Tom trafił osiem, strzeliwszy jedenaście razy, jego absolutny rekord, i to mimo wiatru. Gdy zastąpił wujka przy wyrzutni, Jack musiał starać się jak równy z równym, i wygrał, ale Tom właśnie za to tak go uwielbiał. Wcale nie chciał z nim wygrać. Z ojcem może tak, ale nie z wujkiem, bo wtedy nic by mu nie zostało. Przy drugich dziesięciu rzutkach Tomowi nie poszło już tak dobrze, ale nie zmartwił się wcale, po prostu już rozboleły go ręce, więc nie jego wina. Za to wujek Jack był jak skała, nawet gdy ładował broń, wyciągnięta do przodu siwa głowa już czekała na kolbę.

- Osiemnaście czternaście dla ciebie! - zawołał Tom i

popędził pozbierać łuski. - Nieźle nam poszło, co? - A potem równie głośno i wesoło: - A z tatą wszystko w porządku, prawda?

- A dlaczego miałyby nie być w porządku? - krzyknął w odpowiedzi Brotherhood.

- Po prostu był trochę nie w sosie, kiedy przyjechał do mnie po pogrzebie dziadka.

- No, to chyba nic dziwnego? Jak ty byś się czuł, gdybyś właśnie pochował ojca?

Nadał obaj krzyczeli do siebie na wietrze. Ot, takie męskie pogaduszki przy ładowaniu broni i nastawianiu wyrzutni na następną kolejkę.

- Cały czas mówił mi o wolności - wołał Tom. - Że nikt nam jej nie da, że trzeba ją sobie samemu wywalczyć. Nawet trochę zaczęło mnie to nudzić.

Wujek Jack był tak zajęty ładowaniem, że Tom zaczął się zastanawiać, czy dosłyszał. Albo czy go to w ogóle interesuje.

- I ma rację - powiedział Brotherhood, zamykając strzelbę. - Patriotyzm to w naszych czasach bardzo niemodne słowo.

Tom wypuścił pierwszy rzutek i patrzył, jak zwija się i pęka od doskonałego strzału wujka.

- Jemu chyba nie chodziło o patriotyzm - tłumaczył Tom, rzucając się po łuski.

- Tak?

- Chyba chciał mi powiedzieć, że jeżeli nie jestem szczęśliwy, powinienem uciec. To samo napisał mi w liście. Tak jakby...

- No?

- Tak jakby chciał, żebym zrobił coś, czego on sam nie zrobił, kiedy chodził do szkoły. Trochę to wszystko dziwne.

- Według mnie wcale nie dziwne. Wystawiał cię na próbę, proste. Że niby jeżeli chcesz uciec, wolna droga. Mnie to wygląda właśnie na dowód zaufania. Trudno o lepszego ojca, Tom.

Tom strzelił i spudłował.

- Napisał do ciebie list? - zdziwił się Brotherhood. - Jak to? Myślałem, że cię odwiedził.

- Bo odwiedził. Ale oprócz tego przysłał list, i to bardzo długi.

Też pomyślałem, że to... dziwne - odparł Tom, nie znalazłszy lepszego słowa.

- Był nie w sosie. No to co? Umiera jego stary, więc siada i pisze do syna. Powinieneś być dumny... Piękny strzał, chłopie. Piękny strzał.

- Dzięki - powiedział Tom i rzeczywiście zrobił dumną minę, podczas gdy wujek dopisał mu kolejny punkt. Wujek Jack zawsze zapisywał wyniki.

- Ale jemu chyba wcale nie o to chodziło - powiedział z lekkim zażenowaniem Tom. - Wcale nie był nie w sosie. Nawet jakby się cieszył.

- A co, tak ci napisał?

- Napisał, że dziadek stłumił w nim wszystko, co ludzkie, i że nie chce, żeby on zrobił to mnie.

- Inaczej mówiąc, był nie w sosie - rzekł niewzruszony Brotherhood. - A przy okazji, twój tata nie mówił ci o jakiejś kryjówce? Że ma jakieś miejsce, w którym się zaszywa, kiedy chce mieć święty spokój?

- Tak naprawdę to nie.

- Ale miał takie miejsce, co?

- Tak naprawdę to nie.

- A gdzie to jest?

- Powiedział, żeby nikomu nie mówić.

- To nie mów - powiedział z przekonaniem wujek Jack.

I nagle opowiadanie o ojcu stało się kolejnym obowiązkiem demokratycznie wybranego przewodniczącego szkoły. Pan Caird mówił przecież, że ci, którym wiele jest dane, muszą poświęcić to, co najdroższe. A Tom kochał ojca aż do bólu. Czuł na sobie wzrok Brotherhooda i cieszył się, że wzbudził jego zainteresowanie, nawet jeżeli nie pełną aprobatę.

- Znasz go bardzo długo, prawda, wujku? - zapytał, wsiadając do samochodu.

- Jeżeli trzydzieści pięć lat to dla ciebie długo...

- Bardzo długo - powiedział Tom, dla którego na razie tydzień był całą wiecznością. Wewnątrz samochodu wiatr nagle umilkł. - No dobrze. To jeżeli wszystko z tatą w porządku - dodał ze sztuczną śmiałością i równocześnie sięgnął za siebie, by zapiąć pas - to czemu szuka go policja? Bardzo chciałbym to

wiedzieć.

- Przepowiesz nam dziś przyszłość, Mary Lou? - zapytał wujek Jack.

- Dziś nie, kochanie. Nie jestem w nastroju.

- Ty zawsze jesteś w nastroju - rzekł wujek i oboje roześmiali się, a Tom poczerwieniał.

Mary Lou była Cyganką, tak powiedział mu kiedyś wujek, ale według Toma wyglądała bardziej na pirata. Miała tłustą pupę, czarne włosy i namalowane sztuczne usta, zupełnie jak pani Bauer. Piekła ciasta i podawała podwieczorki w swym domku na skraju wsi. Tom zamówił jaja w koszulkach na grzance - były tak świeże jak te w Plush. Wujek Jack dostał dzbanek herbaty i kawałek najlepszego placka z owocami. Sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o tym, o czym opowiadał Tom, i Tom był mu za to wdzięczny, bo chłopcu mąciło się trochę w głowie od świeżego powietrza i całej tej rozmowy. Za dwie godziny i osiem minut miał zadzwonić na wieczorne nabożeństwo. Pomyślał, że może warto by skorzystać z rady ojca i uciec.

- A coś ty mówił o policji? - zapytał niedbale Brotherhood, gdy Tom już dawno uznał, że wujek albo zapomniał, albo w ogóle nie usłyszał.

- Że ktoś z policji był u Cairda, a potem Caird kazał mi przyjść.

- Pan Caird, synu - poprawił go bardzo łagodnie Brotherhood i z ulgą pociągnął wielki łyk herbaty. - Kiedy?

- W piątek. Zaraz po rugby. Pan Caird kazał mi przyjść. Siedział u niego taki pan w płaszczu, powiedział, że jest ze Scotland Yardu, że chodzi o tatę, i czy przypadkiem nie mówić mi, gdzie jedzie na urlop, bo wziął urlop, ale był taki rozstrojony po pogrzebie dziadka, że nikomu nie powiedział, gdzie będzie.

- Bzdura - powiedział po dłuższej chwili Brotherhood.

- Nie, serio, to prawda.

- Myślałem, że mówiłeś, że było ich więcej.

- Nie, jeden.

- Wzrost?

- Z metr osiemdziesiąt.

- Wiek?

- Czterdzieści lat.

- Kolor włosów?
- Taki jak mój.
- Zarost?
- Nie.
- Oczy?
- Brązowe.

Bardzo często tak się bawili.

- Jakim był samochodem?
- Przyjechał taksówką ze stacji.
- Skąd wiesz?
- Bo przywiózł go pan Mellor. Wozi mnie na wiolonczelę i pracę społeczną. Zawsze stoi na postoju przy stacji.

- Musisz być dokładny, chłopie. Przyjechał taksówką pana Mellora. Mówił ci, że przyjechał pociągiem?

- Nie.
- A Mellor?
- Też nie.
- A skąd wiesz, że to był policjant?
- Pan Caird mi powiedział, kiedy mnie przedstawiał.
- Co miał na sobie?
- Garnitur. Szary garnitur.
- Podał ci stopień?
- Inspektor.

Brotherhood uśmiechnął się. Cudownym, uspokajającym uśmiechem.

- Ty głuptasie, przecież to był facet z ministerstwa, jakiś cieć z pracy taty. Nie policjant, synu, tylko dupek z kadr, który najwyraźniej nie ma nic do roboty. Caird jak zwykle wszystko pokręcił.

Tom omal nie rzucił mu się na szyję. Wyprostował się i od razu poczuł się wyższy i doroślejszy, a równocześnie miał ochotę ukryć twarz w tweedowej marynarce wujka. No pewnie, że to nie był policjant, jak na policjanta miał za małe stopy i za długie włosy, i w dodatku nie zachowywał się jak policjant, bo oni zwykle są jacyś tacy obcy, nawet kiedy usiłują być uprzejmi. Czyli w porządku, triumfował Tom. Wujek Jack wszystko wytłumaczył, jak zawsze.

Brotherhood podał mu chusteczkę, Tom szybko wytarł oczy.

- No, a co mu powiedziałaś? - zapytał po chwili Brotherhood. Tom powiedział, że nie wie, gdzie jest tata, że mówił, że chce się zaszyć w Szkocji na parę dni, nim wróci do Wiednia. Z jakiegoś powodu zaczęło to wyglądać, jakby tata się ukrywał, jakby popełnił jakieś przestępstwo albo jeszcze gorzej. A gdy Tom opowiedział już wujowi wszystko, co pamiętał z tamtej rozmowy, gdy przypomniał sobie pytania i że nawet dostał numer telefonu, pod który miał zadzwonić, gdyby tata się pojawił - nie miał go tu, zostawił u pana Cairda - wujek poszedł zatelefonować z pokoju Mary Lou, połączył się z panem Cairdem i wyprosił przedłużenie Tomowi zwolnienia do dziewiętej z ważnych względów rodzinnych.

- Ale ja mam zadzwonić na nabożeństwo - powiedział z niepokojem Tom.

- Carter Major zadzwoni za ciebie - odpowiedział wujek Jack, który doskonale we wszystkim się orientował.

Przy okazji dzwonił chyba też do Londynu, bo bardzo długo to trwało. Gdy wychodzili, dał Mary Lou jeszcze pięć funtów, żeby sobie wsadziła do pończochy na Gwiazdkę, i znowu oboje roześmiali się do rozpuku. Tylko że tym razem Tom śmiał się razem z nimi.

Tom sam potem nie wiedział, jak to się stało, kiedy zaczął wujkowi opowiadać o Korfu; zresztą może ich rozmowa nie przebiegała już żadnym określonym torem. Może była to już tylko taka pogawędka o wszystkim, co obaj robili od ostatniego spotkania, czyli aż od letnich wakacji - więc było o czym mówić. Bo Tom zrobił się nagle bardzo rozmowny. Od dawna tak z nikim nie rozmawiał, może zresztą nigdy, ale wujek Jack już taki był, łączył w sobie i tolerancję, i dyscyplinę, idealne połączenie dla Toma, który uwielbiał solidność wujka i pewność, jaką mu owa solidność dawała.

- A jak tam nauki przed bierzmowaniem? - zapytał w pewnej chwili Brotherhood.

- Dzięki, w porządku.

- Jesteś już prawie dorosły, Tom. Musisz to zrozumieć. Gdybyś mieszkał w innym kraju, pewnie już byś nosił mundur.

- Wiem.

- Dalej czasem ciężko ci się skupić?

- Czasem.
 - Ciągłe myślisz o Sandhurst?
 - Tak jest. W pułku wujka mówili, że jak mi dobrze pójdzie, to mnie przyjmą.
 - No to będziesz musiał przysiąc fałdów, co?
 - Już zakuwam, wujku.
- Wtedy wujek Jack pochylił się do niego i zniżył głos.
- Nie jestem pewien, czy powinienem o tym mówić, ale ci powiem, bo wiem, że umiesz dochować tajemnicy. Umiesz?
 - Znam mnóstwo tajemnic i nic nigdy nikomu nie powiedziałem.
 - No więc twój tata też zna ich mnóstwo, ale to pewnie wiesz...
 - Ty też, prawda?
 - Tata robi bardzo ważne rzeczy, ale nie wolno mu o tym mówić. Robi to dla kraju.
 - I dla ciebie - dodał Tom.
 - Dużo z tego, co robi, w ogóle nigdy nie będzie ujawnione.
 - A mama wie?
 - Ogólnie tak. Ale konkretnie nie. Więc jeśli kiedykolwiek mogło ci się wydawać, że tata kłamie albo że nie chce o czymś mówić, możesz być pewien, że to dlatego. Na pewno ciężko mu z tym żyć. Wszystkim nam jest ciężko. Tajemnica to ciężki obowiązek.
 - Czy to niebezpieczne? - zapytał Tom.
 - Czasem tak. I dlatego dostaje ochronę. Na przykład chłopcy na motocyklu, którzy jeżdżą za nim po Grecji i zawsze siedzą tam, gdzie mieszka.
 - Widziałem ich! - podniecił się Tom.
 - Albo wysocy, chudzi faceci z wąsami, którzy podchodzą do niego na meczach krykietowych...
 - Takiego też widziałem! Miał słomkowy kapelusz!
 - A czasem to, co robi, jest aż tak tajne, że tata musi zniknąć całkiem, i wtedy nawet ochrona nie wie, gdzie może być. Ja, oczywiście, wiem, ale nikt inny. Więc jeżeli ten inspektor, albo ktokolwiek inny, znowu do ciebie przyjedzie lub odwiedzi pana Cairda, musisz powiedzieć mu wszystko, co wiesz, i zaraz potem skontaktować się ze mną. Dam ci specjalny numer, i z

panem Cairdem też osobno porozmawiam. Twojemu tacie trzeba pomagać. Więc mu pomożemy.

- Bardzo się cieszę - powiedział Tom.

- No dobra. Aha, a ten list, który do ciebie napisał, ten taki długi? Czy pisał w nim o takich sprawach?

- Nie wiem, bo jeszcze go tak do końca nie przeczytałem. Dużo tam było o szczyryku Sefton Boyda i pisaniu czegoś w toalecie dla nauczycieli.

- A kto to jest Sefton Boyd?

- Taki jeden u nas w szkole. Kolega.

- Taty też?

- Nie, tata kolegował się z jego tatą, bo obaj chodzili do tej samej szkoły.

- A co zrobiłeś z listem?

Katowałem się nim. Za karę. Zmiałem go, aż zrobił się twardy i kanciasty, i wsadziłem do kieszeni spodni, żeby kłuł mnie w udo. Tego jednak Tom nie powiedział, tylko z ulgą wręczył wujkowi to, co zostało z listu. Wuj obiecał, że się tym zajmie i że wszystko obgadają następnym razem - jeżeli będzie o czym gadać, bo co do tego wujek miał duże wątpliwości.

- A kopertę też masz? Nie miał.

- Nie pamiętasz, skąd go nadał? Bo to mogłaby być jakaś wskazówka...

- Stempel był z Reading - powiedział Tom.

- Z jaką datą?

- Dostałem go w ten wtorek - powiedział z nieszczęśliwą miną Tom - ale mógł przyjść już w poniedziałek. Myślałem, że w poniedziałek po południu miał wrócić do Wiednia. No chyba że pojechał do Szkocji.

Tego wujek Jack chyba już nie słuchał, bo znowu zaczął mówić o Grecji, powracając do ich ulubionej zabawy w raport, której przedmiotem był tym razem ten wąsaty chudzielec z boiska do krykieta na Korfu.

- Martwiłeś się przez niego, co, synu? Pewnie myślałeś, że czegoś chce od twojego taty, choć był taki uprzejmy, no nie? No bo przecież jeżeli tak dobrze się znali, to czemu tata nie zaprosił go do domu, żeby przedstawić go mamie? Założę się, że nad tym się zastanawiałeś. I pewnie nie podobało ci się, że tata ukrywa coś przed mamą?

- No właśnie - przyznał Tom, jak zwykle pod wielkim

wrażeniem wszechwiedzy wujka Jacka. - Trzymał tatę za ramię.

Znowu siedzieli w restauracji hotelu. Tom, gdy tylko przestał się bać o ojca, odzyskał apetyt, więc zapychał kolejną porcję steku z frytkami. Dla siebie Brotherhood zamówił whisky.

- Wzrost? - zapytał Brotherhood, na nowo rozpoczynając zabawę w raport.

- Metr osiemdziesiąt.

- Bardzo dobrze. Dokładnie tak. Metr osiemdziesiąt. Kolor włosów?

Tom zawahał się.

- Taki jakiś mysiołowy w paski - powiedział.

- A cóż to znowu, do diabła?

- Bo miał kapelusz słomkowy. Trudno było zobaczyć.

- Wiem, że miał kapelusz, i dlatego właśnie cię pytam. Kolor włosów?

- Brązowy - zdecydował wreszcie Tom. - W słońcu wyglądał na brązowy. I miał wysokie czoło jak jakiś geniusz.

- A możesz mi wytłumaczyć, skąd to wszystko wiesz, skoro miał na głowie ten cholerny kapelusz?

- Siwobrązowe - powiedział Tom.

- No, to tak mów. Tylko dwa punkty. Z wstążką?

- Czerwoną.

- No nie.

- Czerwoną.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Czerwoną, czerwoną, czerwoną!

- Trzy punkty. Kolor brody?

- Nie miał żadnej brody, tylko kosmate wąsy, grube brwi, takie jak twoje, ale mniej krzaczaste, i zmarszczki pod oczyma.

- Trzy punkty. Jak zbudowany?

- Garbaty i połamany.

- Jaki?

- Połamany. To znaczy kulawy. - Aha, kuleje?

- Tak.

- No to tak mów. Na którą nogę?

- Lewą.

- Jeszcze raz.

- Na lewą!

- Na mur?
- Na lewą!
- Trzy punkty. Wiek?
- Siedemdziesiąt lat.
- Nie wygłupiaj się.
- On naprawdę jest strasznie stary!
- Ale siedemdziesiątki nie ma. Ja też nie. Ja nawet nie mam sześćdziesiątki. No dobra, mam, ale dopiero od niedawna. Starszy ode mnie?
- Nie, w tym samym wieku.
- Miał coś ze sobą?
- Walizeczkę. Szarą, jakby ze skóry słonia. I był żylasty, zupełnie jak pan Toombs.
- Kto to jest Toombs?
- Nasz pan od gimnastyki. Poza tym uczy nas aikido i geografii. Zabił już paru ludzi samymi nogami, chociaż mu nie wolno.
- No dobra. Czyli żylasty jak pan Toombs i z szarą walizeczką. Dwa punkty. Następnym razem unikaj subiektywnych porównań.
- Czego?
- Tego o panu Toombsie. Ty go znasz, ale ja nie. Nie porównuj jednej osoby, której nie znam, z drugą.
- Mówiłeś, że go znasz - powiedział natychmiast Tom, zachwycony, że udało mu się przyłapać wujka.
- No pewnie, że znam. Wygłupiam się. Miał auto?
- Volvo. Wynajęte od pana Kaloumenosa.
- Skąd wiesz?
- Bo pan Kaloumenos każdemu je wynajmuje. Siedzi w porcie i jak ktoś chce wynająć auto, to pan Kalouemenos daje mu volvo.
- Jaki kolor?
- Zielony. I ma stuknięty błotnik, rejestrację z Korfu, zieloną kitkę na antenie i...
- Czerwoną.
- Zieloną!
- Zero punktów - powiedział stanowczo Brotherhood ku oburzeniu Toma.

- A to dlaczego?

Brotherhood uśmiechnął się chytrze.

- Przecież to nie był jego samochód. Skąd wiesz, że wynajął go ten z wąsami, skoro jechali nim tamci dwaj? Znowu nie jesteś obiektywny, synu.

- Ale on dowodził!

- Tego nie wiesz, tylko się domyślasz. Takimi domysłami mógłbyś kiedyś rozpętać kolejną wojnę światową. A słyszałeś o kimś, kogo tata nazywał Stokrotka?

- Nie.

- Może to jakaś jego ciocia? Albo wujek? Tom zachichotał.

- Nie.

- A mówi ci coś nazwisko Wentworth? - Nie.

- Całkiem nie?

- Nie. Jest chyba taka miejscowość w Surrey. - Bardzo dobrze, synu. Nigdy nie zmyślaj, jeśli nie wiesz na pewno. Podstawowa zasada.

- Znowu się ze mną droczyłeś?

- Może, może. Tata mówił, kiedy znowu się zobaczycie?

- Nie mówił.

- A zwykle mówi.

- Raczej nie.

- No to czym się martwisz?

- Bo ten list...

- Co ten list?

- Zupełnie jakby myślał, że umrze. - Gadanie. Wydaje ci się. I jeszcze ci powiem, że jeśli chodzi o tę tajną kryjówkę taty, to w porządku. Wiemy o niej. Zostawił ci adres?

- Nie.

- Mówił, gdzie to jest w Szkocji?

- Nie. Powiedział tylko, że w Szkocji. Nad morzem w Szkocji. Gdzieś, gdzie może pisać, bo nikt go tam nie znajdzie.

- I więcej już nie mógł ci powiedzieć, Tom. Po prostu mu nie wolno. Ile ma tam pokoi?

- Nie mówił.

- A kto mu robi zakupy?

- Nie mówił. Ale ma supergospodynię, bardzo starą.

- Porządny z niego chłop. I mądry. Ona też jest w porządku,

to, oczywiście, też ktoś od nas. No, teraz już naprawdę nie masz się o co martwić. - Wujek Jack zerknął z ukosa na zegarek. - Dobra. Dojedź to i weź sobie jeszcze lemoniady. Muszę wyprowadzić pieska. - Wciąż uśmiechając się, ruszył ku drzwiom z napisem „Toalety” i „Telefon”. Tom był świetnym obserwatorem, więc od razu zauważył świetny humor wujka, aż dostał wypieków na policzkach, że cieszy się jak on sam i że wszystko jest w najlepszym porządku.

Brotherhood miał żonę i dom w Lambeth, teoretycznie więc mógł pojechać tam. Drugą żonę miał w Suffolk, rozwiedzioną, co prawda, ale byle ją uprzedzić, też by go przyjęła. W Pinner z kolei miał córkę, która wyszła za radcę prawnego; życzył im obojgu jak najgorzej, zresztą ze wzajemnością. Mimo to jednak i oni musieliby go ugościć - z czystego obowiązku. No i miał jeszcze syna nieudacznika, który klepał biedę, grając w marnym teatrze. Gdy Brotherhoodowi czasem robiło się go żal - ostatnio jakoś często mu się to przytrafiało - i gdy był pewny, że jakoś wytrzyma brud i odór trawki - a i to mu się czasem przytrafiało - wiedział, że zawsze może liczyć na brudny barłóg, który Adrian nazywał gościnnym łóżkiem. Dziś jednak i aż do chwili, gdy uda mu się wreszcie rozmówić z Pymem, nie chciał mieć z nikim z nich do czynienia. Wolał już swą parszywą melinę w Shepherd Market, gdzie na parapetach kopulują gołębie, a dziwki patrolują chodnik pod oknem, zupełnie jak on sam na wojnie. Od czasu do czasu Firma usiłowała odebrać mu to mieszkanko albo odliczać czynsz z jego pensji. Biurwy z kadr nazywały tę metę jego kopulatorium, i zresztą od czasu do czasu rzeczywiście używał jej do tego celu. W dodatku szlag je trafiał, gdy wliczał w kosztą wypitą tam wódkę i pieniądze dla sprzętaczki, bo wcale mu się to nie należało; niestety Brotherhood był dla nich za twardy, o czym doskonale wiedziały.

- Znaleźli nowe dane o stosowaniu gazet przez wywiad czeski - powiedziała w poduszkę Kate. - Ale nic, co by ostatecznie rozstrzygało sprawę.

Brotherhood pociągnął kolejny łyk wódki. Dochodziła druga nad razem. Byli tu od godziny.

- Czekaj, niech zgadnę. Wielki szpieg dziurkuje szpileczką gazety i wysyła je szefowi. Szef podnosi gazetę pod światło i

odczytuje plany zagłady atomowej. Ciekawe, co jeszcze wymyślą. Znaki dymne?

Leżała obok niego na wąskim łóżku, tak jasna, że niemal świecąca - czterdziestoletnia panienka z Cambridge, która zeszła na złą drogę. Szaroróżowa poświata zza okna cięła ją na fragmenty klasycznego posągu: tu udo, tu łydka, tam stożek piersi czy ostry jak brzytwa zarys boku. Niech to diabli, czego ona ode mnie chce, ta smutna, piękna brydźystka z Piątego Piętra, niby to zawiedziona w miłości, zmysłowa świętoszka? Brotherhood zadawał sobie to pytanie już od siedmiu lat. Objeżdżał placówki, jeździł nie wiadomo gdzie, nie rozmawiał z nią ani do niej nie pisał miesiącami - ale zwykle zdążył tylko rozpakować szczoteczkę do zębów i już była w jego ramionach, pożądając go smutnymi, wygłodniałymi oczyma. Czy takich jak ja ma całą setkę, nas, pilotów myśliwców, którzy wracają do niej, kulejąc po kolejnej misji? Czy tylko mnie udało się ożywić posąg?

- Poza tym Bo zaprosił do zabawy jakiegoś wielkiego psychologa - ciągnęła swym arystokratycznym akcentem. - Specjalistę od załamania nerwowego. Posadzili go nad dossier Pyma i kazali mu sporządzić profil lojalnego Anglika, który pod wpływem stresu wywołuje niepokój u innych, szczególnie u Amerykanów.

- Zaraz zaczną radzić się medium - powiedział Brotherhood.

- Sprawdzili loty na Bahamy, do Szkocji i Irlandii. Pewnie, czemu nie tam? Sprawdzili statki, wypożyczalnie samochodów I Bóg wie co jeszcze. Dostali nakaz podsłuchu na telefony, z których kiedykolwiek dzwonił, i nakaz in blanco na wszystko inne. Odwołali urlopy i weekendy szyfrantom i zarządzili zespołom nadzoru całodobowy alarm, ale jeszcze nikomu nie powiedzieli, o co chodzi. W stołówce jest teraz jak w zakładzie pogrzebowym, nikt z nikim nie rozmawia. Przesłuchują każdego, kto kiedykolwiek siedział z nim w tym samym pokoju albo kupił od niego używane auto. Wyrzucili na bruk lokatorów z kamienicy Pymów w Dulwich i przeszukali ją od piwnic aż po strych, podając się za speców od korników. Teraz Nigel już przebąkuje o przeniesieniu grupy poszukiwawczej do firmowego domu na Norfolk Street, tak się rozrosła. Z przynależnościami zrobiło się

tego już ze sto pięćdziesiąt osób. Co jest w czarnej skrzynce?

- A co?

- A to, że w ogóle się o niej nie mówi. No wiesz, nie przy dzieciach. I Nigel, i Bo nabierają wody w usta, gdy tylko ktoś o niej wspomni.

- A prasa? - zapytał Brotherhood, zupełnie jakby odpowiedział na jej pytanie, a nie wykręcił się od odpowiedzi.

- Knebel, jak zwykle. Na wszystko. Brammel zaprosił wczoraj panów redaktorów na lunch. Przedtem jeszcze napisał do ich szefów, co się stanie, jeżeli ktoś pisnie słówko. Że plotki tylko osłabiają bezpieczeństwo państwa i że bezpodstawne spekulacje to nasz najgorszy wróg. Z kolei Nigel naciska na radio i telewizję.

- No, no, nacisk całych czterdziestu kilo. Wiadomo coś o tym glinie przebierańcu?

- Kimkolwiek był, to nikt z naszych. Ani z Firmy, ani z policji.

- To może od konkurencji? Wcale nie muszą nas pytać o pozwolenie, prawda?

- Właśnie. Brammel jest przerażony, że Amerykanie szukają Pyma na własną rękę.

- Gdyby to byli Amerykanie, przysłoby ich trzech. Nie, to pepik. Oni właśnie tak pracują. Tak samo latali w czasie wojny.

- Według dyrektora szkoły facet mówił piękną angielszczyzną, ani śladu obcego akcentu. Nie przyjechał i nie odjechał pociągiem. Przedstawił się jako inspektor Baring z Sekcji Specjalnej, ale takiego w sekcji nie ma. Za taksówkę ze stacji i z powrotem zapłacił dwanaście funtów, nie chciał rachunku. Zostawił fałszywą wizytówkę. Teraz szukają drukarni, producenta papieru i pewnie też producenta farby drukarskiej, ale nie chcą prosić o pomoc ani policji, ani konkurencji, ani żadnych kontaktów. Robią wszystko, co się da, byle po cichu.

- A ten numer w Londynie, który podał?

- Też fałszywy.

- Śmiałym się, gdyby mi było do śmiechu. A co ma Bo do powiedzenia na temat naszego wąsatego dżentelmena z walizeczką, który prowadzi się pod rękę z Pymem na meczach krykietowych?

- Nic nie mówi. Mówi, że gdybyśmy sprawdzali każdego

znajomego z krykieta, nie mielibyśmy ani znajomych, ani krykieta. Ściągnął więcej dziewczyn do przejrzenia wykazów figur czeskich i kazał placówce w Atenach wysłać kogoś, żeby pogadał na Korfu z tym od volva. Inaczej mówiąc, zwlekamy, odmawiamy paciorki i mamy nadzieję, że Magnus się pojawi.

- A ja co? Mam stać w kącie?

- Są przerażeni, że zburzysz świątynię.

- Myślałem, że Pym już to zrobił.

- Więc może zaraziłeś się od niego przez kontakt - powiedziała Kate swym świeżym głosem drużyny drużynowej.

Brotherhood znów pociągnął wódki.

- Żeby chociaż pościągali siatki. Żeby choć raz zrobili to, co oczywiste.

- Nie robią niczego, co mogłoby zaniepokoić Amerykanów. Wolą załgać się na śmierć. „Przez ostatnie trzy chude lata dorobiliśmy się trzech tłustych zdrajców. Niech się zdarzy jeszcze jeden, to możemy od razu pakować manatki”. To słowa Bo.

- Czyli nasze kontakty muszą zginąć za naszego wielkiego sojusznika. Bardzo ładnie. Kontaktom też się to spodoba. Na pewno nas zrozumieją.

- Znajdą go?

- Może.

- Może to za mało. Pytam się, Jack. Znajdą go? Ty go znajdziesz?

Nagle władcza, rozkazująca. Wyjęła mu z dłoni szklankę i dopiła zawartość. Brotherhood patrzył, jak przechyliła się przez krawędź łóżka i szukała w torebce papierosa. Podała mu zapalniczki, zapaliła.

- Brammel zapędził do roboty tłumy ludzi - powiedział, wciąż przyglądając się jej badawczo. - Może ktoś coś wygrzebie. Nie wiedziałem, że palisz, Kate.

- Nie palę.

- I z przyjemnością stwierdzam, że picie też nieźle ci idzie. Nigdy nie widziałem, żebyś tyle wlała w siebie na jeden raz. Tego jestem pewny. Kto cię tego nauczył?

- A co, nie wolno?

- Wolno, wolno. Tylko dlaczego? Bo ty chcesz mi coś

powiedzieć, no nie? Coś, co mi się chyba nie spodoba. Przez chwilę pomyślałem, że może szpiegujesz dla Bo. Że chcesz mi wyciąć numer. Ale zaraz pomyślałem: Nie, ona tylko usiłuje mi coś powiedzieć. Chce mi coś wyznać, jakiś mały, intymny sekrecik.

- On kłamał.

- Kto, kochanie?

- Magnus.

- Aha, Magnus? Magnus kłamał? Na jaki temat?

- Przytul mnie, Jack.

- Akurat cię przytulę. - Odsunął się od niej i wtedy zobaczył, że to, co uznał za butę, było stoicką, rozpaczliwą rezygnacją. I z tym wyrazem twarzy patrzyła mu smutno prosto w oczy.

- „Kocham cię, Kate” - odezwała się. - „Jak się to wszystko skończy, ożenię się z tobą i będziemy żyć długo i szczęśliwie”.

Brotherhood odebrał jej papierosa i sam się zaciągnął.

- „Rzucę Mary. Wyjedziemy, zamieszkamy za granicą. We Francji, w Maroku, gdzie zechcesz”. Telefony z drugiego końca świata: „Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że cię kocham”. I kwiaty z bilecikami „Kocham Cię”. Liściki, karteluszeki wetknięte w coś albo pod drzwi, ściśle tajne, tylko dla mnie. „Mam dość gdybania, Kate. Czas przejść do czynów. Tylko Ty możesz mi pomóc. Kocham Cię, M.”

Brotherhood wciąż czekał.

- „Kocham cię”. W kółko to powtarzał. Jakby to był rytuał, w który chciał uwierzyć. „Kocham cię”. Chyba miał nadzieję, że jeżeli powie to wystarczająco dużo razy, to któregoś dnia się spełni. Ale tak się nie stało. On nigdy nie kochał żadnej kobiety, bo każda z nich była dla niego jak wróg. Przytul mnie, Jack!

Ku własnemu zdumieniu poczuł łączącą ich więź. Przyciągnął ją do siebie i mocno przycisnął do piersi.

- Brammel wie coś na ten temat?

Poczuł pot na plecach. I niemal namacalną obecność Pyma w zakamarkach jej ciała. Pokręciła głową, ale on potrząsnął nią lekko, zmuszając, by powiedziała: Nie, Jack, Bo nic nie wie. Nie ma o niczym pojęcia.

- Magnus musiał mieć wszystko - mówiła dalej. - Mógł mnie mieć zawsze, ale jemu to nie wystarczało. „Czekaj na mnie,

Kate. Zerwę się ze smyczy, uwolnię się. Kate, to ja, gdzie jesteś?". Tu jestem, idioto, przecież rozmawiam z tobą. On nie ma romansów, tylko kilka osobnych światów. Każda z nas była na osobnej planecie, na której on może się zatrzymać, gdy dryfuje w kosmosie. Wiesz, jakie moje zdjęcie lubił najbardziej?

- Nie mam pojęcia, Kate.

- Jestem nago, na plaży w Normandii. Wyrwaliśmy się raz na weekend. Odwrócona jestem do niego plecami, wchodzę do wody. Nawet nie wiedziałam, że wziął aparat.

- Piękna z ciebie dziewczyna, Kate. Sam miałbym ochotę na takie zdjęcie - powiedział Brotherhood i odgarnął jej włosy, by lepiej widzieć twarz.

- On wolał je nawet ode mnie. Jestem odwrócona plecami, więc mogę być każdą, jego dziewczyną na plaży, jego marzeniem. W ten sposób nie narzucałam się jego fantazjom. Musisz mnie z tego wyciągnąć, Jack.

- To zależy, jak głęboko wdepnęłaś.

- Dość głęboko. - Pisałaś do niego?

Pokręciła głową.

- Oddałaś mu jakąś drobną przysługę? Popatrzyłaś na coś przez palce? Lepiej będzie, jeżeli mi powiesz. - Czekał, czując coraz silniejszy nacisk jej głowy. - Słyszysz? - Skinęła głową. - Ja już jestem trupem, Kate, ale ty możesz jeszcze żyć. Jeżeli wyda się, że łączy was choć odrobinę więcej niż wypity wspólnie koktajl truskawkowy u McDonalds'a, kiedy przypadkowo spotkaliście się po pracy na przystanku autobusowym, nawet nie zauważysz, jak ogolą ci głowę i zamkną w dziale gospodarczym. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Kolejne skinienie.

- No to co takiego zrobiłaś? Pewnie ukradłaś parę tajemnic, może nawet coś szczególnie smakowitego z działki Bo? - Pokręciła głową. - No, Kate, nie kłam. Przecież on mnie też wykiwał. Nie bój się, nie rzucę cię na pożarcie. Co dla niego zrobiłaś?

- Był taki wpis w jego aktach - powiedziała.

- No i?

- Chciał, żeby tego się pozbyć. Jakaś stara sprawa. Wojskowy raport z czasów służby zasadniczej w Austrii.

- Kiedy to zrobiłaś?
- Dawno temu. Mniej więcej rok po tym, jak między nami się zaczęło. Właśnie wrócił z Pragi.

- Czyli zrobiłaś. Rzeczywiście dobrałaś się do jego akt?

- Mówił, że to jakieś głupstwo, że był wtedy bardzo młody, prawie dziecko. Przeprowadzał przez zieloną granicę do Czechosłowacji jakiś mało ważny kontakt. Naprawdę drobna sprawa. Ale już na miejscu napatoczyła się jakaś Sabina, zakochała się w nim, chciała za niego wyjść i uciekła z nim, gdy wracał. Szczegółów nie pamiętam, nie uważałam. Mówił, że jeżeli przejrzą jego akta i trafią na ten epizodzik, nigdy nie awansują go na Piąte Piętro.

- No, czyli rzeczywiście nic takiego, prawda? Przytaknęła.

- Ten kontakt pewnie jakoś się nazywał? - zapytał Brotherhood.

- Miał pseudonim. Greensleeves, jak ta stara ballada.

- No proszę, jakie to angielskie. Greensleeves. Czyli co, wyciągnęłaś papierek z jego teczki, i co dalej? No, Kate, gadaj. Wydało się. Gadaj.

- Wykraść go.

- No dobra. I co z nim zrobiłaś?

- O to samo mnie zapytał.

- Kiedy?

- Telefonował do mnie.

- Kiedy?

- W poniedziałek wieczór. Kiedy miał być już w samolocie do Wiednia.

- O której? No, Kate, to ważne. O której godzinie?

- O dziesiątej, może później, o wpół do jedenastej. Nie, trochę wcześniej. Właśnie oglądałam wiadomości o dziesiątej.

- Co pokazywali, kiedy zadzwonił?

- Liban. Ostrzał artyleryjski. W Bejrucie, a może gdzie indziej. Jak tylko usłyszałam, że to on, wyłączyłam fonię i wszystko wyglądało jak na niemym filmie. „Bardzo chciałem usłyszeć twój głos, Kate. Przepraszam za wszystko. Dzwonię, żeby cię przeprosić. Nie byłem taki całkiem zły, Kate. Nie do końca udawałem”.

- Wszystko w czasie przeszłym?

- No właśnie. Jakby robił jakiś rozrachunek. Powiedziałam mu, że to dlatego, że umarł mu ojciec, że wszystko będzie w porządku, żeby się nie rozklejał. Przestań mówić, jakbyś sam umierał. Wpadnij do mnie. Gdzie jesteś? A może ja przyjadę do ciebie? Powiedział, że nie. Że już nigdy. A potem zaczął mówić o swoich aktach. Że teraz mogę już każdemu powiedzieć, co zrobiłam, że nie muszę już go osłaniać, tylko żeby dać mu jeszcze tydzień. „Jeden tydzień, Kate. To niewiele po tylu latach”. I potem spytał jeszcze, czy mam ten papierek, który wtedy wyciągnęłam. Czy go znalazłam, czy zrobiłam kopię.

- Co odpowiedziałaś?

Poszła do łazienki i wróciła z kosmetyczką. Wyciągnęła z niej złożony na pół kwadrat ze zbrązowiałego papieru i wręczyła mu. Dałaś mu kopię?

- Nie.

- A prosił cię o to?

- Nie. Tego bym nie zrobiła. Na pewno to wiedział. Powiedziałam mu, że zabrałam, że może mi wierzyć. Pomyślałam sobie, że kiedyś odłożę na miejsce, ale była to dla mnie trochę pamiątka.

- Gdzie był, kiedy do ciebie telefonował?

- Dzwonił z budki.

- Na twój koszt?

- Nie. Międzymiastowa, ale nie bardzo daleko. Słyszałam, że ze cztery razy dorzucał po pięćdziesiąt pensów. Tylko, jak go znam, równie dobrze mógł być w Londynie. Rozmowa trwała dwadzieścia minut, ale przez większość czasu nic nie mówił.

- Opisz mi, jak to wyglądało. No, stara, obiecuję ci, że musisz mi to opowiedzieć tylko ten jeden raz, więc postaraj się opisać wszystko jak najdokładniej.

- Zapytałam: „Czemu nie jesteś w Wiedniu?”.

- A co on na to?

- Powiedział, że kończą mu się drobne. Tak właśnie zakończył: „Kończą mi się drobne”.

- Miał jakąś metę? Jeździliście gdzieś razem?

- Tylko albo do mnie, albo do hotelu.

- Którego?

- Grosvenor przy dworcu Victoria, Great Eastern na

Liverpool Street. Ma tam ulubione pokoje z widokiem na tory.

- Podaj mi numery.

Trzymając ją w ramionach, poprowadził ją do biurka i zapisał oba podyktowane numery. Potem narzucił swój stary szlafrok, przewiązał się w pasie i uśmiechnął się do niej.

- Ja też go kochałem, Kate. Jestem jeszcze większy głupek niż ty. - Ona wcale się nie uśmiechnęła. - A nie mówił ci czasem, gdzie jeździ, jak chce się oderwać od tego wszystkiego? Albo że o czymś takim marzy?

Nalał jej wódki, przyjęła szklanekę.

- Mówił o Norwegii - powiedziała. - Chciał kiedyś zobaczyć wędrówki reniferów. Mówił, że kiedyś mnie na to zabierze.

- A poza tym?

- O Hiszpanii. Że kupi nam willę gdzieś na północy.

- Opowiadał ci o swoim pisaniu?

- Trochę. Mało.

- Mówił ci, gdzie zamierza napisać swoje wielkie dzieło?

- W Kanadzie. Mówił, że pojedziemy przezimować gdzieś, gdzie będzie mnóstwo śniegu, i że będziemy się żywić samymi konserwami.

- A nad morzem? Nie mówił ci, że jeździ gdzieś nad morze?

- Nie mówił.

- Wspominał ci kiedyś o kimś, kto nazywa się Stokrotka? No wiesz, tak jak w tej jego książce?

- O innych babach nigdy nic mi nie mówił. Mówiłam ci już, byliśmy jak na osobnych planetach.

- A może o kimś, kto się nazywa Wentworth? Pokręciła głową.

- „Wentworth był Nemezis Ricka. Moją - Stokrotka. Potem przez całe życie obaj usiłowaliśmy wynagrodzić im to, co im zrobiliśmy”. Słuchałaś nagrań, czytałaś transkrypcję. Wentworth.

- On zwariował - powiedziała.

- Czekaj. Czekaj.

Wrócił do biurka, jednym ruchem ręki zrzucił z niego książki i papiery, włączył lampę, usiadł i położył zbrązowiałą kartkę obok pomiętego listu Pyma do Toma, tego ze stemplem z Reading. Podniósł z podłogi londyńską książkę telefoniczną. Zaczął od hotelu Grosvenor; poprosił nocnego portiera o połączenie z

numerem podanym przez Kate. Po chwili usłyszał w słuchawce zaspany męski głos.

- Tu ochrona hotelu - powiedział Brotherhood. - Proszę pana, mamy powody przypuszczać, że nie jest pan sam w pokoju.

- No pewnie, że nie jestem sam, tylko z żoną. Kurwa mać, przecież zapłaciłem za dwie osoby, nie?

Nie był to żaden z głosów Pyma.

Brotherhood śmiał się sam, bo Kate jakoś to nie rozbawiło. Teraz zatelefonował do Great Eastern - z podobnym skutkiem. Potem do agencji informacyjnej Independent News, gdzie przedstawił się jako inspektor Markley ze Scotland Yardu i zażądał podania czasu nadania informacji o ostrzale artyleryjskim w Libanie w poniedziałkowym dzienniku o dziesiątej wieczór. Cierpliwie czekał na odpowiedź, przerzucając kartki listu Pyma. Stempel z Reading, nadany w poniedziałek wieczorem lub we wtorek rano.

- Dziesiąta siedemnaście, dziesięć sekund. Wtedy do ciebie zadzwonił - powiedział Kate i obejrzał się na nią, czy wszystko w porządku. Siedziała oparta o poduszkę z głową odchyloną do tyłu, zupełnie jak bokser między jedną a drugą rundą.

Następny telefon wykonał do nadzoru pocztowego Firmy. Odebrał oficer dyżurny, kobieta. Brotherhood podał hasło. Usłyszał w odpowiedzi „Słucham pana”, wypowiedziane takim tonem, jakby zaraz miała wybuchnąć trzecia wojna światowa.

- Z góry wiem, że się nie uda, i muszę to mieć na wczoraj - powiedział.

- Zrobimy, co się da.

- Chodzi o rozmowę telefoniczną z budki gdzieś w okolicy Reading do Londynu, między dziesiątą osiemnaście a dziesiątą dwadzieścia jeden w poniedziałek wieczór. Czas trwania około dwudziestu minut.

- Nic z tego - odpowiedziała natychmiast.

- Fantastyczna dziewczyna - rzucił przez ramię do Kate, która teraz przewróciła się na brzuch i leżała z twarzą wtuloną w ramię.

Rozłączył się i na serio zajął się kartkami wyciągniętymi przez Kate z akt Pyma. Były trzy. Stanowiły wyciąg z akt

wojskowych porucznika Magnusa Pyma, tu numer, wywiadowcy przydzielonego do połowej Grupy nr VI w Grazu, opisanej w przypisie jako jednostka wywiadu wojskowego o ograniczonych uprawnieniach do prowadzenia miejscowych informatorów. Data: 18 lipca 1951 r., autor nieznany. Odnośny ustęp został zakreślony na marginesie. Powód sporządzenia notatki: oficjalna prośba Pyma o przyjęcie do służby. Źródło: końcowy raport dowódcy pod koniec służby Pyma w Austrii. „...doskonały młody oficer... lubiany przez kolegów i przełożonych... wykazał się wysokimi zdolnościami operacyjnymi przy prowadzeniu agenta Greensleeves, który od jedenastu miesięcy dostarcza tajnych i ściśle tajnych informacji o rozmieszczeniu wojsk sowieckich w Czechosłowacji...”

- Nie śpisz?! - zawołał do Kate. - To nie śpij. Słuchaj, nic takiego się nie stało, że to zabrałaś. Tego na pewno nikt nie szukał.

Przerzucił stronę. „...Bliski związek osobisty między agentem a prowadzącym sprawę... spokój i opanowanie Pyma w trudnych chwilach... agent uparcie odmawiał współpracy z innymi prowadzącymi...”. Szybko doczytał do końca, po czym zaczął od początku, ale już wolniej.

- Jego dowódca też za nim przepadał - powiedział do Kate. Odczytał jej: - „Doskonała pamięć szczegółów... przejrzystość raportów, pisanych często nad ranem po długim debriefingu... świetny styl...”. Ani słowa o tej Sabinie - gderał. - Nie rozumiem, po kiego diabła tak mu na tym świstku zależało. Po co narażał swoje układy z tobą, żeby pozbyć się czegoś sprzed stu lat, i w dodatku czegoś tak chwalebego? Chyba coś sobie ubzdurał. Krótko mówiąc, nie nasza sprawa.

Zadzwoił telefon. Brotherhood obejrzał się za siebie, zobaczył, że łóżko jest puste, drzwi do łazienki - zamknięte. Przestraszony rzucił się do nich i szybko je otworzył. Kate stała przy umywalce i pryskała sobie wodą twarz. Brotherhood zamknął z powrotem drzwi i pospieszył do telefonu - zielonego scramblera z chromowanymi przyciskami. Podniósł słuchawkę i warknął: - Tak?

- Jack? Włącz zagłuszanie. Gotowy? No, już. Brotherhood nacisnął jeden z przycisków i usłyszał ten sam tenor, ale w istnej

burzy elektronicznych trzasków.

- To cię ucieszy, Jack... Jack, jesteś tam? Halo?

- Słucham, Bo.

- Właśnie rozmawiałem z Carverem. - Carver był szefem amerykańskiej placówki w Londynie. - Twierdzi, że mają nowe fakty na temat naszego wspólnego znajomego. I że chcą natychmiast się spotkać. Harry Wexler już leci z Waszyngtonu, żeby dopilnować, czy wszystko odbędzie się fair.

- Nic więcej?

- A co, mało ci?

Wiedzą, gdzie jest? - zapytał Brotherhood.

Ano właśnie. Nie pytali. Nie byli podenerwowani. Myślą, że nadal załatwia sprawy po ojcu - odpowiedział z wielkim zadowoleniem Brammel. - Nawet coś takiego dodali, że najlepiej spotkać się właśnie teraz, kiedy nasz kolega zajmuje się sprawami osobistymi. Według nich wszystko jest po staremu, tylko że mają nowe fakty. Wszystko gra.

- Tak, wszystko gra, tylko że siatki... - odezwał się Brotherhood.

- Zabieram cię na to spotkanie, Jack. Masz siedzieć przy mnie i walczyć, jak zwykle. Mogę na ciebie liczyć?

- Jeżeli to rozkaz, zrobię wszystko, co każesz. Brammel mówił tak, jakby organizował wspaniałą imprezę.

- Z naszej strony będą ci, co zwykle. Żadnych nowych twarzy, żadnych nieobecnych. Dopóki go nie znajdziemy, ma być tak jak zawsze. W końcu to wszystko może jeszcze okazać się burzą w szklance wody. W Whitehall są o tym przekonani. Twierdzą, że to kontynuacja starej sprawy, a nie nic nowego. Ale tam mają spryciarzy, no nie? Niektórzy nawet nie są tam po linii partyjnej. Co ty, śpisz?

- Ostatnio jakoś mało sypiam.

- Ja też. Musimy się trzymać razem. Nigel pojechał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Coś takiego - powiedział głośno Brotherhood i rozłączył się. - Kate?

- No co?

- Tylko trzymaj ręce z daleka od żyłek, słyszysz? Oboje jesteśmy za starzy na takie dramatyczne gesty.

Odczekał chwilę, wykręcił numer centrali i poprosił o połączenie z nocnym oficerem dyżurnym.

- Macie gońca?

- Tak jest.

- Tu Brotherhood. Potrzebuję akt z Ministerstwa Wojny. Stara sprawa polowa z czasów naszej okupacji Austrii. Kryptonim operacji Greensleeves. Proszę się nie śmiać. Gdzie tego szukać?

- Chyba w Ministerstwie Obrony, skoro Ministerstwa Wojny nie ma chyba od dwustu lat.

- Nazwisko?

- Nicholson.

- Żadne „chyba”. Macie dowiedzieć się, gdzie to jest, ściągnąć to dla mnie i meldować, jak się to u was znajdzie na biurku. Macie coś do pisania?

- Niestety nie. Nigel zostawił instrukcje, że wszystkie pana polecenia mają być najpierw zatwierdzone przez sekretariat. Bardzo mi przykro.

- Nigel jest teraz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zapytajcie Bo. A przy okazji dowiedzcie się w Ministerstwie Obrony, kto dowodził Szóstą Grupą Wywiadu w Grazu, w Austrii, 18 lipca 1951. Spiesz mi się. Zapisaliście? Greensleeves. Może nie słuchacie starych ballad?

Odłożył słuchawkę i ze złością chwycił list do Toma.

- On jest jak muszla - odezwała się Kate. - Wystarczy tylko znaleźć raka pustelnika, który w nią wlaź. Nie szukaj prawdy o nim samym, bo znajdziesz tylko to, czym sami go zrobiliśmy.

- Pewnie - powiedział Brotherhood. Na osobnej kartce papieru wynotowywał fragmenty listu. „Jeżeli przez jakiś czas nie będę do Ciebie pisał, pamiętaj, że i tak myślę o Tobie bez przerwy”. Sentymentalne bzdury. „Jeżeli będziesz potrzebował pomocy, a nie będziesz chciał prosić wujka Jacka, zrób tak”. Czytał dalej, wypisując kolejne ojcowskie rady Pyma. „Nie zaśmiecaj sobie głowy religią, ale ufaj boskiej dobroci”. - A niech go diabli! - wyrzucił z siebie na użytek Kate, rzucił ołówek na stół i oparł głowę na pięściach. Znów zadzwonił telefon. Przez chwilę nie odbierał, uspokoił się i podniósł słuchawkę, równocześnie z przyzwyczajenia zerkając na zegarek.

- Akta, o które pan prosił, zniknęły dawno temu - powiedział z satysfakcją Nicholson.

- Kto je zniknął?

- My. Powiedziano mi, że sami je pobraliśmy i muszą być u nas.

- A u kogo z nas?

- Sekcja czeska. Pobrano przez jednego z dyżurnych w Londynie w 1953.

- Kto był tym dyżurnym?

- Jakiś M. R. P. Czyli Pym. Mam zatelefonować do Wiednia, czy nie wiedzą, co on z tym zrobił?

- Sam ich rano zapytam - powiedział Brotherhood. - No, a ten dowódca?

- Niejaki major Harrison Membury, Korpus Szkolenia.

- Co takiego?!

- Oddelegowany do pracy w wywiadzie wojskowym w okresie 1950 - 54.

- Rany boskie. Adres?

Zapisał. Równocześnie przypomniało mu się sparafrazowane przez Pyma powiedzenie Clemenceau, że wywiad wojskowy ma się tak do wywiadu, jak muzyka wojskowa do muzyki.

Odłożył słuchawkę.

- Ten dyżurny o niczym nie ma pojęcia - złościł się, znów na użytek Kate.

Już w lepszym nastroju wrócił do pracy. Gdzieś za Green Park londyński zegar wybijał trzecią.

- Idę - powiedziała Kate. Stała w drzwiach, ubrana. Brotherhood zerwał się na równe nogi.

- O nie, nic z tego. Pójdiesz, ale dopiero, jak się roześmiejesz. Podeszedł do niej i rozebrał ją. I z powrotem położył do łóżka.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym się zabić? - powiedziała. - Ktoś już ci kiedyś wyciął taki numer?

- Powiedzmy, że nawet raz byłoby za dużo.

- Co jest w czarnej skrzynce? - zapytała już po raz drugi tej nocy, ale Brotherhood po raz drugi był zbyt zajęty, by odpowiedzieć.

Rozdział 8

Tutaj moja pamięć robi się bardzo selektywna, Jack. Bardziej niż zwykle. Mam go na celowniku, ty pewnie zresztą już też. Ale i ciebie mam na celowniku. Wszystko, co nie jest związane z którymś z was dwóch, zostawiam teraz za sobą jak krajobraz widziany przez okno pociągu. Mógłbym przecież odmalować ci nieprzyjemne rozmowy Pyma z biednym panem Bertlem, w których młody człowiek zapewniał go, zgodnie z instrukcjami Ricka, że czek jest już w drodze, że wszystko załatwione, że nikt na tym nie straci, i że tata zaraz przedstawi ofertę kupna hotelu. Albo mogliśmy pośmiać się trochę z Pyma, zakładnika rosnącej góry niezapłaconych rachunków, trawiącego noce i dnie w pokoju hotelowym, marzącego o alabastrowym cieple Eleny Weber, odbitym w licznych a cudownych pozach w lustrach przymierzalni berneńskich sklepów, wściekłego na siebie za własną nieśmiałość, utrzymującego się przy życiu kradzionymi śniadaniem kontynentalnymi, podpisującego kolejne wekselki i czekającego na telefon. Ale telefon nie dzwonił. Gdy Pym próbował sam telefonować, w słuchawce rozlegał się tylko wilczy skowyt.

Próbował porozmawiać z Sydem, ale udało mu się połączyć tylko z Meg, ta zaś miała dla niego radę podobną do tej, jakiej udzieliła mu E. Weber: „Lepiej siedź tam, gdzie jesteś, kochanie”, powtarzała tonem kogoś, kto wie, że jest podsłuchiwany. „Tu ostatnio zrobiło się bardzo gorąco, niejeden nieźle się poparzył”. „A gdzie Syd?”. „Syd się chłodzi, kochanie”. Wreszcie, pewnego niedzielnego popołudnia, gdy w hotelu panowała błoga cisza, Pym spakował swe nieliczne manatki i z duszą na ramieniu wykradł się na zewnątrz schodami dla personelu i znalazł się nagle w zupełnie obcym mieście - było to jego pierwsze, i najłatwiejsze, potajemne ulotnienie się z miejsca akcji.

I mógłbym dalej opisywać ci Pyma jako biednego, małego emigranta, choć posiadał przecież ważny angielski paszport, nie głodował i w sumie rzadko brakowało mu dobrego słowa. Prawda, że zatrudnił się w wytwórni świec kościelnych, zamiatał kościoły, toczył beczki z piwem w browarze i

rozpakowywał dywany u starego Ormianina, który wciąż usiłował swatać go ze swoją córką i w sumie nie byłoby to pewnie najgorsze wyjście, bo dziewczyna była piękna, wciąż wdychała i upozowywała się malowniczo na kanapie; Pym jednak był zbyt układny, by skorzystać z tego zaproszenia. Cokolwiek zresztą Pym robił, głównie w nocy, w tym pięknym, oświetlonym płomieniami świec mieście zegarów, studni ulicznych, bruku i podcieni, przemyskając się jak nocne płochliwe zwierzątko: odgarniał śnieg, rozwoził ser, powoził ślepym perszeronem i uczył angielskiego przyszłych agentów biur podróży, to cały czas działał w podziemiu, w każdej chwili obawiając się wytropienia go przez gończe psy pana Bertla. Choć teraz wiem, że ów pocziwiec nie miał do niego najmniejszych pretensji, i nawet doprowadzony do szewskiej pasji przez ojca, nie wspominał o udziale w tym wszystkim syna.

Drogi Tato!

Naprawdę jest mi tu bardzo dobrze, nic o mnie się nie martw, Szwajcarzy to mity i gościnni naród, mają tu różne świetne stypendia dla młodzieży chcącej studiować prawo.

Mógłbym też opiewać ci w pieśni inny wielki hotel, całkiem niedaleko od tego pierwszego, w którym Pym ujawnił się jako nocny kelner i w którym znów został uczniem w szkole, ale tym razem w szkole życia. Spał pod płataniną rur kanalizacyjnych na wieloosobowej sali wielkości hali fabrycznej, w której nigdy nie gaszono światła; z wdzięcznością przyjął ofiarowane mu małe żelazne łóżko i podobnie jak kiedyś pocieszał nowych kolegów w szkole, tak teraz dodawał otuchy nowym kolegom z pracy; byli to w przeważającej większości chłopcy z wiejskich rodzin z Ticino, których jedynym marzeniem było wrócić do domu, do rodziców. Jak ochoczo zrywał się na każdy dzwonek i wkładał biały fartuch, który, choć aż sztywny od brudu, krępował ruchy znacznie mniej niż mundurek ze szkoły pana Willowa. Jak zanosił tace z szampanem i foie gras podejrzanym parkom, które czasem namawiały go, by został z nimi, obiecując spojrzeniem i Amora, i kobietę w sztuce rokoko - tu jednak znów odzywała się w Pymie układność i brak doświadczenia. Jego manieri w tamtym okresie przypominały klatkę z drutu kolczastego; pożądlivość nachodziła go tylko wtedy, gdy był

sam. Ale gdy tak przebiegam pamięcią przez te ekscytujące epizody, serce już pędzi ku chwili, kiedy pewnego wieczoru, w bufecie trzeciej klasy na dworcu w Bernie, poznałem świętego pana Ollingera, którego miłosierdzie doprowadziło do jeszcze innego spotkania - takiego, które na zawsze i do końca odmieniło moje życie. I twoje życie niestety też, Jack, choć nie wiesz jeszcze, jak bardzo.

Nad moimi wspomnieniami o studiach Pyma w Bernie - o tym, jak i po co dostał się na uniwersytet - nie ma co się rozwodzić. Przecież i tak był to tylko kamuflaż. Tak naprawdę Pym pracował w cyrku. A dokładnie w zimowej jego kwaterze na działce tuż obok dworca, dokąd często prowadziły go nogi na zakończenie ostrożnych przechadzek. Do cyrku przyciągnęły go słonie. Każdy głupi umie umyć słonia, ale Pym nie spodziewał się, jak trudno trafić do wiadra olbrzymim mopem, gdy za całe oświetlenie musi wystarczyć światło punktowych reflektorków zawieszonych u góry namiotu. Co rano po skończonej pracy wracał do noclegowni Armii Zbawienia, swego tymczasowego Ascot, i co rano widywał zieloną kopułę uniwersytetu wystającą znad jesiennych mgieł, jak brzydki miniaturowy Rzym usiłujący nawrócić go na swoją wiarę. Coś rzeczywiście go w tym pociągało, może dlatego, że poza psami gończymi pana Bertla bał się okropnie jeszcze jednej rzeczy - że mimo problemów z płynnością finansową Rick pojawi się któregoś dnia na bentleyu ognistym i porwie go z powrotem do Anglii.

Na użytek Ricka tworzył więc piękne i skomplikowane bajeczki. Dostałem to stypendium dla obcokrajowców, o którym pisałem. Studiuję prawo szwajcarskie, greckie, rzymskie i każde inne. Żeby mnie nie wodziło na pokuszenie, zapisałem się też do wieczorówki. Wychwalał erudycję swych nieistniejących profesorów i pobożność uniwersyteckich duszpasterzy. Mimo to zdawał sobie sprawę, że wywiad Ricka, choć działający niesystematycznie, nie jest instytucją, którą można by lekceważyć, i że dla pełnego bezpieczeństwa musi postarać się o namacalne dowody prawdziwości swej blagi. Dlatego właśnie pewnego ranka zdobył się na odwagę i przestąpił progi uczelni. Skłamał tylko dwa razy: raz, gdy podawał swe kwalifikacje, i drugi, gdy podawał swój wiek, jako że jedno nie byłoby

wiarygodne bez dokonania pewnych zmian w drugim. Wręczył ostatnie białe banknoty od E. Weber ostrzyżonemu na jeża kasjerowi, w zamian za co otrzymał szarą legitymację z własnym zdjęciem - żaden inny fałszywy dokument w moim życiu nie sprawił mi później takiej radości. Pym dał zań całą fortunę, czyli, w tym przypadku, siedemdziesiąt jeden franków. Wpisano Pyma w poczet studentów Philosophie Zwei. Do tej pory nie mam najmniejszego pojęcia, co to było, bo Pym chciał iść na prawo, lecz jakoś go przekierowano. Znacznie więcej dowiedział się, przetłumaczywszy sobie ogłoszenia dla studentów, zapraszające do uczestnictwa w najdziwniejszych grupach dyskusyjnych - pierwsze odgłosy politycznych wystrzałów od czasu gniewnych oskarżeń pod adresem kapitalistów rzuconych przez Olliego i pana Cudlove'a, i kazań Lippsie o marności ziemskich bogactw. Ty, Jack, też pamiętasz te grupy dyskusyjne, choć z innych powodów, do których wkrótce dojdziemy.

Z tablicy ogłoszeń na uczelni Pym dowiedział się też o istnieniu angielskiego kościoła w Elfenu, tej bajkowej krainie dla dyplomatów. Zaczął tam chodzić i bywał tam co niedziela. Czasem nawet nie mógł się wręcz doczekać. Modlił się, potem wystawał przy wejściu i ścisnął dłonie wszystkiego, co się ruszało - choć mało co się ruszało. Patrzył czule na starsze ciotki, w kilku z nich nawet się zakochał, konsumował ciastka i pozbawioną smaku herbatę w ich domach o grubych kotarach, i zachwycał je nieprawdopodobnymi opowieściami ze swego sierociego dzieciństwa. Wkrótce Pym wygnaniec nie mógł się obyć bez cotygodniowego zastrzyku angielskich banałów. Ten angielski kościół, wielkopańskie rodziny dyplomatów, wiekowi Brytowie i podejrzani anglofile - to wszystko zastępowało mu szkolną kaplicę i w ogóle wszystkie kaplice, z których zdezerterował.

Szwajcarskim odpowiednikiem kościoła był kolejowy bufet trzeciej klasy, gdzie, gdy tylko nie pracował, mógł całą noc do woli zatruwać się dymem dlsque bleus nad jednym małym piwem, równocześnie wyobrażając sobie, że jest najbardziej kosmopolitycznym i znużonym światem globtroterem, jakiego można sobie wyobrazić. Dziś dworzec w Bernie to zadaszona

metropolia eleganckich butików i wyłożonych plastikiem restauracji, ale tuż po wojnie przypominała raczej mroczną stację przesiadkową z początku wieku, z halą ozdobioną wypchanymi jeleniami oraz freskami przedstawiającymi zwolnionych z pańszczyzny i z tego powodu z radością wymachujących flagami chłopów; wszędzie unosiła się woń nieśmiertelnej Bockwurst z cebulką. W bufecie pierwszej klasy roiło się od dżentelmenów w czarnych garniturach z serwetami pod szyją - za to bufet trzeciej klasy był ciemny, przytulny, piwny, rozbrzmiewający od czasu do czasu fałszywym, pijackim śpiewem i niepozbowiony nawet odrobiny bałkańskiego bezhołowia. Ulubiony stolik Pym stał w wyłożonym boazerią kącie obok wieszaków, gdzie świętej dobroci kelnerka Elisabeth zawsze dolewała mu zupy, ile chciał. Musiał to być również ulubiony stolik pana Ollingera, bo dobry ten człowiek ruszył w jego kierunku wprost od wejścia. Skłonił się czule Elisabeth, ubranej, jak zwykle, w Tracht z wielkim, choć skromnie przykrytym plisowaną bluzką dekoltem. Pan Ollinger pokłonił się też Pymowi, zaczął grzebać w swej skromnej aktówce, przyglądał niesforne włosy i zadyszany, przestraszonym głosem zapytał: „Czy przypadkiem panu nie przeszkadzamy?”, głaszcząc starego, żółtego chow - chow, niechętnie znoszącego uwiązanie na smyczy. Teraz już wiem, że stwórca nasz tak właśnie kamufluje swych najlepszych agentów.

Pan Ollinger nie był w żadnym określonym wieku, ale teraz dałbym mu jakieś pięćdziesiąt lat. Miał ziemistą cerę, przepraszający uśmiech, policzki z dołeczkami, obwisłe jak pupa starca.

Nawet gdy już upewnił się, że jego miejsce nie zostało zajęte przez istoty wyższe, posadził na nim swe okrągłe ciało tak ostrożnie, jakby spodziewał się, że zaraz przegna go stąd ktoś ważniejszy. Z pewnością siebie typową dla stałego klienta Pym wyjął z jego niestawiającej oporu ręki brązowy płaszcz, który zaraz rozpostarł na wieszaku. Uznał, że pan Ollinger i jego żółty pies są mu do szczęścia niezbędnie potrzebni. W jego życiu ostatnio nic się nie działo; od tygodnia nie zamienił z nikim więcej niż kilku słów. Gest ten wywołał istny wir wdzięczności - pan Ollinger uśmiechnął się szeroko, oświadczył, że Pym jest

bardzo prawdziwym dżentelmenem. Ze stojaka na gazety porwał „Der Bund” i ukrył weń twarz. Szepnął jeszcze psu, by był grzeczny, i nawet usiłował dać mu po nosie, choć niesłusznie, bo pies zachowywał się całkiem przyzwoicie. W końcu jednak przemówił, nie pies, oczywiście, tylko pan Ollinger, co dało Pymowi pretekst do wypowiedzenia swego ulubionego frazesu, że niestety, proszę pana, jestem cudzoziemcem, nie dość jeszcze obeznanym z pana ojczystym dialektem, więc bardzo proszę mówić do mnie w Hochdeutsch, bardzo pana przepraszam. Potem, wiedząc z doświadczenia, że warto, dodał swe nazwisko, na co pan Ollinger wyznał, że nazywa się Ollinger - zupełnie jakby był to duży wstyd. Przedstawił też psa, Herr Bastla, co jego rozmówcy skojarzyło się na chwilę nieprzyjemnie z biednym panem Bertlem.

- Ależ mówi pan świetnie po niemiecku! - zaprotestował pan Ollinger. - Z początku wziąłem pana za Niemca! Nie jest pan Niemcem? Więc skąd pan pochodzi, jeśli wolno spytać?

Była to ze strony pana Ollingera oznaka ogromnej uprzejmości, bo w tamtych czasach nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby wziąć niemczyzny Pyma za jego ojczysty język. W efekcie Pym opowiedział panu Ollingerowi historię swego życia, do czego od początku zmierzał, ale też ku zachwytowi swego rozmówcy wypytywał go o jego własne sprawy i w ogóle jak tylko mógł, przytłaczał pana Ollingera całym ciężarem swego młodzieńczego czaru - to akurat, jak się później okazało, było całkowicie niepotrzebne, ponieważ pan Ollinger nie był wybredny w zawieraniu znajomości. Wszystkich podziwiał, wszystkich żałował, między innymi za to, że muszą dzielić świat właśnie z nim. Powiedział, że ożenił się z aniołem i ma trzy córki, też anioły, o niezwykłych zdolnościach muzycznych. I że odziedziczył po ojcu fabryczkę w Ostermundigen, i że to taki straszny kłopot. I chyba rzeczywiście był to straszny kłopot, bo biedak co dzień rano szedł do pracy, by doprowadzać rodzinne przedsiębiorstwo do jeszcze większego upadku. Pan Ollinger powiedział też, że Herr Bastla ma od trzech lat, ale tylko chwilowo, bo nadal usiłuje odnaleźć jego właściciela.

Pym odwdzińczył się równie szczerym opisem własnych

przeżyć wojennych, ze szczególnym uwzględnieniem tej strasznej nocy w Coventry, gdzie akurat odwiedzał ciotkę. Niemcy wtedy właśnie zbombardowali katedrę, dom ciotki stał sto kroków od głównego wejścia, ale cudem uniknął jakichkolwiek zniszczeń. Gdy już doszczętnie zniszczył Coventry, przedstawił wdzięcznemu słuchaczowi kolejny obraz: Pym, syn admirała, stoi w szlafroku w oknie internatu, spokojnie obserwuje przelatujące nad szkołą fale niemieckich bombowców i zastanawia się, czy tym razem będą zrzucały spadochroniarzy przebranych za zakonnice.

- I nie mieliście schronów?! - zawołał pan Ollinger. - To skandal! Na Boga, przecież był pan wtedy dzieckiem! Moja żona byłaby wstrząśnięta. Pochodzi z Wilderswil - dodał tonem wyjaśnienia. Natomiast Herr Bastl jadł precla i pierdział.

Pym ciągnął swe opowiadanie, koloryzując jak szalony na użytek szwajcarskiego zamiłowania pana Ollingera do katastrofizmu, epatując jego neutralność opisem ciężkiej wojennej rzeczywistości.

- Ale był pan taki młody! - zaprotestował znów pan Ollinger, gdy Pym opisywał dyscyplinę szkolenia wojskowego na początku swej kariery w stacji sygnalizacyjnej w Bradford. - Bez matczynego ciepła. Był pan jeszcze dzieckiem.

- No, dzięki Bogu, nie musieliśmy walczyć - rzucił niedbale Pym, równocześnie prosząc o rachunek. - Dziadek zginął w pierwszej wojnie, ojciec zaginął w drugiej, więc myślę, że najwyższy czas, by ktoś w naszej rodzinie trochę dłużej pożył.

Pan Ollinger za żadne skarby świata nie chciał się zgodzić, by Pym zapłacił. Pan Ollinger oddycha wolnym powietrzem Szwajcarii, ale zawdzięcza to trzem pokoleniom Anglików. Zresztą kiełbaska i piwo Pyma były tylko wstępem do szczodrości pana Ollingera, bo natychmiast zaoferował dziełnemu synowi Albionu pokój we własnym domu - do dyspozycji tak długo, jak tylko Pym zechce wyświadczać mu ten honor - w małym, wąskim domku na Langgasse, odziedziczonym przez pana Ollingera po matce.

Nie był to duży pokój. Był, szczerze mówiąc, bardzo mały, środkowy z trzech pokojów na poddaszu, i tylko na środku na tyle wysoki, by Pym mógł się wyprostować - a i tak wygodniej

mu było wsadzić głowę w okno w dachu. W lecie było tam widno przez całą noc, w zimie śnieg całkowicie zaczerniał świat. Za ogrzewanie służył czarny kaloryfer wpuszczony w ściankę działową, ogrzewany przez piecyk na drewno stojący na korytarzu - Pym mógł więc w zależności od nastroju albo marznąć, albo się piec. Ale mimo to, Tom, było mi tam tak dobrze, jak nigdzie, dopóki nie poznałem panny Dubber. Raz w życiu dane nam jest poznać prawdziwie szczęśliwą rodzinę, i w moim przypadku była to właśnie rodzina Ollingerów. Pani Ollinger była wysoka, radosna i skromna. Podczas rutynowego patrolowania domu Pym podejrzwał ją kiedyś przez szczelinę w drzwiach, gdy spała - spała i uśmiechała się. Jestem przekonany, że uśmiechała się też na łożu śmierci. Jej mąż uwijał się wokół niej jak mały, pękaty holownik przy transatlantyku, obarczając ją coraz to kolejnymi biedakami i pieczeniarkami, i nie przestając jej wielbić. Mieli trzy córki, jedną mniej atrakcyjną od drugiej, ku utrapieniu sąsiadów grały na instrumentach muzycznych wprost przeokropnie. Panny Ollinger kolejno powychodziły za jeszcze bardziej nieatrakcyjnych absztyfikantów, jeszcze gorszych muzyków, ale rodzice uważali ich wszystkich za pięknych i uzdolnionych - przez co rzeczywiście takimi się stawali. Od rana do nocy przez kuchnię tej szczęśliwej rodziny przewijały się szeregi włóczęgów, bezdomnych i zapoznanych geniuszy, którzy smażyli omlety i rozgniatali niedopałki papierosów o linoleum. Dlatego też pod żadnym pozorem nie należało zostawiać swego pokoju niezamkniętego na klucz, bo pan Ollinger mógł zapomnieć, że ktoś tam mieszka - albo wytłumaczyć sobie, że lokator na pewno nie wróci na noc, albo wręcz że nie będzie miał nic przeciwko temu, by dzielić pokój z kimś obcym, dopóki ten ktoś nie znajdzie sobie innego lokum. Nie pamiętam, ile płaciliśmy - w każdym razie to, na ile nas było stać, nie mogło utrzymać fabryczki w Ostermundigen, bo według ostatnich wiadomości, jakie miałem o panu Ollingerze, ochoczo pracował on w okienku na poczcie głównej w Bernie, zachwycony kulturalnym towarzystwem. Jego jedyną własnością, z jaką mi się kojarzy - poza Herr Bastlem - była kolekcja erotyki, którą pocieszał się w swej nieśmiałości. Dzielił się nią z innymi równie chętnie jak

wszystkim innym, a była znacznie bardziej pouczająca niż Amor i kobieta w sztuce rokoko.

Taki więc był dom, na szczycie którego Pym uwił swe bocianie gniazdo. Pierwszy raz w życiu osiągnął pełnię szczęścia: miał łóżko, rodzinę, kochał się w Elisabeth z bufetu trzeciej klasy, rozmyślał o małżeństwie, pragnął szybko zostać ojcem. Równocześnie prowadził fascynującą korespondencję z Belindą, która uważała za swój obowiązek informować go o kolejnych romansach Jemimy, „bo ona tylko dlatego tak się zachowuje, że nie ma tu Ciebie”. Rick, nawet jeśli nie zniknął całkowicie z jego życia, przeszedł jakby w stan uśpienia i objawiał się wyłącznie w kazaniach o Wierności dla Tego, do Czego Jesteś Stworzony, o trzymaniu się z dala od Cudzoziemskich Przywar i Pokus Cynizmu, którego to słowa nigdy nie potrafił poprawnie napisać albo sam Rick, albo jego sekretarka. Listy te sprawiały wrażenie pisanych naprędce i w przelocie, o czym świadczył też fakt, że zawsze przychodziły z innego miejsca. „Pisz do mnie na nazwisko Topsy Eaton, pub Pod Jodłą w East Grinstead, nie ma sensu umieszczać na kopercie mojego nazwiska...”. „Pisz do pułkownika Mellowa, poste restante, Poczta Główna, Hull. Pułkownik jest taki miły, że odbiera za mnie pocztę...”. Raz nadszedł w ten sam sposób napisany odręcznie list miłosny, rozpoczynający się od słów: „Annie, moja ty pieścioszko, Ciało Twoje znaczy dla mnie więcej niż wszystkie Bogactwa tej ziemi” - Rick pewnie pomylił koperty.

Tylko jednego brakowało Pymowi: przyjaciela, ale i to znalazł w tym domu słynącym z wszelkich łask bożych. Którejś soboty, w samo południe, poznał go w piwnicy domu pana Ollingera, gdy poszedł tam robić cotygodniowe pranie. Na ulicy pierwszy śnieg obwieszczał koniec jesieni. Pym niósł przed sobą naręczce brudnej odzieży i usiłował nie zabić się na kamiennych schodkach - światło w piwnicy miało wyłącznik czasowy, więc w każdej chwili mógł znaleźć się w kompletnych ciemnościach i potknąć się o Herr Bastla, niekwestionowanego właściciela bojlera. Ale światło jakoś nie chciało gasnąć - Pym zauważył, mijając wyłącznik, że ktoś przemyślnie zablokował go zapałką, i to zapałką misternie zaostrzoną nożem. Poczuł dym z cygara,

ale Berno to nie Ascot, cygara palił tam każdy, kto chciał. Gdy zobaczył fotel, natychmiast pomyślał, że to pewnie pan Ollinger odstawił go tu dla pana Rubiego, podjeżdżającego co sobota swym konnym wozem po kości i szmaty.

- To pan nie wie, że obcokrajowcom nie wolno rozwieszać prania w szwajcarskich piwnicach? - odezwał się męski głos, nie dialektem jednak, lecz najczystszy literackim niemieckim.

- Bardzo mi przykro, nie wiedziałem - odpowiedział Pym. Rozejrzał się wokół, by zobaczyć, kogo przeprasza, i wtedy dostrzegł w fotelu skulonego chudzielca, jedną długą białą dłońią podtrzymującego pod szyją kraciasty koc, w drugiej trzymającego książkę. Na głowie miał czarny beret, nad ustami - oklapnięte wąsy. Stóp nie było widać spod koca, ale całe ciało sprawiało wrażenie, jakby było spiczaste i źle poskładane, niczym zepsuty leżak. O fotel oparta była laska pana Ollingera. Między zaciśniętymi palcami tliło się małe cygaro.

- W Szwajcarii nie wolno być biednym, nie wolno być obcokrajowcem i pod żadnym pozorem nie wolno rozwieszać prania. Czy jest pan jednym z lokatorów tego lokalu?

- Jestem znajomym pana Ollingera.

- Angielskim znajomym?

- Nazywam się Pym.

Palce białej dłoni dotknęły oklapniętego wąsa i zaczęły w zamyśleniu gładzić go.

- Lord Pym?

- Proszę mówić do mnie po imieniu: Magnus.

- Ale jest pan arystokratą.

- No, nic wielkiego.

- I bohaterem wojennym - powiedział nieznajomy i wciągnął powietrze w sposób, który w języku angielskim oznaczałby powątpiewanie.

Pym nie był szczególnie zachwycony tym opisem. Była to pierwsza i od pewnego czasu nieaktualna wersja jego biografii. Z pewnym zaniepokojeniem słuchał jej teraz z cudzych ust.

- A kim pan jest, jeśli można spytać? - odezwał się wreszcie. Palce nieznajomego podniosły się i w lekkiej irytacji zaczęły drapać policzki, jakby w zastanowieniu nad wyborem jednego z możliwych wariantów.

- Nazywam się Axel. Od około tygodnia jestem pana sąsiadem i dlatego muszę wysłuchiwać, jak co noc zgrzyta pan zębami - powiedział i zaciągnął się cygarem.

- Herr Axel? - upewnił się Pym.

- Herr Axel Axel. Rodzice zapomnieli nadać mi nazwiska. - Odłożył książkę i wyciągnął dłoń na powitanie. - Ostrożnie, na miłość boską! - wykrzyknął, krzywiąc się z bólu, gdy Pym uściśnął mu dłoń. - Przecież wojna już się skończyła.

Pym był tak wytrącony z równowagi tym niespodziewanym spotkaniem, że odłożył pranie na inny dzień i poszedł na górę.

- Jak Axel ma na nazwisko? - zapytał nazajutrz pana Ollingera.

- Może wcale nie ma nazwiska? - odparł figlarnie pan Ollinger. - Może dlatego nie ma też dokumentów?

- Jest studentem?

- Jest poetą - powiedział gospodarz z dumą, ale w jego domu zawsze roiło się od poetów.

- Píše chyba bardzo długie wiersze, bo stuka na maszynie całą noc - powiedział Pym.

- To prawda. I to na mojej maszynie - dodał pan Ollinger, wciąż nie posiadając się z dumy.

Pym dowiedział się od pani Ollinger, kiedy pomagał jej obierać warzywa na kolację, że jej mąż znalazł Axela w fabryce. To znaczy tak naprawdę znalazł go pan Harprecht, nocny stróż. Axel spał na workach w magazynie, pan Harprecht chciał zaraz przekazać go w ręce policji, bo Axel nie miał papierów, śmierdział i był cudzoziemcem, ale na szczęście pan Ollinger zdążył go powstrzymać, wziął na śniadanie, a potem do lekarza, żeby coś poradził na te jego poty.

- A skąd on jest? - zapytał Pym.

Pani Ollinger nabrała wody w usta, co u niej było bardzo rzadkie. Powiedziała tylko, że Axel jest z druben, czyli z zagranicy, z niezrozumiałej i nieszwajcarskiej reszty Europy, gdzie ludzie wolą jeździć czołgami niż trolejbusami, i gdzie głodująca biedota woli grzebać w śmietnikach, niż kupić sobie coś do jedzenia w sklepie, jak Bóg przykazał.

- A jak się dostał do Szwajcarii?

- Chyba na piechotę - powiedziała pani Ollinger.

- Przecież to inwalida. Jest cały pokrzywiony i taki chudy.
- Ale ma silną wolę i w dodatku bardzo chciał.
- Czy to Niemiec?
- Niemcy są różni, Magnus.
- A Axel jest jaki?
- Nie pytamy o takie sprawy. Ty lepiej też nie pytaj.
- Nie da się poznać po akcencie?
- Zgadywać też nie chcemy. Szczególnie w przypadku

Axela.

- Na co choruje?

- Może wycierpiał się na wojnie, tak jak ty - podsunęła pani Ollinger z nieco zbyt mądrym uśmiechem. - A co ty masz przeciwko niemu? Przeszkadza ci?

Jak może mi przeszkadzać, skoro nawet do mnie się nie odzywa? - pomyślał Pym. Słyszę tylko, jak stuka na maszynie pana Ollingera, słyszę okrzyki rozkoszy odwiedzających go popołudniami pań oraz szuranie po podłodze, gdy wlecze się o lasce do umywalni pana Ollingera. I widuję tylko wypite przez niego butelki po wódce, niebieski dym cygara w korytarzu i znikające na schodach blade, puste ciała.

- Axel jest w porządku - odpowiedział.

Pym już dawno postanowił, że nadchodzące święta będą dla niego najweselsze w życiu, i tak też się stało - pomimo przerażająco smutnego listu od Ricka, opisującego trudy życia „w małym prywatnym hoteliku na szkockim pustkowiu, gdzie najprostsze potrzeby zaspokajają się z takim trudem”. Dopiero potem się zorientowałem, że chodziło mu o Gleneagles, najmodniejszy i najdroższy hotel w całej Szkocji. Nadeszła Wigilia. Pym, jako najmłodszy, zapalił świece na choince i pomógł pani Ollinger ułożyć prezenty pod drzewkiem. Przez cały dzień było cudownie ciemno, po południu wielkie płatki śniegu zaczęły wirować w świetle latarni ulicznych i zapychać szyny tramwajowe. Pojawiły się Ollingerówny wraz z towarzyszami, po nich nieśmiało małżeństwo z Bazylei z czymś, nie pamiętam już z czym, na sumieniu. Potem francuski geniusz Jean - Pierre, który malował ryby z profilu, zawsze na tle koloru sepii. Po nim wiecznie za coś przepaszający Japończyk, pan San - co, jak teraz wiem, było dość enigmatyczne, skoro san to

właśnie „pan” po japońsku. Pan San pracował w fabryczce Ollingera i tak naprawdę zajmował się chyba szpiegostwem przemysłowym - i to też śmieszy mnie po latach, bo gdyby Japończykom przyszło do głowy korzystać z efektów jego pracy, ich przemysł opóźniłby się w rozwoju o jakieś dziesięć lat.

I wreszcie Axel powoli zstąpił między nas po drewnianych schodach. Pym mógł po raz pierwszy przyjrzeć mu się do woli. Tajemniczy sąsiad, choć przerażająco chudy, miał z natury zaokrągloną twarz. Rosnąca jakby bokiem czupryna nadawała jego wysokiemu czołu dziwnie smutny wyraz. Odnosiło się wrażenie, że Stwórca przyłożył mu do jednej skroni swój kciuk, do drugiej palec wskazujący i pociągnął całą twarz w dół: najpierw mocno zaokrąglone brwi, potem oczy, potem wreszcie zakrzywiony w smętną podkówkę wąs. Ale gdzieś w tej ponurej powierzchowności lśniły oczy Axela i on sam, ocalały z jakiejś tragedii, o której Pym nie mógł mieć najmniejszego pojęcia. Jedna z córek państwa Ollingerów zrobiła mu na drutach niezbyt piękny sweter, który nosił na kościstych ramionach jak pelerynę.

- Guten Abend, sir Magnusie - powiedział. Trzymał w rękach słomiany koszyk z pięknie opakowanymi prezentami. - Czemu nigdy ze sobą nie rozmawiamy na górze? Można by pomyśleć, że dzieli nas nie dwadzieścia centymetrów, a całe kilometry. Cóż to, dla pana wojna z Niemcami jeszcze się nie skończyła? Przecież teraz jesteśmy sojusznikami. Niedługo może przyjdzie wspólnie walczyć przeciwko Rosjanom.

- Możliwe - odpowiedział niepewnie Pym.

- Następnym razem, kiedy poczuje się pan samotny, proszę koniecznie do mnie zapukać. Wypalimy po cygaraku, pozbawiamy wspólnie świat. Lubi pan gadać o bzdurach?

- O, bardzo.

- Doskonale. To będziemy gadać bzdury. - Już miał pokuśtykać dalej, by przywitać się z panem Sanem, ale zatrzymał się nagle i odwrócił. Przez przykryte swetrem ramię rzucił Pymowi zadumane, lecz i wyzywające spojrzenie, jakby zastanawiał się, czy przypadkiem nie zaufał mu zbyt łatwo.

- Aber dann können wir doch Freunde sein, sir Magnus? - Ale potem i tak możemy być przyjaciółmi?

- Ich wurde mich freuen! - odpowiedział z całego serca Pym, bez trwogi patrząc mu w oczy. Byłbym bardzo szczęśliwy!

Znów uścisnęli sobie dłonie, ale tym razem lekko. W tej samej chwili rysy Axela rozświetlił tak wesoły uśmiech, że serce Pyma aż drgnęło w odpowiedzi. Obiecał sobie, że póki życia, każde Boże Narodzenie będzie odtąd spędzać z Axelem. Wigilia się rozpoczęła. Dziewczęta grały kolędy, Pym śpiewał, czasem, gdy brakowało mu niemieckich słów, po angielsku. Były przemówienia, polem toast na cześć nieobecnych przyjaciół i krewnych - tu ciężkie powieki Axela niemal zakryły mu oczy i na chwilę zamilkł. Potem jednak, jakby odpędzając od siebie złe wspomnienia, wstał nagle i zaczął rozpakowywać swój kosz. Pym krążył wokół niego, by mu pomóc; wiedział od razu, że Axel robił tak w każde Boże Narodzenie, niezależnie od tego, z kim je spędzał. Dla każdej z dziewcząt zrobił po drewnianej fletni Pana, z wrytym od spodu imieniem obdarowanej. Jak to możliwe, że w ogóle potrafił strugać w drewnie tymi wiotkimi dłońmi... i to tak, że Pym nie słyszał nic przez ściankę działową? Skąd wziął odpowiednie drewno, lakier, pędzle? Dla państwa Ollingerów miał, jak później się zorientowałem, inny symbol życia więziennego: zrobiony z zapalek model arki Noego, z której machały przez iluminatory namalowane postacie naszych zwierzęcych krewniaków. Pan San i Jean - Pierre dostali po malutkim kwadratowym kilimku utkanym na domowym krosienku z gwoździ - takim samym jak to, na którym Pym zrobił raz coś dla Dorothy. Dla małżeństwa z Bazylei z kolei utkał wełniane oko Opatrzności, pewnie po to by patrząc w nie, zapominali o tym, co ich dręczyło. Dla Pyma zaś - do dziś czuję się zaszczycony, że mnie zachował na koniec - dla sir Magnusa miał mocno sfatygowany egzemplarz *Simplicis simusa* Grimmelshausena, oprawny w stare brązowe płótno. Pym nigdy nie słyszał o tej książce, ale nie mógł się doczekać rozpoczęcia lektury, bo to dałoby mu pretekst, by zapukać do Axela. Otworzył książkę i przeczytał niemiecką dedykację: „Dla sir Magnusa, który nigdy nie będzie mi wrogiem”. W lewym górnym rogu znajdował się inny napis, zrobiony starszym atramentem, lecz młodszą wersją tego samego pisma: „A.H., Karlsbad sierpień 1939”.

- A gdzie jest ten Karlsbad? - zapytał Pym bez namysłu i natychmiast zauważył, że wszyscy mają niewyraźne miny, zupełnie jakby dowiedzieli się czegoś przykrego, co przed nim samym tajono z powodu młodego wieku.

- Karlsbadu już nie ma, sir Magnusie - odpowiedział uprzejmie Axel. - Kiedy przeczytasz *Simplicissimusa*, zrozumiesz dlaczego.

- A gdzie był?

- To było moje rodzinne miasto.

- Więc wręczyłeś mi skarb z własnej przeszłości.

- Wolałbyś, bym dał ci coś, co dla mnie jest bezwartościowe. A Pym co? No cóż, biedny syn prezesa i dyrektora nie był przyzwyczajony do takich uroczystości, więc nawet nie pomyślał że dla starego Axela można znaleźć lepszy prezent niż paczka cygar.

- Czemu Karlsbadu już nie ma? - zapytał Pym pana Ollingera, gdy tylko mógł z nim porozmawiać w cztery oczy. Pan Ollinger wiedział wszystko, tylko nie jak się prowadzi fabrykę. Wyjaśnił Pymowi, że Karlsbad był w Sudetenlandzie. Było to przepiękne uzdrowisko, wszyscy tam jeździli: Brahms i Beethoven, Goethe i Schiller. Najpierw należało do Austrii, potem do Niemiec. Teraz jest w Czechosłowacji, ale ma już inną nazwę, a wszystkich Niemców stamtąd wypędzono.

- To właściwie do jakiego narodu należy Axel? - zapytał Pym.

- Do żadnego. Tylko do nas - powiedział poważnie pan Ollinger. - I musimy bardzo uważać, bo jak nie, to nam go zabiorą, możesz być pewien.

- Przychodzą do niego kobiety - powiedział Pym. Twarz pana Ollingera aż poróżnowiała z radości.

- Aha, chyba wszystkie kobiety z Berna - przytaknął z figlarną miną.

Minęło parę dni i wreszcie Pym zastukał do drzwi sąsiada. Axel stał przy otwartym oknie i palił cygaro. Na parapecie leżało przed nim kilka opasłych tomisk. Wyglądał na przemarzniętego do szpiku kości, ale chyba lubił czytać na świeżym powietrzu.

- Przejdiesz się ze mną? - zapytał śmiało Pym.

- Ale moim tempem?

- No, chyba nie moim?

- Stan zdrowia każe mi unikać tłumu, sir Magnusie. Jeżeli mamy się przejść, to najlepiej poza miasto.

Pożyczili Bastia i wałęsali się pustą ścieżką holowniczą nad wzburzonymi wodami Aare. Herr Basti siusiał i nie chciał za nimi iść, Pym zerkał na wszystkie strony, czy nie zobaczy kogoś wyglądającego na policjanta. W pozbawionej słońca dolinie rzeki mróz przenikał bezlitośnie. Axel jakby tego nie odczuwał. Palił cygaro i wyrzucał z siebie pytanie za pytaniem cichym, rozbawionym głosem. Jeżeli tak właśnie przywędrował na piechotę z Austrii, pomyślał Pym, drżący z zimna w powolnym marszu, to trwało to chyba kilka lat.

- Skąd się wzięłeś w Bernie, sir Magnusie? Czy był to odwrót, czy natarcie? - zapytał Axel.

Pym nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie sporządzenia nowego autoportretu, więc ochoczo wziął się do roboty. Tym razem jednak, choć swoim zwyczajem upiększał rzeczywistość, by lepiej pasowała do jego idealnego wizerunku, instykt zaleca mu pewien umiar. Oczywiście, stworzył postać szlachetnej a ekscentrycznej matki, oczywiście, opisując Ricka, dodał mu kilka cech spośród tych, o które sam Rick bezskutecznie zabiegał, na przykład bogactwo, zasługi na polu chwały czy codzienne kontakty z Wielkimi Ludźmi Naszego Kraju. Poza tym jednak jego opowieść była niemal ascetyczna, pełna autoironii, a gdy doszedł do historii z E. Weber, której nie opowiadał dotąd nikomu, Axel śmiał się tak, że aż musiał usiąść na ławce i zapalić kolejne cygaro, nim odzyskał oddech. Pym śmiał się wraz z nim, zachwycony z efektu. A kiedy jeszcze pokazał mu list od niej, ten, w którym napisała: „Nie martw się. E. Weber zawsze twoja”, Axel zawołał:

- Noch einmal! Opowiedz mi to jeszcze raz, sir Magnusie! Tylko teraz kompletnie inaczej. Spałeś z nią?

- No pewnie.

- No i jak ci poszło?

- Zrobiliśmy to cztery, może pięć razy.

- Jak to, w jedną noc? Tygrys z ciebie! Była ci choć wdzięczna?

- Wiesz, ona była bardzo, ale to bardzo doświadczona.

- Bardziej niż ta twoja Jemima?

- No, w sumie bardziej.

- A bardziej niż ta perwersyjna Lippsie, która uwiodła cię, gdy byłeś małym chłopcem? i

- No wiesz, Lippsie była jedyna w swoim rodzaju. Axel klepnął go wesoło po plecach. - Sir Magnusie, pyszny z ciebie numer, nie ma co! I do tego ścichapek, wiesz? Niby taki grzeczny chłopczyk, a sypiał już z niebezpiecznymi awanturnikami i młodymi angielskimi arystokratkami. Uwielbiam cię, słyszysz? Uwielbiam wszystkich angielskich arystokratów, ale ciebie najbardziej.

Axel znów ruszył przed siebie, lecz tym razem musiał chwycić Pyma pod rękę, by utrzymać się na nogach, i od tego czasu bez żenady używał go zamiast laski. I później już zawsze poruszaliśmy się w ten sposób.

Tego samego wieczoru Pym i Axel znaleźli pod którymś mostem pustą kawiarnię. Axel uparł się, że zapłaci za dwie wódki z czarnej sakiewki, którą nosił na rzemyczku u szyi. Podczas drogi powrotnej, marznąc jeszcze bardziej, postanowili wspólnie, że muszą zająć się swym wykształceniem, którego żaden z nich nie otrzymał, i że następnego dnia będzie pierwszym nowej ery, i że pierwszym tematem będzie Grimmelshausen, bo uczy on, że świat jest szalony i z każdą chwilą szaleje coraz bardziej, a to, co wydaje się dobre, jest niemal na pewno złe. Postanowili, że Axel zacznie dawać Pymowi niemieckie konwersacje i nie spocznie, póki ten nie będzie mówił jak rodowity Niemiec. Wystarczył więc jeden dzień i jeden wieczór, by Pym został nogami Axela, jego intelektualnym towarzyszem i, choć wcale tego tak nie planowano, jego uczniem, bo następane kilka miesięcy Axel zapoznawał go z tajnikami germańskich muz. Choć Axel posiadał większą wiedzę niż Pym, był równie jak on dociekliwy i nieustępliwy. Mogło zresztą być i tak, że Axel, wskrzeszając na użytek prostaczka kulturę swej ojczyzny, rozliczał się z jej historii najnowszej.

Za to Pym miał wreszcie okazję oglądać swe wymarzone królestwo w pełnej chwale. Mimo całego entuzjazmu w tym wszystkim nie pociągały go najbardziej właśnie germańskie

muzy - ani wtedy, ani potem. Muzy mogłyby być równie dobrze chińskie, polskie czy hinduskie, nie sprawiłoby mu to najmniejszej różnicy. Chodziło o to, że mógł wreszcie uznać samego siebie za dżentelmena - przynajmniej w sensie intelektualnym - i za to właśnie czuł do germańskich muz głęboką wdzięczność. Zmuszając go do ciągłego nadażania za Axelem we wspólnych poszukiwaniach, kreowały w jego umyśle nowy świat, ten sam, o którym tyle opowiadała mu Lippsie - taki, który będzie mógł zabrać ze sobą wszędzie. No i Lippsie miała rację, bo gdy zaczął jeździć do magazynu na Ostringu, gdzie pan Ollinger załatwił mu robotę na czarno u podobnego do siebie filantropa, Pym nie szedł tam czy nie jechał tramwajem, ale pędził wraz z Mozartem dyliżansem do Pragi. Myjąc nocą słonie, przeżywał upokorzenia Żołnierzy Lenza; siedząc w bufecie na dworcu i patrząc tęsknie na Elisabeth, widział siebie w roli młodego Wertera i planował, w co się ubierze, gdy będzie popełniał samobójstwo. Robiąc rachunek zysków i strat własnego życia, porównywał swą własną Werde - gang z latami nauki Wilhelma Meistra i rozmyślał nad wielką autobiograficzną powieścią, w której udowodni światu, że w porównaniu z Rickiem jest szlachetny i wrażliwy.

Tak, tak, Jack, masz rację, na pewno zasiano też w Pymie ziarno, które teraz taki przynosi plon: obaj kęśali Hegla, na ty - le, oczywiście, na ile mogli go strawić, wstrzykiwali sobie Marksa, Engelsa i inne trucizny komunizmu - w końcu, jak mawiał Axel, w nowej erze trzeba zaczynać od zera. „Bo gdyby, na przykład, osądzać chrześcijaństwo tylko na podstawie całego zła, jakie wyrządziło ludzkości, to czy ktokolwiek miałby ochotę być chrześcijaninem? Sir Magnusie, musimy wyzbyć się wszelkich uprzedzeń. Musimy wierzyć we wszystko, co czytamy, dopiero potem możemy to odrzucić. Uważam, że w końcu skoro Hitler tak ich nienawidził, to nie mogą być aż tacy źli”. A więc Rousseau i rewolucjoniści, Das Kapital i Anti - Duhring - słońca nie widzieli chyba przez kilka tygodni. Nie przypominam sobie, byśmy doszli po tej lekturze do jakichkolwiek wniosków, ale dała nam satysfakcję, że mamy to już za sobą. I naprawdę wątpię, by Pym wynosił z nauk Axela jakiegokolwiek treści poza radością z samej nauki. Najważniejsze było to, że Pym czuł się szczęśliwy

od chwili, gdy wstawał, aż po wczesne godziny ranne następnego dnia. I że gdy wreszcie obaj kładli się do łóżek po dwóch stronach czarnego kaloryfera, śpiąc, wedle powiedzenia Axela, jak Pan Bóg we Francji, umysł Pyma kontynuował swe odkrywczó podróże.

- Axel dostał Order Mrożonego Mięsa - oznajmił dumnie Pym pani Ollinger któregoś dnia, krojąc chleb na rodzinne fundue.

Pani Ollinger aż się zachnęła. - Magnusie, co ty opowiadasz?!

- Naprawdę! Tak żołnierze niemieccy nazywali jeden z medali za kampanię w Rosji. Zgłosił się na ochotnika, kiedy był w gimnazjum. Ojciec mógł mu załatwić coś bezpieczniejszego we Francji albo w Belgii, gdzie mógłby się przechować, ale Axel mu nie pozwolił. Chciał być bohaterem jak jego koledzy.

Pani Ollinger nie miała zachwyconej miny. - To lepiej za dużo nie gadaj o tym, gdzie walczył - powiedziała surowo. - Axel ma się tu uczyć, a nie przechwalać.

- Przychodzą do niego kobiety - poinformował Pym. - Po południu cichutko wchodzi do niego na górę i potem drą się, kiedy się z nimi kocha.

- Jeżeli lepiej mu się przez to pracuje, proszę bardzo. Może sam chciałbyś zaprosić tu tę swoją namiętą Jemimę?

Pym ze złością wrócił do pokoju i napisał długi list do Ricka o tym, jacy Szwajcarzy są na co dzień niesprawiedliwi. „Czasem wydaje mi się, że prawo zastępuje im zwykłą, ludzką dobroć”, pisał z goryczą, „szczególnie jeśli chodzi o kobiety”.

Rick odpisał, nakazując mu zrobić wszystko, by zachować czystość: „Najlepiej pozostać Czystym aż do chwili, gdy wybierze się to, co człowiekowi Pisane”.

Droga Belindo!

Chwilowo zrobiło się tu trochę nieprzyjemnie, bo niektórzy zagraniczni studenci w naszym akademiku zaczęli przesadzać w sprawach damsko - męskich, więc musiałem zareagować, bo po prostu kompletnie nie dało się uczyć. Może gdybyś postąpiła równie stanowczo względem Jemimy, wyświadczyłabyś jej przysługę na dłuższą metę.

Któregoś dnia Axel zachorował. Pym przybiegł z zoo, aż

tryskając od śmiesznych anegdotek o swych przygodach, i zastał go w łóżku. W pokoiku było aż sino od dymu, bladą twarz pokrywały cienie i zarost. Była przy nim jakaś dziewczyna, ale Axel kazał jej się wynosić, gdy tylko pojawił się Pym.

- Co mu jest? - zapytał Pym lekarza wezwanego przez pana Ollingera, usiłując zajrzeć mu przez ramię, by odczytać receptę.

- To mu jest, sir Magnusie, że zbombardowali go kiedyś bohaterzy Anglicy - z wściekłością odpowiedział z łóżka Axel dziwnym, ostrym głosem. - To mu jest, że ma w dupie pół angielskiej bomby i nie może wysrać jej. Lekarz zobowiązał się nie tylko do dyskrecji, lecz do całkowitego milczenia, przyjacielsko klepnął Pyma w ramię i poszedł sobie.

- Może to ty ją na mnie zrzuciłeś, sir Magnusie. Nie lądowałeś przypadkiem w Normandii? A może właśnie ty prowadziłeś inwazję? - Nic z tych rzeczy - odpowiedział Pym.

Więc Pym znów musiał zastąpić Axelowi nogi, biegał po lekarstwa, cygara, jedzenie; opróżniał z książek półki biblioteki uniwersyteckiej, byle tylko mieć co czytać Axelowi.

- Starczy tego Nietzschego, sir Magnusie. Mam wrażenie, że wiemy już wszystko o oczyszczających skutkach przemocy. Kleist jest trochę lepszy, ale ty nie czytasz go tak, jak trzeba. Kleista trzeba wyszczeniwać, w końcu to pruski oficer, nie angielski bohater. Zabierzmy się lepiej do malarzy.

- Których?

- Abstrakcjonistów, dekadentów, Żydów, wszystkich, którzy byli entartet, na indeksie. Zróbmy sobie wakacje od tych kopniętych pisarzy.

Pym poradził się pani Ollinger.

- Musisz zapytać bibliotekarza, których najbardziej nie lubili hitlerowcy - wyjaśniła mu tonem guwernantki.

Bibliotekarz też był emigrantem, a potrzeby Axela znał na pamięć. Pym przyniósł więc Klee i Noldego, Kokoschkę i Klimta, Kandinsky'ego i Picassa. Ustawił albumy i katalogi na półce, tak by Axel mógł oglądać je, nie ruszając głową. Pym przewracał mu kartki i odczytywał na głos podpisy pod reprodukcjami. Gdy przychodziły kobiety, Axel odsyłał je z powrotem. „Widzisz, że mam opiekę. Poczekaj, aż wyzdrowieję”. Pym przyniósł mu Maksa Beckmanna, potem Steinlena, Schielego i jeszcze więcej

Nehielego. Następnego dnia pisarze wrócili do łask. Pym musiał iść po Brechta i Zuckmayera, Tucholsky'ego i Remarque'a. Czytał mu ich na głos całymi godzinami. „Teraz muzyka”, zarządził Axel, Pym pożyczył od pana Ollingera gramofon na korbkę i grał Axelowi do poduszki Mendelssohna i Czajkowskiego. Axel obudził się potem w malignie; pot lał się z niego strumieniami, gdy opowiadał o odwrocie przez śniegi, gdzie ślepy wiódł kulawego, a krew zamarzała w ranach. Opowiadał o szpitalu: ranni po dwóch na łóżko, martwi na podłodze. Poprosił o wodę. Pym przyniósł mu. Axel wziął szklankę w obie dłonie i dygotał. Trzymał szklankę tak długo, że cierpły mu ręce, z wysiłkiem pochylał głowę, dopóki nie udało mu się dotknąć wargami szkła. Wtedy zaczął chleptać wodę jak zwierzę, wychlapując ją, ale rozgorączkowane oczy czujnie obserwowały otoczenie. Podciągnął nogi, zmoczył łóżko, a potem siedział obolały, wstrząsany dreszczami, i czekał niecierpliwie, aż Pym zmieni pościel.

- Kogo ty się boisz? - zapytał znów Pym. - Przecież tu nikogo nie ma, tylko my.

- Więc pewnie boję się siebie. Co to za pudel siedzi tam w rogu?

- To Herr Bastl. I nie pudel, tylko chow - chow.

- A ja już myślałem, że to diabeł.

Wreszcie któregoś dnia Pym obudził się po południu i zobaczył, że przy jego łóżku stoi całkiem ubrany Axel.

- Dziś są urodziny Goethego. Już czwarta - oświadczył swym wojskowym głosem. - Idziemy do miasta na odczyt tego idioty Tomasza Manna.

- Przecież jesteś chory.

- Nikt, kto może ustać, nie jest chory. Nikt, kto może maszerować, nie jest chory. Ubieraj się.

- To Mann też był na indeksie? - pytał Pym, pospiesznie wkładając ubranie.

- Za głupi był na to.

- A czemu jest idiotą?

Pan Ollinger przyniósł płaszcz, w którym zmieściłoby się dwóch Axelów; pan San dołożył czarny kapelusz z szerokim rondem. Pan Ollinger podwiózł ich na samo miejsce swym

wiecznie zepsutym samochodem na dwie godziny przed odczytem, więc udało im się zająć miejsca z tyłu sali, nim wypełniła się po brzegi. Po odczycie Axel poprowadził Pyma za kulisy i załomotał do przebieralni pisarza. Pym, choć ze względu na Axela starał się jak mógł, nie przepadał dotąd za Tomaszem Mannem. Uważał, że jego proza jest uperfumowana i niezgrabna. Ale teraz stanął twarzą w twarz z samym Panem Bogiem, wysokim i kanciastym zupełnie jak wuj Makepeace. - Ten młody angielski arystokrata pragnie uścisnąć pańską dłoń - oświadczył rozkazująco Axel spod czarnego kapelusza pana Sana. Tomasz Mann rzucił okiem najpierw na Pyma, potem na bladego i wychudłego po chorobie Axela, i wreszcie na własną prawicę, jakby nie był pewien, czy jego dłoń wytrzyma arystokratyczny uścisk. W końcu jednak dłoń wyciągnął; Pym chwycił ją i czekał, aż geniusz Manna spłynie w niego jak prąd z gniazdka. Nic takiego nie poczuł, ale entuzjazm Axela mógł wystarczyć za dwóch.

- Dotknąłeś go, sir Magnusie! Pobłogosławił cię! Jesteś nieśmiertelny!

Przez tydzień udało im się zaoszczędzić akurat tyle pieniędzy, by pojechać pociągiem do Davos, mekki chorych dusz Manna. Podróżowali w ubikacji. Pym stał, Axel, w berecie na głowie, siedział cierpliwie na sedesie. Gdy do drzwi zapukał konduktor i wywrzeszczał swoje Alle Billette bitte, Axel wydał z siebie dziewczęcy jęk zawstydzienia i wysunął przez drzwi ich wspólny bilet. Pym czekał, wbijając wzrok w cień nóg konduktora. Czuł, że konduktor pochyla się, potem usłyszał, że stęka, prostując się. Dobiegł go szcęk konduktorskiego dziurkacza, jakby pękały jego własne nerwy, i w końcu skasowany bilet pojawił się z powrotem w uchylonych drzwiach. Cień zniknął. Czyli tak się tu dostałeś, pomyślał z podziwem Pym, gdy w milczeniu ściskali sobie dłonie. Czyli takie są te twoje sztuczki, dzięki którym znalazłeś się w Szwajcarii. Tego wieczoru w Davos Axel opowiedział Pymowi ze szczegółami o swej koszmarnej wędrówce z Karlsbadu do Berna. Pym był z tego taki dumny, że natychmiast uznał Tomasza Manna za największego pisarza świata.

Drogi Ojcze! - pisał radośnie tuż po powrocie na poddasze. -

Jest mi tu teraz naprawdę wspaniale, a w dodatku uczę się wielu ważnych rzeczy. Nie masz pojęcia, jak bardzo przydały mi się twoje świetne rady i jaki jestem Ci wdzięczny, że wysłałeś mnie na studia do Szwajcarii. Dziś poznałem prawników, którzy wiedzą bardzo dużo o życiu we wszystkich jego aspektach. Jestem pewny, że znajomość z nimi bardzo przyda mi się w późniejszej karierze.

Droga Belindo! Zareagowałem i jest już znacznie lepiej.

Tymczasem byłeś też ty, Jack, prawda? Jack - inny bohater wojenny, Jack - drugie pół mojej głowy. Opiszę ci, kim byłeś, bo mam wrażenie, że nasze wspomnienia nie dotyczą już jednej i tej samej osoby. Opiszę ci, kim byłeś dla mnie i co ja dla ciebie zrobiłem. Opiszę to najlepiej jak potrafię, bo znowu mam wątpliwości, czy tak samo interpretujemy te same wydarzenia i postacie - bardzo duże wątpliwości. Dla ciebie Pym był kolejnym młodocianym kontaktem, mięsem armatnim w prywatnej armii Jacka Brotherhooda, wierzchowcem nieokiełznanym jeszcze, niewytresowanym, ale już z nałożoną uzdą i chętnie biegającym, ile trzeba, by zasłużyć na kostkę cukru. Pewnie nawet nie pamiętasz - bo i dlaczego miałbyś pamiętać? - jak go zwerbowałeś, jak się do niego zbliżyłeś. Wiedziałeś tylko tyle, że był dokładnie w ulubionym przez Firmę typie - ulubionym zresztą też i przez ciebie, i do pewnego stopnia również przeze mnie: włosy krótkie, mówi ładnym akcentem, zna języki, po dobrej prywatnej szkole. Lubi sporty, zdyscyplinowany. Nie artycha i już na pewno nie przeintelektualizowany. Rozsądny facet, jeden z nas. Zamożny, ale bez przesady, bogaty ojciec, ale bez przesady - jakie to typowe, że nawet nie chciało ci się sprawdzić Ricka. A gdzie poznałeś ten wzór dla przyszłych pokoleń? No oczywiście w kościele angielskim, nad którym powiewał na neutralnym, szwajcarskim wietrzyku sztandar Świętego Jerzego.

Nie wiem, jak długo się do niego przymierzałeś. Zresztą mogę się założyć, że sam tego nie wiesz. Powiedziałeś mi kiedyś, że spodobało ci się, jak czytał na mszy, więc musiałeś mieć go na oku co najmniej przed Bożym Narodzeniem, bo czytanie było na samym początku adwentu. Zdziwiłeś się, kiedy ci powiedział że studiuje, więc pierwszy raz rozpytywałeś o

niego, zanim zapisał się na uniwersytet, i nie zdążyłeś odświeżyć danych. Pym pierwszy raz uściśnął twą dłoń po porannej mszy w Boże Narodzenie. Przewodnik kościoła wyglądał jak zatłoczona winda - wszyscy potrząsali parasolami i czynili typowo angielski hałas. Dzieci dyplomatów tłukły się śnieżkami na ulicy. Pym miał na sobie kurtkę od E. Weber, a ty, Jack, byłeś w wieku dwudziestu czterech lat niezdobytą górą angielskiego tweedu. Z powodu wojny te siedem lat różnicy między nami sprawiło, że byłeś ode mnie starszy o jedno, a może raczej dwa pokolenia. To samo zresztą dotyczy Axela - obaj mieliście i nadal macie nade mną przewagę tych kilku ważnych lat.

Wiesz, co miałeś wtedy na sobie poza tym porządnym brązowym garniturem? Krawat swojej jednostki desantowej: srebrne skrzydlate koniki i ukoronowane Brytanie na karmazynowym tle - moje gratulacje. Nigdy mi nie powiedziałeś, gdzie musiałeś być, żeby na niego zasłużyć, ale teraz wiem, że na pewno rzeczywistość dorównywała moim spekulacjom na ten temat: pomoc partyzantom w Jugosławii i ruchowi oporu w Czechosłowacji, służba na tyłach wroga w Afryce, a nawet, o ile dobrze sobie przypominam, na Krecie. Jesteś wyższy ode mnie tylko o dwa centymetry, ale pamiętam jak dziś, że gdy Pym ścisnął twą wielką, suchą prawicę, krawat komandosa popatrzył mu prosto w twarz. Uniósł głowę, zobaczył twoją kwadratową szczękę i niebieskie oczy - już wtedy miałeś te ogromne krzaczaste brwi - i od razu wiedział, że oto stoi twarzą w twarz z kimś dokładnie takim, jakim chciała uczynić Pyma każda z jego szkół, a chwilami nawet i on sam: dzielnym, dumnym i rycerskim angielskim oficerem, takim, co to nie traci głowy w najgorszych tarapatach. Życzyłeś mu wesołych świąt, a gdy się przedstawiłeś, pomyślał, że to jakiś bożonarodzeniowy żart - w końcu Brotherhood, braterstwo, jak najbardziej pasuje do świątecznej atmosfery.

- Nie, nie, stary, naprawdę się tak nazywam - przekonywałeś go ze śmiechem. - Zresztą po co taki fajny facet jak ja miałby używać fałszywego nazwiska?

No właśnie, po co, skoro i tak udawałeś dyplomatę? Zaprosiłeś Pyma na kieliszek sherry przed lunchem w następnym

dzień, drugi dzień świąt. Powiedziałaś, że wysłałbyś mi zaproszenie, gdybyś znała jego adres, i było to bardzo sprytne, bo, oczywiście, znałaś i adres, i datę urodzenia, i wykształcenie, i wszystkie te inne bzdury, których znajomość daje nam poczucie władzy nad tymi, których dotyczą. Potem zrobiłaś zabawną rzecz: wyciągnęłaś z kieszeni puste zaproszenie i w załączonym przedsiönku kościoła, wśród rozgadanego angielskiego towarzystwa, obróciłaś Pyma i, używając jego pleców zamiast blatu, wpisałaś jego nazwisko. „Państwo kapitanostwo Brotherhood mają zaszczyt zaprosić itd.” I jeszcze wymazałaś „RSVP”, by zaznaczyć, że sprawa załatwiona, i wymazałaś też to głupie słowo „kapitanostwo”, że tacy z nas niby kumple.

- A jak masz ochotę zostać chwilę dłużej, to zjesz z nami indyka na zimno. Strój niezobowiązujący - dodałaś. Pym patrzył, jak oddalasz się w deszczu, i wiedział dokładnie, że właśnie tak samo kroczyłaś wśród kul przez wszystkie pola bitewne, na których w pojedynkę pokonywałaś szwabów, podczas gdy największym dowodem jego, Pyma, męstwa, było wyrzucie inicjałów Sefton Boyda w toalecie dla nauczycieli.

Następnego dnia pojawił się przed twoim małym domkiem dyplomata punktualnie co do minuty i przyciskając dzwonek, odczytał umieszczoną nad nim wizytówkę: „Kpt. J. Brotherhood, asystent, Dział Paszportowy Ambasady Wielkiej Brytanii w Bernie”. Jak zapewne pamiętasz, byłaś wtedy żonaty z Felicity. Adrian miał pół roku. Pym bawił się z nim potem godzinami, by ci się przypodobać, i można powiedzieć, że potem weszło mu to w zwyczaj w stosunkach z młodszymi kolegami po fachu. Wypytywałaś go o wszystko w bardzo sympatyczny sposób; kiedy ty kończyłaś, zaczynała Felicity, wzorowa połowica członka Secret Service, niech jej Bóg wybaczy. - Ale czy ty masz tu w ogóle jakichś przyjaciół, Magnusie? Musisz czuć się okropnie samotny! - zawołała. - Masz jakieś rozrywki?

I jeszcze: czy na uniwersytecie dużo dzieje się poza zajęciami, może jakieś dyskusje, polityka? Czy też jest tam tak nudno i ospale, jak w całym Bernie? Pym wcale nie uważał, by Berno było nudne i ospale, ale nie chciał robić Felicity przykrości. Z chronologicznego punktu widzenia jego przyjaźń z

Axelem trwała dopiero dwanaście godzin, ale w czasie tej rozmowy nawet o nim nie pomyślał - i zresztą niby dlaczego miałby o nim pomyśleć, skoro był tak bardzo zajęty robieniem na tobie dobrego wrażenia?

Pamiętam, że zapytałem, w jakiej jednostce pan walczył, spodziewając się, że będzie to Piąta Desantowa, Trzydziesta Ósma Strzelców, czy coś równie elitarnego. Ale ty zmarszczyłeś się i powiedziałeś: „W takiej zwykłej, liniowej jednostce”. Wiem teraz, że była to z twojej strony dyplomatyczna dialektyka - kamuflaż, ale taki, na który Pym nie miał się nabrać. Chciałeś, żeby wiedział, że jesteś wolnym strzelcem, a nie jakimś intelektualnym pajacem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jak ich nazywasz. Zapytałeś go, czy zna całą Szwajcarię, czy tylko Berno, i zaproponowałeś, że kiedy będziesz jechał gdzieś służbowym samochodem, możesz go zabrać, zawsze się trochę rozerwie. Potem obaj włożyliśmy buty i poszliśmy na spacer, czyli na forsowny marsz przez las w Elfenau. Na „spacerku” powiedziałeś Pymowi, żeby skończył z tym „panem”; gdy wróciliście, Felicity zdążyła już nakarmić Adriana i rozmawiała z nowo przybyłym, starszym, nieszczercze uśmiechniętym. Przedstawiłeś go jako Sandy'ego z ambasady; Pym wyczuł, że jesteście kolegami i że Sandy jest twoim szefem. Teraz wiem, że był szefem placówki, ty jego zastępcą, i że dokonywał właśnie oględzin towaru, nim pozwoli ci na zakup. Wtedy jednak Pym myślał o Sandym jako o dyrektorze szkoły, o tobie zaś jako o wychowawcy - pewnie całkiem by ci się spodobało takie porównanie.

- A przy okazji, jak tam z niemieckim? - zapytał Pyma Sandy, wciąż z tym samym uśmiezkiem, gdy chrupali zapiekankę z mięsem podaną przez Felicity. - Trochę trudno tu się nauczyć, co? Bo ten szwajcarski dialekt...

- Magnus zna na uczelni sporo emigrantów - wyręczyłeś mnie, podkreślając tę dodatkową zaletę.

Sandy zaśmiał się głupawo i palnął dłonią w kolano.

- Ahaaa! To dopiero musi być menażeria!

- Pewnie mógłbyś nam o nich sporo opowiedzieć, prawda, Magnusie? - powiedziałaś.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu? - zapytał ni stąd, ni

zową Sandy, wciąż z rym samym uśmiechem.

- Oczywiście, czemu nie? - odparł Pym.

Sandy zagrał bardzo sprytnie. Wyczuł, że Pym lubi podejmować pochopne decyzje na oczach innych, więc użył tej wiedzy, by wymusić na nim zgodę na współpracę, zanim młokos zorientuje się, co to będzie za współpraca.

- I nie miałbyś skrupułów, że to grzebanie się w świętości życia uniwersyteckiego, czy coś takiego? - naciskał Sandy. - Ależ skąd - odpowiedział śmiało Pym. - Skoro to dla ojczyzny... - I został nagrodzony uśmiechem Felicity.

Nie pamiętam już, jaką wersję samego siebie podał wówczas Pym i jakiej wobec tego trzymał się kilka następných miesięcy - a więc musiało to być coś dość wstrzemięźliwego, by uniknąć problematycznych zwrotów akcji, za które potem przyszłoby zapłacić. Na pewno starał się jak mógł, żebyś usłyszał dokładnie to, co chciałeś usłyszeć. Był na tyle ostrożny, że nie przyznał się do stałego źródła dochodów, co też ci się spodobało, bo wiedziałeś już, że pracuje na czarno, i to nocami. Sprytny gość, pomyślałeś, zaradny, bez głupich przesądów. O życiu na łonie rodziny Ollingerów za wiele nie opowiadał, bo tacy przybrani rodzice psuliby jego image dojrzałego emigranta. Kiedy zapytałeś go o dziewczyny - cień homoseksualizmu, może to jeden z tych? - Pym natychmiast zorientował się w sytuacji i odpowiedział niewinną fantazją na temat pięknej Włoszki imieniem Maria, którą poznał w klubie Cosmo i która mu się podobała, oczywiście, tylko chwilowo, bo w Anglii ma prawdziwą dziewczynę, Jemimę.

- Jemima? A jak na nazwisko? - zapytałeś. Pym powiedział, że Sefton Boyd, co zostało przyjęte ze snobistycznym westchnieniem ulgi. Prawdziwa Maria zresztą naprawdę istniała i naprawdę była piękna, ale Pyma podziw dla niej był stuprocentowo platoniczny - nawet z nią nie rozmawiał.

- Cosmo? - powiedziałeś. - Chyba nie słyszałem. A ty, Sandy?

- Ja też nie, stary. Brzmi podejrzenie.

Pym wyjaśnił, że Cosmo to taki klub dyskusyjny dla emigrantów i że Maria ma tam jakąś funkcję, chyba skarbniczki.

- A zabarwienie? - zapytał Sandy.

- No, raczej smagła - odpowiedział niewinnie Pym, a ty, Felicity i Sandy aż popłakaliście się ze śmiechu. Felicity stwierdziła, że Magnus bardzo dokładnie określił swe sympatie polityczne. Nie było potem spotkania, na którym ktoś nie zapytałby o zabarwienie Marii, i nigdy nie było końca śmiechom z tego tak zabawnego, ale i zrozumiałego nieporozumienia. Pym wyszedł od was dopiero wieczorem, zaopatrzony przez ciebie w butelkę wolnocłowej whisky na rozgrzewkę. W tamtych czasach musiało to Firmę kosztować pewnie z pięć szylingów. Zaproponowałeś, że go odwieziesz, ale on powiedział, że chętnie się przejdzie, za co też zarobił dodatkowe punkty. I rzeczywiście poszedł - jak na skrzydłach: podskakiwał, śmiał się, tulił do piersi butelkę, okropnie z siebie dumny. Nigdy w swym siedemnastoletnim życiu nie czuł się tak świetnie. Oto w jedne i te same święta Bóg postawił na jego drodze aż dwóch świętych Pierwszy ukrywał się i nie mógł chodzić, drugi był przystojnym angielskim bogiem wojny, gotowym na wszystko i serwującym sherry w drugi dzień świąt. Obu się spodobał, obaj zachwycali się jego kawałami i jego parodiami, obaj aż palili się, by zająć w jego sercu wolne miejsce. W zamian dawał każdemu z panów takiego siebie, jakiego chcieli. Nawet nie musiał podejmować decyzji ukrywania jednego przed drugim. Niech każdy z nich będzie dziewczyną marynarza w innym porcie, pomyślał Pym, jeżeli w ogóle o tym myślał.

- Komuś to ukradł, sir Magnusie? - zapytał Axel swą elegancką angielszczyzną, ze zdziwieniem przyglądając się nalepce.

- Od proboszcza - odpowiedział bez chwili namysłu Pym. - Świetny facet, był przedtem kapelanem wojskowym. I wcale nie ukradłem, sam mi dał. No wiesz, nagroda dla praktykujących. Oczywiście, kupuje je w sklepie dla dyplomatów, znacznie taniej niż normalnie.

- A papierosów nie rozdawał? - zapytał Axel.

- Papierosów?

- A może proponował ci tabliczkę czekolady za noc z twoją siostrą?

- Nie mam siostry.

- I bardzo dobrze. Wypijmy za to.

A pamiętasz nasze przejażdżki, Jack? Coś mi się zdaje, że zaczynasz sobie przypominać. Zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak też prowadzili swych agentów nasi przodkowie przed wynalezieniem samochodu? Już pierwszy wspólny wyjazd okazał się strzałem w dziesiątkę. Miałeś spotkanie w Lozannie. Potrzebowałeś na to trzy godziny. Nie powiedziałaś, co będziesz robił trzy godziny w Lozannie, choć mogłeś wymyślić dowolną historyjkę.

Oczywiście teraz wiem doskonale, że znowu dopuszczałeś mnie do sekretów swej pracy, nie mówiąc, co to była za praca. O nic Pyma wtedy nie wypytywałeś - budowałeś zaufanie. Wyzaczyłeś mu czas i miejsce spotkania, najpierw jedno, potem drugie, awaryjne, żeby sprawdzić, czy da sobie radę. „Słuchaj, może się zdarzyć, że jeszcze będę musiał się z kimś zobaczyć. Jeżeli nie będzie mnie o trzeciej przed hotelem Dora, czekaj na mnie dwadzieścia po trzeciej od zachodniej strony poczty głównej”. Pym nie bardzo orientował się w stronach świata, ale szósty z kolei zapytany przechodzień umiał mu pomóc; na drugim miejscu spotkania zjawił się punktualnie o trzeciej dwadzieścia, choć z wywieszonym językiem. Ty objeżdżałeś plac; za drugim razem zwolniłeś przy nim, Pym wskoczył do samochodu w biegu jak prawdziwy spadochroniarz, żeby ci pokazać, jaki jest sprawny.

- Rozmawiałem z Sandym - powiedziałaś, gdy tydzień później jechaliście razem do Genewy. - Ma dla ciebie robotę. Nie masz nic przeciwko temu?

- Pewnie że nie.

- Mocny jesteś w tłumaczeniu?

- Jakim?

- Umiesz trzymać gębę na kłódkę?

- Chyba tak.

Zapoznałeś go z jego pierwszą misją:

- Od czasu do czasu trafiają się nam teksty techniczne. Głównie chodzi o małe szwajcarskie firmy, które robią nieprzyjemne rzeczy. Nieprzyjemne, bo wybuchowe - dodałeś z uśmiechem. - Sprawa nie jest może ściśle tajna, ale w ambasadzie zatrudniamy kupę tubylców, więc wolelibyśmy, żeby zrobił to ktoś z zewnątrz. Najlepiej Anglik. Ktoś, komu

ufamy. Podjąłbyś się?

- Oczywiście.

- Zapłacimy. Niewiele, ale od czasu do czasu stać cię będzie wziąć Marię na kolację. A co u Jemimy?

- Dziękuję, w porządku.

Pym jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał. Wręczyłeś mu kopertę, wsadził ją do kieszeni, poczęstowałeś go spojrzeniem mistrza intrygi i powiedziałeś: „Powodzenia, stary”. Owszem, Jack, dokładnie tak powiedziałeś! Tak wtedy mówiliśmy do siebie! I Pym poszedł do domu, a po drodze tyle razy przekładał kopertę z jednej kieszeni do drugiej, że można go było wziąć za nielegalnego bukmachera. Co w niej było? Nie mów, sam ci powiem: gównno. Skserowane gównno ze starych katalogów firm zbrojeniowych. Ale tobie nie chodziło o jakieś głupie tłumaczenie, tylko o duszę Pyma. Pym zresztą gubił tę kopertę z sześć razy w pokoju na poddaszu: pod łóżkiem, pod materacem, za lustrem, w kominie. Przetłumaczył jej zawartość w takiej tajemnicy, że nawet Axel niczego się nie domyślił. Zapłaciłeś Pymowi dwadzieścia franków. Słownik techniczny kosztował dwadzieścia pięć, ale Pym wiedział, że dżentelmeni nie rozmawiają o takich drobnostkach - mimo że czeki od Ricka, jeżeli w ogóle przychodziły, zwykle nie były honorowane w żadnym banku.

- Byłeś ostatnio w Cosmo? - zapytałeś go od niechcienia, gdy jechaliście do Zurychu, gdzie, jak powiedziałeś, miałeś zobaczyć się z jakimś gościem w sprawie psa. Pym odpowiedział, że nie. Gdy ktoś ma już kosmos Axela i Jacka Brotherhooda, po co mu drugi?

- Ktoś mi mówił, że parę osób z tej paczki trochę za dużo gada. Nie bój się, Maria na pewno jest w porządku, ale takie grupki mają zawsze dość szeroki przekrój. Jak to w demokracji. Mimo wszystko przydałoby się, żebyś się tam trochę rozejrzył - powiedziałeś. - Tylko się nie wychylaj. Jeżeli myślą, że jesteś lewakiem, nie wyprowadzaj ich z błędu. A jeżeli jesteś dla nich typowym angielskim centroprawicowcem, proszę bardzo. Jeśli trzeba, rób i to, i to. Tylko nie przesadzaj. Są tam jeszcze jacyś Brytyjczycy?

- Jest paru studentów medycyny ze Szkocji, ale sami mi

mówili, że przychodzą tylko po to, żeby kogoś poderwać. - Przydałoby się parę nazwisk - powiedziałaś. Gdy teraz o tym myślę, to właśnie od tej rozmowy Pym przestał być Pymem. Teraz stał się naszym człowiekiem w Cosmo, jak coś masz, pamiętaj, nie przez telefon. Stał się symbolicznym, półświadomym agentem, co w naszym języku oznacza kogoś, kto trochę, ale nie do końca orientuje się w tym, co robi i dlaczego. Miał siedemnaście lat. Gdyby szybko musiał się z tobą spotkać, miał dzwonić do Felicity i powiedzieć, że przyjechał wujek. Jeżeli ty chciałaś się z nim skontaktować, miałaś zadzwonić z budki do Ollingerów i powiedzieć, że jesteś Mac z Birmingham, i że właśnie jesteś przejazdem w Bernie. Jeśli nie, umawialiście się ze spotkania na spotkanie. Płyn z prądem, Magnus, tłumaczyłaś mu. Bądź sobą. Musisz wszystko widzieć, wszystko słyszeć, ale na miłość boską nie narób nam kłopotów ze Szwajcarami. Aha, tu masz za kolejny miesiąc. Pozdrowienia od Sandy'ego. Zaprawdę powiadam ci, Jack, kto sieje nieprawość, zbiera z niej plon, nawet jeżeli czasem trwa to trzydzieści pięć lat.

Sekretarzem klubu była bezbarwna rumuńska rojalistka Anka, która nie wiadomo czemu szlochala gorzko na każdym wykładzie. Była chuda, nadpobudliwa, chodziła zawsze z wykręconymi do tyłu dłońmi. Gdy Pym zatrzymał ją w korytarzu, zmarszczyła brwi nad czerwonymi jak u królika oczyma i kazała mu się wynosić, bo boli ją głowa. Ale Pym miał do wypełnienia szpiegowską misję, więc nie znosił sprzeciwu.

- Pomyślałem sobie, że warto by zacząć wydawać klubową gazetkę - oświadczył. - Każda grupa mogłaby coś napisać...

- Cosmo nie mieć grup. Cosmo nie potrzebować gazetki. Ty głupi. Ty idź. Ale Pym przyczepił się do niej i wdarł się za nią do maleńkiego pokoiku, który był jej biurem i schronieniem.

- Wystarczy, że dasz mi listę członków - powiedział. - Jak mi dasz listę, wyślę okólnik, zobaczymy, czy ktoś się zainteresuje.

- To przyjdź na następne zebranie i sam wszystkich pytaj - powiedziała Anka, opadając na krzesło i opierając głowę na ramionach, jakby zaraz miała zemdleć.

- Nie wszyscy chodzą na zebrania, a ja bym chciał, żeby każdy się wypowiedział. Tak byłoby bardziej demokratycznie.

- Nie ma demokratycznie - odpowiedziała Anka. - Iluzja. On Anglik - wyjaśniła sama sobie, z wysiłkiem otworzyła szufladę i zaczęła grzebać w straszliwym bałaganie. - Co Anglik wie o iluzja? — pytała niewidzialnego powiernika. — Głupi wariat Anglik. - Wręczyła mu brudną kartkę z nazwiskami i adresami. Jak się później okazało, prawie w każdym był jakiś błąd.

Najdroższy Ojczy! - pisał podekscytowany Pym. - Mimo młodego wieku zaczynam odnosić tu sukcesy. Zdaje się, że Szwajcarzy chcą przyznać mi jakieś akademickie wyróżnienie.

Kocham Cię - napisał do Belindy. - Nigdy nikomu jeszcze tego nie wyznałem.

Jest noc, najmroczniejsza zima w historii Berna. Miasto nigdy już nie ujrzy światła dnia. Ciężka brązowa mgła toczy się po mokrym bruku Herrengasse, poczciwi Szwajcarzy posłusznie przedzierają się przez nią jak rezerwiści kierowani na front. Ale Pym i Jack Brotherhood siedzą wygodnie w przytulnym kątku małej restauracji. Jack już przekazał od Sandy'ego pozdrowienia i najszczerze gratulacje. Jest to pierwsze spotkanie agenta i jego oficera prowadzącego w miejscu publicznym na terenie ich działalności. Na wypadek przypadkowego spotkania osób trzecich wymyślono błyskotliwą historyjkę: Jack mianował się sekretarzem rzekomo działającego przy ambasadzie Chrześcijańskiego Towarzystwa Przyjaźni Brytyjsko - Szwajcarskiej, który właśnie stara się pozyskać członków wśród studentów. Cóż bardziej naturalnego, niż zwrócić się do Magnusa, którego zna z kościoła angielskiego? Dla jeszcze pełniejszego kamuflażu Jack przyprowadził ze sobą Wendy, która pracuje w kancelarii, jest dobrze urodzona, ma płowe włosy i lekko, ale wyraźnie wysuniętą górną wargę, jakby przez cały czas usiłowała zdmuchnąć świeczkę trzymaną tuż pod podbródkiem. Wendy kocha obu mężczyzn jednakowo, dotyka ich w sposób naturalny i spontaniczny. Pym właśnie kończy opowiadać o swym wielkim sukcesie. Wendy nie może się opanować i kładzie mu dłoń na policzku.

- O Boże, Magnusie, jakiś ty dzielny. I wspaniały. Wiesz, jaka Jemima byłaby z ciebie dumna, gdyby wiedziała? Prawda, Jack?

Ale to wszystko odbywa się bardzo spokojnie i bardzo niewinnie. Mniej niewinnie przysuwa swe piękne włosy do twarzy Jacka, gdy mówi do niego.

- Dobra robota, niech mnie - mówi Brotherhood z wojskowym uśmiechem na twarzy. - Kościół może być z ciebie dumny - dodaje wprost do agenta. Wypijają za przysługę, jaką Pym oddał Kościołowi.

Teraz są już przy kawie. Brotherhood wyciągnął z jednej kieszeni marynarki kopertę, z drugiej okulary do czytania w drucianej oprawie, które w czarodziejski sposób zmieniają jego żołnierską twarz w twarz dyplomaty. To nie honorarium, bo honoraria dostaje się w białych, anonimowych kopertach, nie w szarobrazowych jak ta. Jack nie daje jej Pymowi do ręki, lecz sam ją otwiera na oczach wszystkich i prosi Wendy, by mu pożyczyła ołówek, ten śliczny, złoty, lepiej nam nie mów, za co go dostałaś, kochanie. Wendy odpowiada: „Dla ciebie wszystko, kochanie”, i wrzuca mu ołówek w nadstawione dłonie, które natychmiast zamykają się na jej ślicznej łapce. Jack rozprostowuje papier leżący przed nim na stoliku.

- Jeszcze tylko sprawdzimy niektóre adresy - mówi. - Dla pewności, żeby na darmo nie wysyłać materiałów. Okej?

„Okej” ma oznaczać: rozszyfrowałeś tę błyskotliwą dwuznaczność? i

Pym mówi, że „okej”; Wendy czule przesuwając paluszkami wzdłuż listy, zatrzymując się przy nielicznych nazwiskach szczęśliwców oznaczonych fajkami i krzyżykami.

- Okazało się, że niektórzy nasi chórzyści są za skromni, jeśli chodzi o ich zasługi. Zupełnie jakby chcieli coś zataić - mówi Brotherhood.

- Tak? Nawet nie sprawdzałem - mówi Pym. Brotherhood ścisza głos.

- Nic nie szkodzi, to nasza sprawa, nie twoja.

- Nigdzie nie znaleźliśmy tej twojej ślicznej Marii - mówi okropnie zawiedziona Wendy. - Coś ty z nią zrobił?

- No właśnie. Niestety, musiała wrócić do Włoch - mówi Pym.

- Nie szukasz zastępstwa, Magnusie, kochanie? - pyta Wendy i wszyscy śmieją się do rozpuku. Pym najgłośniej, choć

oddalby resztę życia za rzut oka na jedną z jej piersi.

Brotherhood zaczyna wyliczać nazwiska, przy których brak adresów. Pym też ich nie zna, nie potrafi przypisać twarzy do nazwisk, nie wie, jak kto wygląda. W innej sytuacji chętnie by pozmyślał, ale Brotherhood ma taki nieprzyjemny zwyczaj, że zna odpowiedź przed zadaniem pytania, i Pym zaczyna się w tym orientować. Wendy dolewa obu panom kawy, sobie zostawiając fusy. Brotherhood przechodzi do adresów, przy których brak nazwisk.

- A.H. - mówi niedbale. - Nic ci to nie mówi? A.H.? Pym wyznaje, że nie.

- Tak naprawdę nie byłem jeszcze na zbyt wielu zebraniach - mówi przepraszająco. - Ostatnio musiałem trochę powkuwać przed egzaminami.

Brotherhood wciąż się uśmiecha, wciąż jest na pełnym luzie. Czy wie, że Pym nie zdaje żadnych egzaminów? Pym zauważa, że ołówek Wendy niemal całkiem zniknął w zaciśniętej pięści Jacku. Sterczy z niej teraz tylko ostry koniec, jak lufa maleńkiego pistoletu.

- Pomyśl chwilę - proponuje Brotherhood. I jeszcze raz powtarza, powoli, jak hasło: - A.H.

- Może to czyjeś inicjały przed nazwiskiem? - zastanawia się Pym. - Może to jakiś A.H. Smith. To znaczy, Schmidt. Jak chcesz, zapytam, na pewno mi powiedzą.

Wendy zamiera, jak w zabawie w „Ciszę na morzu”. Razem z nią zamiera jej uśmiech. Wendy posiada właściwą dobrym sekretarkom umiejętność nienarzucania się, jeśli nie trzeba. Pojawia się kelner, zbiera talerze. Pięść Brotherhooda leży na kartce, akurat tak, że przypadkiem nie da się przeczytać ani jednego nazwiska.

- A gdybym ci powiedział, że A.H., ktokolwiek to jest, mieszka w pewnym domu na Langgasse? A przynajmniej tak twierdzi. W domu państwa Ollingerów. Ty przecież też u nich mieszkasz?

- Aaa, to może chodzi o Axela? - mówi Pym.

W tej samej chwili gdzieś na pewno zapiał kur, ale Pym tego nie słyszał. W uszach coś mu szumiało, jakby wodospad, serce miało pełne poczucia obowiązku. Był u Ricka w sypialni,

zastanawiał się, jak odzyskać utraconą miłość, którą obdarzył niewłaściwą sprawę. Był w toalecie dla nauczycieli, robił świństwo najfajniejszemu chłopakowi z całej szkoły. Nagle wróciło doń wszystko, co opowiadał mu w gorączce Axel, gdy wstrząsany dreszczami rozlewał wodę z trzymanej oburącz szklanki. I to, co opowiadał mu w Davos, kiedy zwiedzali sanatorium Tomasza Manna. I różne drobiazgi, które wywnioskował z ostrożnych rewizji w pokoju Axela. I to, o czym nawet nie wiedział, że wie, a co wyciągał teraz z niego sprytnymi pytaniami Brotherhooda. Ojciec Axela walczył w Hiszpanii w brygadzie imienia Thalmanna, był socjaldemokratą w starym stylu, więc miał szczęście, że umarł, zanim aresztowali go hitlerowcy.

- Czyli to lewak? - Przecież nie żyje. - Nie on. Syn.

- E, nie, on sam by tak nie powiedział. On raczej tylko uzupełnia swoje wykształcenie. Chyba jest niezdecydowany.

Brotherhood zmarszczył brwi i dopisał ołówkiem „Thalmann” na liście chórzystów. Matka Axela była katoliczką, ale ojciec należał do luterańskiego ruchu Los von Rom, powiedział Pym. Matka straciła prawo do spowiedzi, wychodząc za protestanta.

- I socjalistę - przypomniał półgłosem Brotherhood Pymowi, nie przestając notować.

W gimnazjum koledzy Axela chcieli latać na samolotach nad Anglię, ale Axel dał się namówić komisji poborowej na wojska lądowe. Poszedł na front wschodni, dostał się do niewoli, uciekł, a kiedy alianci wylądowali we Francji, wysłano go do Normandii. I tam został ranny w kręgosłup i udo.

- Opowiadał ci, jak udało mu się uciec Rosjanom? - wtrącił Brotherhood.

- Mówił, że na piechotę.

- Aha, tak samo jak na piechotę dotarł do Szwajcarii - uśmiechnął się twardo Brotherhood i Pym dopiero teraz zaczął dostrzegać w tym jakąś prawidłowość.

- Długo tam był?

- Nie wiem. Ale chyba wystarczająco, żeby nauczyć się po rosyjsku. W pokoju ma książki drukowane cyrylicą.

Po powrocie do Niemiec długo chorował, lecz zaraz znowu kazano mu walczyć, tym razem z Amerykanami. Kolejny raz

został ranny; odesłano go do Karlsbadu, gdzie jego mama akurat chorowała na żółtaczkę, więc załadował ją i cały jej dobytek na wózek i w ten sposób przewiózł ją do Drezna, pięknego miasta dopiero co całkowicie zbombardowanego przez aliantów. Zatrzymał się z matką wśród uciekinierów ze Śląska, ale ona zaraz umarła, więc został sam. Teraz Pymowi zaczynało kręcić się w głowie. Kolory na ścianie za głową Brotherhooda zaczynały zlewać się, wirować. To nie ja. To ja. Wypełniam mój patriotyczny obowiązek. Axel, pomóż.

- Aż tu, bum, czterdziesty piąty, nadszedł koniec wojny. Co zrobił pan Axel?

- Uciekł ze strefy sowieckiej. - Czemu?

- Bał się, że Rosjanie znajdą go i znowu wsadzą do więzienia. Nie lubił Rosjan, nie lubił więzienia i nie podobało mu się to, co komuniści robili w Niemczech Wschodnich.

- Niech mu będzie. Na razie. No i co?

- Spalił swoje dokumenty, kupił inne.

- Od kogo?

- Od jakiegoś żołnierza, którego poznał w Karlsbadzie. Tamten pochodził z Monachium, nawet byli trochę podobni. Axel mówił, że w czterdziestym piątym nikt w Niemczech nie wyglądał tak jak na zdjęciu.

- A ten uprzejmy żołnierz sam nie potrzebował dokumentów?

- Chciał zostać na Wschodzie. - Czemu?

- Axel nie wiedział.

- Trochę to podejrzane, nie uważasz?

- No, może trochę.

- Dalej.

- Wsiadł do pociągu z repatriantami do Monachium i wszystko szło dobrze, ale po przyjeździe Amerykanie wyciągnęli go z pociągu i wsadzili prosto do więzienia. Bili go.

- A czemuż to?

- Okazało się, że szukali tego, który sprzedał mu papiery. Axel nic o tym nie wiedział.

- Chyba że to jednak od początku były jego papiery i od nikogo ich nie kupował - zasugerował Brotherhood, znów zapisując coś na kartce. - Przykro mi, stary, że rozwiewam twoje

złudzenia, ale tak to bywa, niestety. Długo siedział?

- Nie wiem. Znowu zachorował, przenieśli go do szpitala. I ze szpitala uciekł.

- Trzeba przyznać, że ma talent do ucieczek. Czyli twierdzisz że dotarł tu na piechotę?

- No, trochę na piechotę, trochę pociągiem na gapę. Musieli mu przyciąć jedną nogę, jeszcze w Niemczech, po powrocie z Rosji, dlatego kuleje. Powinienem być wcześniej to powiedzieć. No bo nawet jeżeli trochę podjechał, to i tak kawał drogi. Z Monachium do Austrii, potem z Austrii nocą przez granicę do Szwajcarii, i wreszcie do Ostermundigen.

- Gdzie?

- Pan Ollinger ma tam fabrykę. - Pym spróbował jeszcze usprawiedliwić Axela. - Przecież nie miał dokumentów. Swoje zniszczył w Karlsbadzie, te, które kupił, zabrali mu Amerykanie nowych nie mógł dostać od nikogo. A alianci ciągle mieli go na liście. Mówi, że Amerykanom przyznałby się do wszystkiego gdyby tylko wiedział, czego od niego chcieli. Ale nie wiedział więc tylko go bili. - To też gdzieś już słyszałem - powiedział pod nosem Brotherhood. I znów coś sobie zanotował. - A czym tu się zajmuje. Z kim się koleguje?

Za późno, o wiele za późno, jakiś wewnętrzny głos nakazywał Pymowi ostrożność.

- Boi się wychodzić z domu, żeby go nie aresztowano. Jeżeli idzie do miasta, nakłada duży kapelusz. Chodzi mu nie tylko o policję, ale w ogóle o Szwajcarów, bo zaraz by na niego donieśli. Mówi, że oni to lubią, że to ich narodowy sport. Twierdzi, że robią to z zawiści, ale nazywają praworządnością. Wszystko, co ci teraz mówię, to plotki.

- Szkoda, że wcześniej nam tego nie opowiedziałeś.

- Myślałem, że to bez znaczenia, że was to nie zainteresuje. Większość z tego wiem od pana Ollingera, to stary plotkarz.

Brotherhood przyjechał samochodem. Obaj mężczyźni, starszy i młodszy, wsiedli do auta, ale Brotherhood jeszcze nie włączył silnika. Wendy poszła do domu. Brotherhood zapytał o poglądy polityczne Axela. Pym odpowiedział, że Axel nie lubi określać swojego stanowiska. Brotherhood kazał to sobie wytłumaczyć. Już nie pisał, ale jego głowa rysowała się zupełnie

nieruchomo na tle okna. Pym powiedział, że według Axela najbardziej demokratyczny jest ból.

- Co czyta? - zapytał Brotherhood.

- No, wszystko, można powiedzieć. Wszystko, czego nie zdążył przeczytać przez wojnę. I dużo pisze, głównie nocami. - Co pisze? - Mówi, że książkę. - No, a konkretnie co czyta?

- No, wszystko. Czasem, kiedy źle się czuje, sam biorę mu książki z biblioteki.

- Na twoje nazwisko? - Tak.

- To trochę nieostrożne. Co mu przynosisz?

- Wszystko.

- Konkretnie.

Pym zaczął wyliczać i prędzej czy później musiał powiedzieć o Marksie, Engelsie i innych widmach. Brotherhood wszystko zapisywał. Zapytał, kim był Duhring w życiu prywatnym.

Potem pytał też o zwyczaje Axela. Pym powiedział, że lubi cygara, wódkę, czasem kirsch. O whisky nie wspomniał.

Brotherhood przeszedł do życia seksualnego Axela. Odrzucając własne ograniczenia w tym względzie, Pym powiedział, że jest mieszane.

- Co to znaczy? - zapytał Brotherhood.

Pym starał się jak mógł, choć o życiu seksualnym Axela wiedział jeszcze mniej niż o swoim - poza tym, że jakkolwiek przybierało ono formę, Axel miał w tej dziedzinie znacznie mniej kompleksów niż Pym.

- Czasem przychodzą do niego dziewczyny - powiedział niedbale, jakby dając do zrozumienia, że to robi każdy. - Zwykle co lepsze z Cosmo. Gotują mu, sprzątają mu pokój. Mówi o nich „moje Marty”. Z początku myślałem nawet, że chodzi o tego hiszpańskiego komunistę.

Najdroższy Ojczy! - napisał tego samego wieczoru Pym, siedząc samotnie i cierpiąc w swym pokoiku na poddaszu. - Czuję się świetnie, w głowie aż mi wiruje od zajęć i wykładów, choć tęsknię za Tobą jak zawsze. Tyle tylko, że ostatnio zawiodłem się na jednym koledze.

Jak ten Pym uwielbiał Axela kilka następnych tygodni! To znaczy najpierw, jeden dzień, może dwa, miał do niego takie pretensje, że nie chciał go widzieć na oczy. Miał do niego

pretensje o wszystko, nawet o jego obecność po drugiej stronie kaloryfera. Traktuje mnie protekcyjnie. Kpi z mojej niewiedzy, nie zauważa moich zalet. Zarozumiały Niemiec, bardzo dobrze, że Jack ma go na oku. Pym miał pretensje o listy przychodzące do Axela, a najbardziej chyba o te „jego Marty” wspinające się do pokoju Axela na paluszkach jak kapłanki jakiegoś bóstwa i odchodzące potulnie dwie godziny później. Rozpustnik. Zboczeniec. Zawraca im w głowach, tak samo jak mnie zawrócił. Pym zaczął prowadzić szczegółowy dziennik tych zdarzeń, by mieć czym pochwalić się przed Brotherhoodem. Dużo czasu spędzał w bufecie trzeciej klasy, wodząc rozmarzonym wzrokiem za Elisabeth. Jednak te próby odseparowania się od Axela nic nie dały - czuł, że związek ich, zamiast słabnąć, staje się coraz silniejszy. Pym zorientował się, że z tempa stukania w klawisze maszyny do pisania potrafi odgadnąć nastrój przyjaciela, czy jest podniecony, zły lub zmęczony. Jeszcze usiłował przekonać sam siebie: przecież on na nas donosi sprzedaje studentów zagranicznych swym niemieckim mocodawcom. To hitlerowski zbrodniarz wojenny, który przedzierzgnął się w komunistycznego szpiega na obraz i podobieństwo swego ojca lewaka.

- Kiedy ją sobie poczytamy? - Gdy jeszcze byli sobie bliscy. Pym nieśmiało zapytał Axela o jego książkę.

- Poczytamy, jeżeli ją skończę, a wydawca wyda.

- A czemu nie możemy już?

- Bobyś zebrał z niej całą śmietankę, a mnie zostawił serwatkę.

- O czym będzie?

- O najróżniejszych tajemnicach, sir Magnusie. Ale takich, które jeśli zostaną wypowiedziane, nigdy nie zostaną spisane.

Pisze swoją autobiografię a la Wilhelm Meister, pomyślał z oburzeniem Pym. Przecież to był mój pomysł.

Pym wiedział już, że dźwięk pocierania kolejnych zapalek do przypalenia cygar oznacza, iż Axel nie może spać. I wiedział, kiedy ciało sąsiada doprowadza swego właściciela do szału - Axel wtedy ruszał się jakoś inaczej i z większą determinacją śpiewał wesoło, wlokąc się po drewnianej podłodze korytarza do wspólnej ubikacji, gdzie potem siedział godzinami, skulony na

porcelanowej muszli. Gdy trwało to kilka nocy z rzędu, Pym zaczął nienawidzić Axela za jego kalectwo. Czemuż on nie położy się do szpitala? „Wyśpiewuje niemieckie marsze”, napisał w dzienniku dla Brotherhooda. „Dziś w nocy odśpiewał w ubikacji całą pleśń Horsta Wessela”. Trzeciej nocy z rzędu drzwi pokoiku Pyma nagle otworzyły się. Staął w nich Axel, opatulony szlafrokiem pana Ollingera.

- No co? Już mi przebaczyłeś?

- Ja? A co niby miałem ci przebaczyć? - odpowiedział Pym, dyskretnie wsuwając swój tajny notes pod poduszkę.

Axel nie ruszał się z progu. Szlafrok był na niego o wiele za duży, wyglądał w nim wręcz śmiesznie. Pot zrobił z jego wąsów dwa czarne kły.

- Poczęstuj mnie whisky od księdza - powiedział.

Na takie dictum Pym wypuścił Axela, dopiero gdy mu udało się całkowicie zetrzeć z jego twarzy najmniejszy cień podejrzenia.

Mijały tygodnie, nadeszła wiosna. Pym wiedział, że nic się nie dzieje i że on wcale nie zdradził Axela, bo gdyby go zdradził, to przecież już dawno by coś zrobili. Brotherhood zadawał mu co jakiś czas parę pytań, ale brzmiały dość rutynowo. Kiedyś poprosił, żeby wskazać mu wieczór, kiedy Axela na pewno nie będzie w domu, ale Pym odpowiedział, że w życiu Axela nie ma nic pewnego.

- No to słuchaj, zabierz go gdzieś na kolację. Na twój koszt - zaproponował Brotherhood.

Pym spróbował. Powiedział Axelowi, że ojciec wreszcie przysłał mu trochę forsy i że może fajnie byłoby, gdyby przebrał się tak jak wtedy, kiedy poszli na Manna. Axel pokręcił głową, jakby wiedział coś, nad czym Pym wolał się nie zastanawiać. Od tej chwili Pym znów stał się gorliwym uczniem Axela, to zaprzeczając w duchu istnieniu Brotherhooda, to gratulując sobie ocalenia Axe - la, który zawdzięczał je władzy Pyma nad potężnymi siłami zła.

Przyszli we wczesnych godzinach rannych pewnego wiosennego dnia, czyli dokładnie wtedy, gdy boimy się ich najbardziej, gdy najdłużej chcemy żyć i gdy śmierć najbardziej nas przeraża. Wkrótce, o ile sam nie sprawię, że nie będą mieli po co przyjść, tak samo przyjdą po mnie. Jeżeli tak się stanie, mam nadzieję, że potrafię uznać to za sprawiedliwe i cieszyć się nieuchronnością pewnych rzeczy w życiu. Zdobyli klucz do drzwi frontowych i jakoś poradzili sobie z łańcuchami u drzwi pana Ollingera, nawet dość przypominającymi te u panny Dubber. Rozkład domu znali na pamięć, ponieważ obserwowali go od paru miesięcy, fotografowali naszych gości, posyłali nam fałszywych inkasentów i rzemieślników, opóźniali dostarczanie naszych listów, bo musieli je najpierw przeczytać, i niewątpliwie podsłuchiwali żałosne rozmowy pana Ollingera z wierzycielami i podopiecznymi. Pym wiedział, że przyszło ich trzech, bo usłyszał skrzypnięcie ostatniego schodka, gdy skradali się jak trzej Święci Mikołaje. Zanim stanęli przed drzwiami pokoiku Axela, najpierw sprawdzili ubicację. Pym usłyszał otwieranie drzwi i cichy chrzęst wyciąganego z zamka klucza, by zatwardziały złoczyńca nie zabarykadował się w wychodku. Ale Pym nie mógł interweniować, bo spał wtedy głęboko, śniąc

wszystkie koszmary swego dzieciństwa. Śniła mu się Lippsie i jej brat Aaron, i to, że razem z Aaronem spycha Lippsie z dachu szkoły pana Grimble'a. Śniło mu się, że przed domem czeka karetka, dokładnie taka, jaka zabrała Dorothy z Glades, i że pan Ollinger usiłuje powstrzymać wchodzących po schodach mężczyzn, ale że osadza go w miejscu nawąła słów w szwajcarskim dialekcie. Śniło mu się, że słyszy z pokoju Axela okrzyk: „Pym, ty sukinsynu, gdzie jesteś?“, a zaraz potem przerażająco krótki odgłos walki jednego kaleki z trzema zdrowymi napastnikami i wściekłe ujadanie Bastla, którego kiedyś Axel nazwał swym faustowskim diabłem. Ale gdy Pym uniósł głowę znad poduszki i uciekł ze snu w jawę, wokół panowała absolutna cisza i wszystko było absolutnie w porządku.

Wyznam, Jack, że miałem ci to za złe jeszcze długo po moim wstąpieniu do Firmy. Dlaczego mu to zrobiłeś? Nie był ani Anglikiem, ani komunistą, ani zbrodniarzem wojennym, za którego uważali go Amerykanie. Nie miał też z tobą nic wspólnego. Jego jedynymi przewinieniami było ubóstwo, nielegalny pobyt w Szwajcarii i kalectwo - no i pewna swoboda w myśleniu, której przecież w opinii niektórych mieliśmy chronić. Ale miałem ci to za złe - przepraszam. Bo teraz wiem, oczywiście, że dla ciebie był to zupełny drobiazg. Axel był dla ciebie tylko towarem na wymianę. Opisałeś go sobie tak, jak chciałeś, i wyszedł ci w bezbłędnym maszynopisie Wendy ktoś wielki i niebezpieczny. Zapaliłeś fajkę i podziwiałeś własne dzieło, i pomyślałeś sobie: oho, szwajcarskim kolegom to się spodoba, dam im cynk, będę miał u nich duży plus. Podzwoniłeś tu i tam, zaprosiłeś łącznika ze szwajcarskiej służby bezpieczeństwa na długi lunch w twojej ulubionej restauracji, i przy kawie i sznapsiku podsunąłeś mu czystą brązową kopertę. Potem uznałeś, że równie dobrze można by podsunąć taką samą kopertę koledze z Ameryki, bo w końcu lepiej mieć dwa duże plusy niż jeden, no nie? W końcu zaczęło się od tego, że to jankesi wsadzili go do pudła. Co z tego, że przez pomyłkę?

Ty byłeś wtedy bardzo młodym oficerem, musiałeś przecież jakoś się wybić. Jak my wszyscy. Obaj jesteśmy teraz bardziej dojrzały. Bardzo cię przepraszam, że tak długo ci to pamiętałem,

ale sam długo starałem się o tym zapomnieć. Teraz wszystko w porządku. Dobrze mi tak, że miałem kiedyś przyjaciela spoza Firmy.

- Panie Canterbury! Panie Canterbury! Ktoś do pana! Pym zdążył już odłożyć pióro. Nawet nie spojrzął w stronę drzwi. Niemal zanim zorientował się, co robi, skoczył na równe nogi i już klęczał po drugiej stronie pokoju przy wyłożonej metalem czarnej aktówce, która stała pod ścianą, wciąż jeszcze zamknięta. Wsunął do pierwszego zamka skomplikowany klucz, przekręcił go. Włożył drugi - jeżeli teraz przekręci go zgodnie z ruchem wskazówek zegara, będzie zapłon.

- Kto taki, proszę pani? - zapytał najspokojniejszym i najbardziej uspokajającym głosem. Jedną dłoń trzymał na aktówce.

- Z jakąś szafką, taką jakby na dokumenty - odpowiedziała z dezaprobatą panna Dubber. - Nigdy dotąd nie przywoził pan żadnej szafki. W ogóle nic pan nie przywoził. I drzwi przedtem też pan nie zamykał. Co się stało?

Pym zaśmiał się.

- Ależ nic się nie stało. To zwykła szafka na dokumenty, zamówiłem ją. Dużo ich jest?

Nie wypuszczając aktówki z ręki, podkradł się na palcach do okna, przywarł plecami do ściany i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz przez szparę w zasłonie.

- Jak to „dużo”? Jedna. Mało? Okropnie brzydka ta szafka, stara, zielona, z żelaza chyba. Szkoda, że mi pan nie powiedział że pan potrzebuje czegoś takiego, dałabym panu kredens pan Tutton z dwójki.

- Pytałem, czy dużo ludzi ją przywiozło?

Było już całkiem jasno. Przed domem stała żółta taksówka bagażowa. Za kierownicą ktoś siedział. Pym szybko rozejrzał się po placu. Potem jeszcze raz, ale powoli, żeby wszystko dokładnie sprawdzić.

- A cóż to ma za znaczenie, ilu ją przywiozło?

Pym uspokoił się, odłożył aktówkę na miejsce pod ścianą i zamknął ją z powrotem. Schował oba klucze do kieszeni i otworzył drzwi.

- Przepraszam panią. Chyba po prostu przysnąłem.

Patrzyła, jak schodził po schodach, potem poszła za nim i znów przyglądała się, jak ogląda najpierw obu mężczyzn, potem, jakby nieśmiało, zieloną szafkę, muskając palcami jej sfatygowaną farbę i pociągając za każdą z szuflad po kolei.

- Ależ ciężka, prezesie - powiedział pierwszy.

- Kogo pan tam trzyma? - dodał drugi. Patrzyła, jak prowadzi tragarzy do swego pokoju, i jak potem sprowadza na dół. Patrzyła, jak płaci im pieniędzmi z tylnej kieszeni spodni, dodając każdemu po pięć funtów napiwku.

- Przepraszam panią za zamieszanie - powiedział, gdy tamci już odjechali. - To stare archiwa z ministerstwa. Są mi potrzebne do pracy. Ale mam tu coś dla pani. - Wręczył jej broszurkę reklamową biura podróży, którą trzymał dla niej w pokoju. Duże litery w nagłówku znów kazały mu pomyśleć o Ricku: „Odkrywaj Tunezję naszym Luksusowym, Klimatyzowanym Autokarem. Nasza Specjalność to wycieczki dla Osób Starszych. Różne odcienie Wschodu nad Morzem Śródziemnym. Temu nie da się Oprzeć”.

Ale panna Dubber nawet nie wzięła jej do ręki. - Ani ja, ani Tobie nigdzie nie jedziemy, proszę pana - oznajmiła. - Pana kłopoty i tak by z nami nie odjechały, tego jestem pewna.

Rozdział 9

Brotherhood zdążył już się wykapać, ogolić, zaciać i włożyć garnitur. Wysłuchał też dziennika BBC, potem przełączył się na „Deutsche Welle”, bo czasem dziennikarze zagraniczeni dowiadawali się o czymś, o czym ich angielscy koledzy posłusznie milczeli. Tym razem jednak w wiadomościach nie było nic o wyższym oficerze brytyjskiej Secret Service, przechadzającym się bez celu po ulicach Londynu - albo Moskwy. Brotherhood przetknął grzanekę z marmoladą, odbył parę rozmów telefonicznych, ale wyglądało na to, że między szóstą a ósmą rano w Anglii nie śpi tylko on. W zwykły dzień poszedłby przez park do Centrali i posiedziałyby parę godzin nad raportami z nocy, przygotowując się do nabożeństwa w świątyni Bo o dziesiątej. „A co tam słyhać na froncie wschodnim w ten deszczowy poranek?”, zapytałby Bo żartobliwie namaszczonym

tonem, gdy przyszłaby kolej na Jacka, po czym zaległaby pełna respektu cisza, w której wielki Jack odczytałby szefowi swoje sprawozdanie. „Parę interesujących detali od Congera na temat wymiany handlowej w RWPG za zeszły rok, Bo. Już posłałem kopie do Ministerstwa Skarbu. Poza tym sezon ogórkowy. Kontakty wyjechały na wakacje, wróg też”.

Ale to nie był zwykły dzień, a Brotherhood nie był już wielkim mistrzem tajnych operacji, bo tak zawsze przedstawiał go Bo oficerom łącznikowym bratnich zachodnich służb. Teraz Brotherhood był głównym aktorem najnowszego potwornego skandalu; gdy chwilę później wychodził na ulicę, jego szybkie spojrzenie było szczególnie czujne. Ósma trzydzieści. Najpierw ruszył na południe przez Green Park, jak zawsze szybkim krokiem, może nawet odrobinę szybszym, by tajniacy Nigela, jeśli go śledzili, musieli albo przejść w galop, albo wezwać kogoś, żeby przejął go od przodu. Deszcz, który padał całą noc, teraz ustał, ale nad stawkami i wierzbami wciąż unosiła się ciepła niezdrowa mgła. Gdy dotarł do Mall, zatrzymał taksówkę i kazał się wieźć na Tottenham Court Road. Tam znowu chwilę szedł, nim wziął inną taksówkę do Kentish Town. Celem je - go podróży było szare wzgórze upstrzone wiktoriańskimi willami. U stóp wzgórza domy były jeszcze dość zaniedbane, broniły się przed dzikimi lokatorami żelaznymi kratami. Ale wyżej volun i świeżo wprawione nowoczesne okna świadczyły o przynależności swych właścicieli do porządnej klasy średniej; kiszkowate ogródki za willami pyszniły się kolorowymi drabinkami dla dzieci i oklapłymi pontonami. Tu Brotherhood mógł już przestać się spieszyć. Powoli wspinał się stromym chodnikiem i przyglądał się wszystkiemu: całe życie pracowałem na ten niespieszny krok, na ten spokojny uśmiech. Minęła go ładna dziewczyna, pozdrowił ją pobłaźliwie. Wesoło mrugnęła do niego w odpowiedzi, tym samym udowadniając raz na zawsze, że nie jest agentką. Jack dotarł wreszcie pod numer 18. Cofnął się o parę kroków i chwilę przyglądał się domowi, jakby zastanawiał się nad kupnem. Z kuchni na parterze płynął Bach i zapach śniadania. Strzałka z numerem 18A wskazywała schody do piwnicy. Przy parkanie stał przypięty łańcuchem męski rower, w oknie wykuszu wisiał plakat Partii

Socjaldemokratycznej. Brotherhood przycisnął dzwonek. Otworzyła mu dziewczynka w szkolnym sweterku. Miała trzynaście lat, ale już patrzyła na świat z wysoka.

- Pójdę po mamę - poinformowała, nim zdążył odezwać się, i energicznie okręciła się na pięcie, by uraczyć go widokiem unoszącej się spódniczki. - Mamo, jakiś pan. Do ciebie - powiedziała i minąwszy go na schodach, ruszyła do swej porządnej szkoły.

- Cześć, Belinda - powiedział Brotherhood. - To ja. Belinda wynurzyła się z kuchni, zatrzymała nad schodami, wzięła głęboki wdech i wrzasnęła w górę, w stronę zamkniętych drzwi:

- Paul! Zejdź na dół! Przyszedł Jack Brotherhood. Pewnie czegoś chce.

Mniej więcej tego właśnie się spodziewał, no, może nie aż tak głośnego krzyku. Ale Belinda już taka była: najpierw niemiła potem grzeczniła.

Siedzieli w salonie wyłożonym sosnową boazerią, w niskich wiklinowych fotelach skrzypiących przy każdym poruszeniu jak huśtawka. Nad nimi kołysał się krzywo wielki abażur z białego papieru. Belinda zrobiła im kawy w kubkach, podała do niej brązowy cukier. Jej Bach wciąż brzmiał buńczucznie z kuchni. Miała ciemne oczy i wciąż gniewała się o coś z dzieciństwa - w wieku pięćdziesięciu lat jej twarz pozostawała w pełnej gotowości do kolejnej kłótni z matką. Siwiejące włosy upinała w staroświecki kok, na szyi miała kolię z czegoś, co wyglądało jak gałka muszkatolowa. Gdy szła, wyglądało, jakby z nienawiścią przepychała się przez swą długą szatę. Gdy siadała, rozkraczała nogi i drapała się po dłoni. A mimo to jej uroda i tak wychodziła na jaw, brzydota spadała z niej jak źle założona maska.

- Oni już tu byli, Jack, jeżeli nie wiesz - powiedziała. - I to o dziesiątej wieczór. Czekali na nas pod drzwiami, kiedy wróciliśmy ze wsi.

- Jacy „oni”?

- Nigel, Lorimer i jeszcze jacyś dwaj. Oczywiście, sami faceci.

- Powiedzieli, po co przyszli? - pytał dalej Brotherhood, ale tu przerwał mu Paul.

Na Paula nie sposób było się gniewać. Nawet gdy chciał być niemiły, uśmiechał się tak mądrze przez kłęby dymu z fajki.

- Zaraz, zaraz, Jack. - Wyjął fajkę z ust i opuścił ją w dół, że przypominała mikrofon. - Co to ma być? Przesłuchanie o przesłuchaniu? Dobrze wiesz, Jack, że twoja organizacja jest niekonstytucyjna, nawet przy tym rządzie.

- Pewnie nie wiesz, że Paul dużo pisał o ciągłej rozbudowie organizacji paramilitarnych za rządów konserwatystów - powiedziała Belinda, siłąc się na nieuprzejmość. - Wiedziałbyś o tym, gdyby ci się chciało czytać „Guardiana”, no tylko że tobie się nie chce. Na ostatni artykuł dali mu całą stronę.

- Czyli, krótko mówiąc, odpieprz się, Jack - dokończył Paul równie uprzejmie.

Brotherhood uśmiechnął się. Paul też. Do salonu wtoczył się leniwie stary owczarek angielski, który zaległ u stóp Jacka.

- A czekaj, nie chcesz zapalić? - zapytał Paul, zawsze czuły na potrzeby innych. - Belinda niestety nie pozwala tu palić petów, ale może jointa, jeżeli jesteś na głodzie?

Brotherhood wyciągnął z kieszeni paczkę swoich wstrętnych papierosów. Zapalił.

- Sam się odpieprz, Paul - powiedział spokojnie.

Paul osiągnął szczyt bardzo wcześnie w życiu. Już dwadzieścia lat temu pisał dobrze zapowiadające się sztuki dla awangardowych teatrów. I nadal je pisał. Był wysoki, ale na szczęście niezbyt atletyczny. Dwukrotnie - przynajmniej z tego, co wiedział Brotherhood - usiłował dostać się do Firmy, i za każdym razem spotykał się ze stanowczą odmową. I to nawet bez udziału Jacka.

- Jeśli chcesz wiedzieć, przyszli tu, bo sprawdzali Magnusa na jakieś wysokie stanowisko - wyrzuciła z siebie Belinda jednym tchem. - Spieszyli się, bo chcieli dać mu awans jak najszybciej, żeby mógł od razu wziąć się do pracy.

- Nigel? - powtórzył Brotherhood, śmiejąc się z niedowierzaniem. - Nigel, Lorimer i jeszcze jacyś dwaj? Że co? Sprawdzają kogoś o dziesiątej wieczór? Belinda, połowa najważniejszych ludzi z tajnych służb Whitehall czeka na ciebie pod drzwiami do dziesiątej, a ty myślisz, że przyszli kogoś sprawdzić?

- Bo to bardzo wysokie stanowisko, więc muszą go sprawdzić ważni ludzie - odparła Belinda, rumieniając się jak pensjonarka.

- Nigel ci to powiedział?

- Nigel!

- I ty mu uwierzyłaś?

Ale Paul uznał, że musi okazać się mężczyzną.

- Jack, odpierdol się, dobrze? Wynoś się stąd. Kochanie, nie odpowiadaj mu. To głupie i teatralne. No, Jack, już cię nie ma.

Chcesz wpaść na drinka, proszę bardzo, tylko najpierw zadzwoń. Ale wypraszam sobie te bzdury. Bardzo mi przykro. Wynoś się.

Już otworzył drzwi i czynił swą wielką, miękką dłonią taki gest jakby wychłapywał wodę. Ani Brotherhood, ani owczarek nawet nie drgnęli.

- Magnus ulotnił się - wyjaśnił Belindzie Brotherhood, podczas gdy Paul zrobił minę świadcząca o wrogich zamiarach.

- Nigel i Lorimer nagadali wam głupot. Magnus uciekł i gdzieś się ukrył, a oni usiłują zrobić z niego największego zdrajcę wszech czasów. Ja, jako jego szef, nie podzielałam ich entuzjazmu. Uważam, że może zbłądził, ale że nie jest dla nas stracony, i dlatego chcę pierwszy do niego dotrzeć i pogadać. - Zwracając się do Paula, nawet nie odwrócił głowy, uniósł ją tylko, żeby było wiadomo, do kogo mówi. - Na razie założyli knebel twojej kochanej gazecie, podobnie jak innym. Ale jeżeli Nigel postawi na swoim, za parę dni twoi mili koledzy po fachu będą obsmarowywać poprzednie małżeństwo Belindy w każdej szmacie. I robić jej zdjęcia, kiedy idzie do pralni. Więc na twoim miejscu chwilę bym się zastanowił. A na razie przynieś nam kawy i zostaw nas w spokoju przez godzinę.

Belinda była znacznie silniejsza sama niż pod opieką męża. Choć wciąż oszołomiona, już się odprężyła. Utkwiła wzrok w jakimś punkcie przed sobą, jakby chciała dać do zrozumienia, że wprawdzie nie widzi tak dobrze jak inni, lecz jej wiara w to, co zobaczy, jest dwa razy silniejsza. Siedzieli przy okrągłym stoliku w wykuszu okna. Żaluzja kroila Partię Socjaldemokratyczną na cienkie paski.

- Umarł mu ojciec - powiedział Brotherhood.

- Wiem. Czytałam. Nigel mi powiedział. Pytali mnie, w jak sposób mogło to wpłynąć na Magnusa. Pewnie taki trik.

Brotherhood chwilę się zastanawiał.

- Nie, to nie był trik. Nie do końca. Oni mogą kombinować, że może to mu trochę namieszało w głowie.

- Magnus zawsze chciał, żebym go broniła przed Rickiem. Staralam się. Nigelowi też próbowałam to wytłumaczyć.

- Jak to „broniła”?

- Ukrywała. Odbierała za niego telefony, mówiła Rickowi, że jest za granicą, a wcale nie był. Czasem mi się zdaje, że Magnus po to wstąpił do Firmy, żeby się ukryć. Tak samo jak ożenił się ze mną, bo bał się zaryzykować z Jemimą.

- A kto to jest Jemima? - zapytał Brotherhood, udając, że nie wie.

- Moja bliska koleżanka ze szkoły. - Belinda zmarszczyła brwi. - Za bliska. - Przestała marszczyć brwi, posmutniała. - Biedny Rick. Widziałam go raz w życiu. Na naszym weselu. Pojawił się w trakcie, bez zaproszenia. Magnus chyba nigdy nie miał tak uszczęśliwionej miny. Poza tym był dla mnie tylko głosem w słuchawce. Miał miły głos.

- Magnus uciekał czasem z domu?

- Chodzi ci o kobiety, tak? Możesz mówić otwarcie, już mi nie zależy.

- Nie. Po prostu, żeby gdzieś się schować. Może mała chatka, może jakiś stary koleś? Gdzie mógłby się schować, jak myślisz? Kto by go przyjął?

Jej dłonie, gdy je uwolniła, były eleganckie i ekspresyjne.

- Mógł pojechać wszędzie. On był codziennie inny. Przychodził do domu jako jedna osoba, usiłowałam się do niego dopasować, ale rano wstawał już jako ktoś zupełnie inny. Myślisz, że on naprawdę to zrobił, Jack?

- A ty?

- Ty zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie. Zdążyłam zapomnieć. Magnus robił to samo. - Czekał. - Spróbuj pogadać z Sefem - powiedziała w końcu. - Sef zawsze był lojalny.

- Sef?

- Kenneth Sefton Boyd. Brat Jemimy. Magnus mawiał: „Sef jest dla mnie za bogaty”. Chciał przez to powiedzieć, że są

równi.

- Myślisz, że Magnus mógł pojechać do niego?

- Gdyby go naprawdę przycisnęło.

- A do Jemimy? Pokręciła głową.

- Czemu nie? - zapytał.

- Z tego, co wiem, dała sobie spokój z chłopami - powiedziała i znów się zarumieniła. - Jest nieobliczalna. Zawsze taka była. - Słyszałaś kiedyś nazwisko Wentworth? Pokręciła głową, choć wciąż myślała o czym innym.

- Nie za moich czasów - powiedziała.

- A Stokrotka?

- Ja dotrwałam do etapu Mary. Jeżeli teraz jest jakaś Stokrotka, to już niech się martwi Mary.

- Kiedy ostatni raz miałaś z nim kontakt?

- Nigel pytał mnie o to samo.

- I co mu powiedziałaś?

- Że nie było powodu z nim się kontaktować od rozwodu. Byliśmy małżeństwem przez sześć lat, nie mieliśmy dzieci, to była pomyłka. Po co wracać do pomyłki?

- I to była prawda?

- Nie. Skłamałam.

- Czego mu nie powiedziałaś?

- Że Magnus zatelefonował do mnie.

- Kiedy?

- W poniedziałek wieczór. Paula, dzięki Bogu, nie było. Urwała, nasłuchując odgłosu maszyny do pisania Paula, która stuknęła uspokajająco na górze. - Był jakiś dziwny. Pomyślałam, że chyba jest pijany. Późno było.

- Jak późno?

- Około jedenastej. Lucy jeszcze się uczyła. Zwykle nie pozwalałam jej siedzieć po jedenastej, ale akurat miała próbny egzamin do gimnazjum z francuskiego. Magnus był w budce.

- Dzwonił z karty, czy za bilon?

- Za bilon.

- Skąd?

- Nie mówił. Powiedział tylko: „Rick nie żyje. Szkoda, że nie mieliśmy dziecka”.

- Tylko tyle?

- I że zawsze miał sobie za złe, że ze mną się ożenił. Ale teraz pogodził się z tym, zrozumiał siebie. I kochał mnie za to, że tak się starałam. I dziękuje. - To wszystko?

- „Dziękuję. Dziękuję za wszystko. I przebac mi to co złe”. I odłożył słuchawkę.

- Opowiedziałas to wszystko Nigelowi?

- Czemu ciągle mnie o to pytasz? Uznałam, że to nie jego interes. Nie chciałam opowiadać im, że upił się i wydzwaniał po nocy do byłej żony, właśnie kiedy oni chcą go awansować. Dobrze im tak za to, że mi nakłamlali.

- O co jeszcze pytał Nigel?

- Potem już o zwykłe sprawy. Czy kiedykolwiek miałam powód przypuszczać, że Magnus może mieć sympatie prokomunistyczne? Powiedziałam, że może trochę komunizował w Oksfordzie. Nigel powiedział, że o tym wiedzą. Powiedziałam mu, że przecież poglądy polityczne w czasie studiów nie mają większego znaczenia, i Nigel zgodził się ze mną. Czy kiedykolwiek zachowywał się dziwnie? Czy był nieźrównoważony? Czy pił? Czy wpadał w depresję? Powiedziałam, że nie. Nie uważałam, że jedna rozmowa na rauszu to alkoholizm, zresztą nawet gdybym tak uważała, nie wygadałabym się z tym przed czterema facetami z jego pracy. Chciałam go chronić.

- Powinni byli lepiej cię poznać, Belindo - rzekł Brotherhood.

- Słuchaj, a ty byś dała mu to stanowisko?

- Jakie stanowisko? Mówiłeś, że nie chodzi o to? - spytała ostro, bo nagle i ponieważ znów zaczęła go podejrzewać o dwulicowość.

- No, ale gdyby chodziło. Czy powierzyłabyś mu ważne, odpowiedzialne stanowisko?

Uśmiechnęła się. Bardzo ślicznie się uśmiechnęła.

- Przecież mu powierzyłam. Przecież wyszłam za niego.

- Teraz zmądrzałaś. Teraz też byś mu powierzyła?

Zaczęła gniewnie obgryzać paznokcie. Taka już była - potrafiła zmienić nastrój w jednej chwili. Brotherhood czekał, ale się nie doczekał, więc zadał następane pytanie:

- A nie pytali cię przypadkiem o Graz?

- O Graz? To znaczy o czasy, kiedy był w wojsku? Nie

żartuj, O tak zamierzchłe czasy w ogóle nie pytali.

Brotherhood pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nigdy nie zrozumie ludzkiej przewrotności.

- A oni właśnie usiłują tłumaczyć, że wszystko zaczęło się w Grazu - powiedział. - Mają taką teorię, że popadł w złe towarzystwo, kiedy odrabiał służbę wojskową. Co ty na to?

- Chyba zgłupieli - stwierdziła.

- Skąd ta pewność?

- On był tam szczęśliwy. Kiedy wrócił do Anglii, był jak nowo narodzony. „Teraz osiągnąłem pełnię”, powtarzał ciągle. „Udało mi się, znalazłem drugą połówkę siebie”. Był dumny, że tak dobrze się tam spisał.

- Opowiadał ci, co robił?

- Nie mógł. To było zbyt tajne i zbyt niebezpieczne. Mówił tylko, że byłabym z niego dumna, gdybym wiedziała.

- Nie mówił ci, jak się nazywały jakieś jego operacje? - Nie.

- Albo jak się nazywały jego kontakty?

- Nie wygłupiaj się. W życiu by mi nie powiedział.

- Mówił coś o dowódcy?

- Tylko że był wspaniały. Dla Magnusa zawsze wszystko, co nowe, było wspaniałe.

- A gdyby ci nagle huknąć nad uchem słowo „Greensleeves”, to z czym by ci się skojarzyło?

- Ze starą muzyką angielską.

- Słyszałaś kiedyś o dziewczynie imieniem Sabina? Pokręciła głową.

- Zawsze mi mówił, że byłam pierwsza.

- Wierzyłaś mu?

- Trudno powiedzieć, bo dla mnie to też był pierwszy raz. Znów sobie przypomniał, że z Belindą najlepiej na spokojnie.

O ile czasem szarżowała, i to w dość komiczny sposób, o tyle jej spokój między jednym a drugim wybuchem był zawsze pełen godności.

- Czyli Nigel i spółka odeszli zadowoleni - zasugerował. - A ty?

Teraz widział tylko zarys jej twarzy na tle okna. Czekał, by ją uniosła, by się odwróciła, ale się nie doczekał.

- Gdzie byś go szukała, gdybyś była na moim miejscu?

Wciąż nic nie mówiła.

- Gdzieś nad morzem? Wiesz, on miewał te swoje fantazje. Kroił je na kawałki i każdemu dawał po trochu. Jaką miał wersję dla ciebie? Szkocja? Kanada? Wędrowni reniferów? Jakaś uczynna pani, u której mógłby się zatrzymać? Muszę to wiedzieć, Belindo. Serio.

- Już nie będę z tobą rozmawiać, Jack. Paul ma rację. Nie możesz mnie zmusić.

- Nie chcesz się dowiedzieć, co zrobił? A może go uratować?

- Nie ufam ci. Szczególnie kiedy jesteś taki miły. Przecież to ty go stworzyłeś, Jack. Zawsze robił to, co mu kazałeś. Kim być, z kim się ożenić, z kim się rozwieść. Jeżeli zrobił coś złego, to jest to tak samo twoja wina. Mnie było mu łatwo się pozbyć. Po prostu oddał mi klucze i poszedł do adwokata. A jak miał pozbyć się ciebie?

Brotherhood postąpił krok ku drzwiom.

- Jeżeli go znajdziesz, powiedz mu, żeby więcej do mnie nie telefonował. Aha, Jack...

Brotherhood zatrzymał się. Jej twarz znów się wypogodziła.

- Czy napisał tę książkę?

- Jaką książkę?

- Wielką autobiograficzną powieść, która miała zmienić świat.

- A chciał napisać?

- „Kiedyś zaszyję się w jakiejś głuszy i opowiem całą prawdę”. „A po co miałbyś się zaszywać? Prawdę możesz powiedzieć już teraz”, powiedziałam na to. Ale on był innego zdania. Nie pozwolę Lucy wcześniej wyjść za mąż. Paul jest tego samego zdania. Nauczymy jej antykoncepcji, niech ma kochanków.

- A gdzie miała być ta jego głusza? Ale światło w jej twarzy znów zgasło.

- To twoja wina, Jack. Twoja i takich jak ty. Wszystko byłoby dobrze, gdyby was nie znał.

*

Czekaj, powtarzał sobie Grant Lederer. Nienawidzą tu ciebie. Ty też większości z nich nienawidzisz. Nie bądź głupi,

czekaj na swoją kolej. Dziesięciu facetów siedzi w salce. Cztery fałszywe ściany, fałszywe okna, sztuczne kwiaty. To właśnie w takich salkach Ameryka przegrywała wojny z małymi brązowymi ludzikami w czarnych kimonach, pomyślał Lederer. I w takich salkach - wypełnionych dymem papierosowym, odciętych od reszty świata - Ameryka nadal będzie przegrywać swoje wojny. Poza tą ostatnią. Parę kroków za ścianą leżało St. John's Wood, ostoja dyplomatów, ale tu mogłoby być równie dobrze Langley czy Sajgon.

- Z najgłębszym szacunkiem, Harry - zakwilił bez krztyny szacunku Mountjoy z kancelarii premiera - te wasze „pierwsze oznaki” mogły równie dobrze zostać wam podrzuczona przez pozbawionego skrupułów wroga. Od początku wam to mówimy. Trochę nie fair z waszej strony, że wyciągacie to wszystko jeszcze raz. Myślałem, że całą sprawę odłożyliśmy ad acta w sierpniu.

Wexter wpatrywał się we własne okulary, które trzymał oburącz przed sobą. Są na niego za ciężkie, pomyślał Lederer, widzi przez nie za wyraźnie. Wexler odłożył okulary na stół i podrapał się grubymi paluchami po swym języku weterana. Na co czekasz? - pytał go w duchu Lederer. Tłumaczysz sobie z angielskiego na amerykański? A może jesteś skatowany jetlagiem po locie concorde'em aż z Waszyngtonu? A może tak szanujesz tych angielskich dżentelmenów, wiecznie wypominających nam, że to oni wszystkiego nas nauczyli i z dobroci serca traktują jak sobie równych? Na miłość boską, jesteś jednym z szefów najlepszego wywiadu na świecie. Jesteś moim szefem. Może byś pokazał, na co cię stać? Jakby w odpowiedzi na bezgłośne prośby Lederera, Wexler odzyskał głos i przemówił z ożywieniem automatycznej sekretarki.

- Panowie. - Z jakiegoś powodu zabrzmiało to strasznie po amerykańsku. Przeladuj, przymierz od nowa, nie spiesz się, pomyślał Lederer. - Nasze stanowisko jest takie, sir Eriku - ciągnął Wexler z pochyleniem głowy coś za bardzo przypominającym skon przed tytułem Mountjoja - to znaczy, ogólne stanowisko naszej Agencji w tej sprawie, na teraz, na dzień dzisiejszy, jest takie, że z jednej strony mamy dużą liczbę poszlak z najróżniejszych źródeł, a z drugiej nowe dane, które w

sumie dają dość wyraźny obraz na potwierdzenie naszych niepokojów. - Zwiłzył wargi. Też bym zwiłzył, pomyślał Lederer, gdybym tak bełkotał. Chybabym nawet splunął. - Wydaje nam się w takim razie, że... eee... logistyka wymaga, by całą sprawę... eee... przeanalizować jeszcze raz od początku, a potem do tego, co już ustalono, dołożyć nasze nowe dane i przyjrzeć się... eee... całokształtowi w świetle... eee... w ogólnym świetle. - Tu zwrócił się do Brammela, a jego pomarszczona, lecz uczciwa twarz wykrzywiła się w przepraszającym uśmiechu. - Jeżeli masz inny pomysł, Bo, najlepiej powiedz od razu, zobaczymy, może uda nam się to pogodzić...

- Ależ kochany, róbcie tak, jak wam najwygodniej - powiedział Brammel uprzejmie. Miał w tym doświadczenie: nigdy nic innego nikomu nie mówił. W efekcie Wexler wrócił do swojego resume najpierw prostując leżący przed nim segregator, potem nawet bawiąc się nim jak samolocikiem. Tymczasem Grant Lederer III, który nie może oprzeć się wrażeniu, że właśnie dostał wędzającej wysypki na całej wewnętrznej powierzchni skóry, usiłuje obniżyć sobie tętno i ciśnienie krwi, i nie przestaje wierzyć, że to rzeczywiście konferencja na szczycie. Gdzieś, przekonuje sam siebie, istnieje naprawdę porządny, supertajny i wszechwiedzący wywiad. Szkoda tylko, że wyłącznie w niebie.

Brytyjczycy wystawili jak zwykle silną, nieprzejednaną, potwornie wygadaną drużynę. Ingram z Biura Bezpieczeństwa, Mountjoy z kancelarii premiera i Dorney z Ministerstwa Spraw Zagranicznych mieli miny albo niedowierzające, albo wręcz pogardliwe. Zmienił się tylko układ przy stole: Lederer zauważył, że Jack Brotherhood, który dotąd siedział symbolicznie u boku Bo, ustąpił dziś miejsca Nigelowi, temu cynglowi Brammela, Brotherhood zaś siedział u szczytu stołu, niewątpliwy awans, skąd spoglądał na wszystkich jak stary, siwy ptak drapieżny wpatrujący się w zdobycz. Po amerykańskiej stronie stołu było ich tylko czterech. Lederer pomyślał, że to takie typowe: nasi brytyjcy przyjaciele zawsze mają przewagę. W terenie stosunek sił jest jakieś dziewięćdziesiąt do jednego na naszą korzyść, a tu sukinsyny robią z nas prześladowaną mniejszość.

Siedzący po prawej ręce Lederera Harry Wexler, któremu wreszcie udało się odchrząknąć, najwyższy czas, przeszedł w końcu do skomplikowanych szczegółów tego, co określał mianem „naszej... eee... bieżącej sprawy”. Po lewej rozwalił się na krześle Mick Carver, szef placówki londyńskiej, rozpuszczony milioner z Bostonu, uznawany za geniusza na bardzo wątpliwych według Lederera podstawach. Za nim wielki Artelli, wiecznie zaaferowany matematyk z działu kryptograficznego, wyglądający, jakby sprowadzono go tu z Langley siłą. A wśród nich ja, Grant Lederer III, przez nikogo niekochany, nawet przez siebie samego, bezczelny adwokacina z South Bend w stanie Indiana, którego karierowiczostwo zmusiło wszystkich, żeby się tu zjawili jeszcze ten jeden raz, by udowodnić coś, co można było udowodnić pół roku temu: konkretnie, że komputery nie fabrykują dowodów, nie przechodzą na stronę wroga dla doraźnych korzyści i nie rzucają oszczerstw na wysokich stopniem pracowników brytyjskiej Secret Service, Komputery mówią przykrą prawdę bez względu na wdzięk, rasę czy tradycję, a mówią to właśnie Grantowi Ledererowi III, który dzięki nim szybko staje się najmniej lubianą osobą w całym tym towarzystwie.

Słuchając bezsilnie bełkotu Wexlera, Lederer dochodzi do wniosku, że to on sam, a nie Wexler, jest tu przybyszem z innej planety. Przecież teraz przemawia wielki Harry E. Wexler, człowiek, który w Langley zasiada po prawicy Boga. Którego „Time” nazywa „Legendarnym Amerykańskim Łowcą Przygód”. Który odegrał jedną z głównych ról w Zatoce Świń i był ojcem chrzestnym najwspanialszych blamaży wywiadu w Wietnamie. Który tak skutecznie zdestabilizował upadającą gospodarkę tyłu krajów w Ameryce Środkowej, że głowa boli, i który konspirował z każdym, również z bossami mafii. A ja co? Ambitny głupek, które mu się wydaje, że jeżeli ktoś nie umie przemawiać, to zaraz musi mieć pustkę w głowie. Że dar wymowy jest równoznaczny z darem rozumowania. I że Harry Wexler jest z tego powodu obrzezany od szyi w górę. A przecież to od niego zależy cała moja przyszłość.

Grant odetchnął z ulgą, bo głos Wexlera zabrzmiał nagle bardziej przekonująco. Stało się tak dlatego, że zaczął

odczytywać fragmenty raportu Lederera. „W marcu 1981 r. uznany za wiarygodne źródło defektor zeznał, że...”. Pseudonim Dumbo, przypomniał sobie automatycznie Lederer, sam stając się komputerem. Defektora przeniesiono do Paryża z dostarczoną przez Logistykę dziwką. Rok później dziwka zdezerterowała. „W maju 1981 roku dział sygnalizacyjny doniósł, że...”. Lederer spojrzął na Artellego, licząc, że napotka jego wzrok, ale Artelli najwyraźniej wsłuchiwał się we własne sygnały. „W marcu 1982 roku nasz agent w polskim wywiadzie dowiedział się podczas pobytu w Moskwie, że...”. Pseudonim Mustafa - Lederer aż zatrząsł się z obrzydzenia - zginął na własne życzenie, bo tak gorliwie wykonywał zadanie dla polskiej służby bezpieczeństwa. Tymczasem Wexlerowi udało się dobrnąć do pierwszego ważnego wniosku i nawet go nie przeinaczyć. „Wszystko to wskazuje na jedno i to samo, panowie - oznajmił. - Otóż to, że cała bałkańska operacja pewnej zachodniej służby wywiadowczej jest sterowana przez wywiad czeski z Pragi, i że do przecieku dochodzi pod samym nosem anglo - amerykańskich służb specjalnych w Waszyngtonie”. Ale jakoś nikt nie zrywa się z miejsca, pułkownik Carruthers nie zdejmuje monokla, by wykrzyknąć: „Na Boga, co za szatański spisek!”. Sensacja Wexlera ma już pół roku. Sprawa już zdążyła opatrzyć się każdemu z obecnych i nie wywołuje większych emocji.

Lederer zaczyna więc myśleć o tym, o czym Wexler nie mówi. O tym, że już nie mam czasu grać w tenisa. O moim zagrożonym małżeństwie, nieistniejącym życiu płciowym, braku kontaktu z dziećmi - a zaczęło się od tego, że w pewien piękny poranek kazali mi rzucić wszystko, bo właśnie zostałem przydzielony wielkiemu Wexlerowi jako jego superniewolnik w wymiarze dwudziestu godzin dziennie. W kadrach powiedziano mi: "Masz wykształcenie prawnicze, znasz czeski, znasz się na czeskich sprawach. A co najważniejsze, masz chamski umysł. Zrób z niego użytek. Bardzo liczymy na to twoje chamstwo". Wexler nie mówi też nic o tych wszystkich zarwanych nocach, spędzanych nad klawiaturą komputera przy wprowadzaniu ton danych do analizy. Czemu ja to robię? Co we mnie wstąpiło? Mamusiu, poczułem nagle taki wielki talent, więc skoczyłem mu

na siodło i pogalopowałem ku przeznaczeniu. Nazwiska i dane wszystkich zachodnich oficerów wywiadu pracujących dawniej lub obecnie w Waszyngtonie z dostępem do informacji o czeskich celach, zaangażowanych pośrednio lub bezpośrednio. Lederer miał ich wszystkich, baranów, w cztery dni. Nazwiska wszystkich kontaktów, szczegóły ich przemieszczania się, opisy zachowań, hobby, orientacje i upodobania seksualne. To zebrał w ciągu jednej, maniackalnej sesji od piątku do niedzieli - Bee poszła sama do kościoła. Nazwiska wszystkich czeskich kurierów, urzędników, przebywających legalnie i nielegalnie na terenie Stanów Zjednoczonych, wraz z osobno wprowadzonymi rysopisami, by sprawdzić autentyczność używanych przez nich paszportów. Daty i deklarowane cele podróży, częstość i długość pobytów. Lederer ma to gotowe w trzy krótkie dni i noce - tymczasem Bee jest przekonana, że zdradza ją z Maisie Morse z działu konfrontacji - z Maisie, której z uszu sączy się wiecznie dym trawki!

Wciąż nie zważając na te i inne szlachetne ofiary ze strony swego podwładnego, Wexler rozpoczyna przerażający akapit o „konieczności podniesienia stopnia naszej wiedzy o metodyce postępowania strony czechosłowackiej, ze szczególnym uwzględnieniem... eee... prowadzenia agentów w terenie i łączności z nimi”. Zapada milczenie. Wszyscy są albo pod wielkim wrażeniem, albo myślami gdzie indziej.

- Czyli: czeski film, Harry - mówi Bo Brammel, który nigdy nie może oprzeć się pokusie żartu, jeżeli uważa, że nie zaszkodzi to jego reputacji. Mały Nigel aż po włosach się pogładził, tak go to rozbawiło.

- No tak, można tak powiedzieć - przyznaje Wexler, a Lederer czuje ze zdziwieniem, że za chwilę ziewnie z nerwowego podniecenia. Głos zabiera Artelli.

Artelli nie mówi z kartki. Jako matematyk jest bardzo oszczędny w słowach. Jakby na przekór własnemu nazwisku, zamiast z włoskim mówi z lekkim francuskim akcentem, który maskuje gwarą z Bronksu.

- Wraz z narastaniem liczby nowych poszlak - zaczyna - mojemu działowi zlecono przeprowadzenie ponownej oceny tajnych transmisji radiowych nadawanych z dachu ambasady

czeskiej w Waszyngtonie i innych czeskich placówek, ze szczególnym uwzględnieniem konsulatu w San Francisco, w latach 1981 i 1982. Ponownej ocenie poddano martwe strefy, zmiany częstotliwości i prawdopodobny obszar odbioru. Moi pracownicy sprawdzili w ten sposób wszystkie przechwycone sygnały, nawet te, których nie udało się wtedy na bieżąco złamać. Przygotowali chronologiczny spis tych transmisji do porównania z ruchami ewentualnych podejrzanych.

- Zaraz, zaraz.

Główka małego Nigela przekręca się jak kurek na wieży w czasie wichury. Nawet Brammel okazuje zdrową ciekawość. Wgnany na koniec stołu Jack Brotherhood mierzy palcem wskazującym kalibru 0.38 wprost w pępek Artellego. To tylko jeden z licznych paradoksów związanych z tym zebraniem, że człowiekiem, któremu Lederer najbardziej chciałby służyć, jest właśnie Brotherhood, mimo że - a może właśnie dlatego - wszelkie próby przełamania lodów w ich wzajemnych stosunkach spotkały się z bezwzględną odmową.

- Słuchaj no, Artelli - mówi Brotherhood. - Już raz strasznie upieraliście się, że to coś znaczy, że za każdym razem, kiedy Pym wyjeżdżał z Waszyngtonu, czy to na urlop, czy to służbowo, następowała przerwa w wysyłaniu jakiejś tam serii zakodowanych sygnałów z ambasady czeskiej. Pewnie to samo powtórzysz teraz?

- Owszem, ale z dodatkami - odpowiedział uprzejmie Artelli.

Palec Brotherhooda wciąż mierzy w ten sam cel.

- I wniosek jest taki, że za każdym razem, gdy Pym znajdował się poza zasięgiem ich przekaźnika w Waszyngtonie, Czeši przestawali się z nim komunikować?

- Dokładnie tak.

- A potem za każdym razem, gdy wracał, zaczynali znowu: „A, to ty, miło, że wróciłeś”. Tak?

- Tak jest.

- A może popatrzmy na to z innej strony? Czy nie tak by postępowali, gdyby chcieli kogoś skompromitować?

- Teraz nie - odpowiada spokojnie Artelli. - Ani nie w roku 1981 czy 1982. Może dziesięć lat temu. Ale nie w latach osiemdziesiątych.

- A to czemu?

- Bo są na to za mądrzy. Wiemy wszyscy, że standardową praktyką wywiadu jest nie przerywać transmisji, niezależnie od tego, czy ktoś jej słucha, czy nie. Otóż mam wrażenie, że... - Urywa. - Może lepiej będzie, jeżeli tę sprawę wytłumaczy pan Lederer - dodaje w końcu.

- Nie, nie, sam im powiedz - rozkazuje Wexler, nie unosząc głowy.

Żywa reakcja Wexlera nie jest dla nikogo z obecnych zaskoczeniem. Wszyscy wiedzą, że nazwisko Lederera jest tu obłożone interdyktem. Lederer pełni w tym zgromadzeniu rolę Kasandry, a czy kto widział, żeby prowadzenie zebrania poświęconego ratowaniu stoików wszystkich obecnych powierzać Kasandrze?

Artelli grywa w szachy, więc nie spieszy się z odpowiedzią.

- Technika łączności, jaką obserwowaliśmy w tym przypadku, była już wtedy przestarzała. Od razu mogliśmy się zorientować, że mamy do czynienia z czymś, co trwa od bardzo dawna, może od lat.

- No, to chyba bardzo pochopne wnioski - odzywa się ze złością Nigel i prostuje się sztywno na krześle, by za chwilę uklęknąć u stóp swego pana. Ten z kolei sprawia wrażenie, jakby potakiwał i równocześnie kręcił głową. Mountjoy mówi: „Też coś”, inni członkowie fanklubu Brammela wydają z siebie podobne odgłosy. W powietrzu już wisi wzajemna wrogość, linia podziału biegnie między dwiema narodowościami. Brotherhood nie odzywa się, ale aż poczerwieniał. Lederer nie ma pojęcia, czy jest jedynym, który to zauważył, czy nie. Lederer słyszy jego pomruk, „sranie w banię”, ale nic więcej, bo Artelli postanowił mimo wszystko mówić dalej.

- Jednak naszym najważniejszym odkryciem było określenie rodzaju stosowanego szyfru. Gdy tylko domyśliliśmy się, że mamy do czynienia ze starym systemem, natychmiast zastosowaliśmy inne metody analizy. W końcu nikt od razu nie szuka maszyny parowej pod maską cadillaka. Postanowiliśmy spróbować odczytać te transmisje, zakładając, że są przeznaczone dla osoby szkolonej jakiś czas temu, która nie chce lub nie może przechowywać nowszych materiałów

szyfrowych. Zaczęliśmy szukać prostszych kluczy. A szczególnie dowodów na to, że ten konkretny szyfr oparty jest na jednym, nie losowym tekście.

Jeżeli ktoś z obecnych wie, o co chodzi, to świetnie się z tym kryje, myśli sobie Lederer.

- I natychmiast zaczęliśmy dostrzegać pewne prawidłowości. Na razie mamy jeszcze trochę za dużo niewiadomych, ale prawidłowości te istnieją. I są typu językowego. Może to być fragment z Szekspira. Albo, równie dobrze, hotentocka kołysanka. Ale zaczynamy widzieć pewien wzór oparty na ciągłym, analogowym tekście. Tekst ten stanowi podstawę szyfru. I zaczynamy wyczuwać - choć może jest w tym trochę mistyki - że tekst ten jest czymś ważnym dla obu stron. Brakuje nam tylko jednego: jednego słowa. Najlepiej pierwszego, ale niekoniecznie. Potem zidentyfikowanie reszty tekstu będzie tylko kwestią czasu. A wtedy uda nam się odczytać dosłownie każdą z tych transmisji.

- Ale kiedy? - mówi Mountjoy. - Pewnie na początku lat dziewięćdziesiątych.

- Może. A może dziś w nocy.

Nagle staje się jasne, że Artelli wie więcej, niż mówi. Że to już coś więcej niż hipoteza. Pierwszy reaguje Brotherhood.

- Czemu dziś w nocy, a nie na początku lat dziewięćdziesiątych?

- Bo z tymi czeskimi transmisjami dzieje się w tej chwili coś bardzo dziwnego - oświadcza z uśmiechem Artelli. - Wysyłają na oślep byle co. Wczoraj wieczór Radio Praga nadało na cały świat prośbę o kontakt ustami nieistniejącego profesora. Zupełnie jak wołanie o pomoc do kogoś, z kim można się porozumieć już tylko słownie. Przez całą dobę wysyłają SOS - choćby stąd, z ich ambasady. Od czterech dni wplatają sygnały w programy waszej BBC. Wygląda na to, że Czechom zgubiło się jakieś dziecko we mgle i krzyczą do niego byle co, byle tylko ich usłyszało.

Brotherhood odezwał się znowu, nim jeszcze przebrzmiał głos Artellego.

- Przecież to oczywiste, że Czesi nadają z Londynu - oświadcza stanowczo i uderza pięścią w stół. - Do diabła, ile

razy trzeba wam to pakować do głowy? Od dwóch lat, gdziekolwiek pojawi się Pym, odzywa się tam taki czy inny czeski nadajnik. I, oczywiście, jest to ściśle związane z Pymem. Na tym właśnie polega ich gra, tak się robi, kiedy chce się kogoś skompromitować. Nadaje się, nadaje, aż do skutku. Czesi nie są głupi. Czasem mi się wydaje, że nie oni są głupi, tylko my.

Na Artellim nie robi to najmniejszego wrażenia. Uśmiecha się krzywo do Lederera, jakby chciał powiedzieć: „To może teraz ty spróbuj”. Z jakiegoś powodu Grantowi staje w tej samej chwili przed oczyma obraz jego żony, nagiej, kochającej się z nim jak wszystkie anioły nieba.

- Sir Michaelu, muszę zacząć od końca. - Lederer natychmiast korzysta z okazji. Mówi wprost do Brammela. - To znaczy od czegoś, co zdarzyło się w Wiedniu niespełna dziesięć dni temu. Potem wrócę do poprzedniego, waszyngtońskiego okresu.

Nikt na niego nie patrzy. Wszyscy zdają się mówić: no to zaczynaj, jak musisz, i miejmy to już za sobą.

Teraz ujawnia się zupełnie inny Lederer - wita go z radością. Jestem łowcą nagród, wędrującym tropami Pyma między Londynem, Waszyngtonem i Wiedniem. Teraz jest tym Ledererem, który, o co zawsze ma do mnie pretensje Bee, gdy znajdujemy się poza zasięgiem mikrofonów, co noc bierze z nami Pyma do łóżka, budzi się zły potem zwątpienia o różnych pogańskich porach i wreszcie wstaje rano, a Pym dalej leży między nami. „Czekaj, dopadnę cię wreszcie”. Tym samym Ledererem, który ostatni rok - od kiedy na ekranie komputera po raz pierwszy zamrugało do mnie nazwisko Pym - podążał za nim wprawdzie jak za abstrakcją, potem jak za wariatem. Przydzielony z nim do różnych idiotycznych komisji, udawał szczerego, oddanego kolegę. Jeździł z nim na wesołe, pijackie, rodzinne pikniki, a potem pędził do biurka i ochoczo zabierał się do pracy, polegającej na zababaniu tego, co przed chwilą sprawiło mu taką przyjemność. To ja najpierw zbyt łatwo się przywiązuję, a potem mszczę się za to. To ja jestem wdzięczny za każdy uśmiech, każde klepinięcie mojego pana, wielkiego Wexlera, a zaraz potem wyszydzą go i poniżają w moim rozgorączkowanym umyśle, karząc go w ten sposób za to, że

znowu się na nim zawiodłem.

Co z tego, że jestem o dwadzieścia lat młodszy od Pyma? I tak widzę w nim to samo co w sobie: kogoś tak rozchwianego i niedojrzałego, że nawet przy scrabble'u z dziećmi potrafię zastanawiać się nad samobójstwem, gwałtem i morderstwem. Lederer ma ochotę wyrzесzczеć do zgromadzonych dworaków: „Na miłość boską, przecież to jeden z nas! Nie jeden z was, jeden z nas, to znaczy jeden z nas dwóch! Bo obaj jesteśmy psychopatami! Powinno się nas leczyć!“. Ale, oczywiście, Lederer nie wyrzасkuje ani tego, ani niczego innego. Mówi rozsądnie i mądrze o swoim komputerze. I o człowieku nazwiskiem Petz, znanym również jako Hampel i Zaworski, który podróżuje niemal tyle co Lederer i dokładnie tyle, co Pym, ale kamufluje się dokładniej niż każdy z nas.

Najpierw jednak, tym samym zrównoważonym i beznamiętnym głosem, Lederer opisuje sytuację z sierpnia, gdy obie strony ustaliły - tu Lederer rzuca pełne szacunku spojrzenie swemu bohaterowi, Brotherhoodowi - że sprawa Pyma zostaje zamknięta, a komisja śledcza powołana w tej sprawie - rozwiązana.

- Tylko że sprawa wcale nie została zamknięta, tak? - mówi Brotherhood, tym razem nawet nie uznając za stosowne uprzedzić, że przerwie. - Wy nadal obserwowaliście jego dom i założę się, że na tym nie poprzestaliście.

Lederer patrzy na Wexlera. Wexler wpatruje się we własne dłonie, dając do zrozumienia, by jego... eee... w to nie mieszać. Ale Lederer nie zamierza brać tego na siebie, więc po chamsku czeka, żeby zrobił to Wexler.

- Z naszej strony, Jack, staliśmy na stanowisku, że trzeba maksymalnie wykorzystać... eee... nagromadzone siły i środki - ociągając się, mówi Wexler. - Wybraliśmy opcję stopniowego i ostrożnego... eee... wycofywania się z operacji.

Zapada milczenie. Brammel uśmiecha się dzielnie.

- Chcesz powiedzieć, że nie przerwaliście obserwacji? O to chodzi?

- Ale prowadziliśmy ją w bardzo ograniczonym zakresie, dyskretnie, wręcz minimalnie, Bo.

- Harry, zdawało mi się, że wyraźnie uzgodniliśmy

natychmiastowe zaprzestanie inwigilacji. I my wywiązaliśmy się z tej umowy.

- Agencja... eee... postanowiła przyjąć do wiadomości nasze ustalenia, Bo, ale równocześnie postępować zgodnie z wymogami... eee... aktualnej sytuacji.

- Piękne dzięki - mówi Mountjoy takim tonem, jakby odmawiał przyjęcia poczęstunku.

Ale tym razem Wexler się odgryza. Już on umie to robić.

- I rzeczywiście może jeszcze nam podziękujesz - rzuca i wojowniczo unosi pięść na wysokość nosa.

Sprawa Hansa Albrechta Petza, kontynuuje wreszcie Lederer, wyszła na jaw pół roku temu w kontekście niemającym na pierwszy rzut oka najmniejszego związku ze sprawą Pyma. Petz to kolejny czeski dziennikarz, który pojawił się na konferencji w Salzburgu i został poddany obserwacji pod kątem ewentualnej współpracy. Człowiek starszy, milkliwy, ale inteligentny, pobrano dane z paszportu. Lederer kazał go sprawdzić w Langley. Langley odpowiedziało, że „dowodów wrogiej działalności brak”, ale zwróciło uwagę, że to trochę dziwne, że człowiek w wieku Petza, i to jeszcze w tym zawodzie, nie był dotychczas u nich notowany. Miesiąc później Petz znowu się pojawił, tym razem w Linzu, niby po to, by relacjonować jakieś targi rolne. Nie imprezował z innymi dziennikarzami, z nikim się nie spoufalał, na terenach targowych pojawiał się rzadko, niczego nie napisał. Kiedy Lederer zarządził przeszukanie czeskiej prasy pod kątem artykułów Petza, jego ludzie znaleźli tylko dwa akapity o wadach zachodnich traktorów w „Rolniku Socjalistycznym”, podpisane H.A.P. I kiedy Lederer już miał zamknąć sprawę, Langley udało się dziennikarza zidentyfikować na podstawie wyglądu zewnętrznego. Okazało się, że Hans Albrecht Petz wygląda dokładnie tak samo jak niejaki Alexander Hampel, oficer czeskiego wywiadu, który niedawno bawił na konferencji dziennikarzy z państw niezaangażowanych w Atenach. Nie nawiązywać kontaktu z Petzem - Hampelem bez zezwolenia, czekać na dalsze instrukcje.

Lederer wymówił słowo „Ateny” i poczuł w tej samej chwili, że w pokoju spadło ciśnienie powietrza.

- Ale kiedy w Atenach? - warczy z irytacją Brotherhood. - Jak mamy się w tym połapać, jeżeli nie znamy dat?

Nigel nagle zaczął okropnie przejmować się swoją fryzurą. Jego nienagannie utrzymane paluszki nie przestają poprawiać siwiejącego kosmyka za uchem. Twarzyczka krzywi się z bólu.

Wexler wtrąca się jeszcze raz i ku satysfakcji Lederera zaczyna powoli porzucać swój dotychczasowy, pokorno - unізony ton.

- Konferencja w Atenach odbywała się między 15 a 18 lipca, Jack. Hampela widziano na niej tylko pierwszego dnia. Przez trzy noce nie zwolnił pokoju hotelowego, ale nie spał w nim ani razu. Zapłacił gotówką. Według Greków przyjechał do Aten 14 lipca i w ogóle nie wyjechał. Czyli pewnie opuścił kraj z innym paszportem. I najprawdopodobniej był na Korfu. Greckie listy pasażerów to zwykle groch z kapustą, ale wygląda na to, że poleciał na Korfu - powtórzył. - W tym momencie zaczęliśmy się nim bardzo interesować.

- Czy my trochę za bardzo nie wybiegamy do przodu? - mówi Brammel, którego zamięłowanie do porządku przejawia się najbardziej w takich właśnie ważnych chwilach. - No bo przecież, Harry, to ciągle to samo. Zbieg okoliczności jest dla was dowodem winy. Dokładnie tak samo jak z tymi transmisjami. Gdybyśmy to my chcieli kogoś skompromitować, zachowywalibyśmy się dokładnie tak samo. Wzięlibyśmy kogoś starszego z Firmy, może trochę sfatygowanego, ale bez przesady, i rzucalibyśmy go wszędzie tam, gdzie pojawia się nasz cel. I w końcu wróg powiedziałby: „Oho, nasz człowiek to szpieg”. Niech się sami wykańczają. Prosta sprawa. No więc dobrze. Czyli Hamper jeździ za Pymem. A gdzie dowody, że Pym czynnie z nim współpracuje? - W tym konkretnym momencie rzeczywiście nie ma takich dowodów - wyręcza Wexlera Lederer z fałszywą uprzejmością. - Tylko że udało nam się znaleźć między nimi wcześniejszy związek. Otóż podczas konferencji w Salzburgu Pym z żoną byli tam na festiwalu muzyki poważnej. Petz mieszkał jakieś dwieście kroków od ich hotelu.

- Znowu to samo - upiera się Brammel. - Przecież to z daleka pachnie mistyfikacją, prawda, Nigel?

- Rzeczywiście tak by się wydawało - mówi Nigel. Znowu coś z ciśnieniem. Te maszyny pochłaniają chyba nie tylko dźwięk, ale i tlen, myśli Lederer.

- Czy można wiedzieć, kiedy dostaliście wiadomość z Aten? - pyta Brotherhood, który najwyraźniej uczeplił się czasu.

- Dziesięć dni temu - mówi Lederer.

- Coś długo zajęło wam poinformowanie nas o tym.

W gniewie Wexlerowi szybciej przychodzi znajdować słowa:

- Spokojnie, Jack. Po prostu nie chcieliśmy przedwcześnie was niepokoić kolejnym wykreowanym przez komputer zbiegiem okoliczności. - Po czym do Lederera, swego chłopca do bicia: - Na co czekasz, do cholery?

Dziesięć dni temu: Lederer siedzi w pokoju łączności placówki w Wiedniu. Jest noc. Musiał wymówić się lekką grypą od dwóch zaproszeń na koktajl party i jednego na kolację. Przed chwilą telefonował do Bee, pozwolił jej usłyszeć podniecenie w swym głosie i o mało co nie popędził do domu, żeby jej wszystko opowiedzieć. W końcu wcześniej czy później zawsze o wszystkim jej mówił, czasem nawet trochę koloryzował, jeżeli akurat nic się nie działo. Ale opanował się. Dalej stuka w klawisze, choć palce sztywnieją mu z zimna z samego tylko napięcia. Najpierw wyciąga zapis ostatnich wyjazdów Pyma i ustala niemal natychmiast, że i w Salzburgu, i w Linzu był dokładnie wtedy, gdy bawił tam Petz alias Hampel. - W Linzu też? - przerywa ostro Brotherhood. - Też.

- I co, znowu go tam śledziliście, wbrew naszym ustaleniom? - Nie, nie śledziliśmy Magnusa w Linzu. Kazałem mojej żonie, Bee, zatelefonować do Mary Pym. Informację o wyjeździe jej męża do Linzu uzyskaliśmy ze zwykłej rozmowy obu pań.

- A może on wcale nie pojechał do Linzu, tylko tak powiedział żonie?

Lederer uprzejmie przyznaje, że owszem, to możliwe, ale też i bez znaczenia w obliczu doniesienia z Langley z tego samego dnia. Lederer odczytuje teraz ten tekst sanhedrynowi wywiadu anglo - amerykańskiego:

- To trafiło na moje biurko w pięć minut po informacji o pobycie Pyma w Linzu. Cytuję: „Petz - Hampel jest też znany

jako Jerzy Zaworski, urodzony w 1925 roku, w Karlsbadzie, zachodnioniemiecki dziennikarz pochodzenia czeskiego, który w latach 1981 - 1982 odbył dziewięć legalnych podróży do Stanów Zjednoczonych".

- Pięknie - mruczy pod nosem Brammel.

- Oczywiście w takich przypadkach daty urodzin są podane w przybliżeniu - kontynuuje niezrażony Lederer. - Z doświadczenia wiemy, że paszporty wydane na fałszywe nazwiska najczęściej dodają właścicielowi rok albo dwa.

Gdy tylko dostałem tę wiadomość, opowiada dalej Lederer, wprowadziłem do komputera daty i miejsca pobytu pana Zaworskiego w Ameryce. I w jednej chwili - choć może Lederer mówi to trochę innymi słowami - po przyciśnięciu jednego klawisza wszystko się zgodziło, dwa kontynenty połączyły się w jeden, trzech dziennikarzy około pięćdziesiątki stało się jednym czeskim szpiegiem w bliżej nieokreślonym wieku - Grant Laderer III zaś mógł, dzięki doskonałemu wyciszeniu pokoju łączności, zawyć: „Alleluja!” i „Kocham cię, Bee”. - Każde miasto, w którym w latach 1981 i 1982 przebywał Petz - Hampel - Zaworski, zostało odwiedzone również przez Pyma dokładnie w tym samym czasie - niemal śpiewa Lederer. - Dokładnie w tych samych dniach przerywano tajne transmisje z dachu ambasady czeskiej. Uważamy, że działo się tak, ponieważ dochodziło do osobistego spotkania agenta z jego oficerem prowadzącym, więc transmisje były niepotrzebne.

- Wspaniała sprawa - mówi Brammel. - Marzę o tym, by poznać tego oficera czeskiego wywiadu, który to wszystko obmyślił. Natychmiast wręczę mu mojego prywatnego Oscara.

Mick Carver z bolesną dyskrecją kładzie na stole aktówkę i wyjmuje z niej stos tekturowych teczek.

- Oto sporządzony przez Langley najbardziej aktualny profil Petza - Hampela - Zaworskiego, domniemanego oficera prowadzącego Pyma - wyjaśnia cierpliwie, jak doświadczony akwizytor pragnący sprzedać nowy produkt mimo przyzwyczajenia klienta do starej wersji. - Może jeszcze dziś w nocy dostaniemy nowe dane. Bo, czy mógłbyś łaskawie poinformować nas, kiedy Magnus wraca do Wiednia?

Podobnie jak wszyscy, Brammel przegląda właśnie

zawartość teczki, nic więc dziwnego, że nie odpowiada od razu.

- No, wtedy, gdy mu powiemy, że ma wracać - mówi niedbale i przerzuca stronę. - Na pewno wcześniej nie. Jak sami stwierdziliście, śmierć jego ojca daje nam trochę czasu do namysłu. Zdaje się, że starszy pan zostawił po sobie niezły pasztet i Magnus ma sporo do roboty.

- A gdzie jest teraz? - nalega Wexler. Brammel uśmiecha się.

- Wiesz co, Harry? Chyba ci nie powiem. Mamy w końcu trochę praw we własnym kraju, a wy ostatnio byliście trochę nadgorliwi.

Ale Wexler jest uparty.

- Ostatni raz widziano go na Heathrow, kiedy odprawiał się do Wiednia. Według naszych informacji wszystko już pozalał i wracał na placówkę. Co jest grane, do diabła?

Nigel splótł rączki. Kładzie je teraz, nadal złączone, na stole, na znak, że choć może jest malutki, i tak zamierza zabrać głos.

- Czy wy przypadkiem nie śledziliście go również tutaj, w Anglii? Jeżeli tak, to tym razem przesadziliście. Wexler pociera podbródek. Trochę mu wstyd, ale do tego się nie przyznaje.

- Musimy wiedzieć wszystko. Jeżeli to czeska mistyfikacja, to przyznam, że w życiu nie słyszałem o czymś tak wymyślnym.

- Bo Pym to bardzo dobry oficer - replikuje Brammel. - Od trzydziestu lat napsuł Czechom sporo krwi, więc opłacało się im trochę zachodu.

- Musicie ściągnąć Pyma i przesłuchać go na wszystkie strony, Jeżeli tego nie zrobicie, będziemy tak długo za tym chodzić, aż wszyscy posiwiejemy, a paru z tu obecnych może nawet zdąży umrzeć. On przecież bawił się nie tylko z wami, ale i z nami. Musimy mu zadać mnóstwo trudnych pytań. Możecie nam wierzyć, mamy do tego świetnie wyszkolonych ludzi.

- Harry, daję ci słowo, że gdy przyjdzie czas, będziecie mogli go pytać, ile dusza zapragnie.

- Może ten czas już nadszedł - mówi Wexler, wysuwając szczękę do przodu. - Może powinniśmy być przy tym, kiedy zacznie śpiewać. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- A może jednak zaufacie nam, że sami potrafimy najlepiej ocenić sytuację - mruczy w odpowiedzi Nigel i rzuca Wexlerowi

wielce uspokajające spojrzenie znad okularów do czytania.

Tymczasem Lederera zaczyna ogarniać bardzo dziwne uczucie. Czuje, że w nim rośnie, że nie może go powstrzymać. I że w tym zaklętym kręgu kompromisu i dwójmyślenia musi powiedzieć wszystkim, co łączy go z Magnusem. Po to by utrzymać monopol na rozumienie, co tym człowiekiem kieruje, by podkreślić osobistą naturę swego sukcesu. By pozostać w centrum uwagi, a nie być zesłany z powrotem tam, skąd się wziął - na margines.

- Wspomniał pan o ojcu Pyma - wybucha, zwracając się wprost do Brammela. - Otóż ja sporo wiem o jego ojcu. Trochę przypomina mojego ojca, prawnika, do którego najmocniejszych stron uczciwość nie należy. Bynajmniej. Tylko że ojciec Pyma to kompletny oszust, aferzysta. Nasi psychiatrzy sporządzili bardzo niepokojący portret psychologiczny tego człowieka. Czy wie pan, że gdy Richard Pym przebywał w Nowym Jorku, stworzył całe imperium finansowe oparte na fikcyjnych przedsiębiorstwach? I że napożył się pieniędzy od kogo się dało, w tym również od osób wysoko postawionych? To wszystko może wskazywać, że Magnus też może być niestabilny emocjonalnie, mam artykuł na ten temat. - Wiedział, że zaraz powie za dużo, ale nie mógł się powstrzymać. - Jezus, czy zdaje pan sobie sprawę, że on dobierał się do mojej żony? Nie dziwię mu się, to atrakcyjna kobieta, tylko że przede wszystkim oznacza to, że coś się z nim dzieje niedobrego. Że ta jego angielska flegma to tylko pozory.

Nie pierwszy już raz Lederer popełnia takie zawodowe samobójstwo. Nikt go nie słucha, nikt nie woła: „No nie, ale heca!”. Gdy wreszcie odzywa się Brammel, mówi chłodno i nie na temat.

- No cóż, dla mnie każdy biznesmen to oszust, prawda, Harry? Na pewno wszyscy jesteśmy tego samego zdania. - Patrzy na wszystkich poza Ledererem i znów zwraca się do Wexlera. - Harry, może zechciałbyś wstąpić do mnie na godzinkę? Jeżeli w którymś momencie trzeba będzie przeprowadzić przesłuchanie, na pewno się ze mną zgodzisz, że musimy ustalić pewne zasady. Nigel, może ty też przyjdiesz, żeby dopilnować, czy wszystko jest fair. Pozostali... - Jego

wzrok pada na Brotherhooda; obdarza go szczególnie ufnym uśmiechem. - No cóż, do zobaczenia. Wychodźcie po dwóch, jak już przeczytacie materiały, dobrze? Nie wszyscy naraz, miejscowe chłopstwo mogłoby się przerazić. Dziękuję.

Brammel wychodzi, Wexler podąża za nim z butną miną kogoś, kto powiedział, co myśli, i nie boi się konsekwencji. Nigel czeka, aż wszyscy wyjdą, po czym jak wytrawny przedsiębiorca pogrzebomy pospiesznie okrąża stół i braterskim gestem bierze Brotherhooda pod rękę.

- Jack - szepcze - świetnie, świetnie to rozegrałeś. Kompletnie ich zatkało. Na słówko poza zasięgiem mikrofonów, dobrze?

Jest wczesne popołudnie. Dom, w którym odbyło się spotkanie, to pseudoregencyjna willa z żaluzjami antywłamaniowymi w każdym oknie. Nad żwirowym podjazdem unosiła się ciepła mgła. Lederer krążył po nim i czyhał na Brotherhooda. Na ganku pierwsi ukazali się Mountjoy i Dorney, minęli go bez słowa. Trochę bardziej rozmowny był Carver, któremu towarzyszył Arlelli i jego aktówka.

- Ja tu muszę jakoś żyć. Mam nadzieję, że albo to wszystko udowodnisz, albo cię przydzielą gdzieś bardzo, bardzo daleko.

A to sukinsyn, pomyślał Lederer.

Wreszcie pojawił się Jack Brotherhood, pogrążony w poufnej rozmowie z Nigelem. Lederer przypatrywał się im z zazdrością. Nigel odwrócił się i z powrotem wszedł do środka. Brotherhood ruszył przed siebie.

- Proszę pana? To ja, Lederer. Brotherhood zatrzymał się, choć nie od razu. Miał na sobie swój ulubiony, przybrudzony płaszcz i szalik. Zdążył już zapalić swego żółtego papierosa. - O co chodzi?

- Chciałbym, by pan wiedział, że cokolwiek się zdarzy, cokolwiek on zrobił czy nie zrobił, jest mi bardzo przykro, że trafiło na niego. I na pana.

- Pewnie okaże się w końcu, że nic takiego nie zrobił. Znająco, pewnie po prostu zwerbował kogoś nowego i jeszcze nam o tym nie powiedział. Uważam, że wszystko jest na odwrót. - Naprawdę zrobiliby coś takiego? Magnus? Działać na własną rękę, nikomu nie powiedzieć? Rany boskie, przecież to igranie z

ogniem. Gdybym ja zrobił coś takiego, w Langley obdarliby mnie ze skóry.

Nieproszony ruszył obok Brotherhooda. Przy bramie stał policjant. Minęli koszary Królewskiej Artylerii Konnej. Z placu ćwiczebnego dochodził tupot kopyt, ale konie ginęły we mgle. Brotherhood szedł szybko. Lederer z trudem za nim nadążał.

- Naprawdę jest mi przykro - tłumaczył się Lederer. - Nill nie chce zrozumieć, co to dla mnie znaczy, że muszę zrobić coś takiego koledze. Przecież nie chodzi tylko o Magnusa, ale o Mary, o Bee, o dzieci. Becky i Tom okropnie się kochają. Staliśmy się sobie bardzo bliscy. Tu niedaleko jest pub. Mogę pana zaprosić na drinka?

- Niestety, muszę jeszcze coś załatwić.

- To może pana gdzieś podwieźć? Mam tu za rogiem samochód z kierowcą.

- Wolę się przejść.

- Magnus wiele mi o panu opowiadał. Pewnie trochę za dużo, ale tak było między nami. Właściwie nie mieliśmy przed sobą tajemnic. To właśnie jest w tym wszystkim najbardziej nieprawdopodobne. My naprawdę współpracowaliśmy jak oficerowie bratnich wywiadów. Bo ja wierzę we wspólnotę anglosaską, w Pakt Atlantycki, w to wszystko. Pamięta pan to wasze włamanie w Polsce?

- Nie pamiętam żadnego włamania.

- No, proszę nie udawać. Chodziło o mieszkanie tego fizyka z Krakowa, tego od ciekłych kryształów. Opuścił pan Magnusa przez okno w dachu, zupełnie jak w Biblii. A na dole postawiliście paru facetów przebranych za milicjantów, na wypadek gdyby wrócił właściciel. Magnus zawsze mówił, że był pan dla niego jak ojciec. Wie pan, co mi kiedyś powiedział? „Grant”, powiedział, „Jack jest mistrzem”. Wie pan, co myślę? Wszystko byłoby w porządku, gdyby Magnusowi wychodziło to jego pisanie. On po prostu za dużo dusił w sobie. I nie miał dla tego żadnego ujścia. - Lederer już lekko się zadyszał, ale uparcie nadążał za Brotherhoodem, bo chciał wszystko mu dopowiedzieć. - Widzi pan, ostatnio dużo czytałem o mechanizmach działania umysłu przestępcy.

- A, to on już jest przestępcą?

- Proszę pozwolić mi coś zacytować. - Dotarli do skrzyżowania, czekali na zielone światło. - „Czy istnieje jakakolwiek różnica moralna między całkowicie anarchicznie przestępczymi skłonnościami każdego artysty a artystycznymi skłonnościami przestępcy?”.

- Przykro mi, to dla mnie za długie słowa.

- Chodzi mi tylko o to, że przecież tak naprawdę jesteśmy licencjonowanymi przestępcami. Na czym polega różnica? Jedyna różnica? Na tym, że my popełniamy przestępstwa w służbie państwa. A w takim razie, czy można mieć pretensje do Magnusa, że trochę mu się to wszystko poplątało? Bo ja nie mam. Przecież Magnus to ciągle ten sam Magnus, z którym tak świetnie mi się pracowało! I ja też jestem ten sam, nic się nie zmieniło. Tylko to, że jesteśmy teraz trochę po przeciwnych stronach. Wie pan, że kiedyś nawet rozmawialiśmy o zdradzie? I zastanawialiśmy się, gdzie byśmy się wtedy ukryli, gdyby przyszło co do czego, gdyby trzeba było zostawić żony, dzieci i pracę, no, wie pan, po prostu wstać i wyjść. Widzi pan, jak byliśmy sobie bliscy? Mówiliśmy ze sobą o rzeczach, o których się nie mówi. Naprawdę. To było nieprawdopodobne.

Byli już na St. John's Wood High Street, szli w stronę Regent's Park. Brotherhood jeszcze przyspieszył.

- No, to gdzie on by się ukrył? - rzucił. - W Waszyngtonie? A może w Moskwie?

- Nie, u siebie. W domu. Sam pan widzi, że on kocha swój kraj. Magnus nie jest zdrajcą.

- Ja nawet nie wiedziałem, że ma dom - powiedział Brotherhood. - Z tego, co mi opowiadał, w dzieciństwie nigdzie nie zagrzał miejsca.

- Mówił mi o jakimś miasteczku w Walii. Że jest tam bardzo brzydki wiktoriański kościół. I że ma okropnie surową gospodynię, która zamyka mu drzwi o dziesiątej wieczór. I że któregoś pięknego dnia zamknie się tam w pokoju na górze i będzie pisał jak wariat, aż napisze dwanaście tomów, którymi zakasuje Prousta.

Brotherhood jakby w ogóle nie słuchał. Szedł jeszcze szybciej.

- Powrót do domu to powrót do dzieciństwa, proszę pana.

Jeżeli zdradza się po to, by zacząć coś od nowa, to trzeba się do tego na nowo narodzić.

- Sam to pan wymyślił, czy to Magnus jest taki głupi?

- Można powiedzieć, że jedno i drugie. Rozmawialiśmy o takich sprawach i o wielu innych. Wie pan, czemu tylu zdrajców potem się nawraca? O tym też mówiliśmy. Chodzi o to, że to powrót do łona matki. Musiał pan zauważyć, że każdy defektor jest psychicznie niedojrzały.

- A co to za miejscowość?

- Słucham?

- Ten jego walijski raj. Jak się nazywa?

- Tego mi nie powiedział. Tyle tylko, że to w okolicy zamku w którym mieszkał z matką. Wokół było dużo dworów, więc polowania, więc bale, więc karnawał. Ale służbę traktowali bardzo demokratycznie.

- Słyszał pan kiedyś, żeby Czesi używali starych gazet? - zapytał Brotherhood.

Kolejna zmiana tematu sprawiła, że zbity z tropu Lederer musiał zatrzymać się na chwilę.

- Jeden mój kolega prowadzi taką sprawę - powiedział Brotherhood. - I radził się mnie w tej kwestii. Czeski agent grzebie w starych gazetach, potem idzie na spacer. Po co?

- Już mówię, to standard. - Lederer szybko się opanował. - Stary sposób. Mieliśmy kiedyś takiego podwójnego agenta. Czesi uczyli go całymi dniami, jak zawijać rolkę wywołanego filmu w gazetę. Kazali mu łązić ulicami po nocach, wyszukiwać jakieś ciemne zaułki. O mało palców sobie nie odmroził, akurat było dwadzieścia stopni mrozu.

- A dlaczego stare numery? - powiedział Brotherhood.

- Dwa systemy. Albo dzień miesiąca, albo dzień tygodnia. Dzień miesiąca to koszmar, trzeba wykuć na pamięć trzydzieści jeden standardowych meldunków. Jeżeli gazeta jest z osiemnastego, to znaczy: „Spotykamy się o wpół do dziesiątej za szaletem w Brnie, tylko się nie spóźnij”. A jak z szóstego, to: „Jeszcze mi nie zapłaciliście, co jest, do cholery?”. - Roześmiał się, ale Brotherhood mu nie zawtórował. - A dni tygodnia to uproszczona wersja.

- Dziękuję, przekażę - powiedział Brotherhood i wreszcie się

zatrzymał.

- To byłby dla mnie wielki zaszczyt, gdybym mógł zaprosić pana na kolację - powiedział Lederer, teraz już rozpaczliwie dobijający się o rozgrzeszenie. - Rzucam podejrzenie na jednego z pana ludzi, ale to taka praca. Naprawdę staram się oddzielić sprawy osobiste od zawodowych. Proszę pana... Taksówka już podejżdżała. - Tak?

- Czy mógłby pan przekazać Magnusowi coś ode mnie? Jak od przyjaciela?

- No, o co chodzi?

- Że jak to się skończy, że jak to się już wszystko przewali, zawsze będę jego przyjacielem.

Brotherhood skinął głową, wszedł do taksówki i odjechał, nim Lederer zdążył podsłuchać, dokąd jedzie.

To, co następnie zrobił Lederer, przejdzie do historii - jeżeli nie do głównej historii sprawy Pyma, to przynajmniej do kroniki rozpaczliwych działań Granta, by dotrzeć do sedna sprawy i narazić się wszystkim dookoła jako czarnowidz. Lederer wpakował się do budki telefonicznej, by zadzwonić do Carvera, ale zorientował się, że nie ma angielskich drobnych. Wskoczył do Malberry Arms, dopchał się do baru i zamówił piwo, na które nie miał ochoty, żeby zdobyć te drobne. Potem pognał z powrotem na ulicę, by odszukać swojego kierowcę, ale już go nie znalazł, bo ten zauważywszy, że Lederer odchodzi z Brotherhoodem, uznał na pewno, że już nie jest potrzebny i odjechał do kolegi do Battersea. Lederer dopadł Carvera dopiero o dziewiątej w ambasadzie amerykańskiej, gdzie ten sporządzał właśnie raport z obrad.

- Kłamią! - zawołał Lederer.

- Kto kłamie?

- Te pieprzone angole! Pym zwiął. Za cholerę nie wiedzą, gdzie jest. Poprosiłem Brotherhooda, żeby przekazał mu ode mnie idiotyczną wiadomość, a on nic, żebym przypadkiem nie zaczął się dopytywać. Pym zwiął im na Heathrow i teraz szukają go tak samo jak my. A te czeskie transmisje to dokładnie to cośmy mówili. Pyma szukają teraz Angolicy, my, i Czesi też. Słyszysz?!

Carver słyszał. I to bardzo dobrze. Kazał powtórzyć po kolei

całą rozmowę z Brotherhoodem i natychmiast uznał, że w ogóle nie powinno było do niej dojść i że Lederer przekroczył swe kompetencje. Tego jednak Ledererowi nie powiedział, ale zapamiętał, po czym, gdy został sam, sporządził odpowiednią notatkę służbową i dopilnował, by trafiła do akt Lederera. Równocześnie uznał, że Lederer mógł całkiem przypadkowo mieć rację nawet jeżeli postąpił nieregularnie, i na ten temat też sporządził notatkę. W ten sposób Carver był kryty z obu stron, a przy okazji wetknął szpilę nielubianemu nadgorliwcowi. To nigdy nie zaszkodzi.

- Anglicy grają nie fair - powiedział swoim znajomym na samej górze. - Musimy być bardzo czujni.

W gabinecie dyrektora szkoły pachniało formaliną. Pan Caird, choć brzydził się przemocą, był zapalonym lepidopterologiem. Ze ściany spoglądał groźnie na popękane, skórzane fotele nasz ojciec założyciel, pan G.F. Grimble. W jednym z nich siedział Tom, w drugim, naprzeciw niego, Brotherhood. Tom patrzył na zdjęcie z dossier Petza - Hampela - Zaworskiego z Landley. Brotherhood patrzył na Toma. Pan Caird oddalił się, gdy tylko uścisnął dłoń Brotherhooda.

- To ten spacerował z twoim tatą dookoła boiska na Korfu? - zapytał Brotherhood, wpatrując się w twarz Toma.

- Tak jest.

- Widzisz, całkiem nieźle go opisałeś.

- Tak jest.

- Pomyślałem sobie, że ucieszysz się, jak ci to pokażę.

- Cieszę się.

- Na zdjęciu nie utyka, więc nie wygląda na takiego połamanego. Tata nie pisał do ciebie? Nie dzwonił?

- Nie.

- A ty do niego pisałeś?

- Tylko nie wiem, na jaki adres wysłać. - To może daj mi list, przekażę.

Tom sięgnął pod sweter i wyciągnął zaklejoną kopertę bez nazwiska ani adresu. Brotherhood wziął ją od niego. Zdjęcie z dossier.

- Ten inspektor już cię nie nachodził?

- Nie.

- I nikt inny?

- No, w sumie nie.

- Jak to „w sumie”?

- Bo to takie dziwne, że ty dziś przyjechałeś. - Czemu?

- Mam strasznie dużo zadane z matematyki - powiedział Tom. - Okropnie tego nie lubię.

- To pewnie chcesz już iść. - Brotherhood wyjął z kieszeni pomięty list od Pyma i pochylił się, by podać go Tomowi. - Pewnie wolisz, żebym ci to oddał. Piękny list, możesz być dumny. - Dziękuję.

- Tata napisał w nim o wujku Sydzie. Kto to? „Jeżeli coś ci kiedyś nie pójdzie”, pisze, „jeżeli będziesz potrzebował zjeść coś ciepłego, pośmiać się, przenocować, nie zapominaj o wujku Sydzie”. Kto to jest ten wujek Syd?

- Syd Lemon.

- Gdzie mieszka?

- W Surbiton. Przy torach.

- Stary czy młody?

- Jak tata był mały, Syd się nim opiekował. Znajomy dziadka. Miał żonę, Meg, ale umarła. Obaj wstali.

- Tacie dalej nic się nie stało, prawda? - zapytał Tom. Ramiona Brotherhooda znieruchomiały.

- Jeżeli coś się stanie, kontaktuj się z mamą, słyszysz? Z mamą albo ze mną, z nikim więcej. Oczywiście jeżeli coś się stanie. - Wyciągnął z kieszeni marynarki stare, oprawne w skórę pudełko. - To dla ciebie.

Tom otworzył pudełko. W środku leżał medal ze wstążką szkarłatną, z granatowymi paskami po obu stronach.

- Za co go dostałeś?

- Za samotnie spędzone noce. - Rozległ się dzwonek. - No leć do roboty - powiedział Brotherhood.

Noc była paskudna. Brotherhood z trudem utrzymywał samochód na wąskiej drodze, niesiony deszczem wiatr całkiem zalewał przednią szybę. Jechał podrasowanym fordem z Firmy; gdyby mocniej przycisnął gaz, zaraz znalazłby się na żywo płocie. Myślał: Magnus Pym, zdrajca, czeski szpieg. Jeżeli ja to wiem czemu oni nie wiedzą? Ile razy trzeba im powtarzać i na ile różnych sposobów, żeby zaczęli działać? W strugach

deszczu zauważył pub. Wjechał na parking od przodu i wypił whisky, nim poszedł do telefonu. Dzwonił do mnie na prywatną linię, stary powiedział mu Nigel z podejrzaną serdecznością. - Ten na zdjęciu to na pewno nasz znajomy z Korfu. Nie ma wątpliwości - oznajmił Brotherhood. - Jesteś pewny? - Jestem pewny, bo chłopak jest pewny. Jestem pewny, że jest pewny. Kiedy wydajecie rozkaz ewakuacji? Usłyszał stłumiony szelest - to Nigel przykrył mikrofon dłonią. Brotherhood założył, że słuchawki pewnie nie.

- Nigel, kontakty mają się ewakuować. Masz ich stamtąd wyciągnąć. Powiedz Bo, żeby wreszcie wyjął głowę z piasku i wydał rozkaz.

Długie milczenie.

- Łączymy się jutro o piątej rano - powiedział Nigel. - Wracaj do Londynu, prześpij się trochę. - Odłożył słuchawkę.

Do Londynu jechałby na wschód. Brotherhood ruszył na południe za strzałkami do Reading. W każdej operacji jest to, co nad kreską, i to, co pod. Wszystko nad kreską to przepisy; prawdziwa robota to wszystko pod kreską. List do Toma nosił stempel z Reading, przepowiadał sobie w myśli. Wysłany w poniedziałek wieczór lub we wtorek rano.

Telefował do mnie w poniedziałek wieczór, powiedziała Kate.

Telefował do mnie w poniedziałek wieczór, powiedziała Belinda.

Stacja w Reading, położona przy małomiasteczkowym placu, przypominała niską stację z czerwonej cegły. Brotherhood szybko znalazł na tablicy przy wejściu na perony rozkład odjazdów i przyjazdów z Heathrow. Czyli tak zrobiłeś, pomyślał. Sam bym tak zrobił. Na Heathrow postawiłeś zasłonę dymną, te loty do Szkocji, a potem wskoczyłeś szybciotko do autobusu do Reading, żeby przypadkiem nikt ci nie przeszkadzał. Popatrzył na przystanek autobusowy, potem powoli rozejrzał się po placu. Wzrok jego padł na kiosk z biletami. Niespiesznie ruszył w jego stronę. Sprzedawca miał w kłapie marynarki małe metalowe kółeczko. Brotherhood położył przed nim pięć funtów.

- Może mi pan rozmienić? Potrzebuję do telefonu.

- Przykro mi, kolego. Nie mam - powiedział sprzedawca i wrócił do lektury gazety.

- Ale w poniedziałek wieczór miałeś, co? Głowa sprzedawcy natychmiast znów pojawiła się w okienku. legitymacja służbowa Brotherhooda była zielona, przez fotografię biegł przezroczysty czerwony pasek. Napis na odwrocie głosił, że znalazca tego dokumentu proszony jest o zwrot do Ministerstwa Obrony. Sprzedawca oglądał ją ze wszystkich stron.

- Takiej jeszcze nie widziałem - powiedział.

- Wysoki facet - powiedział Brotherhood. - Z czarną aktówką. Krawat pewnie też miał czarny. Wygadany, uprzejmy. Mówił, że musi dużo dzwonić. No?

Sprzedawca zniknął, a w chwilę później zastąpił go krępy Hindus o zmęczonych, nieprzytomnych oczach.

- Pan tu pracował w poniedziałek wieczór? - zapytał Brotherhood.

- Tak, proszę pana, to właśnie ja pracowałem tu w poniedziałek wieczór - odpowiedział Hindus ostrożnie, jakby już nie był tym kimś.

- Miły pan w czarnym krawacie.

- Wiem, wiem. Kolega już zapoznał mnie z wszelkimi szczegółami.

- Ile mu pan rozmienił?

- Boże Wszechmogący, a cóż to ma za znaczenie? Że rozmieniam komuś resztę, to przecież moja osobista decyzja, sprawa dotycząca wyłącznie mnie i moich finansów, i nikogo więcej nie powinno to obchodzić.

- Ile mu pan rozmienił?

- Dokładnie pięć funtów. Chciał rozmienić pięć, rozmieniłem mu pięć.

- Na co?

- Wyłącznie na pięćdziesięciopensówki. Powiedział, że nie planuje żadnych rozmów lokalnych. Zapytałem go, by się upewnić, ale rozwiął wszelkie moje wątpliwości. No i czy zrobiłem coś złego? Czy jest w tym coś złego?

- Czym zapłacił?

- O ile mnie pamięć nie myli, podał mi banknot dziesięciofuntowy. Nie jestem całkowicie pewien, ale tak mi się

wydaje. Ze słowami „proszę bardzo” podał mi z portfela banknot dziesięciofuntowy.

- Czy równocześnie płacił za bilet?

- A, to na szczęście nie ulega najmniejszej wątpliwości. Cena biletu drugiej klasy do Londynu w jedną stronę to dokładnie cztery funty trzydzieści pensów. Wydałem mu dziesięć pięćdziesięciopensówek, resztę jeszcze drobniejszymi. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? Naprawdę mam nadzieję, że nie. Tak to już jest z policją, proszę pana. Przyjdzie jeden, to zaraz będzie ich dziesięciu.

- Czy to ten? - zapytał Brotherhood. Trzymał w dłoni zdjęcie Pyma i Mary z ich ślubu.

- O, przecież tam z tyłu to pan. Chyba prowadził pan do ołtarza pannę młodą. Czy to na pewno oficjalne śledztwo? To bardzo nieoficjalne zdjęcie.

- Czy to ten?

- No cóż, powiedzmy, że nie powiem, że nie.

Pym pięknie by go sparodiował, pomyślał Brotherhood. Oddałby ten akcent co do joty. Staął przy barierce i patrzył na rozkład odjazdów po jedenastej wieczór w dni powszednie. Do Londynu nie pojechałeś, bo bilet kupiłeś właśnie do Londynu. I miałeś czas, bo jak głupi wydzwaniałeś po ludziach i jak głupi pisałeś do Toma. Samolot wyleciał z Heathrow bez ciebie o ósmej czterdzieści. W tył zwrot wykonałeś najpóźniej o ósmej. Zasłonę dymną postawiłeś piętnaście po ósmej, jeśli wierzyć dziew - czynie z informacji na lotnisku. Potem zwiąłeś do autobusu w stronę Reading, spuściłeś kapelusz na oczy i szybko a bezszelestnie ulotniłeś się z lotniska, już ty to potrafisz.

Brotherhood znów podszedł do rozkładu autobusów. Miałeś czas, powtórzył w duchu. Powiedzmy, że wyjechałeś z Heathrow tym o wpół do dziewiątej. Pomiędzy dziewiątą piętnaście a dziesiątą trzydzieści miałeś z Reading z pięć pociągów we wszystkie strony, ale żadnym z nich nie pojechałeś, bo pisałeś do Toma. Ciekawe gdzie? Wrócił na placyk. Może w tym pubie z neonem? A może w całodobowej kawiarni, tam, gdzie wysiadują dziwki? Usiadłeś gdzieś tu, na tym placyku, i napisałeś list do Toma, co ma zrobić, kiedy nadejdzie dla niego koniec świata.

Budka telefoniczna stała przy samym wejściu na stację,

rzęście oświetlona, co miało odstraszać wandalów. Na podłodze wałało się potłuczone szkło i papierowe kubki. Wstrętą szarą farbą pstrzyły graffiti i obietnice miłości. Ale poza tym była to świetna budka, bo żegnając się ze wszystkimi, można było z niej obserwować cały plac. Tuż obok, w ścianie, znajdowała się skrzynka pocztowa. Czyli tu wrzuciłeś ten list, w którym piszesz, że cokolwiek się stanie, zawsze będziesz go kochał. A potem wyjechałeś do Walii. Albo do Szkocji. Albo skoczyłeś do Norwegii na wędrówki reniferów. Albo aż do Kanady żywić się konserwami. Albo zrobiłeś coś, co było każdą i żadną z wszystkich tych rzeczy, w pokoju na piętrze z widokiem na kościół i morze.

Gdy Brotherhood dotarł do swego mieszkania na Shepherd Market, miał jeszcze trochę roboty. Oficjalnym łącznikiem Firmy z policją był inspektor Bellows ze Scotland Yardu. Brotherhood wykręcił jego numer domowy.

- Co ma pan dla mnie o tym dżentelmenie, o którym mówiłem dziś rano? - zapytał i z ulgą nie dosłyszał w głosie Bellowsa wahania przy czytaniu raportu. Zanotował szczegóły. - Mogę prosić o sprawdzenie jeszcze jednej osoby? Na jutro?

- Proszę bardzo.

- Lemon. Naprawdę tak ma na nazwisko. Imię Syd lub Sydney. Starszy gość, wdowiec, mieszka w Surbiton gdzieś przy torach kolejowych.

Potem, dość niechętnie, Brotherhood zatelefonował do Centrali i poprosił o połączenie z Nigelem przez sekretariat. Teraz wiedział już poniewczasie i ku swemu niezadowoleniu, że musi tańczyć tak, jak mu zagrają. Czyli zachowywać się dokładnie tak jak zachował się po południu, gdy szedł z Amerykanów. Musi być posłuszny, tak jak zawsze był posłuszny, nie z jakiejś głupiej lojalności, ale dlatego, że wierzył w swoją pracę i w to, co jest winien drużynie. Gdy w końcu połączono go z Nigelem, ten natychmiast włączył zagłuszanie.

- Co jest? - zapytał opryskliwie. - Chodzi o tę książkę, o której mówił Artelli. O ten tekst analogowy, jak go nazwał. - Też uważam, że to kompletna bzdura. Zamierzam powiedzieć o tym na samej górze.

- Niech spróbują z Przygodami Simplicissimusa

Grimmelshausena. Tylko niech wezmą stare wydanie. Dłuższe milczenie, szum zagłuszarki. Kąpie się, pomyślał Brootherhood. Albo jest w łóżku z kobietą. Albo z kim on tam chodzi do łóżka.

- Jak to się pisze? - spytał nieufnie Nigel.

Rozdział 10

Jasność znów powoli ogarniała Pyma, gdy wsłuchiwał się w liczne głosy przemawiające w jego umyśle. Być królem, pomyślał. Patrzyć z aprobatą na dziecko, którym jestem. Kochać jego wady i pragnienia, litować się nad jego naiwnością.

Jeżeli jakkolwiek okres w życiu Pyma był doskonały, to chyba ten, w którym sprawdziły się równocześnie wszystkie wersje jego biografii, gdy zaczęły świetnie współgrać ze sobą i gdy wydawało mu się, że już nigdy niczego mu nie zabraknie: lata spędzone na uniwersytecie w Oksfordzie, dokąd posłał go Rick, by wrócił stamtąd jako sędzia Sądu Najwyższego, a więc jako jeden z Panów Królestwa. Obaj kumple, ojciec i syn, znów znaleźli wspólny język. Podczas kilku ostatnich miesięcy Pyma w Bernie po zniknięciu Axela nastąpiła gwałtowna intensyfikacja ich korespondencji. Pani Ollinger teraz prawie się do Pyma nie odzywała, jej męża coraz bardziej absorbowwały sprawy w Ostermundigen, więc Magnus włóczył się samotnie ulicami miasta, trochę tak jak na początku pobytu. Za to w nocy, gdy z drugiej strony ściany nie dochodził żaden odgłos, Pym pisał długie, szczere i czułe listy do Belindy i do swej jedynej ostoi, Ricka. Jego atencje sprawiły, że odpowiedzi Ricka nabrały ozdobniejszego, niemal kwiecistego stylu. Dawno minął czas niepokojących wieści z angielskiej prowincji - teraz korespondencja odbywała się na lepszym papierze o ustabilizowanych i pięknie brzmiących nagłówkach. Najpierw „Przedsiębiorstwo Wielobranżowe Richard T. Pym” z Cardiff powiadomiło go, że Chmury Złej Passy rozwiały się Wreszcie dzięki Bożej Opatrzności, którą można opatrzeć popularnym wówczas komplementem „morowa”. W miesiąc później Pym i S - ka, Przedsiębiorstwo Finansowo - Inwestycyjne z Cheltenham dodało, że podejmowane są pewne Kroki w Celu Zabezpieczenia przyszłości Pyma tak, by już nigdy niczego mu

nie brakło. Wreszcie welinowa, zadrukowana kartka o niemal królewskiej elegancją miała przyjemność zawiadomić, iż w wyniku Mergeru dokona - nego ku Obopólnej Korzyści, obie wspomniane firmy stały się częścią spółki Pym Inwestycje Majątkowe (Nassau), londyński adres Park Lane W.

Jack Brotherhood i Wendy zaprosili Pyma - na koszt Firmy na pożegnalne fondue; przyszła też Sandy, Jack obdarował Pyma dwiema butelkami whisky i wyraził nadzieję, że ścieżki ich jeszcze kiedyś się skrzyżują. Pan Ollinger odprowadził go na dworzec, gdzie wypili ostatnią kawę. Pani Ollinger została w domu. Kawę podawała im Elisabeth, ale była trochę nie w sosie może dlatego, że trochę pogrubiała, choć nie nosiła na palcu obrączki. Gdy pociąg ruszał z dworca, Pym popatrzył w dół, na cyrk i domek słoni, i w górę, na uniwersytet i jego zieloną kopułę. Gdy dojeżdżał do Bazylei, wiedział już, że Berno zatoneło z wszystkimi osobami na pokładzie. Axel był tam nielegalnie, jakiś Szwajcar musiał na niego donieść. Mnie się udało - miałem szczęście. Stojąc na korytarzu, gdzieś na południe od Paryża, poczuł na swych policzkach łzy; obiecał sobie, że już nigdy nie będzie szpiegiem. Na dworcu Victoria czekał na niego pan Cud - love w nowym bentleju.

- Jak mamy teraz pana tytułować? Panie doktorze, a może profesorze?

- Bardzo proszę, bądźmy na „ty”, jak dawniej - powiedział uprzejmie Pym, gdy z całych sił ściskali sobie dłonie. - A jak tam Ollie?

Nowa Kancelaria Rzeszy na Park Lane była okazem dobrobytu i solidności. Popiersie burmistrza stało na swoim miejscu. Wśród ksiąg prawniczych i szklanych drzwi mrugał do Pyma uspokajająco nowy dżokej w liberii, gdy młody człowiek czekał aż dyżurna ślicznotka poprowadzi go do Apartamentów Królewskich.

- Pan prezes może teraz pana przyjąć. Ojciec i syn padli sobie w objęcia. Obaj na chwilę zaniemówili z dumy. Rick klepał Pyma po łopatkach, tarł jego policzki, ocierał łzy. Osobne dzwonki wezwały do gabinetu prezesa panów Muspole'a, Perce'a oraz Syda, by złożyli hołd powracającemu bohaterowi. Pan Muspole przyniósł ze sobą stertę dokumentów, z których

Rick odczytał najciekawsze fragmenty. Pym został dożywotnio mianowany Radcą Prawnym ds. Międzynarodowych z pensją pięciuset funtów rocznie, pod warunkiem że nie będzie oferował swych usług żadnym innym firmom. Następnie omówiono sprawę jego studiów prawniczych na uniwersytecie oksfordzkim - żeby już nigdy niczego mu nie brakowało. Druga ślicznotka przyniosła szampana - było to chyba jej jedyne zajęcie. Wszyscy wypili zdrowie najnowszego pracownika firmy.

- No, mały, powiedz teraz coś po ichniemu - zawołał podekscytowany Syd, więc Pym musiał wykazać się znajomością niemieckiego. Ojciec i syn jeszcze raz się uścisnęli, Rick znów się rozplakał i zaczął mówić, co by było, gdyby to on miał taki start w życiu. Wieczorem tego samego dnia, w Stajaniu, wspaniałej posiadłości w Amersham, powrót Pyma świętowała grupka najbliższych przyjaciół w liczbie około dwustu, większości Pym nigdy nie widział na oczy. Byli wśród nich szefowie światowych firm, gwiazdy estrady i ekranu oraz kilku Wielkich Adwokatów, z których każdy brał go na stronę i twierdził, że właśnie dzięki niemu został przyjęty do Oksfordu. Gdy bankiet wreszcie się skończył, Pym leżał w łóżu z baldachimem i nie mógł zasnąć, bo ciągle budziło go zatraskiwanie drzwi drogich samochodów.

- Synu, pięknie się spisałeś tam, w Szwajcarii - odezwał się Rick z ciemności, gdzie, jak się okazało, stał od pewnego czasu. - Byłeś dzielny, wiem. Przyjęcie ci się podobało?

- O, bardzo.

- Wszyscy mi mówili: „Rick, zabierz chłopaka stamtąd, bo jak nie, ci cudzoziemcy zrobią z niego łajzę”. Wiesz, co im odpowiadałam?

- Co?

- Że ja ci ufam. A ty mi ufasz, synu?

- No pewnie.

- Podoba ci się ten dom?

- Cudowny - powiedział Pym.

- Jest twój. Kupiony na twoje nazwisko od księcia Devonshire.

- Dzięki.

- Nikt ci go nie odbierze, czy jak będziesz miał dwadzieścia

lat. czy pięćdziesiąt. Dom masz tam, gdzie jest twój stary. Udało ci się pogadać z Makiem Moore'em?

- Chyba nie.

- Przecież to on strzelił zwycięską bramkę dla Arsenalu w meczu z Tottenhamem. Nie mów, że nie wiesz. Co myślisz o Blottsiem?

- Który to?

- G. W. Blott? To jedno z najważniejszych nazwisk w spożywczym handlu detalicznym. Co za godność! Kiedyś zostanie lordem, ty zresztą też. A co myślisz o Sylvii?

Pym przypomniał sobie, że Sylvia to krępa kobieta w średnim wieku, niebieskiej sukni, uśmiechająca się jak arystokratka, może dlatego, że wypila za dużo szampana.

- Bardzo miła - powiedział ostrożnie.

Rick uchwycił się tego określenia, jakby poszukiwał go całe życie.

- Bardzo miła. O, właśnie. To bardzo miła pani. Miała już dwóch mężów i obaj byli jej godni.

- I bardzo atrakcyjna, nawet dla kogoś w moim wieku.

- Związałaś się tam z kimś? Bo nie ma takiej rzeczy, z której nie można by się uwolnić z pomocą przyjaciół.

- Nie, parę drobnych romansów, nic wielkiego.

- Nas dwóch nie poróżni nigdy żadna kobieta, synu. A jak dziewczyny w Oksfordzie dowiedzą się, kim jest twój tata, będą polować na ciebie jak wilczyce. Obiecuj mi, że zachowasz czystość.

- Obiecuję.

- I że będziesz wkuwał prawo ze wszystkich sił. Płacę za to, pamiętaj.

- Obiecuję. - No dobra.

Podstępny ciężar ciała Ricka wylądował u boku Pyma jak osiemdziesięciokilowy kot. Ojciec przyciągnął jego głowę do swojej, aż zarost otarł się o zarost. Palce Ricka powędrowały ku co tłustszym fragmentom tułowia Pyma pod pidżamą, by je pomiędlić. Płakał. Pym też, bo pomyślał o Axelu.

Następnego dnia Pym pospiesznie przeniósł się już do swego college'u. Zmyślił całą gamę powodów, dla których musi znaleźć się tam na dwa tygodnie przed rozpoczęciem roku

akademickiego. Podziękował za usługi pana Cudlove'a i do Oksfordu pojechał autobusem. Przez okno oglądał z rosnącym niedowierzaniem łagodne zbocza wzgórz i skoszone pola świecące w jesiennym słońcu. Autobus mijął miasteczka i wioski drogami wśród szpalerów rdzawych buków i podskakujących żywopłotów, aż złoty kamień Oksfordu powoli zastąpił cegłę hrabstwa Buckingham, wzgórze spłaszczyły się, a iglice miasta wystrzeliły w gęstniejącą światłość popołudniowego nieba. Wysiadł, podziękował kierowcy i ruszył powoli zaczarowanymi uliczkami, na każdym rogu pytając o drogę, zapominając, pytając znowu, niczym się nie przejmując. Mijały go na rowerach dziewczęta w szerokich spódnicach. Wykładowcy w rozwianych togach podtrzymywali birety od wiatru. Księgarnie nawoływały go jak domy rozkoszy. Niósł ciężką walizkę, ale w tej chwili ważyła tyle co kapelusz. Portier w college'u wskazał mu klatkę schodową numer 5, po drugiej stronie dziedzińca za kaplicą. Wspiął się na kręte drewniane schody, aż dotarł do drzwi opatrzonych wizytówką z jego nazwiskiem. M. R. Pym. Pchnął drugie drzwi, zamknął pierwsze, znalazł wyłącznik światła i zamknął drugie drzwi. Zamknął je przed swym dotychczasowym życiem. Tu jestem bezpieczny. Tu nikt mnie nie znajdzie, nie zwerbuje. Potknął się o karton z książkami prawniczymi. Wiązanka storczyków ozdobiona była karteczką z życzeniami: „Wszystkiego dobrego, synu, od Twojego najlepszego kumpla”.

I rachunkiem od Harrodsa, wystawionym na najnowsze konsorcjum Ricka.

Uniwersytet był wtedy jeszcze bardzo skonwencjonalizowany, Tom. Uśmiełbyś się, gdybyś wiedział, jak się ubieraliśmy, jak mówiliśmy i na co się godziliśmy, choć przecież byliśmy wybrańcami losu. Zamykali nas na noc, wypuszczali rano. Dziewczyny wpuszczali do nas na podwieczorek, ale na kolację już nie, ani tym bardziej na śniadanie. Służba college'owa stanowiła siatkę wywiadowczą dziekana i donosiła na nas, aż miło. Ponieważ to nasi rodzice, a przynajmniej ich większość, wygrali wojnę, naszą jedyną zemstą było małpowanie ich we wszystkim. Niektórzy z kolegów byli już po wojsku, reszta i tak ubierała się jak oficerowie, w nadziei, że

nikt nie zauważył różnicy. Za pierwszy czek Pym kupił sobie granatowy blezer z mosiężnymi guzikami, za drugi tweedowe spodnie kawaleryjskie i emanujący patriotyzmem niebieski krawat w korony. Na realizację trzeciego czeku musiał czekać miesiąc. Pucował swe brązowe buty, chusteczkę nosił w rękawie zgodnie z najlepszymi tradycjami brytyjskiej kadry oficerskiej, cesał się jak džentelmen. A gdy Sefton Boyd, który studiował o rok wyżej, zaprosił go na ucztę do ekskluzywnego klubu Gridiron, Pym tak podciągnął się w języku, że wkrótce mówił nim jak tubylec, nazywając osoby stojące niżej w hierarchii społecznej prolami, te z własnej sfery gośćmi, rzeczy zle cieniarnictwem, rzeczy prostackie chamstwem, a dobre - w sumie niezłymi.

- A swoją drogą skądżeś ty wytrzasnął ten krawat? - zapytał go dość łagodnie Sefton Boyd, gdy powoli szli Broad Street na partyjkę rzutek z jakimiś prolami w pubie Trinity. - Nie wiedziałem, że w wolnych chwilach jesteś kibicem boksu.

Pym powiedział, że zobaczył ten krawat na wystawie sklepu braci Hall na High Street.

- No to lepiej daj sobie z nim na chwilę spokój. Aha... - Sefton Boyd niedbale położył dłoń na ramieniu Pyma. - I przy okazji każ służącemu przyszyć ci do tego blezera zwykłe guziki. Przecież, nie chcemy, żeby ludzie brali cię za pretendenta do tronu węgierskiego, no nie?

Po raz kolejny w życiu Pymowi wszystko się podobało, wszystko pokochał od razu, robił co mógł, by błyszczeć. Zapisywał się do wszystkich kółek zainteresowań - od filatelistyki po eutanazję - płacił więcej składek, niż było kółek, każdego z nich zostawał college'owym sekretarzem. Pisał natchnione artykuły do uniwersyteckich gazetek, uczęszczał na odczyty ważnych ludzi, jeździł po nich na dworzec, brał ich na kolacje na koszt kółka i prowadził do bezpiecznie pustych audytoriów. Był w reprezentacji college'u w rugby, krykiecie, wioślarstwie, upijał się w college'owym barze i na zmianę to cynicznie szydził ze społeczeństwa, to znów patriotycznie bronił jego angielskich wartości, w zależności od tego, w którym towarzystwie przebywał. Z nowym zapałem rzucił się w objęcia germańskiej muzy i nie zniechęcił się nawet, gdy okazało się, że w

Oksfordzie muza ta ma jakieś pięćset lat więcej niż w Bernie, i że nic, co napisano w ostatnich czasach, nie jest warte funta kłaków. Wytlumaczył sobie, że na tym właśnie polega akademickość. Wkrótce nurzał się w niezrozumiałych tekstach średniowiecznych minstreli z takim zapałem, z jakim we wcześniejszym okresie życia rzucał się na prozę Tomasza Manna. Pod koniec pierwszego semestru był już pełnym entuzjazmu studentem literatury staro - i średniogermańskiej. Pod koniec drugiego potrafił recytować z pamięci Hildebrandslied i intonować gocki przekład Biblii autorstwa biskupa Wulfili w barze college'u - ku radości swego nielicznego dworu. W trzecim semestrze baraszkował na Parnasie filologii porównawczej, dziedzinie, w której zawsze ceniono młodzieńcze zaangażowanie. A gdy zapędził się na chwilę na nowożytnie manowce siedemnastego wieku, z przyjemnością donosił w dwudziesto stronicowej napaści na tego parweniusza Grimmelshausena, że poeta popsuł swe dzieło wtrętami o charakterze popularno - moralizatorskim, że, walcząc po obu stronach wojny trzydziestoletniej, zaszkodził swej wiarygodności, i że w ogóle Grimmelshausena obsesja fałszywych nazwisk stawia pod znakiem zapytania jego autorstwo.

Pym postanowił, że zostanie tu na zawsze. Zostanę wykładowcą. Będę bohaterem moich uczniów. Zaczął od ćwiczenia selektywnego jąkania i autoironicznego uśmiechu; wysiadywał też nocami przy biurku, broniąc się przed snem kawą rozpuszczalną. Gdy wstawał nowy dzień, Pym schodził na dół nieogolony, by wszyscy mogli zobaczyć, jak nauka żłobi na jego pełnej zapału twarzy rysy przemęczenia. Ktoregoś ranka zauważył ze zdumieniem, że czeka na niego skrzynka markowego portwajnu z dołączoną karteczką od pewnego znanego profesora prawa.

Szanowny Panie!

Firma Harrods dostarczyła mi wczoraj niniejszą przesyłkę wraz z czarującym listem od Pana Ojca, który poleca Pana mojej uwadze jako mojego ucznia. Choć nie mam w zwyczaju odmawiać przyjęcia tak wspaniałych prezentów, obawiam się, że gest ten powinien raczej zostać wykonany pod adresem

któregoś z moich szanownych kolegów z wydziału filologicznego, gdyż, jak dowiaduję się od Pańskiego Opiekuna Naukowego, studiuje Pan germanistykę.

Przez całe pół dnia Pym nie wiedział, gdzie się podziać. Z podniesionym kołnierzem włączył się markotnie po Chris Church Meadows, nie poszedł na konsultacje do opiekuna, obawiając się aresztowania, i pisał list za listem do Belindy, która pracowała wtedy jako sekretarka wolontariuszka w pewnym londyńskim towarzystwie dobroczynności. Po południu zaszył się w ciemnym kinie. Wieczorem, wciąż w rozpacz, zataszczył dowód winy do Balliol, postanowiwszy opowiedzieć wszystko Sefton Boydowi, ale po drodze wymyślił lepszą wersję.

- Jakiś bogaty sukinsyn z Merton chce, żebym poszedł z nim do łóżka - poskarżył się tonem zdrowej niecierpliwości, który ćwiczył od bramy. - Przysłał mi tę skrzynkę i myśli, że na to polecę.

Jeżeli Sefton Boyd mu nie uwierzył, nie dał tego po sobie poznać. Wspólnie zanieśli zdobycz do Gridiron, gdzie na jednym posiedzeniu wypili całą skrzynkę w sześciu, do rana świętując za chowane dziewictwo Pyma. Kilka dni później wybrano Pyma na członka klubu. Gdy nadeszły wakacje, Pym zatrudnił się do sprzedaży dywanów w sklepie w Watford. Rickowi napisał, że jedzie na wakacyjny kurs prawniczy. Trochę jak te szkoły letnie, na które jeździł w Szwajcarii. Rick odpowiedział pięciostronicową homilią ostrzegającą go przed zdegenerowanymi intelektualistami i czekiem bez pokrycia na pięćdziesiąt funtów.

Semestr letni poświęcony był wyłącznie kobietom. Pym nigdy jeszcze nie był tak zakochany. Miłość ślubował każdej poznanej dziewczynie, bo tak bardzo pragnął zrobić na każdej lepsze wrażenie. W przytulnych kawiarenkach, na ławkach w parku czy na spacerach wzdłuż Tamizy trzymał je za ręce i gapił się w ich lekko zdumione oczy, i mówił im wszystko, co tylko chciały usłyszeć, leżeli jednego dnia nie poszło mu z jedną - obiecywał sobie, że lepiej będzie drugiego dnia z drugą - kobiety w jego wieku i na jego poziomie intelektualnym były dla niego nowością, tracił rezon, gdy z góry nie przyjmowały podrzędnej pozycji. Jeżeli nie wychodziło mu z żadną, pisał do Belindy, ta zaś zawsze mu odpisywała. Nigdy nie powtarzał

miłosnych zakłęb, nie był przecieź cynikiem. Jednej opowiadał o pragnieniu powrotu na scenę w Szwajcarii, gdzie odnosił takie sukcesy. Ona musi nauczyć się niemieckiego i jechać z nim, będą razem występować. Innej odmalowywał własny portret jako poety egzystencjalisty i opisywał prześladowania, jakie spotkały go z rąk zbrodniczej policji szwajcarskiej.

- A ja myślałam, że oni są tacy ludzcy, tacy neutralni! - zawołała, przerażona opisem brutalnego przesłuchania, po którym nastąpiła deportacja na piechotę do Austrii.

- Chyba że ktoś jest inny od wszystkich - rzekł ponuro Pym. - I nie chce dostosowywać się do ich burżujskich norm. Szwajcarzy mają tak naprawdę tylko dwa prawa: nie wolno być biednym i nie wolno być cudzoziemcem. A ja byłem jednym i drugim.

- Że też ty przeszedłeś przez to wszystko - powiedziała. - Niesamowite. Ja w ogóle nic nie przeżyłam.

Trzeciej przedstawił się jako udręczony powieściopisarz, zapoznany od wydawców i piszący wyłącznie do szuflady.

Któregoś dnia pojawiła się Jemima, wysłana do Oksfordu przez matkę na kurs sekretarek i tańca - długonoga, roztrzepana jak ktoś, kto wiecznie się spóźnia. I jeszcze piękniejsza niż dawniej.

- Kocham cię - oznajmił jej Pym, częstując ją u siebie plackiem z owocami. - Gdziekolwiek byłem, przez cokolwiek przechodziłem, zawsze cię kochałem.

- A cóż takiego przechodziłeś? - zapytała Jemima.

Dla Jemimy trzeba było zdobyć się na coś ekstra. Odpowiedź Pyma rzeczywiście mocno ją zdumiała. Potem uznał, że odpowiedź ta czaiła się w jego umyśle i wyskoczyła sama, nim zdążył jej przeszkodzić:

- Dla Anglii, Jemimo - powiedział. - Mam szczęście, że wyszedłem z tego żywy. Zabiją mnie, jeżeli komuś o tym powiem.

- A czemuż mieliby cię zabić?

- Bo to tajemnica. Ślubowałem, że nikomu nie powiem.

- To czemu mówisz mnie?

- Bo cię kocham. Musiałem robić okropne rzeczy różnym ludziom. Nie masz pojęcia, jak to jest, nie móc się nikomu

zwierzyć.

I w chwilę potem usłyszał, że jego własny głos powtarza coś, co usłyszał na krótki czas przed końcem od Axela: - Życie zawsze odpląca.

Przy następnym spotkaniu z Jemimą opowiedział jej o niezwykle odważnej dziewczynie, z którą wypełniał różne tajne misje. Opisując ją, posługiwał się zapamiętanymi z czasopism niewyraźnymi zdjęciami pięknych kobiet, które zdobywały odznaczenia za cotygodniowe skoki spadochronowe nad okupowaną Francją. - Nazywała się Wendy. Odbyliśmy kilka tajnych misji w Rosji. Jako partnerzy. - Robiłeś to z nią?

- Nie, nie o to chodzi. Traktowaliśmy te sprawy wyłącznie profesjonalnie.

Jemima nie posiadała się z ciekawości.

- Aha, to była dziwka?

- Ależ skąd. Była tajną agentką.

- A robiłeś to kiedy z dziwką? - Nie.

- A Kenneth tak. Z dwiema. Po jednej na każdym końcu. Na każdym końcu czego? - pomyślał poirytowany Pym. To ja jej opowiadam o moich bohaterskich czynach, a ona mi o seksie! W rozpaczy napisał do Belindy aż dwanaście stron, wszystko o swej platonicznej miłości do niej, ale nim odpisała, zapomniał o kontekście tego wyznania. Czasem Jemima przychodziła bez zaproszenia, bez makijażu i z włosami założonymi za uszy. Kładła się na łóżku, leżąc na brzuchu czytała Jane Austen, machała gołą nogą w powietrzu i ziewała.

- Jak chcesz, możesz wsadzić mi rękę pod spódnicę - powiedziała raz.

- Ależ nie, dziękuję - odpowiedział Pym.

Był zbyt grzeczny, by jej przeszkadzać, więc siedział w fotelu i czytał Podręcznik literatury staroniemieckiej. Jemima w końcu krzywiła się i szła sobie. Wreszcie przestała go odwiedzać. Mijali się w kinach - było ich siedem, po jednym na każdy dzień tygodnia. Zawsze była z innym mężczyzną, raz, zupełnie jak jej brat, z dwoma. Raz w tym mniej więcej okresie odwiedziła ją Belinda, ale Pym prosił, by go nie odwiedzała, bo byłoby to nielojalne względem tej biednej Jemimy. Pragnienie uczynienia wrażenia na Jemimie stało się jego prawdziwą obsesją. Jadał

sam i starał się wyglądać fatalnie, ale Jemima nigdy do niego nie podeszła. Wreszcie któregoś dnia, idąc wzdłuż ceglanego muru, rozmyślnie pocierał o niego pięścią, aż zaczęła krwawić. Ile sił w nogach popędził do drogiego apartamentu Jemimy na Merton Street, gdzie zastał ją przy suszeniu włosów przed elektryczną imitacją kominka.

- Z kim się biłeś? - zapytała, przemywając mu ranę jodyną.

- Nie wolno mi o tym mówić. Przed pewnymi rzeczami nie da się uciec do końca życia.

Przy tym samym elektrycznym grzejniku zrobiła mu grzanekę. Znowu zaczęła szczotkować włosy i przyglądała mu się przez opadające na twarz kosmyki.

- Gdybym ja była mężczyzną - powiedziała - nie marnowałabym energii na jakieś tam bójki. Ani na rugby, ani na boks, ani na bycie agentem. Nawet konno bym nie jeździła, tylko bym się pieprzyła. W kółko.

Pym poszedł do siebie jak niepyszny, po raz kolejny przeklinając ludzi, którzy nie doceniają jego poświęcenia dla ojczyzny.

Najdroższa Belindo!

Czy naprawdę nie da się już nic zrobić dla Jemimy? To straszne, że ona tak się stacza.

Czy Pym wiedział, że kusi Boga? Ja, oczywiście, wiem to doskonale, gdy w wietrzną noc siedzę teraz nad brzegiem morza i usiłuję wszystko to opisać po tylu latach. Bo kogóż innego, jak nie swego Stwórcę, prowokował tymi głupimi historyjkami? Sprowadzał na siebie zły los. zupełnie jakby modlił się o to co wieczór. I Pan Bóg, jak to Pan Bóg, modlitw wysłuchał. Fantastyczne opowieści Pyma na własny temat tylko czekały na realizację pod okiem boskiej Opatrzności; pierwsza boska odpowiedź znalazła się w jego skrytce pocztowej u portiera w niecałą dobę później, gdy zszedł zobaczyć, kto też tak kocha go w sobotni rano, jeszcze przed śniadaniem. Aha! Liścik! Niebieski! Może od Jemimy, a może od jej cnotliwej przyjaciółki, Belindy? A może od Lalage? Albo od Polly, Prudence, Anne? Ale tego liściku, Jack, nie napisała żadna z nich. List był, jak wiele innych złych rzeczy, od ciebie. To ty napisałeś go do Pyma z Omanu, a konkretnie z Omanu

Traktatowego, choć znaczek pocztowy był jak najbardziej brytyjski, a stempel z samego Whitehall - list przyszedł do Anglii pocztą dyplomatyczną.

Drogi Magnusie!

Jak zorientujesz się po nagłówku tego listu, porzuciłem dostatnie Bemo dla nieco mniej sytej strawy. Zostałem oddelegowany do tutejszej misji wojskowej. Życie jest tu na pewno bardziej ekscytujące! Dalej udzielam się w kościele. Trzeba przyznać, że niektórzy tutejsi Arabowie śpiewają bardzo pięknie. Piszę do Ciebie z dwóch powodów:

1) By życzyć Ci sukcesów w nauce i jeszcze raz zapewnić Cię o moim zainteresowaniu Twymi postępami.

2) By powiadomić cię, że dałem Twoje zamiary siostrzanemu kościołowi w kraju, bo, jak mi się zdaje, szukają zdolnych młodych tenorów w Twojej okolicy. Więc jeżeli skontaktuje się z Tobą niejaki Rob Gaunt i powie Ci, że jest moim znajomym, mam nadzieję, że pozwolisz mu zabrać się na obiad. Pamiętaj tylko, że jest podpułkownikiem artylerii.

Pym nie czekał długo, choć każda minuta ciągnęła się jak rok. Już w następny wtorek, gdy wrócił z testu z akcentuacji niemieckiej, znalazł w skrytce drugą kopertę. Była brązowa i niezwykle gruba, później już nigdy takiej nie widziałem. Przecinały ją drobne prążki, nadając jej wygląd marszczoną tektury, choć naprawdę była gładka, niemal oleista. Nie było ani godła, ani adresu nadawcy, nazwa producenta też była utajniona. Za to napisane na maszynie imię, nazwisko i adres Pyma widniały na niej bardzo wyraźnie, znaczek przyklejony był bardzo równo, a gdy adresat ukrył się w swym pokoju i ostrożnie zajrzał do koperty, zobaczył, że od środka wyłożona jest kauczukiem, pachnącym kwaśno i sklejącym się jak guma do żucia, tak że z trudem wydobyl zawartość, jedną, jedyną kartkę papieru. Kartka była gruba, niezłożona, lecz chyba zaprasowana na pół. Wielki szpieg rozprostował ją i natychmiast zauważył brak znaku wodnego. Czcionka była wielka, jak dla osób niedowidzących, a każda linijka - starannie wyrównana z obu stron.

Skr. poczt. 777 Ministerstwo Wojny Whitehall S. W. 1
Szanowny Panie!

Nasz wspólny znajomy Jack wiele mi o Panu opowiadał. Bardzo chciałbym Pana poznać, ponieważ jest wiele interesujących nas spraw, w których mógłby nam Pan pomóc. Niestety, jestem teraz bardzo zajęty; w chwili gdy otrzyma Pan ten list, będę zagranicą. Mam nadzieję, że zgodzi się Pan wobec tego na zastępstwo: kolega, który ma trochę więcej czasu, chętnie spotkałby się z Panem w najbliższy poniedziałek. Jeżeli nie ma Pan nic przeciwko temu, proszę udać się autobusem do Burford i na parę minut przed dwunastą w południe pojawić się przy barze w gospodzie Monmouth Arms. Kolegę pozna Pan po tym, że będzie miał ze sobą Allana Quatermaina Ridera Haggarda, Pana natomiast proszę o zabranie „Financial Times”, bo ma charakterystyczny, różowy kolor. Mój kolega ma na imię Michael i podobnie jak Jack wyróżnił się na wojnie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że przypadniecie sobie do gustu.

Serdeczne pozdrowienia R. Gaunt (emer. ppłk artylerii)

Następne pięć dni Pym nie mógł znaleźć sobie miejsca. Zaniedbał się w nauce, włóczył się bocznymi uliczkami, wielokrotnie odwracając się, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Kupił sobie finkę i ćwiczył rzucanie nią do drzew, aż złamał ostrze. Napisał testament, który wysłał do Belindy. Gdy szedł do siebie, robił to bardzo ostrożnie; nie schodził też i nie wychodził na schody, nie nasłuchując najpierw podejrzanych odgłosów. Gdzie ukryć wszystkie listy? Były przecież zbyt cenne, by tak po prostu wyrzucić. Przypomniał sobie, co gdzieś kiedyś przeczytał, i wydarł środek świeżo kupionego Słownika etymologicznego Klugego, by zrobić schowek na listy. Efekt był taki, że to właśnie na zbezczeszczonego Klugego zawsze najpierw padał jego wzrok, gdy wracał ze swych ryzykownych wypadów na zajęcia. Postanowił kupić „Financial Times” bez zwracania na siebie uwagi, więc poszedł aż do Littlemore, podoksfordzkiej wsi, tylko że na tamtejszej poczcie nikt nie słyszał o takiej publikacji; gdy wrócił do Oksfordu, wszystko było już zamknięte. Po bezsennej nocy włamał się o świcie do czytelnicy dla studentów i wykradł stary egzemplarz z półki z gazetami.

W dni powszednie przed południem byty do Burford dwa

autobusy, ale drugi dawał mu tylko dwadzieścia minut na znalezienie Monmouth Arms, więc pojechał pierwszym, dotarł na miejsce za dwadzieścia dziesiąta i wtedy okazało się, że przystanek znajduje się przy samym wejściu do gospody. Był tak rozgorączkowany, że wypisany wielkimi literami szyld wydał mu się potwornym pogwałceniem wszelkich reguł konspiracji, więc szybko minął go, odwracając wzrok. Czas włókł się niemilosiernie. O jedenastej notes Pyma pękał w szwach od zapisanych numerów rejestracyjnych wszystkich samochodów zaparkowanych w Burford i od wyczerpujących opisów wszystkich podejrzanych przechodniów. Gdy za dwie minuty dwunasta siedział wreszcie w gospodzie, znów ogarnęła go panika: czy jest w Monmouth Arms, czy Pod Żółtym Bażantem? Czy pułkownik Gaunt nie pisał przypadkiem, że jego człowiek będzie miał przy sobie „Zimową opowieść”? We wrzącym tyglu umysłu Pyma wszystkie te możliwości zlały się w rozpalony do białości, przerażający stop. Wyszedł na zewnątrz, by jeszcze raz przeczytać szyld, po czym popędził do męskiej ubikacji na podwórzu i ochlapał sobie twarz zimną wodą. Stał przy pisuarze, usłyszał pierdnięcie i wyczuł raczej, niż zobaczył obok siebie pękatą postać w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym. Postać była przechylona w bok i do tyłu, ze wzrokiem utkwionym w suficie, niczym w agonii. Pym przeraził się i już zaczął szukać na ciele sąsiada rany postrzałowej, ale szybko zorientował się, że wszystko to jest skutkiem trzymania pod pachą wielkiego tomiszcza. Pymowi nie udało się wysiusiać, więc zapiął guziki rozporoka i popędził na miejsce przy barze, na którym rozłożył „Financial Times”. Zamówił piwo.

- Może od razu dwa piwa, co? - usłyszał obok siebie dziarski głos. - Co se będziemy żałować! No, jak się masz? Może siądziemy tam, w rogu? Nie zapomnij gazety.

Oszczędzę ci szczegółów naszych zalotów, Jack. Gdy dwie osoby chcą iść ze sobą do łóżka, to, co przedtem zachodzi między nimi, jest sprawą wyłącznie formy, a nie treści. Nie pamiętam leż już, jak to sobie wytłumaczyliśmy, bo Michael był nieśmiałym człowiekiem, który większość życia spędził na morzu. Nieliczne filozoficzne uwagi, jakie wygłaszał, miętosząc

swe usta chusteczką w kratę, wydobywały się z niego jak sygnały dymne. „Ktoś musi czyścić to szambo, stary - gwałt niech się gwałtem odciska, rozumiesz - no chyba że nam nie przeszkadza, że ktoś zabierze nam nasz statek - ale mnie to akurat przeszkadza". Ta ostatnia uwaga była najwyraźniej szczególnie osobistym wyznaniem wiary, bo została natychmiast utopiona w wielkim łyku piwa. Michael był twoim pierwszym wysłannikiem, Jack, więc niech nam wystarczy za wszystkich innych - bo po Michaelu był jakiś David, po Davidzie jakiś Alan, a po Alanie nie pamiętam już kto. Pym nie dopatrył się w nich ani jednej wady, a jeżeli już się dopatrył, natychmiast uznawał ją za szatańsko przebiegły kamuflaż. Dziś wiem, oczywiście, kim byli ci biedacy: członkami tej wielkiej rodziny Anglików bez zawodu, którzy tułali się wiecznie między tajnymi służbami, klubami samochodowymi i co majątniejszymi towarzystwami dobroczynności. Ludzie ci nie byli ani źli, ani nieuczciwi, ani głupi. Byli to jednak ludzie, którzy w zagrożeniu swej klasy społecznej widzieli zagrożenie Anglii i do których nigdy nie dotarło, że może być inaczej. Byli skromni, rozsądni, skrupulatni w rozliczaniu kosztów, przywiązani do swego etatu i skromnej pensyjki, i mimo żartobliwego stylu bycia robili swą spokojną znajomością fachu wielkie wrażenie na prowadzonych przez siebie młodych agentach. A jednak rozsadały ich te same wielkie nadzieje, które w owych dniach stanowiły główną pożywkę duchową Pyma. I po to właśnie potrzebni byli im agenci. Ci wiecznie zafrasowani ludzie, przesyleni wonią posiłków w pubach i klubowych kortach do squasha, zawsze rozglądali się wokół, gdy płacili za siebie, jakby chcieli przekonać się, czy jednak nie można żyć inaczej. Pym, przekazywany sobie przez nich z rąk do rąk, starał się jak mógł, by ich szanować i słuchać. Wierzył w nich i rozbawiał ich coraz bogatszym arsenalem swych opowieści i anegdotek. Za wszelką cenę starał się dostarczać im smakowitych szczegółów, by mieli czym się ekscytować. A gdy odchodzili, zawsze miał dla nich jeszcze jedną wiadomość, nawet jeżeli musiał zmyślić ją na poczekaniu. - A co słyhać u pana pułkownika? - zapytał raz Pym, przypomniawszy sobie, że Michael oficjalnie tylko zastępuje Gaunta.

- Ja bym nie zadawał takich pytań, stary - odpowiedział Michael i ku zdziwieniu Pyma zaczął pstrykać palcami, jakby chciał przywołać psa.

Czy Rob Gaunt w ogóle istniał? Pymowi nigdy nie było dane poznać go osobiście, potem zaś, gdy już mógł pytać o takie rzeczy, nie udało mu się znaleźć nikogo, kto by słyszał o kimś takim.

Teraz brązowe koperty pojawiają się jedna za drugą, czasem dwie lub trzy na tydzień. Portier college'u tak się do nich przyzwyczaił, że wrzuca je do skrzynki Pyma, nawet nie czytając ad - resu, a Pym musi zrobić dziurę w kolejnym słowniku, bo w pierwszym już się nie mieszczą. Zawsze zawierają instrukcje, czasem też drobne kwoty w gotówce, nazywane przez Michaelów „zaskórniakami”. Jeszcze wspanialszą rzeczą jest fundusz wydatków operacyjnych, utrzymywany w przypadku Pyma na niebotycznym poziomie dwudziestu funtów: podejmowanie sekretarza Kółka Heglowskiego, siedem szylingów, dziewięć pensów... składka na rzecz kampanii „Pokój w Korei”, pięć szylingów... butelka sherry na spotkanie Towarzystwa Wymiany Kulturalnej z ZSRR, czternaście szylingów... bilet autobusowy do Cambridge na wizytę dobrej woli na konkurencyjnym uniwersytecie, jeden funt piętnaście szylingów dziewięć pensów. Z początku Pym bardzo nieśmiało rozliczał takie wydatki, obawiając się, że nadużywa cierpliwości swych przełożonych. Pułkownik znajdzie kogoś tańszego, kogoś bogatszego, kogoś, kto wie, że dżentelmeni nie mówią o pieniądzach. Powoli jednak dotarło do niego, że wzrost wydatków nie tylko nie zrażał do niego przełożonych, lecz nawet został uznany za dowód wzmożonej aktywności.

Drogi Przyjacielu Numer Jedenaście! - pisał do niego kolejny Michael, posłuszny zasadzie, że imion i nazwisk należy unikać za wszelką cenę. na wypadek gdyby wróg przechwycił korespondencję. - Dziękuję za wystanie mi Ósemki, jak zwykle majstersztyk. Pozwoliłem sobie przekazać Twój opis ostatniego występu chóru naszego klanu mojemu panu i władcy piętro wyżej. Dawno nie widziałem, żeby stary tak się śmiał, ostatni raz chyba wtedy, gdy ciocia zawadziła wiesz czym o wiesz co. Mój drogi, było to i błyskotliwe, i pouczające. Sam wielki człowiek był

pod wrażeniem Twojej wytrwałości. A teraz, jak zwykle, nowa lista spraw do załatwienia.

1) Czy jesteś pewny, że nazwisko zacnego skarbnika naszego klanu zaczyna się na Z, a nie na S? W ostatnim spisie powszechnym figuruje Abraham S., emerytowany matematyk liceum w Manchester, i ten by nawet pasował, tylko że on jest S., nie Z. (Oczywiście, jest całkiem możliwe, że taki dżentelmen pisze się raz tak, raz tak...). Nic na siłę, jak powiedział biskup, ale gdyby udało Ci się to sprawdzić, daj nam znać.

2) Miej uszy szeroko otwarte na wieści o naszych dzielnych szkockich braciach wybierających się na lipcowy Festiwal Młodzieży do Sarajewa. Nasi mocodawcy są coraz bardziej poirytowani postępowaniem takich, co to biorą państwowe pieniądze na popijawy za granicą, a potem kalają własne gniazdo.

3) Co do gościnnego koncertu naszego wokalisty z uniwersytetu w Leeds, który ma wystąpić przed klanem 1 marca, bardzo proszę, byś zwrócił uwagę na jego wierną żonę Magdalene (niech nam Bóg pomaga!), która jest podobno równie uzdolniona jak jej stary, ale woli nie śpiewać, bo ma poważne zainteresowania naukowe. Czekam z radością na Twoje komentarze...

Dlaczego Pym to robił, Tom? Dlatego, że na początku był czyn. Nie motyw, na pewno nie słowo - czyn. Była to jego decyzja, jego wybór. Nikt go do niczego nie zmuszał. W każdej chwili, na przykład na początku, mógł zawołać, że się nie zgadza i zadziwić samego siebie. Ale nie zawołał. Nim w końcu wyrzucił ręcznik na ring, trwało to dziesięć pełnych pokoleń uniwersyteckich, a wtedy wszystko już było jasne. Zapytasz, czemu odrzucił wolność i szczęście, własną urodę, humor i dobre serce, i to w okresie, gdy naprawdę zaczynały coś dla niego znaczyć? Czemu zaprzyjaźnił się z bandą parszywych nieszczęśników, tak bardzo różniących się od niego pochodzeniem i mentalnością, czemu narzucał się im z wiernopoddańczym uśmiechem - możesz mi wierzyć: lewica uniwersytecka skompromitowała się według niego od czasu blokady Berlina i wojny w Korei - po to tylko, by kiedyś ich zdradzić? Czemu wysiadywał do późna w noc z dziewczynami z

provincji o gniewnych twarzach, które marszczyły brwi, zjadały wegetariańskie kotleciki i zaliczały na piątkę ekonomię polityczną, by potem głosić wizję świata, której on sam musiał dopiero się uczyć, gimnastykując umysł do upadłego, zabijając się tanimi papierosami i równocześnie entuzjastycznie przyklaskując idei, że wszystko, co w życiu piękne, jest też okropne? Czemu spowiadał się im ze swego burżuazyjnego pochodzenia, narażając się na potępienie z ich strony, ponizając się, tarzając się w ich dezaprobacie, ale nie uzyskując rozgrzeszenia - po to tylko, by pędzić potem do domu i odwracać wszystko do góry nogami wyczerpującymi a szczegółowymi opisami tego, co zaszło w nocy? Powinienem to wiedzieć, bo przecież i sam to robiłem, i kazałem robić innym, a poglądy miałem ustalone raz na zawsze. Dla ciebie, Ojczyzno. Aby w wolnym świecie ktoś - czyli tajni stróże - nie spali, by spać mógł ktoś. I dla miłości. I jeszcze po to, by być porządnym facetem i dobrym żołnierzem.

Imię i nazwisko Abiego Zieglera - wszystko jedno, czy na Z, czy na S — widniało na każdym lewicowym plakacie na każdej tablicy ogłoszeń w każdym college'u. Abie był oszalałym na punkcie autoreklamy maniakiem seksualnym wzrostu mniej więcej metr trzydzieści, którego jedyną ambicją w życiu było zostać zauważonym. Lewica była dla niego najkrótszą drogą do tego celu. Michaela i ich ludzie sami mogli dowiedzieć się o Abiem wszystkim, ale oni chcieli dowiedzieć się od Pyma. Wielki szpieg chętnie poszedłby na piechotę aż do Manchesteru, by na własne oczy sprawdzić w książce telefonicznej wszystkich Sieglerów i Zieglerów - z takim zapalem zabierał się do konspiracyjnej roboty. To nie zdrada, powtarzał sobie, gdy wykonywał rozkazy różnych Michaelów, to prawdziwe zadanie. Ci zawzięci ludzie obojga płci, noszący szaliki swych college'ów i mówiący dziwnym akcentem, to moi rodacy, którzy planują obalenie siłą naszego ustroju.

To dla Ojczyzny, czy jak ją tam zwał, Pym adresował koperty i uczył się na pamięć adresów, prowadził publiczne zebrania, maszerował w żalonych demonstracjach i ukradkiem notował nazwiska uczestników. To dla Ojczyzny chwycił się każdego zadania, które mogło zaskarbić mu wdzięczność

przełożonych. Dla Ojczyzny, dla miłości albo dla Michaelów wystawał do późna w noc na rogach ulic, rozdając bełkotliwe marksistowskie ulotki ludziom, którzy radzili mu, by poszedł spać. Potem wyrzucał resztę ulotek do rynsztoka, a do partyjnej kasy oddawał własne pieniądze, bo był zbyt dumny, by występować o zwrot kosztów. A jeżeli kiedykolwiek, gdy siedział jeszcze dłużej i tworzył listę przyszłych rewolucjonistów, nawiedzał go duch Axela, jeżeli kiedykolwiek głos Axela jęczał mu w ucho: „Pym, ty sukinsynu, gdzie jesteś?” - całkiem łatwo udawało mu się go wyegzorcyzmować połączeniem logiki Michaelów i własnej: „Nawet gdy byłeś moim przyjacielem, byłeś wrogiem mojej Ojczyzny. Miałeś niewłaściwe poglądy, nie miałeś papierów. Sorry”.

- Po jaką cholerę zadajesz się z tymi czerwonymi? - zapytał go kiedyś sennie Sefton Boyd z głową wtuloną w trawę. Pojechali samochodem na lunch do Gostow i siedzieli teraz na łące nad jazem. - Ktoś mówił mi, że widział cię na zebraniu Grupy Cole'a. I że wygłosiłeś jakąś idiotyczną przemowę o tym, że wojna to szaleństwo. I w ogóle co to za banda, ta Grupa Cole'a? - To klub dyskusyjny, który prowadzi G.D.H. Cole. Dyskutujemy o różnych odmianach socjalizmu. - Pedał? - Z tego, co wiem, to nie. - A nie mógłbyś dyskutować o odmianach czego innego? Widziałem twoje parszywe nazwisko na jakimś plakacie. Sekretarz Klubu Młodych Socjalistów? Chłopie, nie wystarczy ci, żeśmy cię przyjęli do Gridiron? - Bo ja lubię rozważyć punkt widzenia każdej ze stron - powiedział Pym. - A to oni są każdą ze stron? Nie, my jesteśmy jedną, a oni drugą. Cholera jasna, mało im, że zachachmecili połowę Europy? Przecież to banda skończonych sukinsynów, możesz mi wierzyć.

- Ja to robię dla Ojczyzny - powiedział Pym. - To tajemnica.

- Pierdu, pierdu.

- Nie, serio. Co tydzień dostaję instrukcje z Londynu. Jestem w Secret Service.

- Tak samo jak u Grimble'a byłeś w gestapo i jak u Willowa bzykałeś jego żonę, i jak twój tata był emisariuszem Winstona Churchilla?

Nadszedł wreszcie wielokrotnie zapowiadany i wielokrotnie

odkładany dzień, w którym jego aktualny Michael postanowił poznać go ze swoją rodziną.

- Najlepsza na roku! - Michael przestrzegł go na zapas przed własną żoną. - Umysł jak brzytwa, nie ma zmiłuj.

Pani Michaelowa okazała się starzejącą się nimfomanką w spódnicy z rozcięciem i bluzce z wielkim dekoltem na mało apetycznym biuście. Gdy małżonek zamknął się w rupieciarni, gdzie najwyraźniej przemieszkiwał, Pym niezgrabnie miesił ciasto na Yorkshire pudding i jeszcze bardziej niezgrabnie opędał się od jej karesów, przed którymi musiał w końcu schronić się między dziećmi na trawniku. Potem zaczął padać deszcz, więc kazał im pomaszerować do domu, rozstawił je na czatach, a sam bawił się ich zabawkami.

- Magnus, jakie są inicjały twojego ojca? - nieznośnym sprzeciwu tonem zapytała przez drzwi pani Michaelowa. Doskonale pamiętam ten głos; brzmiał tak, jakbym zjadł jej ostatniego dropsa, a nie odmówił pójścia z nią do łóżka.

- R. T. - odpowiedział Pym. Trzymała w dłoni niedzielne wydanie gazety. Musiała przedtem czytać ją w kuchni.

- No bo tu jest napisane, że jakiś R.T. Pym startuje w wyborach w okręgu Gulworth North z ramienia Partii Liberalnej. Piszą, że to znany filantrop i handlarz nieruchomości. Nie może przecież być dwóch Pymów o tych samych imionach, no nie?

Pym wyjął jej z ręki gazetę. - No rzeczywiście - zgodził się, patrząc na Portret Ricka z Rudym Seterem. - Nie może. - Szkoda tylko, że się nie przyznałeś. To znaczy, wiem, że jesteś strasznie bogaty i przyzwyczajony do takich rzeczy, ale dla takich prostych ludzi jak my to bardzo ekscytująca sprawa. Chory ze strachu Pym wrócił do Oksfordu i zmusił się do przeczytania, choćby pobieżnego, ostatnich czterech listów od Ricka, które wrzucił bez otwierania do szuflady biurka, gdzie trzymał też Grimmelshausena od Axela i zaległe rachunki.

Pięćdziesięcioletni Pym drżał pod szlafrokiem z wielbłądziej wełny. Taka gorączka, choć bez temperatury, nachodziła go od czasu do czasu. Nie spał, tylko pisał, chyba bardzo długo sądząc po zaroście. Lekkie z początku drżenie przeszło jak zwykle w regularne dreszcze, skręcające mu mięśnie karku i szarpiące za uda. Zaczął kichać. Pierwsze

kichnięcie było długie i spektakularne, drugie jak wystrzał. Walczą o mnie, pomyślał, dobrzy i źli walczą o mnie wewnątrz mnie. Apsik: Ojcze, w twoje ręce powierzam ducha mojego. Apsik: Panie, przebacz mi bo nie wie, co czyni. Podniósł się, jedną dłoń zacisnął na ustach drugą podkręcił piecyk gazowy. Schował dłonie pod pachy i zaczął krążyć po pokoju jak więzień po celi, uginając kolana przy każdym kroku. Odmierzył dziesięć stóp od rogu dywanu, skręt pod kątem prostym, odmierzył jeszcze osiem. Zatrzymał się i popatrzył na zakreślony w ten sposób prostokąt. Jak Rick to wytrzymał? - pomyślał. Albo Axel? Uniósł ręce jak skrzydła, by porównać wielkość celi z własnym zasięgiem ramion.

- Rany boskie - szepnął głośno. - Ledwo się mieszczę. Podniósł teczkę, której jeszcze nie otwierał, podszedł z nią do ognia i usiadł, wpatrując się w płomienie spod zmarszczonymi brwi, wstrząsany coraz silniejszym dreszczem. Rick powinien umrzeć, przecież go zabiłem. Wyszeptał te słowa na głos, chciał usłyszeć, że je wypowiada:

- Zabiłem cię. Powinieneś być umrzeć.

Wrócił do biurka. Podniósł pióro. Każda napisana linijka to coś, co mam za sobą. Wystarczy raz, potem - śmierć. Pisał szybko. I gdy pisał, znów zaczynał się uśmiechać. Pomyślał, że miłość to coś, co jeszcze można zdradzić. Że bez miłości nie ma zdrady.

Mary też trwała w modlitwie. Klęczała na szkolnym klęczniku z oczyma ukrytymi w nocnym mroku złożonych dłoni i modliła się, by nie była w szkole, tylko w małym romańskim kościółku w Plush na ziemiach rodziny, by po obu jej stronach klęczeli opiekuńczo ojciec i brat, i by proboszcz, były kapelan wojskowy w randze pułkownika, rzucał rozkazy ministrantom i dzwonił kadzidłem jak gongiem w mesie oficerskiej. Albo by okazało się, że klęczy w nocnej koszuli przy łóżku w domu, z wyszcotkowanymi włosami i wypchniętą do tyłu pupą, i modli się, by już nie musiała wracać do internatu. Ale równocześnie wiedziała doskonale, że mogła modlić się, ile chce, a i tak była tam, gdzie była: w angielskim kościele w Wiedniu, do którego chodzę co środa na poranną mszę w tym samym co zwykle towarzystwie awansujących chrześcijanek pod wodzą pani

ambasador brytyjskiej i żony amerykańskiego ministra, z Caroline Lumsden, Bee Lederer i całym tłumem Holenderek, Norweżek i innych Niemek z pobliskiej ambasady RFN. Pod chórem ukryli się Fergus i Georgie, no, tym to pobożna myśl nawet nie przejdzie przez głowę, w in - teracie nie jestem ja, tylko Tom, natomiast wszechwiedzący i wszechmogący a niewidzialny jest nie Bóg, tylko Magnus, i to on trzyma w rękę nasz los. Więc, Magnus, ty sukinsynu, jeżeli została w tobie choć odrobina przyzwoitości, bądź tak miły i nachyl się do mnie z firmamentu, i powiedz mi w swej nieskończonej dobroci i mądrości - i choć raz nie kłam, nie uchylaj się od odpowiedzi, nie upiększaj - co, do jasnej cholery, mam zrobić z tym twoim kochanym kolegą z boiska na Korfu, który siedzi i też się nie modli w ławce w tym samym rządzie, ale po drugiej stronie nawy. Jest szczupły, przygarbiony, ma szpakowate wąsy i wąskie ramiona. Wygląda dokładnie tak, jak go opisał Tom, ma nawet te cienkie zmarszczki wokół oczu i narzucony jak peleryna szary płaszcz przeciwdeszczowy. Nie pierwszy to ani nie drugi raz, że zstępuje tu pośród nas twój szary anioł. Co najmniej trzeci od dwóch dni; za każdym razem jest o krok bliżej, więc jeśli szybko nie wrócisz i nie powiesz mi, co mam robić, bardzo możliwe, że zastaniesz nas razem w łóżku, bo w końcu sam tłumaczyłeś mi jeszcze w Berlinie, że nic tak nie leczy stresu i nie likwiduje barier społecznych jak odrobina seksu.

Giles Marriot, angielski kapelan, poprosił wszystkich ludzi czystego serca i pokornego umysłu, by jednoczyli się w wierze. Mary wstała, rozprostowała spódnicę i wyszła z ławki do nawy. Tuż przed nią szli Caroline Lumsden z mężem, ale etyka kultu wymagała, by przywitali się dopiero po przyklęnięciu przed Najświętszym Sakramentem. Georgie i Fergus nie ruszali się ze swego miejsca pod chórem, zbyt uczciwi, by poświęcać swój agnostycyzm dla zachowania anonimowości. Mary pomyślała, że pewnie tak naprawdę po prostu nie wiedzą, jak się zachować. Przycisnęła dłonie do podbródka i znów pogrążyła się w modlitwie. Boże, Magnus, Jack, powiedzcie mi, co mam teraz zrobić. Stoi o mały krok za mną, czuję stary zapach cygar, Tom też o tym mówił. Przypomniał sobie przed samym odlotem:

„Palił małe cygara, mamó, zupełnie jak tata, kiedy rzucał palenie”. A teraz kuśtyka za nią w stronę ołtarza. Za Mary ruszyło kilkanaście osób, między innymi pani ambasador, jej pryszczata córka i stadko Amerykanek. Ale kaleka to kaleka, więc dobrzy chrześcijanie z uśmiechem puszczają go przodem - i w ten sposób uprzywilejowany biedaczek znalazł się tuż za jej plecami. Za każdym razem, gdy kolejka do komunii posuwa się o krok, on kuśtyka za mną jakoś tak poufale, jakby klepał mnie po tyłku. W życiu nie widziała, by ktoś kulał tak bezczelnie, tak znacząco, tak porozumiewawczo. Czują na plecach jego palący, wesoły wzrok. Czują że pali ją kark, że rumieni się, a tu zaraz ma przyjąć Ciało Chrystusa. Jenny Forbes, żona szefa kancelarii ambasady, przyklękła przed balaskami, nim wróciła na miejsce, i słusznie, bo przecież ma romans z tym nowym młodym sekretarzem. Mary z ulgą postąpiła krok do przodu i uklękła tam, gdzie przedtem klęczała Jenny. Odczep się, stary dziadu, nie zbliżaj się do mnie. Dziad nie zbliżył się, przyklękął po drugiej stronie ołtarza, ale wtedy wyszeptane przez niego chwilę wcześniej słowa ryczały już w jej głowie jak syrena alarmowa: „Mogę pomóc ci go znaleźć. Dam ci znać”.

Sto pytań naraz, istny chór. Jak da jej znać? Do domu? Żeby poinstruować ją, jak ma zdradzić? Wyjaśnić jej, dlaczego wczoraj, gdy wychodziła z zebrania kółka żon, nie wyciągnęła ku niemu oskarżycielskiej dłoni, nie wrzasnęła: „Aresztujcie tego człowieka!” do Georgie i Fergususa, którzy przecież czekali w samochodzie kilka kroków od bramy, w której się ukazał - i to tak bezczelnie, bez kaptura, bez maski? I drugi raz, gdy minął ją w supermarkecie?

Giles Marriot patrzył na nią ze zdziwieniem, po raz kolejny usiłując podać jej Ciało Chrystusa. Mary pospiesznie złożyła ręce, tak jak uczono ją od dzieciństwa: lewa dłoń na prawej w kształcie krzyża. Pastor położył jej opłatek na dłoniach. Uniósł go do ust, poczuła, że przykleja się jej do suchego języka, Nie, nie jestem godna, pomyślała, czekając na kielich. Święta prawda. Nie jestem godna, abyś Ty, ani ktokolwiek inny, przyszedł do mnie. Każda chwila, w której go nie wydam, to kolejny grzech zdrady. Kusi mnie, a ja przychyliam ucha jego podszeptom. Ciągnie mnie do siebie, a ja mówię: proszę

bardzo. Mówię: „Przyjdę do ciebie, zrobię to dla Magnusa i dla dziecka”. Mówię: „Przyjdę do ciebie, jeśli jesteś jasnością, nawet jeśli jesteś jasnością złą. Bo ja szukam światła, każdego światła, bo niedługo oszaleję od ciemności. Przyjdę do ciebie, bo jesteś drugą połową Magnusa, a więc i drugą połową mnie”.

Wracając do ławki, napotkała wzrok Bee Lederer. Wymieniły pobożne uśmiechy.

Rozdział 11

Nie było drugich takich wyborów uzupełniających, Tom, ani w ogóle żadnych wyborów. Rodzimy się, żenimy, rozwodzimy, umieramy - ale gdzieś po drodze, jeżeli mamy szczęście, możemy zostać kandydatem z ramienia Partii Liberalnej w starym rybacko - tkackim okręgu Gulworth North, znajdującym się hen daleko, wśród bagien Anglii Wschodniej w mrocznych latach tuż po wojnie, gdy telewizja nie zastąpiła jeszcze całkiem kościoła, a przekaz informacji był taki, że człowiek mógł całkowicie się odmienić, przenosząc się o te dwieście kilometrów na północny wschód od Londynu. A jeżeli nam się akurat nie poszczęści i sami nie kandydujemy, to przynajmniej można rzucić wszystko, od kryptokomunizmu po niezaspokojony popęd płciowy, i zapomniawszy o późnych Minnesanger, stanąć u boku ojca w Godzinie jego Największej Próby, i dla niego trząść się z zimna, odwiedzając wyborców w domach, i wdzięczyc się do staruszek zgodnie z instrukcjami, i obiecywać im wszystko co zechcą, i głosić na cały świat, jaki morowy jest twój stary i że już niczego nikomu nie zabraknie, i przysięgać z całego serca, że zaraz po zakończeniu wyborów poświęcimy całe nasze życie dla dobra mas pracujących, bo sami z nich wyszliśmy i zawsze tam było nasze serce, o czym świadczy nasze tajne zaangażowanie po stronie robotników w tak ważnych dla każdego latach studiów.

W Gulworth North był sam środek zimy, gdy pojawił się tam Pym, i środek zimy jest tam do dziś, bo już nigdy nie odważyłem się pojechać tam jeszcze raz. Śnieg nadal pokrywa bagna i moczary, aż donkiszotowskie wiatraki zamarzają na flamandzko popielatym tle nieba. Te same najeżone wieżyczkami

miasteczka wciąż wiszą nad widnokrzem morza, breughlowskie twarze naszego elektoratu są nadal tak zaróżowione z zapachu, jak były trzydzieści lat temu. Sztab naszego kandydata, wieziony przez pana Cudlove'a, liberała z krwi i kości, wciąż niesie dobrą nowinę od kredowego kurzu klas szkolnych po ogrzewane piecykami na parafinę salki parafialne, co rusz wpadając w poślizg na oblodzonych wiejskich drogach i przeklinając je na czym świat stoi. Sam kandydat w zamyśleniu ordynuje sobie kolejną szklaneczkę czegoś mocniejszego, a Sylvia i pan major Maxwell Cavendish kłócą się półgłosem nad mapą okolicy. Kampanię wspominam jako objazdowy teatrzyk politycznego absurdu. Ostatni i Najważniejszy Występ Kandydata, występ, na który brnęliśmy przez śniegi i błota całego okręgu, miał odbyć się w majestatycznym ratuszu w Gulworth, wynajętym wbrew powszechnemu mniemaniu, że nigdy nie uda nam się zapełnić całej widowni - a właśnie że się udało. I tu nagle skończyła się komedia. Maski i kaduceusze z hukiem spadły na scenę, gdy Bóg jednym prostym pytaniem wystawił nam rachunek za całą zabawę.

Fakty, Tom, dowody?

Proszę bardzo. Oto żółta jedwabna rozetka Ricka, którą wpiął sobie w klapę na ten wielki występ, wykonana przez tego samego nieszczęsnego krawca, który szył mu kostiumy dla dżokejów. Oto rozkładówka z "Gulworth Mercury" z następnego dnia. Sam sobie przeczytasz. „Kandydat broni swego honoru. "Niech osądzi mnie Gulworth North"”. Widzisz na zdjęciu scenę, sterczące w górę rury organów, kręte schody? Brakuje tylko Makepeace'a Watermastera. Widzisz swego dziadka, Tom, jak, stojąc w samym środku sceny, peroruje wprost w oślepiające reflektory, i twojego ojca z zaczesaną w bok grzywką, który nieśmiało wygląda zza jego pleców? Słyszysz wóz ognisty, który zaraz zabierze stąd tego najuczciwszego z uczciwych człowieka? Pym zna na pamięć każde słowo z przemówienia Ricka, każdy teatralny gest i ton. Rick przedstawia się jako solidny biznesmen, gotowy do poświęcenia „całego życia, dopóki żyję i tak długo, jak uznacie w swej mądrości, że mnie potrzebujecie w służbie swym wyborcom: za pięć sekund uczyni wymach lewego przedramienia na znak, że zetnie głowy

wszystkim Niewiernym. Jak zawsze: palce razem, lekko zakrzywione. Mówi nam, że jest pokornym chrześcijaninem, ojcem i uczciwym kupcem, i że wyzwoli Gulworth North od obu toczących je herezji, czyli od konserwatyizmu i socjalizmu, choć czasem myli jedno z drugim w neofickim zapale. Nienawidzi też przesady, o, przesady to chyba najbardziej. A teraz dobra nowina, dobra, bo słyszysz przecież w jego głosie gorące przekonanie: gdy Rick zostanie członkiem parlamentu z okręgu Gulworth North, miasto przeżyje renesans taki, że najstarsi ludzie nie pamiętają podobnego. Sprzedaż śledzia, główne zmartwienie tutejszych rybaków zmartwychwstanie. Upadający przemysł włókienniczy znów zamieni całą okolicę w kraj mlekiem i miodem płynący. Rolnicy wyzwolą się spod tyranii socjalistycznych urzędasów i zadziwią świat. Podupadłe linie kolejowe i zarośnięte zielskiem kanał przypomną sobie najpiękniejsze lata rewolucji przemysłowej. Ulicami popłynie strumień złota, ludziom starszym zabezpieczy się ich oszczędności przed konfiskatą ze strony państwa, a wszyscy mężczyźni zostaną uwolnieni od hańby poboru. Podatek liniowy i inne wymienione w manifeście liberalnym niegodziwości zostaną raz na zawsze obalone i spoczną na śmietniku historii. Bo Rick przeczytał manifest tylko częściowo, za to wierzy weń całym sercem.

Na razie idzie nieźle, ale dziś, jak się rzekło, występ to nasz ostatni, więc Rick przygotował coś ekstra. Odważnie odwraca się plecami do zebranych i zaczyna przemawiać do swych wiernych zwolenników, do swego sztabu wyborczego - zaraz będzie nam dziękował. Patrz.

- Najpierw moja kochana Sylvia, bez której niczego bym nie osiągnął. Dziękuję, Sylvio, dziękuję! Wielkie brawa dla Sylvii, mojej królowej!

Widownia entuzjastycznie oklaskuje Sylwię, Sylvia obdarza wszystkich uśmiechem, po to tu jest. Pym myśli, że teraz jego kolej, ale nie, błękitne spojrzenie Ricka ma dziś w sobie stalowy błysk, dziś mówi jeszcze głośniejsze i jeszcze bardziej przekonująco, Zdania krótsze, ale wypowiedane dobitniej. Teraz dziękuję prezesowi miejscowego oddziału Partii Liberalnej i jego bardzo, bardzo pięknej małżonce, „Marjory, kochanie, gdzie

jesteś, nie wstydz się!". Dziękuję naszemu nędznemu agentowi, niedowiarkowi imieniem Donald, który od chwili przybycia dworu w te strony zwiesił nos na kwintę i dopiero teraz się rozruszał. Dziękuję naszej pani od transportu, o której pan Muspole twierdzi, że posiadał ją w pokoju bilardowym, i pannie Iksińskiej, bo to dzięki niej Wasz Kandydat nie spóźnił się ani razu (śmiech), choć Morrie Washington klnie się na wszystko, że niebezpiecznie siadać z nią na tylnym siedzeniu. Przechodzi do „tych wszystkich innych dzielnych i wiernych moich pomocników": Morrie i Syd gapią się spode łba z ostatniego rzędu jak dwaj ułaskawieni mordercy, pan Muspole i major Maxwell Cavendish wołają przybrać marsowy wyraz twarzy. Wszystko to masz na zdjęciu, Tom, sam zobacz. Obok Morrieego rozwalił się na krześle podpity komik radiowy, którego podupadającą reputację udało się Rickowi wynająć na czas swej kampanii wyborczej, podobnie jak wynajął krykieistów, którzy najlepsze lata mają już za sobą, dobrze urodzonych właścicieli sieci hotelowych i innych tak zwanych luminarzy Partii Liberalnej, których prowadził od miasteczka do miasteczka jak wystawionych na pokaz więźniów i których jak najszybciej odsyłał do Londynu, gdy zrobili swoje.

A teraz jeszcze raz popatrz na Magnusa siedzącego po prawicy ojca. Rick zostawił go sobie na koniec. Każde słowo, które wykrzykuje pod jego adresem, to skrywany wyrzut sumienia.

- On sam wam tego nie powie, bo jest za skromny. Ale ja powiem. Mój syn, ten, który tu siedzi, to jeden z najzdolniejszych studentów prawa w całym kraju. I to nie tylko w tym, bo mógłby powiedzieć to moje przemówienie nie w jednym, ale w pięciu językach, daleko lepiej, niż potrafię ja. - Śmiech, okrzyki: „Nie, nie!". - Ale on wołał zedrzeć sobie nogi do kolan w tej kampanii, bo tak poświęcił się dla starego. Magnus, morowy z ciebie chłop, twój stary nie ma lepszego kumpla niż ty. Brawa!

Ale ogłuszająca owacja w niczym nie umniejsza cierpień Pyma. Pym wie, że jest Pymem, i w swej samotności słucha dalszego ciągu mowy Ricka, i serce bije mu z trwogi. Bo oto frazes za frazesem tylko przybliży wybuch, który na zawsze zniszczy kandydata i jego stek bezczelnych kłamstw. Który

zniszczy ogniowóz i złoty zaprzęg na nocnym niebie. Który rozbije w proch gwiazdy, oświetlające wielki finał Ricka.

- Ludzie będą wam mówili - woła Rick tonem wielkiej pokory - tak jak mówili do mnie, gdy zaczepiali mnie na ulicy, łapiąc za ramię: „Rick”, mówili, „przecież ten twój liberalizm to tylko idee. Ale ideami nie napełnimy sobie brzucha”. Mówili: „Rick stary, za idee nie kupimy sobie herbaty ani kotleta z naszej najlepszej, bo angielskiej baraniny. Ani nie damy ich na tacę w kościele. Ideami nie zapłacimy za edukację naszych dzieci, za san idee nie da się ich wykształcić na sędziów Sądu Najwyższego. Na co to komu, Rick, w dzisiejszym świecie”, tak mi mówili, „partia która wierzy w idee?”.

Zawiesza głos. Dłoń mówcy, dotąd tak ruchliwa, opada teraz w dół, by pogłaskać główkę niewidzialnego dziecka.

- A ja im mówię tak, jak mówię wam, dobrzy ludzie z Gurlworth! - Ta sama dłoń wylatuje w górę, ku niebu, aż w przerażonej duszy Pyma ukazuje się duch Makepeace'a Watermastera i wypełnia powoli cały ratusz. - A mówię tak: Ideały są jak gwiazdy. Nie sięgniemy ich, ale korzystamy na tym, że są!

Rick nigdy nie mówił lepiej, piękniej, uczciwiej. Oklaski wznoszą się jak wzburzone morze, wierni wstają z miejsc. Pym też wstaje i najgłośniej bije dłonią w dłoń. Rick płacze. Pym za chwilę zemdleje. Dobrzy ludzie mają swego mesjasza, liberałowie z Gulworth North za długo byli jak owce bez pasterza, od wojny nie było tu kandydata liberalnego. Stojący u boku Ricka prezes oddziału bije brawo swymi wielkimi łapskami i entuzjastycznie buczy w ucho Ricka. Za Rickiem cały dwór idzie w ślady Pyma, stoją, klaszczą, ryczą „Rick - Gulworth - Rick - Gulworth”. Rick przypomina sobie o nich, znów zwraca się ku nim, wskazuje ich wiernemu ludowi, mówiąc: „Im to zawdzięczacie, nie mnie”. Ale jego niebieski wzrok jeszcze raz pada na Pyma, mówiąc: „Judaszu, ojciec, morderca najlepszego przyjaciela”.

A może Pymowi tylko tak się zdaje?

Bo właśnie w tej chwili, dokładnie wtedy, gdy wszyscy stoją, uśmiechają się promiennie i biją brawo, wybucha podłożona przez Pyma bomba: Rick, odwrócony plecami do nieprzyjaciela,

wpatrzony w twarz Pyma i swych ukochanych zwolenników, już prawie otwiera usta, by zaintonować podniosłą pieśń. Może nie jego ulubione Tango milonga, bo to zbyt świeckie, ale Naprzód, żołnierze Chrystusa będzie w sam raz. Aż tu nagle wrzawa cichnie i zamiera u naszych stóp. Zapada mroźne milczenie, zupełnie jakby ktoś otworzył na oścież drzwi ratusza przed aniołami zemsty z przeszłości.

Bo oto ktoś nieodpowiedzialny przemówił spod galeryjki, na której siedzą dziennikarze. Z początku fatalna akustyka sali sprawia, że słycać tylko kilka kłótliwych dźwięków, ale one już wdzierają się dysonansem w dotychczasową symfonię sceny I widowni. Ten ktoś, kto przemówił, próbuje jeszcze raz. Nie jest to zresztą żadna znana osobistość, tylko jakaś cholerna baba; ma wysoki, piskliwy wręcz głosik, na który mężczyźni instynktownie reagują niechęcią, i silny irlandzki akcent. Męskie głosy zaczynają wołać: "Cicho, babo!", potem "A cicho tam!", i wreszcie „Zamknij się, kurwo!". Pym rozpoznaje wzmocniony portwajnem głos majora Blenkinsopa, zwolennika leseferyzmu, faszysty populisty, podpory prawego skrzydła naszej wielkiej partii, za które tak często przychodzi nam się wstydzić. Ale głos z irlandzkim akcentem mówi dalej, skrzypi jak drzwi, których nie da się skutecznie naoliwić. Pewnie jakaś wariatka z Sinn Fein. O, dobrze, ktoś ją wyprowadza. To pan major - widać jego łysinę i żółtą rozetkę. Teraz zwraca się do niej per „szanowna pani" i stanowczo ciągnie ją ku wyjściu. Ale tu wkracza niestety wolna prasa: pismaki wychylają się z galeryjki i wołają: „Jak się pani nazywa?", i nawet: „Proszę od początku!". Major Blenkinsop nagle przestaje być dżentelmenem i oficerem, zmienia się w arystokratycznego brutala, który nie może sobie poradzić z wrzaskliwą Irlandką. Kobiety krzyczą:

„Puścić ją!" i „Ręce przy sobie, chamie!". Pojedynczy głos dodaje: „Zasrany faszysta!".

I nagle słycać ją i widać bardzo wyraźnie. Jest mała, ale zajadła, ubrana na czarno, pewnie wdowa. Ma na głowie toczelek spod którego zwisa czarna woalka, naderwana przez nią samą lub przez kogoś innego. Teraz w tłumie, jak to w tłumie, wszyscy chcą usłyszeć, co ma do powiedzenia. Zaczyna pytanie trzeci raz. Wyraz jej twarzy przypomina uśmiech, ale Pym wie, że to

nie uśmiech, tylko grymas niepoohamowanej nienawiści. Wypowiada słowo po słowie dokładnie tak, jak sobie ułożyła. Mówi jasno i wrogo.

- Chciałam się zapytać, czy to prawda, i bardzo proszę o odpowiedź, że kandydat z ramienia Partii Liberalnej z okręgu Gulworth North odbył karę więzienia za oszustwo i wyłudzenie. Bardzo dziękuję państwu za uwagę. I wpatrzona w Pyma twarz Ricka, gdy ten nóż wbija mu się w plecy. Niebieskie oczy Ricka, które jeszcze szerzej otwierają się od uderzenia, ale nadal utkwione są w Pymie - dokładnie tak jak pięć dni temu, gdy leżał w chłodni ze złożonymi dłońmi i otwartymi oczyma, które mówiły: „Nie wystarczy mnie zabić synu”.

Cofnijmy się o dziesięć dni, Tom. Podekscytowany Pym przyjechał z Oksfordu w świetnym humorze, z silnym postanowieniem, by zabawić się w obrońcę ojczyzny i wesprzeć demokrację - a przy okazji nieźle się zabawić. Kampania wyborcza idzie pełną parą, czego nie można powiedzieć o pociągach do Gulworth, które zimą umierają ze zmęczenia w Norwich. Jest weekend, a Bóg postanowił przecieź, że wybory uzupełniające odbywają się w Anglii w czwartki - nawet jeżeli teraz Bóg już nie pamięta, czemu akurat w czwartki. Jest wieczór, kandydat i sztab wyborczy bawią się na całego. Gdy Pym wysiada na imponującym dworcu kolejowym w Norwich, czeka jednak na niego wierny Syd Lemon. Bierze torbę Pyma i prowadzi go do ustrojonego w barwy kampanii i Pymowe herby samochodu, którymi dojadą na główne spotkanie wieczoru, zapowiedziane na dziesiątą w małej wioseczce Little Chedworth on the Water, gdzie, jak twierdzi Syd, ostatniego misjonarza zjedzono na podwieczorek w zeszły piątek. Okna samochodu zaklejone są szczelnie plakatami z napisem „Pym człowiek ludu”. Na bagażniku widnieje naklejony wielki wizerunek głowy Ricka, tej samej, którą, jak teraz wiem, sprzedał nauce angielskiej. Na dachu auta stoi przywiązany drutem megafon wielkości działa okrętowego. Księżyc w pełni, śnieg na polach, istny raj.

- To jedźmy do tego St. Moritz - mówi Pym. Syd częstuje go zapiekanką Meg, śmieje się i tarmosi go za włosy. Syd nie jest zbyt uważnym kierowcą, droga jest pusta, a śnieg - łaskawy.

Wziął ze sobą butelkę po oranżadzie, ale napełnioną whisky. Popijają teraz z niej tęgo, jadąc krętą dróżką wśród przykrytych śniegiem żywopłotów. Syd składa Pymowi raport z sytuacji na froncie.

- Jesteśmy za wolnością religijną, za uwłaszczeniem lokatorów i za ograniczaniem biurokracji.

- No pewnie, od zawsze - dopowiada Pym, a Syd patrzy na niego spod oka, czy przypadkiem nie żartuje sobie z niego.

- Bardzo surowo oceniamy knowania akcyjnych konserwatystów...

- Reakcyjnych - poprawia Pym i znów pociąga łyceczek z butelki po oranżadzie.

- Nasz kandydat szczyli się swym patriotyzmem i działalnością kościelną. Jest angielskim biznesmenem, który walczył za ojczyznę. A liberalizm to jedyna właściwa droga dla Wielkiej Brytanii. Nasz kandydat wychował się na uniwersytecie świata i w życiu nie wziął do ust niczego mocniejszego. I ty też nie, pamiętaj. - Wyrwał Pymowi butelkę z ręki i pociągnął łyk godny prawdziwego abstynenta.

- Wygramy? - zapytał Pym.

- Słuchaj. Gdy przyjechało się tu z gotówką w dniu, w którym twój tata ogłosił swoją kandydaturę, dawali za niego pięćdziesiąt do jednego. Kiedy pojawiłem się tu razem z lordem Muspolem, spadło do dwudziestu pięciu, ale i tak obstawiliśmy. Potem tata zaczął jeździć po okolicy i nawet dziesięciu nikt nie dawał. Teraz płacą dziewięć do dwóch, więc mogę się założyć, że w dzień wyborów będzie jeden na jeden. A ty mnie pytasz, czy wygramy.

- Jest duża konkurencja?

- Jaka tam konkurencja! Z Partii Pracy jest jakiś nauczyciel Szkot z Glasgow. Mały, z rudą brodą. Parę dni temu stary Muspole posłał na jego zebranie paru chłopaków, żeby podgrzać atmosferę. Przebrał ich w szkockie spódniczki, dał każdemu po kołatce i kazał awanturować się na ulicy do rana. A w Gulwort nie lubią awantur, więc bardzo się nie spodobało, że kolesie kandydata laburzystów śpiewali szkockie piosenki na schodach kościoła o trzeciej nad ranem.

Samochód z wdziękiem wpada w poślizg przed kolejnym wiatrakiem. Syd wychodzi z poślizgu, jadą dalej.

- A konserwatysta?

- Konserwatysta jest dokładnie taki, jaki powinien być konserwatysta. Ziemianin, dorobił się w koloniach, raz na tydzień męczy się w City, poluje z psami, rozdaje tubylcom paciorki i chce wprowadzić łamanie kołem dla młodocianych. Jego żona otwiera każdy festyn, bo umie przeciąć wstęgę zębami. - A jakie mamy zaplecze? - pyta Pym, przypominając sobie wykłady z socjologii.

- Bogobojni stoją za nami murem, to samo masoni i stare ciecie. Abstynenci jedzą nam z ręki, przeciwnicy hazardu też, no chyba że dowiedzą się o „niezwycięzcach”. Czyli, rozumiesz o tym ani mru - mru. Chwilowo poszły na zieloną trawkę. Reszta to bułka z masłem. Nasz poprzednik był czerwony, ale mu się zmarło. W ostatnich wyborach wygrał z konserwatystą o pięć tysięcy głosów, a wiesz już, jaki on jest, ten konserwatysta. Głosowało trzydzieści pięć tysięcy ludzi, ale od tego czasu prawo do głosu zyskało pięć tysięcy młodocianych przestępców, a dwa tysiące starych pierników przeniosło się na tamten świat. Chłopi są chamscy, rybacy nie mają ani pensa, a dobrze urodzeni mają sieczkę w głowie.

Syd włącza lampkę w samochodzie, zdaje pojazd na łaskę losu, sięga do tyłu i wyciąga imponującą żółto - czarną broszurkę ze zdjęciem Ricka na okładce. Otoczony przez gromadkę oczarowanych nim cudzych spanieli, czyta książkę przy cudzym kominku, chyba pierwszy raz w życiu. Tytuł głosi: „List do Wyborców z Gullworth North”. Papier, jakby na zaprzeczenie surowej treści, jest bardzo błyszczący.

- Popiera nas też duch Jaśnie Wielmożnego Pana Waterkloseta, kawalera Krzyża Wiktorii - dodaje z głęboką satysfakcją Syd. - Spójrz na ostatnią stronę.

Pym spojrział. Zobaczył ramkę przypominającą szwajcarskie klepsydry.

OSTATNIE SŁOWO

Wasz Kandydat jest dumny, że czerpie natchnienie ze swej długoletniej Przyjaźni i Współpracy z sir Makepeace'em Watermasterem, Członkiem Parlamentu, Liberałem Światowej Sławy i Chrześcijańskim Pracodawcą, którego surowa, lecz Sprawiedliwa dłoń bezpiecznie prowadziła Waszego Kandydata

po przedwczesnej Śmierci Ojca wśród Niebezpieczeństw młodości do jego obecnej, Pewnej pozycji w świecie wśród największych Osobistości naszego Kraju.

Sir Makepeace pochodził z bogobojnej Rodziny, był Abstynentem i niezrównanym Mówcą. Można powiedzieć, że bez jego pomocy zza Grobu Wasz Kandydat nigdy nie ośmieliłby stanąć przed Osądem Was, wyborców z Gulworth North, gdzie już teraz czuję się jak u siebie; w wypadku wyboru mnie na to Zaszczytne Stanowisko zamierzam jak najszybciej zakupić tu Dużą posiadłość. Wasz Kandydat chce Poświęcić się Waszym Sprawom z tą samą Pokorą, z jaką wypełniał swe Szlachetne Powołanie sir Makepeace, który do końca życia nie przestawał głosić Moralnego Prawa do Własności Prywatnej, Wolnego Handlu i Ograniczenia Rozpasania wśród Kobiet.

Wasz przyszły Pokorny Sługa Richard T. Pym

- No, ty jesteś uczony. Co o tym myślisz? - pytał Syd i widać, że zależy mu na opinii Pyma.

- Doskonale.

- No pewnie, że doskonale - mówi Syd.

Pojawia się wieś, biegnie ku nim iglica kościelnej wieży. Na głównej ulicy żółty transparent ogłasza, że dziś przemówi Nam Kandydat Liberalny. Na parkingu stoi markotnie kilka land roverów i austinów siedem, już przysypanych śniegiem. Sid pociąga po raz ostatni z butelki po oranżadzie i starannie poprawia sobie przedziałek przed lusterkiem wstecznym. Pym zauważa teraz, że Syd jest ubrany bardzo dostojnie. Mroźne powietrze pachnie krowim łajnem i morzem. Wsiadają z samochodu i stają przed fasadą archaicznego Domu Wstrzemięźliwości Little Chedworth on the Water. Syd częstuje Pyma miętówką. Wchodzą do środka.

Miejscowy działacz mówi już od jakiegoś czasu, ale tylko do pierwszego rzędu i do naszych, siedzących za jego plecami. Reszta zgromadzonych albo przygląda się sufitowi, albo prospektowi Kandydata Zwykłego Człowieka: Rick przy napoleońskim biurku na tle idealnie równych rzędów książek prawniczych. Rick w fabryce (po raz pierwszy i ostatni w życiu) popija herbatkę z klasą robotniczą, Rick w pozie Francisa Drake'a, spoglądający na morze tak, jakby chciał dojrzeć

wyłaniające się z mgły resztki rybackiej armady Gulworth, Rick, farmer z fajką w zębach inteligentnie przyglądający się krowie. Po jednej stronie miejscowego działacza, pod żółtą - oczywiście - girlandą siedzi miejscowa działaczka; po drugiej stoi rząd pustych krzeseł, czekający na kandydata i jego sztab. Od czasu do czasu dobiegają Pyma urywki mozolnego przemówienia działacza: Nieszczęsny Pobór, Przekleństwo Monopoli, czy jeszcze gorsze, przepraszające „jak już mówiłem przed chwilą”. Dwukrotnie, gdy z dziewiątej zrobiło się wpół do dziesiątej, a z wpół do dziesiątej dziesiąta dziesięć, z przedsionka wyłania się stary szekspirowski posłaniec. Trzyma się za ucho i powiadamia nas drżącym głosem, że kandydat już jedzie, że miał dziś mnóstwo spotkań, że śnieg... I gdy już prawie straciliśmy nadzieję, pojawia się pan Muspole w towarzystwie majora Maxwella Cavendisha, obaj odstawieni, aż miło. Dwaj panowie maszerują środkiem sali wprost na podwyższenie i gdy pan Muspole wita się z działaczem i działaczką, major wyciąga z teczki plik kartek i kładzie je na stole. I choć do końca kampanii Pym miał okazję być świadkiem co najmniej dwudziestu jeden przemówień Ricka, nie licząc ostatniego, wielkiego występu w ratuszu, ani razu nie zauważył, by Rick kiedykolwiek korzystał z notatek - by je kiedykolwiek w ogóle zauważył. Pym powoli doszedł do wniosku, że był to tylko kolejny element wielkiej gry.

- A cóż ten Maxie zrobił z wąsami? - podekscytowany Pym szepcze do Syda, który wzdryga się i budzi z krótkiej drzemki. - Zastawił je, czy co?

Jeżeli Pym oczekiwał jakiegoś żartu w odpowiedzi, to się przeliczył.

- Uznano, że wąsy byłyby nie na miejscu, ot co - odpowiada sucho Syd i w tej samej chwili w jego oczach można wyczytać już tylko wielką, bezinteresowną miłość, bo oto w drzwiach pojawia się Rick.

Kolejność pojawiania się sztabu i przydział ról były zawsze takie same. Po wejściu Muspole'a i majora przychodzi czas na Perce'a Lofta i biednego Morriego Washingtona, któremu znowu dokucza wątroba. Perce pierwszy; przytrzymuje otwarte drzwi, Morrie wchodzi za nim i czasem, tak jak i tego wieczoru, dostaje przez pomyłkę małą owację, ponieważ zostaje wzięty za

Ricka. Zresztą całkiem słusznie, bo Morrie, choć wzrostem nie sięga Rickowi nawet do pępka, trawi większość czasu i pieniędzy na całkowite upodobnienie się do swego idola: gdy Rick kupuje nowy płaszcz z wielbłądziej wełny, Morrie natychmiast rujnuje się na dwa. Jeżeli Rick kupuje buty w dwóch odcieniach, Morrie leż, to samo z białymi skarpetkami. Ale dziś Morrie ubrany jest jak cała reszta dworu, czyli w kościelne szarości. Z miłości do Ricka udało mu się nawet okiełznać nieco swój alkoholiczny wygląd. Morrie wchodzi więc do środka, zajmuje miejsce po drugiej stronie drzwi, naprzeciw Perce'a, i poprawia rozetkę, jakby chciał sprawdzić, czy działa. Po czym obaj, Morrie i Perce, wyciągają szyję tura, skąd przyszli, wyrażając wzrok, by uchwycić pierwsze spojrzenie swego mistrza. O, patrzcie - zaczynają bić brawo! O, patrzcie, my też! Wchodzi Rick. Szybkim krokiem w końcu my, mężowie stanu, nie mamy ani chwili do stracenia. Jeszcze w przejściu między rzędami krzesel Rick gawędzi z kimś ważnym. Czy to przypadkiem nie sir Laurence Olivier? A może Bud Flanagan, też przecież sławny aktor? Szybko okazuje się że ani jeden, ani drugi, tylko wielki Bertie Tregenza, człowiek ptak z audycji radiowych, liberal starej daty. Tymczasem na podwyższeniu Muspole i major przedstawiają pozostałych członków sztabu wyborczego miejscowemu działaczowi i sadzają ich na krzesłach. I wreszcie nadchodzi ta wielka chwila, gdy stoi już tylko jedna osoba, ten z otaczających go fotografii. Syd pochyla się do przodu, jakby zamierzał słuchać oczyma. Nasz kandydat zaczyna przemówienie.

Żadnych fajerwerków na wstępie. Dobry wieczór, dziękuję za liczne przybycie, i to w taki czas! Bardzo przepraszam, że musieli państwo czekać. Tu żarcik na użytek starych cioci: podobno mamie też kazałem na siebie czekać aż tydzień. Stare ciocie śmieją się. Punkt dla kandydata. Ale jedno mogę wam obiecać ludzom z okręgu Gulworth North: nikt tu nie będzie musiał czekać na nowego członka parlamentu! Znowu śmiech, co wierniej - si już nawet biją brawo. Ale kandydat uderza teraz w poważniejszy ton. - Drodzy państwo! Przyszliście tu dziś, w ten mroźny wieczór, tylko z jednego powodu. Dlatego że zależy wam na waszym kraju. No a mnie też na nim zależy. Zależy mi,

żeby dobrze w nim się działo. A zależy mi, bo polityka dotyczy bezpośrednio ludzi. Ludzi, którzy mają serca, by wiedzieć, czego chcieć. Ludzi, którzy mają umysły, by wiedzieć, jak to robić. Ludzi, którzy dzięki swej wierze i odwadze dali radę Adolfowi Hitlerowi. Ludzi takich jak my, tutaj zebrani. Bo to my, co tu kryć, jesteśmy solą ziemi. Anglicy, dzielni, solidni Anglicy, którzy troszczą się o swój kraj i szukają tylko właściwego człowieka, by ich poprowadził.

Pym rozgląda się po małej salce. Wszystkie twarze zwracają się ku Rickowi jak słoneczniki do słońca. Poza jedną: drobna kobiecinka w toczku z woalką siedzi jak swój własny cień, z boku, całkiem sama. Woalka zakrywa jej twarz. Jest w żałobie, myśli Pym i natychmiast jest pełen współczucia. Biedaczka przyszła tu pewnie dla towarzystwa. Tymczasem Rick tłumaczy z podwyższenia, na czym polega istota liberalizmu - to dla tych, którzy nie wiedzą, na czym polega różnica między trzema głównymi partiami. Otóż liberalizm to nie jakiś tam dogmat, tylko sposób na życie. To wiara w dobro człowieka, niezależnie od koloru skóry, rasy czy wyznania, bo przecież wszyscy jesteśmy sobie równi. Załatwiwszy w ten sposób bardziej wysublimowane kwestie polityczne, przechodzi do właściwego tematu przemówienia, czyli do siebie. Mówi o swym skromnym pochodzeniu i o łzach wzruszenia matki na wieść, że postanowił iść w ślady wielkiego sir Makepeace'a. Gdyby tylko mój ojciec mógł mnie widzieć tu dziś wśród was! Ręka Ricka wznosi się w górę, jakby wskazując samolot, ale Rickowi chodzi nie o samolot, tylko o Pana Boga.

- I jeszcze jedno wam powiem, drodzy wyborcy z Little Chedworth. Gdyby nie ktoś, kto jest moim wielkim partnerem (śmiejcie się, śmiejcie, wolę to, niżbym miał paść ofiarą cynizmu i bezbożności, która toczy nasz kraj jak choroba), otóż gdyby nie ten ktoś, nie byłbym tu dziś między wami i nie ofiarowałbym się z taką pokorą wam, dobrym ludziom z Gulworth North.

I mówi jeszcze o eksporcie i o tym, jaki jest dumny, że sprzedaje brytyjskie produkty cudzoziemcom, którzy sami nie wiedzą, ile nam zawdzięczają. Ręka wyskakuje teraz do przodu, ku nam; to jak rzucenie wyzwania. Jest Brytyjczykiem z krwi i kości, nie boi się tego powiedzieć. I jak każdy prawdziwy

Brytyjczyk potrafi zawsze kierować się zdrowym rozsądkiem. „Jak nikt”, mruczy z aprobatą Syd. Ale jeżeli znamy kogoś lepszego na to stanowisko niż Rickie Pym, proszę bardzo. Bo może wolimy wydumane uprzedzenia klasowe konserwatystów, tej bandy krwio pijców, co to wszystkich mają za swych niewolników? Proszę bardzo, jeśli tak, proszę wstać i powiedzieć to prosto w oczy. Nikt nie wstaje, więc może wolimy oddać kraj we władanie marksistów, komunistów i tych bandytów związkowców, którzy sprzyśli się, by powalić nasz kraj na kolana - nie oszukujmy się, do tego sprowadza się głosowanie na Partię Pracy - proszę bardzo, proszę mówić. Ale otwarcie, na forum publicznym, na oczach wszystkich, a nie chować się po kątach jak spiskowcy!

Znowu nikt się nie zgłasza, choć Rick i siedzący na podwyższeniu patrzą surowo po sali, szukając zbrodniczej dłoni lub wykrzywionej wyrzutami sumienia twarzy.

- Ale ma gadane - szepcze zachwycony Syd i na znak jeszcze większej rozkoszy przymyka oczy. Rick wznosi się teraz ku gwiazdom, które, jak ideały liberalizmu, są co prawda nieosiągalne, a jednak jakże korzystamy na ich obecności.

Pym znów się rozgląda. Znów wszystkie twarze rozświetla miłość do Ricka - wszystkie poza twarzą kobiety w żałobnej woalce. Po to tu przyjechałem, myśli podekscytowany Pym. Na tym właśnie polega demokracja - na dzieleniu się własnym ojcem z całym światem. Owacją milknie, Pym dalej bije brawo i dopiero po chwili orientuje się, że inni już przestali. Ma wrażenie, że ktoś zawołał do niego po imieniu, i zauważa ze zdziwieniem, że stoi. Liczne, choć nie wszystkie twarze obracają się ku niemu. Niektóre z nich są uśmiechnięte. Próbuje usiąść, ale Syd mu nie pozwala. Miejscowy działacz zaczyna mówić i tym razem nawet można go częściowo zrozumieć.

- Ogazuje się, że jest tu dziś wśród nas sławny syn naszego Gandydata, Maggus. Przerwał studia prawnicze w Ogsfordzie, by pomóc ojcu w tej wielkiej kampanii - mówi. - Jestem przegonany, drogi Maggusie, że powiesz nam parę słów. Gdzie on jest?

- Tu, tu, prezesie! - krzyczy Syd. - Ale nie ja, tylko on!

Jeżeli Pym wzbrania się, to on sam nic o tym nie wie.

Zemdląłem. Jestem tu przypadkiem. Uwalilem się oranżadą Syda. Tłum robi przejście, silne ramiona wciągają Pyma na podwyższenie, Rick chwyta go w objęcia, miejscowy działacz wpina Pymowi w obojczyk żółtą rozetkę. Pym przemawia, wpatrują się w niego tysiące oczu - no, przynajmniej z sześćdziesiąt - uśmiechając się do jego dzielnych słów.

- Zapewne zastanawiacie się państwo... - zaczyna Pym, nie mając najmniejszego pojęcia, co zaraz powie. - Zapewne zastanawiacie się państwo, mimo tego wspaniałego przemówienia, jaki tak naprawdę jest mój ojciec.

Istotnie. Zastanawiają się, to widać. Pragną uzyskać potwierdzenie swej wiary, więc Maggus, prawnik z Ogsfordu, zaraz im wszystko potwierdzi - ani się nie zarumieni. Odmalowuje im Ricka dokładnie takiego, jakiego odmalował się on sam, ale czyni to z pozycji kochającego syna i równocześnie wytrawnego prawnika, który umie dobierać słowa, ale nie dzieli włosa na czworo. Mówi o Ricku jako o prawdziwym przyjacielu prostego człowieka: „Dobrze wiem, bo to od dwudziestu lat mój najlepszy przyjaciel”. Opisuje go jako gwiazdę na firmamencie dzieciństwa, lśniącą przykładem rycerskiej skromności. Na chwilę w jego zaaranżowanym umyśle pojawia się obraz trubadura Wolframa von Eschenbacha, i zastanawia się, czy nie porównać do niego Ricka, który tak samo walczy o zwycięstwo jak ten żołnierz - poeta. Jednak zwycięża rozsądek, Pym przechodzi do świetlanego przykładu ich wspólnego patrona, Thomasa Pyma, który (przykład, nie Thomas) wciąż trwa, „podczas gdy ten stary żołnierz dawno już odbył swą ostatnią walkę”. Opowiada, jak to za każdym razem, gdy wprowadzali się do nowego domu - ryzykowna chwila - najpierw zawsze wieszano portret T. Pyma. I mówi też o poczuciu sprawiedliwości, którego uosobieniem jest jego ojciec. Czy mając takiego ojca, mogłem obrać jakkolwiek inny zawód? Wreszcie zwraca się do Sylvii, która siedzi obok Ricka w kołnierzyku z króliczej skórki i z trwałą jak ondulacja uśmiechem na ustach. Tłumiąc w gardle szloch, dziękuje jej, że podjęła się trudu matkowania mu, gdy już zabrakło jego biednej matki. Potem wszystko kończy się równie nagle, jak się zaczęło, i Pym już kroczy szybko za Rickiem do wyjścia, ocierając łzy i

ściskając wyciągnięte ku niemu dłonie. Dociera do drzwi, odwraca się i jeszcze przez łzy spogląda na salę. I znowu widzi siedzącą samotnie kobietę w toczku z woalką. Napotyka pod woalka błysk oka i ma wrażenie, że wzrok jej jest pełen wyrzutu i dezaprobaty, może dlatego że wszyscy wokół są tak pełni podziwu. Euforia ustępuje miejsca poczuciu winy. To nie żadna wdowa, to zmartwych wstała Lippsie, E. Weber, Dorothy, przecież wszystkie je skrzywdziłem. To ktoś z Partii Gomunistycznej z Ogsfordu, przysłany na świadka mojej zdradliwej gonwersji. To Michael ją przysłał.

- No, jak mi poszło, synu?

- Fantastycznie!

- Tobie też, synu! Jak mi Bóg miły, gdybym dożył setki, jeszcze nie byłbym bardziej dumny. Kto cię strzyże?

Od dłuższego czasu nikt, ale Pym pomija tę uwagę milczeniem. Idą teraz przez parking, ale nie jest to łatwe, bo Rick nie puszcza z objęć syna, więc obaj muszą poruszać się pod kątem, jak dwa płaszcze powieszzone krzywo na jednym wieszaku. Pan Cudlove już otwiera przed nimi drzwi bentleya i roni łzy dumy nauczyciela z ucznia.

- To było wspaniałe, panie Magnusie - mówi. - Jakby Karol Marks powstał z martwych. Nigdy tego nie zapomnimy.

Pym dziękuje mu z roztargnieniem. Jak zawsze, gdy ma odnieść niezасłużony triumf, chwyta go za gardło przeczucie zbliżającej się wielkimi krokami boskiej pomsty. W jaki sposób mogłem ją skrzywdzić? - zastanawia się. Jestem młody, umiem przemawiać, jestem synem Ricka. Mam na sobie niezapłacony garnitur od świetnego oksfordzkiego krawca. Czemu ona nie kocha mnie tak jak reszta? Jak każdy prawdziwy artysta, Pym nie może przestać myśleć o tej jednej osobie wśród publiczności, która nie przyłączyła się do owacji.

Nadeszła sobota. Zbliża się północ. Za parę minut do ostatniego dnia przed wyborami zostaną już tylko trzy doby. W oknie Pyma wisi nowy plakat, głoszący: „W czwartek on potrzebuje ciebie”. Żółty transparent z tym samym napisem wisi nad ulicą - drugi koniec zawieszony jest przy lombardzie. Ale Pym leży w ubraniu na łóżku i uśmiecha się, i nie myśli wcale o kampanii. Myśłami jest w rajz z dziewczyną o imieniu Judy,

córką farmera liberała, który pozwolił nam ją wynająć, by wozić stare ciocie do urn. Raj to przednie siedzenie jej furgonetki, zaparkowanej gdzieś przy drodze do Little Kimble. Pym czuje na ustach smak skóry Judy, w nozdrzach - zapach jej włosów. A gdy zakrywa dłońmi oczy, są to te same dłonie, które po raz pierwszy w historii ludzkości zamknęły się na piersiach młodej dziewczyny. Jego pokój jest na pierwszym piętrze obskurnego domu na rogu, zwanego co prawda Domem Wypoczynku w Trzeźwości pani Searle, ale nieoferującego ani wypoczynku, ani trzeźwości. Puby zamknięto już dawno, krzyki i jęki przeniosły się do innych części miasta. Z zaułka słychać wrzaskliwy kobiecy głos: „Mattie, masz dla nas wyro? To ja, Tessie. Pospiesz się, stary dupku, zamarzniemy tu na śmierć”. Na najwyższym piętrze otwiera się z hukiem okno i niewyraźny głos pana Searle'a sugeruje Tessie, że wraz ze swym klientem powinna udać się za wiatę na przystanku autobusowym. „Co ty myślisz, Tessie, że co ja tu mam? Burdel?”. Ależ skąd, jaki tam burdel - to siedziba Sztabu Wyborczego Kandydata z ramienia Partii Liberalnej, bo przecież nasz kochany Mattie Searle, nasz gospodarz, był liberałem przez całe życie, choć dowiedział się o tym dopiero miesiąc temu.

Uważając, by nie przebudzić się do końca z erotycznych fantazji, Pym podchodzi na palcach do okna i zezuje na dół, na podwórze hotelu. Z jednej strony kuchnia, z drugiej jadalnia dla gości, obecnie biuro sztabu wyborczego. W oświetlonych oknach wciąż jeszcze widać siwe głowy pani Alcock i pani Catermole, naszych niezmordowanych pomocniczek, które dzielnie zaklejają ostatnie koperty.

Wraca do łóżka. Czekaj, myśli sobie. Całą noc nie będą tam siedzieć. Jutro jest dzień święty, więc Nasz Kandydat daje swym ludziom odpocząć i zadowala się pobożnym uczestnictwem w nabożeństwach w najchętniej odwiedzanych świątyniach baptystycznych miasta, gdzie wygłosi też kazania o prostym poczuciu obowiązku. Za to Pym znajdzie się jutro o ósmej rano na przystanku autobusu do Nether Wheatley, skąd Judy zabierze go furgonetką ojca. A w bagażniku będzie miała saneczki, zrobione jej przez gajowego, gdy miała dziesięć lat. Judy zna pewne wzgórze z szopą. Uzgodnili na mur beton, że

gdzieś około dziesiątej trzydzieści - wszystko zależy od tego, ile będzie im się chciało jeździć na sankach - Judy Barker zabierze Magnusa Pyma do wspomnianej szopy i tam zostanie on jej pełnoprawnym i skonsumowanym kochankiem.

Ale tymczasem Pym ma przed sobą inną wyprawę. Za biurkiem sztabu są schody do piwnicy, a w piwnicy - Pym wie, bo widział - stoi ta sama porysowana zielona szafka na dokumenty, do otwarcia której dążył na próżno już trzy czwarte swego życia. W ukrytym pod poduszką portfela Pyma spoczywa błękitny stalowy grafion, którym Michaelae nauczyli go otwierać tanie zamki. W rozgrzanym lubieżnymi ambicjami umyśle Pyma powoli rodzi się przekonanie, że człowiek, któremu udało się uzyskać dostęp do piersi Judy, potrafi też dobrać się do fortecy skrywającej wszystkie sekrety Ricka.

Jeszcze raz zasłania dłonią oczy i od nowa przeżywa ten wspaniały dzień. Ze snu wyrwali go, jak zwykle, Syd i pan Muspole, którzy właśnie wprowadzili nowy zwyczaj wyrzaskiwania rubasznym komentarzami przez drzwi pokoju Pyma.

- No, Magnus, daj spokój! Nie wiesz, że od tego się ślepnie?

- Albo ci odpadnie, kochany, jeżeli nie zostawisz go w spokoju. Doktor będzie ci go musiał dosztukować zapałką, i co wtedy powie Judy?

Po wczesnym śniadaniu major Maxwell Cavendish przystępuje do wydania rozkazów. Oznajmia, że ulotki to przeżytek, że nasza najlepsza broń to megafony, mnóstwo megafonów i frontalny atak na indywidualnych wyborców. „Wiedzą, że tu jesteśmy, wiedzą, że traktujemy to poważnie, i wiedzą, że mamy najlepszego kandydata i najlepszy program dla Gulworth. A chodzi nam o każdy głos. I my przeciągniemy na naszą stronę głos po głosie, i zmusimy ich, żeby na nas głosowali, czystą siłą woli. Dziękuję za uwagę”.

A teraz przydziały. Syd weźmie megafon numer jeden i dwie panie - śmiech - w te krzaki przy wyścigach konnych, bo tam mieszkają Cygany, a Cygany też mają prawo głosu. Okrzyki: „Przy okazji postaw piątaka na Księcia Magnusa”. Pan Muspole i inna pani wezmą megafon numer dwa i o dziewiątej zabrają majora Blenkinsopa i naszego nędznego agenta spod ratusza.

Magnus znowu zabierze Judy Barker i pokryje Little Kimble i te pięć wioseczek.

- A przy okazji pokryje też Judy Barker - mówi Morrie Washington. Żart jest wyśmienity, ale dwór śmieje się wyłącznie z grzeczności. Dwór nie wie, co myśleć o Judy. Podejrzliwie przyjmuje jej pewność siebie i uzurpowanie przez nią praw do ich maskotki. Barker zadziera nosa, mówią za jej plecami. I wcale nie jest taka morowa, jak się zdawało. Ale teraz Pym już nie przejmuje się tak bardzo zdaniem dworu. Wzrusza ramionami i, korzystając z nieuwagi sztabu, wymyka się do piwnicy, a tam wsuwa grafion Michaelów w otwór zamka porysowanej zielonej szafki na dokumenty. Jednym końcem przytrzymać sprężynkę, drugim zakręcić. Zamek poddaje się natychmiast. Cud, cud! Jeszcze tu wrócę. Szybko zamyka szafkę z powrotem; nie minęła minuta od udowodnienia sobie władzy nad tajemnicą życia, a Pym już stoi jak niewiniątko na progu hotelu i czeka, aż przyjedzie po niego jej furgonetka, do której megafon został przywiązany sznurkiem do snopowięzadek. Judy uśmiecha się, lecz nic nie mówi. Spędzają dziś razem trzeci dzień, ale pierwszego dnia była z nimi jeszcze jedna pani. Mimo to Pymowi udało się kilkakrotnie musnąć dłonią dłoń Judy, gdy zmieniała biegi lub podawała mu mikrofon, a gdy żegnali się przed obiadem i Pym usiłował pocałować ją w policzek, śmiało przekierowała go na swe usta, kładąc mu swą długą dłoń na karku. Jest wysoką, pogodną dziewczyną o jasnej cerze i rolniczym głosie, usta ma długie, a pod poważnymi okularami wesołe oczy.

- Głosujcie na Pyma, Człowieka Ludu - ryczy przez megafon Pym, gdy kierują się na otwartą przestrzeń przez przedmieścia Gulworth. Całkiem otwarcie trzyma Judy za rękę, najpierw w jej podołku, później, za jej poduszczeniem, na swoim. - Obrońcie Gulworth przed plagą politykierstwa. - I recytuje limeryk o panu D'Allaneyu, kandydacie konserwatystów, ułożony przez wielkiego poetę Morriego Washingtona. Wierszyk, zdaniem majora, napędza nam mnóstwo głosów.

Stary ważniak, ten głupi D'Allaney, Ma maniery bez żadnej przygany, Lecz gdy sądzi, że Pym Może wręcz przegrać z nim, Niechaj mózg odda swój do wymiany. (tłum. K. Rybicki.)

Judy sięga ręką przez Pyma i wytacza urządzenie.

- Twój tata ma tupet - mówi wesoło. Miasto zostawili za sobą. - Za kogo on nas ma, za wsiowych głupków?

Judy skręca w pustą, boczną drogę, wyłącza silnik, rozpina kurtkę, potem bluzkę. W miejscu, w którym Pym spodziewał się zastać więcej przeszkód, odkrywa tylko jej małe i idealne piersi o stwardniałych z zimna sutkach. Judy patrzy na niego z dumą, gdy on kładzie na nich dłonie.

Przez resztę dnia Pym stąpa jak w jasnym obłoku. Judy musiała wrócić na farmę pomóc ojcu przy udoju, więc podrzuciła Pyma do gospody przy drodze do Norwich, gdzie umówił się wcześniej z Sydem, Morriem i panem Muspole'em na dyskretny kieliszek czegoś mocniejszego na ziemi niczyjej poza granicą okręgu. Dzień wyborów jest już tak blisko, że wszystkim udziela się atmosfera ostatnich dni w szkole przed wakacjami. Co prawda, nikt nie stoczył się pod stół aż do zamknięcia baru, ale potem upchnęli się w czwórkę do samochodu Syda i śpiewali przez megafon Tango milonga aż do granicy okręgu, gdzie z powrotem włożyli marynarki i przybrali pobożne miny. Po południu Pym uczestniczył w ostatniej już, sobotniej sesji motywacyjnej prowadzonej przez Ricka. Sam Henryk V nie spałby się lepiej w wigilię bitwy pod Agincourt. Nic nas nie zatrzyma pod koniec drogi. Pamiętacie, jak było z Hitlerem? Pójdziemy przed siebie aż do zwycięstwa, z podniesionym czołem, chwając Boga, nie będziemy żałować bata na ostatniej prostej. Nim przebrzmiały te piękne słowa, dzielna drużyna rzuciła się do samochodów.

Przemówienie Pyma weszło już na stałe do programu każdego spotkania wyborczego. Wyborcy go uwielbiają, dwór zaś traktuje jak gwiazdora. W bentleyu dwaj bohaterowie mogą przynajmniej uścisnąć sobie dłonie i podzielić się wrażeniami nad kieliszkiem ciepłego szampana, który jakoś pomoże im przetrwać kolejny dzień wytężonej pracy.

- Znowu przysłała ta ponura baba - mówi Pym. - Chyba za nami jeździ.

- Jaka baba, synu? - pyta Rick.

- Nie wiem. Taka w woalce.

Mimo tych wszystkich obowiązków i natłoku zajęć Pymowi udaje się podjąć najniebezpieczniejszą misję w swej dotychczasowej karierze erotycznej. Zlokalizowawszy w Ribsdaie, na drugim krańcu miasta, całodobową aptekę, pojechał tam tramwajem i wielokrotnie sprawdziwszy, czy nikt go nie śledzi, podszedł śmiało do lady i zakupił trzy prezerwatywy od starego zbereźnika, który ani go nie aresztował, ani nie zapytał o stan cywilny. Ta wspaniała zdobycz mruga teraz na niego ze swej kryjówki, czyli z samego środka sterty ulotek wyborczych, gdy jeszcze raz podchodzi na palcach do okna i wygląda na dół.

W biurze już jest ciemno. Naprzód.

Choć droga wolna, Pym jest zbyt doświadczony, by udać się prosto do celu. Jack Brotherhood mawiał, że grunt to porządnie przeprowadzone rozpoznanie. Muszę przecież dotrzeć na głębokie zaplecze wroga. Zaczyna w holu, gdzie udaje, że czyta ostatnie ogłoszenia. Obskurne biuro Mattiego jest puste, drzwi frontowe zamknięte na łańcuch. Pym powoli rusza dalej. Trzecie drzwi od jego pokoju to salonik dla gości. Otwiera drzwi i posyła do środka uśmiech. Syd Lemon i Morrie Washington rozgrywają partyjkę snookera z kochanymi kolegami Mattiego Searle'a, którzy wyglądają na koniokradów, ale równie dobrze mogą zajmować się kradzieżą owiec. Dwie lokalnie nabyte ślicznotki smarują kredą kije i zachęcają do walki. Nastrój jest nerwowy.

- W co gracie? - zagaduje Pym, jakby miał nadzieję się przyłączyć.

- W polo - mówi Syd. - Zjeżdżaj, mały, i bądź grzeczny.

- Miałem na myśli, ile rund?

- Ile się da - mówi Morrie Washington.

Syd nie trafia i klnie. Pym zamyka drzwi. Tu sprawa jest jasna, przez co najmniej godzinę nie musi się nimi przejmować. Kontynuuje patrol. Na kolejnym piętrze atmosfera jeszcze się zagęszcza, jak w każdym strzeżonym budynku. Oto dobrze wytłumiony pokój, w którym goście mogą rozluźnić się i leczyć zszargane nerwy partyjką pokera z Naszym Kandydatem i kręgiem jego przyjaciół. Pym wchodzi bez pukania. Przy stole

pełnym gotówki i kieliszków do koniaku Rickie i Perce Loft walczą zajadłe z Mattiem Searle'em. W banku jest już mnóstwo kartek na benzynę, które cieszą się na dworze większym powodzeniem niż twarda waluta. Mattie przebija Ricka, Rick sprawdza. A potem patrzy z chrześcijańską cierpliwością, jak Mattie zgarnia całą pulę.

- Słyszałem, że razem z pułkownikiem Barkerem robiliście przed południem Little Kimble, stary.

Już nie pamiętam, dlaczego Rick zaczął nazywać Judy pułkownikiem. Zdaje się, że chodziło o pewną sławną lesbijkę zamiesznaną w jakiś skandal sądowy. Tak czy inaczej Pymowi nie bardzo to się podobało.

- Całowali ziemię, po której stąpał - przytakuje Perce Loft.

- I chyba ktoś coś jeszcze całował, jak mi się zdaje - mówi Rick i wszyscy wybuchają śmiechem, bo to żart Ricka.

Pym pochyła się do niego, by uściskać go na dobranoc, i słyszy, że Rick węża jego policzek, na którym czuć jeszcze perfumy Judy.

- Tylko nie zapominaj o wyborach, synu - mówi Rick i klepie go ostrzegawczo po tym samym policzku.

Idąc dalej korytarzem, Pym mija prowadzony przez Morriego Washingtona dział reklamy, pełniący również obowiązki sekcji dezinformacji. Pod ścianą stoją sterty skrzynek whisky i nylonów, ostateczna broń w walce o głosy wyborców. To właśnie stąd wychodziły bezpodstawne plotki na temat poparcia udzielanego przez kandydata konserwatystów osławionemu angielskiemu faszyście, sir Oswaldowi Mosleyowi, i nadmiernego zainteresowania kandydata laburzystów wdziękami swych uczniów. Pym ponownie używa grafionu i szybko przegląda zawartość szuflad biurka. Jeden wyciąg z banku, jedna talia kart ze sprośnymi obrazkami. Wyciąg jest na nazwisko pana Morrisa Wurzheimera, stan konta: minus sto dwadzieścia funtów. Karty kiedy indziej by go zainteresowały, ale przyćmiewa je bliskość i realność Judy. Pym starannie zamyka wszystko z powrotem i wychodzi na kolejne piętro, gdzie zatrzymuje się i nasłuchuje rozmowy telefonicznej prowadzonej przez pana Muspole'a. Najwyższe piętro to świątynia Naszego Kandydata, połączenie schronu, pokoju

szyfrów i centrum operacyjnego. Na końcu korytarza znajdują się apartamenty kandydata, do których nawet Pym nie został jeszcze dopuszczony, bo zamieszkująca w nich Sylvia spędza tam całe dnie w łóżku, to cierpiąc na ból głowy, to opalając się na brązowo podejrzaną lampą kupioną od pana Muspole'a. W efekcie nigdy nie wiadomo, czy można wejść, czy nie. Przez sąsiednie drzwi wchodzi się do tak zwanego Komitetu Wsparcia, gdzie za pieniądze i poparcie w wyborach płaci się obietnicami na przyszłość. Nawet teraz nie wiem jakimi, choć Syd opowiadał mi kiedyś o propozycji zalania betonem starego portu i przerobienia go na parking - ku radości licznych firm budowlanych.

Pan Muspole niespodziewanie odkłada słuchawkę, więc Pym bezgłośnie odwraca się na pięcie i już ma wykonać odwrót na z góry upatrzone pozycje, gdy znów słyszy szmer tarczy telefonu. Teraz pan Muspole rozmawia z jakąś panią, bo pytania zadaje czule i w odpowiedzi mruczy jak kot. Potrafi tak godzinami, to jego ulubiona rozrywka.

Odczekawszy, aż głos pana Muspole'a osiągnie pewien stały poziom, Pym wraca na parter. Ciemne biuro pachnie herbatą i dezodorantem. Drzwi na podwórze są zamknięte od środka. Pym bezszelestnie wyciąga klucz i chowa go do kieszeni. W piwnicy śmierdzi kotem, na schodach stoją pudła. Schodząc po omacku - nie chce zapalać światła, bo ktoś mógłby zobaczyć je z podwórka - Pym przeżywa *déjà vu* owego dnia w Bernie, gdy znosił wilgotne pranie po kamiennych schodkach innej piwnicy i bał się, by nie nadepnąć na Herr Bastla. I rzeczywiście: na ostatnim stopniu traci równowagę i całym ciężarem leci do przodu na drzwi piwnicy, o które opiera się oburącz. Drzwi skrzypią z brudu. Z impetem wpada do piwnicy, ku jego zdumieniu oświetlonej osłoniętą lampką. W jej świetle Pym dostrzega zieloną szafkę na dokumenty i stojącą przy niej kobietę z czymś, co wygląda jak dłuto. Światło pochodzi ze słabej lampki rowerowej skierowanej na zamki szafki. Oczy kobiety, zwrócone teraz ku niemu, są ciemne i wyzywające, nie ma w nich ani krztyny poczucia winy. Do tej pory nie mogę się nadziwić, że Pym od razu wiedział, że jest to ta sama kobieta, to samo spojrzenie, ten sam pełen dezaprobaty spokój, które

zobaczył pierwszy raz za czarną woalką po swym triumfie w Little Chedworth i które prześladowały go na kilkunastu innych spotkaniach. Nawet gdy pyta ją o nazwisko, zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę już je zna, choć jasnowidzenie nie należy przecież do jego licznych talentów. Nieznajoma ma na sobie długą spódnicę, tak niemodną, że mogła w niej chodzić jeszcze jej matka. Jej twarz jest mała i zawzięta, włosy już posiwiałe. Oczy ma niepokojąco szczere i jasne, co widać nawet w piwnicznym półmroku.

- Nazywam się Peggy Wentworth - odzywa się wyzywająco swym silnym irlandzkim akcentem. - Powiedzieć ci, jak to się pisze, Magnus? Peggy to zdrobnienie od Margaret, wiesz? Twój ojciec, Richard Thomas Pym, zabił mojego męża Johna i mnie prawie też. I choćbym miała umrzeć, zrobię wszystko, żeby znaleźć na to dowody i wsadzić drania do więzienia.

Pym dostrzega kątem oka jakiś ruch za sobą i gwałtownie odwraca się. W drzwiach stoi Mattie Searle z kocem na ramionach. Przekrzywia głowę na bok, bo słyszy tylko na jedno ucho, i spogląda sponad okularów najpierw na Pyma, potem na Peggy. Ile usłyszał? Pym nie wie, ale adrenalina dobrze mu robi na bystrość umysłu.

- To Emma z Oksfordu, Mattie - mówi śmiało. - Emmo, pozwól, to pan Searle, właściciel hotelu.

- Bardzo mi przyjemnie - mówi spokojnie Peggy.

- W przyszłym miesiącu występujemy w tej samej sztuce w uczelnianym teatrze. Przyjechała do Gulworth, żeby przeciwyczyć ze mną rolę. Pomyśleliśmy sobie, że tu nie będziemy nikomu przeszkadzać.

- No tak - mówi Mattie. Jego oczy prześlizgują się z Peggy na Pyma i z powrotem, i od razu widać, że Pym może przestać się wygłupiać. Mattie wraca na górę po schodach, powłócząc nogami.

Nie potrafię określić dokładnie, Tom, kiedy co mi opowiedziała. Pierwsze, co przyszło Pymowi na myśl, gdy wymknęli się z hotelu, to nie zatrzymywać się, więc wskoczyli do pierwszego lepszego autobusu i pojechali aż na pętlę, czyli, w tym przypadku, do nieprawdopodobnie zapuszczonych doków: opustoszałe magazyny, przez których powybijane szyby można

było oglądać księżyc, beczynne żurawie jak szubienice, wyrastające prosto z morza. Chyba obozowała tam banda Cyganów, śpiących za dnia i pracujących nocą, bo pamiętam widok śniadych twarzy kiwających się nad ostrzałkami do noży i iskry lecące nad głowami przyglądającej się im dzieciarni. I dziewczęta o męskich muskułach, zarzucające na plecy kosze pełne złowionych ryb, porozumiewające się między sobą sprośnymi wykrzyknikami, i przechadzających się wśród nich rybaków w sztormiakach, zbyt dumnych, by zwracać uwagę na kogokolwiek spoza swego grona. Wszystkie te twarze przypominam sobie z wdzięcznością, bo były dla mnie ucieczką z więzienia, w jakim zamknęła mnie swym niepowstrzymanym monologiem.

Przy bufecie z herbatą, przy którym trzęśli się z zimna z całym tłumem meneli, Peggy opowiedziała Pymowi o tym, jak Rick ukradł jej farmę. Zaczęła swą opowieść jeszcze w autobusie i mógł jej słuchać każdy, kto chciał, i od tego czasu mówiła bez przerwy, bez jednego przecinka, bez jednej kropki. Pym wiedział od razu, że to wszystko prawda, straszliwa prawda, choć od czasu do czasu jej przerażająca zaciekłość stawiała go na chwilę po stronie Ricka. Potem poszli się przejść dla rozgrzewki - Peggy nie przestała mówić choćby na sekundę. Mówiła dalej, gdy zaprosił ją na fasolę i jajka na bekonie do marynarskiej jadłodajni o nazwie Rover, gdzie, wysoko unosząc łokcie, piłowała tępym nożem grzanki i nabierała sos łyżeczką do herbaty. Właśnie w jadłodajni opowiedziała Pymowi o wielkim funduszu powierniczym Ricka, który przejął dziewięć tysięcy funtów wypłaconych przez ubezpieczalnię jej mężowi, gdy ten wpadł do młockarni i stracił obie nogi poniżej kolan i wszystkie palce jednej ręki. Gdy to opowiadała, rysowała na swych własnych kończynach linie amputacji, a Pym czuł jej obsesję na tym punkcie i zaczynał naprawdę się bać. Bo jest jeden głos, którego nigdy dla ciebie nie naśladowałem, Tom, a jest to właśnie irlandzki akcent Peggy, wpadający w kościelne tony Ricka, gdy powtarzała jego wspańiałe obietnice: dwanaście i pół procent i zyski ekstra, kochana, rok w rok, żeby John miał zapewnione godne życie, daj mu Panie Boże jak najwięcej lat, i żeby potem, jak przyjdzie co do czego, i tobie wystarczyło, i

żeby chłopaka posłać do szkoły i potem na studia, najlepiej na prawo, jak mojego, przecież obaj to takie dobre dzieci. Historia, krótko mówiąc, rodem z książek Hardy'ego, pełna zwykłych, ludzkich dramatów, ale rozmieszczonych w czasie tak, jakby specjalnie zajął się tym jakiś nieludzki Bóg, pragnący uzyskać z tego materiału jak najwięcej nieszczęścia.

John Wentworth, tłumaczyła, był nie tylko nieszczęśliwy, ale głupi. Wręcz czekał, by dać się nabrać pierwszemu lepszemu. Umarł w przekonaniu, że Rick to jego zbawca i przyjaciel. Na jego farmie, Tamar Rose w Walii, każde ziarno pszenicy trzeba było wrywać z łap morskich wiatrów. Odziedziczył ją po znacznie mądrzejszym ojcu i miał jedyne spadkobiercę, syna, Alastaira. Gdy John umarł, nie zostało po nim ani pensa. Wszystko obciążone hipoteką, wszystko, Magnus, aż po szyję - tu Peggy przeciągnęła umazanym w fasolce nożem przy szyi. Opowiadała, jak Rick odwiedzał Johna w szpitalu po wypadku, o kwiatach, czekoladzie i szampanie - co sprawiało, że Pym widział natychmiast przed oczyma duszy swojej kosz czarnorynkowych owoców, który sam dostał od Ricka zaraz po operacji. Przypominał sobie, jak szlachetnie Rick nawiedzał chorych i cierpiących, i jak sam chodził z nim odwiedzać starców i kaleki podczas wojennych lat wielkiej Krucjaty. I szloch Lippsie, nazywającej Ricka złodziejem, i Ricka listy do niej, w których obiecywał wszystko jej wynagrodzić.

- A ja dostawałam zawsze za darmo bilet na pociąg - mówi Peggy - kiedy jechałam odwiedzić Johna w szpitalu w Truro. A potem twój tata zawsze odwoził mnie do domu autem, bo przecież był nam to winny, bo przecież zainwestowaliśmy u niego nasze pieniądze. Przy podpisaniu dokumentów, bo John musiał mu wszystko podpisać, świadkami były zawsze najładniejsze pielęgniarki. Sama nie wiem, jak twój ojciec wytrzymał z Johnem, zawsze wyjaśniał mu wszystko w kółko, a John i tak nie słuchał, bo we wszystko wierzył, i w ogóle umysł to on miał ciężki.

Tu znów wpada w furię:

- A ja wstawałam o czwartej rano, żeby doić krowy, i zasypiałam nad rachunkami o północy! - krzyczy, i senne głowy obracają się ku niej znad innych stolików. - A ten mój głupi mąż

leżał w swoim ciepłym łóżeczku w Truro i wszystko podpisał za moimi plecami, bo twój tata siedział przy nim i zgrywał świętego. Mój Alastair nie miał butów do szkoły, a ty, Magnus, żyłeś jak król, świetne szkoły, piękne stroje... Bóg z tobą!

Bo gdy John umarł, oczywiście, zaraz okazało się, że z powodów całkowicie niezależnych od kogokolwiek fundusz przeżywał całkowicie chwilowe problemy z płynnością finansową i że tych dwunastu i pół procenta jednak nie wypłaci. I kapitału też nie zwróci. I że John w swej zapobiegliwości wziął tuż przed śmiercią hipotekę na dom, ziemię i bydło - jakby się dało, wzięłyby też ją na żonę i dziecko - a pieniądze przekazał swojemu kochanemu przyjacielowi Rickowi. Rick przywoził nawet z Londynu wybitnego prawnika, pana mecenasa Lofta, by ten wyjaśnił wszystkie konsekwencje tego mądrego posunięcia Johnowi, który wtedy leżał już na łożu śmierci. A John, który do samego końca życia chciał być dobry dla każdego, napisał własnoręcznie specjalny, długi list, zapewniając wszystkich zainteresowanych, że podjął swą decyzję w pełni sił umysłowych i że ani sam święty, ani pan mecenas w najmniejszym stopniu nie wywierali na niego presji, gdy leżał wydając ostatnie tchnienie, A wszystko to na wypadek, gdyby Peggy albo może i Alastair mieli kiedyś okazać się na tyle źle wychowani, by kwestionować dokument w sądzie albo domagać się zwrotu dziewięciu tysięcy funtów Johna, albo w jakikolwiek inny sposób wykazać brak zaufania względem bezinteresownej opieki Ricka nad bankructwem Johna.

- Kiedy to się stało? - pyta Pym.

Podaje mu daty, dni tygodnia, godziny. Wyciąga z torebki plik listów, podpisanych przez Perce'a, donoszących z żalem, że „nasz Prezes, pan R. T. Pym, jest nieosiągalny, ponieważ wykonuje teraz misję wagi państwowej” i zapewniających ją, że „obecnie zajmujemy się sprawą własności Tamar Rose w celu pozyskania dla Pani znaczących Środków”. I przygląda się Pymowi tymi zimnymi, oszalałymi oczyma, gdy on czyta w świetle latarni ulicznej, pod którą siedzą skuleni z zimna na połamanej ławce. Wreszcie odbiera od niego listy i z czułością wsadza każdy do właściwej koperty, uważając, by ich nie pomiać i nie zagać rogów. Opowiada dalej - Pym chce zatkać

sobie uszy albo jej usta. Chce wstać, podbiec do falochronu i rzucić się w morze. Chce krzyknąć, by się zamknęła. Ale prosi ją tylko: błagam, proszę już nic nie mówić, proszę nie opowiadać dalej.

- A to czemu?

- Bo ja nie chcę już tego słuchać. Dalsza część już mnie nie dotyczy. Okradł cię, zgoda, więc reszta nie ma znaczenia - mówi Pym.

Peggy jest innego zdania. Biczuje swój irlandzki grzbiet swym irlandzkim poczuciem winy, do czego obecność Pyma jest doskonałym pretekstem. Nic już nie powstrzyma jej opowieści. Zresztą najbardziej chce mu opowiedzieć właśnie to, co będzie teraz.

- I czemu nie, skoro ten drań i tak zrobi, co zechce? Jak już położę na kimś łapę, to zaraz weźmie i do łóżka. Pięknego łóżka. Wszędzie koronki, lustra... - Peggy opisuje sypialnię Ricka na Chester Street. - Skoro i tak miał nade mną władzę życia i śmierci, a ja byłam głupią, samotną kobietą, z chorowitym synem, zbankrutowaną farmą, i czasem przez tydzień nie miałam do kogo gęby otworzyć poza głupim rządcą.

- Mnie wystarczy, że was skrzywdził - upiera się Pym. - Bardzo panią proszę. Reszta to sprawy prywatne.

- A on, jak tylko wrócił z misji wagi państwowej, raz - dwa przysłał mi bilet pierwszej klasy do Londynu, bo się bał, że pójde do sądu. No to pojechałam, ty byś nie pojechał? Od dwóch lat albo i dłużej nie miałam chłopca i mogłam tylko patrzeć w lustro, jak się starzeję. Pojechałam.

- Oczywiście, oczywiście, rozumiem doskonale - mówi Pym. - Proszę już więcej nie opowiadać.

Ale Peggy znów naśladuje głos Ricka:

- „Peggy, kochana, załatwmy tę sprawę raz na zawsze. Nie pozwolę, żeby nasze drogi się rozeszły przez takie nieporozumienie, bo mi od początku chodziło tylko o to, żebyście mieli z Alastaiem z czego żyć”. To co, dziwisz się, że pojechałam? - Jej głos odbija się echem po pustym skwerku i płynie po wodzie. - Pojechałam. Spakowałam torbę, wzięłam synka i zamknęłam drzwi. Przecież jechałam po pieniądze i po sprawiedliwość. Przyjechałam gotowa na wszystko, chciałam od

razu rzucić mu się do oczu. Zostawiłam pranie, zmywanie, dojenie i całe to biedowanie, na które mnie skazał. Kazałam pilnować wszystkiego temu głupiemu rządcy, bo jadę z Alastaiem do Londynu. A kiedy przyjechałam, nie było żadnego spotkania z panem Percym Loftem, panem Zastrąncem Muspole'em i całą tą bandą, tylko drań zabrał mnie na Bond Street do najdroższych sklepów, nakupował mi tam strojów i traktował mnie jak księżniczkę: limuzyny, restauracje, haleczki, jedwabie - klócić się możemy potem, no nie?

- Właśnie że nie. Trzeba było od razu... - mówi Pym.

- Ale jeżeli on wdeptywał mnie w błoto przez te wszystkie lata, to co w tym dziwnego, że chciałam się odegrać, odebrać mu wszystko, co mi zabrał, do ostatniego pensa? - Znowu przedrzeźnia Ricka: - "Zawsze mi się podobałaś, Peggy, dobrze o tym wiesz. Równa z ciebie dziewczyna, drugiej takiej ze świecą szukać. Ja tam zawsze lubiłem patrzeć na ten twój śliczny, irlandzki uśmiech, i zresztą nie tylko na uśmiech". Dla dzieciaka zresztą też miał niespodziankę. Wziął nas na mecz Arsenalu, siedzieliśmy na trybunie honorowej razem z lordami i Bóg wie kim, potem kolacja u Quaglino, w końcu Rick to swój chłop, i wielki tort był na cześć Alastaira, z wypisanym imieniem na górze, szkoda, że nie widziałeś, jaką chłopak miał minę. Następnego dnia zabrał nas na Harley Street, żeby lekarz specjalista posłuchał, jak Alastair kaszle. I jeszcze dał mu złoty zegarek z monogramem, za to, że był taki dzielny: „Od R.T.P. dla dzielnego młodzieńca”. A wiesz co? Całkiem podobny do twojego. Ten też jest złoty? Więc po paru dniach takiego traktowania musiałam przyznać, że twój ojciec jest drań, ale są gorsi, bo mało który poczęstowałby mnie potem choćby starą bułką, a co dopiero tortem na pół stołu u Quaglino. Potem ktoś zabrał dzieciaka do domu, żeby już poszedł spać, a dorośli pójdą sobie do lokalu, żeby się trochę zabawić. Czemu nie, skoro mu się podobam? Która kobieta nie odłożyłaby kłótni na potem? Więc czemu nie?

Mówi tak, jakby Pyma już przy niej nie było - i ma rację. Pym nie może już jej słuchać, ale ciągle ją słyszy. I teraz też ją słyszę, ten jej niekończący się, dręczący, niszczący bełkot. Teraz opowiada swoją historię pustym straganom na targu, ale

Pym ogłuchł, umarł, jest wszędzie, tylko nie z nią. Jest w Zapasowym Domku w szkole, budzi go ze snu podniesiony głos Ricka i szlochanie Lippsie. Jest w łóżku Dorothy w Glades, nudzi się jak mops i całymi dniami patrzy, przekrzywiając głowę, przez okno w białe niebo. Jest na strychu gdzieś w Szwajcarii i zastanawia się ciężko, dlaczego zabił przyjaciela, by sprawić przyjemność wrogowi.

Peggy opisuje nie tylko swoje szaleństwo, lecz i szaleństwo Ricka. Słowa toczą się jak kamienie dnem pędzącego strumienia i Pyma też zaczyna ogarniać szal nienawiści. Peggy opowiada teraz o przechwałkach Ricka: że był kochankiem lady Mountbatten, że mówiła, że był lepszy od Noela Cowarda. Że ciągnęli go na ambasadora w Paryżu, ale odmówił, bo nie miał cierpliwości do żabojadów. I o tej głupiej zielonej szafce na dokumenty, w której trzyma te swoje drańskie tajemnice. Co za wariat, żeby opowiadać godzinami coś, za co może potem nieźle beknąć! Bo zaprowadził mnie do niej na bosaka, w koszuli nocnej, patrz, dziecko, mówił. Tu jest wszystko zapisane, wszystko co dobre i wszystko co złe. Dowód jego niewinności, jego uczciwości. Jak będzie sądzony, bo na pewno będzie, wszystko, co jest w tej szafce, zostanie złożone na szalę i wtedy zobaczymy, kim naprawdę jest, i stanie po stronie aniołów, a my, biedni grzesznicy, dalej będziemy karmić go naszą krwawicą. Tak to postanowił oszukać Najwyższego - co za bezczelność! I to żeby baptysta!...

Pym pyta, skąd wiedziała, gdzie szukać.

- Widziałam, jak przywieźli to paskudztwo - mówi Peggy. - Pilnowałam hotelu Searle'a od pierwszego dnia kampanii. Ten pedał Cudlove specjalnie pojechał po nią limuzyną, wiesz, ile samo to musiało kosztować? Ten sukinsyn Loft pomógł mu znieść ją do piwnicy, chyba pierwszy raz w życiu ubrudził sobie ręce. Rick bałby się zostawić ją na tak długo w Londynie. Ja muszę mieć dowody, Magnus - powtarza w kółko. Pym odprowadza ją bladym świtem do jej obskurnej noclegowni; do końca nie udało mu się powstrzymać tego natrętnego, żalostnego głosu. - Jeżeli rzeczywiście to tam jest, jak mówi, ja mu to zabiorę i zrobię z tego użytek, przysięgam. Zgoda, trochę na mnie wydał, ale ile są warte pieniądze, kiedy oszukał mnie w

miłości? Ile są warte pieniądze, kiedy on chodzi po ulicy jak wielki pan, a mój John gnije w grobie? I cała ulica oklaskuje swojego Ricka? I do nieba może też dostanie się przez oszustwo? Na co komu taka biedna, otumaniona ofiara jak ja, która pozwoliła mu zrobić ze sobą wszystko i będzie się za to smażyć w piekle, jeżeli nie zrobi tego, co do niej należy i nie pokaże światu, co to za kawał drania? Wiesz, gdzie są dowody? Pytam się.

- Proszę przestać - mówi Pym. - Już wszystko rozumiem.

- Gdzie sprawiedliwość? Jeśli ma to tam, już ja mu załatwię sprawiedliwość. Bo na razie mam tylko te parę listów od Lofta, ale to na nic, muszę mieć więcej.

- Proszę spróbować się uspokoić - błaga jeszcze raz Pym. - Bardzo proszę.

- Oczywiście, byłam już u tego idioty D'Allaneya, konserwatysty. Wyczekałam się pół dnia, ale w końcu mnie przyjął. Mówię mu: „Rick Pym to oszust”. Tylko po co mówić coś takiego konserwatystom, przecież to też banda oszustów. Poszłam do laburzystów, ale oni pytali w kółko: „Co on takiego zrobił?”. Powiedzieli, że się tym zajmą, ale czegoż oni się dowiedzą, biedacy?

Mattie Searle zamiata podwórze. Pym obojętnie przyjmuje jego badawcze spojrzenie. Pym kroczy godnie, tym samym krokiem, którym tak świetnie dotarł do roweru Lippsie i do Zapasowego Domku, mimo pilnującego go policjanta. Ja jestem władzą, jestem Brytyjczykiem. Proszę zejść mi z drogi.

- Zostawiłem coś w piwnicy - rzuca niedbale.

- Aha - mówi Mattie.

A głos Peggy Wentworth piłuje i piłuje. Jakie echa obudził w duszy Pyma? Dlaczego tak niewolniczo wykonuje wszystko, czego od niego chciała? Bo ona jest zmartwychwstałą Lippsie, która wreszcie przemówiła do niego zza grobu. Bo ona uwolniła mi w głowie cały świat. Ona jest grzechem, którego nigdy nie uda mi się odpokutować. Wsadź głowę pod kran, Pym, trzymaj się kurków, a ja ci wyjaśnię, dlaczego żadna kara nie będzie dla ciebie wystarczająca. Trzymać go o chlebie i wodzie, to syn swego ojca. Czemuś złał się do łóżka, stary? Nie wiesz, że za pierwszy rok, kiedy ani razu się nie zlejesz, już czeka na ciebie

tysiąc funtów? Gotówką? Pym włącza wszystkie światła w biurze, szeroko otwiera drzwi na schody do piwnicy i tupie po nich głośno w dół. Pudła tekturowe, mnóstwo towaru, trzeba jakoś dawać sobie radę. Znowu grafion Michaelów, lepszy od szwajcarskiego scyzoryka. Zamek puszcza, Pym wyciąga pierwszą szufladę, czuje rozlewającą się wokół jasność.

Nazwisko: Lippschitz, imię: Anna, tylko dwie teczki. No, Lippsie, jesteś wreszcie, myśli spokojnie. Krótkie było to twoje życie, co? No, nic, teraz nie mam czasu, ale leż spokojnie, niedługo po ciebie wrócę. Watermaster Dorothy, żona, tylko jedna teczka. To małżeństwo też było krótkie, ale poczekaj, Dorothy, najpierw muszę zająć się innymi duchami. Zamyka pierwszą szufladę, otwiera drugą. Rick, ty sukinsynu, gdzie jesteś? Bankructw cała szuflada. Otwiera trzecią. Bliskość odkrycia rozpała go do białości: powieki, plecy, tors. Ale palce ma lekkie, szybkie, zręczne. Po to właśnie się urodziłem - jeżeli w ogóle się urodziłem. Jestem Bożym detektywem, niosę wszystkim sprawiedliwość. Wentworth, kilkanaście teczek, wszystkie opisane odręcznym pismem Ricka. Pym doskonale pamięta datę listu Muspole'a, z żalem informującego o nieobecności Ricka spowodowanej sprawami wagi państwowej. Przypomina sobie długie wakacje Ricka dla poratowania zdrowia i czas spędzony z Dorothy w więzieniu Glades. Rick, ty sukinsynu, gdzie jesteś? No, synu, przecież jesteśmy kumple, nie? Za chwilę usłyszę szczekanie Herr Bastla.

Otwiera ostatnią szufladę i widzi archiwa sprawy przeciwko R.T. Pymowi, 1938, trzy opasłe teczki, i jeszcze jedną ze sprawy przeciwko R.T. Pymowi, 1944. Wyciąga pierwszą z tych z roku 1938, odkłada, wyciąga ostatnią. Zaczyna od ostatniej strony: orzeczenie sędziowskie, wyrok, postanowienie o natychmiastowym przewiezieniu więźnia do miejsca odbywania kary. W spokojnej euforii wraca do początku i zaczyna od nowa. W tamtych czasach nie używał jeszcze aparatu fotograficznego, kopiarki, magnetofonu. Mógł tylko liczyć na to, co zobaczy, usłyszy, zapamięta, ukradnie. Czyta przez godzinę. To moje powołanie. To misja od Boga. Wy, kobiety, tylko byście nas zadręczały.

Mattie nadal zamiata podwórze, ale Pym widzi go jak przez

mgłę.

- Znalazło się? - pyta Mattie.
- Trochę trwało, ale tak, dziękuję.
- Dobra robota - mówi Mattie.

Pym dociera do swego pokoju, przekręca klucz w zamku, przyciąga krzesło do blatu umywalni, zaczyna pisać - z pamięci, od razu na czysto, nie przejmując się stylem. Słyszy pukanie do drzwi, najpierw nieśmiało, potem głośniejsze. Potem jeszcze ciche, pesymistyczne: „Magnus?” i wreszcie kroki, powoli oddalające się po schodach. Ale Pym jest teraz w swoim żywiole, pogardza kobietami, nawet Judy dla niego się nie liczy. Jej kroki słyszy teraz przed hotelem, furgonetka rusza, najpierw powoli, potem nagle przyspiesza. Szerokiej drogi.

Droga Peggy! - pisze. - Mam nadzieję, że załączone notatki przydadzą Ci się na coś.

Droga Belindo! - pisze. - Muszę przyznać, że oglądać z bliska działanie demokracji to coś fascynującego. To, co w pierwszej chwili wydaje się zbyt prostym narzędziem, okazuje się potem skomplikowanym i wspaniale działającym mechanizmem. Gdy wrócę do Londynu, musimy koniecznie natychmiast się spotkać.

Najdroższy Tato! - pisze. - Dziś niedziela. Za cztery dni będziemy wiedzieć, jak odtąd potoczą się nasze i Twoje losy. Chciałbym jednak już teraz powiedzieć Ci, do jakiego stopnia nauczyłem się szanować odwagę i wiarę w siebie, z jaką prowadziłeś tę trudną kampanię.

Stojący na podwyższeniu Rick ani drgnął. Jego stalowe spojrzenie było wciąż utkwione w Pyma, ale wydawał się całkiem spokojny. Wygląda na to, że przed chwilą na sali nie wydarzyło się nic, z czym nie umiałby sobie poradzić. Teraz skoncentrował się tylko na synu, któremu przyglądał się z niebezpiecznym napięciem. Tego wieczoru Rick miał na sobie swój srebrny krawat męża stanu do szytej u krawca koszuli z kremowego jedwabiu z podwójnymi mankietami i wielkimi spinkami z inicjałami RTP od Aspreya. Przed występem poszedł się ostrzyć; Pym, zmagając się z nim wzrokiem, czuł zapach fryzjerskich kosmetyków. Raz tylko, na jedną, króciutką chwilę, wzrok Ricka pobiegł ku Muspole'owi i Pym domyślił się,

znacznie później, że Muspole musiał dać ojcu jakiś znak. W sali było cicho jak makiem zasiał. Pym nie słyszał ani kaszlnięć, ani skrzypnięć - nawet z pierwszego rzędu, obsadzonego jak zwykle przez stare ciocie, by przypominały Rickowi o jego zmarłych przedwcześnie rodzicach.

Wreszcie Rick odwrócił się i ruszył ku widowni krokiem Szlachetnego Pyma, którym tak często poprzedzał akty szczególnej obłudy. Doszedł do stołu, ale minął go i poszedł dalej. Sięgnął do mikrofonu i wyłączył go: niech w tej chwili nie stanie między nami żadna maszyna. Szedł dalej, aż doszedł do krawędzi podwyższenia, do miejsca, w którym zaczynają się piękne kręcone schody. Wysunął do przodu dolną szczękę, rozejrzał się po wpatrzonych w niego twarzach; nim zaczął mówić, pozwolił, by na chwilę na jego obliczu ukazało się głębokie zamyślenie. Gdzieś na odcinku między Pymem a publicznością rozpiął marynarkę. Uderzajcie, mówił w ten sposób, oto moje serce. Wreszcie przemówił, wyższym głosem niż zwykle, niech wszyscy usłyszą, jakie uczucia nim targają.

- Czy mogłabyś jeszcze raz powtórzyć pytanie, droga Peggy? Ale bardzo głośno, żebyśmy wszyscy słyszeli?

Peggy Wentworth robi to, o co ją prosi. Teraz jednak jest nie tylko oskarżycielką Ricka, ale jego gościem.

- Dziękuję, Peggy. - I zaraz prosi o krzesło dla niej, żeby mogła spocząć, jak wszyscy. Krzesło przynosi sam major Blenkinsop. Peggy posłusznie siada na środku przejścia, jak dziecko, któremu zaraz udzieli się nagany przed całą szkołą. Tak przynajmniej wydaje się Pymowi, i ja też tak sądzę, bo od dawna jestem przekonany, że wszystko, co Rick uczynił tego wieczoru, było od dawna starannie wyreżyserowane. Pym nawet by się nie zdziwił, gdyby kazano jej klęczeć na uprzednio przygotowanym grochu. Myślę, że musieli zauważyć ją na wcześniejszych spotkaniach, więc Rick miał czas. by się przygotować na atak, w końcu nie była to dla niego pierwszozna. Przecież ludzie Muspole'a mogli ją porwać gdzieś na ten jeden wieczór, przecież można było powiedzieć Blenkinsopowi, żeby nie wpuszczał jej na salę, przecież jest tysiąc sposobów, by unieszkodliwić na ten jeden, decydujący wieczór zwariowaną szantażystkę bez grosza przy duszy. Ale

Rick wybrał inaczej, dążył do konfrontacji, jak zawsze. Chciał zostać osądzony - i uznany za niewinnego.

- Drodzy państwo, ta pani rzeczywiście nazywa się Peggy Wentworth. Jest wdową, którą znam i której usiłowałem pomagać od wielu lat, bo wiem, że życie strasznie ją skrzywdziło. Wiem też, że winą za to obarcza właśnie mnie. Mam nadzieję, że na dzisiejszym spotkaniu wysłuchacie wszystkiego, co zechce powiedzieć wam Peggy, że okażecie jej cierpliwość i wyrozumiałość. I że w swej mądrości ocenicie sami, jaka jest obiektywna prawda. Mam nadzieję, że potraktujecie po ludzku i ją, i mnie. Pamiętajcie, jak trudno pogodzić się z nieszczęściem, nie usiłując znaleźć winnych.

Założył dłonie za plecy, złączył stopy.

- Drodzy państwo, moja stara znajoma Peggy Wentworth ma rację. - Nawet Pym, który roił sobie, że zna już wszystkie sztuczki Ricka, nie słyszał jeszcze od niego równie prostej, równie pozbawionej wszelkiej retoryki mowy. - Wiele lat temu, proszę państwa, gdy byłem jeszcze bardzo młodym człowiekiem, który za wszelką cenę chciał osiągnąć sukces - wszyscy kiedyś byliśmy tacy, żądni sukcesu, może gotowi pójść doń na skróty - zdarzyło mi się, że jako goniec w biurze przywłaszczyłem sobie parę pieczętek, co wykryto, zanim odniosłem je na miejsce. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że było to moje pierwsze i ostatnie przestępstwo, że moja matka była już wtedy wdową, jak teraz Peggy Wentworth, że prześladował mnie niedościgniony wzór ojca i oprócz matki musiałem też wykarmić moje siostry. Nie przeczę: to ta odpowiedzialność sprawiła, że przekroczyłem na chwilę granice ślepej Sprawiedliwości. Jej karząca ręka dosięgła mnie aż nadto szybko i zapłaciłem za wszystko pełną cenę. Zapłaciłem i nadal płacę.

Twarz podrywa się do góry, okrągłe dłonie rozłączają się. jedna ręka wyciąga się ku starym ciociom, ale oczy i głos biegną w ciemność, w głąb sali.

- Moi przyjaciele, bo ciebie, droga Peggy, nadal do nich zaliczam, moi wierni przyjaciele z Gulworth North, widzę tu dziś wśród was ludzi wciąż jeszcze dość młodych, by dać się ponieść potrzebie chwili. I widzę takich, którzy bogaci są życiowym

doświadczeniem, których dzieci i wnuki poszły w świat za swym powołaniem, popełniać błędy, lecz i je naprawiać. I was właśnie, ludzi starszych, zapytam o jedno: jeżeli któreś z tych młodych, wasze dzieci, wnuki, albo choćby mój syn, który jest tu wraz ze mną, a który wkrótce ma zostać jednym z najlepszych prawników w naszym kraju, jeżeli którekolwiek z nich popełni kiedyś w życiu błąd, za który odpowie przed społeczeństwem, a potem wróci do domu i powie: „Mamo, to ja, tato, to ja”, kto z was zatrze mu przed nosem drzwi?

Ludzie wstają z miejsc, wołają do niego po imieniu. „Rickie, kochany Rickie, wszyscy będziemy na ciebie głosować!”. Cały sztab też wstaje, Pym widzi przez łzy, że Syd ściska się z Morriem. Rick wyjątkowo nie dziękuje za owację, tylko teatralnie rozgląda się za synem, wołając: „Magnus, synu, gdzie jesteś?”, choć wie doskonale, gdzie jest. Udaje wreszcie, że go znalazł, chwyta go za ramię, unosi je w górę, ciągnie go do przodu, niemal podnosi do góry, ukazując go rozentuzjzowanym tłumowi, wołając: „Tacy jak on, tacy jak on!”. Domyślam się, że chodziło mu o to, że tacy właśnie będą wszyscy młodzi, skruszeni grzesznicy, którzy zapłacili za swe grzechy i teraz wracają do domu, ale nie jestem pewien, hałas był okropny, może Rick w ogóle wołał co innego, na przykład: „Oto mój syn, oto mój syn!”. Jeśli zaś chodzi o Pyma, ten już nie wytrzymuje. Nigdy nie wielbił ojca bardziej niż wtedy, traci dech, klaskaniem ma obrzękłe prawice, ściska oburącz dłoń Ricka, ściska go i klepie po ramieniu, i robi to za wszystkich obecnych, i woła do wszystkich dookoła, jaki morowy jest jego ojciec.

I gdy tak uczestniczy w zbiorowym szaleństwie, wydaje mu się, że dostrzega gdzieś w tłumie bladą twarz Judy i wpatrzone w siebie jej wielkie blade oczy. Chce jej się wytłumaczyć: ojciec mnie potrzebował, musiałem mu pomóc, zapomniałem, gdzie jest przystanek, zgubiłem twój numer. Zrobiłem to dla kraju. Przed schodami ratusza czeka już bentley, Cudlove już otwiera drzwi. Pym odjeżdża w siną dal u boku Ricka, ale ma wrażenie, jakby słyszał głos Judy wołający za nim: „Pym! Ty sukinsynu! Gdzie jesteś?”.

Świta. Pym, nieogolony, siedzi przy biurku, nie cieszy się z nadejścia dnia. Podpiera brodę dłonią, patrzy na zapisaną

przed chwilą ostatnią stronę. Nic nie zmieniaj, nie oglądaj się za siebie, nie patrz w przyszłość. Zrobić to raz a dobrze, potem umrzeć. Dopada go smężna wizja wszystkich kobiet w jego życiu które na próżno czekały na niego na różnych przystankach autobusowych, rozmieszczonych wzdłuż chaotycznej drogi jego życia. Szybko wstaje, robi sobie kawę rozpuszczalną i zaraz wypija ją, choć jeszcze dostatecznie nie wystygła. Potem bierze zszywacz i pisak, i dziarsko zabiera się do pracy - w końcu zawsze byłem tylko urzędasem - do zszywania i numerowania wycinków z gazet.

Najpierw wycinki z „Gulworth Mercury” i „Evening Star” o bohaterkiej obronie własnego honoru przez kandydata z ramienia Partii Liberalnej na ostatnim spotkaniu przedwyborczym. Z obawy przed procesem o zniesławienie dziennikarze unikają bezpośrednich nawiązań do oskarżeń Peggy Wentworth i piszą tylko o energicznym odparciu przez kandydata ataku na jego godność osobistą. To będzie już numer 21a. Cholerny zszywacz się zaciął, to przez to morskie powietrze, wszystko na nim rdzewieje.

Teraz wycinek z londyńskiego „Timesa” - wyniki wyborów uzupełniających w okręgu Gulworth North:

McKechnie (Lab.) 17970, D’Allaney (Kons.) 15711, Pym (Lib.) 6404.

Niemal niezrozumiały komentarz przypisuje zwycięstwo laburzystów „nieodpowiedzialnemu wtrąceniu się liberałów do walki wyborczej”. 22a.

Wycinek z oksfordzkiej „Gazette”, oznajmiający światu, że Magnus Richard Pym otrzymał z wyróżnieniem tytuł licencjata filologii. „Gazette” nie wspomina o nieprzespanej nocy poświęconej przeglądaniu poprzednich egzaminów ani o nieoficjalnym przeszukaniu szuflad biurka profesora, dokonanego z użyciem nieocenionego grafionu Michaelów. 23a.

Zresztą na razie jeszcze nie 23a, bo oznaczając ten właśnie wycinek, Pym nagle odłożył go na stół i popatrzył nań z odrazą, opierając głowę na rękach.

Rick wiedział. Wiedział, sukinsyn. Pym, z głową wciąż ukrytą w dłoniach, wraca do Gulworth. Ojciec i syn jadą bentleyem, obaj kochają wspólne przejażdżki bentleyem. Ratusz oddała się,

Dom Wypoczyнку w Trzeźwości pani Searle jest coraz bliżej. W uszach wciąż jeszcze brzęczy im wrzask tłumu. Świat pozna nazwisko zwycięskiego kandydata dopiero za dwadzieścia cztery godziny, ale Rick już wie, bo osądu i owacji starczy mu na całe życie.

- Coś ci powiem, stary - mówi najłagodniejszym, najspokojniejszym z możliwych tonem. Mijane światła uliczne to wyciągają jego mądrą twarz z mroku, to go w nim kryją, przez co jego triumf sprawia wrażenie, jakby raz był, a raz go nie było. - Nigdy nie należy kłamać. Ja powiedziałem im prawdę. Bóg słuchał. Bóg zawsze wszystko słyszy.

- To było fantastyczne - mówi Pym. - Ale czy mógłbyś nie ścisnąć mnie tak mocno za rękę?

- Żaden Pym nigdy nie był kłamcą, synu.

- Wiem - mówi Pym i sam uwalnia rękę.

- To czemu do mnie z tym nie przyszedłeś? Mogłeś powiedzieć: „Tato” albo „Rick”. jak wolisz, w końcu masz swoje lata, „już nie studiuję prawa, tylko języki, bo pragnę zdobyć dar mówienia wieloma językami. Chcę iść przed siebie jak mój najlepszy kumpel, mój tata, i chcę, by rozumieli mnie ludzie wszelkiej rasy, wyznania i koloru skóry”. Bo wiesz, co bym ci odpowiedział, gdybyś przyszedł z tym do mnie?

Pym jest zbyt wściekły, zbyt martwy, by go to obchodziło.

- Na pewno zachowałbyś się jak równy gość - mówi.

- Powiedziałbym: „Synu, jesteś teraz dorosły. Wszystkie decyzje musisz podejmować sam za siebie. Twój tata może tylko stać na bramce, Pan Bóg podaje, ale strzelasz ty”. - Chwyta Pyma za dłoń i o mało nie łamie mu palców. - Nie odsuwaj się tak ode mnie, stary, nie gniewam się na ciebie. Jesteśmy kumple, nie pamiętasz? Nie musimy skradać się na palcach, zaglądać sobie nawzajem do kieszeni, do szuflad, gadać z wariatkami po piwnicach. My możemy rozmawiać ze sobą prosto z mostu. Karty na stół. No, wytrzym gały i ukochaj kumpla.

Wielki mąż stanu wielkodusznie wyciera Pymowi łzy wściekłości i bezsilności jedwabną chusteczką z monogramem.

- Masz dziś ochotę na porządny, angielski stek, synu?

- Nie bardzo.

- Nasz Mattie robi nam dziś z cebulką. Chcesz, możesz zaprosić Judy. Potem wszyscy razem zagramy sobie w bakarata, na pewno dziewczyna będzie się świetnie bawić.

Pym unosi głowę, bierze z powrotem do ręki pisak, wraca do pracy.

Fragment protokołu z posiedzenia uczelnianego kola Partii Komunistycznej, wyrażający żal z powodu odejścia tow. M. Pyma, niestrudzonego bojownika za Sprawę. Serdeczne podziękowanie za wielki trud. 24a.

Smutny list od kwestora college'u Pyma z załączonym rachunkiem za ostatni semestr, z dopiskiem „brak odpowiedzi”. Podobne listy i rachunki od firm Blackwell, Parker (księgarnie) i Hall Brothers (usługi krawieckie). 24c.

Wycinek z londyńskiej „Gazette” z 29 marca 1951, obwieszczający kolejne bankructwo RTP i osiemdziesięciu trzech przedsiębiorstw będących jego własnością.

Wezwanie z londyńskiej prokuratury dla Pyma w celu wyjaśnienia jego związków z ww. przedsiębiorstwami. 36a.

Wojskowa karta mobilizacyjna, niespodziewana szansa na ocalenie. Natychmiast wykorzystana.

- Mogę trochę z panią posiedzieć? - zapytał Pym, cicho otwierając drzwi do kuchni.

Ale jej krzesło jest puste, ogień w kominku wygasi. Pym pomylił się. To nie wieczór, lecz poranek się zbliża.

Rozdział 12

Ten sam świt, ale dziesięć minut wcześniej. Właśnie na tę chwilę czekał Brotherhood, czuwając samotnie w swym obskurnym mieszkanku, coraz wyraźniej przypominającym pojedynczą celę, wypatrując na niespokojnym londyńskim niebie obrazów z własnej przeszłości - to zabawa na świeżym powietrzu dla ludzi, którzy nie lubią wychodzić z domu. Ileż razy wysiadywał tak w pontonach, na górskich zboczach Arktyki, futrzanymi rękawicami przyciskając do uszu słuchawki, by uchwycić szept, który przekona go, że życie jeszcze istnieje? Tu, w pokoju łączności na górnym piętrze centrali nie było ani słuchawek, ani czterdziestostopniowego mrozu,

przegryzającego się przez przemoczone ubranie i odmrażającego operatorowi palce, ani dynama przy rowerze, na którym jakiś głupek musi pedałowac do usranej śmierci. Ani anteny, spadającej na człowieka w najgorszym z możliwych momencie. Ani dwutonowej walizki, którą trzeba ukryć w twardej jak skała ziemi, kiedy czuło się na karku oddech szkopów. Tu są śliczne, świeżo odkurzone, szarozielone pudełka, ze ślicznymi diodkami i lśniącymi pokrętłami. I tunery, i wzmacniacze. I wygodne fotele dla wielkich panów, żeby mieli na czym sadzać swoje śliczne pupki. I jakieś dziwne skondensowanie powietrza, które chwyta za skórę głowy, gdy człowiek wpatruje się w zielone cyferki odmierzające ostatnie lata życia: teraz mam czterdziestkę, czterdzieści pięć, siedemdziesiąt, i już zostało mi tylko dziesięć minut życia.

Na podwyższeniu dwaj chłopcy w słuchawkach kręcą pokrętłami i przeszukują częstotliwości. Oni już nie dowiedzą się, jak to było, pomyślał Brotherhood. Pójdą do grobu z przekonaniem, że życie można kupić w proszku w torebce. Brammel i Nigel siedzieli na dole jak producenci przesłuchujący aktorów. Za nimi jeszcze z kilkanaście cieni, na które Brotherhood nie zwracał uwagi. Zauważył Lorimera, potem Kate - chwala Bogu, pomyślał, że choć ona jeszcze żyje. Na skraju sceny Frankel smutno wyliczał dotychczasowe niepowodzenia coraz silniejszym środkowoeuropejskim akcentem.

- Wczoraj wieczór, dziewięta dwadzieścia czasu lokalnego, placówka w Pradze kazała komuś zatelefonować z budki do Strażnika - mówił. - Numer zajęty. Próbował jeszcze z pięć razy przez kolejne dwie godziny z różnych części miasta. To samo. Próbował do Węgorza. Abonent wyłączony. Nikogo nie ma, wszyscy gdzieś poznikali. W południe placówka wysłała dziewczę - mają tam jedno - do stołówki, gdzie córka Węgorza chodzi na obiad. Dziewczę ma szesnaście lat, jest małe, ale twarde. Siedziała w stołówce dwie godziny, w obu salach, obejrzała też kolejkę. Po córce Węgorza ani śladu. Dziewczę sprawdziło jeszcze listę obecności w fabryce. Nagadała na portierni, że mieszka z córką Węgorza, uwierzyli, takie to niewinne, córka Węgorza ani nie podpisała listy, ani nie przyniosła zwolnienia. Ani dymu, ani popiołu.

Napięcie rośnie. Już nikt do nikogo nie mówi, wszyscy mówią do siebie. Ciągłe przychodzi ktoś nowy. Ilu ludzi trzeba, żeby z honorem pogrzebać całą siatkę? - pomyślał Brotherhood. Już tylko osiem minut.

Frankel kontynuował swój lament:

- Wczoraj, siódma rano czasu lokalnego, placówka w Gdańsku posłała dwóch chłopaków, żeby naprawiali druty telegraficzne na końcu uliczki, gdzie mieszka Wesolek. Uliczka jest ślepa, więc nie mogliby go przegapić, gdyby wychodził. Zwykle jedzie do pracy samochodem, wyjeżdża o siódmej trzydzieści. Ale wczoraj auta przed domem nie było, bo najczęściej parkuje na ulicy. Wczoraj nie. Chłopcy tak się ustawili, żeby widzieć frontowe drzwi. Ani razu się nie otworzyły. Ani Wesolek, ani nikt inny nie wchodził i nie wychodził. Na dole story zasłonięte, nie świeci się, żadnych świeżych śladów kół na podjeździe. Wesolek ma dobrego znajomego, architekta. Czasem idą gdzieś na kawę przed pracą. Architekt nie jest nasz, w każdym razie nie mam go na liście.

- Nazywa się Wencel - mówi Brotherhood.

- Wencel. Jeden z chłopaków zadzwonił do pana Wencła i powiedział mu, że zachorowała mama Wesolka. „Nie wie pan, gdzie go mogę złapać?”. Pan Wencel powiedział, żeby spróbować w instytucie, a bardzo chora? Chłopak na to, że chyba umierająca. Wesolek musi się pospieszyć. „Proszę mu przekazać”, mówi nasz chłopak, „że Maksymilian prosił mu przekazać, żeby jak najszybciej odwiedził mamę w szpitalu”. Imię Maksymilian to sygnał, że jest po ptokach, że koniec, szlus, w nogi, nie tracić czasu na rutynowe procedury, po prostu spieprzać. Nasz chłopak jest pomysłowy, skończył rozmowę z Wenclem, dzwoni do instytutu. „Dzień dobry, tu Maksymilian. Szukam pana Wesolka, to ważne. Proszę mu przekazać, że dzwonił Maksymilian w sprawie matki”. A tam mu mówią: „Wesolka nie ma dziś w pracy, ma konferencję w Warszawie”.

Brotherhood już się wtrąca:

- Na pewno by czegoś takiego nie powiedzieli - warknął. - Instytut jest supertajny, nikomu nie mówią, gdzie jest ich jakiś pracownik, na miłość boską. Ktoś tu gra z nami w bambuko.

- Tak, tak, Jack, ja też tak uważam. Proszę dalej.

Parę głów obraca się, by odszukać wzrokiem Brotherhooda.

- Skoro stracili kontakt z Wesołkiem, spróbowali połączyć się bezpośrednio z Wolterem - ciągnął Frankel i urwał. - Wolter jest chory.

Brotherhood zaśmiał się gniewnie.

- Wolter? Przecież on w życiu nie chorował.

- W ministerstwie powiedzieli, że chory, Jack, żona mówi, że chory, kochanka mówi, że chory. Obzął się jakichś niepewnych grzybów, musiał pójść do szpitala. Taka jest oficjalna wersja. Wszyscy mówią to samo.

- Oficjalna wersja. Brawo.

- Czego ty chcesz, Jack? To powiedz mi, co sam zrobiłbyś inaczej. Proszę bardzo. Jack, kompletna cisza, nikogo nie ma, jak po bombie.

- Mówiłeś, że mu coś wyślesz.

- Wesołkowi wysłałem wczoraj. Pieniądze i instrukcje. - I co?

- Nieodebrane. Ani pieniądze, ani instrukcje nieruszone. Pieniądzy potąd, nowe papiery, mapy, wszystko. Węgorzowi zostawiliśmy dwa znaki, jeden, żeby się skontaktował, drugi, żeby się ewakuował. Zasłona na piętrze, światło w piwnicy. W porządku, Jack? Zgodnie z ustaleniami?

- Zgodnie, zgodnie.

- No, I Węgorz nie odpowiedział. Nie dzwonił, nie pisał, nie przyjechał.

Pięć minut nie słyhać nic, tylko odgłosy milczenia: westchnienia miękkich foteli, zapalanie lampek i zapalek, skrzypienie butów chłopców o podłogę. Kate spojrzała na Brotherhooda, ten odwzajemnił się pełnym otuchy uśmiechem. Bo zaraz odezwał się: „Myślimy o tobie, Jack”, ale Brotherhood nawet nie zaszczycił go spojrzeniem i najwyraźniej w ogóle o nim nie myślał. Zadzwęczał dzwonek, jeden z chłopców na podwyższeniu oznajmił: „Węgorz nadaje, proszę pana. Bardzo punktualnie”, i zaczął kręcić pokrętłami. Nad jego głową zamrugła biała dioda. Drugi chłopiec wcisnął jakiś guzik. Nikt nie zaczął klaskać, nie zerwał się z miejsca, nie zakrzyknął: „Żyją!”.

- Zgłosił się operator Węgorza, jest gotowy do nadawania, Bo - powiedział niepotrzebnie Frankel. Za jego plecami chłopcy

wykonywali automatyczne ruchy, skupieni wyłącznie na swych słuchawkach. - Teraz będzie nasza pierwsza transmisja. Tylko taśma, nic na piśmie. Węgorz to samo. Przyspieszony Morse, przewijany od obu końców naraz. Transmisja trwa półtorej minuty, może dwie. Odszyfrowanie trwa może pięć... Rozumiesz? Mówimy mu: „Jesteśmy gotowi, możesz nadawać”. Więc teraz zaczyna Węgorz. Widzisz to czerwone światelko? Jak się pali, to znaczy, że mówi. O, skończył.

- Coś szybko skończył - powiedział przeciągle Lorimer, nie wiedząc do kogo. Lorimer miał doświadczenie w traceniu agentów.

- Teraz czekamy na odszyfrowanie - powiedział Frankel do widzów. Trochę zbyt wesoło. - Trzy minuty, może pięć. Czas na papierosa. Możemy się zrelaksować, Węgorz żyje i ma się dobrze.

Chłopcy przekładali taśmy, przestawiali sprzęt.

- Chwała Bogu, że żyje - powiedziała Kate. Kilka głów szybko odwróciło się w jej stronę, takie zdziwienie wzbudziło tak jawne okazywanie uczuć, dość rzadkie wśród wielkich dam z Piątego Piętra.

Szare taśmy przewijały się równocześnie. Przez chwilę słychać było arytmiczne popiskiwanie Morse'a, które po chwili urwało się nagle.

- O, o - powiedział cicho Lorimer.

- Puśćcie to jeszcze raz - rzucił Brotherhood.

- Co się stało? - spytała Kate.

Chłopcy przewinęli taśmy do początku, znów włączyli odczyt. Jak poprzednio zabrzmiał Morse i jak poprzednio nagle umilkł.

- Może jakiś błąd po tamtej stronie? - zapytał Lorimer.

- Na pewno - powiedział Frankel. - Albo taśma im się zerwała, albo zakłócenia w jonosferze. Za minutę i tak zgłosi się znowu. Spokojnie.

Wyższy z dwóch chłopców ściągnął słuchawki.

- Może to odszyfrujemy, proszę pana? - powiedział. - Czasem, jak mają problem, próbują nam o tym powiedzieć na samym początku.

Frankel skinął głową, chłopiec przeniósł taśmę na maszynę

na drugim końcu aparatury. Rozległ się terkot drukarki. Nigel i Lorimer szybko podsunęli się do podwyższenia. Terkot ustał. Nigel władczym gestem wydarł z niej papier z drukarki i trzymał go tak, by mógł przeczytać i on sam, i Lorimer. Brotherhood już kroczył w ich kierunku. Wszedł na podwyższenie i wydarł wydruk z ich niestawiających oporu dłoni.

- Jack, nie - powiedziała półgłosem Kate.

- Nie co? - zniecierpliwiał się Brotherhood. - Nie przejmuj się, co się stanie z twoimi agentami? Co nie?

- Może każ im wydrukować jeszcze jeden egzemplarz, dobrze? - grzecznitko zwrócił się do Frankela Nigel. - Żebyśmy nie musieli się rozpychać i nawzajem wyrwać sobie tych kartek.

Brotherhood trzymał wydruk przed sobą. Nigel i Lorimer ustawili się potulnie po obu jego stronach i czytali mu przez ramię.

- Zwykły raport, Bo - oznajmił Nigel, nie przestając czytać. - Ma tego być trzysta siedem grup długości. Na razie doszło czterdzieści jeden. Temat: rozmieszczenie baz wyrzutni sowieckich w górach na północ od Pilzna. Raport agentki Mirabeau sprzed dwóch tygodni, oparty na raporcie jej chłopaka z Armii Czerwonej, pseudonim Leon. Ten Leon chyba już przysłużył się nam parę razy. No więc to idzie tak: „Talleyrand potwierdza przejazd transporterów”, i tu przekaz urywa się w pół zdania. Pewnie taśma im się zerwała. Chyba że, jak mówiliście, sygnał natrafił na fatalne warunki.

Tymczasem Frankel już wydawał polecenia wyższemu chłopcu.

- Nadaj im, że straciliśmy sygnał. Ale już. Żeby powtórzyli. I że jeżeli teraz im się nie uda, czekamy do skutku. I że żądamy sprawdzenia obecności w całej siatce. Macie na to gotowy szyfr, czy chcecie, żebym wam coś przygotował?

- Nadajcie wszystko, co się da - rozkazał bardzo głośno Brotherhood. - I niech mi nikt nie płacze, nikomu nic jeszcze się nie stało.

Wepchnął dłonie w kieszenie płaszcza i już był w połowie sali. Nigel i Lorimer stali jeszcze na podwyższeniu jak dwaj ministranci, którzy mają razem odśpiewać psalm responsoryjny. Brammel siedział prosto i robił dobrą minę do złej gry. Kate

patrzyła na niego, ale już bez dobrej miny.

- Nadajcie im, że mają sprawdzić listę, że mają powtórzyć transmisję, że mają rzucić się do Wisły, w tej chwili to już wszystko jedno - powiedział Brotherhood.

- Żal mi go - odezwał się do Lorimera Nigel. - Wiesz, jego ludzie. Dlatego puszczają mu nerwy.

- To nie są żadni moi ludzie, chcesz, możesz ich sobie wziąć, nie ma sprawy. - Rozejrzał się, jakby szukał kogoś rozsądnego. - Frankel, Lorimer, na miłość boską. Jeżeli my złapiemy czyjś kontakt, co zresztą ostatnio nie zdarza się zbyt często, to co robimy? Jeżeli chce, werbujemy go, jak nie chce, idzie do Tower. Coś się zmieniło, bo nie wiem?

- No i co z tego? - Nigel najwyraźniej usiłował go uspokoić.

- Jeżeli go werbujemy, to staramy się, żeby działał dalej, jak dawniej. Dlaczego? Żeby wróg nie domyślił się, że coś się zmieniło. Nie ukrywamy mu samochodu, nie zamykamy domu, nie pozwalamy, żeby on sam czy jego córka zniknęli gdzieś bez śladu. I grzecznie odbieramy wszystkie wiadomości, a nie wymyślamy jakichś bujdy o zatruciu grzybami. Nie walimy w łeb operatorów w połowie transmisji, chyba że naprawdę w ostateczności. Chyba że...

- Nie rozumiem cię, stary - powiedział Nigel, którego Brotherhood otwarcie zignorował. - I prawdę mówiąc, chyba nie tylko ja. Wybacz, ale chyba trochę się zdenerwowałeś i trochę straciłeś kontakt z rzeczywistością.

- Chyba że co, Jack? - powiedział Frankel.

- Chyba że chcemy, żeby wróg wiedział, że zwiniliśmy jego siatkę.

- A czemu miałyby komuś na tym zależeć, Jack? - zapytał ze szczerym przejęciem Frankel. - Możesz mi to wytłumaczyć?

- Może kiedy indziej? - powiedział Nigel.

- Nie ma żadnej siatki. Nie ma i nigdy nie było. Od samego początku. To oni opłacali aktorów, pisali scenariusz. Pym dał się nabrać, ja prawie też. I wy też, tylko do was to jeszcze nie dotarło.

- To dlaczego teraz w ogóle coś wysłali? - zaprotestował Frankel. - Po co mieliby wysłać nam fałszywy, przerwany przekaz? Po co mieliby udawać, że nasze kontakty zniknęły?

Brotherhood uśmiechnął się. Nie wesoło, nie miło, ale zwrócił się z uśmiechem do Frankela.

- Dlatego, stary, że chcą, żebyśmy myśleli, że mają Pyma, a wcale go nie mają - powiedział. - To ostatnie kłamstwo, jakie im zostało. Chcą, żebyśmy przestali go szukać, żebyśmy poszli sobie do domku, bo sami chcą go znaleźć. I to jest pierwsza dobra wiadomość: Pym im też się wymknął i szukają go tak samo jak my.

Wszyscy patrzyli, jak odwraca się i otwiera zasuwę w wyciszonych drzwiach. Biedny Jack, mówili do siebie wzrokiem, gdy zapaliły się światła: praca jego całego życia poszła na marne, stracił tylu ludzi, nie chce się z tym pogodzić. Aż żał patrzeć. Z obecnych tylko Frankel żałował, że Brotherhood sobie poszedł.

- Zażądałeś powtórzenia? - spytał Nigel. - Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Już, już - odpowiedział pospiesznie Frankel.

- No właśnie - rzekł z aprobatą Bo.

Na korytarzu Brotherhood przystanął, by zapalić papierosa. Drzwi znów otworzyły się i zamknęły: Kate.

- Nie wytrzymam - powiedziała. - To szaleństwo.

- To jeszcze nic - rzucił Brotherhood. - To dopiero przygrywka.

Znowu zapadła noc. Mary udało się przeżyć kolejny dzień. Nie rzuciła się, tak jak by wypadało, z okna górnego piętra, nie pisała brzydkich słów na ścianie jadalni. Dość trzeźwa siedziała na łóżku i gapiała się to w książkę, to na telefon. Z telefonu wychodził teraz dodatkowy drucik. Drucik prowadził do małego szarego pudełka i tam się kończył. Za moich czasów takich nie było, pomyślała. Wszędzie teraz te nowe ustrojstwa. Nalała sobie kolejną szklankę whisky - co będzie sobie żałować - ale postawiła ją na stole, bo chciała najpierw dokończyć pewną dyskusję z samą sobą, którą wiodła już od dziesięciu minut. Masz ochotę, to się napij. A nie, to zostaw ją tam, gdzie jest. Była całkowicie ubrana. Powiedziała na dole, że boli ją głowa, ale była to wymówka, by uciec od porażającego towarzystwa Fergususa i Georgie, którzy zaczęli traktować ją z uprzejmością, jaką strażnicy więzienni zachowują dla skazańców przed

powieszeniem.

- A może zagramy w scrabble'a, co, Mary? Nie masz ochoty? To nic. Ależ ta zapiekanka była pyszna, co, Georgie? Moja niania taką robiła. Myślisz, że to dzięki zamrożeniu? Że tak jakby dojrzewała w zamrażalniku?

O jedenastej, pełna wewnętrznego krzyku, zostawiła im zmywanie i poszła do siebie z książką i z liścikiem, z którym ją dostała. Kartka z czerpanego papieru. Ze srebrnymi brzeżkami, jak na rocznicę ślubu. Koperta z takiego samego papieru. W lewym górnym rogu dmie w trąbkę obrzydliwy cherubinek.

Droga Mary,

bardzo mi przykro z powodu śmierci ojca M. Kupiłam dziś tę książkę za półdarmo. Czy mogłabyś oprawić mi ją, jak zwykle - skóra, klejonka i złożony tytuł? Wyklejka jest chyba całkiem nowa, może po prostu ją wyrwij. Grant też wyjechał, więc pewnie wiem, jak się czujesz. Myślisz, że udałoby Ci się skończyć przed powrotem Granta, bo chciałabym to na prezent dla niego? Oczywiście, cena ta sama co zwykle.

Całuski Bee

Trzymając rękę z daleka od whisky, a myśli z dala od pewnej wąsatej zjawy, Mary zaczęła przypominać sobie, czego ją nauczono. To nie było pismo Bee Lederer. Była to podróbka, i to dość niskiej jakości dla każdego, kto znał się na tym choćby odrobinę. Autor postarał się co prawda, by pismo wyglądało na amerykańskie, ale szpiczaste u, n i pozbawione ogonków t świadczyły o wpływach niemieckich. Bee nigdy nie napisałaby „z powodu śmierci ojca”, tylko jakoś znacznie oględniej. I ortografia też była trochę zbyt poprawna - nawet w tak krótkim liściku Bee zrobiłaby przynajmniej jeden błąd. A co do opisu oprawy, to Mary oprawiła dotąd dla Bee tylko trzy książki i Bee nie miała pojęcia, jak to się robi. Dla niej była to tylko kolejna ozdoba regału Granta, bo przypominała jej te wszystkie wspaniałe biblioteki, które widziała w Anglii. Nie, autor musiał coś wiedzieć o książkach - może sam był pisarzem? A co do podejrzenia, że wyklejka może nie być oryginalna - no nie, przecież nie dalej jak miesiąc temu Bee pytała Mary, skąd ma te śliczne tapety, które wkleja pod okładki książek.

Ten liścik jest tak nieudolny, uznała Mary, i tak nie pasuje do

Bee, że musiało to być zrobione celowo: na tyle dobry, by zmylić Fergusa, który odebrał przesyłkę, ale na tyle zły, by zasygnalizować Mary, że chodzi o coś innego.

Na przykład o coś, przed czym ją ostrzegano.

Zorientowała się, że coś jest na rzeczy, gdy tylko otworzyła drzwi doręczycielowi. Ten idiota Fergus czaił się w schowku na płaszcz z tą swoją armatą na wypadek, gdyby doręczyciel okazał się przebrany Rosjaninem - zresztą może nim był, bo Bee w życiu nie wysłała niczego pocztą kurierską. Bee podrzuciłaby książkę osobiście, wracając ze szkoły Becky i gruchałaby przez otwór na listy. Albo przyczepiłaby się do Mary na wtorkowym zebraniu żon, żeby Mary musiała sama dźwigać tę cegłę do domu.

- Pozwolisz, że przeczytam ten list? - zapytał zaraz Fergus.

- Muszę, wiesz, jacy oni tam są w Londynie. Bee? Aha, to będzie Bee Lederer, żona tego Amerykanina?

- Tak, to będzie Bee.

- Oho, jaka ładna książka! I to po angielsku. I jaka stara! - I już przeglądał książkę wyćwiczonymi palcami, zatrzymując się przy każdym dopisku na marginesie, oglądając co którąś stronę pod światło.

- To znaczy: 1698. - Mary musiała mu wyjaśnić rzymskie liczby.

- Boże, ty umiesz to czytać?

- Już mogę ją sobie wziąć?

Stojący w holu zegar wybił północ. Fergus i Georgie na pewno leżeli już błogo w swych ramionach. W ciągu tych włokących się w nieskończoność dni swej niewoli Mary miała okazję przyglądać się rozwojowi ich romansu. Już wczoraj Georgie przyszła na kolację, promieniejąc w sposób charakterystyczny dla kogoś, kto właśnie się bzykał. Za rok dołączą do wielu innych podobnych im par w bardziej usługowych wydziałach Firmy, takich od śledzenia, zakładania mikrofonów, zamiatania, otwierania listów nad parą. Za dwa lata podliczą swe kantowane nadgodziny, podkrecone liczniki i szachrowane diety, i okaże się, że stać ich na pierwszą ratę za dom w East Sheen, na dwoje dzieci i na kursy dokształceniowe, na które i tak dostaną od Firmy zapomogę. Ale ze mnie

zazdrosna świnia, pomyślała bez cienia skruchy Mary. Zresztą w tej chwili sama nie miałabym nic przeciwko godzinie sam na sam z Fergusiem. Podniosła słuchawkę, zaczęła.

- Do kogo dzwonisz, Mary? - Głos Fergusia odezwał się prawie natychmiast.

Niezależnie od fazy, w jakiej znajdowało się jego życie uczuciowe, Fergus był bardzo czujny, jeśli chodzi o podsłuchiwanie rozmów Mary.

- Nudzę się - odpowiedziała. - Chcę sobie pogadać z Bee Lederer. Czy jest w tym coś złego?

- Mary, Magnus jest ciągle w Londynie. Coś go zatrzymało.

- Wiem przecież, znam to na pamięć. Ja też jestem dorosła.

- Regularnie kontaktuje się z tobą przez telefon. Bardzo miło wam się rozmawia, wraca za parę dni. Centrala skorzystała z okazji, żeby urządzić briefing. Tyle.

- Wiem, Fergus, umiem mówić.

- Normalnie też dzwoniłabyś do niej tak późno?

- Gdyby nie było i Magnusa, i Granta? Pewnie.

Mary usłyszała cichy trzask, potem sygnał. Wykręciła numer i Bee zaraz zaczęła jęczeć. Ale mam okres, cholera, mówiła, głowa mi pęka, mam skurcze, pocę się, wszystko. Zimą zawsze tak miewała, szczególnie pod nieobecność Granta, żeby ją obsłużył. Chichot i:

- Och, Mary, ale mi tego brakuje. To chyba jeszcze nie znaczy, że jestem dziwka?

- Dostałam śliczny i długi list od Toma - powiedziała Mary. Kłamstwo. List był długi, ale wcale nie śliczny, bo w całości poświęcony opisowi odwiedzin wujka Jacka i radości z tych odwiedzin. Mary dostała gęsiej skórki na samą myśl.

Bee oświadczyła, że Becky tak uwielbia Toma, że to aż nieprzyzwoite.

- Wyobrażasz sobie, co się stanie, kiedy te dzieciaki odkryją la différence!

Oczywiście, pomyślała Mary. Serdecznie się znienawidzą. Zaczęła wypytywać Bee, co robiła przez cały dzień. Kurczę, same pierdoły, odpowiedziała elegancko Bee. Umówiła się na squash z Cathie Krane z ambasady kanadyjskiej, ale z powodu stanu Bee poszły tylko na kawę. Potem sałatka w klubie, Matko

Boska, nauczyłyby ktoś tych cholernych Austriaków robić sałatki. A po południu wyprzedaż z przeznaczeniem na pomoc nikaraguańskim kontras, tylko że kogo, do cholery, obchodzą nikaraguańscy kontras?

- Powinnaś wyjść sobie coś kupić - zaproponowała Mary. - Sukienkę, antyk, nie wiem.

- Słuchaj, ja nie mogę się nawet nigdzie ruszyć. Wiesz, co ten kretyń zrobił? Jadąc na lotnisko, oddał audi do serwisu. Że niby jak nie mam auta, to nie będę się puszczać.

- Wiesz co, lepiej skończmy - powiedziała Mary. - Mam przecucie, że Magnus znowu zadzwoni do mnie w środku nocy, tak jak lubi, i będzie awantura, jeżeli się nie dodzwoni.

- A jak on to znosi? - zapytała niejasno Bee. - Beczy co chwilę, czy już się pogodził? Bo niektórzy faceci to chyba całe życie marzą tylko o tym, by wykastrować swoich ojców. Żałuj, że nie słyszałaś, co czasem wygaduje Grant.

- Nie wiem, jak Magnus, zorientuję się, jak wróci - powiedziała Mary. - Przed wyjazdem prawie nic nie powiedział.

- Aha, tak go rąbnęło? Granta nic nie rusza. Matoł.

- Najpierw rzeczywiście go rąbnęło - przyznała Mary. - Ale teraz już chyba powoli mu przechodzi.

Ledwo odłożyła słuchawkę, telefon zabrzączał, ale na rozmowę wewnętrzną.

- Mary, czemu nie wspomniałaś o tej ślicznej książce? - narzekał Fergus. - W ogóle myślałem, że w tej sprawie dzwonisz.

- Powiedziałam ci, dlaczego dzwonię. Dlatego, że się nudzę. Bee Lederer przysłała mi kilkanaście książek na tydzień, więc po co mam mówić o jakiejś głupiej książce? Żeby ci zrobić przyjemność?

- Mary, nie chciałem cię urazić.

- Ona też nie wspomniała o książce. Zresztą wszystko mi napisała. - Za ostro, pomyślała, przeklinając się w myśli. - Słuchaj, Fergus, przepraszam, jestem zmęczona i rozdrażniona. Daj mi spokój i wracaj do tego, co wychodzi wam najlepiej.

Wzięta książkę do ręki. Nic, żadna inna książka nie określiłaby lepiej nadawcy. De arte graphica C.A. du Fresnoy, z

uwagami. Przekład całości wraz z oryginalną przedmową o porównaniu malarstwa i poezji. W angielskim przekładzie pana Drydena. Jednym haustem Mary wychyliła szklanekę whisky. Nie miała najmniejszych wątpliwości: to ten sam egzemplarz. Magnus przyniósł mi go kiedyś w Berlinie, jeszcze gdy należałam do Jacka. Przyleciał z nią po schodach jak na skrzydłach. Jedną ręką trzymał książkę, drugą walił w stalowe drzwi Działu Kartograficznego, bo taka była nasza przykrywka. „Ej, Mary, otwieraj!”. Wtedy jeszcze nie byliśmy kochankami, ale już mówiliśmy sobie po imieniu. „Słuchaj, możesz zrobić coś dla mnie? Na wczoraj? Możesz wprawić tu w okładkę CD? Tak żeby zmieścił się jeden arkusz materiału z szyfrem? Zdasz na wieczór?”. Udałam, że nie rozumiem - już wtedy zaczynaliśmy flirtować - że CD to nalepka na samochody dyplomatów, co dało Magnusowi okazję wytłumaczyć mi z całą powagą, że CD to po angielsku concealment device, czyli po prostu schowek, i że Jack Brotherhood powiedział mu, że nikt tego nie robi tak dobrze jak Mary. „Mamy skrytkę w księgarni”, tłumaczył Magnus. „Jeden z moich kontaktów ma fioła na punkcie bibliofilstwa”. Oficerowie prowadzący własne kontakty zwykle o nich tyle nie opowiadali.

Więc ściągnęłam wyklejkę, wspominała, i delikatnie zabrałam się do okładki. Zeskrobałam tyle oprawy, że dogrzebałam się prawie do skóry. Kto inny zdjąłby po prostu skórę i zrobił schowek od przodu, ale nie Mary. Dla Magnusa musiała postarać się specjalnie. Następnego dnia zaprosił mnie na kolację, a w dwadzieścia cztery godziny później poszliśmy do łóżka. Nazajutrz rano powiedziałam Jackowi, co się stało, a on był bardzo dzielny i miły, powiedział, że mamy oboje wiele szczęścia, że się usunie, że proszę bardzo, jeżeli tak sobie życzę. Powiedziałam, że tak. I z tego szczęścia opowiedziałam Jackowi, że tym, co nas połączyło, była książka De arte graphica. O sztuce malarstwa. I co to za niezwykły przypadek, skoro ja tak pasjonuję się malarstwem, a Magnus od dawna już nosi się z zamiarem napisania powieści życia.

- Dokąd idziesz, Mary? - powiedział Fergus, który niespodziewanie wyrósł na jej drodze w korytarzu. Trzymała w ręce książkę, więc wepchnęła mu ją do rąk.

- Nie mogę zasnąć. Idę do piwnicy, trochę przy tym podłubię. No, wracaj do swojej łubej i dajcie mi oboje spokój.

Zamknęła za sobą drzwi do piwnicy i szybko podeszła do stołu. Za parę minut kochana Georgie przyniesie mi filiżaneczkę herbatki, żeby sprawdzić, czy nie uciekłam do konsulatu sowieckiego albo czy nie podciąłam sobie żył. Nalała do miseczki ciepłej wody, zanurzyła w niej szmatkę i zabrała się za namoczenie wyklejki. Autor liściku naprawdę znał się na rzeczy. Książka z tej epoki byłaby klejona klejem zwierzęcym, który na pewno by się skryształizował. Mary, przygotowując ją wtedy dla Magnusa, też użyła kleju zwierzęcego. Ale nowy papier został przyklejony zwykłym klejem roślinnym, który szybko zareagował na wodę. Teraz to pracowała szmatką, to skrobała. W normalnych warunkach użyłaby bibuły i przycisku. Wyklejka w końcu odeszła w całości, została sama oprawa. Mary wzięła skalpel i zaczęła skrobać ją ostrzem. No, jeżeli oprawa jest konopna, to mam przerąbane. Taką oprawę robiono z lin okrętowych, nasmolonych, poskręcanych, upakowanych - zdrapanie takiego czegoś trwałoby kilka godzin. Ale niepotrzebnie się martwiła: okazało się, że ma do czynienia ze współczesnym kartonem, który dawał się kruszyć jak sucha glina. Potarła jeszcze trochę i nagle oczom jej ukazało się płótno z szyfrem, rozpostarte na spodzie skóry, dokładnie tam, gdzie umieściła je kiedyś dla Magnusa. Tylko że to już był inny szyfr. Zaczynał się od „Droga Mary”. Wepchnęła płótno za dekolt, znów wzięła do ręki skalpel i zaczęła usuwać resztę wyklejki, żeby wyglądało, że rzeczywiście zamierza oprawić książkę w nową skórę.

- Pomyślałam sobie, że muszę przyjść popatrzeć, jak to robisz - wyjaśniła Georgie, rozsiadając się przy niej. - Mary, jak ja bym chciała mieć jakieś takie hobby! Cały czas jestem taka spięta...

- Ojej - powiedziała Mary.

Zapadła noc. Brotherhood był zły. Był zły, chociaż szedł już ulicą, daleko od Firmy i wszystkiego, co jej jest, choć miał zaraz znaleźć zapomnienie w pracy i działaniu. Jego złość narastała stopniowo od dwóch dni. Dzisiejszy wybuch o agentów był jej prostą konsekwencją. Zaczęło się wczoraj, jakby ktoś zapalił

wolno tłący się lont, gdy wychodził z konferencji w St. John's Wood, gdzie musiał załgać się na śmierć, żeby ocalić skórę Brammela. Złość nie opuszczała go ani na chwilę jak wierny pies przez całe spotkanie z Tomem i podczas wycieczki na stację w Reading: „Pym złamał prawa moralne, z własnego wyboru skazał się na wyjęcie spod prawa”. Dziś przed południem osiągnęła stan alarmowy w pokoju łączności i nadal rosła wraz z każdym bezsensownym zebraniem i każdą straconą godziną. W swej obecnej sytuacji - kogoś, kogo trochę żałowano i całkowicie obarczano winą za to wszystko, kogoś skończonego - Brotherhood musiał wysłuchiwać własnych argumentów używanych przeciwko niemu i mógł tylko bezsilnie przyglądać się, jak jego stara taktyka obrony Pyma zostaje użyta do usprawiedliwiania instytucjonalnego bezwładu.

- Ależ Jack, przecież sam mówiłeś, że to wszystko poszłaki - tokował podczas ostatniej rozmowy Brammel, wielki specjalista od udowadniania, że dwa plusy dają razem minus. - „Przecież jeżeli wprowadzić do komputera dowolny zestaw zbiegów okoliczności, można udowodnić wszystko i wszystko wyda się prawdopodobne”, no, Jack, kto to powiedział? Celowo cię cytuję. Przecież wszyscy przyjęliśmy twój punkt widzenia. Wielkie nieba, nigdy bym się nie spodziewał, że będę musiał bronić Pyma przed tobą!

- Myliłem się - powiedział wtedy Brotherhood.

- No ale kto tak uważa? Coś mi się zdaje, że tylko ty sam. No dobra, czyli Pym trzyma w kominku czeski notes - przyznał Brammel. - I aparat fotograficzny, o którym nie wiemy, z jakąś tam przystawką do kopiowania dokumentów. Wielkie nieba, Jack, pomyśl, ile sam zebrałeś sprzętu przez te wszystkie lata! Pewnie mógłbyś założyć lombard! W porządku, przyznaję, powinien był to zdać. Sam porównałbym go do policjanta, który dostał kupę materiału od informatora. Schował to wszystko u siebie, w jakiejś szufladzie albo w kominku, i któregoś dnia się wydało. Ale przecież to jeszcze nie znaczy, że kradł. Po prostu to dobry policjant, który jest trochę na bakier z regulaminem.

- Pym nigdy nie ryzykował niepotrzebnie - rzekł Brotherhood. - I nigdy nie był na bakier z regulaminem.

- No dobra, a teraz trochę jest. Facet przeszedł załamanie

nerwowe, od razu widać, że zachowuje się nienormalnie, schował się gdzieś, typowe wołanie o pomoc - rozumował Brammel tonem świętej cierpliwości. - Jak go znam, jest u jakiejś baby i niedługo go znajdziemy. No ale sam popatrz. Jack: umiera mu ojciec. Pym to taki bardziej artystyczny typ, zawsze chciał pisać powieść, malować, rzeźbić, sam nie wiem, co jeszcze. I wiek się zgadza: andropauza. A w dodatku te ciągle podejrzenia względem niego... Dziwisz się, że mu trochę odbiło? Ja raczej bym się dziwił, gdyby mu nie odbiło. W porządku, nie pochwalam jego postępowania i muszę z niego wyciągnąć, po co zabrał czarną skrzynkę, choć, jak sam twierdzisz, i tak znał na pamięć wszystko, co w niej jest, bo sam większość z tego napisał, no to co? A jak go znajdziemy, myślę, że dam mu chwilę odpocząć. Ale na pewno nie jest to jeszcze powód, żeby zaraz podnosić raban. Żeby iść do ministra i powiedzieć: „Następny”. A już na pewno nie ma co iść z tym do Amerykanów. Bo wtedy możemy się pożegnać z wymianą informacji, ze wspólnymi bazami danych, z gorącą linią do Langley, która znaczy dla nas o wiele więcej od zwykłych kontaktów dyplomatycznych. Naprawdę chcesz zaryzykować to wszystko, nie mając najmniejszej pewności?

- Bo uważa, że musisz przestać bawić się w wolnego strzelca - powiedział Nigel, gdy znaleźli się przed drzwiami gabinetu Brammela. - Z przykrością wyznam, że podzielałam jego zdanie. Od tej pory koniec ze śledztwem w terenie bez mojego upoważnienia. Masz być pod telefonem i niczego nie inicjować. Jasne?

Jasne, pomyślał Brotherhood, przyglądając się domostwu po drugiej stronie ulicy. Jasne jest przede wszystkim to, że właśnie ryzykuję wysokość emerytury. Usiłował przypomnieć sobie, kto to w mitologii musiał żyć tak długo, by być świadkiem efektów swych złych porad. Dom znajdował się w najlepszym z wielu prześlicznych, starych zakamarków Chelsea, na końcu długiego ogrodu, częściowo tylko widocznego przez bramę. Zanedbanie domostwa tchnęło jakąś szczególną, elegancką dekadencją; odpadający tynk świadczył o wielkopańskiej pogardzie dla cudzej opinii. Brotherhood minął je kilka razy, popatrując w okna na górnych piętrach, szukając w okolicy

kościelnej wieży - to od Pyma nauczył się tych automatycznych skojarzeń. W oknie mansardy na czwartym piętrze za częściowo zasłoniętą kotarą paliło się światło, ktoś właśnie minął je od wewnątrz, zbyt szybko, by się zorientować, mężczyzna czy kobieta.

Jeszcze raz rozejrzał się na wszystkie strony. Nacisnął mosiężny przycisk dzwonka na furtce i czekał, ale niedługo. Pchnął furtkę, która otworzyła się ze skrzypieniem, wszedł, zamknął ją za sobą. Ogród był świetnie zakonspirowaną miniaturką angielskiego krajobrazu, otoczoną z trzech stron wysokim murem. Mur i brak dogodnie położonych okien w okolicznych domach wspaniale zapewniały całkowite odosobnienie. Ucichł nawet hałas ruchu ulicznego. Kamienny chodnik był śliski od niezmięcionych liści. Dom w Szkocji - przepowiadał sobie w myślach - dom w Walii, dom nad morzem, dom z oknem na piętrze i widokiem na kościół, dom i arystokratyczna matka, z którą przemieszkował w pałacach wielkich ludzi. Minął posąg kobiety w udrapowanych szatach, podającej pierś jesiennemu wieczorowi. Dom jako seria współśrodkowych fantazji snuty wokół lejącej samej prawdy. Kto to powiedział: Pym czy on sam? Dom jako obietnice składane niekochanym kobietom. Drzwi frontowe otworzyły się, nim do nich doszedł. Przyglądał mu się przez nie młody służący w krótkiej marynarce wojskowego kroju. Za plecami chłopaka widać było zaniedbane lustro w złotych ramach i lśniący na tle ciemnej tapety żyrandol. „Mieszka z nim niejaki Stegwold”, doniósł Jackowi inspektor Bellows. „Stegwold jest młody, ale ty też jesteś za młody, żebym odczytał ci listę jego wyroków”.

- Sir Kenneth przyjmuje, synu? - zapytał uprzejmie Brotherhood, szurając butami po wycieraczkę i otrząsając płaszcz z wody.

- A skąd mam wiedzieć? Kogo zaanonsować?

- Jestem Marlow i muszę z nim porozmawiać dziesięć minut w pewnej ważnej sprawie.

- A tak w ogóle to pan jest z...

- Z wymiaru sprawiedliwości, synku - odpowiedział wciąż bardzo uprzejmie Brotherhood.

Chłopak o mało nóg nie połamał na schodach. Brotherhood

omiótl spojrzeniem hol. Oryginalne kapelusze. Płaszcz wojskowy, pozieleniały ze starości. Czapka gwardyjska, jak wyżej. Czapka polowa z naszywką Coldstream Guards - no proszę, aż tak elitarna jednostka. Niebieski wazon z porcelany pełny starych kijów golfowych, lasek i rakiet tenisowych. Na schodach znów pojawił się chłopak - tym razem schodził z godnością, jedną ręką dotykając poręczy, nie mógł odmówić sobie efektownego wejścia.

- Pan przyjmie pana, panie Marlow - powiedział.

Nad schodami wisały rzędem portrety samych nieprzyjemnych typów. W jadalni stół nakryty na dwie osoby, ale srebra jak na bankiet. Na kredensie stała karafka, półmisek z wędlinami i sery, ale Brotherhood zorientował się, że jest już po posiłku, gdy zauważył na stole dwa brudne talerze. W bibliotece woniało pleśnią i parafiną z piecyka. Wzdłuż trzech ścian biegła galeryjka, ale brakowało połowy balustrady. Piecyk wstawiono do kominka, przed nim stała suszarka na pranie, pełna skarpetek i męskich slipów. A przed suszarką stał sir Kenneth Sefton Boyd. Miał na sobie aksamitny smoking, rozpiętą pod szyją koszulę i stare jedwabne pantofle z wytartymi złotymi monogramami. Był krzepki, o grubym karku, na jego szczęce i wokół oczu prężyły się pod skórą nierównomiernie rozmieszczone kawałki mięśni. Nawet usta skrzywione były w jedną stronę, jakby ściągane niewidzialną pięścią. Gdy mówił, poruszał tą przekrzywioną częścią warg, druga pozostawała nieruchoma.

- Marlow?

- Jak się pan miewa? - powiedział Brotherhood.

- Czego pan chce?

- Chciałbym pomówić z panem na osobności.

- Z policji?

- Nie całkiem, ale coś w tym stylu.

Wręczył sir Kennethowi legitymację. Niniejszym zaświadcza się, że okaziciel tego dokumentu prowadzi śledztwo w sprawach związanych z obronnością kraju. Potwierdzenie autentyczności uzyskać można w Scotland Yardzie pod numerem wewnętrznym takim a takim. Był to numer wewnętrzny inspektora Bellowsa, który znał na pamięć wszystkie

pseudonimy Brotherhooda. Sir Kenneth oddał wizytówkę, która najwyraźniej nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- A, szpieg.

- Coś w tym stylu, tak.

- Drinka? Piwo? Szkocka? Co pan chce?

- Szkocka, skoro pan taki miły.

- Szkocka, Steggie - powiedział sir Kenneth. - Przynieś mi szkocką, dobrze? Z lodem? Z wodą sodową? Z czym?

- Tylko trochę wody, jeśli można.

- Dobra, Steggie, z wodą. Przynieś mi cały dzbanek, postaw lam, na stole, przy tacy. Sam sobie naleje, ty możesz iść. Aha, przy okazji dolej i mnie. Siądzie pan, Marlow? Może tam?

- Mieliśmy iść do Albionu - powiedział od drzwi Steggie.

- Teraz nie pójdziemy, muszę pogadać z tym facetem.

Brotherhood usiadł. Sir Kenneth usadowił się naprzeciw niego, oczy miał zażółcone, apatyczne. Brotherhood widywał już trupy o żywszym wyrazie twarzy. Sir Kenneth opuścił bezwładnie ręce na kolana, jedna z nich drgała jak wyrzucona na brzeg ryba. Na stoliku, przy którym siedzieli, leżała plansza do trik - traka z urwaną w połowie partią. Brotherhood pomyślał: Z kim grał? Z kim jadł? Z kim słuchał muzyki? Kto grał przede mną to krzesło?

- Dziwi się pan, że przyszedłem? - powiedział Brotherhood,

- Kochany, ja tak łatwo się nie dziwię.

- Czy był tu już ktoś przede mną i zadawał dziwne pytania? Cudzoziemcy? Amerykanie?

- Nic o tym nie wiem. Po co mieliby tu przychodzić?

- Z naszej strony też ktoś jeszcze zajmuje się tą sprawą. Nie wiem, czy już do pana dotarli. Próbowałem dowiedzieć się w biurze, ale wszystko dzieje się tak szybko, że mamy kłopoty z koordynacją.

- A co się dzieje?

- No cóż, wygląda na to, że zniknął pana stary kolega ze szkoły, Magnus Pym. Rozmawiamy z każdym, kto może wiedzieć, gdzie teraz jest. A jedną z tych osób jest pan.

Wzrok sir Kennetha powędrował ku drzwiom.

- O co chodzi, proszę pana? - zapytał Brotherhood.

Sir Kenneth wstał, podszedł do drzwi i szybko je otworzył. Brotherhood usłyszał tupot stóp po schodach, ale nie zdążył zobaczyć kto to, choć aż potracił sir Kennetha, tak się spieszył.

- Steggie, idź sam do Albionu i tam na mnie poczekaj! - zawołał w kierunku klatki schodowej sir Kenneth. - No, idź. Potem do ciebie przyjdę. Nie chcę, żeby podsłuchiwał - zwrócił się do Brotherhooda. - Będzie dla niego lepiej, jeśli niczego się nie dowie.

- Nic dziwnego. Przy takiej kartotece... - powiedział Brotherhood. - A skoro już wstaliśmy, czy ma pan coś przeciwko temu, że rozejrzę się na górze?

- Owszem, mam. I proszę mnie więcej nie dotykać, nie jest pan w moim typie. Ma pan nakaz?

- Nie.

Sir Kenneth wrócił na miejsce, wyciągnął z kieszeni smokinga wypaloną zapalniczkę i zajął się czyszczeniem paznokci jej czarnym końcem.

- To proszę postarać się o nakaz - doradził. - Wtedy panu pozwolę. Albo i nie.

- Czy on tu jest? - zapytał Brotherhood.

- Kto?

- Pym.

- Nie wiem, nie słyszałem. Kto to jest Pym? Brotherhood wciąż stał. Był nienaturalnie bladym i musiał odczekać chwilę, by znów przemówić spokojnym głosem.

- Mam dla pana propozycję - rzekł. Sir Kenneth wciąż jakby nie słyszał.

- Proszę mi go wydać. Proszę po niego pójść na górę, zadzwonić, czy co tam sobie ustaliliście. I wyda mi go pan. W zamian za to nikt się nie dowie o tym, że był pan w to wmieszany, i o Steggu. Bo jak nie, to już widzę te piękne nagłówki w gazetach: „Aryokratyczny parlamentarzysta ukrywał starego przyjaciela”. Istnieje też poważna możliwość, że zostanie pan oskarżony o współudział. Ile lat ma Steggie?

- Wystarczy.

- A ile miał, kiedy tu zamieszkał?

- Proszę sprawdzić, ja nie wiem.

- Ja też jestem przyjacielem Pyma. Szukają go gorsi ode

mnie. Proszę go zapytać. O pana udziale nikt się nie dowie. Proszę mi go wydać i ani pan, ani Steggie już nigdy nie będziecie mieli ze mną do czynienia.

- Wygląda na to, że to pan ma tu więcej do stracenia niż my - powiedział sir Kenneth, przyglądając się efektowi swego manikiuru.

- Nie sędzę.

- No cóż, wszystko zależy od tego, co komu zostało. Trudno martwić się o coś, czego się nie ma. Albo na czym człowiekowi nie zależy. I nie można sprzedać czegoś, czego się nie ma.

- Zdaje się, że Pym może - powiedział Brotherhood. - Wygląda na to, że od jakiegoś czasu sprzedaje tajemnice państwowe.

Sir Kenneth nadal podziwiał swe paznokcie.

- Za forszę?

- Możliwe.

Sir Kenneth pokręcił głową.

- Jemu na forsie nigdy nie zależało, tylko na miłości. Szukał jej, szukał, i nie mógł znaleźć. Pajac. Przesadzał z tym.

- A teraz włóczy się po Anglii z papierami, których nie wolno mu było zabrać, a pan i ja jesteśmy angielskimi patriotami.

- Bardzo wielu ludzi robi to, czego nie wolno. I wtedy właśnie mogą liczyć na starych kumpli.

- Pisał o panu do swojego syna. Nie wiem, czy zna pan tę historię, tę o scyzoryku? Pamięta pan?

- Owszem, pamiętam.

- Kto to jest Stokrotka?

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- A może o nim?

- Sympatyczny pomysł, ale nie.

- A Wentworth?

- Nigdy tam nie byłem. Podobno paskudne miejsce. A co?

- A Sabina? Taka dziewczyna, z którą kręcił w Austrii? Wspominał kiedyś o niej?

- Nie przypominam sobie. Pym kręcił z tyloma dziewczynami... I chyba nie wyszło mu to na dobre.

- Telefonował do pana, prawda? W poniedziałek, z budki? Z przerażającą szybkością sir Kenneth wyrzucił w górę jedną rękę

i wydał ryk radości.

- Uwalił się jak świnia - oznajmił bardzo głośno. - Na śmierć. Ostatni raz był tak pijany chyba w Oksfordzie, kiedy w sześcioro obaliliśmy skrzynkę portwajnu od jego starego. Nie wiem tylko, dlaczego udawał, że dostał ją od jakiegoś pedała z Merton. Przecież w Merton nie było wtedy żadnych pedałów, przynajmniej takich, których stać by było na skrzynkę portwajnu, bo wszyscy byli w Trinity.

Minęła północ. Brotherhood wrócił już do swego więzienia na Shepherd Market i do gołębi na parapecie, nalał sobie jeszcze jedną wódkę i dolał do niej soku pomarańczowego z kartonu. Marynarkę rzucił na łóżko, na biurku przed nim leżał kieszonkowy magnetofon. Słuchał i notował.

- ...Do Wiltshire raczej nie jeżdżę w trakcie sesji parlamentu, ale w niedzielę były urodziny mojej drugiej żony, syn przyjechał ze szkoły, więc pojechałem i zrobiłem, co do mnie należy, i pomyślałem sobie, że zostanę na parę dni i popatrzę, co słychać u wyborców...

Trochę przewinął do przodu.

- ...Zwykle w Wiltshire nie odbieram telefonów, ale ona w poniedziałek ma brydża, ja siedziałem w bibliotece i grałem w trik - traka, więc pomyślałem, a co tam, odbiorę, po co ma jej ktoś przeszkadzać. Było już chyba wpół do dwunastej, ale jak Jean gra w brydża, to prawie do rana. Męski głos. Pomyślałem, że pewnie jej obecny absztyfikant, i że to bezczelność wydzwaniać o tej porze. „Halo, Sef? To ty, Sef?”. Ja na to: „Kto mówi, do cholery?”. „To ja, Magnus. Tata mi umarł, przyjechałem na pogrzeb”. Pomyślałem sobie, cholera, biedak, przecież każdy jest biedny, jak mu umrze stary... Nie za mocna? Może jeszcze wody? Proszę bardzo.

Brotherhood słyszy własny głos, ryczący „Dziękuję” - to gdy pochylił się po dzbanek. Potem słychać powódź - dolewa sobie wody do whisky.

- „A jak tam Jemima?”. Jemima - moja siostra. Oni się kiedyś tego, ale jakoś rozeszło się po kościach. Wyszła za badylarza. Nieprawdopodobna sprawa: facet ma pole kwiatów stąd aż do Basingstoke, przecież to chyba z osiemdziesiąt kilometrów. I wzdłuż całej drogi tylko tablice z jego nazwiskiem,

ale Jemimie chyba to nie przeszkadza. Zresztą ona rzadko się z nim widuje, ma problemy ze sterownością, zupełnie jak ja.

Znowu do przodu.

- ...uwalony. Nie mogłem się wyznać, czy śmiał się, czy płakał. Pomyślałem, że mi go żal, że aż tak się musiał zmaltretować. Wiem, jak to jest. I zanim się połapałem, zaczął nawijać o szkole. Fakt, chodziliśmy razem do szkoły, no, oczywiście, byliśmy razem w Oksfordzie, ale wcześniej też, spędzaliśmy razem wakacje, ale on akurat uparł się, żeby mówić o czymś sprzed czterdziestu lat. Środek nocy, ja mam gości na trik - traka, a on mi gada o tym, że wyrzył scyzorykiem moje inicjały w sraczu dla nauczycieli i załatwił mi baty. „Tak mi przykro, że ci to zrobiłem, Sef”, No i dobrze. Zrobił, i co z tego. Od początku wiedziałem, że to on. Zresztą spieprzył robotę. Wie pan jak? Pajac dał łącznik między S a B, a my nie mamy łącznika. Mówiłem dyrektorowi: „Po co miałbym dawać łącznik, proszę sprawdzić w dzienniku”. Ale i tak dostałem, bo tak, taka już była ta ich sprawiedliwość. Nie miałem większych pretensji, wtedy zawsze ktoś dostawał w skórę, w końcu sam też nie byłem dla niego zbyt miły. Ciągle dokuczałem mu na temat jego starych. Wie pan, ten jego tata to był niezły numer. O mało nie zrujnował mojej ciotki. I do mamy też się przystawiał, chciał z nią sypiać, ale na to była zbyt wybredna. A co do ciotki, to chciał ją nabrać na budowę nowego lotniska w Szkocji, gdzieś w Argyll. Że niby miejscowych ma już w kieszeni, że wystarczy ich wykupić, załatwić pozwolenie i od razu wielka forsa. Jeden mój kuzyn ma pół Argyll, zapytałem go, co jest grane, i okazało się, że wszystko gruby przekręt. Piękna sprawa. A kiedyś byłem u niego w domu, w Ascot, cały dom jak burdel, I kupa bandziorów, a Magnus z każdym per pan. Jego tata startował kiedyś do parlamentu, szkoda, że się nie dostał, byłoby z kim się zabawić... Znowu do przodu.

- ...monetę za monetą. Zapytałem go, gdzie jest, powiedział, że w Londynie, ale że musi dzwonić z budki, bo za nim chodzą. Pytam się: „A co, czyje inicjały tym razem wyryleś?”. To miał być żart, ale on nie załapał. Naprawdę żal mi go było, nie chciałem, żeby się tak rozkleił. Zawsze lubił, żeby wszystko się wokół niego waliło, dopiero wtedy zaczynał działać. Można by mu

sprzedać piramidy w Gizie, wystarczyłoby powiedzieć, że zaraz mają zapaść się pod ziemię. Mówię mu, żeby podał mi numer budki, to oddzwonię. A on na to, że ktoś kazał mi to powiedzieć. To wtedy ja: „Nie wygłupiaj się, co ty gadasz, połowa moich znajomych przed kimś się ukrywa”. On na to znowu, że umarł mu ojciec i że pierwszy raz może przypatrzeć się własnemu życiu. I znowu o tych inicjałach: „Naprawdę, Sef, tak mi przykro”. Mówię mu: „Słuchaj, stary, od razu wiedziałem, że to ty, i nie sądzę, że trzeba do końca życia pokutować za coś, co się zrobiło w internacie. Potrzebujesz forsy? Masz gdzie spać? Może chcesz zatrzymać się w jakimś domku w moim majątku?”. „Tak mi przykro, Sef, gorąco cię przepraszam”. Ja na to: „Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić, a zrobię. Mój londyński numer jest w książce, będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń”. No bo, cholera, trzymał mnie przy telefonie chyba z dwadzieścia minut. W końcu odłożyłem słuchawkę, za pół godziny znowu on. „Halo, Sef, to znowu ja”. Tym razem Jean już się wkurzyła, myślała, że Steggie znowu ma histerię. „Muszę z tobą pogadać, proszę, wysłuchaj mnie”. No cóż, przecież nie rzucę słuchawką, kiedy stary kumpel ma problem!

Na taśmie zegar sir Kennetha wybił dwunastą. Brotherhood notował zawzięcie. Współśrodkowe fantazje, powtórzył, powoli zbliżając się do tego, co w środku - prawdy. Wreszcie znalazł to, czego szukał:

- ...powiedział, że pracuje dla tajnych służb. Wcale mnie to nie zdziwiło, teraz każdy ma z nimi do czynienia. Opowiadał mi o Angliku, dla którego pracował, o jakimś Brotherhoodzie. Szczerze mówiąc, nie bardzo go słuchałem. No więc był ten Brotherhood i był ten drugi. Powiedział, że pracuje dla obu, że obaj byli dla niego jak rodzice, że to dla nich robił to wszystko. Mówię mu, że jak tak, to teraz niech też go pocieszą. Na to on, że napisze o nich dwóch książkę, że opíše wszystko od A do Z. Ale co? Diabli wiedzą. Napisze najpierw do jednego, potem do drugiego, a potem zaszyje się gdzieś i robi swoje. - Brotherhood usłyszał w tle własny, cierpliwy pomruk. - ...zresztą może się pomyliłem, może najpierw gdzieś się zaszyje, a potem do nich napisze, nie wiem, nie uważałem. Pijacy nudzą mnie, bo sam piję.

Pytanie Brotherhooda. Długie milczenie.

Kolejne pytanie. Odpowiedź sir Kennetha jest niezbyt wyraźna:

- Że go prowadził.

- Kto kogo?

- Pym tego drugiego, nie Brotherhooda, tylko tego drugiego. Tego, co go okaleczył, czy coś takiego. Mówiłem panu, załatwił się w trupa.

Znowu Brotherhood, jeszcze bardziej stanowczo:

- ...jakieś nazwisko?

- Chyba nie mówił. Albo nie pamiętam, bardzo mi przykro.

- A gdzie miał się zaszyć? Też nie mówił?

- Nie. Zresztą to jego sprawa.

Brotherhood nie wyłączył taśmy. Huk lawiny - to Sefton Boyd zapala papierosa. Wystrzał z armaty - trzaśnięcie drzwiami obrażonego Steggiego.

Brotherhood i sir Kenneth są już w holu.

- Słucham, stary? - To sir Kenneth, bardzo głośno.

- Pytałem, jak pan myśli, gdzie on może teraz być - mówi Brotherhood.

- Ty twierdzisz, że jest tu, na górze. - Brotherhood przypomina sobie zbliżającą się do jego twarzy napuchniętą gębę sir Kennetha, wykrzywioną tym jego połowicznym uśmiechem. - Będziesz miał nakaz, to może cię tam wpuszczę. A może nie, zobaczą.

Brotherhood słyszy własne kroki. Potem dołącza się znacznie lżejszy odgłos kroków Steggiego. Potem Steggie mówi znacząco: „Dobranoc” i otwiera kolejne zamki w drzwiach. A potem słyhać stłumiony wrzask Steggiego, gdy Brotherhood wyciąga go na zewnątrz, jedna dłoń na ustach, druga na karku. I stuk głowy Steggiego o gipsową kolumnę na ślicznym ganeczku domu sir Kennetha, i własny głos tuż przy uchu chłopaka:

- Już ci to kiedyś robili przy ścianie? Kwik w odpowiedzi.

- Kto tu jeszcze jest, synku?

- Nikt.

- A kto dziś wieczorem chodził tam i z powrotem przy oknie na ostatnim piętrze?

- Ja.
- Czemu?
- Bo to mój pokój!
- Jak to? Myślałem, że dzielicie i stół, i łóżce?
- To co, nie mogę mieć własnego pokoju? W końcu ja też mam prawo do prywatności, tak samo jak on. - I nikogo innego w domu nie ma?
- Nie.
- I przez cały tydzień nikogo nie było?
- Nie. Już mówiłem. Proszę poczekać!
- O co chodzi? - mówi Brotherhood już w połowie drogi do furtki.

- Nie mam klucza. Jak ja się teraz dostanę do środka? Szczęk zatraskiwanej przez Brotherhooda furtki.

Zatelefonował do Kate. Nikt nie odbierał. Do żony. Też nic.

Na dworzec Paddington. Zapisał godziny przyjazdów slipingu Paddington - Reading - Penzance do wszystkich stacji po drodze.

Przez godzinę usiłował zasnąć, potem wrócił do biurka, przyciągnął do siebie dossier z Langley i jeszcze raz wpatrzył się w niewyraźne rysy pana Petza - Hampela - Zaworskiego, prawdopodobnego oficera prowadzącego Pyma, ostatnio widzianego na greckiej wyspie Korfu.....prawdziwa tożsamość nieznaną... członek czeskiej wyprawy archeologicznej do Egiptu 1961 (Petz)... 1966 przydzielony do czeskiej misji wojskowej w Berlinie Wschodnim (Hampel)... wzrost 180 centymetrów, przygarbiony, lekko kuleje na lewą nogę...".

Jak to powiedział Sefton Boyd? „Był ten Brotherhood i był ten drugi. Obaj byli dla niego jak rodzice. Prowadził go”.

A Belinda: „Przecież to twoja wina. Przecież to ty go stworzyłeś”.

Nie przestawał wpatrywać się w fotografię. Te opadłe powieki, ten obwisły wąż, wesole oczka, skryty, słowiański uśmiech. Kto ty jesteś, do cholery? I czemu cię rozpoznaję, jeżeli nigdy cię nie widziałem?

Grant Lederer nigdy jeszcze nie czuł się tak wywyższony, tak spełniony. A więc jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie, mówił sobie, w cichości ducha rozkoszując się swym

triumfem.

Moi panowie stanęli na wysokości zadania. Szlachetna organizacja wystawiła mnie na próbę, a ja jej nie zawiodłem. Wokół niego odizolowana od świata sala konferencyjna na szóstym piętrze ambasady amerykańskiej na Grosvenor Square zapełniała się ludźmi, o których istnieniu dotąd nie wiedział. Przybywali z najodleglejszych zakątków londyńskiej placówki; mimo to miał wrażenie, że każdy nowo przybyły rzuca mu porozumiewawcze spojrzenie. Pomyślał, że ze świecą szukać lepszych Amerykanów, Agencja dobrze wie, jak nas dobierać do tej roboty. Jeszcze nim wszyscy siedli, Wexler zaczął mówić tonem złowrogim:

- No, panowie, kończymy sprawę. Przedstawiam wam Gary'ego. Gary jest szefem naszego wywiadu w południowej Europie. Ma nam do zakomunikowania coś ważnego w sprawie Pyma. Potem zastanowimy się nad dalszym działaniem.

Gary był typowym mieszkańcem stanu Kentucky: wysoki, chudy, dowcipny. Lederer już teraz podziwiał go z całego serca, Obok Gary'ego siedział jego asystent obłożony papierami, ale Gary ani razu z nich nie skorzystał. Zajmowaliśmy się, zaczął bez zbytecznych wstępów, Petzem - Hampelem - Zaworskim, znanym obecnie wtajemniczonym jako PHZ. We wtorek, o dziesiątej dwanaście, wyszedł z ambasady czeskiej w Wiedniu. Nasi ludzie już tam byli. Lederer słuchał zafascynowany, jak Gary przedstawia dokładny plan dnia PHZ: gdzie wypił kawę, gdzie siusiał, w jakiej księgarni oglądał książki, z kim zjadł obiad, jak kulał, jak się uśmiechał, jaki był czarujący, szczególnie dla kobiet, gdzie zapalił cygaro, gdzie je kupił. Jego łatwość nawiązywania kontaktów i całkowita nieświadomość, że śledzi go w terenie osiemnastoosobowa grupa wywiadowcza. Dwukrotne „świadome lub nie” umieszczenie się PHZ w bezpośredniej bliskości pani Mary Pym. W jednym przypadku, mówił Gary, potwierdzono nawiązanie kontaktu wzrokowego. W drugim obserwacja była utrudniona przez parę brytyjskich agentów, najprawdopodobniej przydzielonych Mary Pym. I wreszcie ukoronowanie całej operacji, wspaniałego małżeństwa i błyskotliwej kariery Granta Lederera: dziś, o godzinie ósmej rano czasu lokalnego, trzech agencji z grupy Gary'ego znaleźli się

w tylnych ławkach angielskiego kościoła w Wiedniu - dwunastu pozostałych zajęło stanowiska na zewnątrz, głównie w pojazdach, ponieważ jest to teren zamieszkały przez licznych dyplomatów, gdzie nie toleruje się pieszych włóczęgów - PHZ zaś i Mary w tym samym rzędzie ławek, choć po dwóch różnych stronach nawy. Tu głos miał zabrać Lederer i Gary popatrzył ku niemu zachęcająco.

- Grant, teraz może ty, bo my tak dobrze się nie orientujemy - powiedział swym poufale szorstkim głosem.

Głowy przy stole obróciły się z ciekawością. Lederer poczuł, że ich zainteresowanie wynosi go na nowe wyżyny. Natychmiast zaczął mówić. Bardzo skromnie.

- No nie, w sumie to nie mój sukces, tylko Bee. Bee to moja żona - wyjaśnił starszemu panu po drugiej stronie stołu i uświadomił sobie poniewczasie, że to przecież Carver, szef placówki londyńskiej, który nigdy nie należał do jego zwolenników. - Jest prezbiterianką, podobnie jak jej rodzice. Ostatnio jednak udało jej się pogodzić własne potrzeby duchowe z bardziej zorganizowaną religią, więc uczęszcza regularnie na nabożeństwa w anglikańskim kościele w Wiedniu, zwanym potocznie kościołem angielskim, zresztą to prześliczny kościółek, prawda, Gary? Cherubinki, aniołki... Przypomina bardziej religijny buduar niż świątynię. Rzeczywiście, jeżeli ktokolwiek ma za to dostać laurkę, Mick, to chyba właśnie Bee - dodał, bo jakoś wciąż nie wiedział, co mówić dalej.

Ale jakoś poszło. A więc to nie wywiadowcom, tylko Bee udało się wepchać do kolejki do komunii tuż za PHZ, który z kolei znalazł się tuż obok Mary. To Bee przyglądała się z odległości może trzech kroków, jak PHZ pochyła się do przodu i szepcze coś do ucha Mary, która najpierw przechyliła się do tyłu, by wszystko usłyszeć, a potem jak gdyby nigdy nic powróciła do pobożnych czynności.

- Więc, jak już mówiłem, to moja żona, która aktywnie pomagała w ciągu całej operacji, jest świadkiem kontaktu głosowego. - Pokręcił głową z podziwem. - Natychmiast po mszy Bee popędziła do naszego mieszkania, by zatelefonować do mnie tu, do ambasady, i opisać to nadzwyczajne zdarzenie, używając naszego prywatnego szyfru, który ustaliliśmy między

sobą z myślą właśnie o czymś takim. A Bee nie wiedziała nawet, że w kościele znajduje się grupa wywiadowcza Agencji. Znalazła się tam tylko dlatego, że chodzi tam Mary, a mimo to wyprzedziła grupą wywiadowczą o jakieś sześć godzin. Harry - powiedział lekko zdyszany Lederer, i, kończąc swą opowieść, zwrócił się do Wexlera. - Żałuję tylko, że moja żona nie umie czytać z ruchu warg.

Lederer nie spodziewał się braw, bo taka już była natura tego środowiska; milczenie, jakie zapadło, uznał za znacznie bardziej właściwy hołd.

Pierwszy przerwał je kryptograf Artelli:

- Tu, do ambasady - powtórzył, nawet nie tonem pytania.

- Słucham? - powiedział Lederer.

- Twoja żona dzwoni do ciebie tu, do ambasady? Z Wiednia? Zaraz po zejściu w kościele? Otwartą linią z waszego mieszkania?

- Tak jest. A ja zaraz poszedłem z tym do Harry'ego. Raport trafił na jego biurko o dziewiątej.

- Dziewiątej trzydzieści - poprawił Wexler.

- A jakiego to prywatnego szyfru użyliście w rozmowie? - pytał Artelli, notując coś na kartce.

Lederer wyjaśnił skwapliwie:

- No więc tak naprawdę wykorzystaliśmy imiona ciotek i wujków Bee. Zawsze mieliśmy wrażenie, że istnieje pewne psychologiczne podobieństwo między Mary Pym a ciocią Edie. Więc zaczęliśmy od tego: „Wiesz, co zrobiła dziś w kościele ciocia Edie?”... Bee jest bardzo subtelna.

- Dziękuję - powiedział Artelli.

Potem przemówił Carver. Jego pytanie nie zabrzmiało zbyt przyjacielsko.

- Chcesz nam powiedzieć, Grant, że twoja żona wie o całej operacji? Wydawało mi się, że w sprawę Pyma miało się nie angażować żon. Chyba tak ustaliliśmy, prawda, Harry?

- Owszem - zgodził się uprzejmie Lederer. - Tylko że moja żona pojechała wraz ze mną do Wiednia, więc trudno przypuszczać, by pozostała całkowicie nieświadoma co do naszych podejrzeń względem Pymów. No, a przynajmniej względem Magnusa.

I dodam jeszcze, że Bee zawsze była przekonana, że Mary też gra w tym jakąś znaczącą, choć ukrytą rolę. Mary to niezła aktorka. Znowu Carver:

- A czy Bee Lederer wie też wszystko o PHZ? Bo on to bardzo interesujący obiekt, który może okazać się jakąś grubą rybą. Czy ona też to wie?

Ledererowi nie udało się powstrzymać rumieńca ani lekkiego drżenia głosu.

- Moja żona posłużyła się instynktem. Jeżeli masz o to pretensje. Carver, to miej je przede wszystkim do mnie, a nie do niej.

Znowu ten Artelli i ten jego francuski akcent:

- A jak określaliście swym prywatnym szyfrem PHZ?

- Wujek Bobby - rzucił Lederer.

- Czyli to jednak coś więcej niż kobieca intuicja. Grant - zaprotestował Carver. - Jak mogliście uzgodnić, że PHZ to wujek Bobby, jeżeli nie opowiedziałeś jej o Petzu - Hampelu - Zaworskim?

Wexler postanowił zareagować.

- Dobra, dobra, dobra - mruknął z niezadowoleniem. - Tym zajmiemy się później. A teraz co robimy? Grupa rozdzieli się i zajmie się obojgiem? Tak, Gary? Niech nie spuszczaają z nich oka.

- Właśnie sprowadzam nowe twarze - powiedział Gary. - Na jutro będziemy mieli dwie pełne grupy.

- Druga sprawa, to co, do cholery, mamy powiedzieć angolom, kiedy i jak? - powiedział Wexler.

- Angole już chyba wiedzą - powiedział Artelli, rzucając leniwe spojrzenie Ledererowi. - Chyba że ostatnio znudziło im się podsłuchiwać rozmowy telefoniczne z amerykańską ambasadą w Londynie, w co jednak wątpię.

Sprawiedliwość jest może na świecie, ale nie dla Granta Lederera, który przekonał się o tym jeszcze tego samego dnia. Uznano, że stan jego zdrowia uległ nagłemu pogorszeniu i natychmiast odwołano go z Wiednia. Jego żona nie tylko nie otrzymała wymarzonej przez męża pochwały, ale została w trybie pilnym wezwana do Langley w stanie Wirginia.

„Lederer zbyt się rozgorączkuje i identyfikuje ze sprawą”,

napisał w swym raporcie jeden z coraz liczniejszych psychiatrów CIA. „Konieczne jest umieszczenie go w mniej stresogennym środowisku”.

Mniej stresogennym środowiskiem okazał się w tym przypadku dział statystyki, gdzie Lederer o mało nie zwariował.

Rozdział 13

Zielona szafka na dokumenty stała na środku pokoju Pyma jak stara armata, niegdyś chluba oddziału, teraz porzucona i zaniedbana. Z uchwytyłów szuflad sypał się lakier, upadek lub czyjś ciężki but pozostawił w jednym boku spore wgłębienie. Rdza przeniosła się z rys na otwory na śrubki i pod farbę, która teraz pstrzyła się wstydliwymi pęcherzykami. Pym obchodził szafkę z podziwem i odrazą dzikusa. Przybyła do niego z Nieba i tam musi powrócić. Właściwie powinienem spalić ją w krematorium razem z właścicielem, by ten, zgodnie ze swym zamiarem, mógł pokazać jej zawartość Stwórcy. Cztery szuflady pełne niewinności, Ewangelia według Świętego Ricka. Pokonałem cię. Teraz to wszystko jest moje. Mam na to dowód: klucz na łańcuszku.

Pchnął szafkę i usłyszał z wewnątrz cichy szelest. To zamknięte w niej dokumenty zdawały się na jego łaskę i niełaskę.

Właściwie, Tom, powinienem teraz pisać ci o czarownicach, które Pym mija na swej drodze, o krwawym księżycu w pełni i o sowach, robiących to coś, co sowy zawsze robią, gdy szykuje się jakieś straszne morderstwo. Pym jednak na nic nie zważa. Pym jest teraz podporucznikiem Magnusem Pymem, wiezionym salonką przez okupowaną Austrię, do której wjechał przez to samo przygraniczne miasteczko, gdzie dawno temu, w znacznie mniej dojrzałym życiu zupełnie wtedy innego Pyma, fikcyjny skarb E. Weber oczekiwał na odebranie przez fikcyjnego pana Lapadiego. Jest rzymskim zdobywcą jadącym odebrać swój pierwszy w życiu przydział. Jest też całkowicie wyleczony z wszelkich ludzkich słabostek, co widać choćby po groźnych minach wojskowej abstynencji, które rzuca na nagie torsy barbarzyńskich żniwiarek na zalanych słońcem polach.

Szkolenie minęło mu tak łatwo, jak typowa angielska niedziela, choć Pymowi wcale na łatwości nie zależało. Nigdy dotąd nie przydały mu się bardziej podstawowe efekty elitarnego, angielskiego wykształcenia, czyli doskonale manieri i nikła wiedza. Błogosławieństwem okazały się nawet jego podejrzone kontakty z Oksfordu. „Jeżeli trepy zapytają cię kiedyś, czy należysz albo należałeś kiedyś do klanu, popatrz im prosto w oczy i powiedz: nigdy”, poinstruował go ostatni z Michaelów podczas bardzo miłego lunchu nad basenem w hotelu Lansdowne, gdy obaj przyglądali się niewinnym ciałom dziewcząt z dzielnic willowych, uwijających się w zdezynfekowanej wodzie.

- Trepy? - zapytał zdezorientowany Pym.

- No, stary, wojsko. Ministerstwo Wojny, przełożeni, zawodowi. Firma załatwia twój przydział na najwyższym szczeblu. Wszystkim innym masz mówić, że to nie ich interes.

- Naprawdę bardzo panu dziękuję.

Jeszcze tego samego wieczoru Pyma, zaróżowionego od partii squasha, poprowadzono przed oblicze Bardzo Ważnej Osoby, która urzędowała w anonimowym biurze niedaleko najnowszej Kancelarii Rzeszy Ricka. Czy to właśnie jest pułkownik Gaunt, który go kiedyś zwerbował. Nie, Pym, to ktoś znacznie ważniejszy. Lepiej nie pytajcie.

- Chcielibyśmy panu podziękować - odezwała się Bardzo Ważna Osoba.

- Naprawdę dobrze się przy tym bawiłem - powiedział Pym.

- Zadawać się z tymi parszywcami to parszywa praca. No, ale ktoś musi to robić.

- Nie było aż tak źle, proszę pana.

- Proszę posłuchać. Nie skreślamy pana z ewidencji. Niczego obiecać nie mogę, teraz musimy wszystko załatwić przez komisję. W dodatku w tej chwili należy pan do tych po drugiej stronie parku, a reguła jest taka, że nie wchodzimy sobie w drogę. Ale gdyby kiedyś uznał pan, że woli pan bronić ojczyzny w kraju, niż bawić się za granicą w Matę Hari, to proszę nam dać znać.

- Oczywiście, bardzo panu dziękuję - powiedział Pym.

Bardzo Ważna Osoba była niewielka, brązowa i

ostentacyjnie nierzucająca się w oczy, zupełnie jak jedna z jej kopert. Styl bycia kazał domyślać się w niej byłego adwokata z prowincji, który na pewnym etapie życia zdecydował się na Wielki Krok. Bardzo Ważna Osoba pochyliła się ku Pymowi nad biurkiem i zapytała go z zaciekawionym uśmiechem:

- Proszę nie mówić, jeśli pan nie chce, ale jak to się stało, że nawiązał pan z nimi kontakt?

- Z komunistami?

- Nie, nie, nie, z naszą siostrzaną służbą.

- Studiowałem w Bernie, proszę pana.

- Aha, w Szwajcarii - powiedział wielki człowiek, w pamięci rzuciwszy okiem na mapę.

- Tak jest.

- Kiedyś byłem z żoną na nartach w okolicach Berna. W małej miejscowości o nazwie Murren. Tam wszystko należy do Anglików, więc w ogóle nie ma ruchu samochodowego. Dość nam się podobało. Co pan dla nich robił?

- Mniej więcej to samo co dla pana. Tylko że było trochę bardziej niebezpieczne.

- W jaki sposób?

- Bo jest się gorzej chronionym niż tu. Oko w oko z wrogiem, można powiedzieć.

- No proszę, a mnie wszystko wydawało się tam takie spokojne. Cóż. wszystkiego dobrego, Pym. I uważaj na nich, są dobrzy, ale cwani. My też jesteśmy dobrzy, lecz nam zostało jeszcze trochę honoru, taka jest różnica.

- Fantastyczny gość - powiedział swemu cicerone Pym. - Udaje zwykłego faceta, ale potrafi przejrzeć człowieka na wylot.

Entuzjazm nie opuścił go nawet wtedy, gdy kilka dni później pojawił się z walizką w dłoni na wstępne szkolenie w jednostce służby zasadniczej, gdzie wreszcie w pełni docenił, ile dało mu jego wspaniałe wykształcenie. Bo podczas gdy walijscy górnicy i szkockie rzezimieszki płakały za mamami, szły na lewizny i byty wcielane do karnych kompanii, Pym spał snem sprawiedliwego i nie płakał za nikim. Nim pobudka zrywała z łóżek jego towarzyszy, którzy nerwowo palili i przeklinali na czym świat stoi, Pym zdążył zawsze wypolerować buty, sprzączki i emblemat na czapce, pościelić łóżko i uporządkować szafkę, gotowy w każdej

chwili wziąć zimny prysznic, ubrać się od nowa i odczytać rozkaz dzienny, gdyby akurat ktoś tego od niego zażądał. Wyróżniał się na placu musztry i na boisku piłkarskim. Nie przerażał się, gdy na niego wrzeszczano, i nie wymagał od przełożonych kierowania się logiką.

- Działonowy Pym! - ryknął kiedyś pułkownik w samym środku wykładu o bitwie pod La Coruną i rozejrzał się wokół gniewnie, jakby to kto inny przerwał prelegentowi. Okrzyk powtarzał każdy sierżant na sali, dopóki Pym nie wstał.

- Wy jesteście Pym?

- Tak jest!

- Zgłosicie się do mnie po wykładzie.

- Tak jest!

Siedziba dowództwa znajdowała się po drugiej stronie placu apelowego. Pym pomaszerował tam, zasalutował. Adiutant pułkownika wyszedł z pokoju.

- Spocznij. Siadajcie, Pym.

Pułkownik mówił powoli, z żołnierską ostrożnością dobierając słowa. Miał miękki złoty wąs i jasne spojrzenie kompletnego głupca.

- Zwrócono się do mnie, że w związku z waszym powołaniem na oficera byłoby dobrze, Pym, gdybyście odbyli pewien szczególny rodzaj szkolenia w pewnym szczególnym ośrodku.

- Tak jest.

- W związku z tym mam wam wystawić opinię.

- Tak jest.

- I wystawię. Zresztą bardzo pozytywną.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

- Macie zapał, nie jesteście cyniczni, nie zepsuło was, Pym, dobrodziejstwo pokoju. Ojczyzna potrzebuje takich ludzi jak wy.

- Dziękuję, panie pułkowniku.

- Pym.

- Tak jest.

- A jeżeli tak by się złożyło, że ludzie, z którymi macie do czynienia, szukali kiedyś emerytowanego pułkownika wojsk lądowych w sile wieku, niepozbawionego innych zalet, mam nadzieję, że będziecie o mnie pamiętać. Mówię po francusku,

nieźle się trzymam w siodle, znam się na winach. Możecie im to powiedzieć.

- Tak jest. Dziękuję, panie pułkowniku.

Ponieważ pamięć nie była najmocniejszą stroną tego oficera, miał on w zwyczaju powracać do zakończonych już rozmów tak, jakby wcale się nie skończyły.

- Pym!

- Tak jest.

- Tylko wybierzcie odpowiedni moment, nie spieszcie się z tym, oni tego nie lubią. Macie być subtelni. To rozkaz.

- Tak jest.

- Wiecie, jak się nazywam?

- Tak jest.

- Przeliterujcie. Pym przeliterował.

- Nazwisko mogę zmienić, jeśli im się nie spodoba. Wystarczy, że dadzą mi znać. Wy podobno macie nawet maturę, Pym.

- Tak jest.

- Tak trzymać, Pym.

Wieczorami, siedząc wśród innych samotnych mężczyzn, niezmordowany w niesieniu pomocy innym, Pym dyktował listy miłosne do ich dziewczyn. Gdy czyjeś siły przerastała sztuka pisania, wyręczał ich we wszystkim, a nawet dodawał zindywidualizowane czułości na zamówienie. Czasem, podekscytowany własną retoryką, przemawiał czystą poezją w stylu Blundena czy nawet Sassoon'a:

Najdroższa Belindo!

Nie umiem wyrazić, ile radości i prostej, ludzkiej dobroci znajduję wśród moich towarzyszy z klas pracujących. Wczoraj, ku naszemu wielkiemu podnieceniu, wzięto nas ciężarówkami na poligon Gdzieś w Anglii na nasze pierwsze Ostre Strzelanie. Jechaliśmy od świtu aż do jedenastej. Drewniane ławki pod budą są tak zaprojektowane, by łamać kręgosłup w kilku miejscach naraz. Nie mieliśmy poduszek, wydano nam tylko żelazne racje żywnościowe. Mimo to chłopcy gwizdali i śpiewali przez całą drogę w wyśmienitych humorach, świetnie sprawili się na poligonie i wracali też prawie bez słowa skargi. To zaszczyt być jednym z nich i na serio rozważam nieskorzystanie

z awansu.

Kiedy jednak awans przyszedł, Pyra nie miał najmniejszych trudności z przekonaniem samego siebie, by awans przyjąć, co widać teraz po erogennych wzgórkach nitki w kolorze khaki na zielonych patkach jego battledressu, które sprawdza ukradkiem za każdym razem, gdy pociąg wjeżdża w tunel. Nagie piersi żniwiarek to pierwszy kontakt tego rodzaju od czasu sławetnej kampanii wyborczej. W każdej kolejnej dolinie wyteża pełen dezaprobaty wzrok, by dojrzeć ich jak najwięcej i zwykle się nie zawodzi. „Najpierw wyślemy was do Wiednia”, powiedział mi dowódca w centrali wywiadu wojskowego. „Przyzwyczaicie się do kraju, potem zaczniecie pracować w terenie”.

- Wspaniale, sir - powiedział Pym.

W tamtych czasach Austria była zupełnie innym krajem niż ten, który obaj pokochaliśmy, Tom; Wiedeń był podzielony, tak jak Berlin czy twój ojciec. Kilka lat później, ku powszechnemu zdumieniu, dyplomatom udało się uzgodnić, że nie jest im potrzebny drugi taki cyrk, skoro mogą kłócić się do woli o Niemcy, więc państwa okupujące Austrię złożyły podpisy pod traktatem i wróciły do siebie - jedyny chyba prawdziwy sukces brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jaki pamiętam. Ale za czasów Pyma drugi cyrk działał, aż miło. Amerykanie mieli Salzburg i Linz, Francuzi Innsbruck, Anglicy Graz i Klagenfurt. Dodatkowo każdy dostał do zabawy po kawałku Wiednia, z tym że centrum miasta znajdowało się pod wspólnym zarządem czterech mocarstw. Na święta Rosjanie obdarowywali nas drewnianymi kubelkami z kawiozem, my mieliśmy dla nich plum pudding; kiedy Pym przyjechał, chętnie opowiadano, że gdy naszym żołnierzom podano kawior na przystawkę, kapral jednego szkockiego pułku poskarżył się dyżurnemu oficerowi, że dżem czuć rybą. Mózg Wiednia angielskiego mieścił się w wielkiej willi o nazwie Div Int i tam właśnie rozpoczął służbę podporucznik Pym. Jego obowiązki polegały na czytaniu raportów o ruchach wszelkich możliwych jednostek, od sowieckich pralni zmotoryzowanych po kawalerię węgierską, i wtykaniu w mapy szpilek z kolorowymi łebkami. Najbardziej ekscytowała go mapa strefy sowieckiej, zaczynającej się o niespełna dwadzieścia minut jazdy od jego miejsca pracy -

wystarczyło mu tylko popatrzeć na nią, by poczuć dreszczyk emocji i intrygi. Kiedy indziej, na przykład, gdy był zmęczony lub gdy się zapomniał, jego wzrok wędrował bezwiednie ku zachodniemu krańcowi Czechosłowacji, do Karlovych Varów, dawniej Karlsbad, uroczego osiemnastowiecznego uzdrowiska ukochanego przez Brahmsa i Beethovena. Ciekawe dlaczego, skoro nikogo tam nie znalazł i interesował się tą miejscowością ze względów czysto historycznych.

Dziwne było to jego życie przez pierwsze miesiące, bo Wiedeń nie był jego ostatecznym przeznaczeniem i czasem wydaje mi się, że stolica również czekała, aż będzie mogła wysłać go gdzieś, gdzie obowiązują bardziej bezwzględne prawa natury. Zbyt niski stopniem, by być traktowany poważnie przez oficerską brać, odseparowany protokołem od kontaktów z nieoficerami, zbyt biedny, by korzystać z restauracji i nocnych klubów dla szabrowników i waluciarzy, Pym żył między pokojem hotelowym zarekwizowanym na jego użytek przez wojsko a swymi mapami, trochę tak jak w czasach berneńskich. I teraz wreszcie mogę się przyznać do czegoś, do czego Pym nigdy by się wtedy nie przyznał: że gdy słyszał na ulicach, jak wiedeńczycy gwarzą do siebie swym rozkosznym akcentem, albo gdy chadzał do pojawiających się i zaraz upadających teatrzyków mieszczących się po piwnicach i zbombardowanych kamienicach, okropnie brakowało mu dobrego przyjaciela kuśtykającego u jego boku. Ale nigdy przecież nie miał takiego przyjaciela; tłumaczył sobie, że to tylko budzi się w nim na nowo niemiecka dusza, bo charakterystycznym dla niemieckiej duszy jest właśnie owo poczucie niespełnienia. Kiedy indziej wielki tajny agent wędrował na zwiady do sektora sowieckiego, przebrany w kupiony specjalnie na takie okazje tyrolski kapelusz, i obserwował spod niego zarośniętych rosyjskich wartowników uzbrojonych w pepesze, rozstawionych co dwadzieścia metrów wokół ich kwatery głównej. Gdy go zatrzymywali, Pym legitymował się wojskową przepustką, na widok której ich tatarskie twarze rozjaśniały się przyjacielskim uśmiechem, a dłonie w szarych rękawicach unosiły się w geście powitania.

- Anglik okej.

- Ruski też okej - upierał się ze śmiechem Pym. - Ruski bardzo okej, naprawdę.

- Kamarad!

- Tawariszcz, Kamarad! - odpowiadał wielki internacjonalista.

Wzajemne częstowanie papierosami. Potem Pym zapalał je i sobie, i im swą amerykańską zapalniczką Zippo, kupioną u jednego z licznych pokątnych handlarzy działających w Div Int. Pym zawsze przytrzymał trochę dłużej jej wielki płomień, by oświetlić rysy i swoje, i wartownika. I robiło mu się wtedy tak miło, że zawsze musiał walczyć z pokusą - na szczęście, na przeszkodzie zawsze stawały mu względy językowe - by nie zacząć im się tłumaczyć, że chociaż donosił na komunistów w Oksfordzie, i tu też ich szpieguje, w duchu nadal jest komunistą, i że bardziej ciągnie go do śniegów i kukurydzianych pól Rosji niż do luksusowych barków z pozytywką i ruletek Ascot.

A czasem, gdy bardzo późno w noc wracał do swej mnisiej celi ozdobionej wojskową gaśnicą i zdjęciem Ricka, zatrzymywał się i sycił czystym powietrzem, po czym patrzył w euforii na brukowane ulice i udawał, że dostrzega Lippsie w chustce na głowie, kroczącą ku niemu w świetle latarni i dźwigającą swą tekturową walizkę uciekinierki. Uśmiechał się do niej i winał sobie z dumą, że niezależnie od wszystkich innych zewnętrznych ciągót, nadal potrafi żyć w świecie, który stworzył we własnym umyśle.

W czwartym miesiącu pobytu Marlene poprosiła go o odprowadzenie do hotelu. Marlene była powszechnie uważana za piękną tłumaczkę z czeskiego.

- Pan jest pan Pym? - zapytała pewnego wieczoru z cudowną, cywilną nieśmiałością, gdy schodził po schodach za grupką wyższych oficerów. Miała na sobie obszerny płaszcz przeciwdeszczowy przewiązany pasem w talii i kapelusik z małymi różkami.

Pym wyznał, że owszem.

- Idzie pan do hotelu Weichsel? Pym odparł, że tak, co wieczór.

- Pan pozwoli ja pójść z panem jeden raz? Wczoraj jeden pan chciał mnie zgwałcić. Doprowadzi mnie pan do drzwi? Nie

kłopot?

Wkrótce nieustraszony Pym co wieczór doprowadzał Marlene pod jej drzwi i co rano zjawiał się przy nich po nią. Cały jego dzień zamykał się teraz w tych dwóch cudownych chwilach. Ale gdy zaprosił ją na kolację po pierwszej wypłacie, został nazajutrz wezwany przed oblicze rozwścieczonego kapitana fizylierów. zajmującego się nowo przybyłymi oficerami.

- Sprośna z was świnia, słyszycie?

- Tak jest.

- Młodszy oficerowie z Div Int nie bratają się publicznie z personelem cywilnym. Chyba że mają na koncie znacznie dłuższą służbę niż wy. Słyszycie?

- Tak jest.

- Wiecie, co to gówno?

- Tak jest.

- Gówno wiecie. Gówno, Pym, to oficer, którego krawat jest jaśniejszy niż koszula. Widzieliście ostatnio wasz krawat?

- Tak jest.

- Widzieliście ostatnio waszą koszulę?

- Tak jest.

- To sobie porównajcie, Pym. I sami sobie odpowiedzcie na pytanie, co z was za oficer. Przecież ta baba nie ma nawet dostępu do tajnych informacji.

To też szkolenie, pomyślał Pym, zmieniając krawat. Chcą, żebym był twardy do pracy w terenie. Mimo to trochę się zaniepokoił, bo Marlene zadawała mu mnóstwo pytań na jego temat i teraz żałował swych szczerych odpowiedzi.

Niedługo potem uznano, na szczęście, że Pym już się oswoił z nową sytuacją. Nim wyruszył, został ponownie wezwany przez tego samego kapitana, który pokazał mu dwie fotografie. Jedna przedstawiała ładnego młodzieńca o miękkich ustach, druga nieprzyjemnie uśmiechniętego, puciołowatego pijaka.

- Jeżeli zobaczycie któregoś z tych ludzi, natychmiast zgłoszcie to wyższemu oficerowi. Jeżeli go nie znajdziecie, aresztujecie ich sami.

- Jak?

- Użyjecie swego autorytetu. Musicie być grzeczni, ale stanowczy. Powiecie im: „Jesteście aresztowani”, i

doprowadzicie ich do najbliższego wyższego oficera.

Parę dni później Pym dowiedział się z „Daily Express”, że dwaj poszukiwani nazywają się Guy Burgess i Donald Maclean, i że należeli do brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Kilka następnych tygodni rozglądał się wszędzie za nimi, ale ich nie znalazł, bo uciekli do Moskwy.

A więc czyja to wina, Tom? Czy to przewrotny Bóg, czy może sam Pym sprawia, że przed każdym Upadkiem dostaje najpierw krótką chwilę raj? Opisując ci przygody Pyma w Bernie, wspominałem o Ollingerach, że każdemu dane jest w życiu poznać jedną naprawdę szczęśliwą rodzinę, ale zapomniałem wtedy o majorze Harrisonie Memburym, poprzedni przydział: Biblioteka Wojskowa w Nairobi, przedtem jeszcze oficer w Korpusie Szkolenia, który przez wspaniałą kaprys wojskowej logiki trafił do śmietnika Polowej Służby Bezpieczeństwa. Zapomniałem o jego przepięknej żonie i licznych, acz niepięknych córkach, doskonałym materiale na panny Ollingerówny, tylko że zamiast muzyki zajmowały się hodowlą kóz i rozwydrzonego prosiaka. Kozy wraz z prosiakiem siały zamęt w dyscyplinie wojskowej ku wściekłości oficerów z administracji, bezsilnych, bo Membury należał do wywiadu i im nie podlegał. Zapomniałem o VI Grupie Wywiadu w Grazu, o różowej, barokowej willi w zalesionej dolince między dwoma wzgórzami kilometr za miastem. Prowadziły do niej całe wiązki kabli telefonicznych, anteny szpeciły śliczne wieżyczki na dachu. Była tam brama z domkiem odźwiernego i rozkojarzony blondyn imieniem Wolfgang, kelner z mesy, który wybiegał pomóc każdemu wysiąść z jeepa. Jednak z punktu widzenia Membury'ego największą atrakcją willi był staw, na którego zarybieniu spędzał całe dnie, ponieważ jako zapalony wędkarz wydawał znaczną część naszych tajnych funduszy na chów rzadkich ras pstrąga. Spróbuj wyobrazić sobie wielkiego, dobrodusznego człowieka, słabego jak dziecko, o eleganckich gestach typowych dla inwalidy i marzycielskim, pobożnym wzroku i usposobieniu. W życiu nie spotkałem kogoś, kto aż po czubki miękkich palców nie wyglądałby bardziej na cywila, choć pamiętam go zawsze takiego, jakiego widzę teraz: w battledressie, znoszonych zamszowych butach i z wojskowym

pasem albo pod, albo nad brzuszkiem, stojącego w chmarach ważek nad swym ukochanym stawem w upalne popołudnie - bo takiego ujrzał go Pym w dniu, w którym zgłosił się do niego po przyjeździe. Major uderzał w wodę czymś, co wyglądało na siatkę na krewetki, i nieśmiało przeklinał szczupaczego rozbójnika.

- O masz ci los! Wy jesteście Pym. No cóż, tak, cieszę się, żeście przyjechali. Słuchajcie no, chyba powycinam wodorosty i przeszukam całe dno, żeby zobaczyć, co tu się dzieje. Co o tym sądzicie?

- Świetny pomysł, panie majorze - powiedział Pym.

- Miło mi. Jesteście żonaci?

- Nie, panie majorze.

- Cudownie. Czyli w weekendy będziecie wolni.

Z jakiegoś powodu myślę o nim jako o jednym z dwóch braci, choć nigdy się nie dowiedziałem, czy rzeczywiście ma brata. Jego personel składał się z sierżanta, którego prawie kompletnie zapomniałem, i szofera, londyńskiego cockneya, magistra ekonomii po Cambridge. Zastępcą majora Membury'ego był młody, różowutki bankier, porucznik McLaird, który już zbierał się do powrotu do City. W piwnicy willi sumienni austriaccy urzędnicy i urzędniczki podsłuchiwali rozmowy telefoniczne, otwierali nad parą listy i wrzucali je wszystkie bez czytania do licznych wojskowych kontenerów na śmieci, rzetelnie wypróżnianych co tydzień przez miejskie przedsiębiorstwo oczyszczania, ponieważ Membury żył w panicznym strachu, że jakiś nienawidzący ryb wandal wrzuci je do stawu. Na parterze major trzymał swą wyścigową stajnię zwerbowanych na miejscu tłumaczek najróżniejszego wieku i stanu cywilnego, i gdy tylko przypominał sobie o ich istnieniu, zawsze je szczerze uwielbiał. No i wreszcie pani majorowa imieniem Hannah, oddająca się bez reszty malowaniu z natury, przede wszystkim drzew. Pani Hannah, jak często żony mężczyzn w wielkiej tuszy, była wiotka jak trzcina. To ona nauczyła mnie cenić malarstwo; najlepiej pamiętam ją, jak siedzi przy sztalugach w białej sukni z głębokim dekoltem, córeczki staczają się z piskiem z trawiastego pagórka, my z Memburym, w kostiumach kąpielowych, męczymy się w mulistej wodzie.

Nawet dziś zupełnie nie wyobrażam sobie, że mogła naprawdę urodzić tyle tych dziewczynek.

Poza tym żyło się Pymowi w Grazu jak u Pana Boga za piecem. Z używek używał whisky z kantyny siedem szylingów butelka i papierosów dwanaście szylingów za sto. Mógł prowadzić nimi handel wymienny albo, jeśli wolał, wymieniać je na miejscową walutę, choć najbezpieczniej było korzystać z usług starego węgierskiego rotmistrza - Rittmeistera, który zamiast w stadninie przesiadywał w kancelarii, czytając tajne akta, i spoglądał czule na Wolfganga, zupełnie tak, jak pan Cudlove na Olliego. Było to wszystko bardzo rodzinne i wielce potrzebne Pymowi jako przedłużenie zwykłego dzieciństwa, którego nigdy nie zaznał. W niedzielę towarzyszył Membury do kościoła, a potem, przy obiedzie, zapuszczał żurawia w dekolt pani majorowej. Membury to geniusz, myślał z euforią, wstawiając swe biurko do przedpokoju wielkiego człowieka. To człowiek renesansu, który został szpiegiem. Po kilku zaledwie tygodniach miał już własny fundusz operacyjny, a po jakimś czasie mógł poprosić Wolfganga o naszycie drugiej gwiazdki na naramiennik, ponieważ Membury orzekł, że z jedną Pym wygląda głupio.

No i wreszcie zaczął mieć własne kontakty.

- To jest Pepi - wyjaśnił z komicznym uśmiechem McLaird, gdy jedli razem obiad w nierzucającej się w oczy restauracyjce.

- Pepi walczył z czerwonymi po stronie Niemców, a teraz walczy z nimi po naszej stronie. Z ciebie jest fanatyczny antykomunista, co, Pepi? To dlatego jeździ na motorowerze do Strefy i sprzedaje zdjęcia pornograficzne rosyjskim żołdakom. Czteryśta playersów medium miesięcznie. Na razie zalegamy z wypłatą.

- To jest Elsa - powiedział McLaird, przedstawiając Pymowi tęgą, karyncką gospodynię domową, matkę czworga dzieci, w restauracji hotelu Pod Niebieską Różą. - Jej chłopak prowadzi kawiarnię w St. Polten. Przysyła jej zapisane numery rejestracyjne i symbole ciężarówek, które przejeżdżają pod jego oknem, no nie, Elsa? Atramentem sympatycznym na odwrocie listów miłosnych, tak? Trzy kilo średnio palonej kawy miesięcznie. Na razie zalegamy z wypłatą.

Łącznie było tych kontaktów kilkanaście. Pym ochoczo

zabrał się do pracy, rozwijał ich działalność, dbał o ich potrzeby. Dziś, gdy robię w pamięci przegląd ówczesnych wojsk Pyma, trudno mi sobie wyobrazić, by początkujący szpieg mógł mieć do czynienia z gorszymi „niezwycięzcami”. Ale Pym widział w nich najwspanialszych na świecie wywiadowców i zrobiłby dla nich wszystko.

A Sabinę zostawiłem na koniec, Jack. Podobnie jak jej przyjaciółka, Wiedenka Marlene, była tłumaczką, i podobnie jak ona była najpiękniejszą dziewczyną na świecie, jakby żywcem wyjęta z Amora i kobiety w sztuce rokoka. Była drobna, jak E. Weber, miała szerokie, płynne uda i niezwykle, pytające oczy. Czy latem, czy zimą, piersi jej były jędrne, krzepkie i podobnie jak pośladki opinały na sobie nawet najbardziej powszednie stroje, wciąż zwracając na siebie uwagę Pyma. Miała rysy melancholijnego słowiańskiego skrzata, nawiedzanego bez przerwy przez smutek i przesady, ale zdolnego też do zadziwiających wybuchów wesołości. Gdyby Lippsie powróciła w nowym, dwudziestotrzyletnim wcieleniu, w ciele Sabiny, nie miałyby prawa narzekać.

- Marlene mówi, że jesteś porządny - poinformowała Pyma z pogardą, wskazując do jeepa kaprała Kaufmanna i nawet nie próbując ukryć swych rokokowych nóg.

- Czy to przestępstwo? - zapytał Pym.

- Nie bój się - powiedziała złowroźnie i już po chwili pędzili w trójkę do kolejnego obozu. Oprócz niemieckiego Sabina знаła też czeski i serbsko - chorwacki. W wolnych chwilach studiowała ekonomię na uniwersytecie w Grazu, co dawało jej pretekst do rozmów z kapralem Kaufmannem.

- Kaufmann, czy jest pan zwolennikiem częściowego uprzemysłowienia?

- A niby dlaczego częściowego?

- Jest pan keynesistą?

- Powiem szczerze, że choćby mi płacili, to nie - odpowiedział Kaufmann.

I tak dalej, i temu podobnie. A tymczasem Pym przemyślał, jak by tu niby przypadkiem otrzeć się o jej białe ramię albo sprawić, by spódnica rozchyliła się jeszcze odrobinę.

Celem tych wyjazdów były obozy dla uchodźców. Od pięciu

lat przez coraz szczelniej zamykające się zasieki napływali do Austrii uciekinierzy z Europy Wschodniej. Przedzierali się przez granice kradzionymi samochodami, przepelzali przez pola minowe, czepiali się od spodu wagonów kolejowych. Przywozili ze sobą wychudzone, ostrzyżone do gołej skóry dzieci, wiecznie zadziwionych starców, dziarskie pieski i przyszłe Lippsie; zbijano ich w stada, przesłuchiowano i decydowano o wspólnym losie tysiącosobowych partii - a oni grali w szachy na drewnianych skrzyniach i pokazywali sobie nawzajem zdjęcia osób, których już nigdy nie zobaczą. Przybywali z Węgier, Rumunii, Polski, Czechosłowacji. Jugosławii, a nawet czasem z Rosji, w nadziei że dostaną się do Kanady, Australii czy Palestyny. Przybywali tu krętymi drogami i często z pokrętnych powodów.

Byli wśród nich lekarze, naukowcy i murarze, kierownicy ciężarówek, złodzieje, akrobaci, wydawcy, gwałciciele i architekci. Wszyscy oni przesuwali się przed wzrokiem Pyma, gdy jeździł od obozu do obozu z kapralem Kaufmannem i Sabiną, przesłuchując, oceniając, zapisując - a potem przywożąc ten urobek Membury'emu.

Z początku nie mógł sobie poradzić z takim natłokiem cierpienia i z trudem ukrywał swą troskę o każdego, z kim rozmawiał: oczywiście, załatwię wam, że dostaniecie się do Montrealu, choćbym miał zdechnąć; oczywiście, zaraz dam znać panu matce w Canberze, że pan tu jest. Również z początku czuł się zażenowany tym, że sam tak mało w życiu przeszedł: każda z przesłuchiowanych przez niego osób przeżyła więcej w jeden dzień, niż on przez całe swe młode życie - i miał o to do nich pretensje. Niektórzy z nich przechodzili przez zieloną granicę od dziecka. Inni mówili o śmierci i torturach tak naturalnie, że oburzał się ich znieczulicą, aż jego dezaprobatą wywoływała u nich gniew i drwinę. Ale Pym, nasz dobry robotnik, musiał przede wszystkim wypełniać zadania i zadowolić swego dowódcę, i przy odpowiednim nastawieniu potrafił zrobić i jedno, i drugie w sposób szybki i skryty. To przecież umiał jak nikt: poznać, kto pisze po marginesie, a kto właściwy tekst. Umiał prowadzić niezobowiązującą rozmowę, a równocześnie obserwować i odczytywać najskrytsze sygnały. Jeżeli ktoś opisywał mu nocną wędrówkę wśród granicznych

wzgórz, Pym szedł z tym kimś, niosąc Lippsie'owe walizki i czuł, jak mroźny wiatr przenika na wskroś ich stare palta. Gdy ktoś kłamał w żywe oczy. Pym miał takie umysłowe kompasy, że potrafił cofnąć się po tropach do prawdy. Pytania same cisnęły mu się na usta, a ponieważ miał kiedyś zostać prawnikiem, szybko nauczył się zadawać je tak, by niepostrzeżenie przechodziły w oskarżenia. „Skąd pan jest? Jakiego koloru mieli naramienniki? Czym jeździli, jak byli uzbrojeni? Którędy pan szedł, jakie przeszkody, warty, psy, pola minowe napotkał pan po drodze? Jakie miał pan buty? Jak daliście sobie radę z matką, babką, skoro podejście pod przełęcz było takie strome? Jak poradziliście sobie z dwiema walizkami i dwójką małych dzieci, skoro pana żona jest w zaawansowanej ciąży? A może po prostu do granicy podwieźli pana mocodawcy z węgierskiej tajnej policji? I jeszcze życzyli panu powodzenia, kiedy pokazywali panu. którądy iść? Może jest pan szpiegiem, a jeśli tak, to czy nie wolałby pan szpiegować dla nas? A może jest pan zwykłym przestępcą? W takim razie na pewno będzie pan wolał zająć się szpiegostwem, niż zostać odstawiony na granicę przez policję austriacką?“. Pym korzystał w ten sposób z własnych zagmatwanych losów, by rozwikłać zagadkę cudzych, a czynił to głosem Sabiny, która to boczyła się, to złościła, to znów uśmiechała promiennie. Czasem kazał jej tłumaczyć sobie wszystko na niemiecki, by skorzystać z przewagi, jaką dawało mu dwukrotne słuchanie zeznań.

- Gdzieś ty się nauczył tych wszystkich durnych sztuczek? - zapytała go kiedyś surowo, gdy tańczyli ze sobą w hotelu Wiesler ku milczącej dezaprobacie żon innych wojskowych.

Pym zaśmiał się. Był na skraju męskości, udo Sabiny ocierało się o jego udo - dlaczego miałby komuś cokolwiek zawdzięczać? Uraczył ją więc zmyśloną naprędce historyjką o przebiegłym Niemcu poznanym w Oksfordzie, który okazał się szpiegiem.

- Ależ to była walka - wyznał, zbierając w jedno pośpiesznie tworzone wspomnienie. - Ten to dopiero znał sztuczki! Na początku byłem naiwny jak dziecko i wierzyłem we wszystko, co mi mówił. Ale powoli szanse się wyrównały.

- Był komunistą?

- W końcu okazało się, że tak. Usiłował to ukryć, ale wychodziło to z niego, jak się go przycisnęło.

- Był homoseksualistą? - zapytała Sabina, wiecznie podejrzewająca to samo, i mocniej przycisnęła się do Pyma.

- Raczej nie. Kobiet miał całe tłumy.

- Sypiał z wieloma naraz?

- Nie, nie, tylko miał ich na pęczki. To taka przenośnia.

- A ja myślę, że on chciał w ten sposób ukryć swój homoseksualizm. To normalne.

O swoim życiu Sabina opowiadała tak, jakby chodziło o kogoś, kogo nie cierpiała. Jej głupi tata, Węgier, został zastrzelony na granicy. Jej matka idiotka zmarła w Pradze, próbując urodzić dziecko beznadziejnemu kochankowi. Jej starszy brat to kretyń, studiuje medycynę w Stuttgarcie. Jej wujowie to pijacy, którzy dali się zastrzelić hitlerowcom i komunistom.

- Chcesz znowu uczyć się czeskiego w sobotę? - zapytała go któregoś wieczoru jeszcze groźniej niż zwykle, gdy wracali do domu, siedząc w trójkę na przednim siedzeniu.

- Bardzo chętnie - odpowiedział Pym, trzymając ją za rękę. - Naprawdę zaczyna mi się to podobać.

- Chyba tym razem już się pokochamy. Zresztą zobaczymy - powiedziała surowo, na co Kaufmann o mało nie wjechał do rowu.

Nadeszła sobota. Ani cień Ricka, ani przerażenie Pyma nie przeszkodziły mu zadzwonić do drzwi Sabiny. Usłyszał odgłos stóp, ale lżejszy niż jej zwykły, praktyczny krok. Przez judasza w drzwiach zobaczył odbijające się w jej oczach światło i usiłował uśmiechnąć się uspokajająco i po męsku. Przyniósł ze sobą dość whisky, by stłumić najsilniejsze nawet poczucie winy, ale Sabina najwyraźniej nie czuła się ani trochę winna, bo drzwi otworzyła mu nago. Pym zaniemówił i stał przed nią, ściskając w dłoni torbę. Wciąż oszołomiony patrzył, jak Sabina z powrotem zamyka drzwi na łańcuch, wyjmując mu torbę z martwych dłoni, energicznie podchodzi do kredensu i wypakuje przyniesione przez niego skarby. Dzień był ciepły, ale rozpałała ogień i rozścieliła łóżko.

- Czy miałeś dużo kobiet, Magnus? - zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Całe tłumy, jak ten twój niedobry kolega?

- Raczej nie - odpowiedział Pym.

- Jesteś homoseksualistą, jak wszyscy Anglicy?

- Naprawdę nie jestem.

Poprowadziła go do łóżka. Posadziła go na pościeli i rozpięła guziki jego koszuli. Robiła to energicznie i nie pytając o pozwolenie, zupełnie jak Lippsie, gdy trzeba było coś dołożyć do prania. Rozpięła wszystkie guziki, nie tylko te od koszuli, i ładnie ułożyła jego ubranie na krześle. Zmusiła go, by położył się na wznak, i sama położyła się na nim.

- Nie wiedziałem - powiedział głośno Pym.

- Proszę?

Zaczął coś mówić, ale musiałyby za wiele tłumaczyć, tym bardziej że jego tłumaczka była już zajęta. A chciał powiedzieć coś takiego: aż do tej chwili nie wiedziałem, choć tak za tym tęskniłem, do czego tęsknię. Chciał powiedzieć: umiem latać, umiem pływać na brzuchu i na plecach, na boku i na głowie. Chciał powiedzieć: nareszcie stałem się prawdziwym mężczyzną.

Było przepiękne popołudnie w piątek, sześć dni później. W ogrodzie pod oknami wielkiego gabinetu Membury'ego Rittmeister łuskał groch dla Wolfganga. Membury siedział przy biurku w rozpiętym aż po pępek battledressie i przygotowywał kwestionariusz dla kapitanów trawlerów, który zamierzał rozesłać w setkach egzemplarzy do największych flot rybackich świata. Już od kilku tygodni pracował wytrwale nad tym dziełem, które miało raz na zawsze ustalić trasy zimowych wędrówek pstrąga morskiego; cała jednostka musiała mu pomagać.

- Panie majorze, zwrócono się do mnie w pewnej dziwnej sprawie - zaczął delikatnie Pym. - Ktoś, kto twierdzi, że reprezentuje potencjalnego detektora z Węgier...

- O, to musicie być bardzo podekscytowani - powiedział grzecznie Membury, z trudem odrywając się od swego zajęcia. - Mam nadzieję, że to nie kolejny wartownik węgierski, bo tych już mamy na pęczki. I my, i Wiedeń też. - Od jakiegoś czasu Membury coraz bardziej martwił się Wiedniem, a Wiedeń

Membury. Pym zdążył już zaznajomić się z mało przyjemną korespondencją między nimi, którą Membury ukrywał skrzętnie w lewej górnej szufladzie swego rozchwierutanego biurka. Być może pojawienie się kapitana fizylierów i przejęcie przez niego dowództwa nad placówką było już tylko kwestią dni.

- Prawdę mówiąc, to nawet nie Węgier, panie majorze - powiedział Pym - tylko Czech. Pracuje w sztabie Grupy Południowej pod Pragę.

Membury przekrzywił na bok wielką głowę, jakby chciał wytrząsnąć wodę z ucha.

- No, to już lepiej - zauważył z powątpiewaniem. - W Div Int daliby wszystko za choć trochę sprawdzonych informacji o Czeskiej Południowej i w ogóle za cokolwiek o Czechach. Amerykanom wydaje się, że mają na to monopol. Ktoś powiedział mi coś takiego przez telefon, nie pamiętam kto.

Linia telefoniczna do Grazu przebiegała przez strefę sowiecką. Wieczorami można było posłuchać, jak rosyjscy technicy ryczą pijackie pieśni kozackie.

- Według mojego źródła jest to jakiś sierżant sztabowy z ich tajnej kancelarii, któremu znudziło się tkwić za biurkiem - nalegał Pym. - Jutro w nocy ma wyjechać ze strefy sowieckiej. Jeżeli nie będziemy na niego czekać, pójdzie na skróty prosto do Amerykanów.

- Ale to nie nasz Rittmeister dał wam cynk? - zapytał nagle zaniepokojony Membury.

Pym zręcznie wkroczył na śliski grunt. Nie pierwszy raz. Nie, nie Rittmeister, zapewnił Membury'ego. Głos na pewno nie był rotmistrza - znacznie młodszy i bardziej jakiś taki konkretny.

Membury nie rozumiał.

- Czyli jaki? Możecie mi to wyjaśnić?

Pym wyjaśnił. Że był zwykły, czwartkowy wieczór, że poszedł do kina na Liebe 47, a w drodze powrotnej postanowił wstąpić na piwo do Weisses Ross.

- A co to jest Weisses Ross?

- Taki bar, tylko że zawsze pełno tam emigrantów. Siedzą wszyscy razem przy takich długich stołach. Byłem tam może od dwóch minut, przychodzi kelner i mówi, że mam telefon. Herr Leutnant, fur Sie. Znają mnie tam trochę, więc nawet się nie

zdziwiłem.

- Bardzo dobrze. - Major Membury był najwyraźniej pod wrażeniem.

- Męski głos, piękna niemczyzna. "Herr Pym, jest dla pana ważna informacja. Jeżeli zrobi pan, co panu mówię, na pewno pan się nie rozczaruje. Ma pan coś do pisania?". Miałem, więc zaraz zaczął mi dyktować. Potem sprawdził, czy wszystko zapisałem, i rozłączył się, nim zdążyłem zapytać, kim jest.

Pym wyciągnął z kieszeni wspomnianą kartkę, wyrwaną z wojskowego notatnika.

- Ale skoro to było w czwartek, czemu, u licha, ja jeszcze nic o tym nie wiem? - zaprotestował Membury, biorąc do ręki papierek.

- Wczoraj był pan major na zebraniu.

- A niech to, rzeczywiście. Proszę, proszę, wymienił was z nazwiska - zauważył z dumą Membury. - Chciał rozmawiać tylko z porucznikiem Pymem. Przyznam, że to komplement. - Pociągnął się za odstające ucho. - Słuchajcie, tylko bądźcie ostrożni - ostrzegł z surowością kogoś, kto niczego nie potrafiłby odmówić Pymowi. - I nie podchodźcie za blisko do granicy, żeby was nie wciągnęli do siebie.

Nie była to wcale ani pierwsza, ani szósta zasygnalizowana Pymowi ucieczka, choć na pewno pierwsza, o której dowiedział się od nagiej czeskiej tłumaczki pod renetą w sadzie, i to w świetle księżycy. Nie dalej jak tydzień wcześniej Pym i Membury przesiedzieli całą noc gdzieś w Kotlinie Klagenfurckiej, oczekując na kapitana wywiadu rumuńskiego i jego kochankę, którzy mieli przybyć skradzionym samolotem pełnym bezcennych tajemnic. Membury załatwił, że policja austriacka zamknęła cały teren, Pym puszczał w puste niebo kolorowe rakiety sygnalizacyjne, bo tak było umówione. Ale nadszedł świt, a samolotu jak nie było, tak nie było.

- No i co my mamy jeszcze zrobić? - narzekał Membury ze zrozumiałą irytacją. Drżąc z zimna, siedzieli razem w jeepie. - Złożyć ofiarę z kozła? Czy ten Rittmeister nie mógł podać więcej szczegółów? W efekcie wyszliśmy na głupków.

Z kolei jeszcze tydzień wcześniej musieli przebrać się w zielone paltoty i tłuc się do odległej gospody niedaleko granicy

strefy po jakiegoś reemigranta z sowieckiej kopalni uranu, który lada moment miał się pojawić. Gdy zamasyście otwarli drzwi do przybytku, w barze zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a tubylcy gapili się na Pyma i Membury'ego swymi ciekawymi, chłopskimi oczyma.

- O, mają tu bilard - zakomenderował z rzadką u niego bystrością umysłu Membury, zakrywając usta dłonią. - Tam jest stół. Zaczniemy grać, łatwiej wtopimy się w tłum.

Nie zdejmując obszernego płaszcza, pochylił się nad stołem, ale nie zdążył dotknąć kijem bili, bo przeszkodził mu w tym donośny stuk ciężkiego metalu o wykafelkowaną podłogę. Pym spojrzął pod nogi dowódcy i zobaczył u jego wielkich stóp jego wielki służbowy rewolwer. Błyskawicznie schylił się i podniósł broń, ale i tak za późno, by powstrzymać tłumną ucieczkę przerażonych wieśniaków w mrok i zamknięcie się gospodarza w piwnicy.

- Czy mogę już wracać, panie poruczniku? - zapytał Kaufmann. - Widzi pan, ja nie jestem żołnierzem, tylko tchórzem.

- Nie możesz - powiedział Pym. - I bądź cicho.

Stodoła stała na uboczu, dokładnie taka, jak opisała ją Sabina, w samym środku płaskiego pola otoczonego ze wszystkich stron rzędami modrzewi. Do stodoły prowadziła żółta ścieżka, za nią widniała tafla jeziora. Za jeziorkiem - pagórek, a na pagórku samotna wieża strażnicza spoglądała w dolinę na tle ciemniejącego nieba.

- Masz być w cywilu i zaparkować auto na skrzyżowaniu przy Klein Brandorf - szeptała jego udom Sabina, gdy przekazując mu instrukcje, pieściła go, całowała i rozbudzała na nowo. Sad miał ceglany mur i był zamieszkały przez rodzinę dużych brązowych zajęcy. - Światła boczne zostawisz zapalone. Jeżeli będziesz oszukiwał albo przyjdiesz z obstawą, tamten się nie pojawi. Zostanie w lesie i będzie się złościł.

- Kocham cię.

- Jest tam kamień pomalowany na biało. Tam ma zostać Kaufmann. Jeżeli Kaufmann pójdzie za biały kamień, tamten nie pojawi się, zostanie w lesie.

- A czemu ty nie możesz pójść ze mną?

- On nie chce. Chce samego Pyma. Może jest homoseksualistą.

- Dziękuję - powiedział Pym.

Teraz zabłyszczał w ciemności biały kamień.

- Zostań tu - rozkazał Pym.

- Dlaczego? - powiedział Kaufmann.

Po polu snuły się pasma wieczornej mgły. Taflę jeziora mąciły rzucające się w nim ryby. W zachodzącym słońcu padające na złotą łąkę cienie modrzewi były długie na kilometr. Przy drzwiach do stodoły leżały pocięte pniaki, okna ozdabiała skrzynki z geranium. Pym znów powrócił myślą do Sabiny, do jej opasujących go ramion i szerokich pleców. „Co ci mówię, nie mówiłam żadnemu Anglikowi. Mam w Pradze młodszego brata. Ma na imię Jan. Jeżeli powiesz to Membury'emu, od razu mnie zwolni, bo Anglicy nie pozwalają nam mieć bliskiej rodziny w krajach komunistycznych. Rozumiesz?“. Tak, Sabino, rozumiem. Widziałem twoje piersi, świecące odbitym światłem księżycy, twoja wilgoć jest na moich wargach, lepi się do moich powiek. „Słuchaj. Mój brat wysłał mi tę wiadomość dla ciebie. Ufa ci z mojego powodu i dlatego, że mówiłam mu o tobie same dobre rzeczy. Ma przyjaciela, który chce prysnąć. Ten przyjaciel jest bardzo zdolny, świetny, dużo wie. Przyniesie ci dużo tajemnic o Rosjanach. Ale najpierw musisz wymyślić jakąś historyjkę dla Membury'ego, skąd to wiesz. Ty jesteś mądry, ty wymyślisz. I musisz też wymyślić coś dla mojego brata i jego przyjaciela“. Tak, Sabino, wymyślę. Dla ciebie i twojego kochanego braciszka wymyślę milion historyjek. Daj mi coś do pisania, Sabino. Gdzie zostawiłaś moje ubranie? A teraz wyrwij kartkę z mojego notesu, a ja wymyślę historyjkę o nieznanym, który zatelefonował do mnie do Weisses Ross i złożył mi kuszącą propozycję.

Pym rozpiął płaszcz. „Broń wyciągaj zawsze po przekątnej“, uczył go instruktor w smutnym ośrodku w Sussex, gdzie uczono Pyma walczyć z komunizmem. „Wtedy jesteś lepiej chroniony, jeżeli tamten strzeli pierwszy“. Pym nie był pewny, czy to rzeczywiście dobra rada. Dotarł do drzwi. Były zamknięte. Okrążył stodołę, szukając jakiegoś otworu, by zajrzeć do środka. „Przyda ci się to, co ci powie“, mówiła Sabina. „Będziesz bardzo sławny w Wiedniu. Membury też. W Div Int bardzo rzadko dostają sprawdzone informacje o Czechosłowacji. Zwykle dostają je od Amerykanów, a na tym nie można polegać“.

Słońce już zaszło, szybko zapadał mrok. Z drugiej strony jeziora doszło Pyma szczekanie lisa. Za stodołą był kurnik

wysłany czystą słomą. Kury na ziemi niczyjej, pomyślał niepoważnie. Bezpaństwowe jajka. Kury wyciągnęły ku niemu szyje i nastroszyły pióra. Znad jeziora uniosła się czapla, odleciała nad wzgórze. Pym powrócił na drugą stronę stodoły.

- Kaufmann!

- Tak jest!

Dzieliło ich jakieś sto metrów, ale w wieczornej ciszy słyszeli się tak dobrze jak para kochanków.

- Kaszlałeś?

- Nie.

- To nie kaszł.

- Jeżeli już, to szlochałem.

- Zostań na straży, ale choćby nie wiem co, nie podchodź bliżej bez rozkazu.

- Szczerze mówiąc, wołałbym po prostu zdezerterować. Wolę już zdradę. Przecież stanowią tu nieruchomy cel. Zupełnie jakbym już nie był człowiekiem.

- To licz w myśli albo coś.

- Nie da rady, już próbowałem. Nic mi nie wychodzi.

Pym nacisnął starą zardzewiałą klamkę, wszedł do środka i poczuł woń cygar i koni. Jestem w St. Moritz, pomyślał i poczuł lekkie zawroty głowy ze strachu. Stodoła była przepastna, piękna, trochę przypominała stary okręt, bo dach wznosił się wyżej na jednym końcu. Na czymś w rodzaju podium z desek stał stół, na stole zaś, ku zdumieniu Pyma, zapalona lampa naftowa. To w jej świetle mógł podziwiać stare sklepienie. „Poczekaj w środku, on przyjdzie”, tłumaczyła mu Sabina. „On chce zobaczyć, że ty wchodzisz pierwszy. Przyjaciel mojego brata jest bardzo ostrożny. Jak wielu Czechów ma wielki i ostrożny umysł”. Przy stole stały dwa drewniane krzesła z wysokimi oparciami, a cały stół zarzucony był czasopismami, zupełnie jak w poczekalni u dentysty. Właściciel stodoły pewnie tu zajmuje się robotą papierkową. Na drugim końcu stodoły zobaczył starą drabinę prowadzącą na stryszek. Przywiozę cię tu w weekend. Wezmę wino, ser i chleb, i parę koców, żeby nic nas nie kłuło, a ty może włożysz tę swoją spódniczkę z falbankami, ale pod spód nic. Wspiął się do połowy wysokości drabiny i zajrzał na stryszek. Porządna podłoga, suche siano, ani śladu szczurów -

wymarzone miejsce na wiejskie rokoko. Wrócił na dół i ruszył ku podwyższeniu, zamierzając zająć jedno z krzesel. „Musisz być cierpliwy jak trzeba, całą noc”, mówiła mu Sabina. „Teraz bardzo niebezpiecznie jest przechodzić granicę. Już koniec lata, więc kto może, idzie teraz, nim śnieg zasypie przełęcz. I dlatego jest dużo straży i szpiegów”. Między dwoma rynsztokami prowadził kamienny chodnik. Kroki Pyma odbijały się echem u stropu. Nagle echo umilkło, bo się zatrzymał. Po drugiej stronie stołu siedział szczupły człowiek. Pochylony do przodu, wyczekujący. W jednej ręce cygareto, w drugiej pistolet. I wzrok, i lufa kierowały się wprost w Pyma.

- Podejdź bliżej, sir Magnusie - ponaglił go Axel mocno przestraszonym głosem. - Podnieś ręce i na miłość boską nie próbuj bawić się w kowboja ani w bohatera wojennego. Żaden z nas nie należy do tych, co strzelają. Odłóżmy broń i pogadamy. Bardzo proszę, bądź rozsądny.

Żeby opisać wszystkie myśli i uczucia kłębiące się w tamtej chwili w głowie biednego Pyma, Tom, nawet Pana Boga byłoby mało - musielibyśmy wszyscy trochę mu pomóc. Jestem przekonany, że pierwszą reakcją Pyma było niedowierzenie. W ciągu ostatnich lat spotykał Axela przecież bardzo często, więc to, co teraz się działo, było tylko powtórzeniem tego zjawiska: Axel patrzący na śpiącego Pyma, Axel w berecie przy łóżku Pyma, „no chodź, jeszcze raz rzucimy okiem na Manna”. Axel śmiejący się z Pyma z powodu jego obsesji na punkcie literatury starożeńmańskiej i usiłujący wyperswadować mu nawyk automatycznej lojalności względem każdego: oksfordzkich komunistów, wszystkich kobiet, wszystkich Jacków, Michaelów, Ricka. „Nieżył z ciebie głupek, sir Magnusie”, ostrzegł go kiedyś, gdy Pym wrócił do swego pokoju w Oksfordzie po wieczorne poświęconym szczególnie sprytnemu lawirowaniu między różnymi dziewczętami i nawzajem nienawidzącymi się towarzyszami. „Wydaje ci się, że możesz dzielić, rządzić i jakoś ci się upiecze”. Axel kuśtykał u boku Pyma ścieżką holowniczą nad Tamizą w Oksfordzie i przyglądał mu się, gdy dla zaimponowania Jemimie kaleczył sobie dłoń o mur. A ileż to razy podczas kampanii wyborczej Ricka Pymowi zwidywało się na zebraniach lśniące wysokie czoło Axela lub tegoż Axela ręce,

bijące ironicznie brawo. Dlatego też, mając sumienie tak bardzo Axelem obciążone, Pym wiedział na pewno, że Axel w ogóle nie istnieje. A przy tej pewności trudno chyba się dziwić, że kolejną reakcją na pojawienie się Axela było święte oburzenie, iż ktoś taki, ktoś tak niechciany i w tak oczywisty sposób wygnany poza granice Pymowego królestwa, miał czelność siedzieć sobie z cygarem w dłoni, uśmiechać się i celować do niego z pistoletu - do mnie, Pyma. kuloodpornego członka brytyjskiej klasy okupacyjnej, Pyma kochanka, Pyma nadczłowieka. Oczywiście, w następnej sekundzie nasz wiecznie paradoksalny Pym ucieszył się i podniecił widokiem Axela dokładnie tak, jak kiedyś widokiem Ricka, gdy ten wyjechał z za rogu na rowerze, śpiewając Tango milonga.

Pym ruszył ku Axelowi najpierw powoli, potem biegiem. Zgodnie z poleceniem Axela ręce trzymał nad głową. Czekał niecierpliwie, aż Axel wyciągnie mu z za spodni wojskowy rewolwer i z szacunkiem odłoży go wraz ze swoim na drugi koniec stołu. Wtedy wreszcie opuścił ręce, na tyle daleko, by objąć Axela za szyję. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek później i kiedykolwiek wcześniej się obejmowali. Tylko w tej chwili kończył się ich dziecinny związek z Berna i dlatego widzę ich, śmiejących się i obejmujących po słowiańsku, a potem odsuwających się nawzajem na odległość wyciągniętych rąk, by sprawdzić, jak wielkie szkody poczynił w nich obu czas rozłąki. Możemy przyjąć na podstawie fotografii z tamtych czasów i moich własnych wspomnień z lustra - które grało wtedy jeszcze dość ważną rolę w życiu codziennym naszego młodego oficera - że Axel miał przed oczyma typowe, grubo ciosane, anglosaskie rysy przystojnego blondyna, wciąż jeszcze siłacego się na dojrzały wyraz twarzy, podczas gdy w Axelu Pym wyczuł od razu gotowy już i utrwalony kształt - i że tak właśnie Axel będzie już wyglądał do końca życia. Bo życie już zdecydowało. Axel otrzymał męską, ludzką twarz, taką, na jaką ciężko sobie zasłużył. Zniknęły z niej wszelkie miękkie kontury, została twardość, kanciastość i pewność siebie. Włosów miał teraz jeszcze mniej niż w Bernie, ale za to trzymały się razem, nie czarne już, lecz szpakowate, przez co! wyglądał bardziej praktycznie i wojskowo. Jego pajacowate wąsy i poskręcane

brwi tchnęły teraz smutniejszym humorem, ale iskiereki w ciemnych oczach, widoczne spod leniwych powiek, były równie wesołe jak dawniej. I tylko ich otoczenie nadawało wzrokowi Axela filozoficzną głębię.

- Świetnie wyglądasz, sir Magnusie! - radośnie wykrzykiwał Axel, wciąż trzymając Pyma za ramiona. - Przystojny gość z ciebie, niech cię diabli! Powinni wsadzić cię na białego konia i dać Indie we władanie.

- Ale kim ty jesteś? - wołał równie podekscytowany Pym. - Gdzie jesteś? Co ty robisz? Czy ja mam cię aresztować?

- A może ja ciebie? Może już cię aresztowałem? Nie pamiętasz, że podniosłeś ręce do góry? Słuchaj, już wiem. Jesteśmy na ziemi niczyjej, możemy aresztować się nawzajem.

- Jesteś aresztowany - powiedział Pym.

- Ty też - powiedział Axel. - A jak tam Sabina?

- Świetnie - powiedział z lekkim uśmiechem Pym.

- Ona nic nie wie, rozumiesz? Wie tylko to, co od brata. Nie dasz jej zrobić krzywdy?

- Obiecuję - powiedział Pym.

Nastąpiła króciutka chwila milczenia, bo Axel udał, że zatyka uszy.

- Nie obiecuj, sir Magnusie. Tylko nie obiecuj.

Jak na kogoś, kto właśnie przeszedł przez zieloną granicę, Axel był świetnie wyposażony. Na jego butach nie było ani śladu błota, ubranie miało odprasowane i jakby odświeżone. Puścił Pyma, chwycił leżącą u nogi krzesła teczkę, rzucił ją na stół i wyciągnął dwa kieliszki i butelkę wódki. A potem jeszcze ogórki konserwowe, kielbasę i bochenek czarnego chleba, takiego, po jaki posyłał Pyma w Bernie. Przepili do siebie z powagą, tak jak uczył Axel. Nałali sobie znowu i znowu wypili, po kieliszku za każdego. Wydaje mi się, że nim się potem rozstali, zdążyli opróżnić całą butelkę, bo pamiętam, że Axel wyrzucił ją na sam środek jeziora ku ogromnemu oburzeniu tysięcy pardw. Zresztą Pym mógłby wypić całą skrzynkę bez widocznego efektu, takie było w tej chwili natężenie jego uczuć. Nawet gdy już zaczęli rozmawiać, Pym ukradkiem rozglądał się po kątach, by upewnić się, że nic się nie zmieniło, tak bardzo stodoła zaczynała przypominać mu berneńskie poddasze; nawet tak

samo gwizdał pod dachem lekki wiatr. A kiedy jeszcze raz usłyszał w oddali szczekanie, był prawie pewny, że to Bastl ujada na drewnianych schodach, bo wszyscy poszli. Tylko że, jak już powiedziałem, skończyły się sentymentalne czasy, Magnus je zabił. Zaczynał się dojrzały, męski etap ich przyjaźni.

Tak to już bywa, Tom, gdy dwaj przyjaciele zejść się po lalach, że powód swego spotkania odkładają na ostatek. Wolą zacząć od rozliczenia się z przeszłości, dzięki czemu to, o czym mają rozmawiać, nabiera cech prawości. Tak właśnie postąpili teraz Pym i Axel, choć na pewno zorientowałeś się już na tyle w sposobie funkcjonowania umysłu Pyma, że to on właśnie, a nie Axel, prowadził tę część ich rozmowy - po to choćby, aby udowodnić i Axelowi, i sobie, że Pym był całkowicie bez winy w przykrew sprawie zniknięcia przyjaciela. I świetnie wywiązał się z tego zadania, bo w tamtych czasach niezły był z niego aktor.

- Szczerze mówiąc, Axel, nikt nie zniknął z mojego życia równie nagle, jak ty - powiedział tonem żartobliwej wymówki, krojąc kielbasę, smarując masłem chleb i w ogóle wykonując wszystkie niezbędne uboczne czynności aktora wiarygodnie grającego swą rolę. - Wieczorem poszliśmy spać, byliśmy trochę pijani, powiedzieliśmy sobie dobranoc. Następnego dnia tłukę się do ciebie przez ścianę, i nic. Schodzę na dół, a tam biedna pani O. wypłakuje oczy. „Gdzie Axel? Zabrali naszego Axela! Ci z Fremdenpolizei znieśli go po schodach, a jeden z nich kopnął Bastla”. Ja chyba spałem jak zabity.

Axel uśmiechnął się swym dawnym, ciepłym uśmiechem.

- Gdybyśmy tylko mogli wiedzieć, jak śpią zabici - powiedział.

- Wszyscy byli jak na stypie, snuli się po domu, wierzyli, że jeszcze wrócisz. Pan Ollinger telefonował tu i tam, ale, oczywiście, nic nie wskórał. Pani O. przypominała sobie, że ma brata w jednym ministerstwie, ale on też nic nie poradził. W końcu pomyślałem: „Do diabła z tym wszystkim, co mam do stracenia?” i sam poszedłem z paszportem na Fremdenpolizei. „Zaginął mój przyjaciel. Dziś rano jacyś ludzie wyciągnęli go z domu, twierdzili, że są od was. Gdzie on jest?”. Parę razy walnąłem pięścią w stół, ale to nic nie dało. Potem dwaj smutni panowie w prochowcach wzięli mnie na stronę i oznajmili mi, że

jeżeli dalej będę tak się stawał, to samo może przytrafić się mnie.

- Byłeś bardzo odważny, sir Magnusie - powiedział Axel. Wyciągnął bladą pięść i w podzięcie lekko poklepał Pyma po ramieniu.

- Wcale nie. Wiesz, ja przynajmniej miałem dokąd pójść. W końcu jako Anglik miałem pewne prawa.

- Racja. A w dodatku miałeś znajomych w ambasadzie, też prawda.

- Którzy chętnie by mi pomogli. To znaczy, nawet próbowali. Kiedy się do nich o to zwróciłem.

- Zwróciłeś się?

- Oczywiście. Tylko później, nie od razu, kiedy już wszystko inne zawiodło. Tak że oni też próbowali. No więc wróciłem na Langgasse i wszyscy razem... trochę to wyglądało jak pogrzeb. Okropne to było. Pani O. siedziała u ciebie w pokoju i ciągle płakała, usiłując uporządkować to, co po tobie zostało. A zostało niewiele, bo Fremdenpolizei skradła większość twoich papierów. Ja oddałem do biblioteki książki i płyty. Twoje ubranie powiesiliśmy w piwnicy, a potem łaziliśmy po domu, jakby rąbnęła weń bomba. „I pomyśleć, że coś takiego mogło przytrafić się w Szwajcarii”, mówiliśmy do siebie. Serio, było tak, jakbyś umarł.

Axel zaśmiał się.

- To miło, że przynajmniej mnie oplakiwaliście. Dziękuję, sir Magnusie. A nabożeństwo żałobne też było?

- Bez ciała? Tylko pani O. szukała winnego. Była przekonana, że ktoś na ciebie doniósł.

- A kogo podejrzewała?

- Tak naprawdę to wszystkich po kolei. Sąsiadów, sklepikarzy, może kogoś z Cosmo, którąś z Mart...

- I kogo wybrała?

Pym wybrał najładniejszą i zmarszczył brwi.

- Pamiętasz taką długonogą blondynkę z anglistyki?

- Isabella? Doniosła na mnie Isabella? - powiedział z niedowierzaniem Axel. - Przecież ona mnie kochała, sir Magnusie. Czemu miałyby zrobić coś takiego?

- Może właśnie dlatego - odparł śmiało Pym. - Przyszła parę

dni po twoim zniknięciu. Pytała o ciebie, więc jej wszystko opowiedziałem. Ryczała, płakała, mówiła, że się zabije. Ale kiedy potem powiedziałem pani O., że była, ta zaraz powiedziała: „A to właśnie ona to zrobiła. Była zazdrosna o inne kobiety, więc na niego doniosła”.

- A co ty uważałeś?

- Wydawało mi się to trochę naciągane, ale różnie bywa... Tak, może to Isabella. Szczerze mówiąc, od czasu do czasu robiła na mnie dziwne wrażenie. Mogę sobie wyobrazić, że robi jakieś świństwo z zazdrości albo ze złości, no wiesz, a potem jeszcze okłamuje sama siebie, że to nie ona. To chyba taki syndrom zazdrości, no nie?

Axel długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Pym pomyślał, że jak na przystępującego do negocjacji defektora był bardzo zrelaksowany.

- Sam nie wiem. Nie mam twojej wyobraźni, sir Magnusie. Masz jeszcze jakieś teorie?

- Nie, bo przecież tak naprawdę wszystko jest możliwe.

W nocnej ciszy Axel ponownie nalał do kieliszków, uśmiechając się szeroko.

- Coś mi się zdaje, że wszyscy myśleliście o tym znacznie więcej niż ja sam - wyznał. - Jestem wzruszony. - Uniósł dłonie, leniwie, po słowiańsku. - Słuchaj, przecież ja tam byłem nielegalnie, byłem włóczęgą bez pieniędzy, bez papierów, byłem zbiegiem. No to złapali mnie i wyrzucili. Tak bywa, jeżeli jest się gdzieś nielegalnie. Ryba dostaje haczykiem w gardło, zdrajca kulą w łeb, a nielegalnego odstawia się na granicę. Nie marszcz się tak. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Za jutro!

- Za jutro - odpowiedział Pym. Wypili. - Ej, a jak tam twoja wielka ksiązka? - zapytał w euforii rozgrzeszenia.

Axel zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Jak? Nijak! Czterysta stron nieśmiertelnego filozofowania, sir Magnusie! Wiesz, jak ci z Fremdenpolizei musieli się nad tym namęczyć?

- To znaczy... że oni ją zabrali? Ukradli? To draństwo!

- Może nie wyrażałem się zbyt miło o szwajcarskich mieszczuchach?

- Ale napisałeś ją od nowa?

Nic już nie mogło powstrzymać jego śmiechu.

- Od nowa? Żeby była jeszcze gorsza niż za pierwszym razem? Najlepsze, co mogło ją spotkać, to pochować ją wraz z Axelem H. A ty masz jeszcze Simplificissimusa? Nie sprzedałeś go?

- Pewnie że nie.

Znowu chwila milczenia. Axel uśmiechnął się do Pyma, Pym uśmiechnął się najpierw do swoich dłoni, potem podniósł wzrok na Axela.

- A teraz znowu jesteśmy razem - powiedział Pym.

- No właśnie.

- Ja jestem teraz porucznikiem Pymem, a ty jesteś inteligentnym przyjacielem Jana.

- No właśnie - zgodził się wciąż uśmiechnięty Axel.

Uchroniwszy się w ten chytry - we własnym mniemaniu - sposób przed jedynym nieprzyjemnym zgrzytem z przeszłości, as wywiadu, czyli Pym, zręcznie naprowadził rozmowę na temat dalszych losów Axela po aresztowaniu, jego obecnej działalności, a więc i trzymanyh przezeń atutów, i ceny. jakiej mógł zażądać za przekazanie ich Brytyjczykom właśnie, a nie Amerykanom czy nawet - okropna myśl - Francuzom. Nie napotkał tu zresztą większego oporu ze strony Axela, ponieważ ten, zapewne by uszanować przewagę Pyma, najwyraźniej zadowolął się rolą bierną. Nie uszło też uwagi Pyma, że jego stary przyjaciel, opisując swe dzieje, przyjmował potulny styl bycia znanych z obozów dipisów, ich świadomość, że mają do czynienia z kimś lepszym. Opowiadał więc, że Szwajcarzy odwieźli go pod strażą do Niemiec - żeby ułatwić Pymowi ewentualne sprawdzenie prawdziwości swych słów, wymienił nawet nazwę przejścia granicznego. Przekazali go policji zachodniemieckiej, która spuściła mu rytualne lanie, a następnie przekazała Amerykanom. Ci też go zbili, najpierw za ucieczkę, potem za powrót i wreszcie za to, że był splamionym krwią zbrodniarzem wojennym, którym nie był, tylko którego tożsamość tak nierozważnie nabył. Potem wsadzili go do więzienia, by w spokoju przygotować nowy proces, na który sprowadzili nowych świadków, zbyt zastraszonych, by go nie

zidentyfikować. Wyznaczyli już datę rozprawy, a tymczasem Axel wciąż nie mógł znaleźć nikogo, kto by za niego zaręczył albo po prostu powiedział, że to Axel z Karlsbadu, a nie jakiś zbrodniarz hitlerowski. Co gorsza, kiedy dowody zaczęły rozłazić się prokuraturze między palcami, co Axel opowiadał z przepaszającym uśmiechem, coraz większego znaczenia zaczęło nabierać jego własne przyznanie się do winy, więc, oczywiście, bito go jeszcze bardziej. Ale do procesu nie doszło. Zbrodnie wojenne, nawet te fikcyjne, zaczęły wychodzić z mody, więc pewnego pięknego dnia Amerykanie wsadzili go do pociągu i przekazali Czechom, którzy, by nie być gorsi od jankesów, bili go za podwójną zbrodnię: za to, że był niemieckim żołnierzem w czasie wojny, a amerykańskim więźniem po wojnie.

- A potem jednego dnia przestali mnie bić i wypuścili - powiedział z uśmiechem, jeszcze raz rozkładając dłonie. - Zdaje się, że zawdzięczam to mojemu kochanemu, zmarłemu ojcu. Pamiętasz jeszcze, że był wielkim socjalistą i walczył w Hiszpanii w brygadzie imienia Thalmanna?

- Oczywiście - powiedział Pym. Gdy patrzył na szybkie gesty rąk Axela i isierki w jego ciemnych oczach, przyszło mu do głowy, że Axel pozbył się tkwiącego w nim kiedyś Niemca i postanowił być Słowianinem.

- Zostałem arystokratą - powiedział Axel. - W nowej Czechosłowacji ni stąd, ni zowąd stałem się sir Axelem. Starzy socjaliści uwielbiali ojca, a z nowymi chodziłem do szkoły, tylko że oni zdążyli już trafić do nomenklatury. „Czemu wy bijecie sir Axela?“, zapytali moich strażników. „To mądry człowiek, przestańcie go bić, puśćcie go. No dobra, walczył za Hitlera, ale jest mu przykro i teraz będzie walczył za nas, prawda, Axel?“. „No pewnie“, powiedziałem, „czemu nie?“. Więc posłali mnie na studia.

- A co studiowałeś? - zapytał zdumiony Pym. - Tomasza Manna? Nietzscheego?

- Lepiej, lepiej. Uczyłem się, jak awansować dzięki partii. Jak robić karierę w organizacjach młodzieżowych. Jak błyszczeć w komitetach rewolucyjnych. Jak robić czystki na uczelniach, jak iść po trupach, jak karać dzieci za ojców. Czyją dupę kopać,

czyją lizać. Gdzie mówić za dużo, gdzie trzymać mordę na kłódkę. Może powinienem był nauczyć się tego znacznie wcześniej.

Czując, że być może zbliżają się do sedna sprawy, Pym miał ochotę zacząć notować, ale postanowił nie przerywać Axelowi.

- Niedawno ktoś miał czelność nazwać mnie sługusem Tity - opowiadał dalej Axel. - Od 1949 to najmodniejsza obelga. - Pym pomyślał, że może właśnie dlatego Axel zdecydował się uciec. - Wiesz, co zrobiłem?

- Co?

- Doniosłem na niego.

- No nie! Że co zrobił?

- Nie wiem, coś złego. Nie liczy się, co się powie, tylko komu. Na pewno to wiesz, przecież, jak słyszałem, jesteś wielkim szpiegiem. Sir Magnus z brytyjskiej Secret Service, gratuluję. A kapral Kaufmann tam nie marznie? Może powinienes mu coś zanieść?

- Dziękuję, potem się nim zajmę.

Znowu na chwilę zapadło milczenie, jakby każdy z nich na swój sposób interpretował tę uwagę. Jeszcze raz przepili do siebie, kręcąc głowami nad tym, że tak udało im się spotkać. Pym jednak był znacznie mniej pewny siebie, niż udawał. Czuł, że coś mu się wymyka, że wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane.

- To co robiłeś przez ostatnie parę dni? - zapytał, chcąc utrzymać swą przewagę. - Jak to się dzieje, że sierżant ze sztabu Grupy Południowej wałęsa się po sowieckiej strefie w Austrii i planuje ucieczkę?

Axel właśnie zapalał nowe cygaro, więc Pym musiał trochę poczekać na odpowiedź.

- Jaki tam sierżant! W naszej jednostce są same grube ryby. 1 ja, jak ty, sir Magnusie, jestem wielkim szpiegiem. To świetny zawód w naszych czasach. Obaj zrobiliśmy bardzo mądrze, że go wybraliśmy.

Czując nagłą potrzebę zajęcia się swym wyglądem zewnętrznym, Pym odgarnął włosy do tyłu gestem, nad którym pracował od jakiegoś czasu.

- Ale dalej chcesz przejść do nas, oczywiście zakładając, że

nas na ciebie stać? - zapytał z niezgrabną uprzejmością.

Axel aż machnął ręką na tak głupi pomysł.

- Już jestem za stary na takie figle. To teraz mój kraj. Nie jest doskonały, ale jest. Skończyłem z chodzeniem przez zieloną granicę. Muszą nauczyć się ze mną żyć.

Pym poczuł, że sytuacja zmienia się niebezpiecznie.

- To można wiedzieć, co tu robisz, jeśli nie chcesz uciec?

- Dowiedziałem się. że najpierw w Div Int, a teraz w Grazu działa wielki porucznik Pym. lingwista, bohater i kochanek. Strasznie mnie to podekscytowało, że ty szpiegujesz mnie, a ja ciebie. Przecież jest tak, jakbyśmy znowu mieszkali na tym samym poddaszu, że dzieli nas cienka ścianka, że wystarczy zrobić puk, puk! Czy to nie cudowne? Muszę się z nim skontaktować, pomyślałem. Uścisnąć mu dłoń, postawić wódkę. Może uda nam się znowu wspólnie naprawiać świat, tak jak kiedyś?

- Rozumiem - powiedział Pym. - Świetny pomysł.

- Może razem coś wymyślimy? Przecież rozsądni z nas ludzie. Może on nie ma ochoty na kolejną wojnę? Ja może też nie? Może mamy dość bycia bohaterami? Dobrych ludzi jest mało, pomyślałem. A ilu ludzi na świecie uścisnęło dłoń Tomasza Manna?

- Nikt. Tylko ja - powiedział Pym, wybuchając szczerym śmiechem. Znowu się napili.

- Przecież ja tyle ci zawdzięczam, sir Magnusie. Byłeś dla mnie taki dobry, masz takie dobre serce. Wrzeszczałem na ciebie, przeklinałem cię, a ty co? Trzymałeś mnie za głowę, kiedy rzygałem, robiłeś mi herbatę, obmywałeś mnie z rzygów i z gówna, przynosiłeś mi książki, kursując tam i z powrotem między domem a biblioteką, czytałeś mi je całymi nocami. Jestem mu coś winien, pomyślałem sobie. Jestem mu coś winien, więc mogę trochę pomóc mu w zrobieniu kariery. Oddam mu przysługę, choć przyjdzie mi to ciężko. Ale warto, jeżeli dzięki temu zostanie kimś ważnym. Warto i dla niego, i dla świata. Tak niewielu porządnym ludziom udaje się dziś zostać kimś ważnym. Zrobię mu kawał, żeby się z nim zobaczyć. I uścisnąć mu dłoń. I podziękować. I robiąc mu prezent i pomagając w karierze, by spłacić zaciągnięty względem niego

dług. Tak właśnie sobie pomyślałem. Bo go kocham, słyszysz?

Tym razem nie miał ze sobą słomianego koszyka z kolorowo opakowanymi prezentami. Za to wyciągnął z teczki grubą kopertę i podał ją Pymowi przez stół.

- Właśnie odniosłeś wielki sukces, sir Magnusie - oświadczył z dumą, gdy Pym otwierał kopertę. - Nieźle musiałem naszpiegować, żeby to dla ciebie zdobyć. I sporo ryzykowałem. No nic. Moim zdaniem to lepsze niż Grimmelshausen. A jeśli kiedyś się dowiedzą, co zrobiłem, to dostaniesz też moje jaja.

Pym zamyka oczy i znów je otwiera, ale wciąż jest ten sam wieczór i ta sama stodoła.

- Jestem małym grubaskiem, czeskim sierżantem, który lubi wypić - tłumaczy Axel, podczas gdy Pym, jak we śnie, wciąż przewraca strony swego daru. - Ja jestem dobry wojak Szwejk. Czytałeś tę książkę? Na imię mi Pavel, słyszysz? Pavel.

- Pewnie, przecież czytaliśmy ją razem, świetna książka. Czy to wszystko autentyczne, Axel? To nie jakiś kawał?

- Myślisz, że ten grubas Pavel zdecydowałby się na takie ryzyko dla kawału? On ma żonę, która go bije, dzieci, które go nie cierpią, i rosyjskich szefów, którzy traktują go gorzej niż psa. Słuchasz mnie?

Tak, tak. Pym słucha. Połową głowy, bo drugą połową czyta.

- Twój dobry przyjaciel, Axel H., nie istnieje. Wcale się z nim dziś nie spotkałeś. Dawno temu, w Bernie, poznałeś takiego schorowanego niemieckiego żołnierza i może nazywał się Axel, ale czy jeden jest Axel na świecie? Axel zniknął. Jakiś drań na niego doniósł, nie wiesz, jak to się stało. Za to dziś miałeś spotkanie z Pavlem, grubym sierżantem armii czeskiej, który lubi chodzić na dziewczynki, jeść czosnek i zdradzać dowódców. Mówi i po czesku, i po niemiecku. Rosjanie wolą go od Austriaków, ho im nie ufają. Tak że czasem siedzi w ich sztabie w Wiener Neustadt i bawi się w tłumacza i gońca, a czasem odmraża sobie dupę na granicy strefy, polując na drobnych szpiegów. A potem wraca do swojego garnizonu w południowych Czechach i znowu musi słuchać Ruskich. - Axel klepie Pyma po ramieniu. - Rozumiesz? A teraz uważaj. To jest kopia jego akt. Przypatrz się, sir Magnusie, skup się. Przyniósł ci ją, bo wie, że nikt mu nie uwierzy, jeżeli nie będzie miał

Unterlagen. Pamiętasz, co to Unterlagen? Papiery, czyli to, czego nie miałem w Bernie. Weź to ze sobą, pokaż Membury'emu.

Pym niechętnie podnosi oczy znad lektury na tyle długo, by zauważyć, że Axel pokazuje mu z dumą błyszczący plik. W tamtych czasach nie było fotokopiarek: Axel trzyma w dłoni powiązane sznurówkami klisze fotograficzne. Wciska je Pymowi do ręki i znowu odrywa go od dossier, by przypatrzeć się twarzy na zdjęciach: tłusty, źle ogolony człowieczek z wypukłymi oczyma i obrażoną miną.

- To właśnie ja, sir Magnusie - mówi Axel i tym razem uderza Pyma w ramię całkiem silnie, by zmusić go do uwagi, dokładnie tak jak robił w Bernie. - Widzisz go? Jest chciwy i zachłanny. Ciągłe pierdzi, drapie się po głowie, kradnie kury komendanta. Ale równocześnie nie podoba mu się, że jego kraj dostał się bandzie śmierdzących Rusków, którzy rozlażą się jak wszy po Pradze i przezywają go śmierdzącym pepikiem. Ani że z czyjegoś kaprysu musi ciągle tłuc się do Austrii i skakać wokół pijanych Kozaków. Więc jest też odważny, rozumiesz? Jest takim odważnym, obrzydliwym tchórzem.

Pym znów przerywa lekturę, tym razem by zachować się jak typowy biurokrata, i w efekcie jest mu trochę wstyd.

- No świetnie, Axel, wymyśliłeś sobie taką wspaniałą postać ale co ja będę z tego miał? - mówi zbolalym głosem. - Ja mam zdobyć defektora, a nie jego dossier. W Grazu chcą kogoś z krwi i kości, a przecież ten...

- Ty idioto! - krzyczy Axel i udaje, że nie może znieść głupoty Pyma. - Ty żałosny angielski naiwniak! Przecież Pavel to defektor, tylko jeszcze lepszy, bo zostanie na miejscu! Wróci tu za trzy tygodnie, przywiezie ci jeszcze więcej materiału. To tak jakby uciekł nie raz, ale dwadzieścia, sto razy, ile zechcesz. A kim jest w wywiadzie? Gońcem, przynieś - wynieś, szyfrantem, alfonsem! Wiesz, do czego tacy mają zwykle dostęp? Do wszystkiego - go! Taki wszystko ci przyniesie, bo kto go będzie podejrzewał. A najpiękniejsze, że jego kumple sami go do was przerzucą. Następnym razem, jak się spotkamy, miej dla niego ze sobą pytania z Wiednia. Wiesz, jaki to będzie fantastyczny interes: „Możesz to dla nas zdobyć, Pavel? Co to

znaczy, Pavel?". I może, jak będziesz grzeczny, jak przyjdiesz sam, przyniesiesz mu prezencik może ci na nie odpowie.

- Ale to będziesz ty? Zobaczą się z tobą?

- Zobaczą się z Pavlem.

- Ale to ty będziesz Pavlem?

- Słuchaj, sir Magnusie. - Axel odsuwa leżącą między nimi teczkę, z hukiem stawia swój kieliszek obok Pymowego i podsuwa się na krzesło tak blisko, że ramieniem dotyka ramienia Pyma, a usta ma przy jego uchu. - Czy ty mnie słuchasz? Ale tak bardzo, bardzo uważnie?

- Oczywiście.

- Bo chwilami mi się wydaje, że jesteś tak nieprawdopodobnie głupi, że lepiej by było, gdybyś nie bawił się w te klocki. Słuchaj. - Pym uśmiecha się dokładnie tak, jak się uśmiechał, gdy Axel wyzywał go od durniów przy wspólnym przerabianiu Kanta. - Tego, co Axel robi dziś dla ciebie, Axel nie odkupi przez całe życie. Narazam dla ciebie życie, wiesz? Tak jak Sabina dała ci brata, tak Axel daje ci Axela. Rozumiesz? A może jesteś za durny, żeby zrozumieć, że moje życie jest odtąd w twoich rękach?

- Ale ja nie chcę, Axel. Nie chcę.

- Teraz już za późno. Już ukradłem te papiery, już ci je tu przyniosłem, tyje widziałeś, wiesz, co w nich jest. Puszki Pandory nie da się zamknąć. Ani ten twój kochany major Membury, ani ci wielcy panowie z Div Int w życiu nie widzieli czegoś takiego. Dotarło?

Pym kiwa głową, najpierw powoli, potem energiczniej, marszczy brwi, uśmiecha się i usiłuje pokazać, że w każdym calu jest godnym i odpowiedzialnym powiernikiem losu Axela.

- W zamian za to musisz obiecać mi jedno. Mówiłem przedtem, żebyś nie obiecywał, ale teraz musisz mi coś obiecać. Musisz poprzysiąc wierność Axelowi. Sierżant Pavel to zupełnie inna sprawa, jego możesz sobie zdradzać, ile wlezie, przecież on nie istnieje, ale ja, Axel, ten Axel, tu, popatrz, ja nie istnieję. Ani dla Membury'ego, ani dla Sabiny, ani nawet dla ciebie. Nawet gdy poczujesz się samotny, znudzony, gdy będziesz chciał zrobić na kimś wrażenie, kogoś kupić czy sprzedać, nie wolno ci nic o mnie powiedzieć. Nawet gdyby twoi

ci grozili, torturowali, i tak musisz zaprzeczać, że istnieję. Nawet za pięćdziesiąt lat, jeśli cię będą krzyżowali, czy skłamiesz dla mnie? Odpowiadaj.

Pym znajduje w tym wszystkim czas na refleksję, że oto po tak długim wypieraniu z własnej świadomości faktu istnienia Axela musi teraz przysiąc, że dalej będzie temu zaprzeczał. I że to wyjątkowa szansa na odkupienie własnej zdrady.

- Skłamię - mówi Pym.

- Że co?

- Dochowam tajemnicy. Zamknę cię w pamięci, klucz wyrzucę.

- Na zawsze. I mnie, i Jana, brata Sabinę.

- Na zawsze. Jana też. Przecież tyś mi przyniósł właściwie całe rozmieszczenie sił sowieckich w Czechosłowacji - mówi jak w transie Pym. - Oczywiście jeżeli to wszystko jest autentyczne.

- Jest trochę nieaktualne, ale wy, Anglicy, umiecie szanować antyki. Bardziej nieaktualne są wasze plany Wiednia i Grazu. I mniej autentyczne. Lubisz Membury'ego?

- Tak. Chyba tak. A co?

- Bo ja też. Interesujesz się rybami? Pomagasz mu zarybiać staw?

- Czasem.

- To ważna rzecz. Zrób to dla niego. Pomagaj mu. Świat jest okrutny, sir Magnusie, i parę zadowolonych z życia rybek na pewno uczyni go lepszym.

Była szósta rano, gdy Pym wychodził ze stodoły. Kaufmann dawno już ułożył się do snu w jeepie; Pym z daleka widział jego buty sterczące nad maską. Axel odprowadził Pyma aż do białego kamienia. Idąc, wspierał się na ramieniu przyjaciela, dokładnie tak jak wtedy nad Aare. Gdy dotarli do kamienia, Axel pochylał się, zerwał rosnącą przy ścieżce stokrotkę i wręczył ją Pymowi. Potem zerwał drugą, dla siebie, ale zaraz rozmyślił się i też ją oddał.

- I ciębie, i mnie jest tylko po jednym, sir Magnusie, i nigdy nie będzie żadnych innych nas. Ty jesteś stróżem naszej przyjaźni. Pozdrów ode mnie Sabinę. Powiedz jej, że sierżant Pavel przesyła całusy za to, jak mu pomogła.

Człowieka z cennymi kontaktami podziwia się i dobrze

karmi. Tom. W ciągu kilku następných tygodni Pym szybko o tym się przekonał. Przyjeżdżający z Wiednia Bardzo Wysocy Stopniem Oficerowie zapraszają go na kolacyjki po to tylko, by móc go dotknąć i za jego pośrednictwem otrzeć się o Wielki Sukces. Membury też jest obecny - taki uśmiechnięty, wysoki Cezar, większy od swego Antoniusza, wsłuchany w każde jego słowo, uśmiechający się nie do tych, co trzeba, i myślący tylko o swoich rybach. Inni, nie tak wysocy stopniem, choć i tak ważni oficerowie z dnia na dzień zmieniają zdanie o Pymie i zasypują go liścikami dostarczonymi pocztą polową. „Macie pozdrowienia od Marleny. Bardzo żałuje, że musieliście wyjechać z Wiednia bez pożegnania. Wyglądało przez chwilę, że to ja będę Waszym dowódcą, ale widać los nie dał. M. i ja zamierzamy zaręczyć się, gdy tylko dostaniemy pozwolenie z ministerstwa”. Pym staje się jednoosobową sektą; znać go to być dopuszczonym do jej najtajniejszych misteriów: „Ależ ten miody Pym robi fantastyczną robotę! Gdyby to ode mnie zależało, już miałby trzecią gwiazdkę. Co z tego, że jest z poboru?”. „Żałujcie, że nie słyszeliście, co mówił Londyn na kodowanej linii. Posłali to na samą górę”. To właśnie aż w Londynie zdecydowano, że sierżant Pavel otrzymuje pseudonim Greensleeves, a Pym - pochwałę z wpisaniem do akt. Ponętne tłumaczki z czeskiego też są z niego dumne i okazują swe zadowolenie w najróżniejsze i najbardziej wyrafinowane sposoby.

- Nie wolno ci niczego mi opowiadać. Dla zasady - nakazuje mu Sabina, zagryzając go prawie na śmierć swymi pełnymi, smutnymi ustami.

- Niczego ci nie powiem.

- On jest przystojny, ten przyjaciel Jana. I piękny? Jak ty? Zaraz bym kochała, tak?

- Jest wysoki, piękny i bardzo inteligentny.

- I seksowny?

- O, bardzo.

- I homoseksualny, jak ty?

- Kompletnie.

Nie wiadomo dlaczego opis ten bardzo przypadł jej do gustu.

- Porządny z ciebie chłop, Magnus - zapewniła go. - To

dobrze, że chronisz tego człowieka, jakby to był mój brat.

Nadszedł wreszcie dzień ponownego pojawienia się sierżanta Pavia. Tak jak przewidział Axel, Wiedeń przygotował grad pytań do pierwszej partii materiału. Pym zapisał je w notesiku, który zabrał ze sobą na spotkanie. Wziął też kanapki z wędzonym łososiem i świetne białe sancerre od Membury'ego. I papierosy, i kawę, i miętowe czekoladki z kantyny, i w ogóle wszystko, co w Div Int uznano za godne brzuszka dzielnego agenta - rezydenta. Axel i Pym pogryzali więc wędzonego łososia, ale popijali go wódką, i wyjaśniali po kolei każdy z punktów.

- No, co masz dzisiaj dla mnie? - zapytał wesoło Pym przy pierwszej okazji.

- Nic - odpowiedział spokojnie Axel i dolał sobie jeszcze trochę wódki. - Niech poczekają, następnym razem będą mieli jeszcze lepszy apetyt.

- Pavel się waha - doniósł Pym Membury'emu następnego dnia, wykonując co do joty instrukcje Axela. - Ma kłopoty z żoną. Za każdym razem, kiedy wyjeżdża do Austrii, jego córka sprowadza sobie jakiegoś rosyjskiego oficera, straszego drania. No więc go nie przyciskałem. Powiedziałem mu, że może na nas liczyć, że nie chcemy go zdręczać, że rozumiemy, jaką ma trudną sytuację. Wydaje mi się, że na dłuższą metę potrafi to docenić. Ale udało mi się go zapytać o tę koncentrację wojsk pancernych na wschód od Pragi. Powiedział ciekawe rzeczy.

Rozmowie przysłuchiwał się akurat pułkownik, gość z Wiednia.

- A co powiedział? - zapytał, wpatrzony w Pyma jak w tęczę.

- Że według niego chodzi o pilnowanie czegoś.

- Nie powiedział czego?

- Jakiejś broni. Niewykluczone, że rakiet.

- Tak trzymać - powiedział pułkownik, a Membury rozpromienił się jak dumny ojciec.

Przy trzecim spotkaniu Greensleeves rozwiązał zagadkę koncentracji wojsk pancernych, a na dodatek przedstawił wyczerpujące dane na temat lotnictwa sowieckiego w Czechosłowacji, zgodnie ze stanem z listopada poprzedniego

roku. Albo prawie zgodnie. Tak czy inaczej Wiedeń zadziwił się, Londyn zaś upoważnił Pyma do przekazania agentowi dwóch małych sztabek złota, pod warunkiem usunięcia z nich brytyjskich znaków probierczych. Sierżant Pavel zyskał sobie tym samym opinię człowieka chciwego i wszyscy od razu poczuli się swobodniej. Kilka następnych miesięcy Pym kursował tylko między Axelem i Memburym jak lokaj, usiłujący służyć dwóm panom naraz. Membury zaczął się zastanawiać, czy sam nie powinien spotkać się z Greensleevesem; Wiedeń uznał, że to niezły pomysł. Pym przedstawił sprawę agentowi, ale natychmiast wrócił ze smutną wieścią, że Greensleeves chce rozmawiać tylko z Pymem. Zresztą Membury szybko zapomniał o wszystkim, bo zbliżał się okres tarła pstrąga. Pyma wezwano do Wiednia, gdzie go fetowano. O jego względy zabiegali teraz pułkownicy i komandorzy wojsk lotniczych i marynarki. Jednak prawdziwym panem i władcą Pyma okazał się Axel.

- Sir Magnusie - szepnął. - Stało się coś strasznego. - Już nie uśmiechał się tak wesoło, oczy miał przestraszone i podkrążone. Pym znowu przyniósł mnóstwo przysmaków z kantyny, lecz Axel niczego nie chciał nawet spróbować. - Musisz mi pomóc, sir Magnusie - powiedział, oglądając się trwożliwie na drzwi stodoły. - Jesteś moją jedyną nadzieją. Pomóż mi, na miłość boską. Wiesz, co robią takim jak ja? Nie patrz tak na mnie! Rusz głową i raz ty coś wymyśl!

Jestem teraz w tej stodole, Tom. Siedzę w niej od ponad trzydziestu lat. Rozsunął się spękany sufit w domu panny Dubber, zostały stare krokwie i wiszące u nich do góry nogami nietoperze. Czuję woń jego cygar, w świetle lampy naftowej patrzę w jego puste oczodoły i słucham, jak wypowiada me imię - jak inwalida, którym kiedyś był: przynieś mi płyty, albumy, chleba, tajemnice. Ale w jego głosie nie ma użalania się nad sobą, błagania, żalu. Taki już zawsze był ten Axel - on żądał, nie prosił. Owszem, czasem mówił cicho, ale zawsze był silny. Zawsze był panem samego siebie i zawsze umiał od innych wymagać. Przebył wiele granic, przeżył niejedno bicie. O sobie nie myślę w ogóle. Ani teraz, ani wtedy.

- Zaczęli aresztować moich znajomych. Słyszysz? Dwóch wyciągnięto z łóżek wczoraj rano, w Pradze, trzeci zniknął w

drodze do pracy. Tym trzem musiałem o nas opowiedzieć, bo inaczej się nie dało.

Mija trochę czasu, nim znaczenie tej nowiny dociera do zakamarków świadomości Pyma, ale nawet wtedy odzywa się on nierozumiejącym głosem:

- O nas? O mnie? Co powiedziałaś, Axel? Komu?

- Żadnych szczegółów, ale coś musiałem powiedzieć. Ogólnie. Nic takiego, na przykład nikt nie wie, jak się nazywasz.

- Ale co im o nas powiedziałaś?

- Nic. Słuchaj. Ze mną inna sprawa. Tamci pracują w fabrykach, na uczelniach, nie mają jak się wykręcić. Jak zaczną ich torturować, wyjawią wszystko, co wiedzą, i już będzie po nich. Ale ja jestem wielkim szpiegiem, ja mam silną pozycję, tak samo jak ty. „Zgadza się”, mówię im. „Przekraczam granicę, w końcu to moja praca. Zapomnieliście, że pracuję w wywiadzie?...” Udaję, że jestem obrażony, żądam widzenia z moim bezpośrednim przełożonym. Mój przełożony nie jest zły, przynajmniej nie na sto procent, tylko, powiedzmy, na sześćdziesiąt. I też nienawidzi Ruskich. Mówię mu: „Zacząłem prowadzić brytyjskiego agenta. Gruba ryba, oficer wojsk lądowych. Nikomu nic nie mówiłem, bo wiadomo, ilu zaplutyh karłów reakcji ciągle siedzi w naszej służbie. Każcie bezpiecze dać mi spokój, to podzielę się z wami tym, czego się dowiem, jak przyjdzie co do czego”.

Pym od dawna już nic nie mówi. Nie pyta już, co na to przełożony ani do jakiego stopnia prawdziwe życie Axela odpowiada fikcyjnemu życiu sierżanta Pavia. Wszędzie w organizmie zaczynają umierać mu komórki: w głowie, w kroczu, w szpiku. Miłosne myśli o Sabinie są teraz tak odległe, jak wspomnienia z dzieciństwa. Teraz liczy się tylko Pym, Axel i ta straszliwa katastrofa. Słucha Axela i równocześnie zmienia się w starca. I powoli pogrąża się w odwieczną, bezduszną otchłą śmierci.

- On na to, że mam dać mu jakiś dowód - mówi, drugi już raz, Axel.

- Dowód? - mamrocze Pym. - Jaki dowód? Dowód? Nie rozumiem.

- Informacje. - Axel pociera palcem o kciuk, zupełnie jak

kiedyś E. Weber. - Informacje. Materiały. Towar. Coś takiego, co mógłbym dostać od szantażowanego przeze mnie angielskiego zdrajcę. Nie musi być zaraz o bombie atomowej, ale też nie może to być byle co. Coś dobrego, żeby mu zamknąć mordę. Rozumiesz, on też ma przełożonych. - Axel uśmiecha się, choć nie jest to uśmiech, który wspominam z przyjemnością, nawet teraz. - Wiesz, jak to jest, sir Magnusie: zawsze jest jeszcze ktoś na wyższym szczebelku. Nawet wtedy, gdy człowiek myśli, że jest na szczycie. A kiedy naprawdę jest, inni czepiają się butów, ściągają w dół. Piękny system. „Tylko niech nie zmyśla”, mówi do mnie. „Cokolwiek to będzie, musi to być coś. Załatwisz coś takiego, w porządku”. Ukradnij coś takiego dla mnie, sir Magnusie. Jeżeli kochasz moją wolność, zdobądź dla mnie coś świetnego.

- Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył - mówi kapral Kaufmann, gdy Pym wraca do jeepa.

- Brzuch mnie boli - mówi Pym.

Ale w powrotnej drodze do Grazu poczuł się trochę lepiej. W życiu już tak jest, że trzeba się orientować, który wierzyciel najgłośniej krzyczy. W życiu trzeba płacić. Choćby miało się od tego umrzeć.

Tej nocy ulicami Grazu wałęsało się aż kilku Pymów naraz, Tom, i nie wstydzę się teraz za żadnego z nich, i każdego z nich przytuliłbym do serca jak syna marnotrawnego, który spłacił dług względem społeczeństwa i powrócił do domu, gdyby pojawił się teraz na progu domu pani Dubber i powiedział: Ojczy, to ja. Nie było chyba drugiej takiej nocy, by myślał mniej o sobie, a więcej o swych zobowiązaniach względem innych, niż wtedy, gdy patrolował swe miasto, swą stolicę w cieniu upadłej habsburskiej wielkości, zatrzymując się to przed bramą rodzinnej kwatery państwa Memburych, to przed wejściem do niezbyt zachęcającej czynszówki, w której mieszkała Sabina, podczas gdy obmyślał swój plan i uspokajał ich - swych wierzycieli - obietnicami. „Proszę się nie martwić, panie majorze”, mówił w duchu Membury'emu. „Nie będzie pan musiał się za mnie wstydzić, staw nadal będzie zarybiany, a pan pozostanie na swym stanowisku tak długo, jak pan będzie chciał. Wielcy Ludzie Naszego Kraju nadal będą czcić w panu

opiekuńcze bóstwo operacji Greensleeves". „Twoja tajemnica jest w moich rękach”, szeptał w ciemne okno Sabiny. „Twoja praca u Anglików, twój bohaterski brat Jan, twoje uwielbienie dla twego kochanka, Pyma, są bezpieczne. Będę czuwał nad nimi tak samo, jak czuвам nad twoim miękkim, ciepłym ciałem, gdy śniesz niespokojne sny”.

Nie musiał podejmować żadnych decyzji, bo nie miał żadnych wątpliwości. Samotny krzyżowiec poznał swą misję, jej szczegółami zajmie się szpieg profesjonalista. Wierny przyjaciel nigdy już nie zdradzi przyjaciela dla iluzji przysłużenia się ojczyźnie. Nigdy nie widział jaśniej, kogo kocha, jaki jest jego obowiązek, komu jest co winien. To właśnie jestem ci winien, Axel. Razem możemy zmienić świat. Przyniosę ci dary, tak jak ty mi przynosiłeś. Już nigdy nie pošlę cię do obozu. Pym, jeżeli rozważał inne możliwości, czynił to tylko po to, by dowieść sobie, jak katastrofalne byłyby ich skutki. Przecież przez ostatnie kilka miesięcy pomysły Pym stworzył z sierżanta Pavia ulubieńca skrytych przed ludzkim wzrokiem korytarzy Grazu, Wiednia i Whitehall. To dzięki niemu pijackie ekscesy, flirty oraz niespodziewane akty straceńczej odwagi małego cholerycznego człowieczka przeszły tam do legendy. Nawet gdyby Pym brał pod uwagę ponowne zdradzenie Axela, jakże miał pójść do Membury'ego i powiedzieć: „Panie majorze, sierżant Pavel nie istnieje. Greensleeves to mój przyjaciel Axel, który chce, żeby przekazać mu jakieś nasze tajemnice wojskowe”. Membury tylko otworzyłby szeroko te swoje dobroduszne oczęta, jego niewinna twarz poryłaby się zmarszczkami smutku i rozpaczy. Utraciłby wiarę w Pyma i własną reputację: Membury na latarnię, wywalić Membury'ego, Membury, jego żona i wszystkie córki - do domu. Jeszcze gorsza katastrofa groziła w wypadku kompromisu, czyli obarczenia sierżanta Pavia dylematem Axela. Pym i tę scenę rozegrał w swej wyobraźni: „Panie majorze, wydało się, że sierżant Pavel chodzi do nas przez zieloną granicę. Powiedział czeskiej tajnej policji, że prowadzi brytyjskiego agenta. Teraz musimy mu coś dać, żeby uwierzyli”. W Div Int nikogo nie upoważniono do prowadzenia podwójnego agenta - już taki rezydent jak Pavel był niejakiem przekroczeniem kompetencji.

Tylko upór Greensleevesa, by kontaktować się wyłącznie z Pymem, sprawił, że agenta nie przejął Londyn, i już teraz zastanawiano się, kto dostanie Pavia, gdy Pym wróci do cywila. Tak, postawienie Axela lub sierżanta Pyma w sytuacji podwójnego agenta groziło natychmiastowymi a zgubnymi konsekwencjami: Membury musiałby oddać Greensleevesa Londynowi, jego następcą w pięć minut zorientowałby się w mistyfikacji, Axel znów zostałby zdradzony, tylko że tym razem będzie miał jeszcze mniejsze szanse przeżycia. A cała rodzina Memburych zostanie zesłana na Sybir.

Nie, Tom. Gdy Pym włóczył się owej brzemiennej w skutkach nocy pod baldachimem niedościgłych ideałów, w czystości ducha pogardziwszy łóżkiem Sabiny, nie zastanawiał się wcale nad wyborem drogi i nie zdręczał swej nieśmiertelnej duszy akademickim problemem zdrady. Nie myślał o czekającej go następnego dnia nieodwołalnej egzekucji, w wyniku której zniknęła dla Pyma wszelka nadzieja, a narodził się twój ojciec. Wschód słońca, który oglądał, zwiastował mu nowy dzień, dzień piękna i harmonii. Dzień, w którym wszystko się wyjaśni, gdy los wszystkich, którzy od niego zależą, spocznie w jego rękach, gdy wyborcy z jego tajnego okręgu wyborczego padną na kolana, dziękując Pymowi i Stwórcy za narodziny Pyma - tego, który wszystko za nich załatwi. Był radosny, pełen optymizmu. Tajny krzyżowiec położył miecz na ołtarzu i słał bogu wojny braterskie pozdrowienia.

- Axel, chodź ze mną! - prosił go przedtem. - Zapomnij o sierżancie Pavle. Teraz możesz być zwykłym defektorem. Zaopiekuję się tobą, niczego ci nie zabraknie, obiecuję.

Ale Axel był równie zdeterminowany, co nieustraszony.

- Nie każ mi zdradzać przyjaciół, sir Magnusie. Tylko ja mogę ich uratować. Nie mówiłem ci, że to była moja ostatnia granica? Jeżeli mi pomożesz, odniesiemy razem wielkie zwycięstwo. Bądź tu w środę o tej samej porze.

Pym, z teczką w ręku, wchodzi szybkim krokiem na najwyższe piętro willi i otwiera drzwi do swego biura. Ranny ze mnie ptaszek, wszyscy to wiedzą. Pym wstaje z kurami, Pym ma zapał, Pym jest codziennie gotowy z robotą, kiedy reszta dopiero się goli. Z gabinetem Membury'ego łączą biuro Pyma

wielkie dwuskrzydłowe drzwi. Pym otwiera je i wchodzi do środka. W tej samej chwili jest mu tak dobrze, że aż nie do zniesienia: czuje oszałamiające połączenie radości z podjętej decyzji, poczucia jej słuszności i uwolnienia się od wszelkich wątpliwości. Mam szczęście. Blaszane biurko Membury'ego to nie biurko w Kancelarii Rzeszy. Z tyłu blacha jest przerdzewiała, a szwajcarski scyzoryk Pyma to już stary znajomy czterech śrubek. W trzeciej szufladzie po lewej Membury trzyma najważniejsze pozycje: aktualne rozkazy dla jednostki, Łososiowate świat, spis zastrzeżonych numerów telefonicznych, Jeziora i cieki wodne Austrii, ściśle tajny regulamin wywiadu wojskowego z Londynu, listę najlepszych akwariów i schemat organizacyjny wiedeńskiej Div Int, z nazwami jednostek i ich zadań, choć bez nazwisk. Pym sięga ręką. To nie napad ani zemsta, niczyich inicjałów nie będę rył na boazerii. Jestem tu po to, by pieścić. Teczki z aktami, spięte zszywkami instrukcje. Szyfry opatrzone nagłówkiem „Ściśle tajne” - tych Pym jeszcze nigdy nie widział. Ja pożyczam, nie kradnę. Otwiera teczkę, wyjmuje z niej aparat fotograficzny Agfa z wojskowego przydziału wraz z przymocowanym łańcuszkiem pomiarowym. To ten sam aparat, którego używa, gdy Axel przywozi surowy materiał i Pym musi porobić zdjęcia na miejscu. Teraz Pym naciąga migawkę i ustawia aparat na biurku. Po to właśnie się urodziłem, myśli sobie nie pierwszy już raz. Na początku był szpieg.

Z teczki do akt z wykreślonym nagłówkiem „Kręgowce” wyjmuje regulamin Div Int. Tłumaczy sobie, że Axel pewnie i tak to zna. Mimo wszystko pieczęcie „Ściśle tajne” u góry i u dołu każdej strony robią wrażenie. Jeżeli kochasz moją wolność, zdobądź dla mnie coś świetnego. Robi pierwsze zdjęcie, drugie, ale czuje pewien niedosyt. W końcu na rolce jest trzydzieści sześć klatek. Mam wyjść na sknerę, przywieźć mu tylko dwie? Przecież mogę zrobić coś ekstra - tak na dobry początek. Axel, ty zasługujesz na coś więcej. Przypomina sobie aktualną ocenę zagrożenia sowieckiego, którą przystano niedawno z Ministerstwa Wojny. Jeżeli to przeczytają, przełkną wszystko. Opracowanie leży w górnej szufladzie, tuż obok podręcznika Ssaki wodne, a zaczyna się od streszczenia wniosków

końcowych. Robi zdjęcie każdej ze stron i ślicznie wykorzystuje cały film. Axel, udało się! Jesteśmy wolni. Jest tak, jak mówiłeś: naprawiliśmy świat. My, ludzie z ziemi niczyjej, właśnie założyliśmy nowe państwo. Liczba ludności: dwóch.

- Obiecuj mi, że już nigdy nie przyniesiesz mi czegoś aż tak świetnego, sir Magnusie - powiedział przy najbliższym spotkaniu Axel. - Bo jak tak dalej pójdzie, zrobią mnie generałem i nie będziemy już mogli się spotykać.

Kochany Ojczy! - pisał Pym do hotelu Majestic w Karaczi, gdzie Rick spędzał urlop, zdaje się, zdrowotny. - Dziękuję za oba listy. Cieszę się, że tak przypadliście sobie do gustu z Agą Khanem. Ja też spisuję się całkiem nieźle. Myślę, że byłbyś ze mnie dumny.

Rozdział 14

Gdy Mary Pym uznała w wieku szesnastu lat, że czas stracić dziewictwo, zasymulowała ciężką niedyspozycję, właściwą dla dziewczynek w wieku dorastania i poprosiła higienistkę, żeby położyła ją do łóżka. Przeleżała w izbie chorych aż do trzeciej, gdy dzwonek oznajmił trwającą dwie godziny przerwę dla higienistki. Odczekała jeszcze pięć minut z komunijskim zegarkiem w ręku, na pół minuty wstrzymała dech, co zawsze dobrze robiło jej na odwagę, po czym na paluszkach zeszła po kamiennych tylnych schodach, minęła kuchnię, pralnię i po skrawku pożółkłej trawy dotarła do starej ceglanej szopy, gdzie jeden z pomocników ogrodnika przygotował już prowizoryczne posłanie z koców i starych worków. Efekt przeszedł jej najśmielsze oczekiwania ale najprzyjemniejszy był nie sam akt, lecz oczekiwanie: leżenie ze spódnicą śmiało zadartą wokół talii i świadomością, że teraz nikt już jej nie powstrzyma, skoro się zdecydowała - to poczucie swobody, z którym weszła w stan grzechu.

To samo uczucie towarzyszyło jej teraz, gdy siedziała z miną świętoszki w środkowym rzędzie krzesel ustawionych w zagraconym salonie Caroline Lumsden, pełnym obrzydliwych tajskich stolików, kiczowatych chińskich malowideł i półek uginających się pod ciężarem odlewanych seryjnie posążków

Buddy, i słuchała gospodyni starającej się odczytywać głosem królowej Elżbiety protokół ostatniego zebrania Towarzystwa Żon Dyplomatów - tylko że w wykonaniu Caroline brzmiało to bardziej jak ostatni śpiew pijanego łabędzia. Zrobię to, Mary powtarzała sobie w duchu z całkowitym spokojem. Jak się nie da tak, załatwię to inaczej. Popatrzyła przez okno. W zaparkowanym po drugiej stronie wynajętym mercedesie siedzieli przytuleni do siebie Georgie i Fergus - dwoje kochanków udających, że studiują plan miasta, a tak naprawdę niepuszczających wzroku z drzwi frontowych i jej rovera stojącego na podjeździe domu Lumsdenów. Wyjdę tylnym wyjściem, raz się udało, uda się jeszcze raz.

- Zdecydowano więc jednogłośnie - jęczała tymczasem Caroline - że raport inspekcji z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie kosztów utrzymania jest nieprawdziwy i nierzetelny. Natychmiast powołano podkomisję do spraw finansowych, której zgodziła się przewodniczyć, o czym informuję z przyjemnością, pani McCormick.

Pełna respektu cisza. Ruth McCormick jest żoną ministra gospodarki, więc musi być prawdziwym geniuszem finansowym. Nikt nie uznał za wskazane przypomnieć, że bżyka się z wojskowym attache Holandii.

- Podkomisja zajmie się sporządzeniem listy wszystkich naszych postulatów, a następnie wystosowaniem pisemnego protestu do zarządu naszego towarzystwa w Londynie celem nadania sprawie toku służbowego.

Czternaście par damskich rączek, w tym również Mary, dało wyraz swej aprobie soprانowymi brawami. Świetnie, Caroline, świetnie. W następnym wcieleniu to ty zostaniesz młodą, dobrze zapowiadającą się dyplomatą, a twój mąż będzie siedział w domu i cię małpował.

Caroline przeszła do pozostałych spraw.

- W najbliższy poniedziałek nasz cotygodniowy lunch z Amerykankami u Manziego. Punktualnie o dwunastej trzydzieści, czterysta szylingów od osoby, ale w gotówce. W cenę wliczone są dwa kieliszki wina. Bardzo proszę się nie spóźniać, bo Herr Manziego trzeba było okropnie prosić, żeby zgodził się zarezerwować dla nas osobną salkę.

Caroline urwała na chwilę. No, powiedźże to wreszcie, idiotko, popędzała ją w duchu Mary. Ale nic z tego, jeszcze musi chwilę zaczekać.

- Potem, w piątek, czyli za tydzień, wysłuchamy naprawdę bardzo interesującego wykładu z prezentacją Marjory de Weever o aerobiku, którego uczyła z takim powodzeniem na wspólnych zajęciach dla całego personelu naszej ambasady w Sudanie, gdzie jej mąż był wice. Zgadza się, Marjory?

- No, nie wice, tylko chargé d'affaires! - ryknęła z pierwszego rzędu Marjory. - Ambasador wytrzymał jedynie trzy miesiące z czternastu. Brianowi, oczywiście, nie zapłacili za nadgodziny, ale mówi się trudno.

Na miłość boską, pomyślała Mary z wściekłością. No, już! Ale zapomniała, że ten idiota, mąż Penny Sharlow, właśnie dostał jakiś medal.

- Myślę, że będę wyrazicielką opinii ogółu, jeśli powiem, że wszystkie z całego serca gratulujemy Penny tego, że jest od wielu lat taką podporą dla Jamesa, który bez niej na pewno nie zaszedłby tak wysoko.

Wypowiedź ta została najwyraźniej potraktowana jako żart, bo kilka - choć zbyt mało - głosów wybuchnęło histerycznym śmiechem, które Caroline szybko uciszyła żalonym spojrzeniem w głąb pokoju i przybrała ton żałoby narodowej:

- Aha, Mary, kochanie... Sama powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko temu, bym wspomniała... - Mary szybko spuściła wzrok na podolek. - Jestem pewna, że wszystkie z nas chcą ci powiedzieć, jak nam przykro z powodu śmierci twojego teścia. Wiemy, że Magnus bardzo się przejął, i mamy nadzieję, że wkrótce dojdzie do siebie i znów pojawi się wśród nas wesoły jak zawsze, co tak u niego lubimy.

Kondolencyjne pomruki. Mary szepnęła: „Dziękuję” i pochyliła się do przodu, ale nie za daleko, żeby nie przedobrzyć. Poczwała wokół siebie zaniepokojenie, że jej głowa się nie podnosi, zaczęła dygotać i zobaczyła ku swojemu zdumieniu, że na złączone dłonie kapią jej prawdziwe łzy. Wydała z siebie pojedynczy szloch i z umyślnie sprokurowanej ciemności usłyszała pogodny głos pani Simpson, żony strażnika z kancelarii: „No, no. kochanieńka”, i poczuła równocześnie na

ramieniu jej wielką łapę. Znów pojedynczy szloch, udawana próba odepchnięcia pani Simpson, powolne uniesienie się z krzesła. I łyżki, wszędzie łyżki - łyżki za Toma, za Magnusa, za deflorację w szopie za szkołą, założę się, że jestem w ciąży. Pozwoliła pani Simpson ująć się pod rękę, pokręciła głową, wymamrotała: „Już mi lepiej”. Wyszła do holu, Caroline Lumsden za nią. „Nie, dziękuję... Nie, serio, naprawdę nie chcę się położyć... Lepiej się przejdę... Możesz podać mi płaszcz?... Niebieski, z takim okropnym niebieskim misiem... Wiesz, wołałabym zostać sama... Taka jesteś miła... Kuny boskie, znowu będę ryczeć...”

Znalazszy się w długim ogrodzie Lumsdenów, wciąż zgarbiona, ruszyła ścieżką aż do miejsca, gdzie drzewa skryły ją przed oknami domu. W tym momencie zaczęła działać szybko. Jednak solidne przeszkolenie na coś się przydało: już jestem spokojna, pomyślała z satysfakcją, otwierając furtkę. Popędziła na przystanek, autobus kursował co czternaście minut. Wiedziała, bo sprawdziła.

- No proszę, jak to miło z ich strony! - zawołała pani Membury z ogromną satysfakcją, dolewając Brotherhoodowi jeszcze trochę domowego wina z czarnego bzu. - Naprawdę jestem zdania, że to mądra i rozsądna decyzja. Nigdy nie przypuszczałam, że w Ministerstwie Wojny ktoś wpadnie na ten pomysł. A ty, Harrison? On nie jest głuchy - wyjaśniła Brotherhoodowi, czekając na odezwanie się męża - tylko myśli powoli. No, Harrison, przypuszczałeś?

Harrison Membury wrócił właśnie znad strumienia na drugim końcu ogrodu, gdzie wycinał trzciny. Wciąż jeszcze był w wysokich kaloszach. Wielki, długonogi i mimo siedemdziesiątki bardzo chłopięcy, o różowych, niedojrzałych policzkach i siwych jedwabistych włosach, siedział za stołem, popijał domowe ciasto herbatą z wielkiego fajansowego kubka z napisem „Dziadzio”. Brotherhood zauważył, że Membury porusza się dokładnie dwa razy wolniej i mówi dokładnie dwa razy ciszej niż jego żona.

- No, nie wiem - odpowiedział, gdy wszyscy zdążyli już zapomnieć pytania. - Było tam paru mądrych facetów. Gdzieniedzie.

- Gdyby zapytał go pan o ryby, odpowiedziałby znacznie

szybciej - powiedziała pani Membury, pędząc do kąta i wyciągając kilka rodzinnych albumów spośród dzieł wszystkich Evelyny Waugh. - A jak tam pstrągi, Harrison?

- Pstrągi? W porządku - odpowiedział z uśmiechem Membury.

- Nam nie wolno ich jeść. Tylko szczupakom. Ma pan chwilkę, żeby obejrzeć moje zdjęcia? Bo może to ma być historia ilustrowana? Proszę nic nie mówić. Wiem, to podwaja koszty, pisali tak w „Observerze”. Ilustracje zawsze podwajają koszt wydania. Tylko że moim zdaniem one też dwukrotnie uatrakcyjniają książkę, szczególnie jeżeli chodzi o biografię. Co mi po czyjejs biografii, jeżeli nie wiem, jak wygląda ten, kogo biografują? Harrison tego nie potrzebuje, bo on jest mózgowiec. A ja wzrokowiec.

- Ja też trochę tak jak pani - powiedział z uśmiechem Brotherhood, nie wychodząc ze swej roli.

Wieś była jedną z wielu na wpół zurbanizowanych osad z czasów króla Jerzego na przedmieściach Bath, dokąd tak chętnie emigrują zamożni angielscy katolicy. Domek państwa Memburych stał już prawie poza wsią. Był to maleńki dworek z piaskowca, z wąskim, długim ogródkiem schodzącym aż do strumienia. Siedzieli w trójkę w zagraconej kuchni na hepplewhite'owskich krzesłach, wśród stert brudnych naczyń i częściowo wotywnych bibelotów: tu spękana ceramiczna płytką z wizerunkiem Matki Boskiej z Lourdes, tam rozpadający się trzcinyowy krucyfiks wepchnięty za rurę od kuchenki, gdzie indziej dziecinna zabawka z papierowych aniołków na sznurku, obracająca się w przeciagu u framugi drzwi, zdjęcia Ronalda Knoxa i innych sławnych angielskich konwertytów. W trakcie rozmowy pojawiały się w kuchni umorusane wnuczeta, stawały, gapiły się na przybysza i wreszcie znikwały, wyciągnięte za drzwi przez wysokie matki. Dom był w stanie ciągłego i dobrodusznego chaosu, z dodatkiem lekkiej manii religijnej. Białe, przedpołudniowe słońce zaczynało wreszcie przebijać się przez sztandarową mgłę okolic Bath. W rynnach powoli przelewał się deszcz.

- Pan z jakiej uczelni? - zapytał nagle Membury z drugiego końca stołu.

- Kochanie, przecież już ci mówiłam. Pan jest historykiem.

- No, szczerze mówiąc, proszę pana, raczej wojskowym na emeryturze - odpowiedział Brotherhood. - Mam szczęście, że dostałem tę pracę. Gdyby nie to, pewnie całkiem bym już poszedł w odstawkę.

- A kiedy to ma wyjść?! - zawołała pani Membury, jakby wszyscy wokół byli głusi. - Musi mnie pan powiadomić na dobre parę miesięcy przedtem, żebym zdążyła zamówić sobie u pani Lanyon. Tristramku, nie ciągnij za kartkę. Wie pan, mamy tu objazdową bibliotekę. Magda, kochanie, zrób coś z Tristramem, próbuje wyrwać kartkę z książki historycznej. Przyjeżdżają raz na tydzień i chwala Bogu za to, jeżeli komuś nie przeszkadza, że czasem trzeba trochę poczekać. O, proszę, to jest willa Harrisona, miał tam biuro, wszyscy musieli go słuchać. Większość jest z około 1680 roku, tylko to skrzydło jest późniejsze, dziewiętnastowieczne. A to staw Harrisona. Zarybił go od początku, bo przedtem gestapo wrzucało tam granaty i wybiło ryby. Można się było tego spodziewać. Świnie.

- Z tego, co mówią moi przełożeni - powiedział Brotherhood - ma to być najpierw do użytku wewnętrznego. Dopiero potem opublikują skróconą wersję na otwarty rynek.

- Pan nie jest przypadkiem Michael Foot, ten historyk? - zapytała pani Membury. - Aha, nie, już pan mówił, że pan jest Marlow. No, ale i tak uważam, że to świetny pomysł porozmawiać najpierw z naocznymi świadkami, zanim się pan do tego zabierze.

- A gdzie pan służył? - zapytał Membury.

- Powiedzmy, że trochę tu, trochę tam - odpowiedział celowo niejasno Brotherhood, wkładając okulary do czytania.

- To on - powiedziała pani Membury, kłując małym paluszkiem w grupowe zdjęcie. - To ten. Ten, o którego pan pytał. Magnus. To on robił najlepsze rzeczy. A to stary Rittmeister, jaki on był kochany! Harrison, a jak się nazywał ten kelner z mesy? Ten, który o mały nie poszedł do klasztoru, tylko przestraszył się w ostatniej chwili?

- Zapomniałem - powiedział Membury.

- A te dziewczyny? - zapytał z uśmiechem Brotherhood.

- O mój Boże, ileż z nimi było kłopotu! Jedna bardziej

zwariowana od drugiej. Jak któraś nie zaszła w ciążę, to albo uciekła z jakimś kompletnie nieodpowiednim chłopakiem, albo podcięła sobie żyły. Gdybym w tamtych czasach uznawała antykoncepcję, mogłabym prowadzić dla nich kursy świadomego macierzyństwa. Bo teraz jesteśmy tak trochę pół na pół. To znaczy nasze dziewczyny niby biorą pigułki, ale i tak wpadają przez pomyłkę.

- One wszystkie zajmowały się tłumaczeniem - powiedział Membury, nabijając fajkę.

- Czy w operacji Greensleeves też uczestniczyła tłumaczka? - zapytał Brotherhood.

- Nie była potrzebna - powiedział Membury. - Tamten mówił po niemiecku. Pym prowadził go sam.

- Całkiem sam?

- Solo. Greensleeves się uparł. Najlepiej niech pan spyta Pyma.

- A kto go przejął, kiedy Pym wyjechał?

- Ja - odparł z dumą Membury, strącając mokry tytoń z obrzydliwego swetra.

Nic tak nie wprowadza porządku w beładną rozmowę jak widok notesu w czerwonej oprawie. Brotherhood wyciągnął takl z kieszeni, rozłożył go wśród resztek kilku posiłków i potrząsnął swą wielką prawicą jako wstęp do czegoś trochę oficjalnego. Potem wyjął z kieszeni pióro z taką ceremonią, z jaką robi to wiejski policjant na miejscu zbrodni. Wnuczęta zabrano. Z piętra dobiegały teraz czyjeś usilne próby zmuszenia dzieciennych cymbałków do odegrania czegoś kościelnego.

- To może najpierw spiszę wszystko z grubsza, a potem zajmiemy się szczegółami - powiedział Brotherhood. - Świetny pomysł - powiedziała z powagą pani Membury. - Harrison, kochanie, skup się. - Niestety, jak już mówiłem, większość oryginalnych dokumentów na temat operacji Greensleeves została zniszczona lub zgubiona, przez co na żyjących świadków, czyli na państwa, spa - da jeszcze większa odpowiedzialność. No, to zaczynamy. Jakiś czas po udzieleniu tego surowego napomnienia Membury dość składnie i zaskakująco szczegółowo podawał daty i znaczenie głównych osiągnięć Greensleevesa oraz szczegóły udziału w operacji

porucznika Magnusa Pyma z wywiadu wojskowego. Brotherhood wszystko spisywał, prawie nie przerywał, od czasu do czasu tylko ślinił palec i obracał stronę w notesie.

- Harrison, kochanie, znowu dygresja - wtrącała się od czasu do czasu pani Membury. - Pan Marlow nie będzie tu siedział w nieskończoność. - A raz: - Pan Marlow musi wracać do Londynu, kochanie. Pan Marlow to nie jedna z twoich ryb.

Ale Membury nadal pływał swoim tempem. Opisywał to sowieckie instalacje wojskowe w południowej Czechosłowacji, to pracowity proces pozyskiwania z Whitehall małych sztabek złota, bo tylko w takiej formie akceptował swe wynagrodzenie Greensleeves, to walki, jakie Membury musiał staczać z Div Int, by chronić swego ukochanego agenta przed przepracowaniem. A Brotherhood, choć nie zapomniał włączyć przed rozmową małego magnetofoniku, ukrytego w przedniej kieszeni marynarki, grzecznie wszystko spisywał - po lewej dąty, po prawej opis.

- Greensleeves nie używał jeszcze jakiegoś innego pseudonimu? - zapytał od niechcena, wciąż notując. - Bo czasem zmienia się pseudonim ze względów bezpieczeństwa albo gdy okazuje się, że ten jest już zajęty.

- Skup się, Harrison - powtórzyła pani Membury. Membury wyjął fajkę z ust. - Może Wentworth? - podsunął Brotherhood, przewracając stronę.

Membury pokręcił głową.

- Bo był jeszcze jeden kontakt... - Brotherhood zawahał się, jakby nie mógł sobie przypomnieć. - Serena. O właśnie. Chociaż nie. Sabina. Sabina z Wiednia. A może z Grazu? Chyba z Grazu, ale chyba nie za pana czasów. Dawniej bardzo często zmieniano płeć, podstawowa sztuczka dezinformacyjna.

- Sabina? - zawołała pani Membury. - Nasza Sabina?

- On mówi o kontakcie, kochanie - powiedział stanowczo Membury, wtrącając się znacznie szybciej niż zwykle. - Nasza Sabina była tłumaczką, nie agentką. To coś zupełnie innego.

- No bo ta nasza Sabina była kompletnie...

- Ona nie była agentką - powtórzył równie stanowczo Membury. - No, przestań plotkować. Stokrotka. - Słucham? - powiedział Brotherhood.

- Magnus chciał nazwać go Stokrotką. I przez chwilę tak właśnie go nazywaliśmy: agent Stokrotka. Nawet mi się to podobało. Ale potem jakiś osioł w Londynie uznał, że Stokrotka brzmi zbyt niepoważnie. Typowe. Założę się, że dostał za to awans Kompletny bufon. Byłem wściekły, Magnus też. Tak się złościł że aż mnie to rozczuliło. Porządny był chłop z tego Magnusa.

- No, to podstawy już mamy - odezwał się Brotherhood przeglądając to, co zapisał. - A teraz może trochę więcej szczegółów, dobrze? - Otworzył notes na liście, którą wypisał sobie przed przyjściem. - Osobowości, o tym już trochę mówiliśmy. Celowość wcielania poborowych do wywiadu w czasie pokoju. Czy są bardziej pomocą, czy zawadą? Do tego też dojdziemy. Co się z nimi potem działo? Czy doszli do czegoś w swoim wybranym zawodzie? No tak, tylko że nie wiem, czy miał pan potem z nimi kontakt. Czyli tym to raczej powinniśmy zająć się sami.

- Ano właśnie, co się stało z Magnusem? - zapytała pani Membury. - Harrison okropnie się przejął, że Magnus ani razu potem nie napisał. Ja też się martwiłam. Nawet nie dał nam znać, czy w końcu zdecydował się zostać katolikiem. Mieliśmy wrażenie, że mało brakowało. Tak naprawdę brakło mu tego ostatecznego popchnięcia we właściwym kierunku. Z Harrisonem też ciągnęło się to dobrych parę lat. Ojciec D'Arcy musiał nieźle się z tobą nagadać, nim przejrzałeś na oczy, prawda, kochanie?

Fajka Membury'ego zgasała, a on sam patrzył z zawiedzioną miną w brudny talerz po zupie.

- Nigdy go nie lubiłem - wyjaśnił z żalem i zażenowaniem. Nigdy nie miałem o nim zbyt dobrego zdania.

- Kochanie, nie wygłupiaj się. Przecież uwielbiałeś Magnusa. Przecież byłeś dla niego prawie jak ojciec. Dobrze wiesz, że tak było.

- Nie, nie, Magnus był świetny. Chodzi mi o tego drugiego. Tego agenta. Greensleeves. Szczerze mówiąc, miałem go od początku trochę za oszusta. Nikomu nic nie mówiłem, bo nic by to nie dało. Skoro Div Int i Londyn skakali z radości, to ja miałem wybrzydzać?

- Bzdura - powiedziała pani Membury, też bardzo stanowczo. - Panie Marlow, niech pan nie słucha. Kochanie, jak zwykle jesteś zbyt skromny. Przecież to ty wszystkim kierowałeś, może nie? Pan Marlow jest historykiem, kochanie. Będzie pisał o tobie. Nie utrudniaj mu tego, proszę. Taka już teraz moda. Nic, tylko odbrażawiać i odbrażawiać. Mam tego powyżej uszu. Widział pan, co zrobili w telewizji z kapitanem Scottem? Tata znał Scotta, to był wspaniały człowiek.

Membury mówił dalej, zupełnie jakby nie słyszał słów żony.

- A generałowie w Wiedniu cieszyli się jak dzieci, Ministerstwo Wojny biło nam brawo... Po co miałem psuć im zabawę? I im, i Magnusowi?

- A Magnus zaczął nawet chodzić na nauki - dodała z naciskiem pani Membury. - Dwa razy w tygodniu. Harrison umawiał go z ojcem Moynihanem. Poza tym Magnus był kapitanem garnizonowej drużyny krykietowej, uczył się czeskiego, w ogóle ciężko pracował.

- Proszę, proszę, to ciekawe. Uczył się czeskiego. Czy to dlatego, że prowadził czeskiego agenta?

- Wcale nie dlatego, tylko dlatego, że Sabina miała na niego chrapkę. To była dopiero... - zaczęła pani Membury, ale tym razem jej mąż nie dał sobie przerwać.

- Wszystko, co od niego dostawaliśmy, było jakieś takie zbyt błyskotliwe - mówił niewzruszony. - Na talerzu wyglądało pięknie, ale jak przyszło do jedzenia, to w ogóle bez smaku. Takie właśnie miałem wrażenie. - Zachichotał w zamyśleniu. - Zupełnie jak z jedzeniem szczupaka. Same ości. Dostawaliśmy jakiś materiał, człowiek popatrzył, no, pięknie. Ale potem, jak się to dokładnie przeczytało, same nudy. Tak, to się zgadza, bo już to wiemy... Tak, a to możliwe, ale nie sprawdzimy, bo nikogo tam nie mamy. Nie chciałem nic mówić, lecz coś mi się zdawało, że Czesi tak sobie z nami grali. I że właśnie dlatego Greensleeves już się nie pokazał, kiedy Magnus wrócił do Londynu. Nie był pewny, czy udałoby mu się otumanić kogoś starszego. To pewnie trochę nie w porządku z mojej strony, ale mnie tak naprawdę interesują tylko ryby. Prawda, Hannah? Tak zawsze mi mówisz. „Ciebie interesują tylko ryby”.

Obojgu tak spodobała się ta konkluzja, że śmiali się oboje

dłuższą chwilę. Brotherhood musiał śmiać się razem z nimi i powstrzymać się od zadania następnego pytania, aż Membury był w stanie go wysłuchać.

- Czyli pan nigdy nie spotkał się z Greensleevesem? Nie przyszedł? Bardzo przepraszam - powiedział, odwracając kilka kartek w notesie - ale dopiero co powiedział pan, że to pan przejął agenta Greensleevesa, kiedy Pym wyjechał z Grazu.

- Tak jest.

- A teraz mówi pan, że nigdy go pan nie widział.

- Zgadza się. Nie widziałem. Można powiedzieć, że zostawił mnie przed ołtarzem, prawda, Hannah? Ubrała mnie w najlepszy garnitur, zapakowała mi wszystkie te frykasy, które podobno lubił, sam nie wiem, skąd to się wzięło... A on nie przyszedł.

- Harrison pewnie pomylił dni - powiedziała pani Membury z nowym wybuchem śmiechu. - Harrison w ogóle nie ma poczucia czasu, prawda, kochany? Zresztą przecież on nigdy nawet nie był szkolony do wywiadu, jedynie prowadził bibliotekę w Nairobi, i bardzo dobrze ją prowadził. Tylko że potem poznał kogoś na statku i sama nie wiem, jak to się zaczęło. - Tak jak i skończyło - powiedział pogodnie Membury. - Pojechałem z Kaufmannem. On prowadził, przemyły facet. Znał drogę na pamięć. Nie pomyliłem daty, kochanie, możesz mi wierzyć. Całą noc przesiedziałem w pustej stodole. I nic. Nie mieliśmy jak się z nim skontaktować, wszystko zależało od niego. Więc zjadłem trochę tego żarcia, co dla niego przyniosłem, wino zresztą wypilem z przyjemnością. I wróciłem do domu. Potem pojechałem za dzień i za dwa. To samo. Czekałem na jakąś wiadomość, na telefon, jak za pierwszym razem. Nic. Facet zniknął jak kamfora. Oczywiście, trzeba było zrobić tak, że Pym przekazałby mi go oficjalnie, tylko że Greensleeves nie chciał o tym słyszeć. Taka była z niego primadonna, zresztą z agentami to tak zawsze. Kontaktować się tylko z jedną osobą, żelazna zasada. W roztargnieniu Membury pociągnął łyk ze szklanki Brotherhooda. - Wiedeń szalał. I uważali, że to moja wina. Wtedy powiedziałem im, że i tak to wszystko było do kitu, i dopiero się wściekli. - Roześmiał się perliście. - Nic dziwnego, że mnie potem wylali. Oczywiście, nikt nie powiedział, że za to, ale założę się, że

właśnie za to!

Ponieważ był piątek, pani Membury podała risotto z tuńczykiem i biszkopt z kremem i wisienkami; mężowi nie pozwoliła dotknąć deseru. Po obiedzie poszła z Brotherhood nad rzeczkę przyglądać się Membury'emu, który w doskonałym humorze powrócił do ścinania trzciny. Nad całą niemal powierzchnią wody unosiły się siatki i cienkie druty. Wśród skrzyń z narybkiem gniła stara krypa. Słońce uwolniło się wreszcie od mgły i biło światłem w oczy.

- No to proszę mi opowiedzieć o tej rozwiązłej Sabinie - sprytnie zagaił Brotherhood, korzystając z tego, że Membury nie słyszy.

Pani Membury zapaliła się do tematu. Niezły numer był z tej Sabiny.

- Co widziała w Magnusie? Brytyjski paszport i dostatnie życie z całkiem niezłym mężem. Ale mogę powiedzieć z satysfakcją, że Magnus nie dał się na to złapać. Nie zwierzał nam się, ale tak to odczytaliśmy. A potem ona zaraz wyniosła się z Grazu.

- A dokąd? - zapytał Brotherhood.

- Do siebie, do Czechosłowacji. Tak przynajmniej twierdziła. Zostawiła Harrisonowi list, że się stęskniła, że wraca do dawnego chłopaka, choć wie, jaki tam straszny reżim. To, oczywiście, też się w Londynie nie spodobało, jak może pan sobie wyobrazić. Na pewno nie podniosło tam notowań Harrisona. Mieli do nas pretensje, czemu tego nie przewidzieliśmy, czemu jej nie przeszkodziliśmy.

- Ciekawe, co się z nią stało? - zamyślił się jak wytrawny historyk Brotherhood. - Nie pamięta pani, jak miała na nazwisko?

- Harrison, jak Sabina miała na nazwisko? Odpowiedź znad stawu przyszła zaskakująco szybko.

- Kordt. Ka - o - er - de - te. Sabina Kordt. Piękna, czarująca dziewczyna.

- Pan Marlow pyta, co się z nią stało. - Diabli wiedzą. Z tego, co słyszałem, zmieniła nazwisko i dostała pracę w którymś z czeskich ministerstw. Jakiś defektor twierdził nawet, że od początku dla nich pracowała. Pani Membury wcale się nie

zdziwiła, wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie zadowolonej, że potwierdziły się jej przypuszczenia. - No proszę! Jesteśmy małżeństwem od pięćdziesięciu lat, w Austrii byliśmy ponad trzydzieści lat temu, a on nawet mi nie powiedział, że Sabina jest w Czechosłowacji i pracuje w jakimś ministerstwie! Załóżę się, że Harrison miał z nią romans. Zresztą jak wszyscy. Czyli, kochanie, wygląda na to, że ona była szpiegiem, prawda? Przecież to oczywiste! Przecież by jej tam nie przyjęli z powrotem, gdyby od początku nie prowadzili jej na łańcuszku, są na to zbyt mściwi. Czyli dobrze się stało że nie usidliła Magnusa. Na pewno nie zostanie pan na herbacie?

- Czy byłoby możliwe, bym zabrał ze sobą niektóre z tych zdjęć? - zapytał Brotherhood. - Oczywiście, w podpisie w książce będzie od kogo. Mary doskonale знаła tę technikę. Widziała w Berlinie, że Jack Brotherhood ciągle ją stosował, i często sama mu w tym pomagała. Na szkoleniu nazywało się to „po nitce do kłębka” - jak umówić się na spotkanie z kimś, komu się nie ufa. Różnica polegała na tym, że teraz to Mary była celem operacji i że to autor anonimowego listu nie ufał jej:

Jestem w posiadaniu informacji, które mogą doprowadzić nas oboje do Magnusa. Proszę zrobić, co następuje: W dowolne przedpołudnie między dziesiątą a dwunastą proszę usiąść w holu hotelu Ambassador. W dowolne popołudnie między drugą a szóstą proszę zamówić kawę w kawiarni Mozart. W dowolny wieczór między dziewiątą a północą proszę pojawić się w holu hotelu Sachem. Przyjdzie po Panią pan König.

W Cafe Mozart prawie nie było ludzi. Mary usiadła przy stoliku na środku sali, żeby było ją dobrze widać, zamówiła koniak i kawę. Widzieli, jak przyszłam, teraz sprawdzają, czy ktoś nie przyszedł za mną. Udając, że szuka czegoś w notesie, ukradkiem przyglądała się nielicznym gościom i rzędom fiaków zaparkowanych na placu za wielkimi oknami kawiarni, i sama sprawdziła, czy ktoś jej nie śledził. Pomyślała sobie, że gdy ktoś ma na sumieniu tyle co ona, wszystko i wszyscy i tak wydają się podejrzani: od dwóch zakonnic, ze zmarszczonymi brwiami odczytujących kursy walut na wystawie banku, po młodych woźniców w melonikach, skulonych od mrozu i przytupujących nogami dla rozgrzewki, którzy badawczo przyglądali się każdej

przechodzącej dziewczynie. Z kolei siedzący w rogu kawiarni gruby wiedeńczyk już zaczynał interesować się Mary. Powinnam była przyjść w kapeluszu, pomyślała, bez kapelusza nie jestem porządną, samotną kobietą. Wstała, podeszła do wieszaka z gazetami i przypadkowo wzięła akurat „Die Presse”. Teraz pewnie powinnam ściągnąć ją z kija, zwinąć i pójść na spacer. W tych pończoszkach. Otworzyła gazetę na recenzjach filmowych.

- Frau Pym?

Głos kobiecy, kobiecy tors. Uśmiechnęła z szacunkiem kobieca twarz. Kasjerka.

- Tak, słucham? - Mary też się uśmiechnęła. Dziewczyna wyciągnęła zza pleców kopertę zaadresowaną ołówkiem: Frau Pym.

- Pan König prosił, żeby panią przeprosić, i doręczyć pani to. Mary dała jej pięćdziesiąt szylingów i otworzyła kopertę.

Proszę zapłacić rachunek i zaraz wyjść z kawiarni. Proszę skręcić w Maysedergasse i iść dalej prawym chodnikiem. Po dojściu do strefy dla pieszych proszę skręcić w lewo, trzymać się lewej strony, iść powoli i oglądać wystawy.

Potrzebowała wstąpić do toalety, ale zrezygnowała, by nie pomyślał, że chce się z kimś skontaktować. Włożyła liścik do torebki, dokończyła kawę i zaniósła rachunek do kasy. Kasjerka znów się do niej uśmiechnęła.

- Ci mężczyźni! Zawsze to samo - powiedziała, wydając resztę.

- Wiadomo - odpowiedziała Mary. Obie się zaśmiały. Gdy wychodziła z kawiarni, minęła ją młoda para. Mary miała wrażenie, że to przebrani Amerykanie. Tylko że wielu Austriaków też się tak ubiera. Dwie zakonnice ciągle zajmowały się kursami walut. Trzymała się prawej strony ulicy. Było dwadzieścia po trzeciej. Spotkanie żon na pewno skończy się do piątej, żeby wszystkie mogły zdążyć do domu, przebrać się w suknie na ramiączkach i zabrać wyszywane cekinami torebki na wieczorne wyjście. Zresztą nawet jeżeli wszystkie się już rozejdą i na podjeździe Lumsdenów zostanie już tylko samochód Mary, Fergus i Georgie na pewno uznają, że została u Caroline na drinka. A więc mam szansę, nawet jeśli wrócę za piętnaście

szósta. Stała przed butikiem z bielizną damską i przyłapała się na tym, że podziwia na wystawie nieprzyzwoite czarne figi z podwiązkami. Ciekawe zresztą, kto kupuje coś takiego? Założę się o wszystko że Bee Lederer. Miała nadzieję, że coś zaraz zacznie się dziać, nim ze sklepu wyjdzie pani ambasador z naręczem grzesznej bielizny albo któryś z licznych samotnych mężczyzn zacznie ją podrywać.

- Frau Pym? Jestem od pana Koniga. Proszę tędy, szybko. Dziewczyna była ładna, źle ubrana, zdenerwowana. Idąc za nią, Mary miała przemożne wrażenie, że znowu jest w Pradze i idzie na spotkanie ze źle widzianym przez władze malarzem. W bocznej uliczce to kłębił się tłum przechodniów, to znów nie było żywego ducha. Wszystkie zmysły Mary pracowały pełną parą. Poczula zapach delikatesów, mrozu i tytoniu. Zerknęła na wejście do mijanego sklepu, rozpoznała mężczyznę z Cafe Mozart. Dziewczyna skręciła w lewo, w prawo, znowu w lewo. Gdzie jestem? Weszły na plac. To Karntnerstrasse. A właśnie że nie. Jakiś młody hipis zrobił Mary zdjęcie, usiłował wręczyć jej wizytówkę, ale go odepchnęła. Czerwony plastikowy miś z otwartym pyszczkiem czekał na datki. Azjatycki zespół śpiewał Beatlesów. Po drugiej stronie placu biegła dwupasmowa ulica. Przy chodniku przy bliższej jezdni czekał brązowy peugeot z kierowcą. Gdy podeszły bliżej, otworzył im tylne drzwi. Dziewczyna chwyciła za klamkę i powiedziała: „Proszę wsiadać”. Mary wsiadła, dziewczyna też. To chyba Ring, pomyślała Mary, ale jeśli tak, to tej części nie znam. Zobaczyła z tyłu czarnego mercedesa. Fergus i Georgie, pomyślała, choć wiedziała, że to niemożliwe. Kierowca peugeota rozejrzał się w obie strony i skierował samochód wprost na dzielący oba pasy krawężnik. Bum! To przednie koła. Bum! Właśnie trzasnęła mi kość ogonowa. Rozwrzeszczały się klaksony, dziewczyna popatrzyła z niepokojem przez tylną szybę. Zjechali z drogi szybkiego ruchu, popędzili w boczną uliczkę, minęli plac i zatrzymali się przy operze. Drzwi po stronie Mary otworzyły się. Dziewczyna kazała jej wysiąść. Ledwo Mary znalazła się na chodniku, druga kobieta wcisnęła się na jej miejsce do auta. Peugeot ruszył z piskiem opon - Mary nigdy nie widziała chyba sprawniejszej zamiany. Za peugeotem pojechał czarny mercedes, ale chyba

już nie ten sam. Elegancki, zażenowany młodzieniec prowadził ją przez szeroką bramę na podwórze kamienicy.

- Mary, proszę wsiąść do windy - powiedział płynną euroangielszczyzną, wręczając jej kartkę papieru. - Mieszkanie sześć. Sześć. Proszę iść sama. Rozumie pani?

- Sześć - powiedziała Mary. Uśmiechnął się.

- Bo czasem ze strachu można wszystko zapomnieć.

- No pewnie - odpowiedziała. Podeszła do kolejnej bramy w podwórku, młody człowiek uśmiechnął się i pomachał jej ręką. Mary pchnęła drzwi i zobaczyła za nimi starą windę z otwartymi drzwiami i również uśmiechniętego windziarza. „Proszę na szóste”, powiedziała. Windziarz nacisnął guzik, ale nie wsiadł z nią do wznoszącej się teraz windy. Jeszcze przez chwilę widziała stojącego na podwórzu i wciąż uśmiechającego się chłopca, przy którym stały teraz dwie dobrze ubrane dziewczyny, wpatrujące się w trzymaną przez jedną z nich kartkę. Na tej, którą sama trzymała, widniał napis: „Sześć, Herr König”. Dziwne, pomyślała i tę kartkę też schowała do torebki. Ze mną jest odwrotnie. Kiedy się boję, niczego nie umiem zapomnieć. Ani numeru peugeot, ani tego drugiego mercedesa. Ani wiechy czarnych włosów na karku kierowcy. Ani tego, że pierwsza dziewczyna używała perfum Opium, które Magnus uparcie mi przywozi, kiedy leci gdzieś samolotem. Ani wielkiego złotego sygnetu z czerwonym oczkiem na lewej dłoni chłopaka.

Drzwi do mieszkania sześć były szeroko otwarte. Mosiężna tabliczka obok numeru: „Interhansa Austria AG”. Weszła do środka, drzwi zamknęły się za nią. Kolejna dziewczyna, ale nieładna. Gniewna, silna, płaska twarz o słowiańskich rysach, gniewne, jakby buntownicze ruchy. Z groźną miną gestem głowy nakazała Mary iść dalej. Mary weszła do mrocznego salonu, gdzie nikogo nie było, ale na drugim końcu otwierały się kolejne drzwi. Meble podrabiane na stary Wiedeń. Ruszyła dalej, podrabiane kredensy i obrazy mijaly ją z obu boków, podrabiane kinkiety wyciągały się do niej z krytych podrabianą tapetą ścian. Idąc, poczuła znów erotyczne podniecenie, które nawiedziło ją już w trakcie zebrania żon. Każę mi się rozebrać, ja go usłucham. Poprowadzi mnie do łoża z baldachimem, gdzie

każe mnie zgwałcić czterem lokajom dla jego własnej przyjemności. Jednak w kolejnym pokoju nie było łoża z baldachimem, był to salon podobny do pierwszego, z biurkiem, dwoma fotelami i stosem starych numerów „Vogue” na małym stoliczku. I znowu żywego ducha. Rozdrażniona Mary obróciła się na pięcie, by powiedzieć coś nieprzyjemnego nieprzyjemnej Słowiance - i znalazła się z nim twarzą w twarz. Stał w drzwiach, palił cygaro. Na jedną sekundę zdziwiła się, że nie czuje dymu, ale równocześnie w dziwny sposób wiedziała, że nic, co z nim związane, nigdy jej nie zdziwi. Po chwili dotarł do niej zapach cygara, ona zaś ścisnęła jego leniwą dłoń, jakby zawsze witali się w ten sposób, spotykając się w pełnym stroju w wiedeńskich mieszkaniach.

- Odważna z pani kobieta - zauważył. - Musi pani zaraz wracać, czy jak wygląda sytuacja? W jaki sposób możemy ułatwić pani życie?

Wszystko w porządku, pomyślała z absurdalnym poczuciem ulgi. Przecież to pierwsza rzecz, o którą pyta się agenta: ile ma czasu. Potem zaraz o to, czy trzeba mu szybko pomóc. Magnus jest w dobrych rękach. Tylko że to wiedziała już wcześniej.

- Gdzie on jest? - zapytała.

Miał dość autorytetu, by przyznać się do porażki.

- Jak bardzo chcielibyśmy oboje to wiedzieć! - zgodził się z nią, jakby zapytała go w rozpacz. Swą długą dłonią wskazał jej jeden z foteli. My, pomyślała. Jesteśmy sobie równi, ale to on rozkazuje. Nic dziwnego, że Tom pokochał cię od pierwszego wejrzenia.

Siedzieli naprzeciw siebie, ona na złoconej kanapie, on na złoconym fotelu. Słowianka przyniosła tacę z wódką, ogórkami konserwowymi i czarnym chlebem. Jej służalczość względem niego była wprost nieprzyzwoita; dziewczyna prężyła się i uśmiechała jak szkolny lizus. To jedna z jego Mart, pomyślała Mary, bo tak nazywał Magnus swe sekretarki w placówce. Nalał dwie spore wódki, starannie ujmując po kolei każdy kieliszek. Przepił do niej, patrząc na nią nad krawędzią kieliszka. Dokładnie jak Magnus, pomyślała. Od ciebie się nauczył.

- Telefonował do pani? - zapytał.

- Nie. Zresztą przecież nie mógł.

- Rzeczywiście - zgodził się współczująco. - Wasz telefon jest na podsłuchu i on to wie. Pisał?

Pokręciła głową.

- Mądry jest. Obserwują was ze wszystkich stron. I okropnie są na niego źli.

- Pan też?

- Jak mogę być zły na kogoś, komu tyle zawdzięczam? Ostatnią wiadomością, jaką od niego dostałem, było, że nie chce się już ze mną widywać. Że jest wolny, do widzenia. Zrobiłem się zazdrosny. Co to za wolność, którą nie chce się z nami dzielić?

- Mnie powiedział to samo. O tej wolności. I chyba nie tylko mnie, innym też. Nawet Tomowi.

Czemu rozmawiam z tobą, jakbyś był moim byłym kochankiem? Co za dziwka ze mnie, że umiem pozbywać się zobowiązań jak ubrania? Gdyby wyciągnął dłoń i ujął ją za rękę, pozwoliłaby mu. Gdyby przyciągnął ją do siebie...

- Powinien był przyjść z tym do mnie, kiedy mu to radziłem - powiedział tym samym tonem filozoficznej wymówki. - „To koniec, sir Magnusie”, powiedziałem mu wtedy. Przepraszam, tak go nazywam.

- Na Korfu.

- Tak, rozmawiałem z nim na Korfu, w Atenach, wszędzie. „Jedź ze mną. My dwaj jesteśmy już passe. Czas, żeby starzy zrobili miejsce dla następnego pokolenia młodych gniewnych”. Ale on wcale tego tak nie widział. Mówiłem mu: „Naprawdę chcesz być jak biedny, stary aktor, którego trzeba przemocą ściągnąć ze sceny?”. Nie słuchał mnie. Upierał się, że muszą go oczyścić z wszelkich zarzutów.

- I prawie oczyścili. Może zresztą całkiem oczyścili. Tak mu się zdawało.

- Brotherhoodowi udało się trochę zyskać na czasie, ale to wszystko. Nawet Jack nie mógł odwlec w nieskończoność tego, co musiało się stać. A poza tym Jack teraz też podpadł. Nie ma w całym piekle takiej furii jak wzgardzony protektor.

Kolejne olśnienie: to jemu zawdzięcza Magnus swój styl. Ten sam styl, którego tak bardzo brakowało mu w powieści. To ten tu nauczył Magnusa być ponad ludzkie słabości i śmiać się

jak bóg z własnych - jedyny sposób na chandrę. To on nauczył go wszystkiego, jak starszy kochanek niedoświadczoną dziewczynę - tylko że Magnus był mężczyzną.

- Zdaje się, że ten jego ojciec to był dość tajemniczy gość - powiedział, zapalając cygaro. - Jak pani myśli, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem. Nigdy nie poznałam go osobiście. A pan?

- Owszem, wielokrotnie. W Szwajcarii, za studenckich czasów Magnusa, był wielkim angielskim kapitanem, który poszedł na dno wraz ze swym okrętem.

Zaśmiała się. Niech mnie diabli, nawet już się śmieję. Teraz to ja łapię ten styl.

- No właśnie. Następnym razem był już rekinem finansjery z mackami oplatającymi każdy bank w Europie. Okazało się, że cudem ocalał z katastrofy.

- Matko Boska! - Znów wybuchnęła niepowstrzymanym, oczyszczającym śmiechem.

- Ponieważ wtedy akurat byłem Niemcem, odetchnąłem z ulgą, bo do tej pory było mi ciężko ze świadomością, że utopiłem mu ojca. Niech mi pani powie, co takiego jest w tym pani mężu, że mamy względem niego takie straszne wyrzuty sumienia?

- To, że tak zawsze świetnie się zapowiadał - odparła, nie myśląc, i pociągnęła wielki łyk wódki. Trzęsła się, policzki ją paliły. On przyglądał się jej spokojnie i w ten sposób świadomie pomagał jej się opanować. - Pan jest jego drugim życiem - powiedziała.

- Zawsze mi mówił, że jestem jego pierwszym przyjacielem. Jeżeli wie pani, że to nieprawda, proszę nie rozwiewać moich złudzeń.

Powoli zaczynała dochodzić do siebie. Pokój jakby pojaśniał i w głowie też jej się rozjaśniło.

- Z tego, co wiem, to zaszczytne miano przypadło komuś, kogo nazywał Stokrotką - powiedziała.

- A skąd zna pani to przezwisko?

- Z tej wielkiej powieści, nad którą pracował. „Stokrotko, mój najdroższy, najstarszy przyjacielu”.

- To wszystko?

- O nie. Znacznie więcej. O Stokrotce jest co chwila, co parę stron. Stokrotka to, Stokrotka tamto. Kiedy znaleźli aparat i książkę szyfrów, znaleźli też z nimi zasuszone na pamiętkę stokrotki.

Powiedziała to, by zbić go z tropu, ale on tylko uśmiechnął się z satysfakcją.

- To mi pochlebia. Taki wymyślił dla mnie dziwaczny pseudonim. Wiele lat temu. I potem przez resztę życia byłem Stokrotką.

Ale ona z jakiegoś powodu walczyła dalej.

- To kim on jest? - zapytała. - Komunista? Przecież to bzdura. Rozłożył ręce. Znow uśmiechnął się zaraźliwie, gotowy dzielić jej zdumienie. Był nie do pokonania.

- Sam wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie. I teraz myślę sobie... Zresztą czy ktokolwiek wierzy jeszcze w nierozzerwalność małżeństwa? On wciąż szuka. Nie wystarczy? A już na pewno w naszym zawodzie nie wypada pytać o takie sprawy, Wyobraża sobie pani, jak to jest być żoną kogoś, kto nigdy nie zmienia poglądów? Miałem wujka, który był luterzańskim pastorem. Śmiertelnie nas nudził.

Mary robiła się coraz silniejsza i spokojniejsza. I coraz bardziej pełna pogardy.

- To co Magnus robił dla pana? - zapytała.

- Szpiegował. Wybiórczo, ale szpiegował. Tak czy inaczej, zdradzał. Czasem bardzo energicznie, na pewno doskonale to pani zrozumie. Kiedy w życiu mu idzie, od razu wierzy w Boga i chce zrobić dobrze każdemu. A kiedy nie, zaraz obraża się i przestaje chodzić do kościoła. No i jeżeli chce się go prowadzić, trzeba nauczyć się z tym żyć.

Nic się jej nie stało. Siedziała wyprostowana, piła wódkę w melinie nieznanomego. Wyrok wydany, pomyślała, jakby był to proces kogoś kompletnie obcego. Magnus nie żyje. Mary nie żyje. Ich małżeństwo też się skończyło. Tom to sierota po zdrajcy. Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Tylko że ja go nie prowadzę - zaoponowała, całkiem spokojnie odpowiadając na jego kwestię.

Zdawał się nie zauważać chłodu w jej głosie.

- Proszę pozwolić mi przedstawić się z trochę lepszej strony.

Naprawdę jestem do pani męża bardzo przywiązany.

No chyba, pomyślała. Przecież poświęcił nas dla ciebie.

- I jestem mu coś niecoś winien - ciągnął. - Cokolwiek by chciał robić z dalszym życiem, ja mogę mu to ułatwić. Jestem dla niego znacznie lepszym wyjściem niż Jack Brotherhood i jego Firma.

Wcale nie, pomyślała, absolutnie nie.

- Czy pani coś mówiła? - zapytał. Uśmiechnęła się smutnie i pokręciła głową.

- Brotherhood chce złapać pani męża, by go ukarać. Ja wręcz przeciwnie. Ja chcę go znaleźć, żeby go nagrodzić. Cokolwiek pozwoli nam sobie dać, my mu to damy. - Zaciągnął się cygarem.

Ale z ciebie łgarz. Uwiodłeś mi męża, a teraz udajesz przyjaciela rodziny.

- Zna pani ten zawód. Nie muszę pani tłumaczyć, że ktoś laki jak pani mąż to cenny towar. Mówiąc całkiem szczerze, my po prostu nie możemy sobie pozwolić, by go stracić. Najgorsze, co mogłoby się nam przytrafić, to żeby resztę swego cennego życia przesiedział w jakimś angielskim więzieniu, opowiadając w dodatku władzom, czym zajmował się ostatnie trzydzieści kilka lat. I też nie bardzo nam się podoba ten pomysł z książką.

To wam, pomyślała. A nam?

- Znacznie bardziej wolelibyśmy, by przeszedł u nas na zasłużoną emeryturę: zaszczyty, order, oczywiście w otoczeniu kochającej rodziny, jeśli tego by sobie życzył, i, oczywiście, od czasu do czasu mógłby doradzić nam w tym i owym. Nie mogę zagwarantować, że pozwolilibyśmy mu prowadzić to podwójne życie, do którego tak się przyzwyczaił, ale poza tym zrobilibyśmy wszystko, by zaspokoić jego potrzeby.

- Tylko że on wcale nie ma ochoty na dalsze kontakty z wami, prawda? I dlatego się ukrywa.

Kilka razy wydmuchnął dym, odpędzając go ręką, by nie przeszkadzał Mary. Ale Mary nie zwróciła uwagi na jego miły gest, bo przedstawiona perspektywa oznaczała dla niej hańbę, gorycz i odrazę na całe życie. Po chwili przemówił znowu, bardzo rozsądnie.

- Szczerze mówiąc, sam już nie wiem, co mam robić.

Staralem się, jak mogłem, żeby posłać Brotherhooda i całą resztę na jakiś fałszywy trop, żeby dotrzeć do pani męża przed nimi. Tylko że dalej nie mam pojęcia, gdzie jest, i czuję się okropnie głupio.

- A co się działo z tymi, których zdradzał? - zapytała.

- Magnus? O, on nie cierpi rozlewu krwi, i od początku tak właśnie stawiał sprawę.

- No, to jeszcze nikogo nie powstrzymało od rozlewania krwi.

Kolejna chwila ciszy. Jej rozmówca spoważniał.

- Ma pani rację - powiedział. - Twardy wybrał sobie zawód, Teraz trochę za późno roztrząsać stronę moralną każdego przypadku.

- Dla kogoś to bardzo świeże sprawy - powiedziała, ale znów nie udało się jej go poruszyć. - Czemu mnie tu pan zaprosił?

Napotkała jego wzrok i zauważyła, że choć nic się nie zmieniło w wyrazie jego twarzy, sama twarz jakoś się zmieniła - dokładnie tak, jak wtedy, gdy patrzyła na Magnusa.

- Przed pani przyjściem myślałem sobie, że może pani i pani syn mieliby ochotę rozpocząć nowe życie w Czechosłowacji, i że Magnusa mogłaby skusić perspektywa dołączenia tam do was. - Wskazał stojącą przy nim teczkę. - Nawet mam tu dla pani paszport i wszystko, co potrzeba. Teraz wiem, że to bez sensu. Od razu widać, że nie nadaje się pani na defektora. Przed wszystkim jednak nadal uważam za możliwe, że pani wie, gdzie on jest, i że przy pani zdolnościach udało się pani zachować tę wiedzę dla siebie. I sama pani chyba nie wierzy, że dla Magnusa lepiej byłoby spotkać się z jego prześladowcami niż ze mną. Więc jeśli pani wie, powinna pani natychmiast podzielić się ze mną tą informacją.

- Ale ja nie wiem - powiedziała i udało się jej zamknąć usta, nim dodała: „I nawet gdybym wiedziała, to byłby pan ostatnią osobą na świecie, której bym to powiedziała”.

- Ale na pewno ma pani jakieś przypuszczenia. Przecież musiała pani o tym myśleć. Przecież o niczym innym pani teraz nie myśli, tylko: „Magnus, gdzie jesteś?”. Prawda?

- Nie wiem. Pan zna go lepiej niż ja.

Jego świętoszkowatość zaczynała doprowadzać ją do szału. Teraz zastanowił się nad następnym pytaniem, jakby nie wiedział, czy ona je zrozumie.

- Czy opowiadał pani kiedyś o kobiecie imieniem Lippsie? - zapytał.

- Nie.

- Umarła, kiedy był młody. Była Żydówką. Wszyscy jej krewni i przyjaciele zginęli z rąk Niemców. Trochę mu matkowała, trochę sama szukała w nim oparcia. A potem zmieniła zdanie i popełniła samobójstwo. Dlaczego, do końca nie wiadomo, zresztą wszystko, co dotyczy Magnusa, jest właśnie takie niepewne i zagmatwane. Na pewno było to dziwne przeżycie dla dziecka. Magnus to wielki imitator, nawet jeżeli sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Czasami wydaje mi się, że on składa się w całości z kawałków innych ludzi. Biedaczek.

- Nigdy mi o niej nie opowiadał - powtórzyła uparcie. Jego twarz się rozjaśniła, znowu zupełnie tak jak Magnusowi.

- No, no. Naprawdę nie cieszy się pani, że komuś jeszcze na nim zależy? Przecież na pewno to dla pani pocieszająca myśl. Zawsze byłem zdania, że jego pociągają wyłącznie ludzie, a nie idee. I dlatego właśnie nie lubi być sam, że wtedy jego świat staje się pusty. Więc kto się nim teraz zajmuje? Spróbujmy się zastanowić, kogo mógł wybrać. Nie chodzi o kobiety, tylko w ogóle o jakąś przyjazną duszę.

Mary już wyglądała spódnice i rozglądała się, gdzie odłożyła płaszcz.

- Wezmę taksówkę - powiedziała. - Nie musi pan telefonować, na rogu jest postój. Widziałam, jak mnie tu przywieziono.

- Może jego matka? To byłoby logiczne.

Popatrzyła na niego, przez chwilę nie wierząc własnym uszom.

- Niedawno po raz pierwszy powiedział mi o matce - wyjaśnił. - Powiedział, że znowu zaczął ją odwiedzać. Zdziwiłem się, ale też, muszę przyznać, bardzo mi pochlebiło to wyznanie. Znalazł ją gdzieś, kupił jej dom. Często ją widuje?

Mary udało się zachować zimną krew - po raz kolejny w ostatniej chwili przyszła jej z pomocą jej inteligencja. Przecież

Magnus nie ma matki, ty idioto. Ona nie żyje, prawie jej nie znał, nic dla niego nie znaczyła. To jedno o nim wiem, to jedno mogę o nim przysiąc na Sądzie Ostatecznym: Magnus Pym nie jest i nigdy nie był dorosłym synem żadnej kobiety. Ale zachowała zimną krew. Nie obrzuciła go wyzwiskami, szyderstwami, nie roześmiała się z ulgą, że Magnus oszukiwał swego pierwszego, najdroższego przyjaciela z tą samą precyzją, z jaką oszukiwał żonę, dziecko, ojczyznę.

- No tak, lubi sobie czasem z nią pogadać - przyznała. Otworzyła torebkę i zajrzała do środka, jakby sprawdzając, czy ma pieniądze na taksówkę.

- To może on po prostu pojechał do niej, do Devon? Ona tak się cieszy, że wreszcie może oddychać zdrowym, morskim powietrzem. A Magnus jest taki dumny, że mógł to wszystko dla niej wyczarować. Bez przerwy opowiadał o wspólnych spacerach po plaży, o chodzeniu do kościoła w niedzielę, o tym, jak pracuje u niej w ogródku. Może on po prostu robi właśnie coś tak niewinnego?

- Tylko że najpierw sprawdzili właśnie tam - skłamała Mary, zamykając torebkę. - Żeby pan wiedział, jak się staruszka wystraszyła! A jak mogę się z panem skontaktować, jeżeli będę czegoś od pana chciała? Mam wyrzucić gazetę przez mur czy co?

Wstała. On też wstał, choć z trudem. Wciąż się uśmiechał i wciąż miał te mądre, smutne i wesołe oczy, których tak bardzo zazdrościł mu Magnus.

- Nie sądzę, żeby chciała się pani ze mną kontaktować. I może ma pani rację. Może rzeczywiście Magnus też nie chce mieć więcej ze mną do czynienia. Teraz chodzi już tylko o to, by wierzył, że w ogóle chce się jeszcze z kimkolwiek skontaktować. Na świecie można zemścić się na różne sposoby. Literatura może nie wystarczyć.

Zmiana jego tonu w jednej chwili powstrzymała jej pośpiech.

- Już on coś wymyśli - powiedziała niedbale. - Jak zawsze.

- Tego właśnie się boję.

Ruszyli ku drzwiom - powoli, by za nią nadażył. Wezwał dla niej windę, otworzył kratę. Mary weszła. Ostatni raz zobaczyła go właśnie przez kratę, i on też na nią patrzył. Poczula, że znów

zaczyna go lubić. I że okropnie się boi.

Wiedziała już, co robi. Miała ze sobą i paszport, i kartę kredytową. To właśnie sprawdzała, gdy zaglądała do torebki. Plan miała w głowie, bo korzystała z niego najpierw jeszcze na szkoleniach w angielskich miasteczkach, a potem, z pewnymi zmianami, również w Berlinie. W świecie zwykłych śmiertelników zapadał zmierzch. Na podwórzu rozmawiali półgłosem dwaj księża, wymachując trzymanymi za plecami różańcami. Na ulicy kupujących było tylu, że mogło ją śledzić ze sto osób, i kiedy zaczęła liczyć, kto też mógłby ją śledzić, rzeczywiście szybko dotarła do setki. Wyobraziła sobie całą procesję: Nigel niesie monstrancję, Fergus i Georgie trzymają nad nim baldachim, mały, brodaty Lederer idzie z przodu z krucyfiksem, z tyłu cały tłum zakapturzonych jak zakonnicy Czechów. A biedny, stary Jack, co? Sypie kwiatki?

Zdecydowała się na Imperial, bo Magnus kochał ten hotel za pompatyczność.

- Niestety nie mam bagażu, ale poproszę pokój na tę noc - zwróciła się do srebrnowłosego recepcjonisty, wręczając mu kartę.

Recepcjonista, który natychmiast ją poznał, zapytał:

- A jak się ma pani mąż?

Szwajcar zaprowadził ją do wspaniałej sypialni na pierwszym piętrze. To numer 121, wszyscy zawsze proszą właśnie o ten, pomyślała. To tu przyprowadziłam go na kolację i na miłosną noc. Wspomnienie to ani trochę jej nie wzruszyło. Zatelefonowała do tego samego recepcjonisty i poprosiła, by zarezerwował jej miejsce na poranny lot do Londynu. „Oczywiście, Frau Pym”. Zasłona dymna. Siedziała na łóżku i czekała, aż na korytarzu umilkną kroki wraz ze zbliżaniem się pory kolacji. Wielkie drzwi dwuskrzydłowe. Obraz Eckenbrechera Wieczór nad Bosforem. „Będę cię kochał, aż będziemy na to za starzy”, powiedział jej z głową na tej samej poduszce. „A potem dalej będę cię kochał”. Zadzwoił telefon. Recepcjonista: są miejsca tylko w pierwszej klasie. Niech będzie, powiedziała Mary. Zrzuciła buty, wzięła je do ręki, cichutko otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Jeżeli wyda mi się, że mnie ktoś obserwuje, wystawię je do wyczyszczenia.

Szum głosów i muzyczka z baru. Powiew woni sosu koperkowego z jadalni. Na pewno do ryby; ryby mają tu świetne. Dotarła do schodów, tu też nikogo nie było. Marmurowe posągi, portret wąsatego mężczyzny. Włożyła buty, wyszła na wyższe piętro, wezwała windę i zjechała na parter. Weszła w boczny korytarz, niewidoczny z recepcji. Stąd na tyły hotelu prowadziło ciemne przejście. Ruszyła w tamtą stronę, aż dotarła do wejścia służbowego. Drzwi były lekko otwarte. Mary pchnęła je bardziej, na zapas uśmiechając się przepraszająco. Stary kelner kończył właśnie dekorować stojące już na ruchomym stoliku potrawy na kolację dla dwojga. Za jego plecami kolejne drzwi prowadziły wprost na boczną ulicę. Rzuciwszy mu wesołe guten Abend, Mary szybko znalazła się na świeżym powietrzu i zamachała na taksówkę. „Do Lasku Wiedeńskiego”, powiedziała kierowcy. „Do Lasku”. Usłyszała, że melduje swej centrali: Wienerwald. Nic za nimi nie jechało. Gdy dojechali do Ringu, wręczyła kierowcy sto szylingów, wyskoczyła na przejściu dla pieszych i wzięła drugą taksówkę na lotnisko. Tam przeczekała w damskiej toalecie godzinę - na szczęście miała co czytać - aż do ostatniego samolotu do Frankfurtu.

Ten sam wieczór, ale nieco wcześniej.

Bliźniak stał pod nasypem kolejowym, dokładnie tak jak opisywał Tom. Brotherhood znów zrobił najpierw mały rekonesans. Droga była prosta jak tory i chyba równie długa. Nad linię horyzontu wystawało jedynie zachodzące słońce. Była więc droga, był nasyp ze słupami telegraficznymi i był bezkres nieba, nieodłączna część biedaczego dzieciństwa Brotherhooda. nieba zapełnianego tylko od czasu do czasu białymi kłębamii pary z przejeżdżających parowozów, wlokących się przez mokradła do Norwich. Domki wszystkie jednakowe. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej stawały się piękne, choć absolutnie nie miał pojęcia dlaczego. Bo tak właśnie ma tu zostać, pomyślał sobie. Bo od dawna walczę w obronie tego rządku angielskich trumienek. I zamieszkującego je rządku porządnych białych ludzi. Numer 75 zamienił drewnianą furtkę na żelazną z zamaszystym napisem „Eldorado”, numer 77 szarpnął się na betonowy chodnik z wtopionymi węł muszelkami, numer 81 z kolei zrobił front domu na wiejskie

drewno. A nad numerem 79, ku któremu zmierzał teraz Brotherhood, łopotał dumnie brytyjski sztandar na okazałym białym maszcie ustawionym na samej miedzy. Na wąskim żwirowym podejździe widać było odcisnięty ślad jakiegoś ciężkiego pojazdu. Przy wypolerowanym przycisku dzwonka zamontowano domofon. Brotherhood zadzwonił i czekał. Usłyszał najpierw szum, a potem słaby, starchy głos:

- Kto tam, do cholery?

- Czy zastałem pana Lemona? - zapytał Brotherhood do mikrofonu.

- A bo co? - odpowiedział głos.

- Nazywam się Marlow. Chciałbym zadać panu parę pytań w pewnej sprawie.

- Spierdalaj pan.

Firanka w oknie kuchennym odsunęła się na tyle, że Brotherhood zobaczył opaloną, łśniącą i bardzo pomarszczoną twarz obserwującą go z półmroku.

- Może powiem coś więcej - zaproponował ciszej Brotherhood, wciąż do mikrofonu. - Jestem znajomym Magnusa Pyma.

Znowu trzaski w głośniku, ale gdy głos przemówił jeszcze raz. był jakby mocniejszy.

- No to czemu od razu pan nie mówisz, do cholery? Wejź pan, napijemy się.

Syd Lemon był teraz niziutkim staruszkciem. Ubrany cały na brązowo wyglądał jak królik. Brązowe, nie przyprószone siwizną włosy dzielił na pół przedziałek pośrodku głowy. Na brązowym krawacie dwa końskie łby wpatrywały się nieufnie w jego serce. Miał na sobie też brązowy, zapinany na guziki sweter i brązowe spodnie w kant, a czubki brązowych butów łśniły jak świeże kasztany. Choć brązowy staruszek oddychał z niejakim trudem, z labiryntu wypalonych słońcem zmarszczek patrzyła wesoło para jasnych zwierzęcych oczu. Wspierał się na solidnej lasce z gumowym okuciem; gdy chodził, kręcił biodrami jak spódnicą i to był chyba jego główny sposób poruszania się.

- Następnym razem, jak pan do mnie zadzwonisz, wystarczy, że powiesz pan, że jesteś Anglik - powiedział, prowadząc gościa przez maleńki czyściutki hol. Brotherhood

zobaczył na ścianach zdjęcia koni wyścigowych i znacznie młodszego Syda Lemona w stroju z Ascot. - A teraz gadaj pan, o co chodzi, i potem spierdalaj - dokończył, wybuchając śmiechem i niezgrabnie okręcając się na lasce, by mrugnąć do Brotherhooda na znak, że żartuje. - No, co tam u młodego?

- Wszystko świetnie - powiedział Brotherhood. Gwałtownie i bez ostrzeżenia Syd opadł na fotel z wysokim oparciem, po czym ostrożnie pochylił się do przodu, wspierając się na lasce, aż osiągnął pozycję, w której było najmniej niewygodnie. Brotherhood dostrzegł teraz ciemne worki pod oczyma i warstwę potu na czole.

- Sam pan musisz czynić honory domu, bo ja dziś nie tego - rzekł. - Tam, w rogu. Proszę podnieść wieko. Dla mnie kropelkę szkockiej dla zdrowia, a pan niech się częstuje.

Od ściany do ściany rozpościerał się amarantowy dywan. Nad wykafelkowanym kominkiem wisił jaskrawy landszaft z widoczką ze Szwajcarii. Obok stał piękny barek z orzecha. Gdy Brotherhood podniósł wieko, rozległy się dźwięki pozytywyki i zaraz okazało się, że na to właśnie czekał Syd.

- Znasz pan ten kawałek, co? - zapytał. - Chcesz pan posłuchać jeszcze raz? To opuść pan wieko, o, właśnie, i jeszcze raz podnieś. Proszę bardzo.

- To Tango milonga - powiedział z uśmiechem Brotherhood.

- No jasne. Prezent od jego taty. „Syd”, mówi raz do mnie, „w tej chwili nie stać mnie niestety na złoty zegarek, a co do twojej renty, no cóż, mamy chwilowy problem z płynnością finansową. Ale mam taki jeden mebel, który sprawił nam obu tyle radości przez te wszystkie lata. Jest trochę wart, więc bardzo proszę, weź go sobie na pamiątkę”. No to zaraz razem z Meg podstawiliśmy furgonetkę i zdążyliśmy przed chłopcami od komornika. Pięć lat temu. Kiedyś kupił ich u Harrodsa sześć, bo miał zobowiązania, i ten mu został. I ani razu nie prosił, żeby mu go oddać. „Co, dalej gra?”, pytał co jakiś czas. „Widzisz, jaka robota. Stara, jak my dwaj”. Co racja, to racja, aż do końca nie było na niego mocnych. Na pogrzeb nie dojechałem, byłem niedysponowany. Ładny był?

- Słyszałem, że piękny - powiedział Brotherhood.

- I nic dziwnego. Nie byle kogo chowali. Z kim on się nie

znał! Z samym księciem Filipem był na ty. Napisali gdzieś o nim przy okazji pogrzebu? Zaglądałem do pani gazet, ale nic nie znalazłem. Potem pomyślałem, że pewnie trzymają to do wydania niedzielnego. Oczywiście z tymi pismakami z Fleet Street nigdy nic nie wiadomo. Sam bym tam poszedł, dał komu trzeba parę funtów w łapę, żeby nie zapomnieli. A pan to glina, co?

Brotherhood zaśmiał się.

- Bo wygląda mi pan na glinę. Wie pan, siedziałem raz za niego. Zresztą nie ja jeden. „Lemon”, mówi kiedyś do mnie, bo zawsze, jak czegoś bardzo chciał, zwracał się do człowieka po nazwisku. „Lemon, podpisałem te papiery i teraz mnie za to wsadzą. A gdybym tak powiedział, że to nie mój podpis, a ty byś się przyznał, że go podrobiłeś, to nikt by się o tym nie dowiedział, nie?”. „No tak”, ja na to, „ale ja bym wiedział”, mówię, „aż za dobrze”, mówię. I co? I tak się zgodziłem, sam nie wiem czemu. Na tym chyba polega przyjaźń. A takiego barku to już nigdzie teraz się nie dostanie, żeby nie wiem co. No to za niego. Siup.

- Siup - odpowiedział Brotherhood i wypił. Syd patrzył na niego z aprobatą.

- To jak nie glina, to kto? A jak od Magnusa, to może jesteś pan jakaś ciota z Ministerstwa Spraw Zagranicznych? Tylko że nie wyglądasz mi pan na ciotę. Prędszej na boksera, skoro nie jesteś pan glina. Chodzisz pan czasem na boks? My, wiesz pan, mieliśmy zawsze miejsca przy samym ringu. Widzieliśmy na przykład, jak Joe Baksi załatwił tego biedaka Bruce'a Woodcocka. Musieliśmy się potem umyć, tak krew tryskała. Potem idziemy do Albany, a tam przy barze Joe, nawet nie draśnięty, przy nim parę ślicznotek, i Rickie mówi mu: „Czemuś od razu go nie wykończył, Joe? Musiałeś tak to rozwlec, runda za rundą?”. On to miał gadanie, ten Rickie. A Joe mu na to: „Bo wiesz, jakoś nie miałem serca. Co mu przywaliłem, to on tak jakoś jęczał, że serio, no nie miałem serca”.

Brotherhood słuchał i z roztargnieniem rozglądał się po pokoju. W pewnej chwili jego wzrok padł na ślad po meblu w kącie pokoju. Zarys był kwadratowy, o boku ponad pół metra; nieobecny mebel przeciął dywan aż do płóciennego podbicia.

- Magnus też był wtedy z wami? - zapytał jowialnie, dyskretnie kierując rozmowę na cel swych odwiedzin.

- Za młody był, proszę pana - powiedział stanowczo Syd. - I za wrażliwy. Rickie nawet by go wziął, ale Meg się nie zgodziła. „Zostawcie go ze mną”, powiedziała. „Wy idźcie, chłopcy, zabawcie się, a ja zostanę z małym, pójdziemy sobie do kina, w ogóle będzie fajnie. I już”. A Meg jak już coś powiedziała, to powiedziała. Zresztą gdyby nie ona, dziś nie miałbym za co żyć. Ona dobrze знаła swojego Syda, i Rickiego też. Może nawet za dobrze. I trudno się dziwić, bo myśmy wszyscy byli trochę na bakier z prawem, ale Rickie to był po prostu kawał bandziora. Tylko trochę trwało, zanim się zorientowałem. No i gdyby przyszło zacząć od początku, pewnie wszyscy zrobilibyśmy tak samo. - Zaśmiał się, choć coś go zabolalo. - Tak samo albo i lepiej. To co, mały ma kłopoty?

- Kłopoty? Jakie kłopoty? - powiedział Brotherhood, odwracając wzrok od kąta.

- To pan mi powiesz jakie, bo to pan jesteś glina, nie ja. Z taką gębą mógłby pan spokojnie prowadzić więzienie. W ogóle nie powinienem z panem gadać. Już ja mam nosa do tych spraw. Przychodziłem do biura, a biura Rickie miał zawsze w najlepszych dzielnicach, Audley Street, Mount Street, Chester Street, Old Burlington, Conduit, Park Lane... No więc przychodziłem do biura, niby nic się nie dzieje, niby wszystko w porządku. Za biurkiem recepcjonistka siedzi jak Mona Liza. „Dzień dobry panu”. „Dzień dobry, kochanie”. A ja od razu wiedziałem. Słyszałem, że jest za cicho. Oho, myślałem sobie, znowu gliny, znowu przyszli po Rickiego. Już cię tu nie ma, Syd, i do tylnych drzwi. Nigdy się nie pomyliłem. Ani razu. Nawet jak miałem dostać drugi rok bez zawieszenia, też od razu wiedziałem, że mnie zgarną.

- Kiedy widział się pan z nim ostatni raz?

- Parę lat temu. No, może więcej niż parę. Jak zabrakło Meg, już tu się nie pokazywał. Nie wiem czemu. Myślałem nawet, że teraz powinien częściej mnie odwiedzać, ale nie. Może nie lubił, jak ktoś umierał, nie wiem. I jeszcze nie lubił, jak ktoś był biedny albo jak komuś nic nie wychodziło. Wiesz pan, że on raz startował do parlamentu? I dostałby się, gdybyśmy

zaczęli tydzień wcześniej. Tak samo było z jego końmi: zawsze spóźniały się na starcie. Oczywiście telefonował, zawsze kochał telefonować. Jak telefon nie dzwonił, czegoś mu brakowało.

- Pytałem o Magnusa - wyjaśnił cierpliwie Brotherhood. - O małego.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Syd. Zaczął kaszleć. Whisky stała przed nim na stole, ale nawet jej nie tknął, choć była w zasięgu jego ręki. On już nie pije, pomyślał Brotherhood. Kazał sobie nalać, bo tak wypada. Kaszel urwał się. Syd z trudem łapał dech.

- Magnus był u pana - powiedział Brotherhood.

- Tak? A kiedy? Nie widziałem.

- Jak jechał do Toma po pogrzebie.

- A niby jak tu się dostał?

- Samoходом. Posiedzieliście, pogadaliście o dawnych czasach. Cieszył się, że pana odwiedził. Wiem, bo mówił potem Tomowi. „Ale nam się świetnie gadało”, powiedział. „Jak za dawnych czasów”. Aż chciał się tym z nim podzielić.

- Panu też powiedział?

- Nie, Tomowi, a Tom mnie.

- Aha, panu nie powiedział. Bo wtedy nie musiałby pan tłuc się do mnie. Zgadza się. Już ja mam nosa do tych spraw. „Jak glina się pyta, to dlatego, że nie wie. A jak nie wie, to po co mu mówić? Bo jak wiedzą i pytają, to chcą cię złapać, a wtedy też lepiej nie mówić”. Zawsze to powtarzałem Rickiemu, ale mnie nie słuchał. Pewnie dlatego, że był masonem. Myślał, że jak jest masonem i powie, co wie, to nic mu nie zrobią. I zawsze na to go łapali. Prawie za każdym razem. Sam się pakował do pierdła tym gadaniem. - Prawie nie przerwał. - No, to słuchaj pan, mam taką propozycję: pan mi powiesz, czego pan chcesz, a ja panu powiem, żebyś pan spierdalał. Co pan na to?

Cisza trwała dość długo, ale cierpliwy uśmiech Brotherhooda ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy.

- Niech mi pan powie, po co panu ten sztandar? - zaproponował. - Czy coś znaczy dla pana, czy to tylko dla ozdoby?

- To strach na wróble. Na cudzoziemców i na gliny.

Zupełnie jakby pokazywał rodzinne zdjęcie, Brotherhood

wyciągnął swą zieloną legitymację, tę samą, którą pokazywał przedtem Sefton Boydowi. Syd wyciągnął z kieszeni okulary, dokładnie wszystko przeczytał. Za oknem z hukiem przeleciał pociąg ale on jakby tego nie słyszał.

- To lipne? - zapytał.

- To tak jak ten pana sztandar - powiedział Brotherhood. - Też lipny?

- Może też. Wszystko może być lipne.

- Pan przecież był w Ósmej Armii, tak? Pod Alamejn trafił się panu medal. To też lipa?

- Może.

- Magnus Pym ma kłopoty - powiedział Brotherhood. - Będę z panem całkiem szczery, bo zawsze jestem szczery, i powiem panu, że wygląda na to, że chwilowo zniknął.

Mała twarz Syda skurczyła się jeszcze bardziej, jego oddech stał się chrapliwy i płytki.

- No, a kto go zniknął? Pan? A może zadarł z chłopakami Muspole'a?

- Kto to jest Muspole?

- Taki kumpel Rickiego. Znał bardzo różnych ludzi.

- Może ktoś go zniknął, może sam się ukrył. Grał w niebezpieczne gierki z bardzo nieprzyjemnymi cudzoziemcami.

- Z cudzoziemcami, tak? Możliwe, przecież umiał szwargotać.

- To, co robił, było ściśle tajne. Robił to dla kraju. I dla mnie

- No to jednak głupi baran z niego - powiedział gniewnie Syd i wyciągnawszy z kieszeni doskonale wyprasowaną chustkę, otarł nią lśniąca twarz. - Siły do niego nie mam. Meg od razu to przeczuwała. Zejdzie na psy, mówiła. Zobaczysz, stary, wyrośnie na glinę, na szpicla, ja to czuję.

- On nie był szpiclem. On się narażał - rzekł Brotherhood.

- To pan tak mówisz. Może nawet tak pan myślisz. Tylko że się pan mylisz. Temu chłopakowi wszystkiego było mało. Zapytaj pan Meg. Aha, nie zapytasz pan Meg, bo już jej nie ma. Mądra baba była. Niby baba, ale miała więcej rozumu niż pan, ja i połowa ludzi na świecie. A mały zawsze chciał więcej, niż miał. Dobrze to wiem, Meg mi mówiła.

- Jak wyglądał, kiedy pana teraz odwiedził?

- Zdrowo. Jak każdy. Zaróżowiony na tej paskudnej gębie. Od razu wiedziałem, że czegoś chce. Ma urok, zupełnie jak jego ojciec. Mówię mu: „Chłopie, nie zapominaj, że jesteś w żałobie”. A on nawet słuchać o tym nie chciał. „Piękny miał pogrzeb, Syd”, mówi. „Podobałoby ci się”. Od razu mydlił mi oczy. „Tłum był taki, że w kościele ludzie cisnęli się jak sardynki”. „Gadanie”, mówię. „Stali na placu przed kościołem, kolejka sięgała aż na ulicę, Syd. Chyba było z tysiąc osób. Gdyby Irlandczycy podłożyli bombę, mogliby za jednym zamachem wyprawić na tamten świat największych ludzi naszego kraju”. „A Filip był?”, pytam. „Pewnie, że był”. Nie mógł być, bo przecież zaraz byłoby w gazetach i w telewizorze. Chyba że incognito. Słyszałem, że teraz często tak robią. Wszystko przez tych Irlandczyków. Mały miał kiedyś takiego kumpla, Kenniego Boyda. Jego mama była wielka damą, Rick kręcił z jego ciotką. Może Magnus jest u Kenniego. Całkiem możliwe.

Brotherhood pokręcił głową.

- To może u Belindy. Belinda była w porządku, chociaż ją puścił kantem. Belinda zawsze by mu pomogła.

Brotherhood znowu pokręcił głową.

- Tysiąc żałobników? - przypomniał sobie Syd. - Nie żałobników, tylko wierzycieli, jakich tam żałobników. Po Ricku nie nosi się żałoby, tylko, szczerze mówiąc, oddycha z ulgą. I patrzy się do portfela i dziękuje starej Meg, że trochę w nim jeszcze zostało. No, małemu tego nie powiedziałem, to by było nieładnie. To był ten Filip czy nie? Słyszał pan, że był?

- To kłamstwo - powiedział Brotherhood. Syd był wstrząśnięty.

- No, no, nie tak ostro. Od razu widać, żeś pan glina. Wystarczy powiedzieć, że Magnus trochę przesadził, dokładnie tak jak jego tata.

- Ale po co? - zapytał Brotherhood. Syd nie dosłyszał.

- Czego od pana chciał? - pytał Brotherhood dalej. - Czemu zadał sobie trud, żeby panu opowiadać te bajdy?

Teraz Syd zaczął przesadzać. Zmarszczył brwi. Wydał wargi, Potarł czubek brązowego nosa.

- No jak to? Chciał się ze mną zobaczyć - powiedział zbyt wesoło. - Chciał zrobić mi przyjemność, „Pojadę do Syda,

pogadam ze starym, będzie mu miło". O, nam zawsze było razem dobrze. Często musiałem być dla niego jak ojciec. A Meg to całkiem mu matkowała. - Może z wiekiem oduczył się kłamać. A może nigdy tak naprawdę nie umiał. - Po prostu, chciał sobie z kimś pogadać, pocieszyć się. On mnie, ja jego. Widzisz pan, on zawsze lubił Meg. I to mimo że potrafiła przejrzeć go na wylot.

- A kto to jest Wentworth? - zapytał Brotherhood. Twarz Syda zamknęła się jak więzienna brama.

- Kto taki?

- Wentworth.

- Chyba nic nie wiem o żadnym Wentworthu. A może chodzi o miejscowość? A co, ma kłopoty z jakimś Wentworthem?

- A Sabina? Mówił kiedyś panu o jakiejś Sabinie? - To koń wyścigowy, tak? Zaraz, zaraz, Księżniczka Sabina biegała chyba w zeszłym roku, tylko gdzie?...

- A Stokrotka?

- No proszę, to Magnusowi ciągle jeszcze dziewczynki w głowie. Wykapany tatuś. - Po co tu przyjechał? - Już mówiłem. Pocieszyć się. - I w tej samej chwili wiedzione jakby bezlitosnym magnetyzmem spojrzenie Syda powędrowało do pustego miejsca po meblu, a potem zbyt śmiało przeniosło się z powrotem na Brotherhooda. - No?

- Proszę mi powiedzieć jedną rzecz - powiedział Brotherhood. - Co tam stało?

- Gdzie?

- A tam, w rogu.

- Nic.

- Jakiś mebel? Pamiątka?

- Nic.

- Coś po żonie? Sprzedał pan to?

- Po Meg? Nigdy bym niczego po niej nie sprzedał, choćbym zdychał z głodu.

- To po czym są te ślady?

- Jakie ślady?

- Te, które wskazują. Te na dywanie. Po czym?

- Po tym. Nie pana interes.

- Ale może Magnusa?

- Nie. I proszę mnie tak nie wypytywać, denerwuje mnie to.
- Co się z tym stało?
- Już tego nie ma. Zresztą to nic takiego.

Brotherhood zostawił Syda w fotelu i popędził po dwa schody na górę. Na wprost była łazienka. Zajrzał do środka, a polem szybko skręcił w lewo, do sypialni. Większość pokoju zajmowała różowa kanapa z falbanami. Zajrzał pod nią, pomacał poduszki, zerknął pod nie. Otworzył szafę, rozsunał całe rzędy płaszczy z wielbłądziej wełny i drogich damskich sukienek. Nic. Po drugiej stronie była druga sypialnia, ale i w niej nie znalazł żadnego ciężkiego mebla o podstawie kwadratowej, tylko stos bardzo pięknych walizek z białej skóry. Wrócił na parter, sprawdził jadalnię, kuchnię, a przez tylne okienko również maleńki ogródek pod nasypem. Nie było w nim ani szopy, ani garażu. Wrócił do saloniku. Akurat z hałasem przejeżdżał kolejny pociąg. Syd wciąż siedział w fotelu, mocno pochylony do przodu. Zaciśkał dłonie na lasce, na nich opierał bezsilnie brodę.

- A te ślady na podjeździe to też nic? - zapytał Brotherhood. Syd wreszcie przemówił. Przez zaciśnięte wargi, jakby mówienie sprawiało mu ból.

- Przysięgasz, glino, ale tak na mur, że chodzi o nasz kraj? - Tak.

- A to, co zrobił, chociaż w to nie wierzę i nie chcę o niczym wiedzieć, mogło być niepatriotyczne?

- Mogło. Najważniejsze, to go teraz znaleźć.

- I że zgnijesz w piekle, jeśli mnie okłamałeś?

- Zgniję.

- Zgnijesz, glino. Bo ja kocham tego chłopaka, ale w życiu nie zrobiłem nic przeciwko temu krajowi. Prawda, przyjechał po coś. Po szafkę na dokumenty. Taką starą, zieloną, którą Rick zostawił u mnie, kiedy zaczął podróżować. „Rick nie żyje, możesz mi wydać papiery. Naprawdę”, mówi mi. „Legalnie należą teraz do mnie. W końcu jestem jego spadkobiercą, no nie?”.

- Jakie papiery?

- Wszystkie papiery jego ojca. Wszystkie długi, można powiedzieć, wszystkie jego tajemnice. Rickie zawsze wszystko

trzymał w tej szafce. Wszystko, co nam był winien. Któregoś dnia miał nam wszystkim wszystko pooddawać, żeby do końca życia niczego nam nie zabrakło. Najpierw nie chciałem się zgodzić. Jak żył Rick, też nie chciałem i według mnie nic się nie zmieniło. „Rick nie żyje”, mówię mu, „i niech spoczywa w pokoju. Wiesz dobrze, że tata nie miał ode mnie lepszego kumpla, więc przestań mnie wypytywać i zacznij żyć własnym życiem”, mówię. Bo w tej szafce są różne złe rzeczy. Na przykład Wentworth. O tych innych coś pan mówił, nie słyszałem, może też.

- Może też.

- Ale w końcu zagadał mnie, więc mówię: „No dobra”. Jak by była Meg, toby mnie nie zagadał, no ale jej nie ma. Nigdy niczego nie umiałem mu odmówić, taka jest prawda. Mówił, że będzie pisał książkę. To też mi się nie spodobało. Powiedziałem mu: „Wiesz dobrze, że twój tata nie zawracał sobie głowy książkami. Jego wychowała ulica”. Ale on nie słuchał. Jak zawsze kiedy czegoś chciał. „No dobra”, powiedziałem, „weź ją sobie może dzięki temu on da ci wreszcie spokój. Wsadź sobie ją do auta i zjeżdżaj. Zawołam wielkiego Micka z naprzeciwka, pomoże ci ją wsadzić do bagażnika”. Ale nie, musiało być inaczej.

„Nie, nie będę jej woził autem”. „No to w porządku”, mówię, „to ją tu zostaw i się zamknij”.

- Zostawił tu coś jeszcze? - Nie.

- Miał ze sobą teczkę?

- Aha. Taką jakąś wymyślną, z herbem królowej i dwoma zamkami.

- Długo został?

- Na tyle długo, by wynudzić ode mnie tę szafkę. Godzinę, pół godziny, skąd mam wiedzieć? Nawet nie chciał usiąść, tak go nosiło. Łaził tylko tam i z powrotem w tym swoim czarnym krawacie i uśmiechał się od ucha do ucha. I stale wyglądał przez okno. „Słuchaj no”, powiedziałem, „któryś ty bank obrabował? Powiedz, to pójde i zlikwiduję konto”. Dawniej śmiał się z takich rzeczy. Teraz się nie śmiał, tylko ciągle uśmiechał. Zresztą nic dziwnego, po pogrzebie człowiek zawsze jest nieswój, no nie? Ale w sumie wolałbym, żeby tak się stale nie uśmiechał.

- I w końcu pojechał? Z szafką?
- Ale skąd. Przecież przysłał po nią ciężarówkę, nie?
- No rzeczywiście - powiedział Brotherhood, przeklinając w duchu własną głupotę.

Siedział teraz blisko Syda, już przedtem postawił swoją whisky przy jego nietkniętej szklance na indyjskim mosiężnym stoliku wypolerowanym przez Syda tak, że blat świecił jak słońce Indii. Syd mówił coraz mniej chętnie i coraz cichszym głosem.

- Ilu ich było?
- Dwóch.
- Poczęstował ich pan herbatą?
- No pewnie.
- Widział pan ich ciężarówkę?
- No pewnie. Przecież wyglądałem, czy nie jadą. Tutaj to od razu wielkie wydarzenie, taka ciężarówka.
- Z jakiej firmy?
- Nie wiem, napisu nie było. Zwykła ciężarówka. Pewnie wynajęta.

- Jakiego koloru?
- Zielona.
- Skąd wynajęta?
- A skąd mam wiedzieć?
- Musiał pan coś podpisać?
- Ja? Zgłupiałeś pan, czy co? Napili się herbaty, załadowali i wzięli dupę w troki.

- Gdzie ją zabrali?
- Tam gdzie ją mieli zawieźć, bo niby gdzie?
- A gdzie?
- Do Canterbury. - Jest pan pewny? - No pewnie, że jestem pewny. Do Canterbury. I jeszcze narzekali, że taka ciężka. Zawsze tak mówią, bo myślą, że dostaną coś w łapę. - A wspominali w ogóle, że to dla Magnusa? - Nie. Mówili tylko o Canterbury. Wiedzieli, że mają przyjechać do Lemona i zawieźć szafkę do Canterbury. Tyle. Ile razy mam powtarzać?

- Widział pan numer ciężarówki? - Pewnie. I zaraz zapisałem. Takie mam hobby, zapisywanie numerów ciężarówek. Brotherhoodowi udało się uśmiechnąć. - To może pamięta pan choć, co to była za marka? - zapytał. - Może miała

znaki szczególne albo co?

Pytanie było dość niewinne i wypowiedziane niewinnym tonem zresztą sam Brotherhood niewiele się po nim spodziewał. Było to pytanie z gatunku tych, które zostawiają pewien niedosyt, jeśli nie zostaną zadane, ale zadane nie wnoszą nic nowego - jedno z wielu niezbędnych i nieprzydatnych narzędzi pracy oficera dochodzeniowego. Ale było to też ostatnie pytanie, jakie udało mu się zadać Sydowi w ten późny jesienny wieczór, i w ogóle ostatnie pytanie, jakie zadał w trakcie swych krótkich a usilnych poszukiwań Magnusa Pyma, bo od tego momentu zaczął zajmować się już tylko odpowiedziami. Za to Syd odmówił odpowiedzi. Zaczął mówić, ale nagle zmienił zdanie i zamknął usta z cichym kłapnięciem. Odczepił brodę od dłoni, uniósł głowę. Potem stopniowo, uparcie, choć z bólem, uniósł się z fotela, jakby z oddali wezwała go na ostatnią defiladę wojskowa sygnałówka. Plecy wygięły mu się w łuk, już nie podpierał się laską, trzymał ją w dłoni.

- Nie chcę, żeby chłopak poszedł do pierdla - powiedział chrapliwie. - Słyszysz pan? I ja panu nie pomogę go tam wsadzić. Jego tata siedział, ja też, i nie chcę, żeby on tam trafił. I tylko o to mi chodzi. Tak że nie mam nic do ciebie, glino, ale zabieraj się stąd. Już.

To już koniec, pomyślał spokojnie Brotherhood, rozglądając się wokół okrągłego stołu konferencyjnego w biurze Brammela na Piątym Piętrze. Po raz ostatni tu z wami uczuję. Przez te drzwi wyjdę już tylko jako sześćdziesięcioletni syn gajowego. Na stole leżało kilkanaście dłoni, wyglądających w świetle jarzeniówek jak zwłoki oczekujące na identyfikację w kostnicy. Po lewej ręce Jacka wylegiwały się szyte na miarę rękawy reprezentanta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Dorneya. Na jego złotych spinkach pyszniły się herbowe lwy. Za Dorneyem spoczywały na stole nieskażone pracą fizyczną palce Brammela, którego szlachetne urodzenie nie wymagało nawet podobnej reklamy. Za Bo siedział Mountjoy z kancelarii premiera, a dalej reszta. W poczuciu narastającego wyobcowania Brotherhood miał kłopoty z przypisaniem dłoni do głosów. Zresztą teraz nie miało to już żadnego znaczenia, bo byli wszyscy jednym głosem i jedną martwą dłonią. To ciało

urzędowe, które, jak kiedyś wierzyłem, jest czymś więcej niż tylko sumą swych poszczególnych części. W trakcie życia byłem więc świadkiem narodzin silnika odrzutowego, bomby atomowej i komputera oraz śmierci tej szacownej brytyjskiej instytucji. My możemy walczyć już tylko ze sobą. Dochodziła północ. Powietrze pachniało kurzem i rozkładem. Nigel odczytywał właśnie akt zgonu.

- Czekali przed domem Lumsdenów do osiemnastej dwanaście, po czym zatelefonowali tam z pobliskiej budki. Pani Lumsden powiedziała, że właśnie razem z pokojówką szukają pani Pym. Mary poszła przejść się po ogrodzie za domem i jeszcze nie wróciła. Nie było jej już od godziny. I nie znaleźli jej w ogrodzie. Lumsden był w rezydencji pani ambasador, został tam wezwany.

- Mam nadzieję, że nikt nie będzie miał pretensji do Lumsdenów - powiedział Dorney.

- Ależ oczywiście, że nie - powiedział Bo.

- Nie zostawiła kartki, z nikim się nie kontaktowała - ciągnął Nigel. - Cały dzień była niespokojna, ale to normalne w tej sytuacji. Sprawdziliśmy w liniach lotniczych. Okazało się, że zarezerwowała bilet pierwszej klasy do Londynu na jutrzejszy poranny lot British Airways. Podała adres: Hotel Imperial, Wiedeń.

- Dzisiejszy - poprawił ktoś i Brotherhood zobaczył, że złoty zegarek Nigela przekrzywił się szybko w kierunku swego właściciela.

- No dobrze, na dzisiejszy poranny lot British Airways - poprawił się ze zniecierpliwieniem Nigel. - Kiedy sprawdziliśmy w Imperialu, nie było jej w pokoju, i kiedy drugi raz spróbowaliśmy szczęścia na lotnisku, okazało się, że poleciała z listy oczekujących ostatnim samolotem tego dnia, czyli lotem Lufthansy do Frankfurtu. Niestety informację tę zdobyliśmy już po wylądowaniu samolotu we Frankfurcie.

Pięknie was zrobiła, pomyślał Brotherhood z satysfakcją graniczącą z dumą. Mądra dziewczyna, dobra jest w te klocki.

- To bardzo niedobrze, że nie udało się dowiedzieć o locie do Frankfurtu za pierwszym razem, kiedy pytano na lotnisku - powiedział śmiało jakiś niedowiarek po drugiej stronie stołu.

- Oczywiście, że niedobrze - warknął Nigel. - Ale gdyby słuchał pan trochę uważniej, usłyszałby pan, jak sądzę, że poleciała z listy oczekujących. A więc ostateczna lista pasażerów była gotowa dopiero przed samym odlotem. - Mimo wszystko jest to jednak jakieś niedopatrzenie - powiedział Mountjoy. - Nie można było sprawdzić listy oczekujących?

Nie, pomyślał Brotherhood, to nie niedopatrzenie. To za słabe słowo. To nasz normalny bezwład. To, co było kiedyś świetną organizacją, stało się nieruchawą hybrydą biurokratów i wolnych strzelców, stosującą argumenty jednych, by niweczyć osiągnięcia drugich.

- To gdzie ona teraz jest? - zapytał ktoś.

- Tego nie wiemy - odpowiedział z satysfakcją Nigel. - I jeżeli nie chcemy prosić Niemców, a co za tym idzie Amerykanów, by przeszukali wszystkie hotele we Frankfurcie, szczerze mówiąc, nie bardzo widzę, co można jeszcze zrobić.

- Jack? - zapytał Brammel.

Brotherhood usłyszał w ciemności swój przyciszony, dawny głos:

- Diabli wiedzą, gdzie ona może być - powiedział. - Teraz to już pewnie siedzi na dupie w Pradze.

Znowu Nigel:

- Z tego, co wiemy, jak dotąd nie zrobiła nic złego. Nie mamy prawa więzić jej wbrew jej woli. Jest wolną obywatelką. I jeżeli za tydzień zechce wybrać się do niej jej syn, też niewiele będziemy mogli zrobić w tej sprawie.

Mountjoy przypomniał inne nieprzyjemne zdarzenie.

- Moim zdaniem to, co przechwyciliśmy na jednej z linii ambasady amerykańskiej, to dość niecodzienna sprawa. Ta jakaś Lederer wydziera się z Wiednia przez telefon do męża w Londynie, że dwie osoby porozumiały się w kościele. I to w naszym kościele! W tym samym, do którego chodzi Mary. Która w dodatku tam była! Czy nie można było z tego czegoś wydedukować?

Nigel miał na to gotową odpowiedź.

- Owszem, ale niestety dopiero po fakcie. To całkowicie zrozumiałe, że nasi ludzie prowadzący nasłuch nie zwrócili uwagi na tę rozmowę i zameldowali o niej dopiero po upływie

doby. Właśnie dlatego pierwsza informacja, która mogła postawić nas na nogi, czyli konkretnie: istnieje podejrzenie, że Mary odwiedziła dawną melinę tego Petza i tak dalej, dotarła do nas przed informacją o przechwyconej rozmowie z ambasady. No więc chyba nie można mieć do nas pretensji o to, że nie jesteśmy jasnowidzami?

Nikt jakoś nie kwapił się ze stwierdzeniem, czy można, czy nie można.

Mountjoy oznajmił, że nadszedł czas zajęcia stanowiska w całej tej sprawie: Dorney. że trzeba się zdecydować, czy wciągamy w to policję, dajemy im zdjęcie Pyma i niech się dzieje, co chce. Tu zaraz ożywił się Brammel.

- Jeżeli dojdzie do tego, równie dobrze możemy od razu zwinąć interes. Już jesteśmy bardzo blisko, trop jest bardzo świeży, prawda, Jack?

- Niestety, wcale nie - powiedział Brotherhood.

- Ależ tak! - Ależ nie! Na razie to tylko domysły. Musimy znaleźć ten wóz meblowy, to też nie będzie proste. Zresztą nie wiadomo, czy tylko jeden, bo może wynajął ich więcej i używał po kolei. Policja umie robić takie rzeczy, my nie mamy szans. Używa nazwiska Canterbury, a przynajmniej tak nam się zdaje. Dlatego Canterbury, że dawniej używał nazwisk tworzonych od nazw miejscowości, był pułkownikiem Manchesterem, panem Hullem, Gulworthem. Z drugiej strony może jednak kazał zawieźć tę szafkę do Canterbury i jest ona teraz właśnie tam. Albo już jej tam nie ma. Szukamy nadmorskiego miasteczka z placikiem i domem kobiety, którą, jak się okazuje, kocha. Tylko że my nie mamy jak przeczesać wszystkich nadmorskich miasteczek w Wielkiej Brytanii. Za to policja - owszem.

- Oszalał - powiedział jakiś duch.

- Tak, oszalał. Zdradza nas od trzydziestu lat, a my nie zaprowadziliśmy go do psychiatry. Nasz błąd. Możemy uznać, że kiedy potrzebuje, umie świetnie udawać zdrowego na umyśle. Jest doskonale wyszkolony. Czy ktoś z tu obecnych był z nim bliżej niż ja?

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Stała przed nimi Kate, trzymając naręcze czerwonych segregatorów. Była blada i wyprostowana, zupełnie jak lunaticzka. Przed każdym z gości

położyła po teczce na akta.

- To właśnie przyszło z Działu Szyfrów - powiedziała, ale tylko do Bo. - Sprawdzili te czeskie transmisje z Simplicissimusem. Wynik jest pozytywny.

Londyńskie ulice były puste o siódmej rano, ale Brotherhood maszerował nimi, jakby były pełne ludzi, sam jeden wyprostowany wśród mięczaków i mazgajów. Samotny policjant życzył mu miłego dnia; Brotherhood był z gatunku osób, które pozdrawiają policjanci. Dziękuję, panie posterunkowy, pomyślał, a jego krok stał się jeszcze bardziej stanowczy. Właśnie uśmiechnął się pan do kogoś, kto przyjaźnił się ze zdrajcą z pierwszych stron jutrzejszych gazet. Z człowiekiem, który najpierw walczył z każdą krytyką przyjaciela, dopóki zdrada nie stała się całkiem oczywista, a potem z tymi, którzy zaczęli bronić zdrajcy, gdy wszystkim zajął w oczy kolejny wielki skandal. Czemu zaczynam go rozumieć? - zastanawiał się, zadziwiony swą tolerancją. Dlaczego tak jest, że w duchu zaczynam współczuć komuś, kto przez całe życie obracał w kłęski moje zwyczajstwa? Za wszystko, co kazałem mu robić, on kazał mi zapłacić.

"To twoja wina", powiedziała mu Belinda. Tylko w takim razie, dlaczego jeszcze nie czuje bólu? Zupełnie tak, jak wtedy, gdy przestrelona na wylot ręka zwiślała mu bezwładnie u boku, a on jeszcze nie czuł nic?

Jest w Pradze, pomyślał. Ten pościg za nim z ostatnich kilku dni to był czeski film, żeby mieli czas spokojnie przerzucić go na miejsce. Przecież Mary w życiu by do Pragi nie pojechała, gdyby Magnusa jeszcze tam nie było. W ogóle by tam nie pojechała.

Pojechałaby czy nie? Brotherhood nie wiedział i nie potraktowałby poważnie kogoś, kto by mu powiedział, że wie. Zostawić Plush i całą swoją angielskość? Dla Magnusa?

Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Zrobiłaby. Dla Magnusa.

I Tom do niej pojedzie.

Mary zostanie.

Weźmie Toma ze sobą.

Potrzebuję kobiety.

Na rugu Half Moon Street była całodobowa kawiarnia.

Dawniej, w inne wczesne poranki, Brotherhood chętnie zatrzymywał się tam, żeby zmęczone dziwki pozachwycały się jego psem. W zamian za to Brotherhood zachwycał się dziewczynkami, stawiał im kawę i zagadywał do nich, bo lubił ich profesjonalizm, ich dzielność i widoczne w każdej z nich połączenie ludzkiej chytry i głupoty. Ale psa musiał zastrzelić i od tego czasu nie miał wielkiej ochoty na takie rozrywki. Otworzył drzwi swojego mieszkania i pomaszzerował do barku, gdzie trzymał wódkę. Nalał pół szklanki letniej cieczy i wypił ją duszkiem. Puścił wodę do wanny, włączył radio tranzystorowe i zabrał je ze sobą do łazienki. Wiadomości pełne były najróżniejszych katastrof, ale o dyplomacie, który pojawił się z żoną w Pradze, akurat nikt nie mówił. Zresztą jeżeli Czesi zechcą się pochwalić, zrobią to dopiero; w południe, żeby było w wieczornych wiadomościach telewizyjnych i jutrzejszych gazetach. Zaczął się golić. Zadzwoił telefon. To Nigel, znaleźli Pyma, cały czas był u siebie w klubie. To oficer służbowy, Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Pradze zwołało na południe konferencję prasową dla korespondentów zagranicznych. To Steggie, lubi silnych mężczyzn.

Wyłączył radio, przeszedł nago do salonu, podniósł słuchawkę i warknął: „Tak?“. Usłyszał krótki pisk, potem cisza. Zaciśnął, usta, żeby przypadkiem nic nie powiedzieć. Modlił się. Tak jest, naprawdę się modlił. Mów. Powiedz coś. I wreszcie doczekał się: trzy szybkie uderzenia monety albo pilnika do paznokci w mikrofon słuchawki: procedura praska. Rozejrzył się za czymś metalowym, zobaczył na stole wieczne pióro, udało mu się po nie sięgnąć nie wypuszczając słuchawki. Stuknął raz w odpowiedzi: odbiór. Usłyszał dwa uderzenia, potem jeszcze trzy. To oznaczało: Zostań tam. gdzie jesteś. Mam dla ciebie informację. Cztery razy stuknął w mikrofon, rozmówca odpowiedział dwoma stuknięciami i przerwał połączenie. Brotherhood przeciągnął dłonią po zaroście. Zabrał wódkę na biurko, usiadł i skrył twarz w dłoniach. Niech coś się dzieje. Siatka się zgłasza. Pym chce wrócić. Myśl. Mam czekać? Czekam. Zadzwoń, jak będziesz mógł.

Telefon rozwrzeszczał się po raz drugi. Tym razem był to tylko Nigel. Rysopis i zdjęcie Pyma poszły do każdego

komisariatu w kraju. Firma przechodzi na linie operacyjne. Brammel kazał rozłączyć linię do Whitehall, prasa już zaczyna dobijać się do drzwi. Czemu on mi to mówi? - zastanawiał się Brotherhood. Poczł się samotny, czy daje mi szansę poinformować go, że właśnie miałem dziwny telefon od kogoś, kto używa praskiej procedury? Uznał, że chodzi o telefon.

- Jakiś żartowniś właśnie zadzwonił do mnie i nadał czeski sygnał - powiedział. - Odpowiedziałem, niech mówi, ale nie chciał. Diabli wiedzą, co jest grane.

- Jakby się wyjaśniło, zaraz daj nam znać. Ale po linii operacyjnej.

- Tak, mówiłeś - potwierdził Brotherhood.

Znowu to czekanie. Zastanawianie się, który kontakt przeżył. Nie spiesz się. Działaj ostrożnie, ale pewnie. Bez paniki, bez pośpiechu. Dobrze wybierz budkę. Usłyszał pukanie do drzwi. Znowu jakiś cholerny domokrażca. Albo Kate przedawkowała. Albo ten głupi arabski smarkacz z dołu, któremu ciągle się wydaje, że go zalewam. Narzucił szlafrok, otworzył drzwi i zobaczył Mary. Wciągnął ją do środka i zatrasnął drzwi. Sam nie wiedział, co go napadło, z ulgi czy z wściekłości, z poczucia winy czy z urazy: uderzył ją w jeden policzek, potem w drugi. W każdy inny dzień wzięłby ją prosto do łóżka.

- Jest taka miejscowość pod Exeter, nazywa się Farleigh Abbot - powiedziała.

- No to co?

- Magnus mówił mi, że kupił matce dom nad morzem w Devon.

- Komu mówił?

- Stokrotce. Swojemu czeskiemu prowadzącemu. Razem studiowali w Bernie. Stokrotka myśli, że Magnus chce się zabić. Nagle to do mnie dotarło. Że po to była mu czarna skrzynka, bo jest w niej pistolet. Zgadza się?

- A skąd wiesz, że chodzi o Farleigh Abbot?

- Bo Stokrotce mówił o matce w Devon. Przecież on nie ma matki. A jedyna miejscowość, jaką zna w Devon, to Farleigh Abbot. Mówił: „Kiedy byłem w Devon...”. „Jedźmy do Devon na wakacje...”. I wtedy zawsze mówił o Farleigh Abbot. W końcu

nigdy tam nie pojechaliśmy, on przestał o tym mówić. Rick przyjeżdżał po niego na rowerze, jechali razem na piknik na plaży. To jedno z jego wymarzonych miejsc. Jest tam z jakąś kobietą. Ja to czuję.

Rozdział 15

Możesz sobie wyobrazić, Tom, z jaką radością w młodym sercu błyskotliwy oficer wywiadu i świetny kochanek obchodził zakończenie dwuletniej służby ojczyźnie w dalekiej Austrii i przygotowywał się do powrotu do cywilnej Anglii. Pożegnanie z Sabiną było mniej rozdzierające, niż się obawiał, bo wraz ze zbliżaniem się terminu jego odjazdu dziewczyna coraz lepiej udawała słowiański chłód.

- Będę szczęśliwa, Magnusie. Wasze angielskie żony wreszcie przestaną robić miny na mój widok. Zostanę ekonomistką i wolną kobietą, a nie kurtyzaną niepoważnego wojaka.

Nikt dotąd nie nazwał Pyma osobą niepoważną. Sabina posunęła się do tego, że wzięła urlop i wyjechała z Grazu przed Pymem. Ależ ona dzielna, pomyślał sobie. Pożegnanie z Axelem, choć niepozbawione wzmianek o nowych czystkach, też dało mu poczucie spełnienia.

- Sir Magnusie, cokolwiek się teraz ze mną stanie, wykonaliśmy razem kawał dobrej roboty - rzekł Axel, gdy w wieczornym świetle siedzieli naprzeciw siebie w stodole, która stała się dla Pyma drugim domem. - Tylko nie zapomnij, że jesteś mi winien dwieście dolarów.

- Nigdy nie zapomnę - powiedział Pym.

Ruszył w długą drogę do jeepa sierżanta Kaufmanna. Odwrócił się, by pomachać Axelowi, ale ten zniknął już w lesie.

Te dwieście dolarów stało się pamiątką ich rosnącej zżyłości ostatnich miesięcy współpracy.

- Ojciec znowu męczy mnie o pieniądze - wyznał któregoś wieczoru, gdy wspólnie obfotografowywali książkę szyfrów, pożyczoną przez Pyma z szafki Membury'ego. - Policja birmańska chce go aresztować.

- To mu je wyślij - odpowiedział wtedy Axel, przesuając do końca film w aparacie i zakładając nowy. - Ile chce?

- Ile by chciał, i tak nie mam. Nie jestem milionerem, tylko młodszym oficerem, żołdu mam trzynaście szylingów dziennie.

Axel niby to stracił zainteresowanie i wkrótce zajęli się sierżantem Pavlem. Axel powiedział, że właśnie teraz w życiu sierżanta przydałby się kolejny kryzys.

- Jak to, znowu? - zaprotestował Pym. - Przecież dopiero miesiąc temu żona wyrzuciła go z domu, bo się upił, i musieliśmy go znowu posmarować, żeby zechciała go przyjąć z powrotem.

- Musi być kryzys - upierał się Axel. - Wiedeń trochę za bardzo się z nim oswoił i szczerze mówiąc, nie podoba mi się ton ich kolejnych pytań.

Pym zastał Membury'ego za biurkiem. Popołudniowe słońce oświetlało z jednej strony jego przyjazną głowę pochyloną nad książką o rybach.

- Mam problem. Greensleeves chce premii w wysokości dwustu dolarów gotówką - powiedział Pym.

- Ależ mój drogi, przecież w tym miesiącu dostał już kupę forsy! Na co mu teraz te dwieście dolarów?

- Na skrobankę dla córki. Lekarz bierze tylko dolary, a już najwyższy czas.

- Przecież jego córka ma dopiero czternaście lat! Kto jej to zrobił? Powinni go zamknąć!

- To ten rosyjski kapitan ze sztabu.

- A to świnia. A to podła świnia.

- A wie pan, Pavel jest katolikiem - przypomniał Pym. - Pewnie, może nie wzorowym, ale na pewno nie jest mu z tym

lekko.

Następnego wieczoru Pym wyliczył dwieście dolarów na stół w stodole. Axel odrzucił mu je z powrotem.

- To dla twojego ojca. Pożyczam ci.

- No co ty, przecież to z funduszu operacyjnego...

- Już nie. Teraz to pieniądze sierżanta Pavla. - Pym wciąż nie podnosił pieniędzy. - A sierżant Pavel ci je pożycza w dowód przyjaźni - powiedział Axel i wyrwał kartkę ze swego notesu. - Masz, napisz mi rewers. Podpisz, kiedyś się upomnę.

Pym odjechał, będąc dobrej myśli, tym bardziej że był przekonany, iż Graz i wszystkie zobowiązania, podobnie jak kiedyś Berno, znikną z chwilą, gdy wjedzie w pierwszy tunel w powrotnej drodze do kraju.

Zdając broń w siedzibie wywiadu w Sussex, Pym otrzymał od oficera demobilizacyjnego list z dopiskiem „Tajne/Poufne”:

Państwowy Instytut Studiów Zagranicznych Skr. poczt. 777
Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Londyn, S.W. 1

Szanowny Panie!

Nasi wspólni znajomi w Austrii podali mi Pana nazwisko jako kogoś, kto mógłby być zainteresowany dłuższym zatrudnieniem. Jeżeli tak, czy miałby Pan ochotę na lunch w Travellers' Club i niezobowiązującą pogawędkę w piątek, 19., o dwunastej czterdzieści pięć?

(Podpis)

sir Alwyn Leith, kawaler Orderu św. Michała i św. Jerzego

Pym nie odpisał, bo na kilka dni nawiedziła go tajemnicza obawa. Tłumaczył sobie, że teraz czas na nowe horyzonty. Oni są w porządku, ale jednak trochę ograniczeni. Gdy któregoś dnia wstał w męźniejszym niż zwykle nastroju, odpisał z żalem, że poczuł powołanie kapłańskie.

- Zawsze jeszcze możesz pracować w Shellu - powiedziała mama Belindy, która bardzo wzięła sobie do serca przyszłość Pyma. - Wiesz, Belindo, twój wujek pracuje w Shellu.

- Ale on chce robić coś pożytecznego, mamusiu - powiedziała Belinda i tupnęła nóżką, aż zatrzęsła się zastawa na śniadaniowym stole.

- Najwyższy czas - powiedział ojciec Belindy z za „Daily Telegraph” i nie wiedzieć czemu okropnie go to rozbawiło, i

śmiał się przez te swoje dziurawe zęby, jeszcze gdy Belinda uciekła złościć się w ogrodzie.

Znacznie ciekawszą ofertę pracy złożył Pymowi Kenneth Sefton Boyd, który właśnie otrzymał jakiś spadek i zamierzał otworzyć nocny klub. Zatajając to przed Belinda, która miała określone zdanie o nocnych klubach i Sefton Boydach, Pym wymówił się szukaniem pracy w starej szkole i pod tym pretekstem udał się wraz z kolegą do rodzinnej posiadłości tegoż w Szkocji. Jemima wyjechała po nich na stację tym samym land - roverem, z którego w dzieciństwie pokazywała Pymowi język. Była jeszcze piękniejsza niż dawniej.

- Jak było w Austrii? - zapytała, gdy samochód wesoło podskakiwał na wertepach purpurowych gór Szkocji w drodze do monstualnego wiktoriańskiego zamczyska.

- Fantastycznie - powiedział Pym.

- Cały czas tylko boksowałeś się i grałeś w rugby?

- No, nie, nie przez cały czas - wyznał Pym.

Jemima popatrzyła na niego z niejakim zainteresowaniem.

Świat Sefton Boydów był światem bez rodziców. Kolację podał im pełen dezaprobaty sługa, po czym grali we trójkę w trik - traka. Wreszcie Jemima zmęczyła się i poszła do siebie. Pokój Pyma był wielki jak boisko piłkarskie i równie zimny. Spał lekko, więc łatwo przebudził się i zobaczył, że w ciemności unosi się coś, co wygląda na robaczka świętojańskiego. Robaczek opadł i zniknął. Przed Pymem pojawiła się blada postać. Poczł woń papierosów i pasty do zębów, i że nagie ciało Jemimy układa się cicho przy jego ciele. I że jej usta znajdują jego usta.

- Nie obrazisz się, jeżeli wywalimy cię stąd w piątek, prawda? - powiedziała Jemima, gdy rano jedli w trójkę śniadanie w łóżku, przyniesione przez Sefton Boyda. - Bo na weekend przyjeżdża do nas Mark.

- Kto to jest Mark? - zapytał Pym.

- No, jak by to powiedzieć, tak się składa, że wychodzę za niego. Najchętniej wyszłabym za Kennetha, ale on jest w tych sprawach strasznie konserwatystą.

Pym postanowił dać sobie spokój z kobietami i napisał do British Council, że jest gotowy nieść kulturę między dzikich, i do Willowa, dyrektora swej dawnej szkoły, czy nie potrzeba mu

nauczyciela niemieckiego. „Bardzo tęsknię za dyscypliną naszej szkoły, do której jestem szczególnie przywiązany od czasu, gdy mój ojciec nie zapłacił za mnie chesnego”. Napisał do ojca Murgo, prosząc o zaproszenie na długie rekolekcje, ale na wszelki wypadek nie podał żadnych dat. I do katolików z Farm Street, że chce dokończyć katechumenat rozpoczęty w Grazu. I do jednej angielskiej szkoły w Genewie i jednej amerykańskiej w Heidelbergu. I do BBC. A wszystko w duchu pokory i z sercem skruszonym. Pisał też do Rady Adwokackiej z prośbą o informację, jak zostać prawnikiem. Otoczywszy się w ten sposób ogromem możliwości, wypełnił wielostronicowy formularz szczegółami swej dotychczasowej egzystencji i wysłał go do Działu Kadr Uniwersytetu Oksfordzkiego, gdzie wkrótce został wezwany na rozmowę. Dzień był słoneczny, a dawny uniwersytet Pyma olśnił go beztroskimi wspomnieniami z czasów, gdy donosił na komunistów. Jego rozmówca był swobodny, by nie rzec - niepoważny. Bez przerwy to spychał okulary na wierzch nosa, to poprawiał je w swych siwiejących włosach jak zniewieściały kierowca wyścigowy, częstował Pyma sherry. Wreszcie pchnął go za siedzenie do wysokiego okna, z którego rozciągał się widok na rzędy tanich czynszówek.

- Uśmiecha się panu praca w brudnym przemyśle? - zaproponował.

- Może być w przemyśle.

- Ale trzeba lubić jadać z załogą. Lubi pan jadać z załogą?

- Tak się składa, że nie mam uprzedzeń klasowych, proszę pana.

- Czarujące. A lubi pan babrać się po łokcie w smarze?

Pym nie miał też nic przeciwko babraniu się po łokcie w smarze, ale rozmówca już prowadził go do drugiego okna z widokiem na wieżycy kościołów i uniwersyteckie trawniki.

- Mam nędzną posadkę bibliotekarza w British Museum i chyba coś jakby podpodgońca w Izbie Gmin, to taka proletariacka wersja Izby Lordów. I jakieś marne fuchy w Kenii, na Malajach i w Sudanie. Nic w Indiach, bo Indie już mi niestety nie podlegają. Lubi pan zagranicę, czy wręcz odwrotnie?

Pym odparł, że uwielbia zagranicę i że studiował w Bernie. Rozmówca wydawał się zaskoczony.

- Myślałem, że studiował pan tutaj.
- Tak się składa, że tutaj też - wyjaśnił Pym.
- Aha. A lubi pan ryzyko?
- Ryzyko? Tak się składa, że uwielbiam ryzyko.
- Biedaku. I proszę w kółko nie mówić „tak się składa”. A dochowa pan wierności każdemu, kto będzie na tyle nieostrożny, by pana zatrudnić?

- Dochowam.
- A czy kocha pan swą ojczyznę na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, tak panu dopomóż Bóg i Partia Konserwatywna?
- Kocham - odpowiedział ze śmiechem Pym.
- A czy wierzy pan też, że kto urodził się Brytyjczykiem, ten wygrał los na wielkiej loterii życia?

- Wierzę. Tak, szczerze mówiąc, wierzę.
- To niech pan zostanie szpiegiem - zaproponował rozmówca. Wyciągnął z szuflady kolejny formularz i podał go Pymowi. - Ma pan najserdeczniejsze pozdrowienia od Jacka Brotherhooda. Kazał panu przekazać, że nie ma pojęcia, czemu pan się z nim nie kontaktował, i czy miałby pan ochotę zjeść lunch ze swym sympatycznym rozmówcą?

Tom, mógłbym godzinami opisywać ci zmysłową przyjemność rozmów z przyszłym pracodawcą w wywiadzie. Ze wszystkich sztuk interakcji społecznej, jakie posiadał Pym, ta właśnie umiejętność jest najważniejsza. W tamtych czasach nie mieliśmy akwizytorów - akrobatów, jak lubi ich nazywać wujek Jack. Nie mieliśmy nikogo, kto nie był sam obywatelem tego tajnego świata młodzieńczo niewinnych przywilejów. Z prawdziwym życiem najbliższy kontakt mieli na wojnie i traktowali pokój jako jej kontynuację innymi środkami. Jednak w odniesieniu do świata zewnętrznego pozostali tak niewinni, tak dziecinni, tak nieskomplikowani i tak zamknięci w swych wewnętrznych powiązaniach, że byli całkowicie odseparowani od społeczeństwa, które, jak święcie wierzyli, mieli ochraniać. Pym przychodził, zajmował miejsce przed kimś takim, był spokojny, refleksyjny, rezolutny, skromny. Układał swą twarz to w taką, to w inną minę: szacunku, podziwu, zapału, szczerości, humoru. Demonstrował miłe zaskoczenie, gdy okazywało się, że kolejni rozmówcy cenią go sobie coraz wyżej, i wysuwał szczękę

naprzód na wieść, że wojsko też kocha się w nim na zabój. Skromnie przeczył albo skromnie się przechwalał. Spośród wiernych wychwytywał nie do końca wiernych i nie spoczął, póki nie przerobił ich na dożywotnich członków fanklubu Magnusa Pyma.

- A teraz opowiedzcie nam coś o ojcu, Pym - powiedział mężczyzna o opadających wąsach, nieprzyjemnie podobnych do wąsów Axela. - To zdaje się dość barwna postać?

Pym uśmiechnął się smutno, wczuwając się w nastrój. Na początek lekko się zająknął, ale zaraz mówił śmieiej:

- Czasem zbyt barwna, proszę pana. - Został nagrodzony wybuchem zdrowego, męskiego śmiechu. - Szczerze mówiąc, nie widujemy się za często. Oczywiście, nie zerwaliśmy ze sobą, ale mimo wszystko staram się go unikać. Tak się składa, że nie mam innego wyjścia.

- No cóż, chyba nie można was winić za grzechy ojca, co? W końcu to z wami rozmawiamy, nie z waszym tatą.

Ile wiedzieli o Ricku i na ile ich to obchodziło? Nawet dziś mogę się jedynie domyślać. Jestem pewny, że oficjalnie wszystko poszło w zapomnienie w kilka dni po przyjęciu Pyma do służby. Przecież angielskich dżentelmenów nie obchodzą rodzice innych, tylko ich pochodzenie. Od czasu do czasu musieli wyczytać o bardziej spektakularnych upadkach Ricka i zapewne pozwalali sobie na uśmieszek rozbawienia - coś niecoś przecież jednak docierało do nich przez kontakty z biznesem. Ale podejrzewam, że w sumie Rick był uważany za plus. Na pewno byli zdania, że zdrowy element kryminalny w pochodzeniu młodego szpiega nie zaszkodzi. „Wychował się w twardej szkole”, mówili do siebie. „To się kiedyś przyda”.

Ostatnie pytanie i ostatnia odpowiedź Pyma do dziś odbijają się echem w mojej głowie. Pytanie zadał wojskowy w tweedach.

- Słuchajcie no, Pym - odezwał się, podrzucając głową na krzepkim, wiejskim karku. - Zdaje się, że jesteście specem od Czechów, mówicie po ichniemu, znacie ludzi. Jakie jest wasze zdanie o tych wszystkich czystkach i aresztowaniach? Nie martwicie się tym?

- Uważam, sir, że te czystki są rzeczywiście nie do przyjęcia, ale całkowicie do przewidzenia - odpowiedział Pym ze szczerym

wzrokiem utkwionym w jakąś odległą, nieosiągalną gwiazdę.

- Do przewidzenia? Jak to? - zapytał wojskowy takim tonem, jakby według niego nic nigdy nie powinno być do przewidzenia.

- Bo to taki podły system, powrót do wspólnoty plemiennej. Może przetrwać jedynie dzięki represjom.

Tak, tak. Zgoda. To co byście zrobili w tej sprawie?

- Jako kto, sir?

- Jako jeden z nas. Nie bądźcie głupi. Jako członek naszej służby. Gadać może każdy, my - działamy.

Pym nie musiał się zastanawiać, bo natychmiast przemówiła jego wrodzona szczerłość:

- Włączyłbym się w tę grę, sir. Wygrywał jednych przeciwko drugim. Rozsiewał plotki, fałszywe oskarżenia, podejrzania. Niech się pozagryzają.

- Czyli nie mielibyście nic przeciwko temu, że do ich więzień trafia niewinni ludzie? No, twardzi jesteście. I trochę niemoralni, co?

- Tylko w ten sposób można skrócić życie tego systemu. Nie, sir, to nie niemoralność. Zresztą niestety wcale nie wierzę w niewinność tych, o których pan mówi.

Jak mawia Proust, w życiu robimy nie to, do czego nadajemy się najlepiej, tylko to, do czego nadajemy się trochę gorzej. Nigdy już się nie dowiem, do czego najlepiej nadawał się Pym. Ale w każdym razie propozycję Firmy przyjął. Otworzył „Timesa” i z takim samym chłodem wyczytał tam, że właśnie zaręczył się z Belindą. No to z głowy, pomyślał. Jedno pół siebie oddałem Firmie, drugie pół - Belindzie. Od dziś niczego mi nie braknie.

Zwróć teraz oczy na pierwsze wspaniałe wesele Pyma, Tom. Odbywa się ono prawie bez jego udziału podczas trzech ostatnich miesięcy szkolenia, w przerwie między nauką bezszelestnego zabijania a trzydniowym seminarium na temat „Poznaj swego wroga”, prowadzonego przez entuzjastycznego młodego wykładowcę z London School of Economics. Wyobraź sobie, jak Pymowi podobało się to niekonwencjonalne przygotowanie do życia w rodzinie. I jak świetnie bawił się w tym nierealnym świecie, ścigając szkockie duchy po wrzosowiskach Argyll, rozbijając się pontonami, lądując nocą na piaszczystych

plażach i zdążając w sam raz na gorącą czekoladę w zdobytym sztabie nieprzyjaciela. Wypadał z samolotów, pisał atramentem sympatycznym, uczył się Morse'a i słał skatologiczne sygnały radiowe w rześkie szkockie powietrze. Patrzył, jak mosquito przesuwają się kilkaset stóp nad nim w ciemności, zrzucając na spadochronie pakę kamieni, zamiast prawdziwego zaopatrzenia. Bawił się w tajne podchody na ulicach Edynburga, robił zdjęcia niczego nie podejrzewającym, niewinnym obywatelom, wystrzeliwał ostrą amunicję w wyskakujące postacie w symulowanych salonach i zatapiał sztylet w tors kiwających się na sznurze worków z piaskiem, a wszystko to dla ciebie, ojczyzno, i dla króla. I co jakiś czas jeździł do ekskluzywnego Bath, by szlifować swą znajomość czeskiego u stóp stareńkiej pani Kohl. Pani Kohl mieszka w nieco podupadłym półkolu kamienic wiktoriańskich. Przy herbatce i ciasteczkach pokazuje Pymowi albumy z czasów dzieciństwa spędzonego w innym uzdrowisku, w Karlsbadzie - obecnie Karlovy Vary.

- Ależ pan świetnie zna Karlovy Vary! - woła, gdy Pym chwali się swymi wiadomościami. - Pan tam był, tak?

- Nie - odpowiada Pym. - Ale mam przyjaciela, który był.

A potem powrót do bazy gdzieś w Szkocji, gdzie na nowo wstępuje na krwawy szlak przemocy - przemocy, która łączy się nierozzerwalnie ze wszystkim, czego tu uczą. Przemocy nie tylko fizycznej, bo przemocy dokonywanej również na prawdzie, przyjaźni, a jeśli trzeba - to i na honorze. Wszystko dla ciebie, ojczyzno. Jesteśmy facetami od brudnej roboty, żeby bardziej niewinni ludzie mogli spać spokojnie. Pym, oczywiście, nasłuchiwał się już tych argumentów od kolejnych Michaelów, ale teraz musi wysłuchać ich jeszcze raz od swych nowych mocodawców, którzy pielgrzymują z Londynu, by przestrzec nieopierzonych żółtodziobów przed podstępными cudzoziemcami, z którymi kiedyś przyjdzie im się zetknąć.

A czy pamiętasz swój przyjazd, Jack? To dopiero było święto, zresztą tuż przed Bożym Narodzeniem: przyjeżdża wielki Jack Brotherhood! Były nawet girlandy pod sufitem. Siedziałeś za stołem instruktorów w naszej wspaniałej stołówce, a młodzież wykręcała szyje, by choć chwilę popatrzeć na

największych uczestników naszej Gry. Po kolacji zgromadziliśmy się wokół ciebie półkolem, każdy ze swym przydziałem portwajnu, a ty opowiadałeś nam o swoich wyczynach. Potem, leżąc w łózkach, śniliśmy, że jesteśmy tacy jak ty, choć nam nie dane było zakosztować twojej ładnej wojenki - przecież na nią nas właśnie szkolono. A pamiętasz, jak rano, przed wyjazdem, odwiedziłeś Pyma, gdy ten się golił, i pogratulowałeś mu, że tak się na razie świetnie spisuje?

- I jeszcze żenisz się z taką fajną dziewczyną - powiedziałaś.

- To pan ją zna? - zapytał Pym.

- Wyłącznie z pochlebnych recenzji - odpowiedziałś niedbale. I odjechałeś, przekonany, że wlałeś kolejną dozę entuzjazmu w młode serce Pyma. Wlałeś, Jack, wlałeś. Tylko że Pym to taki chłopak, co wszystko robi na opak: złościło go, że Firma zaaprobowала jego zbliżające się małżeństwo, nim on sam zdążył je zaaprobować.

- To jak ty właściwie zarabiasz na życie, stary? Nie bardzo się orientuję - zapytał, nie pierwszy raz, ojciec Belindy, gdy układali listę gości.

- To takie państwowe laboratorium językowe, proszę pana - odpowiedział Pym zgodnie z dość niejasnymi instrukcjami Firmy. - Zajmujemy się międzynarodową wymianą akademicką. Sprowadzamy do nas pracowników naukowych z innych krajów, organizujemy im różne kursy...

- Hm. Coś mi to wygląda na Secret Service - powiedział ojciec Belindy i zaśmiał się tym swoim dziwnym, urywanym śmiechem, jakby doskonale orientował się w sytuacji.

Za to swej przyszej małżonce Pym opowiadał wszystko, co wiedział, i jeszcze dużo, dużo więcej. Pokazywał jej, jak mógłby jednym uderzeniem złamać jej tchawicę i jak łatwo dałby radę wyłupić jej oczy dwoma palcami. I jak ona sama mogłaby zmiażdżyć komuś kości śródstopia, gdyby dobierał się do niej pod stołem. I w ogóle opowiadał jej wszystko, dzięki czemu urastał na tajnego bohatera Anglii, który sam jeden zbawia cały świat.

- To ilu ludzi już zabiłeś? - zapytała makabrycznie Belinda, pomijając milczeniem tych, których tylko okaleczył.

- Tego nie wolno mi mówić - powiedział Pym i wysuwając

żuchwę, zapatrzył się w siną dal, hen, w step, dokąd wzywał go obowiązek.

- No, to nie mów - powiedziała Belinda. - I przede wszystkim nic nie mów tacie, bo on zaraz powie mamie.

Kochana Jemimo - napisał na wszelki wypadek Pym na jakiś tydzień przed tym wielkim dniem - Aż dziw pomyśleć, że wstępujemy w związki małżeńskie w tym samym miesiącu. Wciąż się zastanawiam, czy dobrze robimy. Mam serdecznie dość tej mojej nudnej pracy t zastanawiam się nad zmianą zawodu. Kocham Cię.

Magnus

Potem niecierpliwie czekał na nadejście poczty i rozglądał się po wrzosowiskach za land - roverem, którym miała przybyć mu na ratunek. Ale nie przybyła, więc w wigilię ślubu znów był całkiem sam i wąsał się nocą po ulicach Londynu, udając, że przypominają mu Karlovy Vary.

A jakim był świetnym mężem, Tom! Ach, co to byt za ślub! Księża pełni typowej dla klas wyższych pokory, wielki kościół, sławny łaskami i poprzednio tam zawartymi, udanymi związkami, skromne przyjęcie w przypominającym rodzinny grobowiec hotelu w Bayswater, a w samym centrum uwagi on, księżę z bajki, rozmawiający błyskotliwie z koronowanymi głowami z dzielnic willowych. Pym nie zapomniał niczyjego nazwiska, płynnie i ze swadą udzielał informacji o państwowych laboratoriach językowych, rzucał Belindzie czułe, powłóczyste spojrzenia. Tak właśnie było, przynajmniej do chwili, gdy ktoś wyłączył podkład muzyczny i wszystkie twarze odwróciły się od perorującego oblubieńca, by zobaczyć, co się stało. Bo oto zamknięte dotąd drzwi na drugim końcu sali otworzyły się na oścież za pociągnięciem niewidzialnych rąk. Pym od razu wyczuł w kościach - wystarczył mu sam wybór chwili i ta nagle zapadła cisza - że ktoś wypuścił dzina z butelki. Z wdziękiem osób obdarzonych sutym napiwkami wpadli do sali dwaj kelnerzy z tacami pełnymi zakorkowanego szampana i wielkimi półmiskami wędzonego łososa, choć matka Belindy łososa nie zamawiała i choć zarządziła, że przed toastem państwo młodzi szampana nie dostaną. Po czym natychmiast wrócił nastrój kampanii wyborczej w Gulworth, bo najpierw pojawił się pan

Muspole, za nim jakiś chudzielec ze szramą po brzytwie na gębie. Stanęli po obu stronach drzwi, przez które wkroczył teraz z wielką pompą Rick we własnej osobie i w pełnym stroju z Ascot, odchylony do tyłu, z rozpostartymi ramionami, rozdający uśmiechy na lewo i prawo. „Witaj, stary! Co to, rodzzonego ojca nie poznajesz? Ja stawiam, chłopcy! A gdzie ta jego panna młoda? Na Boga, synu, toż to chodząca piękność! Chodź tu, kochanie, daj całusa teściusiowi! Matko Boska, co za figurka, synu! Gdzieś ty ją chował cały ten czas?”

Wziąwszy pod rękę każde z młodych, Rick zaciągnął ich przed hotel, gdzie skutecznie tamował ruch nowiutki jaguar w żółtych barwach partii liberalnej, z maską zdobną w białe, weselne wstęgi, z niebotycznym bukietem z harrodsowskich gardenii na tylnym siedzeniu i z panem Cudlove'em za kierownicą. Pan Cudlove miał nawet goździk w butonierce bordowej marynarki.

- Widziałeś już ten model, synu? A wiesz, co to jest? A to jest prezent dla was obojga od twojego starego, i póki żyję nikt go wam nie zabierze. Cuddie odwiezie was potem, gdzie chcecie, i go wam zostawi, nie, Cuddie?

- Gorąco życzę państwu szczęścia na tej nowej drodze życia - powiedział pan Cudlove i wierne jego oczy napełniły się łzami.

Z długiej mowy Ricka pamiętam, że była piękna, skromna i pozbawiona jakichkolwiek upiększeń, i koncentrowała się wokół głównej myśli, że gdy kocha się dwoje młodych, starsi muszą usunąć się w cień, bo któż sobie na to lepiej zasłużył, jak właśnie nie oni.

Pym więcęj nie zobaczył pięknego samochodu i dość długo potem nie miał też kontaktu z Rickiem, bo gdy po skończonym weselu wyszli na zewnątrz, nie było tam już ani pana Cudlove'a, ani żółtego jaguara. Byli za to dwaj panowie, w których każdy bez trudu rozpoznał policjantów po cywilnemu i którzy rozmawiali półgłosem z bardzo zdenerwowanym kierownikiem hotelu. Ale wyznam ci, Tom, że i tak byt to najpiękniejszy ze wszystkich prezentów ślubnych, może z wyjątkiem bukietu stokrotek wepchniętego w dłoń Pyma bez wizytówki i bez słowa wyjaśnienia przez mężczyznę w prochowcu polskiego jakby kroju, gdy Pym i Belinda odjeżdżali wprost w zachodzące słońce

na tygodniowy miesiąc miodowy w Eastbourne.

- Posłać go w teren, póki młody i uczciwy - mówi kadrowiec. Kadrowcy zwykle mówią o człowieku tak, jakby nie siedział z nimi po drugiej stronie biurka.

Pym jest wyszkolony. Pym jest gotowy. Pym jest uzbrojony. Pozostaje tylko jedna kwestia: jakie założy przebranie? Pod jakim płaszczem skryje nowo nabytą dojrzałość? Podczas serii nieskonsumowanych

stosunków

służbowych,

trochę przypominających niedawne rozmowy w Oksfordzie, kolejni kadrowcy roztaczają oszałamiającą gamę różnych możliwości. Pym niech zostanie dziennikarzem, wolnym strzelcem. Tylko czy umie pisać i czy zechcą go na Fleet Street? Więc prowadzi się Pyma w rozbrajająco otwarty sposób po redakcjach większości najznamienitszych tytułów Wielkiej Brytanii; redaktorzy głupawo udają, że nie wiedzą, skąd przychodzi i po co, choć od tej chwili zapamiętują go na zawsze jako kreaturę Firmy - podobnie jak on ich. Już - już otwiera mu się droga na szczyty w „Daily Telegraph”, gdy jakiś geniusz z Piątego Piętra wpada nagle na lepszy pomysł:

- Słuchajcie no, a może byście znowu wstąpili do komuchów, wykorzystali dawne kontakty, wkręcili się w międzynarodowe towarzystwo lewaków? Zawsze mieliśmy ochotę zająć się tym bajorem.

- To może być fascynujące - mówi Pym i równocześnie widzi się do końca życia jako ulicznego sprzedawcę „Współczesnego marksizmu”.

Inny, jeszcze bardziej ambitny plan zakłada wprowadzenie Pyma do parlamentu, żeby miał oko na co aktywniejszych fellowtravellers z tego grona.

- Macie jakieś życzenia co do partii, czy wszystko wam jedno? - pyta kadrowiec, który jeszcze nie zdążył wyskoczyć z tweedów po weekendzie na wsi.

- Jeżeli to nie kłopot, wolałbym nie być u liberałów - mówi Pym.

Ale w polityce nic nie trwa wiecznie, więc już po tygodniu Pym ma zostać skierowany do jednego z prywatnych banków,

którego dyrektorzy nachodzą przez cały dzień kwaterę główną Firmy, gdzie jęczą o rosyjskim złocie i o konieczności chronienia brytyjskich szlaków handlowych przed bolszewikami. Pym zjada lunch za lunchem w towarzystwie kolejnych rekinów finansjery, z których każdy mógłby coś dla niego znaleźć.

- Znałem jednego Pyma - mówi jeden z nich po drugim czy trzecim koniaku. - Miał wielkie biuro gdzieś na Mount Street. Był najlepszy w swoim fachu.

- A w jakim fachu, proszę pana? - pyta grzecznie Pym.

- Malwersanta - mówi gospodarz i rży jak koń. - To pański krewny?

- Może jakaś czarna owca rodziny - mówi Pym i też się śmieje, ale potem jak najszybciej ucieka pod opiekuńcze skrzydła Firmy.

Korowód ten trwa jeszcze przez pewien czas, nie wiem, do jakiego stopnia poważnie, bo Pymowi nikt nic jeszcze nie mówi o zakulisowych zagrywkach, a dokonane przez niego rewizje szuflad różnych biur i stalowych szafek nie przynoszą większych rezultatów. Wreszcie jednak wszystko staje się jasne.

- Zaraz, zaraz - mówi kadrowiec, z trudem tłumiąc złość. - Czemuście nam nie powiedzieli, do diabła, że umiecie po czesku?

Już po miesiącu Pym zostaje zatrudniony w pewnym przedsiębiorstwie elektromechanicznym z Gloucester na stanowisku stażysty w dziale zarządzania, doświadczenie zawodowe niekonieczne. Szef tego przedsiębiorstwa miał pecha - chodził do szkoły z urzędującym szefem Firmy i popełnił ten błąd, że w chwili słabości przyjął serię zamówień rządowych. Pym zostaje przypisany do działu eksportu, którego zadaniem jest otworzyć na produkty przedsiębiorstwa rynek wschodnioeuropejski. Jego pierwsza misja o mało nie okazuje się ostatnią.

- No to może przejechałby się pan po Czechach i sprawdził ten rynek? - mówi słabym głosem nominalny pracodawca Pyma. Po czym dodaje półgłosem: - Tylko proszę pamiętać, że to, czym jeszcze będzie się pan tam zajmował, nie ma najmniejszego związku z nami, dobrze?

- Czyli taki szybki rekonesans - mówi wesoło oficer

prowadzący Pyma na spotkaniu w firmowym mieszkaniu w Camberwell, gdzie przygotowuje się nieopierzonych agentów do ich dziewiczego lotu. Wręcza Pymowi przenośną maszynę do pisania ze skrytkami w wałku.

- Wiem, że to zabrzmie głupio - mówi Pym - ale ja nawet nie umiem pisać na maszynie.

- E tam, każdy trochę umie - mówi prowadzący. - Poćwicz pan przez weekend.

Pym leci do Wiednia. Ach, te wspomnienia! Wynajmuje samochód, bez trudu przekracza granicę, spodziewając się, że po drugiej stronie już czeka na niego Axel.

Krajobraz był piękny i bardzo austriacki: dużo jezior, nad każdym stodoła. W Pilźnie zwiedzał ponurą fabrykę w towarzystwie mężczyzny o kwadratowych twarzach. Wieczorem schronił się do hotelu, gdzie pilnowało go dwóch tajniaków. Wypili po kawie i poszli do domu, gdy Pym usnął. Potem pojechał na północ. Na drodze do Usti nad Łabą mijiał wojskowe ciężarówki, więc zapamiętał godło ich jednostki. Na wschód od Usti znajdowała się fabryka, gdzie, według podejrzeń Firmy, produkowano kontenery na izotopy. Pym nie był do końca pewny, co to takiego izotop ani jak ma wyglądać kontener na niego, ale naszkicował plan głównego budynku i schował swe dzieło do maszyny. Następnego dnia podążył do Pragi i o oznaczonej godzinie zasiadł w sławnym kościele na Tynie, przez którego okno można zaglądać do dawnego mieszkania Kafki. Wokół niego przesuwał się powoli posępny sznurek turystów i ich pilnowaczy.

„Powoli więc zbierał się K. do odejścia”, czytał Pym, zasiadłszy w południowej nawie, trzeci rząd od ołtarza. „K. czuł się trochę opuszczony, gdy - być może, obserwowany przez duchownego - przechodził tam pomiędzy pustymi ławkami”. (F. Kafka, Proces, tłum. B. Schulz.)

Zmęczył się, więc klęknął i zaczął się modlić. Coś stęknęło i westchnęło - gruby mężczyzna klapnął przy nim na ławce. Pym poczuł czośnek i natychmiast pomyślał o sierżancie Pavle. Przez szpary między palcami sprawdził znaki rozpoznawcze: plamkę białej farby na lewym paznokciu, smugę niebieskiej na lewym mankiecie, szopę paskudnie tłustych czarnych włosów,

czarny płaszcz. Uświadomił sobie, że jego kontakt jest artystą. Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem? Ale Pym nie podniósł się z klęczek, nie usiadł, nie wyciągnął dyskretnie małej paczuszki z kieszeni spodni, by po jakimś czasie położyć ją między nimi na ławce. Nie ruszył się z miejsca i bardzo szybko zrozumiał dlaczego. Środkiem kościoła zbliżył się odgłos pewnych, wyszkolonych kroków. Zatrzymały się i po chwili męski głos powiedział po czesku: „Pan pójdzie z nami”. Sąsiad Pym westchnął z rezygnacją, ciężko podniósł się i wyszedł za swymi prześladowcami.

- Zwykły zbieg okoliczności - zapewnił Pyma po powrocie wielce rozbawiony prowadzący. - Już się z nami skontaktował. Zwinęli go rutynowo, co półtora miesiąca biorą go na przesłuchanie. Nawet do głowy im nie przyszło, że miał od kogoś coś odebrać. A już na pewno nie od kogoś w pana wieku.

- A nie myśli pan, że on... No, że on im powiedział? - zasugerował Pym.

- Że co? Że pana zakablował? Nasz kochany Kyril? Chyba pan żartuje. Niech pan się nie boi, pošlemy pana drugi raz za parę tygodni.

Rick wcale nie był zachwycony wkładem Pyma w promocję brytyjskiego eksportu i oznajmił mu to osobiście podczas jednego ze swych tajnych wypadów z Irlandii, gdzie miał teraz zimowe leże, gdzie przeczekiwał na wyjaśnienie się pewnego nieporozumienia ze Scotland Yardem i równocześnie walczył o całkiem nowy rynek wysiedleń na West Endzie.

- Co?! Mój chłopak komiwojażerem?! - wykrzyknął ku przerażeniu sąsiednich stolików. - Sprzedajesz maszyny do golenia zasranym komuchom? I to zagranicznym? Przecież mówiliśmy kiedyś o tym. Przecież takich rzeczy się nie robi. Czy po to tyle lat łożyłem na twoją naukę? Gdzie twój patriotyzm?

- Nie maszyny do golenia, tato, tylko prądnice, oscylatory i świece samochodowe. Może jeszcze po jednym?

Wrogość względem Ricka była dla Pyma czymś nowym i fascynującym. Folgował jej ostrożnie, acz z rosnącym podekscytowaniem. Gdy jedli gdzieś razem, upierał się, że zapłaci, by nacieszyć się dezaprobatą Ricka, że jego własny syn szasta pieniędzmi tam, gdzie wystarczyłby jeden podpisik.

- Ty chyba nic stamtąd nie przemycasz? - dopytywał się Rick. - Pamiętaj, synu, są pewne granice. Nawet dla ciebie. Co ty tam robisz? No, gadaj.

Nacisk na ramię Pyma stał się nagle niebezpieczny. Chciał obrócić to w żart, więc uśmiechnął się szeroko.

- Aj, tato, boli - powiedział ze strasznym rozbawieniem. Kciuk Ricka uciskał go w tętnicę. - Tato, bardzo proszę, czy mógłbyś przestać? - poprosił. - To bardzo nieprzyjemne.

Ale Rick był zbyt zajęty wydymaniem warg i kiwaniem głową. Mówił, że to szczyt wszystkiego, by ojciec, który flaki sobie wypruł dla syna, był teraz przez niego traktowany jak „biedny Aria”. Miał na myśli biednego pariasa, ale jakoś nigdy nie udało mu się oswoić z tym pojęciem. Pym oparł łokieć o stół, rozluźnił rękę i poddał ją bez oporu ruchom Ricka, raz w tę, raz w tę. Potem nagle napiął mięśnie i dokładnie tak, jak go szkolono, uderzył dłonią Ricka o kant stołu, aż podskoczyły szklanki, aż sztucze zatańczyły na obrusie i pospadały na podłogę. Rick cofnął obolałą dłoń i rozejrzał się dookoła, by obdarzyć zrezygnowanym uśmiechem uczujących wokół poddanych. Potem drugą dłonią stuknął lekko w krawędź kieliszka z drambuie, by dać do zrozumienia, że należy mu jeszcze dolać. Dokładnie tak, jak rozwiązaniem sznurowadeł dawał do zrozumienia, że ktoś ma mu przynieść pantofle, albo przewróceniem się na wznak i rozchyleniem kolan po długim bankiecie sygnalizował cielesne pożądanie.

Ale Pym zmienny jest; wraz z kolejnymi tajnymi misjami dawna nerwowość ustępuje dziwnemu opanowaniu. Spokojny, tonący w mroku kraj, który z początku wydawał mu się tak groźny, staje się powoli łonem matki, tajnym schronieniem, a nie miejscem kaźni. Wystarczy przekroczyć granicę, by runęły mury jego wszystkich angielskich więzień - nie ma Belindy, Ricka, prawie nie ma nawet Firmy. Jestem szefem sprzedaży przedsiębiorstwa z branży elektronicznej. Jestem sir Magnusem, wolnym strzelcem. Samotne noce w wyludnionych prowincjonalnych miasteczkach, gdzie z początku wystarczyło szczekanie psa, by zlewał się zimnym potem i pędził do okna, dodają mu teraz pewności siebie. Atmosfera powszechnego ucisku, spowijająca cały kraj, w jakiś dziwny sposób ogarnia go i

chroni. Takiego poczucia bezpieczeństwa nie dawały mu nawet więzienne mury prywatnej szkoły. Pędząc samochodem czy pociągiem przez doliny rzek i ozdobione czeskimi zamkami wzgórza, niesie ze sobą tyle samozadowolenia, że przyjacielskie uczucia żywi nawet do pasącego się wzdłuż drogi bydła. Tutaj osiadę, postanawia, tu jest mój prawdziwy dom. Jaki ja byłem głupi, by przypuszczać, że Axel zgodziłby się zamienić ten kraj na jakikolwiek inny! Zaczyna lubować się w sztucznych rozmowach z oficjelami, szaleje z radości, gdy uda mu się wywołać uśmiech na ich twarze. Czuje dumę z rosnącą liczbą zamówień, czuje ojcowską odpowiedzialność za swych prześladowców. Nawet jego czynności operacyjne, gdy nie uda mu się całkiem o nich nie myśleć, dają się wcisnąć do szerokiej kategorii dobrych uczynków: „Jestem obrońcą ziemi niczyjej”, mówi sobie, używając starego określenia Axela, gdy wyciąga ze ściany luźny kamień, wydobywa ze skrytki zawiniątko, zastępuje je drugim. „Przychodzę z pomocą zniszczonemu krajowi”.

Ale mimo całego przygotowania, całej samokontroli, dopiero po szóstej misji udaje mu się pozbyć myśli o Axelu.

- Panie Canterbury! Proszę pana! Wszystko w porządku? Proszę odpowiedzieć!

- Tak, oczywiście. Co się stało?

Pym pociąga za klamkę. Za drzwiami stoi w ciemności panna Dubber. We włosach ma papiloty, w ramionach trzyma Toby'ego - dla ochrony.

- Ależ pan tupie, proszę pana. Zgrzyta pan zębami, a godzinę temu nawet pan coś nucił. Boimy się, czy pan czasem nie chory.

- My? Co za my? - pyta ostro Pym.

- Ależ z pana głuptas! No, Toby i ja. Co pan myśli, że na stare lata wzięłam sobie kochanka?

Pym zamknął drzwi i szybko podszedł do okna. Zaparkowana furgonetka, chyba zielona. I samochód, biały lub szary, na numerach z Devon. Mleczarz. Coś wcześniej, i tego tu jeszcze nie widział. Wrócił do drzwi, przyłożył do nich ucho, słuchał z napięciem. Skrzywnięcie, odgłos kroków w pantoflach. Otworzył drzwi. Panna Dubber była już w połowie korytarza.

- Proszę pani?

- Słucham?
- Czy nikt o mnie nie wypytywał?
- A czemu miałby wypytywać?
- Nie wiem, ludzie czasem wypytyują. Wypytywał ktoś?
- Poszedłby pan lepiej spać. Choćby nie wiem jak kraj pana potrzebował, jeden dzień może poczekać.

Strakonice to miasto słynące bardziej z wytwórni motocykli i orientalnych fezów niż z zabytków. Pym zjawił się tam, bo miał skrytkę w Pisku, dziewiętnaście kilometrów na północny wschód stamtąd, a jedną z zasad Firmy było niezatrzymywanie się na noc w miejscowości, w której chciało się opróżnić skrytkę. Jechał więc do Strakoniec pusty i znudzony, bo zawsze czuł się tak, gdy skończył załatwiać sprawy Firmy. Wynajął pokój w starym hotelu z wielkimi schodami, po czym włóczył się po mieście, usiłując wykrzesać z siebie odrobinę podziwu dla starych jatek po południowej stronie rynku, dla renesansowego kościoła, przerobionego według przewodnika na barok, i drugiego kościoła, Świętego Wacława, który, choć wybudowany w stylu gotyckim, został przebudowany w dziewiętnastym wieku. Wyczerpawszy te podniecające możliwości i jeszcze bardziej niż przedtem zmęczony upałem długiego letniego dnia, powlókł się do pokoju po schodach, myśląc sobie, jak by to było miło, gdyby prowadziły one do mieszkanek Sabiny w Grazu w czasach, gdy był młodym i beztroskim podwójnym agentem bez grosza przy duszy.

Włożył klucz do dziurki, ale drzwi nie były zamknięte. Nawet go to nie zdziwiło, bo o tej porze służba jeszcze ścieliła łóżka, a tajniacy dokonywali ostatnich inspekcji. Pym wszedł do środka i dostrzegł półukrytą w ukośnym sнопie światła padającego przez okno postać Axela, jak dawniej oczekującego jego przybycia, z kopolastą głową wspartą o oparcie fotela, lekko przechylnego na bok, by widzieć, kto wchodzi. Ani przebyte w Firmie szkolenie w walce wręcz, ani wszystkie lekcje posługiwania się nożem nie nauczyły Pyma, jak pozbawić życia wychudzonego przyjaciela siedzącego za promieniem słońca.

Jego przyjaciel miał na twarzy więzienną bladość i ważył o dziesięć kilo mniej. Pym nigdy by nie przypuścił, że Axel mógł być jeszcze chudszy niż dawniej - ale był. Trudne to zadanie

udało się jednak aż za dobrze organizatorom czystek, śledczym i strażnikom, bo zwykle im się udaje. Udało się więc im odchudzić go na twarzy, na przegubach rąk, na palcach i na kostkach. Zabrali mu też jeden ząb, ale to zauważył Pym dopiero później, gdyż w tej chwili Axel mocno zaciskał wargi, unosząc ku nim jeden palec, a drugim wskazując ścianę pokoju Pyma, na znak, że ma ona uszy. Dobroczyńcy Axela zajęli się też jego prawą powieką, która opadała mu teraz na oko jak kapelusz na bakier, przez co wyglądał jeszcze bardziej na pirata. Za to płaszcz jak dawniej zwiślał z jego ramion jak opończa muszkietera, pysznił się wąs, nogi Axela zaś obute były we wspaniałe oficerki, lśniące jak skórzana tapicerka luksusowego samochodu.

- Magnus Richard Pym? - zapytał teatralnie grubym głosem.

- Słucham? - powiedział Pym po kilku nieudanych próbach.

- Jest pan aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, podżegania do obalenia siłą panującego ustroju, zdrady i morderstwa. I o sabotaż na rzecz sił imperialistycznych.

Nie ruszając się z fotela, w którym siedział rozparty, Axel z nieprawdopodobną siłą uderzył dłonią w dłoń. Rozległ się plask, który odbił się echem od ścian pokoju i niewątpliwie zrobił spore wrażenie na mikrofonach. Potem Axel wydał z siebie przeciągłe stęknienie człowieka, który usiłuje dojść do siebie po silnym ciosie w żołądek. Sięgnął do kieszeni marynarki, z której wyciągnął mały pistolet. Znów trzymając palec na ustach, pomachał nim, by Pym mógł się napatrzeć.

- Pod ścianę! - szczechnął, z trudem podnosząc się z fotela. - Ręce na kark, ty faszystowska świni! Idziemy!

Delikatnie objął Pyma ramieniem i poprowadził w stronę drzwi, przez które przepuścił go przed sobą na mroczny korytarz. Dwaj smutni panowie w kapeluszach nie zwrócili na Pyma uwagi.

- Przeszukać pokój - rozkazał im Axel. - Dobrze się rozejrzeć, ale nic nie zabierać! Sprawdzić maszynę do pisania, buty i walizkę. Nie opuszczać pokoju bez mojego osobistego rozkazu. Na schody, ale powoli - dodał do Pyma, popychając go w plecy pistoletem.

- To skandal - powiedział słabym głosem Pym. - Żądam

natychmiastowego widzenia z konsulem Wielkiej Brytanii.

Na dole recepcjonistka robiła na drutach jak stara jędra pod gilotyną z czasów rewolucji francuskiej. Axel poprowadził Pyma obok niej do czekającego przed samym wejściem samochodu, pod którym zdążył już umościć się żółty kot. Axel otworzył drzwi od strony pasażera i ruchem głowy nakazał Pymowi zająć miejsce. Potem przepędził kota do rynsztoka, wsiadł do auta i włączył silnik.

- Nic wam się nie stanie, jeżeli będziecie z nami współpracować - oświadczył Axel oficjalnym tonem, wskazując niezbyt eleganckie otwory w desce rozdzielczej. - Tylko nie próbujcie ucieczki, bo zostaniecie zastrzeleni.

- To bezprawne i całkowicie bezpodstawne oskarżenie - wymamrotał Pym. - Rząd mojego kraju będzie domagał się ukarania winnych.

Ale jego głos nie był choć w połowie tak pewny, jak w przytulnym baraczkę w Szkocji, gdzie wraz z kolegami ćwiczył się w odpowiednim zachowaniu na okoliczność wpadki.

- Śledzono was od chwili przyjazdu - powiedział głośno Axel. - Ludowa służba bezpieczeństwa obserwowała wasz każdy ruch i każdy kontakt. Nie macie wyboru. Wasza jedyna szansa to natychmiastowe przyznanie się do winy.

- Wolny świat uzna ten bezpodstawny postępek za kolejny dowód zbrodniczości reżymu czechosłowackiego - oświadczył już silniejszym głosem Pym. Axel pokiwał głową z aprobatą.

Ulice i stare domy były puste. Znaleźli się w części miasta, która była kiedyś elegancką dzielnicą willową. Dolne piętra domów skrywały się za rozrzuconymi żywopłotami. Żelazne bramy, choć dość szerokie, by wpuścić do środka nawet autobus, oplatał teraz bluszcz i drut kolczasty.

- Wysiadać - rozkazał Axel.

Noc była jeszcze młoda i przepiękna, księżyc świecił białą i niezmiernie. Patrząc, jak Axel zamyka samochód, Pym poczuł zapach siana, usłyszał brzęczenie owadów. Axel poprowadził go wąską alejką między dwoma ogrodami, aż doszli do przerwy w żywopłocie z prawej strony. Chwycił Pyma za przegub ręki i wciągnął do środka. Znaleźli się teraz na tarasie w pięknym kiedyś ogrodzie. Za nimi wznosił się w niebo najeżony

wieżyczkami zameczek, a w ogrodzie, niemal całkowicie skryta przed ludzkim wzrokiem płataniną dzikich róż, stała rozpadająca się altana. Axel szarpnął jej drzwiami, ale bez rezultatu.

- Kopnij w te drzwi, sir Magnusie - powiedział. - Jesteśmy w Czechosłowacji.

Pym uderzył nogą tuż pod zardzewiałą klamką, drzwi ustąpiły, Weszli do środka, na równie zardzewiałym co klamka stole stał dobrze znany zestaw: butelka wódki, kromki chleba, ogórki. Podarte poduszki na trzcinowych fotelach krwawiły szarą wyściółką,

- Niebezpieczny z ciebie przyjaciel, sir Magnusie - jęknął Axel, wyciągając przed siebie nogi i przyglądając się swym pięknym butom. - Nie mogłeś choć przyjechać pod przybranym nazwiskiem? Czasem mi się zdaje, że zesłał cię na ziemię mój anioł śmierci.

- Powiedzieli mi, że będzie lepiej, jeżeli pojedę jako ja - odpowiedział głupawo Pym, a Axel już otwierał butelkę. - Że tak będzie naturalniej.

Dłuższą chwilę Axel najwyraźniej nie miał do powiedzenia nic pożytecznego, a Pym nie uznał za stosowne przerywać rozmyślań swego pogromcy. Siedzieli obok siebie, z wyciągniętymi równolegle nogami, jak para emerytów na plaży. Niżej rozciągały się sięgające aż do krawędzi lasu prostokąty pól kukurydzianych, W dolnej części ogrodu leżały sterty starych samochodów, więcej chyba niż Pym widział na czeskich drogach. Nietoperze krążyły godnie w księżycowej poświacie.

- Wiesz, że to był dom mojej ciotki? - spytał Axel.

- Nie, nie wiedziałem.

- Ale był. Moja ciotka była bardzo dowcipna. Kiedyś opowiedziała mi, jak powiadomiła swojego ojca, że chce wyjść za wujka. „Ale czemu chcesz wyjść akurat za niego?“, spytał dziadek. „Przecież on nie ma pieniędzy. W dodatku jest mały, ty jesteś mała, wasze dzieci też będą bardzo małe. On jest jak te encyklopedie, które każesz mi kupować co roku: wyglądają ładnie, ale wystarczy raz zajrzeć do środka, żeby mieć dość“. Dziadek pomylił się, ich dzieci były bardzo duże, a ona bardzo szczęśliwa z wujkiem. - I zaraz dodał niemal tym samym tonem: - Chcą, żebym cię szantażował, sir Magnusie, i to jedyna dobra

wiadomość, jaką mam dziś dla ciebie.

- Kto chce, żebyś mnie szantażował?

- Szychy, dla których pracuję. Uważają, że powinienem pokazać ci zdjęcia, na których wychodzimy razem z tej stodoły w Austrii, i puścić ci nagrania naszych rozmów. I pomachać ci przed nosem tym rewersem na dwieście dolarów, które wyciągnąłeś od Membury'ego dla ojca.

- I co im odpowiedziałeś? - zapytał Pym.

- Że tak właśnie zrobię. Oni nie czytali Tomasza Manna, to chamy. Bo to bardzo chamski kraj.

- Wcale nie - powiedział Pym. - Mnie się tu bardzo podoba. Axel napił się wódki i popatrzył ku wzgórzom.

- A wy nie robicie nic, żeby się zmienić. Twój paskudny wydział okropnie przeszkadza w rządzeniu tym krajem. Musicie tak wysługiwać się Amerykanom? Czemu bezpodstawnie oskarżacie naszych rządzących, rozsiewacie podejrzenia, kusicie naszych intelektualistów? Czemu niepotrzebnie bije się ludzi, którym wystarczyłoby parę lat w więzieniu? Czemu nie uczą was tam trzeźwego patrzenia na rzeczywistość? Czy wy w ogóle wiecie, jaka jest rzeczywistość, sir Magnusie?

- Nie wiedziałem, że Firma robi takie rzeczy - powiedział Pym.

- Jakie rzeczy?

- Że przeszkadza, że przez nią torturuje się ludzi. To chyba inna sekcja, bo ta, w której ja jestem, to bardziej taka stajnia drobnych agentów.

Axel westchnął.

- Więc może tego nie robi. Może nasza głupia propaganda i mnie zrobiła pranie mózgu. Może niesłusznie mam do ciebie pretensje. Na zdrowie.

- Na zdrowie - powiedział Pym.

- Co znajdują w twoim pokoju? - zapytał Axel, gdy już zapalił cygaro i kilkakrotnie wydmuchnął dym.

- No, pewnie wszystko.

- Czyli co?

- Atrament sympatyczny, filmy...

- Od agentów? - Tak.

- Wywołane.

- Chyba nie.
- Te ze skrytki w Pisku?
- Tak. - To nie warto wywoływać. Lipa. Pieniądze? - Trochę.
- Ile? - Z pięć tysięcy dolarów. - Książki szyfrów?
- Też parę.
- To wszystko? Bomby atomowej ze sobą nie miałeś?
- Aha, jeszcze ukryty aparat. - W puszcze z talkiem?
- Tak. Po zdjęciu naklejki z wieczka robi się obiektyw.
- Jeszcze coś? :

- Jedwabna mapa drogi ucieczki. W jednym z krawatów. Axel znów zaciągnął się cygarem, ale myślami był chyba bardzo daleko. Nagle uderzył pięścią w stół.

- Musimy znaleźć jakieś wyjście, sir Magnusie! - krzyknął gniewnie. - Musimy się z tego wyplątać. Musimy coś osiągnąć w tym świecie, musimy sami zostać szlachami i dać kopa tym, co są nimi teraz. - Patrzył w gęstniejący mrok. - Okropnie mi utrudniasz życie. Wiesz o tym? W więzieniu bardzo brzydko o tobie myślałem. Okropnie mi utrudniasz przyjaźń z tobą.

- Jak to?

- No nie, znowu nic nie rozumie! Nie rozumie, że kiedy dzielny sir Magnus Pym składa podanie o wizę, nawet głupi Czesi potrafią zerknąć do kartoteki i zorientować się, że dżentelmen o tym samym imieniu i nazwisku działał kiedyś w Austrii jako faszystowsko - imperialistyczno - militarystyczna świnią, i że knuł razem z niejakim Axelem. - Gniew Axela przypomniał Pymowi czas choroby przyjaciela w Bernie: ten sam nieprzyjemny ostry głos. - Naprawdę tak mało wiesz o kraju, w którym szpiegujesz, że nie zdajesz sobie sprawy, co to dziś znaczy, że ktoś taki jak ja znalazł się kiedyś z kimś takim jak ty nie tylko w stodole na ziemi niczyjej, ale choćby na tym samym kontynencie? Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że w tym świecie, pełnym szpicli i donosicieli, kiedyś mogę umrzeć przez ciebie? Chyba czytałeś Orwella? Przecież wiesz, że oni potrafią ocenzuować nawet wczorajszą prognozę pogody?

- Wiem - powiedział Pym.

- A wiesz, że możesz mnie skompromitować, podobnie jak kompromitujesz tych biedaków, których zasypujesz pieniędzmi i instrukcjami? A wiesz, że prowadzisz ich wprost na szubienicę,

chyba że od początku pracują dla nas? A wiesz, co te moje szychy zrobią z tobą, jeżeli nie uda mi się ich przekonać, jeżeli nie zaspokoimy ich apetytu czymś innym? Aresztują cię i pokażą cię w prasie całego świata, ciebie i tych twoich głupich agentów i pomocników. Już planują kolejny pokazowy proces, już chcą powiesić parę osób. A jak już się do tego wezmą, byłoby to karygodne zaniedbanie nie powiesić przy okazji mnie, Axela, sługusa imperializmu, który tyle już ci dawniej naszpiewował, Axela, trockistę - rewanzystę - cyklistę, który był twoim współnikiem już w Bernie! Lepszy byłby, co prawda, Amerykanin, ale Anglik też się nada, nim złapią coś lepszego. - Wyczerpany wybuchem opadł na krzesło. - Musimy się z tego wyplątać, sir Magnusie powtórzył. - Musimy być kimś, kimś, kimś. Mam już dość złych przełożonych, złego żarcia, złych więzień i złych oprawców. Znowu gniewnie zaciągnął się cygarem. - Najwyższy czas, żebym zajął się twoją karierą, a ty moją. Koniec z burżujską przeciętnością. Teraz jesteśmy zawodowcami, teraz zabieramy się do największych diamentów, do największych banków. Serio.

Nagle Axel zaczął okręcać się z krzesłem, na którym siedział aż znalazł się twarzą w twarz z Pymem. Zaśmiał się i tyłem dłoni piasnął go po ramieniu, żeby podnieść na duchu. - Kwiatki dostałeś, sir Magnusie? - No. To było świetne. Ktoś wepchnął nam je do taksówki kiedy odjeżdżaliśmy z wesela. - Belindzie się podobały? - Belinda nic o tobie nie wie. Nic jej nie powiedziałem.

- To co jej powiedziałeś, od kogo te kwiatki?

- Powiedziałem, że nie mam pojęcia, że to pewnie pomyłka że to ktoś z jakiegoś innego wesela. - Bardzo dobrze. Jak ci z nią jest? - Fantastycznie. To moja miłość z dzieciństwa.

- Myślałem, że Jemima była twoją miłością z dzieciństwa. - No tak, ale Belinda też.

- Obie naraz? Niezłe dzieciństwo - powiedział Axel z nowym wybuchem śmiechu i nalał Pymowi jeszcze raz.

Pymowi też wreszcie udało się zaśmiać. Wypili.

Wtedy Axel zaczął mówić, spokojnie i łagodnie, bez cienia ironii czy goryczy, i wydaje mi się, jakby mówił w ten sposób do mnie całe trzydzieści lat, bo jego słowa wciąż dźwięczą mi w uszach tak samo, jak wtedy dźwięczały w uszach Pyma, jasno i

donośnie, mimo hałasu czynionego przez świerszcze i pisków nietoperzy. - Sir Magnusie, w przeszłości zdradziłeś mnie, ale zdradziłeś też siebie. Ty kłamiesz nawet wtedy, gdy mówisz prawdę. Jesteś wrażliwy, jesteś wierny. Ale czemu? Komu? Nie wiem. Może swemu wielkiemu ojcu, może swej arystokratycznej matce, nie wiem, może kiedyś mi powiesz. Ale może też od czasu do czasu zdarzyło ci się źle wybrać obiekt swej miłości. - Pochylił się do przodu z tą samą szczerą czułością, z tym samym wyrazem smutnej, cierplivej twarzy. - A mimo to próbujesz kierować się jakąś moralnością, czegoś szukasz. Chodzi mi o to, że choć raz udało się naturze stworzyć coś idealnego. Ty jesteś szpiegiem doskonałym. Brakuje ci jednego: słusznej sprawy. Ja mogę ci ją dać. Wiem, że nasza rewolucja jest młoda, że czasem kierują nią nieodpowiedni ludzie. Że walcząc o pokój, toczymy zbyt wiele wojen, że pragnąc wolności, budujemy za dużo więzień. Ale na dłuższą metę to mnie nie martwi. Bo wiem jedno: na zawsze zmiatamy z powierzchni ziemi to wszystko, co sprawiło, że jesteś taki, jaki jesteś, te wszystkie przywileje, snobizmy, obłudę, kościoły, szkoły, ojców, nierówność społeczną, historyczne kłamstwa, małych paniczyków wielkiego biznesu i toczone przez ich chciwość wojny. Dla ciebie to robimy. Tworzymy społeczeństwo, które już nigdy nie wyprodukuje takich smutnych biedaków jak sir Magnus. - Wyciągnął do niego dłoń. - No, to właśnie chciałem ci powiedzieć. Jesteś dobrym człowiekiem i za to cię kocham.

Na zawsze zapamiętam jego dotyk, widzę go odcisnięty na swej dłoni za każdym razem, gdy na nią patrzę: taki suchy, dobry, pełen przebaczenia. I słyszę jego śmiech, płynący z głębi serca, jak zawsze, gdy przestawał knuć i znów stawał się moim przyjacielem.

Rozdział 16

Jakie to wymowne, Tom, że gdy tak patrzę na te lata, co minęły od naszego spotkania w czeskiej altance, widzę tylko Amerykę - Amerykę, której złote brzegi nęcą zza widnokręgu obietnicą wolności, odpoczynku od represji skłóconej Europy, i

która potem rzuca się w nasze ramiona, a my zbieramy w niej owoce całego życia! Ale nim to nastąpi, Pym musi najpierw przez ćwierćwiecze dwóm panom służyć w swej wszytkożernej lojalności. Wyszkolony, ożeniony, zaprawiony w bojach stary młody człowiek musi jeszcze zostać mężczyzną - choć czy komuś uda się złamać genetyczny kod tej tajemnicy: kiedy w Angliku z klasy średniej kończy się dorastanie, a zaczyna wiek męski? Obu przyjaciół dzieli od ich celu kilka niebezpiecznych miast Europy, od Pragi przez Berlin i Sztokholm po stolicę rodzinnej Anglii Pyma. Wydaje mi się jednak, że miasta te były tylko kolejnymi etapami podróży przystankami, na których mogli zaopatrzyć się w prowiant i w paliwo, i spojrzeć w gwiazdy przed udaniem się w dalszą drogę. No zastanów się przez chwilę, Tom, co mieliśmy do wyboru - upadek, który czuliśmy już na karku jak syberyjski wiatr. Pomyśl, co by oznaczało dla kogoś takiego jak Axel i ja być całe życie szpiegiem, ale nigdy nie szpiegować w Ameryce! Powiedzmy to sobie od razu, Tom, żeby nie było żadnych nieporozumień: po spotkaniu w altanie los Pyma został rozstrzygnięty raz na zawsze. Pym odnowił ślubowanie; według zasad, którymi zawsze się kierowaliśmy z wujkiem Jackiem, nie było już odwrotu. Pym został kupiony, wbity na haczyk, zaprzysiężony. I kropka. Owszem, po austriackiej stodole jeszcze miał jakąś swobodę ruchów choć już możliwości odkupienia - nie. Sam zdążyłeś się przekonać jak wyglądały ostatnie i niezbyt zresztą energiczne próby ucieczki z tajnego życia do prawdziwego. Próbował, trzeba to przyznać, choć zdawał sobie sprawę, że przyda się tam mniej więcej tak jak wyrzucona na brzeg ryba, zdychająca z powodu nadmiaru tlenu. Po spotkaniu w altanie Bóg dał mu jasny i wyraźny znak: dość lawirowania, idź zgodnie z przeznaczeniem, z tym, do czego zostałeś stworzony. I Pym nie dał sobie tego powtarzać kolejny raz.

Już słyszę, jak wołasz, Tom: „Przyznaj się do wszystkiego! Leć zaraz do Londynu, idź do Firmy, przyjmij karę, zacznij wszystko od nowa!”. Spokojnie. Oczywiście, Pym rozważał i takie rozwiązanie. Jadąc z powrotem do Wiednia, w samolocie do Anglii, w autobusie z Heathrow do Londynu, borykał się z tą decyzją, bo nadeszła kolejna chwila w życiu, kiedy stawało mu

ono przed oczyma jak barwny komiks. Zacząć od nowa? Ale od kiedy? Od Lippsie, której śmierć wciąż obciążała jego sumienie, jak sądził w chwilach przygnębienia? Od inicjałów Sefton Boyda? Od biednej Dorothy, która przez niego zwariowała? Od obrzucającej go wyzwiskami Peggy Wentworth, swej kolejnej ofiary? Czy od pierwszego włamania się do szafki Ricka albo biurka Membury'ego? Domagasz się od niego, by obnażył przed obwiniającym wzrokiem swych wielbicieli ile warstw swojej egzystencji? „To złóż rezygnację! Ucieknij do ojca Murgo! Zatrudnij się u Willowa!“. Pym i o tym myślał. I myślał o kilku jeszcze dziurach, w których mógłby schować marne resztki swego życia i swój podejrzany wdzięk. Tylko że żadna z nich nie przypadła mu do gustu na dłużej niż pięć minut.

Czy ludzie od Axela naprawdę skompromitowaliby Pyma, gdyby zerwał się z łańcucha? Wątpię, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że bardzo często Pym pałał do Firmy równie wielką miłością jak do Axela. Wielbił w niej twarde, bezrozumne zaufanie, jakie w nim pokładała, to, że używała go do niewłaściwych celów, te męskie uściski dłoni, ten wypaczony romantyzm i zezowatą uczciwość. Uśmiechał się do siebie za każdym razem, gdy wstępował do jej licznych Kancelarii Rzeszy i utajnionych pałaców, gdy przyjmował oddawane mu ze śmiertelną powagą honory czujnych strażników. Nawet gdy ją zdradzał. Firma była jego drugim domem, szkołą i dworem. Był przeświadczony, że może jej wiele dać, podobnie jak mógł wiele dać Axelowi. Oczyma wyobraźni widział się w piwnicach pełnych nylonów, czarnorynkowej czekolady, tak pełnych, że starczyłoby dla wszystkich, gdyby znowu wprowadzono kartki - a przecież wywiad to nic innego, jak zinstytucjonalizowany czarny rynek łatwo psujących się towarów. A tym razem Pym był głównym bohaterem tej bajki; między nim a resztą braci nie stał już żaden Membury.

- Założmy, sir Magnusie, że jadąc sam jak palec do Pilzna, zatrzymasz się, by podwieźć dwóch robotników idących do pracy. Mogłoby tak się zdarzyć? - zaproponował Axel nad ranem w altanie, gdy już udało mu się odbudować morale Pyma.

Pym przyznał, że mogło.

- I założmy, sir Magnusie, że ci prości ludzie przyznaliby ci się do swych obaw, że w pracy każą im dotykać materiałów promieniotwórczych bez odpowiedniej odzieży ochronnej. Zastrzygłbyś uszami?

Pym zaśmiał się i powiedział, że zastrzygłby.

- I założmy, sir Magnusie, że jako wielki szpieg i dobroczyńca ludzkości zapisałeś ich nazwiska i adresy, i obiecałeś przywieźć im następnym razem po funcie dobrej angielskiej kawy.

Pym odpowiedział, że dokładnie tak właśnie by postąpił.

- I założmy - ciągnął Axel - że podwiózłszy tych zuchów do zewnętrznej granicy strefy zakazanej, w której pracują, miałbyś na tyle odwagi, inicjatywy i cech oficerskich, o czym nie wątpię, by zaparkować samochód w dyskretnym miejscu i wdrapać się na ten pagórek. - Axel już pokazywał mu wspomniany pagórek na wojskowej mapie, którą przypadkiem zabrał ze sobą i rozłożył na żelaznym stole. - I z pagórka sfotografował fabrykę, korzystając z osłony rzędu lip, których dolne gałęzie, jak się potem okazało, nieco zamazały obraz na zdjęciach. Czy twoje szuchy byłyby zachwycone twoją inicjatywą? Czy byłyby brawo dzielnemu sir Magnusowi? I czy nakazaliby mu zwerbować tych gadatliwych robotników, by uzyskać dalsze informacje o przeznaczeniu wyrobów fabryki?

- Na pewno - powiedział z zapalem Pym.

- No to moje gratulacje, sir Magnusie.

Axel wrzuca gotowy już film do nadstawionej dłoni Pyma. Taki sam jak ten od Firmy, zawinięty w anonimowy zielony papier. Pym skrywa go w maszynie do pisania. I przekazuje przełożonym. Ale to nie koniec cudów. Gdy owoc jego pracy trafia w ekspresowym tempie do laboratorium Whitehall, okazuje się, że fabryka na zdjęciach to ta sama, którą ostatnio sfotografował amerykański samolot! Z pewnym ociąganiem Pym podaje dane swych dwóch niewinnych i jak na razie fikcyjnych informatorów. Nazwiska zostają wciągnięte do akt, sprawdzone, przetworzone i powtarzane w kółko w mesie oficerskiej, nim, zgodnie z boskimi prawami wszystkich biurokracji, stają się pretekstem do powołania specjalnej komisji.

- Słuchajcie no, Pym, a skąd wiecie, że ci dwaj nie doniosą

na was, jak ich znowu odwiedzicie?

Ale Pym umie prowadzić takie rozmowy, ma wielką widownię, jest niezwyknięzony.

- Mam takie przeczucie, sir. - Powoli odliczyć do dwóch. - Mam wrażenie, że mi ufają. Że trzymają gęby na kłódkę i mają nadzieję, że pojawię się zgodnie z planem.

I okazuje się, że ma rację, i zresztą nic w tym dziwnego, prawda, Jack? Nie bacząc na niebezpieczeństwo, nasz bohater wraca do Czech i składa dwóm robotnikom zapowiedzianą wizytę - i cóż w tym dziwnego, skoro prowadzi go na miejsce sam Axel, który przedstawia Pymowi nowych współpracowników? Tym razem nie będzie żadnego sierżanta Pavia. Tym razem wokół reżysera Axela i dwóch członków założycieli tworzy się pełna zapału trupa aktorska. W bólach i ciągłym ryzyku rodzi się cała siatka. A kto ją tworzy? Pym, ma nerwy ten chłopak. Pym, najnowszy bohater tajnych korytarzy, ten, który zwerbował Węgorza.

Firmowy system selekcji naturalnej i naciski Jacka Brotherhooda robią swoje.

- Dostałeś pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych? - powtarza ojciec Belindy z nieprzyjemnym, bo sztucznym zdziwieniem. - Jedziesz do Pragi? Po bankrutującej firmie elektronicznej? No, no...

- Umowę mam na razie tylko na czas określony. Potrzebują kogoś, kto zna czeski - mówi Pym.

- On będzie walczył o rynki zbytu dla angielskich towarów, tatusiu. Ty tego nie rozumiesz, bo jesteś tylko maklerem - tłumaczy Belinda.

- Szkoda, że nie pomyśleli dla niego o lepszej przykrywce. - Ojciec Belindy parska tym swoim denerwującym śmiechem.

W najnowszej i najtajniejszej melinie Firmy w Pradze Pym i Axel piją za nowe stanowisko Pyma: drugi sekretarz do spraw handlowych, kierownik działu wizowego. Pym zauważa z satysfakcją, że Axel potłuścił, a zmarszczki cierpienia powoli zacierają się na jego kościstej twarzy.

- Za kraj wolnych ludzi, sir Magnusie.

- Tak jest. Za Amerykę.

Najdroższy Tato!

Tak się cieszę, że jesteś zadowolony z mojego awansu. Niestety, nie jest to jeszcze na tyle wysokie stanowisko, bym mógł załatwić Ci audiencję u premiera Nehru, na której chciałbyś mu przedstawić swój plan dotyczący zakładów piłkarskich, choć nie wątpię, że byłby to wielki zastrzyk dla przechodzącej tak ciężki okres gospodarki Indii.

To w ogóle nie miałeś prawdziwych kontaktów? Już słyszę, jak zadajesz mi to pytanie, Tom, okropnie zawiedziony. Czy oni wszystkie były tylko na niby? Spokojnie! Wcale nie na niby! To były bardzo dobre kontakty, najlepsze w swoim fachu. Każdy z nich wiele się uczył od Pyma i tak go szanował, jak Pym szanował Axela. A Axel i Pym też na swój sposób szanowali swe prawdziwe kontakty, bo stanowiły przecież chodzącą, choć nieświadomą reklamę całej operacji, gwarancję jej skuteczności i uczciwości. I obaj używali swych wpływów, by chronić je i awansować, przekonując przełożonych, że wygodniejszy byt każdego kontaktu podnosi tylko rangę całej siatki. I przerzucali je do Austrii na tajne szkolenia i konieczną indoktrynację. Prawdziwe kontakty były naszymi ulubieńcami, Tom, naszymi gwiazdami.

Wychodziliśmy ze skóry, by nigdy niczego im nie brakowało, dopóki tchu w piersi Pyma i Axela. I zresztą przez to właśnie wszystko się popsuło. Ale o tym potem.

Tak bym chciał, Jack, oddać jak najwierniej przyjemność bycia naprawdę dobrze prowadzonym agentem. Że nie ma w tym ani zazdrości, ani ideologii. Axel pragnął, by Pym kochał Anglię, tak samo jak pragnął, by skierować jego działania na Amerykę. Geniusz Axela w tym naszym wielkim przedsięwzięciu polegał na tym, że potrafił wychwalać panującą na Zachodzie wolność i równocześnie dawać do zrozumienia, że Pym może - czy wręcz ma obowiązek jako wolny człowiek - nieść trochę tej swobody na Wschód. Proszę bardzo, Jack, możesz się śmiać! Możesz kiwać siwą głową nad bezmiarem Pymowej naiwności! Ale czy potrafisz sobie wyobrazić, jak łatwo przyszło Pymowi wziąć w opiekę ten zbiedniały kraik, podczas gdy jego ojczyzna była zawsze wielka, szczęśliwa i zwycięska? A przy tym, z jego punktu widzenia, tak idiotyczna? Jak łatwo przychodziło mu kochać biedne Czechy miłością bogatego wujka, litować się nad

ich marnym losem - dla Axela? Z góry przebaczać błędy? I winą za te błędy obarczać swą ojczystą Anglię, która tyle razy zdradziła swego małego sojusznika? Czy naprawdę takie to dla ciebie dziwne, że Pym, wiążąc się z tym, co zakazane, po raz kolejny uciekał od tego, co go wiązało? Że on, który z taką miłością przekraczał dawniej wszelkie granice, przekraczał z taką samą miłością jeszcze jedną - tylko że tym razem czynił to z pomocą Axela?

- Tak mi przykro - powiedział Pym do Belindy, gdy po raz kolejny zostawiał ją na pastwę scrabble'a w ich mrocznym mieszkaniu w dyplomatycznym getcie w Pradze. - Muszę jechać w teren na parę dni. No chodź, dawaj całuska. A co, wolałabyś wyjść za kogoś, kto robi od dziewiątej do piątej?

- Nigdzie nie mogę znaleźć „Timesa” - odparła, odpychając go od siebie. - Pewnie znowu zostawiłeś go w tej cholernej ambasadzie.

Ale niezależnie od tego, w jakim stanie nerwów Pym pojawiał się na miejscu spotkania, Axelowi zawsze udawało się go uspokoić. Axel był cierpliwy i łaskawy, i zawsze z miłością pochylał się nad kłopotami i zmartwieniami swego agenta. To wcale nie było tak, Tom, że jedna strona była tylko bierna, a druga wyłącznie aktywna. Axel też miał swoje ambicje. Pym był przecież jego żywicielem, jego fortuną w każdym znaczeniu tego słowa, jego paszportem do przywilejów i pozycji świetnie opłacanej „szychy” partyjnej. Ach, jak on uczył się Pyma! Jak subtelnie ugłaskiwał go i pocieszał! Z jaką starannością dobierał zawsze dla siebie takie przebranie, w jakim w danej chwili potrzebował widzieć go Pym: to płaszcz mądrego, solidnego ojca, którego Pym nigdy nie miał, to zakrwawione łachmany męczennika, będące równocześnie mundurem jego władzy, to sutannę spowiednika, takiego super Murgo. Axel musiał nauczyć się wszystkich szyfrów i uników Pyma, musiał nauczyć się rozumieć go lepiej niż on sam. Musiał go strofować i przebaczać mu jak rodzice, którzy nigdy nie zatrzasną drzwi przed nosem syna marnotrawnego, śmiać się, gdy Pym wpadał w melancholię, podtrzymywać w nim płomień wiary, gdy Pym markotniał, gdy mówił, że nie może, że jest samotny, że tak się boi.

A przede wszystkim musiał utrzymywać umysł swego agenta w stałej czujności względem, zdawałoby się, niewyczerpanej tolerancji Firmy, bo czy mogliśmy być tak do końca pewni, że ten spróchniały pień pocziwej Anglii nie kryje w sobie jakiejś diabelskiej, po mistrzowsku zastawionej pułapki? Przecież wraz z rosnącą górą dostarczanego przez Pyma materiału wywiadowczego Axelowi było coraz trudniej przekonać swych mocodawców, że nie stają się ofiarami podstępnej gry imperialistów! Czesi mieli dla ciebie wiele podziwu, Jack. Co starsi pamiętali cię jeszcze z czasów wojny, wiedzieli, ile umiesz, szanowali cię za to. Doskonale zdawali sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest nie doceniać sprytnego przeciwnika. Nie raz i nie dwa Axel musiał walczyć niemal na noże. Musiał przekonywać tych samych oprawców, którzy go torturowali, by powstrzymać ich przed zakończeniem działalności Pyma i podaniem mu tego samego lekarstwa, które od czasu do czasu podawali sobie nawzajem, bo może akurat udałoby się wyciągnąć z niego takie oto zeznanie: „Tak, jestem człowiekiem Jacka Brotherhooda”. Bo z całych sił pragnęli usłyszeć krzyk Pyma: „Tak, moim zadaniem była dezinformacja, mająca na celu odwrócenie waszej uwagi od działalności antysocjalistycznej. Tak, Axel był moim współnikiem. Weźcie mnie, powieście, tylko nie to”. Ale Axel postawił na swoim. Błagał, krzyczał, tłukł pięścią w stół, a gdy przyszło do kolejnych czystek, którymi usiłowano wytłumaczyć chaos pozostawiony po poprzednich, przeraził oponentów pogróżką oskarżenia ich o niedoceniecie historycznie uwarunkowanego rozkładu imperializmu. A Pym pomagał mu, ile sił. Znow siedział przy jego - tym razem metaforycznym - łożu boleści, karmił, podtrzymywał na duchu. I plądrował akta Firmy, dostarczając kolejnych dowodów ze wszystkich zakątków świata na nieprawdopodobną wręcz jej niekompetencję. A wspólna walka zbliżała ich obu do siebie tak, że w końcu wszystkie, nawet najbardziej irracjonalne problemy swych krajów składali sobie nawzajem u stóp.

Od czasu do czasu, po skończonej i wygranej bitwie, po jakimś szczególnie spektakularnym osiągnięciu po jednej lub po drugiej stronie, Axel wkładał strój libertyna i organizował nocny

wypad do swego skromnego ersatzu St. Moritz, czyli do białego zameczku w Karkonoszach, przeznaczonego przez swą instytucję do wyłącznego użytku najwyższej cenionych przez nią osób. Pym był tam pierwszy raz, gdy świętowali rocznicę współpracy; wieziono ich wtedy limuzyną z zaciemnionymi szybami. Było to po dwóch latach pobytu w Pradze.

- Postanowiłem przedstawić ci nowego, wspaniałego agenta, sir Magnusie - oznajmił Axel, gdy w doskonałych humorach wspinali się po serpentynach żwirowej drogi. - Twojej siatce okropnie brakuje porządnego źródła informacji przemysłowych. Amerykanie robią wszystko, by złamać naszą gospodarkę, a Firma nie robi nic, by im w tym dopomóc. Co byś powiedział na kogoś, kto jest jednym z pomniejszych dyrektorów w naszym wspaniałym Narodowym Banku Czechosłowacji, mającym dostęp do naszych najgorszych malwersacji?

- A gdzie to udało mi się go znaleźć? - zaproponował ostrożnie Pym, bo była to zawsze niebezpieczna decyzja, wymagająca w dodatku obfitej korespondencji z Centralą, by ta zgodziła się wreszcie wydać pozwolenie na nawiązanie kontaktu.

Oświetlony świecami w złotych świecznikach stół nakryto na trzy osoby. Dwaj panowie zdążyli już odbyć długi, niespieszny spacer po lesie, a teraz siedzieli przed rozpalonym kominkiem, popijali aperitif i czekali na gościa.

- Jak tam Belinda? - zapytał Axel.

Rzadko poruszali ten temat, bo Axel nie miał cierpliwości do nieudanych małżeństw.

- Świetnie, dziękuję. Jak zawsze.

- Bo nasze mikrofony mówią nam co innego. Podobno kłóćcie się dzień i noc. Nasi ludzie dostają przez was depresji.

- Powiedz im, że się poprawimy - powiedział Pym z rzadką u niego goryczą.

Pod zamek podjechał samochód. Usłyszeli odgłos kroków starego służącego i szcęk odsuwanych zasuw.

- Pozwól, że ci przedstawię twojego nowego agenta - powiedział Axel.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do komnaty wmaszerowała Sabina. Może trochę tęższa w biodrach, z paroma oficjalnymi

zmarszczkami wokół szczęki, ale była to jednak ta sama, cudowna Sabina. Miała na sobie poważną czarną sukienkę z białym kołnierzykiem i wielkie czarne półbuty, z których była chyba szczególnie dumna, bo miały czarne, błyszczące paski i połysk imitacji zamszu. Ujrawszy Pyma, stanęła jak wryta i popatrzyła na niego groźnie i podejrzliwie; przez chwilę jej postać była uosobieniem dezaprobaty. Nagle, ku jego radości, wybuchnęła swym wariackim, słowiańskim śmiechem i rzuciła się na niego całym ciałem, dokładnie tak jak rzucała się na niego w Grazu, gdy zaczynała uczyć go czeskiego.

I już, Jack. Sabina awansowała, awansowała, aż stała się szefem całej siatki, oczkiem w głowie swych kolejnych oficerów prowadzących, choć ty znałeś ją tylko albo jako Szefa, albo jako nieustraszoną Olgę Kravitsky, sekretarkę w praskiej Komisji Partyjnej do spraw Ekonomicznych. Jak zapewne pamiętasz, posłaliśmy ją do cywila, gdy spodziewała się trzeciego dziecka ze swym czwartym mężem, i z tej okazji wydaliśmy na jej cześć specjalne przyjęcie w Berlinie Zachodnim, gdy pojawiła się po raz ostatni na konferencji banków krajów RWPG w Poczdamie. Axel korzystał z niej jeszcze przez jakiś czas, po czym poszedł za twoim przykładem.

- Dostałem przeniesienie do Berlina - powiedział Pym Belindzie. Dla bezpieczeństwa musieli pójść do parku. Było to pod koniec drugiego kontraktu w Pradze.

- Czemu mi to mówisz? - powiedziała Belinda.

- Myślałem, że może ze mną pojedziesz - odpowiedział Pym. Belinda zaniósła się swoim zwykłym kaszlem, którego chyba się nabawiła z winy praskiego klimatu.

Nie pojechała z nim do Berlina. Wróciła do Londynu, zapisała się na wieczorowe studia dziennikarskie (więc nie na bezszelestne zabijanie) i w wieku trzydziestu siedmiu lat wstąpiła na niebezpieczną ścieżkę różnych modnych lewicowo - liberalnych akcji. Poznała w ten sposób serię różnych Paulów i w końcu wyszła za jednego z nich. Mieli jedną, trudną córkę, która krytykowała ją za wszystko, co z kolei sprawiło, że Belinda wreszcie pogodziła się ze swymi rodzicami. A dla Pyma z Axelem zaczął się kolejny etap ich wspólnej pielgrzymki. W Berlinie czekała ich bardziej świetlana przyszłość i dojrzała

zdrada.

Z listami emer. płk. Evelyn Tremaine Korpus Pionierów Skr.
poczt. 9077 Manila

Do

Jego Ekscelencji
sir Magnusa Richarda Pyma
Misja Brytyjska w Berlinie
Berlin

Najdroższy Synu!

Mam nadzieję, że mimo wspinania się na Szczyty Władzy znajdziesz chwilę, by przeczytać ten list, skoro nikt nie może oczekiwać wdzięczności, nim sianie przed Ojcem nas wszystkich, co spodziewam się uczynić już Wkrótce. Nauki Medyczne są tu na Etapie dość prymitywnym, ale wygląda na to, że obecne Okrutne lato będzie równocześnie Ostatnim piszącego te słowa, pomimo Poświęcenia Alkoholu i innych Używek Jeżeli zamierzasz Przysłać mi coś na Leczenie lub na Pogrzeb, czek wyślij na nazwisko pani Pułkownik, nie Moje, bo nasze nazwisko stało się wśród tubylców Persona non Gratis, A w ogóle to mogę już Nie Żyć.

Modląc się o cudowne ocalenie Rick T. Pym

PS Dowiaduję się, że złoto próby 916 chodzi w Berlinie za pół darmo i że Osoby Wysoko Postawione mają dostęp do Poczty Dyplomatycznej. Osoby takie mogłyby liczyć na nieoficjalne Wynagrodzenie. Perce Loft jest pod starym adresem, pomoże za dziesięć procent, ale uważaj na niego.

Berlin. Pełny garnizon szpiegów, Tom! Istna szafka na dokumenty pełna bezużytecznych tajemnic na sprzedaż! Cóż za pole do popisu dla każdego alchemika, cudotwórcy, szalbierza, gotowego okryć się szpiegowską peleryną i odwrócić twarz od nieprzyjemnych ograniczeń rzeczywistości politycznej! A w centrum tego wszystkiego bije wielkie i poczciwe amerykańskie serce, dzielnie wystukujące rytm pieśni o swobodzie, demokracji i wyzwaniu ciemnionych ludów.

W Berlinie Firma ma agentów od wszystkiego: od wpływania, od niszczenia, od podżegania, od sabotażu, od dezinformacji. Mieliśmy nawet jednego, a może i dwóch, którzy zajmowali się wywiadem, choć ci nie byli traktowani zbyt

poważnie; tolerowano ich bardziej z szacunku dla tradycji niż z powodu rzeczywistych zasług. Mieliśmy speców od tuneli i od przemytu, od werbowania i od szkolenia, od puszczania balonów i od spuszczenia powietrza z opon, od czytania z ruchu warg i od przebierania, fałszerzy i gońców, obserwatorów i uwodzicieli, morderców i szantażystów. Ale na każdego Brytyjczyka przypadało trzech Amerykanów, na każdego Amerykanina zaś pięciu energowców i dziesięciu Rosjan. Pym stanął wśród tych cudów jak dziecko w sklepie ze słodyczami, nie wiedząc, od czego zacząć. A za nim stał zawsze dyskretny Axel z koszykiem, bo Axel bywał w Berlinie częstym gościem dzięki niezliczonej liczbie fałszywych paszportów. Na melinach i w mrocznych restauracjach - nigdy dwa razy w tej samej - spotykaliśmy się na obiad czy kolację, spokojnie wymienialiśmy się towarami i patrzyliśmy na siebie z niedowierzającym zadowoleniem, z takim samym, z jakim patrzę na siebie wspinacze, gdy stają wreszcie na szczycie. Ale nawet wtedy nie zapominaliśmy o oczekującej nas jeszcze większej górze, ku której wznosiliśmy toasty wódką, szepcząc w blasku świec: „Za rok w Ameryce!”.

A te wszystkie komisje, Tom! W Berlinie chyba już brakło na nie miejsca, więc spotykaliśmy się w Londynie, w złoconych imperialnych komnatach godnych uczestników najważniejszej gry na świecie. Stanowiliśmy wspaniały, różnorodny, cudownie pomysłowy przekrój przez najcenniejsze warstwy naszego społeczeństwa - bo nadeszły czasy, by wyłuskać z muszli i zaprząć w służbę ojczyzny wszystkie jej ukryte talenty. Szpiedzy to przeżytek! - poszedł krzyk. To już zbyt kazirodcze! Berlin każe otworzyć drzwi do realnego świata profesorów, adwokatów i dziennikarzy. Potrzeba nam bankierów, związkowców i przemysłowców - ludzi, którzy znają wartość pieniądza i wiedzą, jak kręci się ten świat. I parlamentarzystów, bo ci wiedzą, jak się zachować na mównicy i gromić z niej o marnowaniu pieniędzy podatników!

I co robili ci mędracy, Tom, ci mądrzy, rzeczowi outsiderzy, ci stróże praw tajnej wojny? Pędzili tam, gdzie nawet szpiedzy bali się stąpać. Sfrustrowane ograniczeniami jawnego świata, te błyskotliwe, niezależne umysły zakochiwały się od pierwszego

wejrzenia w konspiracji, kanciarstwie i oszustwie.

- Wiesz, co teraz wymyślili? - Pym szalał z wściekłości, chodząc tam i z powrotem po dywanie w służbówce na Lowndes Square, wynajętej przez Axela na czas anglo - amerykańskiej konferencji poświęconej działaniom niejawnym.

- Spokojnie, sir Magnusie. Napij się jeszcze.

- Jak mam być spokojny, kiedy ci szaleńcy na serio zamierzają włączyć się w sowiecki system kontroli naziemnej, wciągając jakiegoś miga w amerykańską przestrzeń powietrzną, rozwalić go, a jeśli pilot przypadkiem przeżyje, dać mu do wyboru: albo proces o szpiegostwo, albo publiczne przejście na naszą stronę przed mikrofonami? I kto to wszystko wymyślił? Ekspert wojskowy „Guardiana”, na miłość boską! Przecież z tego będzie wojna, i o to mu chodzi, bo wreszcie miałby o czym pisać. Już popiera go siostrzeniec arcybiskupa Canterbury i zastępca dyrektora generalnego BBC!

Ale nawet gderanie Pyma nie mogło umniejszyć miłości Axela do Anglii. Przez okno firmowego fordka patrzył na Pałac Buckingham i cicho klaskał w dłonie na widok powiewającego na wietrze i oświetlonego reflektorami sztandaru brytyjskiego.

- Wracaj do Berlina, sir Magnusie. Tu będzie kiedyś powiewał inny sztandar, gwiazdzisty.

W Berlinie Pym zamieszkał w samym środku Kurfurstendamm, na najwyższym piętrze wielkiej biedermeierowskiej kamienicy, która jakimś cudem przeżyła wszystkie bombardowania. Sypialnię miał od strony ogrodu, więc nie słyszał zajeżdżającego samochodu. Usłyszał za to miękkie kroki na schodach i natychmiast przypomniała mu się Fremdenpolizei skradająca się po drewnianych schodach domu pana Ollingera ulubionym przez wszystkich policjantów świtem. Pym wiedział, że to koniec, choć nie zgadzało się to z żadnym z jego licznych wyobrażeń końca. Stary frontowiec czuje takie rzeczy i umie ufać przeczuciom, a przecież Pym był frontowcem do kwadratu. Wiedział więc, że to koniec; przyjął to spokojnie i bez paniki. Wskoczył z łóżka, w jedną sekundę popędził do kuchni, bo właśnie w kuchni trzymał rolki filmu czekające na następne spotkanie z Axelem. Nim tamci przycisnęli dzwonek, zdążył rozwinąć i prześwietlić sześć, po czym szybko wystukał

kod niszcarki ukrytej w nieprzemakalnym worku w rezerwarze.

Całkowicie świadomie akceptując swój los, zastanawiał się nawet nad czymś drastyczniejszym, bo w końcu Berlin to nie Wiedeń - jeden pistolet miał w szafce nocnej, drugi w szafie w przedpokoju. Ale dziwnie przepraszący ton wyszeptanego przez otwór na listy „Herr Pym, proszę się obudzić” sprawił, że zmienił zdanie. Zobaczywszy przez judasza dobroduszną postać porucznika Dollendorfa i młodego sierżanta, poczuł wstyd, że mógłby sprawić im taki szok. Czyli chcą wziąć mnie na grzeczność, pomyślał, otwierając drzwi. Najpierw rozstawia się młode wilki wokół domu, a potem posyła się kogoś sympatycznego pod drzwi.

Porucznik Dollendorf, jak większość ludzi w Berlinie, był klientem Jacka Brotherhooda i otrzymywał skromną pensyjkę za niezwracanie uwagi na agentów przerzucanych tam i z powrotem przez pewien bardzo przyjemny fragment Muru w jego rewirze. Był miłym Bawarczykiem pełnym wszelkich bawarskich apetytów, a w jego oddechu woniała nieodmiennie Weisswurst.

- Proszę nam wybaczyć, Herr Pym. Za to najście, i to takie późne - zaczął z szerokim uśmiechem. Był w mundurze, ale broni nie wyjął jeszcze z kabury. - Nasz Herr Kommandant prosi, by natychmiast udał się pan do niego w ważnej sprawie osobistej - wyjaśnił, wciąż nie dotykając pistoletu.

Głos Dollendorfa brzmiał stanowczo, choć było w nim też pewne zażenowanie; młody sierżant nie przestawał rozglądać się po klatce schodowej.

- Herr Kommandant zapewnia, że wszystko da się załatwić całkiem dyskretnie. Nie chce nadawać sprawie rozgłosu i nie skontaktował się jeszcze z pana przełożonymi - nalegał Dollendorf, bo Pym ciągle się wahał. - Herr Kommandant ma dla pana wiele szacunku.

- Muszę się ubrać.

- Tylko proszę szybko, jeśli pan łaskaw. Herr Kommandant chciałby załatwić sprawę przed zdaniem dyżuru.

Pym odwrócił się i ostrożnie ruszył w stronę sypialni. Spodziewał się, że pójdą za nim albo że każą mu zostać, ale

obaj policjanci woleli zostać w holu i podziwiać grafiki z londyńskimi krzykaczami ulicznymi, otrzymane dzięki uprzejmości działu logistyki Firmy.

- Czy mogę skorzystać z telefonu, Herr Pym?

- Proszę bardzo.

Ubierał się przy otwartych drzwiach, licząc, że usłyszy rozmowę. Ale Dollendorf powiedział tylko: „Wszystko w porządku, Herr Kommandant. Już jedzie”.

Zeszli rzędem po szerokich schodach do zaparkowanego samochodu policyjnego z migającym kogutem. Poza tym ulica była pusta, nie było nawet zdarzających się o tej porze nocnych marków. Jakie to niemieckie - oczyścić całą dzielnicę przed aresztowaniem. Pym siadł z przodu obok Dollendorfa, spięty sierżant - z tyłu. Padał deszcz, dochodziła druga w nocy. Czerwone niebo kryło się w czarnych chmurach. Nikt już nic nie mówił.

A na komisariacie będzie czekał Jack. Albo żandarmeria. Albo Bóg.

Komendant wstał na powitanie. Dollendorf z sierżantem gdzieś zniknęli. Herr Kommandant uważał się za człowieka arcysubtelnego. Był wysoki, siwy, kościsty, miał przenikliwe oczy i wąskie usta, które działały z autodestrukcyjną szybkością. Wrócił na krzesło, odchylił się do tyłu i złączył palce dłoni. Zaczął mówić. Mówił monotonnym, cierpiętniczym głosem do rysunku swej rodzinnej miejscowości w Prusach Wschodnich, wiszącego na ścianie za głową Pyma. Mówił tak, przynajmniej według rachuby Pyma, przez jakieś sześć godzin, nie robiąc przerwy chyba nawet na zaczerpnięcie oddechu. To przemówienie było jednak dla pana komendanta tylko szybką rozgrzewką przed właściwą rozmową. Herr Kommandant oświadczył, że jest człowiekiem światowym, ale i rodzinnym, i doskonale rozumie „sferę intymną” człowieka. Pym powiedział, że szanuje jego poglądy. Herr Kommandant wyznał, że nie chce nikogo pouczać, że nie zajmuje się polityką, choć jest chrześcijańskim demokratą. I ewangelikiem, ale może Pym być pewny, że nie ma nic przeciwko katolikom. Pym powiedział, że wcale go to nie dziwi. Herr Kommandant stwierdził, że przestępstwo może być i zaplanowaną z premedytacją zbrodnią, i zwykłym ludzkim

błędem. Pym znowu się zgodził i usłyszał kroki na korytarzu. Herr Kommandant bardzo prosił Pyma, by ten wziął pod uwagę, że cudzoziemcy w obcym kraju czują często fałszywe poczucie bezkarności, gdy rozważają popełnienie czynków, które ściśle rzecz biorąc, należałoby potraktować jako naruszenie prawa.

- Czy mogę być szczerzy, Herr Pym?

- Ależ oczywiście - powiedział Pym, który w tym momencie miał straszliwe przeczucie, że aresztowano nie jego samego, lecz Axela.

- Kiedy go do mnie przyprowadzono, popatrzyłem na niego, wysłuchałem, co ma do powiedzenia, i stwierdziłem: „Nie, to niemożliwe. Nie może chodzić o naszego Herr Pyma. Ten człowiek to oszust, który powołuje się na ważną osobistość”. Ale gdy posłuchałem go jeszcze przez chwilę, wyczułem w nim coś... jakby... natchnienie. Jakąś energię, inteligencję i, nie przeczę, pewien wdzięk. Pomyślałem więc, że może rzeczywiście człowiek ten jest tym, za kogo się podaje. I że wyjaśnić to może tylko Herr Pym. - Dotknął przycisku dzwonka na biurku. - Czy mogę skonfrontować go z panem, Herr Pym?

Pojawił się stary klawisz. Podreptał przed nimi korytarzem z malowanej cegły, w którym śmierdziało karbolem. Otworzył kratę, zamknął ją za nimi, otworzył następną. Pierwszy raz widziałem Ricka w więzieniu, Tom, i od tego czasu dobrze pilnowałem, żeby więcej to się nie powtórzyło. Później Pym posyłał mu wszystko: jedzenie, ubranie, cygara, a kiedy był w Irlandii, również whisky Drambuie. Posyłał mu wszystko, co miał; gdyby był milionerem, wolałby sam zbankrutować, niż znowu zobaczyć ojca za kratkami, choćby tylko w wyobraźni. Rick siedział w samym rogu i Pym wiedział od razu, że to po to, by widzieć jak największy fragment celi, bo od kiedy go znałem, Rick zawsze pragnął więcej miejsca, niż dał mu go dobry Bóg. Siedział z wysuniętą do przodu głową, z obrażoną miną aresztanta i mogę się założyć, że siłą woli wyłączył sobie słuch - nie słyszał więc, że nadchodzimy.

- Tato - powiedział Pym. - To ja.

Rick podszedł do krat i wyciągnął ku niemu ręce i twarz. Popatrzył najpierw na Pyma, potem na komendanta i klawisza, niepewny, w jakim charakterze jest tu jego syn. Był jakby senny i

w złym humorze.

- To ciebie też zgarnęli, co, synu? - powiedział, jak sędzę, nie bez pewnej satysfakcji. - Zawsze wiedziałem, że tak się to skończy. Trzeba było przyłożyć się do prawa, jak ci mówiłem. - Powoli jednak orientował się w sytuacji. Klawisz otworzył drzwi, dobrotliwy komendant powiedział: „Proszę bardzo, Herr Pym”, i usunął się, by zrobić Pymowi przejście. Pym podszedł do Ricka i objął go, choć ostrożnie, na wypadek gdyby był bity i obolały. Rick zaczął stopniowo odzyskiwać tupet.

- Na miłość boską, stary, co oni ze mną wyprawiają? To uczciwy człowiek nie może już nawet porobić interesów w tym kraju? Widziałeś, czym mnie tu karmią, nic tylko wursty i wursry! To po to płacimy podatki? Po to wygraliśmy wojnę? Co z tego, że mój syn rządzi Ministerstwem Spraw Zagranicznych, skoro te niemieckie dranie nie odczepią się od jego starego?

Ale teraz uścisk Pyma był już klasycznym niedźwiadkiem. Pym klepał Ricka po ramionach, mówił, jak się cieszy, że go widzi, choćby i w takich okolicznościach. Po chwili Rick też się rozplakał, więc Herr Kommandant dyskretnie wycofał się, a dwaj najlepsi przyjaciele dziękowali sobie nawzajem za ratunek.

Nie chcę ci sprawić zawodu, Tom, ale naprawdę zapomniałem - może świadomie - szczegółów na temat berlińskich transakcji Ricka. I nic w tym dziwnego, skoro Pym szedł na policję, myśląc, że to jego, nie Ricka, będą wkrótce sądzić. Pamiętam tylko, że chodziło o jakieś siostry z dobrej pruskiej rodziny, mieszkające w starym domu w Charlottenburgu, bo Pym musiał pojechać do nich, by zapłacić za obrazy, które wziął im w komis Rick, za diamentową broszkę, którą Rick wziął do oczyszczenia, i za futra, wzięte przez Ricka do przeróbki u swego znajomego, pierwszorzędnego krawca, który z czystej sympatii zgodził się zrobić to za darmo. I jeszcze przypominam sobie, że starsze panie miały nieuczciwego siostrzeńca, zamieszanego w podejrzone interesy z bronią, i że w którymś momencie całej tej historii Rick sprzedawał samolot - najlepszy i najlepiej zachowany myśliwiec bombardujący, jaki można sobie wyobrazić, jak spod igły tak wewnątrz, jak na zewnątrz. I wiem jedno: odmalowaniem miała zająć się firma Balham z Brinkley, liberałowie z dziada pradziada.

Również w Berlinie, Tom, Pym zalecał się do twojej matki, i właśnie w Berlinie odbił ją ich wspólnemu szefowi, Jackowi Brotherhoodowi. Nie jestem pewien, czy masz prawo, czy w ogóle ktokolwiek ma prawo wiedzieć, przez jaki zbieg okoliczności znalazł się na świecie, ale zrobię co w mojej mocy. Nie przeczę, że Pymem kierowała do pewnego stopnia przekora. Miłość, ile jej w tym było, przyszła później.

- Wygląda na to, że Jack Brotherhood i ja jesteśmy szwagry - zauważył figlarnie Pym, gdy któregoś dnia rozmawiali z Axelem z budki do budki.

Axel natychmiast zażądał informacji o osobie szczęśliwej wybranki.

- Szycha - powiedział tym samym tonem Pym. - Jedna z nas. I z establishmentu kościelno - szpiegowskiego, jeśli coś ci to mówi. Związki jej rodziny z Firmą sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy.

- Mężatka?

- Wiesz przecież, że nie sypiam z mężatkami, chyba że okropnie im na tym zależy.

- Jest zabawna?

- Axel, rozmawiamy o damie.

- Miałem na myśli, czy umie się zachować w towarzystwie - zniecierpliwził się Axel. - Czy byłaby z niej dobra dyplomatyczna gejsza? Czy jest burżujką? Czy spodobałaby się w Ameryce?

- Axel, to super Marta. Przecież ci mówiłem. Piękna, bogata, okropnie angielska.

- To może posłuży ci za bilet do Waszyngtonu? - powiedział Axel, który ostatnio wyrażał zaniepokojenie liczbą przypadkowych kobiet przewijających się przez życie Pyma.

Wkrótce później Pym otrzymał podobną radę od wujka Jacka.

- Magnus, wiem od Mary, co zaszło między wami - powiedział Jack, wzięwszy Pyma na stronę jak dobrotliwy wujaszek. - Moim zdaniem nie mogłeś trafić lepiej. To jedna z najlepszych dziewczyn, jakie mamy. Najwyższy czas, żebyś się ustatkował.

I tak Pym, popychany w tym samym kierunku przez obu swych duchowych przywódców, poszedł za ich radą i wziął

sobie swoją matkę, Mary, za żonę i ślubował jej przed ołtarzem sojuszu anglo - amerykańskiego miłość, wierność i uczciwość małżeńską, oraz że jej nie opuści aż do śmierci. I prawdę mówiąc, w porównaniu z ofiarami, które poczynił do tej pory, ta wcale nie wydawała się szczególnie bolesna.

Nie daj go skrzywdzić, Jack - napisał Pym. - Bo on jest moim największym skarbem.

Przebacz mi, Mary - napisał Pym. - Przebacz mi, kochana Mary. Jeżeli miłość jest tym, co jeszcze można zdradzić, pamiętaj, że zdradzałem Cię przez wiele, wiele dni.

Zaczął pisać do Kate, przerwał, podarł kartkę. Wziął nową, napisał na niej „Najdroższa Belindo” i znowu przerwał, przestraszony panującą wokół ciszą. Szybko spojrzął na zegarek. Pięta. Czemu dzwon nie bije? Ogłuchłem. Umarłem. Siedzę w wytłumionej celi. Z drugiej strony placu dobiegło pierwsze uderzenie dzwonu. Raz. Dwa. Mogę to przerwać w każdej chwili, pomyślał sobie. Na raz, na dwa, na trzy. Mogę zatrzymać każdą minutę godziny. Nie mogę za to sprawić, że o północy zabije raz, bo to boża sztuczka, nie moja.

Pym był teraz wstrząsająco spokojny - spokojem śmierci. Znow stał przy oknie i patrzył, jak wiatr popycha liście po pustym placu. Wszystko, co widział, naznaczone było piętnem złowróbnego bezruchu. Nie widział ani jednej głowy w oknie, ani jednych otwartych drzwi. Żywego psa, kota, wiewiórki, ani jednego kwilącego dziecka. Wszyscy uciekli do lasu, bo zaraz przyplyną piraci. Ale w głowie widzi co innego: mieszkanie w suterenie obscurnego biurowca w Cheapside, w którym dwie podniszczone ślicznotki klęczą przed stertą ostatnich akt Ricka i śliniąc palce, rozrywają koperty. Na ziemi wokół nich leży coraz więcej papieru, kartki wirują w powietrzu jak płatki kwiatów, bo im żarłoczniej szukają, tym bardziej nie znajdują nic interesującego: same wyciągi bankowe pisane krwią, rachunki, listy od wściekłych adwokatów, nakazy, wezwania, pełne wyrzutów listy miłosne. Kurz nappełnia nozdrza przyglądającego się tej scenie Pyma, trzaskanie stalowych szuflad przypomina odgłos zatraskających się więziennych krat, ale ślicznotki nie zważają już na nic, są chciwymi wdowami, które chcą coś z tego mieć. W środku tej ruiny stoi Ricka ostatnie biurko z jego

ostatniej Kancelarii Rzeszy - wężę wiją się wokół masywnego drewna jak złożone podwiązki. Na ścianie wisi ostatnie zdjęcie wielkiego Thomasa Pyma w stroju burmistrzowskim, na kominku zaś, nad paleniskiem pełnym imitacji węgla i ostatnich niedopalonych cygar Ricka, pyszni się brązowe popiersie samego Założyciela i Dyrektora, uśmiechającego się resztkami uczciwości i honoru. Na otwartych drzwiach za plecami Pyma wciąż jeszcze tkwi pamiątkowa tabliczka ku czci ostatnich dwunastu przedsiębiorstw Ricka, ale przy dzwonku jest już tylko napis „Proszę dzwonić po obsługę”, bo Rick, gdy nie ratował upadającej gospodarki kraju, był nocnym stróżem w biurówcu.

- O której umarł? - mówi Pym i zaraz przypomina sobie, że przecież już to wie.

- Wieczorkiem, kochany. Właśnie otwierali puby - mówi jedna ze ślicznotek, trzymając papieros w ustach i rzucając na stos kolejny plik papierów.

- Akurat sobie nalał kieliszek tu obok - dodaje druga, podobnie jak jej koleżanka nie przerywając ani na chwilę pracy.

- Tu obok, czyli gdzie? - mówi Pym.

- W sypialni - mówi pierwsza ślicznotka i odrzuca kolejną teczkę.

- To kto z nim był? - pyta Pym. - Pani? Kto z nim był?

- Obie z nim byłyśmy, kochany - mówi druga. - Trochęśmy się przytulali, jeśli o to chodzi. Tata lubiał się napić, a jak się napił, to zawsze zbierało mu się na amory. Przez te swoje obowiązki musiał jeść wcześnie, więc na kolację mieliśmy befsztyczek z cebulką, potem chwilę pogadał z telekomunikacją, chodziło o jakiś czek, co im wysłał. Trochę był nie w sosie, no nie, Vi?

Pierwsza ślicznotka dość niechętnie przerywa swe dzieło, druga też. Nagle obie stają się porządnymi Angielkami o miłych twarzach i nieco opuchniętych, spracowanych ciałach.

- Bo to był koniec, kochany - mówi pierwsza, odgarniając wierzchem pulchnej dłoni kosmyk włosów.

- Jaki koniec?

- Sam powiedział. Że jak mu zaborą telefon, to będzie z nim koniec. Że telefon to jego lina ratunkowa, że jak nie będzie miał telefonu, to znaczy, że przyszła jego ostatnia godzina, bo jak

prowadzić biznes, jak się nie ma telefonu i czystej koszuli?

Biorąc milczenie Pyma za wymówkę, jej koleżanka zaczyna na niego krzyczeć.

- No, nie patrz tak na nas, kochany. Przecież ostatnio to my za wszystko buliłyśmy: za gaz, za prąd... Gotowałyśmy mu... Nie, Vi?

- Robiłyśmy, co się dało. I pocieszałyśmy go, jak mogłyśmy.

- Więcej, niż wypadało, nie, Vi? Czasem po trzy razy na dzień.

- Albo i więcej - mówi Vi.

- Jakie to szczęście, że was miał - mówi szczerze Pym. - Bardzo dziękuję, że tak się panie nim zajęły.

To sprawia im przyjemność. Uśmiechają się nieśmiało.

- Słuchaj no, kochany, a nie masz ty przypadkiem jakiej butelki w tej twojej ślicznej teczce?

- Niestety nie.

Vi idzie do łazienki. Przez otwarte drzwi do sypialni Pym widzi wielkie łóżce z Chester Street, z podartą i poplamioną tapicerką. Na narzucie leży w nieładzie jedwabna piżama Ricka.

Czuje zapach płynu do ciała i pomady Ricka. Vi wraca z butelką drambuie.

- Czy mówił coś o mnie ostatnio? - pyta Pym, gdy one wzmacniają się trunkiem.

- Był z ciebie dumny, kochany - mówi koleżanka Vi. - Jeszcze jak! - Z jakiegoś powodu nie jest do końca zadowolona z wypowiedzi. - Tylko że zamierzał ci dorównać, wiesz? Właściwie to były jego ostatnie słowa, nie, Vi?

- Trzymałyśmy go w ramionach - mówi Vi i pociąga nosem. - Widać było po tym, jak oddychał, że się kończy. „Powiedźcie telekomunikacji, że im przebaczyłem”, mówi. „A mojemu Magnusowi powiedźcie, że niedługo obaj będziemy ambasadorami”.

- A potem? - mówi Pym.

- „A teraz daj mi jeszcze napoleona, Vi” - mówi, już w chusteczkę, Vi. - Może wcale by nie umarł, gdyby nie to jego serce.

Szelest przy drzwiach. Trzykrotne pukanie. Vi najpierw uchyla drzwi, potem otwiera je całkiem i cofa się z dezaprobatą.

Wchodzą Ollie i pan Cudlove, każdy z wiaderkiem lodu. Czas nieco zszargał nerwy Olliego - w kącikach oczu rozmazuje mu się makijaż. Ale pan Cudlove nic się nie zmienił, nie zmienił nawet swego szoferskiego czarnego krawata. Przekłada wiaderko pod lewą pachę, prawicą chwyta dłoń Pyma w męski uścisk. Pym idzie za nimi wąskim korytarzem obwieszonym zdjęciami „niezwycięzców”. Rick leży w wannie, przykryty ręcznikiem przez środek ciała, z nogą założoną na nogę, jakby zgodnie z jakimś wschodnim rytuałem. Dłonie ma podwiniete, palce każdej - złączone, jakby już gotował się do bronienia swych racji przed Stwórcą.

- Tylko cienko z forszą, proszę pana - mruczy pan Cudlove, podczas gdy Ollie wysypuje lód. - Szczerze mówiąc, nigdzie ani pensa. Może te panie mogą nam coś powiedzieć na ten temat...

- Czemu nikt nie zamknął mu oczu? - pyta Pym.

- Zamykaliśmy, proszę pana, ale same się otwierały, a nie chcieliśmy na siłę.

Pym klęka przy ojcu na jedno kolano, wypisuje czek na dwieście - funtów, nie dolarów, o mało się nie pomylił.

Jedzie na Chester Street. Dora już wiele lat temu przeszedł w inne ręce, ale dziś znów pogrążony jest w ciemnościach, zupełnie jak wtedy, gdy oczekiwał nadejścia komornika. Pym zbliża się ostrożnie. Na progu, mimo deszczu, pali się znicz. Obok niego, jak martwe zwierzę, leży stare żałobne boa, trochę takie, jak to ciotki Nell, którego użył do zatkania umywalki w Glades. A może było Dorothy? A może Peggy Wentworth? Może położyło je tu dla zabawy jakieś dziecko? A może duch Lippsie? Do zmoczonych piórek nie przyczepiono żadnej kartki, nie widać też na nich sekwestratorskich pieczęci. Jediną poszlaką jest wypisane kredą i drżącą ręką na drzwiach słowo „Tak” - jak znak alarmowy w terenie.

Pym odwrócił się plecami do opustoszałego placu, gniewnie przeszedł do łazienki i otworzył okienko w dachu, które wiele lat temu zamalował zieloną farbą dla większego poczucia przyzwoitości panny Dubber. Przez szparę obrzucił wzrokiem ogródki z tej strony domu i uznał, że i one są nienaturalnie puste. Pod numerem 8 zniknął Stanley, owczarek alzacki, przywiązany zwykle do starej wanny, służącej do zbierania

deszczówki. Nie widział też pani Aitken, żony rzeźnika, która każdą chwilę spędza przy różach. Z hukiem zatrzasnął okno, nachylił się nad umywalką, przemył twarz i zaczął robić miny do swej twarzy w lustrze, aż pojawił się na niej promienny, fałszywy uśmiech. Najszczęśliwszy z uśmiechów Ricka, ten, który przytula się do człowieka jak małe dziecko. Ten, którego Pym nienawidził najbardziej.

- Fajerwerki, stary - mówi Pym, przedrzeźniając Ricka. - Pamiętasz, jak zawsze lubileś fajerwerki? Pamiętasz, jak kiedyś w Ascot pisały po niebie inicjały twojego starego? No?

No, powtarza w duchu Pym.

Pym pisze znowu. Z radością. Tego nie wytrzyma żadne pióro. Wolne literki rozpelzają się po całej kartce. Nad głową przelatują mu świetliste smugi, race, śmigają na wietrze gwiaździste sztandary. Wokół rozlega się muzyka tysięcy tranzystorów, wszędzie śmieją się do niego twarze obcych, on śmieje się do nich. Czwartą lipca, najpiękniejsza noc w Waszyngtonie. Dyplomatyczni Pymowie są tu od tygodnia; Pym obejmuje stanowisko zastępcy szefa placówki. Berlińską wyspę nareszcie pochłonęły wody, Pymowie mają już za sobą Pragę, Sztokholm i Londyn. Droga do Ameryki nie była łatwa, ale Pym się nie zraził, Pym pokonał wszystkie przeszkody i teraz niemal unosi się w górę, w poczerwieniałą ciemność, co chwila rozpalaną do białości reflektorami i fajerwerkami. Wszędzie wokół przelewa się tłum, Pym jest teraz jego częścią, przyjęty do grona wolnych ludzi świata. Jest teraz jednym z tych dorosłych, szczęśliwych dzieci, świętujących swą niepodległość od rzeczy, które nigdy ich nie niewoliły. Skutecznie zaleca się do Pyma orkiestra marines, chór chłopięcy z Breckenridge i mieszany z Metropolitan. Przyjęcia na cześć Mary i Magnusa wydają kolejno prawie wszystkie szczyty wywiadu z Georgetown, w ogrodach za murami z czerwonej cegły je się przy świecach mieczniki, konwersuje pod zawieszonymi w gałęziach drzew lampami, obejmuje się i jest się obejmowanym, ścisza się dłonie, napycha się głowę nazwiskami, plotkami, szampanem. Magnus, tyle o tobie słyszałem! To co, Magnus, teraz robimy razem? To twoja żona? Jezu, ale laska! Powinni tego zabronić! Wreszcie Mary, niespokojna o Toma - za bardzo przejął się

fajerwerkami - woli wrócić do domu razem z Bee Lederer.

- Ja też niedługo wrócę, kochanie - szepcze jej na odchodnym Pym. - Muszę jeszcze wpaść do Wexlerów, bo inaczej pomyślą, że ich unikam.

Gdzie ja jestem? Na Mall? Na Kapitolu? Pym nie wie. Z wyraźną przyjemnością ocierają się o niego nagie ramiona, uda i nieskrępowane piersi młodych Amerykanek. Przyjazne ręce robią mu przejście; upalna noc pęka w szwach od śmiechu, dymu trawki, hałasu. „Jak się masz? Anglik? Dawaj grabę! No, napij się!”. Pym dodaje łyk bourbona do i tak już dość wybuchowej mieszanki w brzuchu. Idzie pod górę, sam już nie wie, czy po trawniku, czy po asfalcie. Błyszczą przed nim Białe Domy. Blżej sterczy wzwiedzona w górę i oświetlona reflektorami iglica Washington Monument, skierowana wprost w nieosiągalne gwiazdy. Po obu stronach Pyma wyrastają dwaj papieże: Jefferson stoi, Lincoln siedzi. I Pym kocha ich obu. Należy do wszystkich patriarchów, ojców założycieli Ameryki. Dochodzi na szczyt wzgórza, jakiś Murzyn częstuje go popcornem, słonym i gorącym jak Pymowy pot. Dalej w dolinie nieszkodliwe bitwy innych fajerwerków wybuchają i rozlewają się po niebie. Tu tłum jest jeszcze gęstszy, ale wszyscy uśmiechają się do niego, robią mu przejście, nie przestając zachwycać się fajerwerkami, zapewniać się nawzajem o przyjaźni, intonować patriotyczne pieśni. Jakaś ładna dziewczyna kusi go: „Ej, facet, chodź, zatańcz se!”. „Dziękuję, z przyjemnością, tylko zdejmę marynarkę, chwileczkę”, odpowiada Pym. Jego odpowiedź jest za długa, dziewczyna już znalazła innego partnera. Pym zaczyna krzyczeć. Za pierwszym razem jeszcze się nie słyszy, ale gdy znajduje cichsze miejsce, jego głos zdumiewa go swą wyrazistością. „Stokrotko! Stokrotko! Gdzie jesteś?”. Dobrzy ludzie przychodzą mu z pomocą, już podchwycili jego wołanie: „Stokrotka, chodź no tu, tu jest twój chłopak!”. „No, Stokrotka, ty cholero, gdzie się szlajasz?”. Z tyłu i nad głową fajerwerki rozpryskują się niewyczerpaną fontanną na tle wirujących szkarłatnych chmur. Otwiera się nad nim złoty parasol, który obejmuje całe białe wzgórze i oświetla pustoszejącą ulicę. Pymowi w głowie brzęczą z oddali instrukcje, zaczyna odczytywać numery ulic i domów. Znajduje wreszcie właściwe

drzwi i w ostatecznym przyplýwie radości czuje chwytającą go za przegub dobrze znaną, kościstą dłoń, słyszy dobrze znany, napominający go głos.

- Twoja Stokrotka dziś nie przyjdzie, sir Magnusie - mówi cicho Axel. - Więc może przestałbyś się tak wydzierać?

Siedzą ramię w ramię na schodach Kapitolu i patrzą w dół na Mall, na niezliczone tysiące ludzi, których wzięli w opiekę. Axel ma koszyk z termosem lodowatej wódki i najlepsze ogórki i ciemny chleb, jakie można dostać w Ameryce.

- Udało się nam, sir Magnusie - szepcze. - Jesteśmy w domu.

Najdroższy Tato!

Z przyjemnością donoszę Ci o moim nowym stanowisku. Radca ds. kultury może nie brzmi zbyt efektownie, ale tytuł ten jest tu otoczony szacunkiem w najwyższych sferach. Bywam dzięki temu w Białym Domu i jestem dumnym posiadaczem tzw. przepustki kosmicznej, przed którą otwierają się praktycznie wszystkie drzwi.

Rozdział 17

Wielkie nieba, Tom, co to była za bycza zabawa! Taki cudowny, beztroski, ostatni miesiąc miodowy - choć na horyzoncie już zbierały się chmury!

Pewnie myślisz, że obowiązki zastępcy kierownika placówki mają mniejsze znaczenie niż obowiązki szefa. Jesteś w błędzie. Szef placówki waszyngtońskiej spaceruje po wyżynach dyplomacji wywiadowczej, jego zadaniem jest masować ciało sojuszu anglo - amerykańskiego i przekonywać wszystkich, również siebie, że ciało żyje, ma się dobrze. Biedny Hal Tresider budził się skoro świt, wziął przepocony tropikalny garnitur oraz stary krawat swej elitarnej szkoły i dzielnie ciągnął swój wózek do bajkowej krainy sal konferencyjnych, dzięki czemu twój tata mógł zupełnie spokojnie plądrować akta placówki, nadzorować przedstawicielstwa w San Francisco, Bostonie i Chicago albo gościć agentów jadących w teren do Ameryki Środkowej, Chin czy Japonii. Do niego należało też oprowadzanie bladych angielskich mózgowców po wylęgarniach amerykańskiej

technologii, gdzie rozmnażają przez sztuczne zapłodnienie tajemnice naukowe sprzedawane potem w Waszyngtonie. I branie biedaków na kolacyjki, Tom, bo kto inny kazałby im gnić wieczorami po motelach. Pocieszanie ich, pozbawionych kobiet, na tym źle opłacanym wygnaniu. Swobodne pogawędki z nimi w naprędce wkuwanym żargonie o głowicach, promieniu skrętu, łączności podwodnej i udźwigach. Pożyczanie od nich ich dokumentów i zwracanie następnego dnia rano. „O, to interesujące. Mogę dać rzucić okiem naszemu attache wojskowemu? Bo on od lat dobija się o to do Pentagonu, a oni nic”.

I rzucał okiem attache wojskowy, rzucał Londyn i Praga - żeby było sprawiedliwie.

Biedny, solidny, porządny Hal! Z jaką sumiennością Pym nadużywał jego zaufania i torpedował jego niewinne ambycyjki! No nic, jeżeli nie zechcą go teraz w Narodowym Centrum Kultury, zawsze może liczyć na Królewski Automobilklub albo będącą aktualnie w łaskach Firmy firmę w City.

- Słuchaj no, Pymciu, za miesiąc ma tu być jakaś banda fizyków, chcą zwiedzać Instytut Zbrojeniowy imienia Livermore'a - mówił z pełnym szacunkiem i przepraszącą. - Dałbyś radę tam się przejechać, zająć się nimi, przypilnować, żeby nie wycierali nosów w obrusy, te rzeczy? Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego mamy zawracać sobie głowę takimi pierdołami, przecież do tego wystarczyłoby paru ochroniarzy. Jak będę miał wolną chwilę, zaraz wysmażę na ten temat list do Londynu.

Nie ma innego kraju, w którym łatwiej szpiegować, Tom! Żaden naród nie ma mniejszego poszanowania dla własnych tajemnic państwowych, żaden nie ujawnia ich, nie dzieli się nimi i nie zapomina o nich tak szybko, jak właśnie Amerykanie. Jestem za młody, by wiedzieć, czy dawniej Amerykanie byli w tych sprawach bardziej powściągliwi, ale myślę, że nie. Szczyt wszystkiego nastąpił po roku 1945, bo informację, która dziesięć lat temu kosztowałaby organizację Axela tysiące dolarów w cennych dewizach, już w połowie lat siedemdziesiątych można było wyczytać w „Washington Post”. Od czasu do czasu mogłoby to nas denerwować, gdybyśmy byli małostkowi, bo nie

ma dla szpiega nic gorszego niż zdobycie supertajnej informacji dla Londynu czy Pragi tylko po to, by przeczytać o niej tydzień później w ogólnodostępnym tygodniku specjalistycznym. Ale myśmy się nie skarżyli. W wielkim sadzie amerykańskiej technologii jabłek z drzewa starczy dla każdego, i już nigdy nikomu niczego nie zabraknie.

Teraz zostały mi jeszcze drobne obrazki, ostatnie kawałki do twojej mozaiki. Patrz: dwaj przyjaciele bawią się pod ciemniejącym niebem, chcąc uchwycić ostatnie promienie słońca, nim zabawa skończy się na dobre. Patrz: kradną jak dzieci, choć wiedzą, że za rogiem czeka już policja. Mimo pięknych fajerwerków na Czwartego Lipca, Pym nie od razu polubił Amerykę, a pokochał ją dopiero dzięki Axelowi. Bez Axela pewnie w ogóle nie doznałby tego olśnienia. Wyobraź sobie, że Pym wyruszył za ocean zdecydowany krytykować wszystko, co zobaczy. Nowy Świat był dla niego za młody, zbyt pozbawiony autorytetu. Nie znajdował w nim żadnego punktu zaczepienia, żadnej surowej ideologii, przeciwko której mógłby się buntować. Ci prości hedoniści, tak szczerzy i hałaśliwi, byli zbyt otwarci w porównaniu z jego skrytą, introwertyczną egzystencją. Zbyt otwarcie kochali swój dobrobyt, zbyt byli elastyczni i ruchliwi, zbyt uniezależnieni od miejsca, pochodzenia i klasy społecznej. Nie mieli owego poczucia wielkiej ciszy, która całe życie towarzyszyła w tle wszelkim działaniom Pyma. To prawda, że w różnych komisjach zachowywali się odpowiednio, to znaczy stawali się wojowniczymi książątkami europejskich krajów, z których uciekli przed takimi właśnie wojowniczymi książątkami. Potrafili zmajstrować intrygę, której nie powstydziliby się średniowieczni Wenecjanie; potrafili być uparci jak Holendrzy, ponurzy jak Skandynawowie, krwiożerczy i skłóćeni jak ludy bałkańskie. Ale w większej grupie stawali się na nowo gadatliwymi, rozbrajającymi Amerykanami i Pym nie umiał znaleźć niczego, co by mógł zdradzić.

Czemu nic mu nie zrobili? Czemu nie zakuli go w dyby, czemu go nie maltretowali psychicznie, czemu nie łamali go kołem? Pym zaczynał tęsknić za pustymi, mrocznymi uliczkami Pragi i kojącym dotykiem łańcuchów. Chciał wrócić do swej

okropnej szkoły i w ogóle chciał wszystkiego, tylko nie tych wspaniałych horyzontów, prowadzących do tego, czego nie było mu dane przeżyć. Pragnął szpiegować choćby tę nadzieję, przez dziurki od klucza podglądać wschód słońca i zaprzeczać istnieniu wszystkiego, co przeszło mu koło nosa. A cały czas, jak na ironię, chodziła za nim Europa. Zdawał sobie z tego sprawę; i on, i Axel. Nie minął rok, gdy do ich uszu doszły pierwsze podejrzliwe szept, ale właśnie to memento mon sprawiło, że Pym porzucił wszelką rezerwę i zaczął grać pierwsze skrzypce dokładnie wtedy, gdy Axel mówił: „Dość, zabieramy się”. Niestety, Pyma ośwładnęła jakaś niezrozumiała wdzięczność dla Ameryki Sprawiedliwej i jej nieuchronnej zemsty, która coraz bardziej zbliżała się ku niemu jak zamyślony, zadziwiony olbrzym, ściskający w swej wielkiej miękkiej pięści mnożące się dowody zdrady.

- Pewne szczyty w Langley i w Londynie zaczynają węszyć wokół naszych siatek, sir Magnusie - ostrzegł go Axel swą twardą, suchą angielszczyzną podczas kryzysowego spotkania na parkingu stadionu Roberta Kennedy'ego. - Zaczęli dopatrywać się pewnych nieprzyjemnych prawidłowości.

- Jakich prawidłowości? Nie ma żadnych prawidłowości.

- Zauważyli, że czeskie siatki dostarczają lepszych informacji, kiedy my je prowadzimy, a gorsze, kiedy kto inny. Taka jest prawidłowość. Teraz mają komputery. Wystarczy pięć minut, żeby odwrócić wszystko do góry nogami i zastanowić się, gdzie tak naprawdę jest góra, a gdzie dół. Byliśmy nieostrożni, sir Magnusie. I zbyt pazerni. Nasi rodzice mieli rację: jak czegoś bardzo chcesz, musisz zrobić to sam.

- Jack Brotherhood może prowadzić je równie dobrze jak my. Podstawowi agenci są autentyczni, donoszą o wszystkim, co im wpadnie w łapy. Każda siatka od czasu do czasu zamiera, to normalne.

- Ale nasze zamierają tylko wtedy, gdy my przestajemy się nimi zajmować, sir Magnusie - powtórzył cierpliwie Axel. - W Langley to zauważyli. I to ich zaniepokoiło.

- No to trzeba podesłać siatkom lepszy materiał. Daj znać do Pragi, powiedz szychom, że przydałaby się jakaś sensacja.

Axel pokręcił głową ze smutkiem.

- Wiesz, jak jest w Pradze, sir Magnusie. Znasz moje szychy. Zawsze spiskują przeciwko nieobecny. Nie przekonam ich.

Pym spokojnie zastanowił się nad jedynym wyjściem, jakie mu zostało. Podczas proszonej kolacji w ich eleganckim domu w Georgetown Mary grała rolę gościnnej pani domu, gościnnej angielskiej damy, gościnnej dyplomatycznej gejszy, a Pym zastanawiał się, że może nadszedł czas, by jednak przekonać Axela do przekroczenia jeszcze jednej granicy. Już widział się uwolnionego od wszystkich zarzutów, wzorowego męża, syna i ojca rodziny. Przypomnił sobie starą farmę z czasów rewolucji amerykańskiej, którą podziwiali ze Stokrotką w Pensylwanii, wśród łąk i pól, gdzie między kamiennymi murkami granicznymi galopowały konie pełnej krwi, wyłaniające się z oblanej słońcem porannej mgły. Przypomnił sobie bielone kościoły, tak iskrzące się wiarą, nadzieją i miłością w porównaniu z wilgotnymi kryptami swego dzieciństwa, i wyobrażał sobie szczęśliwą rodzinę Pymów, zaczynającą w takim kraju nowe życie pełne pracy i modlitwy - z Axelem, który kołysze się na huśtawce w ogrodzie i łuska groch na obiad.

Sprzedam Axela Langley i tym kupię własną wolność, myślał, zabawiając perłowozębą matronę dowcipną anegdota. Wynegocjuję amnestię dla siebie i wszystko będzie w porządku.

Nie zrobił tego. Nigdy by tego nie zrobił. Axel nie tylko go prowadził, ale również określał dla niego, co dobre, a co złe. Axel był ołtarzem, na którym Pym składał swe tajemnice i swoje życie. Stał się taką częścią Pyma, która nie należała do nikogo innego.

Czy muszę ci mówić, Tom, jak piękny i drogi wydaje się świat komuś, kogo dni są policzone? Jak całe życie pęcznieje i otwiera się, jak mówi „wejdz” właśnie wtedy, gdy człowiek czuje się w nim nieproszonym gościem? Jakim rajem stała się Ameryka w chwili, gdy Pym zobaczył ogniste pismo na ścianie, jak Baltazar? W jednej chwili stanęło mu przed oczyma całe dzieciństwo. Jechał z Mary na dyplomatyczne kolacje i równocześnie odwiedzał w marzeniach Szwajcarię i Ascot. Wędrował po ślicznym cmentarzu Oak Hill w Georgetown i wyobrażał sobie, że jest w Glades z Dorothy, zamknięty w

ociekającym deszczem ogrodzie, by nikt nie oglądał jego potępionej twarzy. Naszą skrytką na Oak Hill była Minnie Wilson, Tom. Była to nasza pierwsza skrytka w Ameryce - musisz kiedyś pojechać obejrzeć ją sobie. Leży na falistym grobowcu niedaleko fontanny: mała, nieżywa wiktoriańska dziewczynka w marmurowych szatach. Materiały i informacje zostawialiśmy dla siebie pod krzaczkiem, który dzielił pupę Minnie od jej opiekuna, niejakiego Thomasa Entwistle'a, który zmarł trochę później. Najważniejszy dla nas zmarły na tym samym cmentarzu leżał wyżej, niedaleko żwirowego parkingu, na którym Pym zostawiał zawsze swój samochód na dyplomatycznych numerach. To Axel znalazł - i zaraz zaprowadził tam Pyma - grób Stefana Osusky'ego, jednego z założycieli Czechosłowacji, który zmarł na wygnaniu w roku 1973. Odtąd składanie kolejnych ofiar Axelowi nie mogło się obejść bez krótkiej modlitwy za naszego brata Stefana. Kiedy materiałów zrobiło się tyle, że nie mieściły się już za pupą Minnie, naszych listonoszy musieliśmy wybierać bliżej centrum miasta. Zwykle byli to zapomniani generałowie z brązu, głównie francuscy, którzy walczyli za Amerykę na złość Anglikom. Zachwycały nas niepomniernie ich zabawne kapelusze, ich teleskopy i konie, i wyrastające im spod stóp czerwone rabaty kwiatów. Polami ich bitew były trawniki na skwerkach, pełne rozwalających się leniwie studentów, naszymi skrytkami zaś małe armatki, chroniące naszych bohaterów, albo otaczające ich karłowate choinki, których dolne gałęzie tworzyły świetne gniazdko z brązowych igieł. Jednak Axel najbardziej lubił nowo otwarte Muzeum Aeronautyki i Astronautyki, gdzie nigdy nie mógł się napatrzeć na „Spirit of St. Louis” i „Friendship 7”, raketę Johna Glenna, i gdzie zawsze kładł rękę na kamieniu z Księżycą z takim namaszczeniem, jakby dotykał świętej relikwii. Pym nigdy nie obserwował tych obrządków, ale Axel zawsze mu o nich opowiadał. Metodę mieli prostą: przesyłki zostawiali dla siebie w dwóch różnych szatkach w szatni, po czym wymieniali się kluczami w zaciemnionej sali kinowej imienia Samuela Langleya, podczas gdy reszta publiczności sapała z podniecenia i kurczowo trzymała się oparcí foteli w czasie zapierającej dech w piersiach projekcji symulacji lotu.

A dalej od Waszyngtonu, Tom? Od czego zacząć? Czy od Doliny Krzemowej, czy od małej hiszpańskiej wioski na południe od San Francisco, gdzie zawsze po obiedzie słuchaliśmy śpiewów gregoriańskich w wykonaniu braci z zakonu ojca Murgo? A może od biblijnego krajobrazu Palm Springs, gdzie nawet autka na polach golfowych miały znaczek rolls - royce'a, gdzie Góry Moab spoglądały w dół na pastelowe stiuki i sztuczne stawki naszego otoczonego murem motelu, a nielegalni imigranci z Meksyku snuli się po trawnikach z dmuchawami, zdmuchując okropne liście, które mogłyby urazić zmysł estetyczny milionerów takich jak my? Czy możesz sobie wyobrazić zachwyty Axela na widok rozstawionych wokół basenu klimatyzatorów, które zwilżały pustynne powietrze i równocześnie rozpylały mikromgielkę na opalających się gości o twarzach oblepionych zielonym błotem? A może opowiedzieć ci o przyjęciu Sekcji Adopcji Psów Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami z Palm Springs, w którym wzięli udział, by uczcić dostarczenie przez Pyma najnowszych planów bombowca Stealth? O wprowadzanych na scenę wyczesanych i wykokardowanych pieskach, odbieranych przez opiekuńcze panie do wtóru szlochowi wszystkich obecnych, zupełnie jakby chodziło o wietnamskie sieroty? O całodobowych programach kaznodziejów radiowych, przedstawiających chrześcijańskiego Boga jako rzecznika własności prywatnej, bo własność prywatna jest wrogiem komunizmu? Palm Springs nazywali „poczekalnią Pana Boga”. W Palm Springs jeden basen przypada na pięciu mieszkańców; uroczą tą miejscowość leży o parę godzin jazdy od największych w świecie zakładów produkujących urządzenia do zabijania. Stąd wniosek, że głównymi gałęziami jej przemysłu są dobroczynność i śmierć. Emerytowani bandyci i zniedołężniali komicy, składający się na tutejszy geriatryczny dwór, nie wiedzieli, że tego wieczoru Axel i Pym dopisali do tej listy szpiegostwo.

- To szczyt naszych możliwości, sir Magnusie - powiedział Axel, z nabożeństwem studiując najnowszą ofiarę Pyma w wyciszonym apartamencie sześćset dolarów za noc. - My chyba też możemy już przejść na emeryturę.

A może wolisz Disneyland i inną salę projekcyjną, taką z

okrągłym ekranem, w której pokazuje się gawiedzi amerykańskie ideały? Jak mam cię przekonać, że Pym i Axel ronili szczerze ły, oglądając europejskich emigrantów uciekających przed prześladowaniami w Europie i zstępujących na amerykańską ziemię do wtóru słów spikera o Narodzie Narodów i Kraju Ludzi Wolnych? Wierzyliśmy w to, Tom. Pym nadal w to wierzy. Pym nigdy nie czuł się bardziej człowiekiem wolnym niż wtedy - większe poczucie wolności dała mu dopiero śmierć Ricka. Wszystko, co jeszcze kochał w sobie, kochał też w bliźnich. Chciał otworzyć się na nich. chciał zrobić wszystko, by chronić ich niewinność. I ich zdolność wzruszania się wszystkim i równocześnie panowania nad wszystkim. Axel też ich kochał, choć był mniej niż Pym przekonany, że z wzajemnością.

- Wexler organizuje grupę śledczą, sir Magnusie - ostrzegł go pewnego wieczoru w Bostonie, gdy jedli kolację w pełnym kolonialnej godności hotelu Ritz. - Jakiś niedobry defektor nagadał im bzdur. Czas związać interes.

Pym nic nie odpowiedział. Przeszli się po parku, gapili na łódki na stawie. Zasiedli w obskurnym, pełnym podekscytowanych ludzi irlandzkim pubie, w którym rozprawiano o dawno zapomnianych przez Anglików zbrodniach. Pym wciąż nic nie mówił. Jednak kilka dni później, odwiedzając w Yale pewnego wykładowcę z Anglii, który od czasu do czasu dostarczał Firmie drobnych informacji, znalazł się przed posągiem amerykańskiego bohatera Nathana Hale'a, powieszono go przez Brytyjczyków za szpiegostwo. Szpieg stał ze związanymi z tyłu rękami. Na cokole widniały jego ostatnie słowa; „Żałuję tylko, że jedno mam życie, które mogę oddać za ojczyznę”. Na kilka następnych tygodni Pym zszedł do podziemia.

Pym gadał do siebie. Nosił go. Chodził po pokoju z rękami po bokach, z dłońmi rozcapierzonymi, jakby chciał pływać lub latać. Padał na kolana, ramionami obijał się o ściany. Chwytał zieloną szafkę, trząsł nią, szafka kiwała się jak stary zegar stojący, jakby zaraz miała przygwoździć go do ziemi swym ciężarem, a postawiona na niej czarna skrzynka podskakiwała i przechylała się, mówiąc: „Weź mnie”. Pym kłął, ale tylko w duchu. Gadał do siebie też tylko w myśli. Chciał od otoczenia

spokoju, ale otoczenie go nie słuchało. Wracał do biurka i zraszał potem leżące na blacie kartki papieru. Pisał. Był spokojny, tylko ten cholerny pokój szalał wokół niego i nie pozwalał mu się skupić na pisaniu.

Wracamy do Bostonu.

Pym odbywał objazd złotego półkola rozciągającego się wzdłuż drogi numer 128: Witajcie na Autostradzie Techniki Amerykańskiej - istne krematorium bez komina, niskie zabudowania fabryczne i laboratoryjne przycupnięte w krzakach i sztucznych pagórkach. Dowiedział się od brytyjskiej delegacji, czego chciał, i zrobił parę nielegalnych zdjęć aparatem ukrytym w aktówce. Lunch zjadł już sam na sam z wielkim amerykańskim przemysłowcem imieniem Bob, w którym cenił przede wszystkim długi język. Siedzieli na werandzie i patrzyli przez ogród na spływające w dół trawniki, spokojnie i z namaszczeniem koszone przez czarnoskórego ogrodnika. Po obiedzie Pym jedzie do Needham, gdzie nad zakolem rzeki Charles, zastępującej im Aar, czeka na niego Axel. Nad zielononiebieskimi trzcinami leci czapla, z uschniętych drzew przypatrują im się myszołowy. Idą ścieżką w górę, w las. wzdłuż wznoszącego się eskeru.

- Co się stało? - pyta wreszcie Axel.

- A co się miało stać?

- Jesteś spięty i nic nie mówisz. To logiczne, że coś się stało.

- Zawsze jestem spięty, kiedy mam ci złożyć raport.

- Ale nie tak.

- Nie chciał ze mną gadać.

- Kto? Bob?

- Zapytałem go, co słyhać z remontem na „Nimitzu”. On mi na to, że jego firma dostała świetny kontrakt w Arabii Saudyjskiej. Pytam go o jego rozmowę z admirałem Floty Pacyfiku, a on przerywa mi i chce wiedzieć, kiedy wreszcie przyjedziemy z Mary na weekend. I jest zmieniony na twarzy.

- Jak?

- Jest zły. Ktoś go przede mną ostrzegł. I chyba jest bardziej zły na tego kogoś niż na mnie.

- Co jeszcze? - pyta cierpliwie Axel, bo wie, że z Pymem

zawsze musi być coś jeszcze.

- Byłem śledzony. Zielony ford, przydymione okna. Tutaj nie ma gdzie się zamelinować, a amerykańscy tajniacy nie chodzą na piechotę, więc teraz ich nie ma.

- Co jeszcze?

- Przestań z tym „co jeszcze”!

Nagle wyrasta między nimi bariera ostrożności i nieufności.

- Axel - mówi po chwili Pym.

Rzadko zwraca się do niego po imieniu; zwykle nie pozwala mu na to szpiegowski savoir vivre.

- Tak, sir Magnusie?

- Czy wtedy, w Bernie, kiedy razem studiowaliśmy... ty wtedy nie byłeś... co?

- Nie byłem studentem?

- Ty wtedy jeszcze nie szpiegowałeś? Ollingerów, Cosmo, mnie. Nikt cię nie prowadził? Wtedy byłeś tylko sobą, prawda?

- Nie szpiegowałem i nikt mnie nie prowadził. Nie należałem do nikogo.

- Naprawdę?

Ale Pym już wie, że naprawdę. Wie, bo w oczach Axela pojawił się rzadki gość - gniew. Wie, bo głos Axela stał się uroczysty i pełen niesmaku.

- To ty wymyśliłeś, że jestem szpiegiem, sir Magnusie. Nie ja. Pym patrzy, jak Axel zapala kolejne cygaro, i widzi, jak trzęsie się dłoń trzymająca zapalną.

- To był pomysł Jacka Brotherhooda - poprawia go Pym. Axel zaciąga się cygarem. Jego ramiona powoli tracą napięcie.

- Mniejsza z tym - mówi. - W naszym wieku takie sprawy się nie liczą.

- Brammel zgodził się na przesłuchanie - mówi Pym. - W niedzielę lecę do Londynu na dywanik.

Kto ma prawo mówić z Axelem o przesłuchaniu? Kto ośmieli się porównać nocne posiedzenie z dwoma uprzejmymi adwokatami Firmy w domu w Sussex z biciem, rażeniem prądem i głodem, którymi od dwudziestu lat od czasu do czasu traktowano Axela? Jeszcze teraz czerwienię się na myśl, że w ogóle wypowiedziałem przy nim to słowo. Jak się później dowiedziałem, w roku 1952 Axel wyparł się Slansky'ego i wraz z

innymi żądał dla niego kary śmierci. Nie żądał zbyt głośno, bo sam był wtedy ledwie żywy.

- Ależ to straszne! - krzyknął na to Pym. - Jak ty możesz służyć krajowi, który zmusza cię do czegoś takiego?

- To wcale nie było takie straszne. Już wcześniej powinienem był to zrobić. Zapewniłem sobie przetrwanie, a Slansky i tak by nie żył. Należ mi jeszcze.

Kolejny upadek przeżył w roku 1956.

- Tym razem sprawa była znacznie prostsza - tłumaczył, zapalając cygaro. - Wygłosiłem mowę przeciwko Ticie i wyobraziłem sobie, nikomu nawet nie chciało się pojechać i go zabić.

Na początku lat sześćdziesiątych, gdy Pym był już w Berlinie, Axel gnął trzy miesiące w średniowiecznym lochu położonym niedaleko Pragi. Nigdy nie zrozumiałem do końca, co musiał przysiąc tym razem. Wtedy czystki, dość zresztą niemrawe, dosięgły samych stalinowców; Slansky'ego przywrócono do życia, choć, oczywiście, pośmiertnie (nie należy zapominać, że nadal był uważany za winnego swych przestępstw, tylko że niewinnie). Tak czy inaczej Axel wyglądał po powrocie, jakby przybyło mu dziesięć lat, i przez kilka miesięcy „r” wymawiał miękko, jakby się jąkał.

W porównaniu z czymś takim interrogacja Pyma odbyła się zupełnie bezboleśnie. Miał obrońcę, Jacka Brotherhooda, kadrowcy matkowali mu jak stara kwoka, powtarzając w kółko, że muszą tylko zadać mu kilka pytań. Jakiś baran z finansowego bez przerwy upominał przesłuchujących, że przekraczają kompetencje, a sami przesłuchujący najchętniej gawędzili ze mną o dzieciach. Po pięciu dobach takiej zabawy Pym był wciąż świeżutki jak poranek; za to przesłuchujący ślaniali się ze zmęczenia.

- Zadowolony z wyjazdu? - zapytała Mary, gdy wrócił do Georgetown, po ranku spędzonym z nim w łóżku, w którym Pymowi udało się na chwilę złagodzić napięcie.

- O, bardzo - powiedział Pym. - Masz pozdrowienia od Jacka.

Ale idąc na piechotę do ambasady, zobaczył świeżo narysowaną kredą strzałkę na sklepie z winem. Był to znak od Axela, by do odwołania nie usiłował nawiązywać kontaktu.

W tym miejscu, Tom, wypada opowiedzieć, co wtedy robił Rick, ponieważ twój dziadek miał jeszcze wykręcić swój ostatni i, jak się pewnie domyślasz, najlepszy numer. Rick kończył się. Jego wyczyny przestały być spektakularne, pojawiał się zapłakany, przerażony jak bite zwierzę. Im było z nim gorzej, tym mniej pewny siebie stawał się Pym. Można było odnieść wrażenie, że i Rick, i Firma postanowili dobić go równocześnie w taki sam żalony, banalny sposób. Pym powoli tracił grunt pod nogami i coraz bardziej przypominał linoskoczkę. Pym błagał ojca w duchu, wrzeszczał na niego: bądź dalej tak zły, jak byłeś, tak potworny, nie tul się do mnie, nie poddawaj się! Ale Rick pojawiał się, szurając nogami, uśmiechając przymilnie jak żebrak, całkowicie świadomy, że właśnie teraz, w swej słabości, ma nad synem największą władzę. „Robiłem to wszystko dla ciebie, synu. To dzięki mnie jesteś jednym z Wielkich Ludzi Naszego Kraju. A dasz ojcu parę pensów? I może weźmiesz mnie na grilla, czy już wstydzisz się chodzić do knajpy ze starym kumplem?”.

Pierwszy raz uderzył w Boże Narodzenie, w niecałe sześć tygodni po otrzymaniu przez Pyma oficjalnych przeprosin z Centrali. W Georgetown śniegu było po kolana, zaprosiliśmy Ledererów na lunch. Mary podawała właśnie do stołu, gdy zadzwonił telefon. Czy pan ambasador Pym odbierze rozmowę na jego koszt z New Jersey? Odbierze.

- No cześć, stary. Jak ci się wiedzie?

- Pogadam na górze - powiedział ponuro Pym do Mary i wszyscy zrobili współczujące miny, wiedząc, że w świecie tajnych operacji nie ma świąt.

- Wesółych świąt, stary - mówi Rick, gdy tylko Pym podniósł słuchawkę w sypialni.

- Nawzajem, tato, wesółych świąt. Co ty robisz w New Jersey?

- Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, synu. Nikt inny, tylko Bóg.

- Zawsze mi to mówiłeś. Ale kto strzela? Jesteś pijany?

- Bóg jest sędzią i ławą przysięgłych w jednej osobie. Nie zapominaj o tym, stary. Jego nie oszukasz. To co, cieszysz się, że płaciłem za twoje wykształcenie?

- Nie oszukuję Boga, tato. Ja po prostu spędzam święta z rodziną.

- Przywitaj się z Miriam - mówi Rick. W słuchawce słychać tłumione protesty, w końcu odzywa się Miriam.

- Dzieńdoberek, Magnus - mówi Miriam.

- Dzień dobry, Miriam - mówi Pym.

- Dzieńdoberek - powtarza Miriam.

- Karmię cię tam po ludzku, w tej twojej ambasadzie, stary, czy nic tylko frytki i sos tysiąca wysp?

- Mamy bardzo dobrą stołówkę dla niższego personelu, ale w tej chwili siadamy właśnie do stołu w domu.

- Pewnie będzie indyk, co?

- Owszem, indyk.

- W porządnym, angielskim sosie chlebowym?

- Chyba tak.

- A jak tam mój wnuk, w porządku? Czoło ma po tobie, co, takie samo jakie ty masz ode mnie?

- Tak, ma bardzo ładne czoło.

- I niebieskie oczy, też po dziadku?

- Nie, oczy ma po Mary.

- Słyszałem, że twoja żonka jest ekstra, synu, fantastyczna. Podobno w Dorset ma kawał ziemi, na pewno warty niezły grosz.

- Ale wydzierzawiony.

Za późno. Rick już pogrąża się w odmętach żalu nad sobą. Płacze, potem płacz przechodzi w wycie. W słuchawce słychać też szlochanie Miriam, właściwie nie szlochanie, tylko wysoki skowyt małego psa zamkniętego w mieszkaniu.

- Ojej, kochanie - mówi Mary, gdy Pym zajmuje swoje miejsce gospodarza przy stole. - Magnus, co się stało? Jesteś taki nieswój.

Pym kręci głową, uśmiecha się i płacze równocześnie. Chwyta kieliszek, unosi go.

- Za nieobecnych przyjaciół! - woła. - Za naszych wszystkich nieobecnych przyjaciół! - Potem, ale już tylko do ucha żony: - Dzwonił jeden mój kontakt sprzed wielu, wielu lat. Udało mu się mnie znaleźć i koniecznie chciał mi życzyć błogosławieństwa bożego.

Czy przypuściłbyś kiedykolwiek, Tom, że największy kraj świata może okazać się za mały dla ojca i syna? A jednak! Oczywiście, nic w tym dziwnego, że Rick kierował się tam, gdzie mógł liczyć na ochronę ze strony syna; po Berlinie było to wręcz nieuniknione. Teraz wiem, że zaczął od Kanady, błędnie licząc na związki w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Kanadyjczycy szybko mieli go dość. Gdy zagrozili mu deportacją, Rick szybko wpłacił niewielką zaliczkę za cadillaca i ruszył na południe. W Chicago, jak wykazało moje śledztwo, uległ pokusie firm developerskich, by w ramach promocji trzy miesiące mieszkać za darmo w jednym z licznych nowych osiedli na przedmieściach. I tak w Farview Gardens rezydował niejaki pułkownik Hanbury; Sunleigh Court miał zaszczyt gościć sir Williama Forsytha, który mieszkał tam bez czynszu jeszcze dłużej, ponieważ toczył negocjacje z administracją o wynajęcie luksusowej garsoniery dla swego lokaja. Skąd w ogóle obaj brali pieniądze, pozostaje do dziś tajemnicą, ale na pewno musiały istnieć jakieś ślicznotki z długiem wdzięczności czy to względem wojskowego, czy arystokraty. Jedyną namacalną poszlaką jest nieprzyjemny list z pewnego klubu jeździeckiego, informujący sir Williama, że jego konie będą w klubie mile widziane po uiszczeniu wszelkich należnych opłat. Z początku wieści były dla Pyma tylko jak odległe grzmoty, a jego liczne wyjazdy z Waszyngtonu dawały mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Ale z jakiegoś powodu New Jersey odmieniło Ricka na zawsze; od tego czasu jego jedynym źródłem utrzymania stał się Pym. Czyżby na obu przyszedł równocześnie czas zapłaty? Czy Rick rzeczywiście był chory? A może to tylko Pym czuł zbliżający się sąd ostateczny? Jedno jest pewne: o chorobie Ricka całkowicie przekonany był Rick. I uważał, że tak wypada:

Muszę już bez przerwy używać solidnej laski (dwadzieścia dziewięć dolarów gotówką) z powodu kłopotów z Sercem i innych, jeszcze groźniejszych Chorób. Lekarz nie mówi mi Najgorszego, twierdzi, że Ostra dieta (tylko proste potrawy i Szampan, byle nie kalifornijski) może jeszcze Przedłużyć moje Nędzne życie o kilka Miesięcy, nim zostanę Wezwany przed oblicze Pana.

Wzorem cioci Nell zaczął nosić czerwone okulary, a gdy

znów znalazł się na bakier z prawem, tym razem w Denver, zrobił na lekarzu więziennym tak świetne wrażenie, że został zwolniony natychmiast po pokryciu przez Pyma kosztów leczenia.

Po Denver doszedłeś do wniosku, że już nie żyjesz, i zaczęłeś prześladować mnie swoją małością, no nie? Wszędzie, gdzie byłem, obawiałem się, że zaraz ukaże się twój żaloszny duch. Wchodząc lub wychodząc z domu lub firmowego mieszkania, spodziewałem się zastać cię przed bramą, obnoszącego się z tą twoją celową, rozmyślną małością. Wiedziałeś, gdzie będę, jeszcze zanim się tam zjawiałem. Zawsze udawało ci się wysepić bilet, żeby przelecieć pięć tysięcy kilometrów po to tylko, by pokazać mi, że znowu znalazłeś. I zaraz szliśmy do najlepszej restauracji w mieście, karmiłem cię obiadem i opowieściami o moich dyplomatycznych sukcesach, i potem w zamian wysłuchiwałem twoich przechwałek. Ile mogłem, obsypywałem cię pieniędzmi, modląc się, by dzięki temu udało ci się dołożyć do zielonej szafki jeszcze paru Wentworthów. Ale nawet gdy przymilałem się do ciebie, gdy wymieniałem z tobą promienne uśmiechy, gdy trzymałem cię za rękę i dodawałem ci otuchy w twoich idiotycznych planach, wiedziałem, że udało ci się dokonać największej z wszystkich twoich sztuk. Ty byłeś już nikim. Cała twoja moc spłynęła teraz na mnie; ty stałeś się małym, bezsilnym człowieczkiem, a największym oszustem na świecie byłem teraz ja.

- Słuchaj, stary, czemu oni nie dadzą ci wreszcie tytułu szlacheckiego? Z tego. co słyszałem, już dawno powinienes być co najmniej stałym podsekretarzem stanu. Masz coś na sumieniu? To może skoczę do Londynu i pogadam u was w kadrach?

Jak mnie znalazł? Jak to możliwe, że jego wywiad był lepszy niż tych psów łańcuchowych CIA, którzy szybko stawali się moimi nieodłącznymi, choć niechcianymi towarzyszami? Z początku podejrzewałem, że wynajmował prywatnych detektywów. Zacząłem zapisywać numery podejrzanych samochodów, notować godziny pomyłek telefonicznych i usiłowałem dopasowywać ich numery do numerów Langley.

Zamęczałem moją sekretarkę pytaniami, czy nie sondował jej ktoś podający się za mojego chorego ojca. Wreszcie wykryłem, że urzędnik do spraw wyjazdów w ambasadzie grywał nałogowo w snookera w jakimś masońskim hoteliku w podejrzanym części miasta. Tam zdybał go Rick i nakarmił idiotycznym łgarstwem. „Mam kłopoty z sercem”, powiedział temu głupkowi. „Wszędzie może mnie dopaść, tylko nie mów mojemu chłopakowi. Nie chcę go martwić, on i tak ma za dużo na głowie. Ale mam prośbę: jak gdzieś wyjeżdża, dzwoni do mnie, żebym wiedział, gdzie go mają szukać, jakby co”. Na pewno wspominał w którymś momencie o złotym zegarku. I biletach na najbliższy finał Pucharu. I odwdzięczenie się kochanej mamusi, kiedy Rick wróci na chwilę do kraju odetchnąć zdrowym angielskim powietrzem.

Ale zrobiłem to odkrycie za późno. Wtedy działaliśmy już w San Francisco, w Denver i w Seattle, i za każdym razem Rick trafiał tam bez pudła, popłakując i coraz bardziej się kurcząc. W końcu zostało go tyle, co miał z Pyma. I zdaje mi się, że z Pyma też zostało niewiele - że plotąc się kłamstwa i krzywoprzysięstwa przed kolejnym sądem kapturowym, zmieniał się stopniowo w oszusta - nieudacznika na ostatnich nogach swej wiarygodności.

I tyle, Tom. Każda zdrada jest w gruncie rzeczy taka sama, więc nie chcę cię tym zamęczać. To już jest koniec - choć z mojego punktu widzenia ten koniec całkiem przypomina początek. Firma zabrała Pyma z Waszyngtonu i posłała do Wiednia, żeby z powrotem zajął się swoimi siatkami i by rosnące szeregi jego oskarżycieli mogły silniej zacisnąć mu na szyi utkany komputerowo sznur. Nie było już dla niego ratunku. Stokrotka zdawał sobie z tego sprawę i Pym też, choć nie przyznawał się do tego przed nikim, nawet przed sobą. Jeszcze jeden numer, powtarzał sobie, wytnę jeszcze jeden numer, i wszystko się ułoży. Stokrotka nalegał, błagał, groził. Pym był niewzruszony: daj mi spokój, poradzę sobie, uwielbiam mnie, poświęciłem im przecież całe swoje życie.

Ale prawda jest taka, Tom, że Pym pragnął do końca sprawdzić tolerancję tych, których kochał. Wolał siedzieć w pokoiku na piętrze tu, u panny Dubber, i czekać na nadejście

Boga, i patrzeć ponad zielonymi ogródkami na plażę, na której dwaj najlepsi kumple grali w piłkę od jednego krańca świata do drugiego i z której wyruszali za morze na rowerach od Harrodsa.

Rozdział 18

A w Plush jest dziś wieczór pokaz ogni sztucznych, pomyślała Mary, patrząc na zaciemniony plac. Na Toma czeka na pewno niezapalone ognisko. Przez przednią szybę zaparkowanego samochodu wpatrywała się w puste podium dla orkiestry i udawała przed sobą, że widzi niedobitki rodziny i poddanych, zgromadzone w pustym pawilonie do krykieta. Stłumione kroki to kroki gajowych zbierających się wokół jej brata Sama na jego ostatniej przepustce w życiu. Wyobraziła sobie, że słyszy jego głos, trochę zbyt defiladowy jak na jej gust i wciąż zachrypnięty od tych wszystkich przeżyć w Irlandii. „Tom!”, woła. „Tom, stary, gdzie jesteś?”. Ale Tom się nie rusza. Tom chowa się pod kożuchem Mary, wtula głowę w jej udo i nic go stamtąd nie wyciągnie, chyba że Boże Narodzenie. „No, Tom Pym, chodź! Przecież jesteś najmłodszy!”, woła Sam. „Za rok będziesz za stary! Gdzież on się podziewa?”. Potem brutalnie: „Pieprzyć to. Niech kto inny odpala”. Tom się wstydzi, Pymowie są zhańbieni, a Sam złości się, jak zwykle, gdy ktoś nie chce z nim wysadzić w powietrze wszechświata. Jakieś odważniejsze dziecko przykłada zapalną i świat wybuchają ogniem. Wojskowe rakiety sygnałowe brata Mary pędzą po niebie idealnie równymi salwami. Wszyscy patrzą w nocne niebo i stają się maleńcy.

Siedziała obok Brotherhooda, który trzymał ją za przegub ręki, dokładnie tak jak lekarz, gdy już miała urodzić tego małego tchórzyka. Żeby czuła się pewniej, żeby była spokojna, żeby jej powiedzieć: „panuję nad wszystkim”. Samochód stał w bocznej uliczce. Za ich samochodem stała policyjna furgonetka, a za furgonetką karawana sześciuset chyba policyjnych samochodów, radiowozów, karet pogotowia i wozów saperskich. W nich tłum sobowtórów Sama, porozumiewających się bezszelestnie nieruchomymi oczyma. Samochód, w którym siedzieli Mary i Jack, parkował pod sklepem z szyldem

„Słodkości - Nowości”; na oświetlonej neonem wystawie plastikowy gnom pchał taczki pełne zakurzonych cukierków. Na trumiennych drzwiach sąsiedniego granitowego domu widniała tabliczka „Biblioteka Publiczna”. Po drugiej stronie ulicy stał obrzydliwy kościół baptystów, który też zdawał się mówić, że z Panem Bogiem nie ma żartów. Za kościołem rozciągał się Boży plac, Boże podium dla orkiestry i Boże araukarie, a pomiędzy czwartą a piątą araukarią od lewej, jak zdążyła policzyć już chyba dwudziesty raz, wisiało w ciemności sklepienie, oświetlone okno z zaciągniętymi storami, gdzie, jak informują mnie moi ludzie, znajduje się pokój męża pani, choć dowiedzieliśmy się, że znany jest tu pod nazwiskiem Canterbury, i że jest bardzo lubiany przez miejscowych.

- On zawsze jest lubiany - rzuciła Mary.

Ale oficer policji mówił to wszystko nie do niej. tylko do Jacka Brotherhooda. Mówił to przez okno od strony Brotherhooda i to do niego, jej strażnika, a nie do niej, odnosił się z takim szacunkiem. Mary wiedziała też, że oficer miał przykazane jak najmniej z nią rozmawiać, i że przychodziło mu to z trudem. I że Brotherhood wziął na siebie udzielanie za nią odpowiedzi, co oficer przyjmował jako dowód niemal boskiej potęgi Jacka. Oficer też był stąd, z Devon - ojciec rodziny, świadomy tradycjonalista. Tak się cieszę, że aresztuje go ktoś z Devon, pomyślała z okrucieństwem Mary, naśladując w myśli prowincjonalno - amerykański szczebiot Caroline Lumsden. Zawsze byłam zdania, że jest znacznie milej zostać wziętym do niewoli przez krajana.

- Czy pani na pewno nie chce przejść do salki katechetycznej? - mówił oficer chyba po raz setny. - Tam jest znacznie cieplej. I towarzystwo większe. I nawet międzynarodowe, bo są Amerykanie.

- Tu jej będzie najlepiej - mruknął w odpowiedzi Brotherhood.

- Tylko że pan nie może włączyć silnika, widzi pani. A jak nie włączy silnika, to trzeba będzie siedzieć bez ogrzewania. Mam nadzieję, że pani rozumie.

- Niech pan lepiej już idzie - powiedziała Mary.

- Tu jej będzie najlepiej - powiedział Brotherhood.

- Tylko, wie pani. szczerze mówiąc, to może potrwać całą noc. A nawet cały następny dzień. Bo jeżeli nasz przyjaciel nie będzie chciał wyjść...

- Pożyjemy, zobaczymy - powiedział Brotherhood. - Jakby pan czegoś od niej chciał, ona będzie tutaj.

- No więc szczerze mówiąc, to nie sądzę, proszę pana. Na pewno nie w wypadku, jeżeli będziemy musieli wejść. Wtedy uważam, że pani będzie musiała na pewno przenieść się w bezpieczniejsze miejsce. Po prostu chodzi mi o to, że wszyscy są w salce, rozumie pan, bo szef kazał, żeby tam byli wszyscy, którzy nie biorą bezpośredniego udziału w akcji. Amerykanie też.

- Ona wcale nie chce być tam, gdzie wszyscy - odezwała się Mary, nim Brotherhood zdążył cokolwiek powiedzieć. - I nie jest Amerykanką, tylko jego żoną.

Oficer poszedł sobie, ale niemal natychmiast wrócił. Był łącznikiem. Został nim, bo miał świetne maniery.

- Mamy pytanie z dachu, sir - zaczął przeproszając, znów kucając przy oknie Brotherhooda. - Czy wiadomo panu, jakiego typu i kalibru jest broń, którą jakoby posiada nasz przyjaciel?

- Standardowy browning 0.38. Dość stary. Od lat chyba nieczyszczony.

- A może wiadomo coś o amunicji? Widzi pan, dobrze byłoby wiedzieć, na co się mają nastawić.

- Zdaje mi się, że też standardowa.

- Nie dum - dum ani nic w tym rodzaju?

- A po cholere mu dum - dum?

- No. nie wiem, sir. W ogóle mało o nim wiemy. I od nikogo niczego nie można się dowiedzieć. Dawno nie widziałem, żeby tyle osób nabrało wody w usta. A jak pan myśli, ile ma nabojów?

- Jeden magazynek. I może drugi, zapasowy.

Mary nagle wpadła w złość.

- Na miłość boską, przecież on nie jest wariatem! Przecież on nie zacznie...

- Nie zacznie czego? - zapytał oficer, który szybko zapominał o swych świetnych manierach, gdy ktoś odzywał się do niego bez należnego szacunku.

- Załóżmy więc, że ma jeden magazynek i drugi zapasowy -

powtórzył Brotherhood.

- No, to może jeszcze mi pan powie, jak u niego z celnością - poprosił oficer. Widać było, że w tej dziedzinie czuje się najpewniej. - W końcu trudno mieć do nich pretensje, że chcą wiedzieć jak najwięcej, prawda?

- Na początku został przeszkolony, potem ćwiczył całe życie - powiedział Brotherhood.

- Jest dobry - dodała Mary.

- A jeśli mogę zapytać, to skąd pani to wie?

- Bo strzelają z Tomem z wiatrówki.

- Aha, do szczurów i tak dalej? Czy do większych celów?

- Do papierowych tarcz.

- A, do tarcz? I co, proszę pani, dobrze mu idzie?

- Tom twierdzi, że świetnie.

Zerknęła na Brotherhooda i od razu wiedziała, o czym myśli. Puśćcie mnie do niego, wyprowadzę go, co z tego, że ma broń. Sama zresztą myślała podobnie: Magnus, wyłaż, nie rób z siebie idioty. Oficer mówił znowu, tym razem już wprost do Brotherhooda.

- I jeszcze jedno pytanko, sir, tym razem od naszych saperów - powiedział, jakby uważał, że to przesadna ostrożność, ale musi zapytać z grzeczności. - Chodzi o tę czarną skrzynkę, którą ma ze sobą nasz przyjaciel. Pytałem już tamtych w salce, ale oni są za wysocy rangą, żeby znać się na tych sprawach, i kazali spytać pana. Nasi chłopcy rozumieją, że za dużo im się nie powie, ale byliby zobowiązani, gdyby mógł pan określić rodzaj ładunku.

- On służy tylko do zniszczenia zawartości - odpowiedział Brotherhood. - To nie jest broń.

- No, ale w pewnych warunkach, na przykład gdyby dostał się w ręce kogoś niezrównoważonego, ładunek mógłby zostać użyty jako broń, prawda?

- Chyba tylko gdyby udało mu się wsadzić kogoś do środka - odpowiedział Brotherhood, a oficer roześmiał się uprzejmie.

- Zaraz im to przekażę - obiecał. - Chłopcy też się chętnie pośmieją. przynajmniej odprężą się trochę. - Zniżył głos i znów powiedział tylko do Brotherhooda: - Proszę pana, czy nasz przyjaciel strzelał kiedyś do kogoś w gniewie? Żeby zabić?

- Z tego, co wiem, nigdy nikogo nie zabił.
- No, wie pan, nie całkiem o to mi chodziło.
- Z tego, co wiem, nigdy nie brał udziału w strzelaninie.
- Nasz przyjaciel w ogóle nigdy się nie gniewa - dodała

Mary.

- A czy kiedyś wziął kogoś do niewoli?
- Tylko nas - powiedziała Mary.

Pym zrobił kakao, Pym owinał nowym szalem ramiona panny Dubber, choć twierdziła, że wcale nie jest jej zimno. Posiekał dla Toby'ego kawałek kurczaka, który to przysmak kupił parę dni wcześniej w supermarkecie. Gdyby mu pozwoliła, wyczyściłby też klatkę kanarka - z kanarka był szczególnie dumny, bo kiedyś, późnym wieczorem, gdy panna Dubber już poszła spać, znalazł go martwego, ale udało mu się wymienić go na żywego w sklepie zoologicznym pana Loringa. Panna Dubber nie chciała, żeby się krzątał, tylko żeby usiadł tak, by mogła mieć na niego oko, i by przeczytał jej dostarczony wczoraj list od ciotki Alice z dalekiej Sri Lanki, prosząc pana, chociaż pana nic a nic nie interesują takie ciekawe sprawy.

- Czy Ali to ten pracz, który ukradł jej w zeszłym roku koronki? - zapytała ostro, przerywając mu. - Czemuż go znowu zatrudnia, skoro kradnie? Miałam nadzieję, że już więcej nie usłyszymy o panu Alim.

- Może mu wybaczyła - powiedział Pym. - Pamięta pani, ile biedak ma żon? Może nie miała serca tak po prostu wyrzucić go na zbity pysk. - Mówienie na głos sprawiło mu dużą przyjemność. Zresztą głos miał bardzo czysty i piękny.

- Naprawdę wolałabym, żeby wróciła do Anglii - zachnęła się panna Dubber. - Przecież ma już swoje lata, a te upały...

- No tak, tylko że wtedy sama musiałaby sobie prac. Nie mam racji? - Pym czuł ciepło bijące od swego uśmiechu, czuł, że rozgrzewa i siebie, i ją.

- No, widzę, że doszedł już pan do siebie. Tak się cieszę. Nie wiem, co to było, ale wreszcie panu ulżyło. Teraz może pan trochę odpocząć od tego wszystkiego.

- Od czego? - zapytał z tym samym uśmiechem Pym.

- No, od tej pana pracy. Harował pan tyle lat, teraz niech kto inny martwi się o państwo. Dużo pracy zostawił panu ten

nieboszczyk?

- No, w sumie tak. Wie pani, zawsze ciężko jest się we wszystkim połapać, jeżeli nie odbyło się normalne przekazanie...

- Ale teraz już wszystko w porządku, prawda? Od razu widać po pana minie.

- Będzie w porządku, jeżeli zgodzi się pani wyjechać wreszcie na wakacje.

- Dobrze, pojedę, ale tylko z panem.

- Niestety, nic z tego. Już mówiłem! Urlop mi się skończył!

Uniósł głos bardziej, niż chciał. Popatrzyła na niego. Zobaczył na jej twarzy strach. Patrzyła tak na niego, kiedy przywieziono zieloną szafkę, i potem też, kiedy przesadzał z tą swoją opiekuńczością.

- Ja nigdzie nie jadę - stwierdziła wojowniczo. - Nie chcę dawać Toby'ego do klatki. Toby też nie chce, i w ogóle proszę mi się tu nie rządzić. Dobrze mówię, Toby? To bardzo miło z pana strony, ale proszę mi więcej nie zawracać tym głowy. Ciocia pisze jeszcze o czymś?

- Poza tym już tylko o zamieszkach. Na tle rasowym. Uważa, że na tym nie koniec. Nie przeczytałem, żeby pani nie denerwować.

- I ma pan rację - powiedziała stanowczo panna Dubber, nie spuszczać z niego oka, gdy przechodził przez pokój, składał list i chował go do słoja po imbirze. - To niech mi pan przeczyta rano, wtedy mniej się denerwuję. A co tak cicho na placu? Czemu u pani Peel nie gra telewizor? Przecież teraz jest ten spiker, w którym się kocha...

- Pewnie poszła spać - powiedział Pym. - Jeszcze kakao? - zapytał, ale już niósł kubki do zlewu w zmywalni. Story były zasłonięte, ale przy oknie zainstalował kiedyś wentylator z przezroczystego plastiku. Szybko przyłożył do niego oko i popatrzył na plac, ale na placu nie było żywego ducha.

- Niech się pan nie wygłupia - mówiła panna Dubber. - Dobrze pan wie, że nigdy nie pijam dwóch kubków. Proszę wrócić na miejsce, oglądamy wiadomości.

Na drugim końcu placu, w cieniu kościoła, zapaliło się i zgasło małe światelko.

- Oj, dziś nie, proszę pani! - zawołał do niej przez drzwi. -

Mam na cały tydzień dość polityki. - Przekręcił kurek, odczekał, aż piecyk gazowy z czasów wojny krymskiej wystarczająco ogrzał wodę. i umył oba kubki. - Idę spać, proszę pani, a świat niech sam się sobą zajmie.

- Tylko proszę najpierw podejść do telefonu - odpowiedziała.
- To do pana.

Musiała podnieść słuchawkę od razu, bo w szumie wody w piecyku nie słyszał dzwonka. Nikt tu jeszcze nigdy do niego nie telefonował. Wrócił do kuchni. Wyciągała w jego kierunku dłoń ze słuchawką i znowu zobaczył na jej twarzy oskarżycielski strach. Pewnie sięgnął po słuchawkę, przyłożył do ucha, powiedział: „Canterbury, słucham”. Połączenie zostało przerwane, ale on nadal trzymał słuchawkę przy uchu. Jak gdyby poznając głos rozmówcy, lekko uśmiechnął się w stronę środka kuchni, gdzieś pomiędzy obrazkiem Pielgrzyma wspinającego się pod górę i mijającego nierządnicę a obrazkiem małej dziewczynki z wyczesanymi włosami, zabierającej się do jajka na miękko.

- Dziękuję - powiedział. - Naprawdę serdecznie dziękuję, Bill. To bardzo miło z twojej strony. Bardzo cię proszę, podziękuj ode mnie ministrowi. Spotkamy się na lunchu gdzieś w przyszłym tygodniu, dobrze? Ja stawiam.

Odłożył słuchawkę. Czuł ciepło na twarzy i patrząc na pannę Dubber, nie był całkiem pewny, jaką ona ma minę ani czy wie, że zaczynają go boleć ramiona, kark i prawe kolano nadwerżone na nartach w Lech, gdy ostatnio był tam z Tomem.

- Wygląda na to, że minister wreszcie mnie docenił - wytłumaczył trochę na oślep. - Kazał mi przekazać, że moje wysiłki nie poszły na marne. Dzwonił jego osobisty sekretarz, Bill, czyli sir William Wells. Mój kolega.

- Aha - powiedziała panna Dubber, ale bez entuzjazmu.

- Trzeba przyznać, że minister rzadko okazuje zadowolenie. Naprawdę trudno mu dogodzić. Właściwie chyba nigdy nie powiedział nikomu dobrego słowa. A mimo to wszyscy jesteśmy mu całkowicie oddani. Po prostu lubimy go mimo to. Można powiedzieć, że już się przyzwyczailiśmy, i już nikt nie traktuje go jak jakiegoś potwora. No, ale mnie już okropnie chce się spać.

Do łóżka, proszę pani, do łóżka!

Ani drgnęła. Zmusił się, by mówić dalej.

- To, oczywiście, nie on dzwonił, bo jest na nocnym posiedzeniu i pewnie nie mógł wyjść. Dzwonił jego sekretarz.

- Już pan mówił.

- Powiedział tak: „Pym, kochany, chyba dostaniesz medal”, powiedział. „Stary nawet się uśmiechnął”. Stary, czyli minister. Oczywiście mówimy do niego „sir Williamie”, ale za plecami jest dla nas „starym”. Nie przydałby się pani gong? Mogłaby go pani powiesić nad kominkiem, polerować na Boże Narodzenie i Wielkanoc. To byłby taki nasz własny, prywatny medal. Należy się pani.

Urwał, bo trochę się zapłuł, zaschło mu w obolałym gardle, z uchem też coś się mu robiło. Muszę wreszcie pójść prywatnie do dobrego lekarza i zrobić sobie badania. Więc już nic nie mówił, tylko stał nad nią i czekał, by pomóc jej wstać i po staremu uściskać ją na dobranoc, bo zawsze tyle to dla niej znaczyło. Ale panna Dubber nie ruszała się z miejsca. I nie miała ochoty na uściski.

- A czemu każe pan nazywać się Canterbury, jeżeli ma pan na nazwisko Pym? - zapytała surowo.

- Pym mam na imię. Pym, jak Pip. Pym Canterbury.

Bardzo długo nad tym myślała. Badawczo przyglądała się jego wyschniętym oczom i policzkom, których mięśnie drgały nie wiedzieć czemu. Zauważył, że oględziny nie wypadły pomyślnie i że zanosilo się na poważniejszą kłótnię. W końcu jednak, uśmiechając się do niej usilnie i skupiwszy na niej resztkę siły woli, udało mu się uzyskać od niej krótkie kiwnięcie głowy.

- Trochę jesteśmy za starzy, by mówić sobie po imieniu, proszę pana - powiedziała. Potem wreszcie wyciągnęła ręce, które ujął trochę nad łokciami i musiał pilnować się, by nie ciągnąć za mocno, tak bardzo chciał przytulić ją do siebie i zaraz potem szybko znaleźć się u siebie w łóżku.

- Cieszę się z tego medalu - oświadczyła, gdy odprowadzał ją do jej pokoju. - Zawsze podziwiałam ludzi, którzy dostawali medale. Wszystko jedno za co.

Schody były tu takie jak w każdym z licznych domów jego dzieciństwa, więc wbiegł po nich lekko na górę, zapomniawszy o

bólu w kolanie. Abażur w kształcie gwiazdy betlejemskiej na lampce w korytarzu był starym znajomym z Glades. Wszystko tak świetnie się ułożyło, rzekł do siebie. Gdy otworzył drzwi do swego pokoju, wszystko, co było w środku, mrugnęło i zaśmiało się do niego, jak na przyjęciu - niespodziance. Paczuszki były gotowe, ale na wszelki wypadek sprawdził jeszcze raz. Koperta dla panny Dubber: mnóstwo pieniędzy i przeprosin. Koperta dla Jacka: żadnych pieniędzy, przeprosin zresztą też. Stokrotko, jakie to dziwne, że wreszcie jesteś tak daleko. A jeszcze ta głupia szafka! Nie mam pojęcia, czemu tak się nią przejmowałem tyle lat. I czarna skrzynka - okropnie ciężka jak na to, że nie ma w niej żadnych tajemnic. Dla Mary nic, bo tak naprawdę nie miał jej wiele do powiedzenia: „Wybacz, że ożeniłem się z tobą dla kamuflażu. Cieszę się, że mimo to zdobyłem się na odrobinę miłości. No, ale to ryzyko zawodowe, kochanie. Nie zapominaj, że ty też jesteś szpiegiem. I to w sumie chyba lepszym, niż był Pym. W końcu co klasa to klasa”. Tylko koperta dla Toma nie dawała mu spokoju, więc na powrót odlepił kopertę, czując, że należy się jeszcze ostatnie słowo wyjaśnienia.

„Bo widzisz, Tom, ja jestem mostem”, pisał i zauważył z irytacją, że pisze coraz mniej wyraźnie. „Mostem, po którym musisz przejść od Ricka do prawdziwego życia”.

Podpisał się inicjałami, jak zwykle pod postscriptum, zaadresował nową kopertę, a starą wrzucił do kosza na śmieci, bo uczone go od dzieciństwa, że nieporządek to pierwszy krok do biedy.

Potem ściągnął czarną skrzynkę z szafki, rozbroił ją dwoma kluczami z łańcuszka i wyciągnął z niej najpierw te akta, które były tak tajne, że nawet nieoznaczone jako tajne, a zawierały same bzdury o siatkach, które założyli ze Stokrotką tak wielkim nakładem sit i środków. One też wylądowały w koszu. Załatwiwszy tę sprawę, wyciągnął pistolet, załadował go i odbezpieczył. Wszystko to poszło bardzo szybko. Odłożył pistolet na stół i przypomniał sobie, ile to razy miał ze sobą broń, a nigdy nie wystrzelił z niej do nikogo. Usłyszał szuranie na dachu i powiedział do siebie: na pewno kot. Pokręcił głową, jakby mówił: te piekielne koty, wszędzie ich dziś pełno, biedne

ptaszki nie mają ani chwili spokoju. Zerknął na swój złoty zegarek, przypomniał sobie, że dostał go od Ricka i że lepiej się w nim nie kąpać, więc zdjął go teraz i położył na kopercie zaadresowanej do Toma. Obok dorysował szybko buzię śmieszka, bo zawsze tak robili, kiedy chcieli powiedzieć sobie: „Uśmiechnij się”. Rozebrał się, ubranie złożył starannie na krześle, potem włożył szlafrok i wziął z wieszaka oba ręczniki, duży do kąpieli, mały do rąk i twarzy. Wsunął pistolet do kieszeni szlafroka, nie zabezpieczając go, bo jedną z prawd wiary, jaką wszczepiono mu na szkoleniu, było, że zabezpieczona broń jest jeszcze groźniejsza niż odbezpieczona. Wybierał się, co prawda, tylko na drugi koniec korytarza, ale takie czasy, że ostrożność nie zawadzi. Kiedy chciał otworzyć drzwi do łazienki, zauważył z irytacją, że porcelanowa gałka chyba się zacięła, bo musiał okropnie się wysilić, żeby ją przekręcić. Cholerna klamka, coś takiego! Co gorsza, jakiś idiota musiał zostawić na niej trochę mydła, bo dłoń ślizgała się po niej i dopiero przez ręcznik udało mu się ją przekręcić do końca. To pewnie biedna Lippsie, pomyślał z uśmiechem, przecież ona żyje teraz już prawie wyłącznie w tym swoim wewnętrznym świecie. Po raz ostatni stanął przed lustrem nad umywalką. Głowę owinął mniejszym ręcznikiem, większy zarzucił na ramiona, bo panna Dubber jednej rzeczy nie zносиła - brudu i bałaganu. Potem przyłożył pistolet do prawego ucha i zorientował się, że nie pamięta - zresztą nic dziwnego w tej sytuacji - czy spust browninga kalibru 0.38 jest na raz czy na dwa. I zorientował się jeszcze, że nie odsuwa się od lufy, ale pochyla się ku niej, jak ktoś, kto głuchnie, i chce lepiej usłyszeć.

Mary nie usłyszała wystrzału. Oficer znów kuczał przy oknie Brotherhooda, tym razem by zameldować, że obecność Magnusa w domu została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość dzięki pewnemu podstępowi i że wszyscy, którzy nie będą brali udziału w walce, mają bez wyjątku znaleźć się w salce katechetycznej. Brotherhood nie chciał się z tym zgodzić. Mary wciąż obserwowała czterech mężczyzn, bawiących się w tiptopki wśród kominów po drugiej stronie placu. Już chyba od pół godziny rozwijali do siebie nawzajem linę i przybierali klasyczne pozy antyterrorystów. Mary nienawidziła ich w tej

chwili tak, że nawet nie wiedziała, że jest do tego zdolna. Magnus zawsze powtarzał, że społeczeństwo, które podziwia swe siły specjalne, powinno porządnie się nad sobą zastanowić. Oficer potwierdził, że w domu nie ma innego mężczyzny poza wspomnianym Canterburym, i prosił Mary, by w każdej chwili była gotowa do rozmowy telefonicznej z mężem, gdyby zdecydowano się z nim pertraktować. Mary odparła: „No oczywiście” przesadnie stanowczym szeptem, ale chciała w jakiś sposób rozładować to idiotyczne, teatralne napięcie. W pamięci zostało jej, że wszystko to jeszcze się działo, a może właśnie się skończyło, gdy Brotherhood gwałtownie pchnął drzwi, przewracając oficera, którego jeden but na zawsze znieruchomił w obrysie okna jak w stop - klatce. A potem wszystko potoczyło się jak w przyspieszonym filmie: Jack pędził w stronę domu jak młodzieniaszek, bo czasem śniło jej się to po nocach, tylko że dom był jej rodzinnym domem w Plush, a Jack biegł do niej, by się z nią kochać. I zaraz potem stanął jak wryty, choć wokół zrobiło się bardzo głośno. Zapaliły się światła, karetki pędziły na miejsce, najwyraźniej nie wiedząc, gdzie jest to miejsce, mundurowi i tajniacy biegli jeden przez drugiego, ci idioci z dachu wołali coś do tych idiotów na dole, Anglia znów została uratowana przed czymś, o czym nie wiedziała. Ale Jack Brotherhood stał na baczność jak setnik rzymski, tkwiący na swym posterunku. I wszyscy gapili się na pełną godności drobną starszą panią w szlafrocisku, która ukazała się na schodkach swego domu.